Juliusz Verne

20 000 mil
PODMORSKIEJ ŻEGLUGI

Tytuł oryginału francuskiego „Vingt mille lieues sous les mers”
Przełożył z języka francuskiego: Bolesław Kielski

SŁOWO WSTĘPNE

Często spotkać się można ze zdaniem, że Juliusz Verne opisał w swej powieści łódź podwodną na wiele lat przed wprowadzeniem w życie żeglugi podmorskiej. Wiele ludzi sądzi, że w epoce, w której żył ten znakomity francuski autor powieści fantastycznych (Verne urodził się w roku 1828), podróże podmorskie były jeszcze takim samym nie urzeczywistnionym marzeniem, jak loty międzyplanetarne. Mniemanie to jest całkowicie błędne, tak jak niesłuszne jest szukanie źródeł powieści Verne'a w samej tylko fantazji autora.

Już na wiele, wiele setek lat przed Verne'em — bo w czasach starożytnych — ludzie marzyli o podniebnych lotach i eskapadach, podmorskich, śnili o ujarzmieniu tych dwóch żywiołów — powietrza i wody — które stały się dostępne człowiekowi dopiero dzięki zawrotnemu rozwojowi techniki, jaki przyniósł wiek XIX naszej ery.

Wielki włoski malarz żyjący na przełomie XV i XVI wieku, Leonardo da Vinci, który był jednocześnie genialnym rzeźbiarzem, pisarzem, architektem i inżynierem, sporządził pierwsze, plany i szkice machin latających i podwodnych statków. Po nim powstało jeszcze wiele projektów i nieforemnych modeli łodzi podmorskich, zanim człowiek odważył się na pierwszą próbę króciutkiej podróży pod powierzchnią wody w dziwacznej kulistej łupinie. Taki bowiem kształt miała pierwsza na świecie „łódź podwodna" skonstruowana na pół przeszło wieku przed przyjściem na świat Juliusza Verne'a.

Były to lata walk kolonii Ameryki Północnej z Anglią, lata wojny o niepodległość i utworzenie Stanów Zjednoczonych. Koloniści amerykańscy nie posiadali prawie wcale floty i nie mogli

skutecznie przeciwdziałać coraz to nowym transportom wojsk, które Anglia przysyłała do Ameryki, aby zdusić powstanie w koloniach. Wtedy to Amerykanin Dawid Bushnell skonstruował w roku 1775 kulistą drewnianą łódeczką podwodną, którą nazwano „Żółwiem Amerykańskim". W „Żółwiu" było miejsce dla jednego tylko człowieka, który własnymi rakami wprawiał w ruch śrubą napadową łódki. „Żółw" podkradał się cichcem do nieprzyjacielskiego statku i częstował go pod wodą bardzo prymitywną miną. Oczywiście skutki takich ataków podwodnych nie były zbyt groźne dla angielskich okrętów.

W dwadzieścia lat później konstruktor pierwszych statków parowych Robert Fulton zbudował podwodną drewnianą łódką o ręcznym napędzie, ale już na osiem osób. Produkcją masową takich łodzi zaproponował ówczesnej rewolucyjnej Francji, która musiała się wtedy bronić przeciwko wszystkim niemal królom Europy. Projekt ten, który mógł być wykorzystany do walki z flotą angielską, nie znalazł jednak zrozumienia u admiralicji francuskiej. Łódź Fultona nazywała się „Nautilus"; takim samym mianem w „Dwudziestu tysiącach mil podmorskiej żeglugi" Verne'a kapitan Nemo ochrzci swój okręt podwodny.

Wiek XIX — wiek pary i rewolucyjnego postępu techniki związanego z rozwojem kapitalizmu — przyniósł bardzo liczne badania i eksperymenty w dziedzinie żeglugi podmorskiej. W roku 1863 — na siedem lat przed wydaniem przez Verne'a „Dwudziestu tysięcy mil podmorskiej żeglugi" — dwaj Francuzi, Karol Brun i Ludwik Bourgois, zbudowali w stoczni Rochefort wielką łódź podwodną,, mającą czterdzieści dwa metry długości. Kadłub jej był już z żelaza, a motor poruszany sprężonym powietrzem. W tym samym roku amerykański konstruktor Alstitt pierwszy rzucił myśl zastosowania dwóch motorów w łodzi podwodnej: parowego — do jazdy na powierzchni morza, i elektrycznego — do poruszania się w głębinach morskich.

Juliusz Verne, który pilnie śledził wszystkie osiągnięcia współczesnej nauki i techniki i zanim zabrał się do pisania którejkolwiek ze swych powieści fantastycznych, długie tygodnie trawił na lekturze artykułów i książek naukowych — skwapliwie podchwycił pomysł wykorzystania energii elektrycznej do celów podróży podwodnych. Jego „Nautilus" jest

całkowicie zelektryfikowany.

W ten sposób fantastyczny okręt podmorski kapitana Nemo wyprzedził o dobre dziesięć lat rzeczywiste łodzie podwodne o napędzie elektrycznym, skonstruowane około 1880 roku przez znakomitego uczonego rosyjskiego Stefana Drzewieckiego, Francuza — Zede, Anglika — Campbella i innych.

Juliusz Verne począł tworzyć swe fantastyczno–naukowe i podróżnicze powieści w roku 1863. W roku tym ukazała się jego książka „Pięć tygodni w balonie", która z miejsca zjednała autorowi rzesze wielbicieli. Odtąd, aż do śmierci pisarza (Verne umarł w roku 1905), sypią się jedna po drugiej dziesiątki książek o przeróżnych wyprawach i podróżach, rodzą się w wyobraźni pisarza setki bohaterów odważnie zapuszczających się w nie zbadane i niebezpieczne tereny środkowej Afryki, w mroźne obszary podbiegunowe, w głębiny oceanów, w tchnące niesamowitą grozą i pustką przestrzenie międzygwiezdne, w tajemnicze wnętrze Ziemi…

Wkrótce po ogłoszeniu swej pierwszej książki Verne stał się jednym z najpoczytniejszych wśród młodzieży całego świata pisarzy. Wplatając w żywą, awanturniczą akcję swych powieści ciekawe wiadomości z geografii, przyrodoznawstwa, fizyki i chemii, krasząc przygody swych bohaterów pogodnym,, iście francuskim dowcipem, puszczając wodze swej nieokiełznanej fantazji — Verne potrafił porwać i zainteresować czytelników, przelać w nich własny zapał do wiedzy, badań i odkryć. Wielu późniejszych znakomitych naukowców i podróżników żyło w młodości pod urokiem jego książek i w nich znalazło podnietą do poświęcenia swego życia nauce.

I choć dzisiaj znaczna część pomysłów i opisów Verne'a trąci myszką, choć rzeczywistość, w której żyjemy, wykroczyła już w wielu punktach poza granice nakreślone fantazją tego pisarza, jego książki zachowują dla nas nadal świeżość i czar wielkiej przygody w cudownej krainie nauki.

Zdzisław Ryłko

Część pierwsza

Rozdział I
Uciekająca skała

Wszyscy zapewne pamiętają owo przedziwne, niewytłumaczone i niewytłumaczalne zjawisko, które miało miejsce w 1866 roku. Nieprawdopodobne plotki krążyły wśród mieszkańców miast portowych i niepokoiły umysły szerokiej publiczności, wstrząsając szczególnie silnie wyobraźnią ludzi bezpośrednio związanych z morzem. Do najwyższego stopnia zainteresowali się tą sprawą europejscy i amerykańscy kupcy, armatorzy*, kapitanowie statków, szyprowie, następnie oficerowie marynarki wojennej wszystkich bander świata, wreszcie rządy wielu państw położonych na obu kontynentach.

Od pewnego czasu, mianowicie, statki zaczęły spotykać na pełnym morzu „coś ogromnego", jakiś długi, wrzecionowaty, niekiedy fosforyzujący przedmiot, bez porównania większy i szybciej się poruszający niż wieloryb.

Dzienniki okrętowe zgadzały się na ogół dość dokładnie w opisie wyglądu tego przedmiotu czy też stworzenia; wszystkie stwierdzały kształt, nieobliczalną szybkość jego ruchów i niezwykłą moc żywotną, w którą zdawał się być wyposażony. Jeśli to był wieloryb, to przewyższał swym ogromem wszystkie gatunki, które dotychczas sklasyfikowała nauka. Ani Cuvier, ani Lacépède, ani panowie Dumeril czy Quatrefages* nie pozwoliliby sobie wmówić, że istnieje taki potwór — chyba że ujrzeliby go na własne uczone oczy.

Biorąc pod uwagę przeciętną licznych obserwacji, a więc odrzucając zarówno zbyt skromne, przypisujące nieznanemu przedmiotowi długość dwustu stóp, jak i zbyt przesadzone, określające jego szerokość na milę*, długość — na trzy, godzono się jednak, że stworzenie to — jeśli w ogóle istnieje — przewyższa rozmiarami wszystko, co ichtiologowie* dotychczas znają.

Jednakowoż niepodobna było w ogóle zaprzeczyć jego istnieniu. Przy dość powszechnej u ludzi skłonności do wiary w cuda, łatwo zrozumieć, jakie wrażenie w całym świecie wywołało to nadprzyrodzone, zdawałoby się, zjawisko. Bajką jednak nie można było tego nazwać.

Istotnie bowiem 20 lipca 1866 roku parowiec „Gubernator Higginson", należący do Linii Okrętowych Kalkuta–Burma, spotkał ową poruszającą się masę w odległości dwóch mil na wschód od wybrzeży australijskich. Kapitan statku Baker przypuszczał początkowo, że natknął się na nieznaną rafę. Zabierał się już do dokładnego oznaczenia położenia geograficznego owej rafy, gdy nagle — z tego nieznanego przedmiotu wytrysnęły ze świstem dwa słupy wody na wysokość stu pięćdziesięciu stóp. Jeśli więc rzekoma skała nie była szczytem okresowo wybuchającego gejzeru*, znaczyłoby to, że „Gubernator Higginson" natknął się, oko w oko, na jakiegoś nieznanego wodnego ssaka, wyrzucającego przez nozdrza fontanny wody zmieszane z powietrzem i parą.

To samo zjawisko zaobserwowane zostało na wodach Oceanu Spokojnego 23 lipca tegoż roku przez „Krzysztofa Kolumba" — statek należący do Towarzystwa Okrętowego Indii Zachodnich i Pacyfiku. Wieloryb ten przenosił się więc z miejsca na miejsce z niebywałą

---

* armator — właściciel statku handlowego

* Cuvier, Lacépède, Dumerol, Quatregages —przyrodnicy i lekarze francuscy żyjący w XVIII i XIX w.

* 10. mila — mila morska = 1852 m

* ichtiologowie — przyrodnicy zajmujący się badaniem ryb

* gejzery — gorące źródła występujące na terenach wulkanicznych, wyrzucające w pewnych odstępach czasu słupy wody i pary na znaczną nieraz wysokość

szybkością, ponieważ „Gubernator Higginson” i „Krzysztof Kolumb” widziały go w ciągu trzech dni w miejscach odległych od siebie o ponad siedemset mil morskich.

W dwa tygodnie później o dwa tysiące mil dalej „Helvetia” należąca do Kompanii Narodowej i „Shannon” z Poczty Królewskiej, dwa statki płynące naprzeciw siebie na Atlantyku, między Stanami Zjednoczonymi a Europą — zasygnalizowały sobie wzajemnie potwora pod 42°15’ długości na zachód od południka Greenwich. Łączna obserwacja pozwoliła rzekomo na określenie minimalnej długości zwierzęcia na trzysta pięćdziesiąt stóp angielskich*, ponieważ zarówno „Helvetia”, jak i „Shannon” były krótsze od niego, choć mierzyły po sto metrów od dzioba do rufy. Największe zaś wieloryby napotykane w okolicach Wysp Aleuckich, Kulammak i Umgullick, nie osiągały długości pięćdziesięciu sześciu metrów.

Głęboko poruszyły opinię publiczną te sprawozdania, nadsyłane jedno po drugim; doszły do tego dalsze obserwacje poczynione z pokładu transatlantyku „Pereire”, wiadomość o zderzeniu między statkiem „Etna” z Linii Inmana a potworem, protokół sporządzony przez oficerów francuskiej fregaty „Normandia”, wreszcie bardzo ważki raport, który otrzymał sztab generalny od komandora Fitz–Jamesa z okrętu „Lord Clyde”. W krajach zamieszkanych przez ludzi o weselszym usposobieniu żartowano sobie z owego zjawiska, jednak narody poważne i praktyczne, jak Anglia, Stany Zjednoczone czy Niemcy, żywo zajęły się tą sprawą.

Potwór stał się tematem modnym we wszystkich wielkich skupiskach. Śpiewano o nim po kawiarniach, wykpiwano w prasie, grano sztuki na jego temat. Niemało też „kaczek” wszelkich odcieni puszczano w obieg o potworze. Gazety przypomniały sobie znowu i umieszczały przedruki artykułów o wszystkich możliwych gigantycznych rozmiarów istotach — od białego wieloryba, straszliwego „moby–dicka”* z mórz podbiegunowych, aż do nadnaturalnej wielkości „krakena”*, którego macki zdolne były objąć i pogrążyć w głębinach oceanu statek o pojemności pięciuset ton. Przytaczano nawet opisy antyczne, uwagi Arystotelesa* i Pliniusza*, dopuszczające możliwość istnienia takich potworów, norweskie opisy biskupa Pontoppidana, sprawozdania Paula Heggede, a wreszcie i raporty Harringtona, którego nikt przecież nie może posądzić o złą wolę, a który twierdził, że w 1857 roku widział z pokładu „Castillana” owego węża—kolosa, który do tego czasu przebywał wyłącznie na niezmierzonych oceanach bujdy gazeciarskiej dawnego „Constitutionnela”*.

Rozpoczęły się tasiemcowe polemiki łatwowiernych i niedowiarków w towarzystwach naukowych i pismach poświęconych wiedzy. Sprawa potwora rozpłomieniła umysły. Potoki atramentu przelały się podczas tej pamiętnej kampanii między dziennikarzami wykorzystującymi zawodowo naukę a innymi — zarabiającymi na dowcipie; kapnęło i parę kropel krwi, bowiem od sprawy węża morskiego doszło do najbardziej obraźliwych wycieczek osobistych.

Około pół roku toczyła się ze zmiennym szczęściem owa wojna. Na źródłowe artykuły Brazylijskiego Instytutu Geograficznego, berlińskiej Królewskiej Akademii Nauk, Brytyjskiego Towarzystwa Naukowego, Instytutu im. Smitha w Waszyngtonie, na rozprawy w „Indian Archipelago”, w „Kosmosie” opata Moigno, w „Mitteilungen” Petermanna, na artykuły w naukowych działach wielkich dzienników francuskich i innych — odpowiadała

* Około 106 metrów. Stopa ang. ma 30,4 centymetra (przyp. aut.).

* Moby–dick — fantastyczny potwór—wieloryb z powieści amerykańskiego pisarza Hermana Melville’a, pt. „Moby Dick albo polowanie na wieloryba”, wydanej w 1851 r.

* kraken — w legendach skandynawskich potwór morski, mający kształt ogromnej ośmiornicy

* Arystoteles — wielki filozof grecki żyjący w IV w. przed n. e. Zajmował się także przyrodoznawstwem i napisał „Historię zwierząt”

* Pliniusz Starszy — przyrodnik rzymski z I w. n. e., autor 37–tomowego dzieła pt. „Historia naturalna” stanowiącego encyklopedię wiedzy przyrodniczej starożytnych. Zginął w czasie wybuchu Wezuwiusza w 79 r.

* „Constitutionnel” — tytuł dziennika francuskiego założonego w 1815 r. i wychodzącego prawie do końca XIX w. Do rewolucji lipcowej w 1830 r. dziennik ten był bardzo popularny we Francji, potem jednak znacznie podupadł

prasa brukowa z niewyczerpaną energią. Dowcipnisie zręcznie parodiowali powiedzenie Linneusza*, cytowane zwykle przez tych, którzy nie godzili się z istnieniem potwora; otóż powołując się na przesłankę, że przecież „natura nie stwarza głupców", zaklinali swych współczesnych, aby wierząc w krakeny, węże morskie, moby–dicki i inne marynarskie brednie — nie zadawali tym samym jawnego kłamu naturze. Wreszcie jeden z najbardziej cenionych dziennikarzy zamieścił w piśmie, znanym z jadowitej satyry, artykuł, w którym rozprawił się z potworem ostatecznie, dobijając go wśród homerycznego śmiechu* całego świata. Dowcip zwyciężył naukę.

Przez okres pierwszych kilku miesięcy 1867 roku sprawa wydawała się już całkiem pogrzebana i nie byłaby się chyba odrodziła, gdyby nie nowe fakty, o których zasłyszano na całym świecie. Nie chodziło tu już o rozstrzyganie naukowego zagadnienia, ale wręcz o uniknięcie istotnego i poważnego niebezpieczeństwa. Sprawa przybrała odmienne oblicze. Potwór stał się znów wysepką, rafą, skałą, ale skałą uciekającą, nieokreśloną, nieuchwytną.

5 marca 1867 roku statek „Moravian", należący do Montrealskiego Towarzystwa Okrętowego, znalazłszy się w nocy po 27°30' szerokości i pod 72°15' długości, uderzył prawym bokiem rufy o skałę nie oznaczoną w tych stronach na żadnej mapie. Pędzony wiatrem i mocą swych czterystu koni parowych, posuwał się z szybkością trzynastu węzłów*. Gdyby konstrukcja jego kadłuba nie była najwyższej jakości, „Moravian", rozdarty straszliwym uderzeniem, zatonąłby niewątpliwie wraz z dwustu trzydziestu siedmioma pasażerami jadącymi na jego pokładzie z Kanady.

Katastrofa wydarzyła się o piątej nad ranem; właśnie zaczynało świtać. Oficerowie wachtowi skoczyli natychmiast na tył statku i z największą uwagą badali wokół wody oceanu. Nie zauważyli niczego poza silnym wzburzeniem fal w odległości około sześciuset metrów, jak gdyby woda w tym miejscu została gwałtownie skłócona. Określono dokładnie położenie statku, po czym „Moravian" popłynął w dalszą drogę bez wypadku. Czy natknął się na skałę podwodną, czy może na olbrzymi wrak? Nikt nie miał pojęcia. Gdy jednak w suchym doku zbadano spód parowca, okazało się, że część kilu została strzaskana.

Poważny ten wypadek uległby zapewne zapomnieniu jak wiele innych, gdyby nie powtórzył się w trzy tygodnie potem w identycznych warunkach. Tym razem jednak nabrał olbrzymiego rozgłosu, gdyż statek, który padł ofiarą tej nowej katastrofy, należał do najsławniejszego towarzystwa żeglugowego Anglii.

Wszystkim znane jest imię słynnego armatora angielskiego Cunarda. W 1840 roku ten mądry przemysłowiec założył pocztową linię komunikacyjną między Liverpoolem a Halifaxem, używając do tego trzech statków drewnianych, poruszanych kołami, o mocy czterystu koni i o pojemności tysiąca stu sześćdziesięciu dwu ton. W osiem lat później Towarzystwo rozporządzało ponadto czterema statkami o mocy sześciuset pięćdziesięciu koni i o pojemności tysiąca ośmiuset dwudziestu ton, a po upływie dalszych dwóch lat — jeszcze dwiema jednostkami o potężniejszej mocy i większym tonażu. W 1853 roku Towarzystwo Cunarda, po odnowieniu swego przywileju przewozu poczty, powiększyło tabor okrętowy kolejno o statek „Arabia", „Persja", „Chiny", „Szkocja", „Jawa", „Rosja" — wszystkie najwyższej klasy i największe, jakie kiedykolwiek, poza słynnym „Great Eastern", pruły fale mórz świata. W ten sposób w 1867 roku Towarzystwo posiadało dwanaście statków: osiem

---

* Linneusz Karol (1707–1778) — wielki szwedzki przyrodnik, usiłował stworzyć ogólny system klasyfikacji roślin i zwierząt, dzieląc je na gromady, rzędy, rodziny i gatunki. Linneusz poważnie przyczynił się do rozwoju nauk przyrodniczych. Napisał m. in. dzieło pt. „Gatunki roślin"

* homeryczny śmiech — tzn. bardzo gwałtowny i niepohamowany. Nazwa ta wywodzi się od sceny uczty bogów greckich z I księgi „Iliady" Homera, w czasie której bogowie wybuchają gwałtownym śmiechem, kiedy niezgrabny i kulawy Hefajstos — bóg ognia — usiłuje spełniać czynności podczaszego, wymagające dużej zręczności i elegancji

* węzeł — jednostka miary szybkości = 1 miła morska na godzinę

poruszanych kołami i cztery śrubowce*.

Przytaczam te szczegóły po to, by każdy uświadomił sobie znaczenie Towarzystwa, znanego zresztą w całym świecie ze swej rozumnej gospodarki i działalności. Żadna dotychczas kompania przewozów morskich nie była prowadzona tak zręcznie; żadne też przedsiębiorstwo nie cieszyło się takim powodzeniem. W ciągu dwudziestu sześciu lat statki Cunarda przebyły Atlantyk dwa tysiące razy i nigdy nie odwołano rejsu, nigdy go nie opóźniono, nigdy nie utracono ani przesyłki, ani człowieka, ani statku. Dlatego też jak wynika z urzędowych statystyk ostatnich lat, podróżni — mimo potężnej konkurencji Francji — zawsze wybierali Linię Cunarda. Nikogo więc chyba nie zdziwi teraz, że katastrofa, która wydarzyła się jednemu z najwspanialszych parowców tego Towarzystwa, nabrała takiego rozgłosu.

Otóż 13 kwietnia 1867 roku „Szkocja" znajdowała się pod 15°12" długości i 45°37' szerokości, przy pięknej pogodzie i łagodnym wietrze. Statek płynął mocą tysiąca koni parowych z szybkością trzynastu i czterdzieści trzech setnych węzła. Potężnymi kołami bił wodę z doskonałą regularnością. Zanurzenie jego wynosiło sześć metrów siedemdziesiąt centymetrów, wyporność — sześć tysięcy sześćset dwadzieścia cztery metry sześcienne.

O godzinie szesnastej siedemnaście, w czasie gdy pasażerowie zgromadzeni byli na lunchu* w wielkiej" jadalni, dał się odczuć, lekki zresztą, wstrząs, idący od spodu kadłuba ku bokowi, nieco poza lewym kołem.

Statek nie uderzył, lecz został uderzony, przy tym narzędzie było raczej tnące czy dziurawiące niż miażdżące i tępe. Uderzenie było pozornie tak nieznaczne, że na statku nikt by się nie zaniepokoił, gdyby nie krzyki wybiegających na pokład ludzi z załogi: „Toniemy! Toniemy!"

Wśród pasażerów zapanowała zrazu panika; kapitan Anderson szybko ich jednak uspokoił: niebezpieczeństwo nie mogło być poważne, ponieważ „Szkocja" poprzedzielana była szczelnymi przegrodami na siedem części, zatem jeden otwór w kadłubie nie mógł być groźny.

Kapitan Anderson pośpieszył na spód statku. Okazało się, że piąta komora zalana była w zupełności; szybkość, z jaką woda przedostawała się do wnętrza, dowodziła, że wybity otwór musiał być bardzo duży. Na szczęście kotłownia znajdowała się w innej komorze; gdyby nie to, zostałyby zalane paleniska.

Kapitan Anderson kazał natychmiast wstrzymać bieg statku; jeden z marynarzy skoczył do wody, aby zbadać uszkodzenie. Wkrótce dowiedziano się, że w spodzie statku znajduje się dziura dwumetrowej szerokości. Takiego otworu niepodobna było załatać, więc „Szkocja" musiała płynąć dalej z kołami do połowy zanurzonymi w wodzie. Było to w odległości około stu czterdziestu mil od przylądka Clear. Po trzech dniach opóźnienia, które mocno zaniepokoiło cały Liverpool, statek przybił wreszcie do nabrzeża Linii Cunarda.

„Szkocja" umieszczona została w suchym doku i inżynierowie przystąpili do oględzin. Nie wierzyli własnym oczom. O dwa i pół metra pod linią zanurzenia ujrzeli rozdarcie w kształcie równoramiennego trójkąta. Stalowa blacha była rozcięta idealnie czysto; najprecyzyjniejsze narzędzie nie zadałoby dokładniejszego ciosu. Niezwykłej hartowności musiało być narzędzie, które dokonało takiego cięcia, a poza tym — jak niebywale silne było uderzenie, jeżeli zdołało przebić blachę grubości czterech centymetrów. Wreszcie niezrozumiałe było, w jaki sposób narzędzie, które zadało cios, mogło wycofać się samo, ruchem wstecznym.

Oto było ostatnie zdarzenie, które znowu wywołało poruszenie opinii publicznej. Od tej chwili wszystkie katastrofy morskie, których przyczyn dokładnie nie można było stwierdzić,

---

* …osiem poruszanych kołami i cztery śrubowce — pierwszy parostatek został zbudowany w 2803 r. przez Amerykanina Roberta Fultona. Aż do 1830 r. okręty parowe poruszały się wyłącznie za pomocą kół z łopatkami; w 1830 r. Franciszek Smith wynalazł śrubę i z czasem parowce śrubowe wyparły zupełnie z żeglugi morskiej parowce kołowe, które używane są dzisiaj tylko w żegludze śródlądowej

* lunch — w Anglii posiłek spożywany w południe (rodzaj obfitego drugiego śniadania)

przypisywano potworowi. Tajemnicze zwierzę obciążone zostało odpowiedzialnością za wszystkie wypadki, których liczba, niestety, jest znaczna; bowiem na trzy tysiące statków tonących rocznie, Biuro „Veritas”* ogłasza za zaginione bez wieści co najmniej dwieście!

Od tego czasu zaczęto, słusznie czy niesłusznie, przypisywać „potworowi” znikanie parowców i żaglowców. Ponieważ szlaki komunikacyjne pomiędzy kontynentami stawały się coraz mniej bezpieczne, zadecydowano skończyć z tym ostatecznie i zaczęto publicznie wołać o uwolnienie mórz za wszelką cenę od straszliwego wieloryba.

* Biuro „Veritas” — prywatna instytucja międzynarodowa, założona w 1828 r., zajmująca się sporządzaniem statystyki stanu liczebnego okrętów świata, katastrof itp.

Rozdział II

Za i przeciw.

W okresie tych wydarzeń powróciłem właśnie z wyprawy naukowej do pustynnych terenów Nebraski w Stanach Zjednoczonych. Do ekspedycji tej rząd francuski dołączył mnie jako profesora nadzwyczajnego Paryskiego Muzeum Przyrodniczego. Po półrocznym pobycie w Nebrasce przybyłem do Nowego Jorku, obładowany cennymi zbiorami. Powrót do Francji przewidziano na początek maja. Pogrążony byłem akurat w porządkowaniu moich mineralogicznych, botanicznych i zoologicznych bogactw, kiedy gruchnęła wieść o wypadku „Szkocji". Całą tę sprawę, mającą rozgłos światowy, znałem świetnie i jakże mogło być inaczej? Przerzuciłem jednak wszystkie amerykańskie i europejskie dzienniki, nie dowiedziawszy się nic nowego. Tajemnica pociągała mnie. Nie mogąc wyrobić sobie sprecyzowanego poglądu, wahałem się popadając z jednej ostateczności w drugą. Że coś w tym było, nie ulegało najmniejszej wątpliwości: kto nie wierzył, mógł dotknąć ran „Szkocji". W czasie kiedy przybyłem do Nowego Jorku, zainteresowanie sprawą dosięgło zenitu. Hipotezy o pływającej wyspie i o nieuchwytnej skale, podtrzymywane przez niektórych laików, porzucono ostatecznie. Istotnie, skała taka musiałaby chyba mieć jakąś maszynę we wnętrzu, jakże by bowiem mogła przenosić się z miejsca na miejsce z tak potworną szybkością?

Tak samo odrzucono prawdopodobieństwo jakiegoś kadłuba okrętu czy olbrzymiego wraka — również z powodu szybkości, z jaką się to „coś" poruszało.

Pozostawały więc dwa możliwe rozwiązania, dzięki czemu powstały też dwa wyraźne stronnictwa: jedno z nich utrzymywało, że jest to żywy potwór o kolosalnej sile, drugie zaś opowiadało się za okrętem podwodnym o wielkiej mocy napędowej.

Hipoteza ostatnia, dopuszczalna zresztą, nie zgadzała się z poszukiwaniami, jakie poczyniono na obu półkulach. Mało było prawdopodobne, aby taką maszyną dysponować mogła prywatna osoba. Gdzie i kiedy mogłaby ją zbudować i jak utrzymałaby tę budowę w tajemnicy?

Jedynie jakiś rząd mógłby posiadać podobne narzędzie zniszczenia; prawdopodobne było, że — w tej nieszczęsnej epoce, w której umysł ludzki wysila się ustawicznie nad udoskonalaniem sprzętu wojennego — jakieś mocarstwo wyprodukowało w głębokiej tajemnicy tę straszliwą machinę. Po szybkostrzelnych karabinach odtylcowych — torpedy, po torpedach — miny podwodne i w ten sposób bez końca. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale i hipoteza co do machiny wojennej szybko upadła, zanim jeszcze rządy ogłosiły oświadczenie w tej sprawie. Szczerość tych oświadczeń nie mogła ulegać wątpliwości, bo przecież w grę wchodziło bezpieczeństwo powszechne, wspólny interes komunikacji transoceanicznej. A zresztą, czy budowa statku podmorskiego mogłaby ujść publicznej uwagi? Utrzymanie tajemnicy w podobnych warunkach nie przychodzi łatwo nawet jednostce, a cóż dopiero państwu, którego wszelkie poczynania pilnie podpatrują mocarstwa rywalizujące. Po otrzymaniu więc informacji z Anglii, Francji, Rosji, Prus, Hiszpanii, Włoch, Ameryki, a nawet Turcji, przypuszczenia co do okrętu podwodnego upadły ostatecznie.

Odżyła zatem sprawa „potwora", zresztą nadal szpikowana dowcipami przez prasę brukową; imaginacja, której puszczono wodze, poszła teraz torem najbardziej niedorzecznych wyobrażeń, należących do jakiejś zgoła fantastycznej ichtiologii.

Kiedy przybyłem do Nowego Jorku, spotkał mnie ten zaszczyt, że z wielu stron zwrócono się do mnie z prośbą o wyrażenie zdania na temat pasjonującego zjawiska. Byłem już wtedy autorem opublikowanego we Francji dwutomowego dzieła *in quarto** pod tytułem: „Tajemnice głębin morskich"; praca ta zyskała sobie sławę, zwłaszcza w sferach naukowych, i uczyniła ze mnie specjalistę w tej dosyć zaniedbanej dziedzinie przyrodoznawstwa. Poproszono mnie o wypowiedzenie się. Dopóki mogłem podawać w wątpliwość same fakty,

* in quarto — średni format książek, w których każda kartka stanowi 1/i arkusza papieru drukarskiego

ograniczałem się po prostu do bezwzględnej negacji. Wkrótce jednak przyparto mnie do muru i musiałem jasno wyjawić moje stanowisko. „Wielce szanowny pan Piotr Aronnax; profesor Paryskiego Muzeum Przyrodniczego”, został wręcz wezwany przez „New York Herald”* do sformułowania swojej opinii. Musiałem. Zabrałem głos, ponieważ nie mogłem milczeć. Omówiłem całą sprawę z każdego punktu widzenia, zarówno politycznego, jak i naukowego, i oto przytaczam zakończenie wyczerpującego artykułu, który opublikowałem w numerze z 30 kwietnia:

„Tak więc (pisałem) po kolejnym zbadaniu wszystkich hipotez musimy bezwzględnie zgodzić się na jedną z nich — na istnienie ogromnego zwierzęcia morskiego.

Wielkie głębie oceanów nie są nam dotychczas całkowicie znane. Nawet sondy nie wszędzie potrafiły dotrzeć. Co się dzieje w tych najgłębszych przepaściach? Jakie istoty mogą mieszkać dwanaście czy piętnaście mil pod powierzchnią wód? Jak zbudowany jest organizm tych stworzeń? Gubimy się jeszcze w domysłach.

Jednakowoż rozwiązanie przedłożonego mi zagadnienia może przybrać formę dylematu*: albo znamy wszystkie odmiany istot zamieszkujących naszą planetę, albo ich nie znamy.

Jeśli nie znamy ich wszystkich, jeśli w dziedzinie ichtiologii natura ma jeszcze przed nami tajemnice — nic prostszego, jak przyjąć istnienie nowych rodzajów lub nawet gatunków ryb czy wielorybów o organizmie »głębinowym«, które zamieszkują niedostępne warstwy wód i które, pod wpływem jakichś czynników, choćby fantazji czy kaprysu, wypływają w rzadkich odstępach czasu na powierzchnię oceanów. Jeśli natomiast znamy wszystkie gatunki żywe, to musimy szukać omawianego zwierzęcia pomiędzy istotami morskimi już sklasyfikowanymi i w takim razie skłonny byłbym przypuścić istnienie jakiegoś narwala–olbrzyma.

Narwal pospolity lub jednorożec morski osiąga często długość sześćdziesięciu stóp. Zwielokrotnijcie ten wymiar pięć lub dziesięć razy, wyposażcie owego wieloryba w siłę proporcjonalną do rozmiarów, powiększcie jego uzbrojenie, a otrzymacie żądaną istotę. Będzie ona miała proporcje określone przez oficerów »Shannonu«, ząb czy kieł w rozmiarach, jakich się domyślano po przedziurawieniu »Szkocji«, wreszcie siłę zdolną do rozdarcia kadłuba parowca.

Narwal jest istotnie uzbrojony w rodzaj szpady kostnej czy halabardy, jak ją nazywają niektórzy przyrodnicy. Jest to właściwie główny ząb, o twardości stali. Znaleziono parę takich zębów w ciałach wielorybów, na które narwal napada, zawsze skutecznie. Niektóre usunięto, nie bez trudu, z kadłubów statków przebitych na wylot jak prześwidrowane beczki. Muzeum Wydziału Lekarskiego w Paryżu posiada jeden taki kieł — długości dwóch metrów i dwudziestu centymetrów, a szerokości czterdziestu ośmiu centymetrów u nasady!

Załóżmy więc broń dziesięć razy mocniejszą i zwierzę dziesięć razy silniejsze, nadajmy mu szybkość dziesięciu mil na godzinę, pomnóżmy tę masę przez kwadrat jej prędkości, a otrzymamy uderzenie zdolne do spowodowania podobnej katastrofy.

Tak więc moja opinia skłania się ku istnieniu jednorożca morskiego ogromnych rozmiarów, uzbrojonego już nie w halabardę, lecz w prawdziwą ostrogę, jak pancerne fregaty*, i wyposażonego jednocześnie w ich masę i siłę napędową.

Tak należałoby tłumaczyć owo niewytłumaczalne zjawisko — jeśli w ogóle cokolwiek takiego istnieje wbrew temu, co w tej sprawie zaobserwowano, widziano, słyszano i uznano!”

Ostatnie słowa były właściwie tchórzostwem z mojej strony; chciałem jednak zachować do pewnego stopnia moją godność profesorską i nie dawać powodu do śmiechu Amerykanom, którzy — jak już się śmieją — to do rozpuku. Zabezpieczyłem sobie drogę odwrotu. W gruncie rzeczy godziłem się z istnieniem „potwora”.

---

* „New York Herald” — tytuł wielkiego dziennika amerykańskiego, założonego w 1836 r.

* dylemat — tu: konieczność wyboru między dwoma jedynie możliwymi rozwiązaniami

* fregata — w okresie floty żaglowej szybki i zwrotny okręt wojenny wyposażony w baterię armat i pancerz; odpowiednik dzisiejszego krążownika

Artykuł mój przedyskutowano gorąco, co przysporzyło mu rozgłosu. Zwerbował mi on pewną liczbę stronników. Proponowane rozwiązanie pobudzało zresztą wyobraźnię; umysł ludzki lubi owe imponujące koncepcje istot nadnaturalnych. Morze zaś jest właśnie najlepszym środowiskiem, gdzie mogą wytwarzać się i rozwijać owe olbrzymy, wobec których zwierzęta lądowe, słonie czy nosorożce, są nieledwie karłami. Płynne masy unoszą największe ze znanych gatunków ssaków, więc, być może, ukrywają też i mięczaki potwornej wielkości, skorupiaki, o których strach pomyśleć, coś w rodzaju stumetrowych homarów lub krabów ważących po dwieście ton! Dlaczegoż by nie? Niegdyś stworzenia lądowe, współczesne odległym epokom geologicznym — zarówno czworonogie, jak czwororękie, gady, jak i ptaki — zbudowane były przecież na miarę gigantyczną. Stwórca wlał je w kolosalną formę, którą dopiero czas z wolna pomniejsza. Dlaczegoż by morze w swych nieznanych głębinach nie miało zachować tych ogromnych wzorców życia dawnych wieków? Ono samo nie ulega przecież żadnym zmianom, choć jądro ziemskie przechodzi prawie stałą ewolucję. Czemuż by morze nie miało ukrywać w swym łonie ostatnich odmian owych tytanicznych gatunków, dla których wieki są latami, a tysiąclecia wiekami?

Ale tu już puszczam wodze fantazji i marzeniom. Dajmy pokój owym chimerom, które czas przemienił dla mnie w straszną rzeczywistość. Powtarzam: opinia publiczna skrystalizowała się ostatecznie i zgodzono się bez sprzeciwu na istnienie straszliwego potwora, nie mającego nic wspólnego z legendarnymi wężami morskimi. Niektórzy widzieli w tym wszystkim jedynie czysto naukowe zagadnienie, które należało rozwiązać, inni natomiast, bardziej praktycznie nastawieni, zwłaszcza w Ameryce i w Anglii, byli zdania, że trzeba oceany od nieznanego potwora uwolnić i zapewnić w ten sposób spokojną komunikację na morzach. Zwłaszcza prasa przemysłowo—handlowa zapatrywała się na całą sprawę z tego właśnie punktu widzenia. W tym duchu pisały też „Shipping and Mercantile Gazette”*, „Lloyd”*, „Paquebot”, „Revue Maritime et Coloniale”* i inne dzienniki publikujące głosy towarzystw ubezpieczeniowych, które groziły już podniesieniem kosztów polis*.

Kiedy więc w ten sposób wypowiedziała się już opinia publiczna, pierwsze wystąpiły Stany Zjednoczone. W Nowym Jorku poczyniono przygotowania do wyprawy, która miałaby ścigać narwala. Szybka fregata, „Abraham Lincoln”, zaopatrzona w ostrogę, sposobiła się do pośpiesznego wypłynięcia na morze. Dowódca jej, kapitan Farragut, uzupełniał gorączkowo uzbrojenie okrętu z arsenałów, które otwarto do jego dyspozycji.

Jak to zwykle bywa w podobnych razach, od chwili kiedy zadecydowano pościg, potwór nie pokazał się więcej. Głucho było o nim przez dwa miesiące. Nie spotkał go żaden statek. Mogło się wydawać, że jednorożec zdaje sobie sprawę ze spisków przygotowanych przeciw niemu. Mówiono o tym tak wiele… nawet przez kabel transatlantycki! Dowcipnisie żartowali też, że chytra bestia przejęła po drodze telegram we własnej sprawie i teraz miała się na baczności. A więc miano już fregatę uzbrojoną i przygotowaną do długiej i dalekiej kampanii, zaopatrzoną w olbrzymiej wielkości przybory rybackie — a nie wiedziano, dokąd ją skierować. Niecierpliwość wzrastała, gdy nagle 2 lipca otrzymano wiadomość, że „Tampico”, parowiec Linii San Francisco, utrzymujący komunikację między Kalifornią a Szanghajem, dostrzegł zwierzę na północnych wodach Pacyfiku przed trzema tygodniami.

Wiadomość wywołała nadzwyczajne wrażenie. Kapitanowi Farragutowi nie udzielono nawet dwudziestu czterech godzin zwłoki. Zapasy żywności były przygotowane; węgla miał

---

* „Shipping and Mercantile Gazette” — „Gazeta Żeglarska i Handlowa” wydawana w Anglii

* „L l o y d ” — pismo wydawane przez angielskie towarzystwo żeglugowo–ubezpieczeniowe o tej samej nazwie, założone w 7727 r. Pismo to informowało o ruchu dalekomorskim okrętów

* „P a q u e b o t ”, „Revue Maritime et Coloniale” — „Okręt Handlowo–Pasażerski”; „Przegląd Morski i Kolonialny” — tytuły francuskich gazet żeglarskich w ubiegłym stuleciu

* polisa — tu dokument wystawiony przez instytucję ubezpieczeniową właścicielowi statku, który opłaca stawkę ubezpieczeniową, uprawniający do korzystania ze świadczeń instytucji w razie zatonięcia lub uszkodzenia statku

pod dostatkiem. Nie brakowało nikogo z załogi. Należało tylko zapalić pod kotłami i ruszyć. Nie wybaczono by mu ani pół doby opóźnienia. Zresztą sam kapitan Farragut palił się do odjazdu.

Na trzy godziny przedtem, zanim „Abraham Lincoln” opuścić miał nabrzeże w Brooklynie, otrzymałem następujący list:

Wielmożny Pan Piotr Aronnax,
Profesor Paryskiego Muzeum Przyrodniczego,
Fifth Avenue–Hotel
Nowy Jork

Szanowny Panie Profesorze!

Gdyby Pan zechciał przyłączyć się do wyprawy „Abrahama Lincolna”, rząd Stanów Zjednoczonych chętnie widziałby Pana jako przedstawiciela Francji w tym przedsięwzięciu. Kapitan Farragut zarezerwował dla Pana kabinę.

Szczerze oddany
J. B. Hobson
sekretarz stanu do Spraw Marynarki

Rozdział III
„Jak pan profesor sobie życzy”

Na trzy sekundy przed otrzymaniem listu od pana J. B. Hobsona myślałem o ściganiu jednorożca akurat tyle, co na przykład o forsowaniu przejścia północno–zachodniego*. W trzy sekundy po przeczytaniu pisma wielce szanownego sekretarza stanu rozumiałem już, że właściwym moim powołaniem, jedynym istotnym celem życia było polowanie na straszliwego potwora i uwolnienie świata od grozy, którą rozsiewał.

Wróciłem właśnie z uciążliwej podróży zmęczony, spragniony wypoczynku. Niczego bardziej nie pragnąłem, jak ujrzeć kraj rodzinny, przyjaciół, moje skromne mieszkanko przy Ogrodzie Zoologicznym i cenne zbiory. Ale nic nie mogło mnie zatrzymać! Zapomniałem w jednej chwili o zmęczeniu, trudach, o przyjaciołach i zbiorach; bez namysłu przyjąłem zaproszenie rządu amerykańskiego.

„Przede wszystkim — myślałem sobie — wszystkie drogi prowadzą do Europy, a jednorożec będzie na pewno tak uprzejmy, że zaciągnie nas ku wybrzeżom Francji. To szlachetne stworzenie da się złapać na wodach europejskich — choćby dla mojej osobistej wygody — i na pewno przywiozę co najmniej półmetrową jego halabardę do Muzeum Przyrodniczego”.

Na razie miałem poszukiwać narwala na północnych wodach Pacyfiku; powrót do Francji byłby możliwy chyba przez wnętrze ziemi.

— Conseil! — krzyknąłem niecierpliwie.

Conseil był moim służącym. Był to szczerze oddany mi chłopak, towarzysz wszystkich moich podróży; dzielny Flamandczyk, z którym lubiliśmy się bardzo, z natury flegmatyk, z zasady pedant, z nawyku gorliwiec; mało zaskakiwały go dziwy życia; był zręczny, chętny do usług i wbrew swemu nazwisku*, nigdy nie udzielał żadnych rad — prawda też, że nie proszono go o to.

Ocierając się o nasz światek uczonych z Ogrodu Zoologicznego, Conseil nauczył się sporo. Był doskonale obkutym specjalistą w sprawach klasyfikacji przyrodniczych, przebiegającym ze swobodą akrobaty całą drabinę typów, gromad, podgromad, rzędów, rodzin, rodzajów, podrodzajów, gatunków i odmian. Wiedza jego zatrzymywała się jednak w tym miejscu. Klasyfikowanie — to było wszystko, nic więcej nie umiał. W teorii klasyfikacji bardzo biegły, w praktyce, przypuszczam, nie odróżniłby kaszalota* od wieloryba! A jednak mimo wszystko był to dzielny i zacny chłopak.

Od dziesięciu już lat towarzyszył mi Conseil wszędzie, dokąd ciągnęła mnie nauka. Nigdy nie zawahał się przed długą czy trudną podróżą. Nie było żadnych sprzeciwów, kiedy przyszło mu pakować walizy dokądkolwiek, choćby do tak odległych krajów, jak Chiny czy Kongo. Zachowywał się wszędzie tak, jak w domu. Był przy tym doskonałego zdrowia; organizm jego kpił sobie z wszelkich chorób; miał tęgie mięśnie, ale nie miał nerwów — ani śladu nerwów — oczywiście w znaczeniu przenośnym. Liczył trzydzieści lat; wiek jego miał się do wieku jego chlebodawcy tak, jak piętnaście do dwudziestu. Proszę mi wybaczyć, że w ten sposób przyznaję się do mojej czterdziestki.

Conseil miał jedną wadę: jako zaciekły formalista, zwracał się do mnie zawsze w trzeciej

---

* przejście północno–zachodnie — albo Cieśnina Banksa. Ciąg cieśnin, kanałów i mórz wewnętrznych u północnych wybrzeży Kanady, łączący bezpośrednio Ocean Lodowaty Północny z Zatoką Baffina, a pośrednio Ocean Atlantycki z Oceanem Spokojnym

* wbrew swemu nazwisku — w języku francuskim conseil znaczy „rada”

* kaszalot — albo olbrotowiec — ssak z rzędu waleni dochodzący do 25 m długości; żyje stadami w Oceanie Spokojnym

osobie*, co mnie już wręcz drażniło.

— Conseil! — powtórzyłem zaczynając drżącymi rękami przygotowywać się do podróży.

Nie miałem wątpliwości, że chłopak jest mi bardzo oddany. Nigdy też nie pytałem go nawet, czy będzie chciał towarzyszyć mi w podróży, czy nie; tym razem jednak chodziło o wyprawę, która mogła trwać niesłychanie długo, o przedsięwzięcie ryzykowne — ściganie zwierzęcia zdolnego strzaskać fregatę jak łupinę orzecha. Było nad czym się zastanowić, nawet dla najbardziej niewzruszonego człowieka na świecie. Jak się zachowa Conseil?

— Conseil! — krzyknąłem po raz trzeci. Conseil ukazał się wreszcie.

— Pan profesor mnie wołał? — zapytał wchodząc.

— Tak, mój kochany. Przygotuj moje rzeczy i swoje. Odjeżdżamy za dwie godziny.

— Jak pan profesor sobie życzy — odparł Conseil spokojnie.

— Ani chwili do stracenia! Wpakuj do walizki moje przybory podróżne, ubranie, koszule, skarpetki, ile zmieścisz, i śpiesz się!

— A zbiory pana profesora? — zauważył Conseil.

— Później się tym zajmiemy.

— Co? A archioteria, hyracotheria, oreodonty, cheropotamy i inne szkielety pana profesora?

— Oddamy na przechowanie w hotelu.

— A babirusa* pana profesora?

— Będą ją żywić w czasie naszej nieobecności. A zresztą każę wyekspediować do Francji całą tę naszą menażerię.

— A więc nie jedziemy do Paryża? — zapytał Conseil.

— Owszem… oczywiście… — odpowiedziałem wymijająco — ale musimy nieco nadłożyć drogi.

— Jak pan profesor sobie życzy.

— To będzie drobiazg! Tyle, że nie bezpośrednia droga. Pojedziemy na „Abrahamie Lincolnie”.

— Jak pan profesor sobie życzy — spokojnie odparł Conseil.

— Widzisz, mój kochany, tu chodzi o potwora… o sławnego narwala… Uwolnimy od niego morze! Czy autor dwutomowego dzieła *in quarto* „Tajemnice głębin morskich” może wykręcić się od podróży okrętem kapitana Farraguta? To zaszczytna misja… i niebezpieczna! Nie wiadomo, dokąd się jedzie. Te potwory miewają dziwne zachcianki! Ale pojedziemy mimo wszystko. Mamy nie byle jakiego kapitana.

— Co pan profesor zrobi, to i ja zrobię — odpowiedział Conseil.

— Namyśl się dobrze! Nie chcę nic przed tobą ukrywać. Z takich podróży nie zawsze się powraca!

— Jak pan profesor sobie życzy.

W kwadrans później nasze walizki były spakowane. Conseil uwinął się błyskawicznie, a mimo to byłem pewien, że nic nie brakuje, bo chłopak klasyfikował koszule i ubrania równie biegle, jak ptaki i ssaki. Windą zjechaliśmy do hallu hotelowego; po kilku stopniach zszedłem na parter. U portiera, gdzie zawsze było tłoczno, uregulowałem rachunek. Poleciłem wysłać do Paryża (Francja) moje paki z owiniętymi w słomę zwierzętami i zasuszonymi roślinami. Kazałem żywić babirusę na mój koszt. Wreszcie razem z Conseilem wskoczyłem do dorożki.

Pojechaliśmy Broadwayem do placu Unii, potem Czwartą Aleją aż do skrzyżowania z ulicą Bowery, wreszcie ulicą Catherine i zatrzymaliśmy się przy Nabrzeżu numer 34. Stamtąd wszystkich nas, to jest ludzi, konie i dorożkę, przewiózł prom do Brooklynu, wielkiej

---

* …zwracał się do mnie w trzeciej osobie — zwykłą formą grzecznościową przy zwracaniu się do kogoś jest w języku francuskim druga osoba liczby mnogiej. Mówienie do kogoś przez trzecią osobę liczby pojedynczej jest wyrazem przesadnego ugrzecznienia

* babirusa — gatunek dzikiej świni żyjący na wyspach Archipelagu Malajskiego

dzielnicy Nowego Jorku położonej na lewym brzegu East–River, i po kilku minutach dojechaliśmy do nabrzeża, przy którym „Abraham Lincoln” buchał kłębami czarnego dymu z obu swych kominów. Natychmiast przeniesiono na okręt nasze bagaże. Wskoczyłem na pokład i zapytałem o kapitana Farraguta. Jeden z marynarzy zaprowadził mnie na tył okrętu, gdzie znalazłem się przed obliczem sympatycznego oficera, który wyciągnął do mnie rękę ze słowami:

— Pan Piotr Aronnax?

— Tak jest — odpowiedziałem. — Kapitan Farragut?

— We własnej osobie. Bardzo mi miło poznać pana profesora. Jest pan pożądanym gościem na pokładzie. Kabina dla pana już czeka.

Przywitałem się, po czym poprosiłem o wskazanie mi przygotowanej kajuty; nie chciałem przeszkadzać kapitanowi w ostatnich chwilach przed odjazdem.

„Abraham Lincoln” został świetnie wybrany i doskonałe przygotowany do swej nowej roli. Była to fregata pośpieszna, wyposażona w nowoczesne przyrządy ogrzewające, które pozwalały na doprowadzenie pary do ciśnienia siedmiu atmosfer.

Pod takim ciśnieniem .„Abraham Lincoln” mógł osiągać szybkość przeciętną osiemnastu i pięciu dziesiątych mili na godzinę, a więc bardzo znaczną, choć niewystarczającą do walki z potworem—wie—lorybem. Wewnętrzne urządzenia fregaty odpowiadały jej zaletom nawigacyjnym. Byłem bardzo zadowolony z mojej kajuty, która położona była w tyle okrętu, tuż obok messy oficerskiej.

— Dobrze nam tu będzie — rzekłem do Conseila.

— Tak dobrze — odparł Conseil — jak, z przeproszeniem pana profesora, rakowi—samotnikowi w skorupie ślimaka trąbika.

Pozostawiłem go przy roztasowywaniu naszych kufrów w kajucie i wyszedłem na pokład, aby przyjrzeć się przygotowaniom do odjazdu. Właśnie kapitan Farragut wydawał rozkazy zwolnienia ostatnich lin przytrzymujących „Abrahama Lincolna” przy brooklyńskim nabrzeżu. Gdybym więc spóźnił się o kwadrans, a może i mniej, fregata odbiłaby beze mnie; nie wziąłbym udziału w tej nadzwyczajnej, niezwykłej wyprawie, której sam opis, choć zgodny z prawdą, spotka się zapewne z powątpiewaniem niejednego niedowiarka.

Kapitan Farragut nie chciał jednak stracić ani dnia, ani nawet jednej godziny, aby jak najśpieszniej wypłynąć na morza, na których ostatnio widziano potwora.

Zawezwał pierwszego inżyniera i spytał go:

— Czy kotły już pod ciśnieniem?

— Tak jest, panie kapitanie — odpowiedział inżynier.

— Go ahead!* — zawołał kapitan.

Na ten rozkaz, przesłany do maszyn za pomocą urządzenia pneumatycznego, mechanicy wprawili w ruch koło napędowe. Para wpadła ze świstem w uchylone otwory suwaków; długie, poziome tłoki stęknęły i popchnęły do przodu łączniki wału korbowego. Ramiona śruby zaczęły coraz szybciej uderzać wodę i „Abraham Lincoln” wypłynął majestatycznie, otoczony setką statków i holowników natłoczonych do ostatniego miejsca odprowadzającymi i ciekawskimi.

Nabrzeża Brooklynu i wszystkie dzielnice Nowego Jorku położone nad East–River roiły się od tłumów. Z pięciuset tysięcy piersi dobyło się trzykrotne „hura!”; tysiące chusteczek powiewało nad tą ściśniętą masą ludzi i odprowadzało „Abrahama Lincolna” aż do rzeki Hudson, do samego cypla wydłużonego półwyspu, na którym leży Nowy Jork.

Potem, po wyminięciu przepięknego prawego brzegu rzeki, całego usianego willami od strony New Jersey, fregata przepłynęła obok fortów, które pożegnały ją wystrzałem ze swoich najcięższych dział. „Abraham Lincoln” odpowiedział trzykrotnym podniesieniem i opuszczeniem na szczyt tylnego masztu bandery amerykańskiej, na której jaśniało trzydzieści

* G o a h e a d ! (ang.) — naprzód!

dziewięć gwiazd*. Wreszcie, zwolniwszy biegu w kanale wewnętrznej zatoki, kończącej się przylądkiem Sandy–Hook, przesunął się wzdłuż owej piaszczystej ławy, na której jeszcze stały tysiączne tłumy żegnające okręt.

Korowód stateczków płynął za fregatą dalej, aż do okrętu–latarni, którego dwa reflektory wskazywały wjazd do bram Nowego Jorku.

Wybiła godzina trzecia. Pilot odpłynął swoją łódką do oczekującej nań pod wiatrem małej żaglóweczki. Dodano pary; śruba zaczęła coraz szybciej bić wodę; fregata minęła jeszcze niskie, żółtawe wybrzeże Long Island* i o godzinie ósmej wieczorem, mając za swą lewą burtą, znikające na północnym zachodzie, światła Fire Island, płynęła już całą siłą pary po ciemnych wodach Atlantyku.

---

* …na której jaśniało trzydzieści dziewięć gwiazd — obecnie na fladze Stanów Zjednoczonych widnieje 50 gwiazd, gdyż od owych czasów ilość stanów wchodzących w skład USA zwiększyła się o 11 (każda gwiazda wyobraża jeden stan)

* Long Island — wyspa, na której położony jest Brooklyn, dawniej odrębne miasto, dziś dzielnica Nowego Jorku

Rozdział IV
Ned Land

Kapitan Farragut był dobrym marynarzem, godnym fregaty, którą dowodził. Stanowił jedną całość ze swym okrętem. Był jego duszą. Co do potwora, to wierzył weń bez zastrzeżeń i nie pozwalał nawet, by na pokładzie dyskutowano na ten temat. Wierzył tak, jak poniektóre kumoszki wierzą w Lewiatana — żarliwością serca, nie rozumem. Potwór żył, on zaś poprzysiągł, że uwolni od niego morza. Był jak rycerz z Rodosu, jak Bożydar z Gozon, idący w bój przeciw gadowi będącemu postrachem wyspy. Albo kapitan Farragut zgładzi narwala, albo narwal — kapitana Farraguta! Innego wyjścia nie ma,

Oficerowie załogi byli tego samego zdania, co ich zwierzchnik. Trzeba było słyszeć, jak rozprawiali, dyskutowali, sprzeczali się, obliczali szansę spotkania. Obserwowali ogromne przestrzenie oceanu. Niejeden brał na ochotnika służbę w bocianim gnieździe, choć kiedy indziej przeklinałby ją jak pańszczyznę. Jak długo słońce przebiegało swą trasę, tak długo wśród olinowania roiło się od marynarzy, jakby im pokład palił stopy. A przecież dziób „Abrahama Lincolna" nie pruł jeszcze podejrzanych wód Pacyfiku.

Reszta załogi niczego więcej nie pragnęła, jak spotkać potwora, złowić go, wciągnąć na pokład i poćwiartować. Wszyscy z wytężoną uwagą obserwowali morze. Kapitan Farragut przyrzekł zresztą nie mniej niż dwa tysiące dolarów za wyśledzenie zwierzęcia, bez względu na to, kto by tego dokonał — chłopiec okrętowy, marynarz czy oficer. Można sobie wyobrazić, jak wytrzeszczano oczy na pokładzie „Abrahama Lincolna".

Jeśli chodzi o mnie, nie pozostawałem w tyle za resztą i nikomu nie pozwoliłbym się zastąpić w obserwacjach widnokręgu. Fregata nasza miałaby święte prawo do nazwy „Argus"*. Jedynie Conseil obojętnością w sprawie, która wszystkich pasjonowała, odbijał wyraźnie od ogólnego entuzjazmu na pokładzie.

Wspomniałem już, że kapitan Farragut starannie zaopatrzył swój okręt w narzędzia, za pomocą których miano złowić gigantycznego narwala. Nawet wielorybniczy statek nie byłby lepiej do tego przystosowany. Mieliśmy wszystkie znane i używane przyrządy, od ręcznego harpuna do kusz wyrzucających kolczaste strzały i karabinów strzelających eksplodującymi kulami. Na przednim pokładzie stało najnowocześniejsze działko, ładowane od tyłu, o specjalnie grubych ściankach i bardzo małym przekroju lufy; model jego powinien się znaleźć na wystawie światowej w 1867 roku. Ta precyzyjna armatka, opatentowana w Ameryce, mogła z łatwością wyrzucać czterokilogramowe stożkowate pociski na średnią odległość szesnastu kilometrów. Na „Abrahamie Lincolnie" nie brakło więc żadnego narzędzia zniszczenia. Ale było tam jeszcze coś lepszego. Był Ned Land, król harpunników.

Ned Land, Kanadyjczyk, miał tak niesłychanie pewną rękę, że nie znał równego sobie w tym niebezpiecznym zawodzie. Posiadał w najwyższym stopniu takie zalety, jak zręczność, zimną krew, odwagę i przebiegłość; niezwykle chytry musiał być wieloryb czy kaszalot, który by uniknął ciosu jego harpuna.

Ned Land miał około czterdziestu lat. Był bardzo wysoki — około sześciu stóp — potężnie zbudowany, poważny, małomówny, niekiedy gwałtowny, a — kiedy go kto rozdrażnił — łatwo wpadający we wściekłość. Zwracał na siebie powszechną uwagę; jego śmiałe wejrzenie podkreślało niezwykły wygląd.

Mam wrażenie, że kapitan Farragut dobrze zrobił przyjmując tego człowieka na pokład. Wart był całej reszty załogi, jeśli chodzi o oko i o ramię. Można by go porównać do potężnego teleskopu, a zarazem do nabitej armaty, gotowej do strzału.

---

* Argus — według legend greckich król Argosu, który miał sto oczu; gdy zasypiał, zamykał tylko pięćdziesiąt, a pozostałe czuwały. Po śmierci stuokiego Argusa bogini Hera ozdobiła jego oczami ogon pawia

Kanadyjczyk to prawie Francuz* i Ned Land, choć nieco odludek, poczuł do mnie sympatię. Widocznie pociągała go moja narodowość. Była to dla niego sposobność do mówienia, a dla mnie — do wsłuchiwania się w ów stary język Rabelais'go*, którym do dziś posługują się mieszkańcy niektórych prowincji kanadyjskich. Rodzina harpunnika pochodziła z Quebecu i była pokoleniem zawołanych rybaków jeszcze w tych czasach, kiedy miasto to należało do Francji.

Z wolna zasmakował Ned w rozmowie, ja zaś lubiłem jego opowiadania o przygodach na wodach polarnych. W tych opowieściach o połowach i walkach dużo było prawdziwej poezji. Dzięki ich epickiej formie* miałem wrażenie, że to jakiś kanadyjski Homer śpiewa swą „Iliadę" okolic podbiegunowych.

Opisuję tego dzielnego towarzysza przygód takim, jakim go znam obecnie. Staliśmy się bowiem starymi druhami, a połączyła nas ta niezmienna przyjaźń, która rodzi się i cementuje tylko w najtrudniejszych okolicznościach życiowych. Kochany, dzielny Nedzie! Chciałbym żyć choćby sto lat jeszcze, aby cię móc jak najdłużej wspominać!

Jakże Ned Land zapatrywał się na sprawę naszego potwora? Otóż muszę przyznać, że ani trochę nie wierzył w owego jednorożca; jeden jedyny na całym okręcie nie dzielił powszechnego przekonania. Unikał nawet poruszania tego tematu, więc przyrzekłem sobie, że go pewnego dnia przycisnę do muru.

W trzy tygodnie po naszym wyjeździe, 30 lipca, w przepiękny wieczór, nasza fregata znajdowała się na wysokości Białej Zatoki o trzydzieści mil na podwietrznej od wybrzeży patagońskich. Minęliśmy już zwrotnik Koziorożca; o siedemset mil na południe otwierała się przed nami Cieśnina Magellana. Za niecały tydzień „Abraham Lincoln" pruć będzie już fale Pacyfiku*.

Siedzieliśmy z Nedem Landem na rufie okrętu i rozmawialiśmy o tym i owym, rzucając okiem na tajemnicze morze, którego głębiny pozostały do dziś niedostępne dla oka ludzkiego. Oczywiście skierowałem rozmowę na temat olbrzymiego jednorożca i rozważałem szansę powodzenia lub niepowodzenia naszej wyprawy. Widząc jednak, że Ned pozwala mi mówić, sam zaś mało się odzywa, zapytałem wprost:

— Dlaczego, Ned, nie wierzycie w istnienie tego wieloryba, którego ścigamy? Czy macie jakieś szczególne do tego powody?

Harpunnik, zanim odpowiedział, przyjrzał mi się uważnie, swym zwykłym odruchowym gestem uderzył się dłonią w szerokie czoło, przymknął oczy, jakby dla zebrania myśli, i rzekł:

— Być może, panie Aronnax.

— Jak to, Ned? Sądziłem, że wy jako zawodowy wielorybnik, który zna dobrze olbrzymie ssaki morskie, którego wyobraźnia mogłaby łatwo zgodzić się na hipotezę kolosalnego wieloryba, powinniście być pierwszym, który uwierzy!

— Tu właśnie pan nie ma racji, panie profesorze — odparł Ned. — Jeżeli zwykły człowiek wierzy w nadzwyczajne komety przebiegające przestrzeń albo w istnienie przedpotopowych potworów zamieszkujących wnętrze kuli ziemskiej, to jeszcze pół biedy; ale ani astronom, ani geolog nie zgodzi się z takimi bzdurami. Tak samo wielorybnik. Ścigałem moc wielorybów,

---

* Kanadyjczyk to prawie Francuz — część Kanady obejmująca dzisiejsze prowincje Quebec i Ontario została skolonizowana przez Francuzów i od 1534 do 1763 r. należała do Francji jako tzw. Kanada Francuska. Obecnie Kanada wchodzi w skład Wspólnoty Brytyjskiej, ale w znacznej jej części zachował się do dziś język francuski

* język R a b e l a i s 'go — wielki pisarz francuski Franciszek Rabelais, autor słynnych „Przygód Gargantui i Pantagruela", żył w XVI w. Od czasów Rabelais'go język francuski uległ poważnym przeobrażeniom, ale w Kanadzie, skolonizowanej przez Francuzów właśnie w w. XVI, zachował wiele archaicznych cech tej epoki

* epicka forma — forma artystyczna dłuższego utworu poetyckiego, którego treścią jest opis pewnych wydarzeń

* Za niecały tydzień „Abraham Lincoln" pruć będzie już fale Pacyfiku — w epoce, w której toczy się akcja powieści, okręty udające się z Nowego Jorku na Ocean Spokojny musiały opływać dookoła Amerykę Południową. Droga ta została poważnie skrócona dopiero od 1914 r., kiedy przekopano Kanał Panamski, łączący Atlantyk z Pacyfikiem

złowiłem harpunem całe mnóstwo, zabiłem niejednego; jednak żeby nie wiem jak były potężne, nie mogłyby ani ogonem, ani kłem przedziurawić żelaznej blachy kadłuba parowca.

— A przecież znane są statki, które ząb narwala przebił na wylot.

— Statki z drzewa — odparł Kanadyjczyk — to możliwe, ale i takiego nigdy nie widziałem na własne oczy. Dopóki ktoś mi tego nie dowiedzie, będę twierdził, że ani wieloryby, ani kaszaloty, ani jednorożce nie mogą zrobić nic podobnego.

— Słuchajcie, Ned…

— Nie, nie, panie profesorze, nie… Wszystko, tylko nie to. Może olbrzymia ośmiornica?

— Ale skąd?… Ośmiornica, Nedzie, jest przecież mięczakiem, a już to samo znaczy, że jej ciało nie może być tak twarde. Gdyby nawet miała pięćset stóp długości, to — nie należąc do działu kręgowców — jeszcze byłaby niegroźna dla takich okrętów, jak „Szkocja” czy „Abraham Lincoln”. Wszystkie cudeńka, zdziałane przez krakeny i inne potwory tego rodzaju, należy uznać za bajki.

— A więc, proszę pana przyrodnika — rzekł Ned Land z lekka szyderczym tonem — upiera się pan przy olbrzymim wielorybie?

— Tak jest, Ned, powtarzam wam to z przekonaniem, które opiera się na logice faktów. Wierzę, że istnieje ssak o potężnym organizmie, należący do działu kręgowych, jak wieloryb, kaszalot czy delfin, uzbrojony w rogowy kieł o wielkiej sile przebijania.

— Mhm — mruknął wielorybnik potrząsając głową jak człowiek, który nie chce się dać przekonać.

— Zauważcie, Ned — ciągnąłem dalej — że jeśli takie stworzenie istnieje, jeśli mieszka w głębinach wód i pływa w warstwach położonych o kilka mil pod powierzchnią oceanu, to musi mieć organizm bez porównania silniejszy niż wszelkie dotąd znane nam stworzenia.

— A po cóż by mu to było potrzebne? — zapytał Ned.

— Dlatego, że trzeba niesłychanej mocy, aby utrzymać się w głębokich warstwach i wytrzymać ciśnienie wody.

— Na pewno?… — Ned niedowierzająco przymrużył oko.

— Na pewno. Wystarczy kilka liczb, aby tego dowieść.

— Och! Zaraz liczby! — rzekł Ned. — Z liczbami można zrobić, co się zechce!

— To w interesach, Ned, ale nie w matematyce. Posłuchajcie no. Wyobraźmy sobie ciśnienie jednej atmosfery przez ciśnienie słupa wodnego o wysokości trzydziestu dwóch stóp. Właściwie słup ten będzie nieco niższy, ponieważ chodzi o wodę morską, która jest gęstsza od słodkiej. Otóż, Ned, jeśli się zanurzycie, to wasze ciało musi wytrzymać ciśnienie tyle razy większe od jednej atmosfery, a więc od ciśnienia jednego kilograma na każdy centymetr powierzchni, ile razy po trzydzieści dwie stopy ma warstwa wody nad wami. Zatem na głębokości trzystu dwudziestu stóp ciśnienie wynosi dziesięć atmosfer, na głębokości trzech tysięcy dwustu stóp — sto atmosfer, a na głębokości trzydziestu dwóch tysięcy stóp, a więc około dwóch i pół mili — tysiąc atmosfer. To wszystko oznacza, że gdybyście mogli osiągnąć tę głębokość zanurzenia, to każdy centymetr kwadratowy waszego ciała podlegałby ciśnieniu tysiąca kilogramów. A czy wiecie, kochany Nedzie, ile macie centymetrów kwadratowych powierzchni?

— Nie mam najmniejszego pojęcia, panie profesorze.

— Około siedemnastu tysięcy.

— Aż tyle?

— Tyle. Ponieważ zaś ciśnienie atmosferyczne jest w rzeczywistości trochę wyższe niż ciśnienie masy jednego kilograma na centymetr kwadratowy, więc wasze siedemnaście tysięcy centymetrów kwadratowych wytrzymują w tej chwili ciśnienie siedemnastu tysięcy pięciuset sześćdziesięciu ośmiu kilogramów.

— I jakoś nic tego nie czuję?

— Nic nie czujecie. Jeżeli jednak nie jesteście zgnieceni tak wielkim ciśnieniem, to

dlatego, że powietrze, przenikające wasze ciało, ma ciśnienie identyczne. A więc parcie wewnętrzne i zewnętrzne znajdują się w doskonałej równowadze, neutralizują się wzajemnie; dlatego wytrzymujecie to ciśnienie bez trudu. W wodzie jednak jest zupełnie inaczej.

— Rozumiem — rzekł Ned, który zaczął słuchać uważniej — ponieważ woda tylko mnie otacza, a nie przenika.

— Doskonale. A zatem na głębokości trzydziestu dwóch stóp pod powierzchnią wody będziecie podlegać ciśnieniu siedemnastu tysięcy pięciuset sześćdziesięciu ośmiu kilogramów; na głębokości trzystu dwudziestu stóp ciśnienie będzie dziesięć razy większe, a więc wyniesie sto siedemdziesiąt pięć tysięcy sześćset osiemdziesiąt kilogramów; na głębokości trzech tysięcy dwustu stóp — sto razy więcej, a więc milion siedemset pięćdziesiąt sześć tysięcy osiemset kilogramów; wreszcie na głębokości trzydziestu dwóch tysięcy stóp — tysiąc razy więcej, czyli siedemnaście milionów pięćset sześćdziesiąt osiem tysięcy kilogramów. Zostalibyście zgnieceni, spłaszczeni, jakby was wyciągnięto spomiędzy przycisków prasy hydraulicznej!

— Oj, do diabła!… — mruknął Ned.

— A więc, mój kochany harpunniku, jeśli na podobnych głębokościach żyją kręgowce długie na kilkaset metrów i odpowiednio grube, czyli o powierzchni milionów centymetrów kwadratowych, to ciśnienie, jakiemu podlegają, należałoby ocenić na miliardy kilogramów. Wyobraźcie sobie teraz, jaka musi być wytrzymałość ich szkieletu i jakie potężne organizmy, aby dać opór takiemu ciśnieniu!

— Musiałyby chyba być zrobione z ośmiocalowych blach, jak pancerne fregaty — odpowiedział Ned Land.

— No, więc widzicie. Pomyślcie teraz, jakich zniszczeń może dokonać taka masa, ciśnięta o kadłub statku z szybkością ekspresu.

— No, tak… rzeczywiście… możliwe… — bąknął Kanadyjczyk, oszołomiony cyframi, ale jeszcze nie pobity.

— A więc, widzicie, chyba was przekonałem?

— Przekonał mnie pan tylko co do tego, panie profesorze, że — jeśli w głębinach wód takie zwierzęta istnieją — to muszą być rzeczywiście tak potężne, jak pan mówi.

— A jeśli nie istnieją w ogóle, uparciuchu, to jak wytłumaczycie wypadek „Szkocji”?

— Może to… — wahał się Ned.

— No, co?

— …wszystko tylko nieprawda? — zakończył Kanadyjczyk przytaczając bezwiednie słynną odpowiedź Franciszka Arago*.

Ale takie sformułowanie dowodziło jedynie uporu harpunnika. Tego dnia nie nalegałem już więcej. Wypadek „Szkocji” zdarzył się na pewno. Dziura była, ponieważ musiano ją łatać, i nie przypuszczam, aby istnienie jakiejkolwiek dziury było bardziej kategorycznie dowiedzione. Zatem, ponieważ dziura nie zrobiła się sama i ponieważ nie spowodowały jej skały podwodne, musiało to uczynić zwierzę zaopatrzone w dziurawiące narzędzie.

Dalej, moim zdaniem, a także dla wszystkich powodów uprzednio wyłuszczonych, zwierzę to należy do działu kręgowców, do gromady ssaków, do grupy rybokształtnych i wreszcie do rzędu wielorybów. Co do tego, do jakiej należy rodziny (a więc wielorybów właściwych, kaszalotów czy delfinów), jakiego jest rodzaju i do jakiego gatunku należy je zaliczyć, wyjaśni dopiero przyszłość. Aby rozstrzygnąć te pytania, trzeba było przeprowadzić sekcję potwora, aby móc zrobić sekcję, trzeba go było złapać, aby złapać — należało ugodzić harpunem (co już było rzeczą Neda Landa), aby trafić harpunem, trzeba było go zobaczyć (to było rzeczą całej załogi), no i — aby go zobaczyć, należało go w ogóle spotkać, co już było rzeczą przypadku.

---

* Arago Dominique–François (1786–1853) — słynny francuski uczony, fizyk i astronom

Rozdział V
Po omacku

W podróży „Abrahama Lincolna” nie wydarzyło się przez pewien czas nic szczególnego. Jednakowoż Ned Land miał sposobność do wykazania swej cudownej zręczności; przekonano się, jak wielkie zaufanie można było w nim pokładać.

Na wysokości Wysp Falklandzkich* fregata nasza napotkała 30 czerwca flotyllę amerykańskich statków wielorybniczych; dowiedzieliśmy się wtedy, że ich załoga nic nie słyszała o narwalu. Jednak kapitan statku „Monroe” wiedząc, że na pokładzie „Abrahama Lincolna” znajduje się Ned Land, poprosił go o pomoc w złowieniu wieloryba, którego właśnie mieli na oku. Kapitan Farragut, ciekawy roboty Neda, pozwolił mu przesiąść się na pokład „Monroego”. Kanadyjczykowi szczęście tak dopisało, że zamiast jednego wieloryba upolował dwa naraz, trafiając pierwszego prosto w serce, drugiego zaś dobijając po kilku minutach pogoni!

Przyznam szczerze, że jeśli kiedykolwiek potwór nasz stanie oko w oko z Nedem Landem, to za nic na świecie nie stawiałbym na potwora.

Fregata płynęła dalej z wielką szybkością wzdłuż południowo–wschodniego wybrzeża Ameryki. 3 lipca zbliżaliśmy się do Cieśniny Magellana, na wysokości Przylądka Dziewic. Kapitan Farragut nie chciał jednak zapuszczać się w kręty przesmyk i wolał opłynąć dookoła przylądek Horn.

Cała załoga przyznała mu jednomyślnie słuszność. Nie było przecież możliwe spotkanie narwala w tej wąskiej cieśninie! Wielu marynarzy utrzymywało nawet, że potwór nie przecisnąłby się tamtędy, gdyż „jest na to za gruby”!

6 lipca około godziny piętnastej „Abraham Lincoln” opłynął o piętnaście mil na południe ów blok skalny zagubiony na krańcach kontynentu amerykańskiego, ową samotną wyspę, której marynarze holenderscy nadali nazwę rodzinnego swego miasta Horn. Zmieniono kurs na północno—zachodni i nazajutrz śruba fregaty rozbijała wreszcie wody Oceanu Spokojnego.

— Czuj duch! Uwaga! — powtarzali marynarze „Abrahama Lincolna”.

Czuwał jednak nie tylko duch, ale i oczy, i lornety, co prawda olśnione widokami dwóch tysięcy dolarów nagrody. Dzień i noc obserwowano powierzchnię morza; właściciele kocich oczu mieli poważne szansę zdobycia nagrody, jako że zdolność widzenia w ciemnościach z miejsca zwiększała ich możliwości o pięćdziesiąt procent.

Co do mnie, to, choć nie nęciły mnie pieniądze, nie dawałem się wyprzedzić nikomu. Poświęcałem kilka minut dziennie na posiłki, kilka godzin na spanie, poza tym zaś w deszcz czy spiekotę nie schodziłem z pokładu; z przedniego pomostu czy z tylnego, przechylony przez balustradę, wpatrywałem się w bezmierne przestrzenie morza, pokryte jak okiem sięgnąć wełnistymi bruzdami. Ileż razy dzieliłem emocję oficerów i załogi, kiedy ponad powierzchnię wody wychylał się czasem czarniawy grzbiet wieloryba! Pokład fregaty w mgnieniu oka zapełniał się tłumem marynarzy i oficerów. Każdy z drżeniem serca, wstrzymując oddech, obserwował płynące zwierzę. Patrzyłem i ja, aż” do zmęczenia oczu, aż do chwili kiedy zaczynały zachodzić mgłą, a tymczasem flegmatyczny Conseil powtarzał spokojnie:

— Gdyby pan profesor był tak łaskaw mniej wytrzeszczać oczy, na pewno widziałby pan profesor dużo lepiej!

Ale daremne były te wszystkie emocje! „Abraham Lincoln” zmieniał kurs, ścigał dojrzane

---

* Wyspy Falklandzkie — archipelag na Oceanie Atlantyckim złożony z 2/wysp zamieszkałych i ok. 100 wysepek bezludnych, znajdujący się o 500 km na wschód od Cieśniny Magellana

zwierzę i doganiał zwykłego wieloryba lub kaszalota, który znikał wkrótce wśród przekleństw i złorzeczeń załogi.

Na szczęście utrzymywała się pogoda. Mieliśmy doskonałe warunki do podróży. Była to wprawdzie najgorsza pora roku na południowej półkuli, bo lipiec w tej strefie odpowiada europejskiemu styczniowi, a jednak morze pozostawało łagodne i łatwe do obserwacji w bardzo dużym promieniu.

Najupartszą niewiarę okazywał nadal Ned Land; udawał nawet, że wcale nie obserwuje morza poza godzinami swej służby, a przynajmniej kiedy nie było w pobliżu żadnego wieloryba. A przecież jego nadzwyczajnie bystry wzrok mógł oddać znaczną przysługę sprawie. Uparty Kanadyjczyk spędzał jednak dwie trzecie swego czasu na czytaniu lub spaniu w swej kabinie. Wytykałem mu tę obojętność chyba ze sto razy.

— Phi! Nic tam nie ma, panie Aronnax — odpowiadał wtedy. — A gdyby nawet i było jakieś zwierzę, to czy mamy szansę dojrzenia go? Czy nie płyniemy po omacku? Podobno widziano tego nieuchwytnego bydlaka na pełnym oceanie — na Pacyfiku. Przypuśćmy; ale od tego spotkania upłynęły już dwa miesiące, a znając temperament pańskiego narwala, wiemy, że nie bardzo on lubi zasiedzieć się w jednej okolicy. Ma przecież szaloną łatwość błyskawicznego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Pan profesor na pewno lepiej ode mnie wie, że natura nie robi głupstw, więc nie wyposażałaby bestii w podobną szybkość, gdyby jej się to nie miało na coś przydać. A zatem, jeśli nawet bydlę istnieje, to jest już daleko stąd!

Na to nie znajdowałem żadnej odpowiedzi. Rzeczywiście płynęliśmy po omacku. Ale cóż nam pozostawało? Istotnie, szansę mieliśmy znikome. A jednak nikt nie wątpił w powodzenie wyprawy i nikt na całym okręcie nie założyłby się przeciwko temu, że narwal istnieje i że go wkrótce ujrzymy.

20 lipca przecięliśmy zwrotnik Koziorożca pod 105° długości, a 27 tego miesiąca pod 110° długości przekroczyliśmy równik. Po ustaleniu tego położenia fregata wzięła kurs bardziej na zachód wypływając na centralne wody Pacyfiku. Kapitan Farragut rozumował słusznie, że lepiej będzie trzymać się większych głębin, oddalając się od lądów i wysp, od których i narwal zdawał się trzymać z daleka, „na pewno dlatego, że tam by mu wody nie starczyło”, jak mawiał szef załogi. Fregata uzupełniła zapas węgla, minęła wyspy Paumotu, Markizy, Hawaje, przecięła zwrotnik Raka pod 132° długości i skierowała się ku wodom chińskim.

Nareszcie byliśmy więc w stronach, gdzie odbyły się ostatnie figle potwora! Na okręcie wszelkie życie właściwie zamarło; serca łomotały chorobliwie, przygotowując grunt do przyszłych nieuleczalnych anewryzmów; cała załoga trwała w nieustannym nerwowym podnieceniu, którego nawet nie próbuję opisać; przestano jeść, przestano spać. Dwadzieścia razy dziennie doznawaliśmy nieznośnych zawodów wskutek fałszywego alarmu czy złudzenia optycznego któregoś z wiszących na rejach marynarzy; te emocje, powtarzane po dwadzieścia razy, utrzymywały nas w stanie takiego napięcia, że należało się spodziewać gwałtownej reakcji.

Nie dała też ona długo czekać na siebie. Przez trzy miesiące, w czasie których każdy dzień wydawał się wiekiem, „Abraham Lincoln” pruł wody północnego Pacyfiku we wszystkich kierunkach, ścigając zauważone wieloryby, zbaczając z drogi, zawracając nagle od jednego brzegu do drugiego, przystając, dodając pary lub nagłe dając parę wsteczną, ryzykując całość własnych maszyn; od Wysp Japońskich aż po wybrzeża Ameryki nie było chyba punktu, którego by nie zbadał. I nic! Nic, tylko ten ogrom pustych wód! Nic, co by przypominało gigantycznego narwala lub wysepkę podwodną, lub olbrzymi wrak, lub uciekającą skałę, lub cokolwiek nadprzyrodzonego!

Nadeszła więc reakcja. Zniechęcenie opanowało umysły torując przystęp zwątpieniu. Na pokładzie zapanowało nowe uczucie, złożone z trzech dziesiątych wstydu i siedmiu dziesiątych wściekłości. Wszyscy wstydzili się, że się dali zwieść chimerze, ale nad wstydem

górowała wściekłość! Wszystkie gromadzone od roku argumenty posypały się naraz; każdy myślał już tylko o tym, żeby odbić sobie godziny posiłków i snu, które poprzednio tak głupio marnował.

Z charakterystyczną dla umysłu ludzkiego zmiennością popadli wszyscy z jednej przesady w drugą. Najgorętsi zwolennicy wyprawy krytykowali ją teraz najżarliwiej. Reakcja ogarnęła cały okręt, od palaczy maszynowni do messy oficerskiej, i gdyby nie szczególny upór kapitana Farraguta, fregata niewątpliwie zawróciłaby na południe.

Te bezowocne poszukiwania nie mogły się jednak przedłużać w nieskończoność. „Abraham Lincoln" zrobił wszystko, co do niego należało. Nie można mu było nic zarzucić. Nigdy załoga amerykańskiego okrętu nie wykazała tyle cierpliwości i gorliwości; nie jej należało przypisywać winę niepowodzenia. Po prostu trzeba było wracać.

W tym też duchu zwrócono się do kapitana. Kapitan się sprzeciwił. Marynarze nie ukrywali niezadowolenia, więc i służba na tym ucierpiała. Nie było oczywiście mowy o buncie na pokładzie, ale sytuacja przybrała taki obrót, że po długim oporze kapitan Farragut zażądał, jak niegdyś Krzysztof Kolumb, trzech dni cierpliwości. Jeśli w ciągu trzech dni potwór się nie ukaże, sternik przerzuci trzykrotnie szprychy koła i „Abraham Lincoln" weźmie kurs na wody europejskie.

Obietnica ta miała miejsce 2 listopada. Jako pierwszy jej skutek dało się odczuć ożywienie w nastrojach załogi. Znowu zaczęto pilnie obserwować ocean. Każdy chciał ostatnim rzutem oka utrwalić w sobie wspomnienia z tej wyprawy. Lornety przechodziły gorączkowo z rąk do rąk. Było to jakby ostatnie wyzwanie rzucone olbrzymiemu narwalowi i właściwie nie powinien on był wymigać się teraz od „stawiennictwa".

Minęły dwa dni. „Abraham Lincoln" krążył pod małą parą. Użyto jeszcze tysiąca sposobów przyciągnięcia uwagi czy pobudzenia czujności zwierzęcia, gdyby się go spotkało w tych okolicach mórz. Założono olbrzymie połcie słoniny na przynętę, co prawda ku największej uciesze rekinów. W czasie gdy „Abraham Lincoln" naprawiał drobne uszkodzenia, we wszystkich kierunkach buszowały szalupy nie pozostawiając ani kawałka nie zbadanego morza. Ale nadszedł wieczór 4 listopada, a podmorska tajemnica nie została wyjaśniona.

Nazajutrz, 5 listopada, upływał termin ostateczny. Po stwierdzeniu położenia geograficznego kapitan Farragut miał, zgodnie z przyrzeczeniem, zmienić kurs na południowo—wschodni i ostatecznie opuścić wody północnego Pacyfiku.

Fregata znajdowała się wtedy pod 31° 15' szerokości północnej i pod 136° 42' długości wschodniej. O dziewięćdziesiąt mil od nas na podwietrznej znajdowały się wybrzeża Japonii. Nadchodziła noc. Wybiła godzina ósma. Grube chmury zakrywały księżyc w pierwszej kwadrze. Morze falowało z lekka, omywając boki fregaty.

Stałem właśnie oparty o balustradę, nad prawą burtą okrętu. Obok mnie stał Conseil patrząc przed siebie. Ludzie z załogi, pouwieszani wśród olinowania, badali horyzont, który coraz to zacieśniał się i ciemniał. Oficerowie, uzbrojeni w nocne lornety, przeszukiwali zapadającą ciemność. Niekiedy ocean jaśniał na chwilę od księżycowego promienia, który zdołał się czasem przedrzeć pomiędzy dwiema chmurami. Wkrótce jednak wszystko znowu zatapiało się w mroku.

Obserwując Conseila doszedłem do przekonania, że dzielny chłopak uległ jednak trochę wpływowi ogólnego nastroju. Tak mi się przynajmniej wydawało. Może po raz pierwszy jego nerwy poruszyło jakieś uczucie ciekawości.

— No, Conseil — powiedziałem — masz ostatnią okazję zagarnięcia dwóch tysięcy dolarów.

— Niech pan profesor pozwoli sobie powiedzieć — odparł Conseil — że nie liczyłem na tę nagrodę; rząd Stanów Zjednoczonych mógłby równie dobrze obiecać sto tysięcy dolarów i też by na tym nie stracił.

— Masz rację, Conseil. To właśnie głupia sprawa i wpakowaliśmy się w nią zbyt lekkomyślnie. Tyle zmarnowanego czasu! I tyle niepotrzebnych wzruszeń! Od pół roku bylibyśmy we Francji…

— W mieszkanku pana profesora — dodał Conseil — i w muzeum pana profesora! I już bym dawno sklasyfikował szkielety pana profesora! I babirusa pana profesora dawno już siedziałaby w klatce w Ogrodzie Zoologicznym i przyciągałaby tłumy gapiów!

— Tak, tak, Conseil. A jeszcze nie liczę, ile się z nas naśmieją…

— Owszem — odpowiedział Conseil spokojnie — myślę, że się będą naśmiewać z pana profesora. Ale… czy mam mówić dalej?

— Mów, mów, Conseil.

— …Właściwie pan profesor będzie miał to, na co zasługuje!

— Naprawdę?!

— Tak. Jak się ma zaszczyt być tak uczonym, jak pan profesor, to się człowiek nie naraża…

Conseil nie dokończył swego komplementu. W ciszy dało się nagle słyszeć wołanie. Poznałem głos Neda Landa, który krzyczał:

— Uwaga! Mamy go! Tam, tam, na podwietrznej, płynie w poprzek naszego kursu!

Rozdział VI
Cała naprzód!

Na ten okrzyk wszyscy rzucili się w kierunku harpunnika: kapitan, oficerowie, podoficerowie, marynarze i chłopcy okrętowi; nawet inżynierowie i mechanicy odbiegli od maszyn, nawet palacze porzucili kotły. Na wydany rozkaz „stać!” fregata posuwała się już tylko siłą rozpędu.

Panowała głęboka ciemność i jakkolwiek wiedziałem, że Kanadyjczyk ma dobre oczy, zadawałem sobie pytanie, w jaki sposób mógł w ogóle coś dojrzeć i co takiego zobaczył. Serce biło mi gwałtownie.

Ned Land jednak nie omylił się i wszyscy ujrzeliśmy przedmiot, ku któremu wyciągnął teraz rękę.

O dwa kable* od prawej burty „Abrahama Lincolna” morze wydawało się jak gdyby oświetlone od dołu. Nie było to na pewno zwykłe zjawisko fosforescencji; nie sposób się było pomylić pod tym względem. Potwór, zanurzony na kilka sążni pod powierzchnią morza, świecił tym samym, mocnym i niezrozumiałym blaskiem, o którym wspominały raporty licznych kapitanów. Jakieś bardzo potężne źródło energii musiało dawać tak wspaniałe promieniowanie. Światło to zakreślało na morzu olbrzymi, bardzo wydłużony owal, w środku którego jaśniało samo ognisko; ono to rzucało ów oślepiający blask, który jednak z wolna przygasał.

— To tylko nagromadzenie fosforyzujących molekuł! — zawołał jeden z oficerów.

— Nie, proszę pana — odezwałem się z przekonaniem. — Żadne mięczaki ani wiciowce nie wydają tak silnego blasku. To światło jest bezwzględnie natury elektrycznej… A zresztą niech pan patrzy! Rusza się! O’ Posuwa się do przodu! Do tyłu! O! Idzie na nas!!!

Na—fregacie podniósł się krzyk.

— Cisza! — rozkazał kapitan Farragut. — Kierunek pod wiatr! Całą wstecz!

Marynarze rzucili się do steru, mechanicy do maszyn. Dano natychmiast kontrparę i „Abraham Lincoln” zatoczył półkole od tyłu, na lewą burtę.

— Ster prawo na burt! Całą naprzód! — rozkazał kapitan. Kiedy wykonano te polecenia, fregata błyskawicznie oddaliła się od źródła światła.

Właściwie nie: chciała się oddalić, ale tajemnicze stworzenie zbliżało się do niej ze zdwojoną szybkością.

Powstrzymaliśmy oddech. Zdumienie silniejsze niż obawa odebrało nam mowę; staliśmy nieruchomo. Zwierzę goniło nas jakby dla zabawy. Okrążyło pędzącą z szybkością czternastu węzłów fregatę, obrzucając ją swym blaskiem elektrycznym jak świetlnym pyłem. Potem oddaliło się o dwie lub trzy mile, pozostawiając za sobą fosforyzującą smugę, jak lokomotywa ekspresu pozostawia na swej drodze kłęby pary. Nagle z samych krańców horyzontu potwór z błyskawiczną szybkością runął ku „Abrahamowi Lincolnowi”, zatrzymał się jak wryty o dwadzieścia stóp od burty statku i nagle zgasł — jednak nie zanurzając się pod wodę, bo światło nie przygasało stopniowo, lecz z nagła, jak gdyby wyczerpało się w jednej chwili jego źródło. A potem ukazał się z drugiej strony fregaty i nie wiadomo było, czy okrążył ją, czy też przepłynął pod nią. W każdej chwili groziło nam zderzenie, które przecież skończyłoby się dla nas fatalnie.

Manewry fregaty dziwiły mnie jednak. Nie atakowała, lecz uciekała. Ona, która miała ścigać potwora, sama był ścigana! Zwróciłem na to uwagę kapitanowi. Twarz jego, zwykle tak spokojna, zdradzała niezwykłe zdumienie.

— Panie profesorze Aronnax — odpowiedział — nie mam pojęcia, z jakim diabelnym

---

* kabel — tu: żeglarska jednostka miary długości, równa ok. 185 m

stworzeniem mam do czynienia, a nie chcę przecież być nieostrożny i narażać mojej fregaty w takich ciemnościach. A poza tym, jakże mam atakować coś, czego nie znam? Jak mam się ewentualnie bronić? Przeczekamy tę noc, a potem role się zmienią.

— Więc już teraz pan nie wątpi, panie kapitanie, w istnienie narwala?

— Nie, panie profesorze. To na pewno olbrzymi narwal, i to elektryczny!

— Bardzo możliwe — dodałem — że nie sposób się do niego zbliżyć jak do rai albo drętwy.

— Tak — odparł kapitan — a jeśli rzeczywiście ma on tę moc rażenia prądem, to jest najstraszliwszym zwierzęciem, jakie wyszło spod ręki Stwórcy. Dlatego też, panie profesorze, będę się miał na baczności.

Nikt z załogi nie spał tej nocy. Nikt nawet o tym nie pomyślał. Nie mogąc się zmierzyć z szybkością potwora, „Abraham Lincoln" zwolnił biegu i posuwał się małą parą. Narwal ze swej strony jakby naśladował fregatę i pozwalał się kołysać falom; wydawało się; że nie ma zamiaru opuścić pola bitwy.

Około północy znikł jednak albo — ściślej mówiąc — „zgasł" jak ogromny świetlik. Czy uciekł? Raczej się tego obawiano, nie było to po myśli ścigających. Ale na siedem minut przed pierwszą w nocy usłyszano ogłuszający gwizd, przypominający świst strumienia wody wyrzucanego bardzo gwałtownie. Staliśmy właśnie na tylnym pokładzie, kapitan Farragut, Ned Land i ja, usiłując daremnie przebić wzrokiem głębokie ciemności.

— Ned Land — zapytał kapitan — czy często słyszeliście, jak wieloryby ryczą?

— Często, panie kapitanie, ale nigdy jeszcze nie słyszałem wieloryba, którego zobaczenie przyniosłoby mi dwa tysiące dolarów.

— Tak, tak, macie prawo do nagrody. Ale powiedzcie jeszcze, czy ten świst nie przypomina wam odgłosu, jaki wydają wieloryby wyrzucając wodę przez nozdrza?

— Owszem, panie kapitanie, ale jest bez porównania silniejszy. Teraz już nie można wątpić: to wieloryb siedzi w naszym morzu. Jeżeli pan kapitan pozwoli — dodał harpunnik — zaraz o świcie szepniemy mu słóweczko…

— Jeśli mu się spodoba posłuchać, mistrzu Land — wtrąciłem bez wielkiego przekonania.

— Niech mi się tylko uda zbliżyć do niego na cztery długości harpuna — odparł Kanadyjczyk — już on mnie posłucha!

— Ależ żebyście się mogli do niego zbliżyć — ciągnął dalej kapitan — musiałbym wam dać do dyspozycji łódź wielorybniczą?…

— Oczywiście, panie kapitanie.

— Będzie to narażenie życia moich ludzi…

— Mojego także! — uciął harpunnik.

Około drugiej w nocy światło ukazało się znowu, równie silne, na nawietrznej „Abrahama Lincolna", w odległości około dwóch mil od niego. Pomimo odległości, pomimo huku wiatru i morza, można było wyraźnie dosłyszeć silne uderzenie ogonem, a nawet potężny oddech zwierzęcia. Wydawało się, że w chwilach kiedy potworny narwal wypływa na powierzchnię morza dla zaczerpnięcia oddechu, powietrze wali do jego płuc jak para do ogromnych cylindrów maszyny o mocy dwóch tysięcy koni.

— Hm… — zastanawiałem się — to ci dopiero ładny wieloryb, co ma siłę pułku kawalerii!

Czuwaliśmy aż do świtu, przygotowując się do walki. Wzdłuż parapetów rozwieszono i porozkładano przybory i narzędzia rybackie. Pierwszy oficer kazał nabić owe kusze wyrzucające harpun na odległość mili i długie karabiny ładowane eksplodującymi kulami; rana zadana nimi jest śmiertelna nawet dla najpotężniejszych zwierząt. Ned Land przygotował tylko swój harpun, broń straszliwą w jego rękach.

O szóstej nad ranem zaczęło świtać, ale z pierwszym blaskiem zorzy zgasł elektryczny blask narwala. O siódmej było już prawie zupełnie jasno, ale bardzo gęsta mgła przesłaniała

horyzont; nie pomogły i najlepsze lornety. Znów rozczarowanie i wściekłość!

Wdrapałem się aż do jednej z rei bezanmasztu*. Kilku oficerów uwiesiło się już prawie u wierzchołków masztów.

O ósmej mgła przewalała się jeszcze ciężko po falach, aż wreszcie grube jej zwały powoli zaczęły się podnosić. Widnokrąg rozszerzał się z wolna i oczyszczał. Nagle, tak samo jak dnia poprzedniego, dał się słyszeć głos Neda Landa:

— Jest nasz potwór! Tam, tam, za lewą burtą, z tyłu! Wszystkie oczy zwróciły się w tę stronę.

O pół mili od fregaty, na metr nad powierzchnią wody, wystawał czarniawy grzbiet potwora. Ogon jego bił wodę, mącąc ją na dużej przestrzeni. Nigdy nie widziano płetwy ogonowej o takiej mocy. Ogromna bruzda olśniewająco białej piany znaczyła wydłużoną krzywizną ślad drogi zwierzęcia.

Fregata zbliżała się do wieloryba. Mogłem swobodnie obserwować. Sprawozdania statków „Shannon" i „Helvetia" trochę przesadziły opisując wymiary narwala; oceniałem jego długość najwyżej na dwieście pięćdziesiąt stóp. Objętość trudno mi było ocenić; jednak wydało mi się, że wszystkie trzy wymiary zwierzęcia były w doskonałej proporcji.

Kiedy tak przypatrywałem się temu przedziwnemu stworzeniu, z nozdrzy jego trysnęły w górę, na wysokość czterdziestu metrów, dwa słupy pary z wodą, doszedłem więc do ostatecznego wniosku co do jego sposobu oddychania. Zadecydowałem stanowczo, że należy ono do podtypu kręgowców, do gromady ssaków, do rzędu waleni, do rodziny… Na ten temat nie mogłem się jeszcze wypowiedzieć. Rząd waleni obejmuje trzy rodziny: wieloryby właściwe, kaszaloty i delfiny, przy czym narwale zaliczane są do ostatniej. Każda z tych rodzin dzieli się na szereg rodzajów, każdy rodzaj na gatunki, a każdy gatunek na odmiany. A zatem brakowało mi jeszcze odmiany, gatunku i rodziny zwierzęcia, byłem jednak pewien, że przy pomocy niebios i kapitana Farraguta uzupełnię tę klasyfikację.

Załoga oczekiwała niecierpliwie rozkazów dowódcy. Kapitan obserwował zwierzę uważnie, po czym zawezwał pierwszego mechanika i zapytał go:

— Czy mamy wystarczające ciśnienie?

— Tak jest, panie kapitanie — odparł inżynier.

— To dobrze. Proszę podsycić ogień i ruszamy pełną parą! Rozkaz powitany został trzykrotnym „hura!" Godzina walki wybiła. W kilka minut później z obu kominów fregaty buchały kłęby czarnego dymu, a pokład dygotał w takt pracy maszyn.

Pchnięty swą potężną śrubą „Abraham Lincoln" skierował się wprost na narwala. Zwierzę spokojnie pozwoliło zbliżyć się do siebie na odległość około stu metrów, po czym — pogardliwie, nie zanurzając się wcale — skierowało się jakby do ucieczki, utrzymując jednak niezmienny dystans między sobą a fregatą.

Trzy kwadranse mniej więcej trwał ów pościg, w czasie którego okręt nie zbliżył się do wieloryba ani o sążeń. Stało się jasne, że w ten sposób nie osiągniemy go nigdy.

Kapitan Farragut wściekle szarpał swą gęstą brodę.

— Ned Land! — krzyknął wreszcie. Nadbiegł Kanadyjczyk.

— No i cóż? — zapytał kapitan. — Czy nadal radzicie mi spuszczać łodzie na morze?

— Nie, panie kapitanie — odpowiedział Ned Land. — To bydlę pozwoli zbliżyć się do siebie dopiero wtedy, gdy zechce.

— Więc co zrobić?

— Dodać pary, jeśli można, panie kapitanie. Co do mnie, to jeżeli pan kapitan pozwoli, stanę sobie na przednim pomoście i jak tylko zbliżymy się na odpowiednią długość, rzucę harpun.

— Dobra jest, Ned — powiedział kapitan Farragut. — Panie inżynierze! — krzyknął. — Proszę zwiększyć ciśnienie!

---

* bezanmaszt — maszt tylny na okręcie żaglowym trzymasztowym

Ned Land odszedł na swój posterunek. Sypnięto węgiel pod kotły; śruba ruszyła z szybkością czterdziestu trzech obrotów na minutę, para zaczęła ze świstem przeciskać się przez wentyle. Rzucono log* i stwierdzono, że „Abraham Lincoln" płynie z szybkością osiemnastu i sześciu dziesiątych mili na godzinę.

Przez całą godzinę pędziła fregata z tą szybkością nie zyskując ani sążnia! Co za upokorzenie dla jednego z najszybszych okrętów marynarki amerykańskiej! Wśród załogi zapanowała wściekłość. Marynarze klęli potwora, który przecież nie raczył im nawet odpowiadać. Kapitan Farragut nie zadowalał się już szarpaniem swej brody: gryzł ją po prostu.

Jeszcze raz zawezwał inżyniera.

— Czy ciśnienie osiągnęło już maksimum? — zapytał.

— Tak jest, panie kapitanie — odparł inżynier.

— Klapy bezpieczeństwa obciążone?

— Tak jest. Do sześciu i pół atmosfery.

— Obciąż je pan do dziesięciu atmosfer!

Rozkaz był prawdziwie amerykański. I nad Missisipi lepiej by rywal nie dystansował rywala.

— Conseil! — odezwałem się do stojącego obok mnie zacnego towarzysza. — Czy zdajesz sobie sprawę, że prawdopodobnie wylecimy w powietrze?

— Jak pan sobie życzy, panie profesorze! — odpowiedział Conseil.

Do diabła! Przyznam się, że wcale nie życzyłem sobie zaniechania naszej jedynej szansy, nawet pod groźbą takiego ryzyka!

Klapy obciążono. Do kotłów runęły masy węgla. Wentylatory tłoczyły do palenisk strumienie powietrza. Szybkość „Abrahama Lincolna" wzrosła. Maszty drgały przy samych nasadach, kłęby dymu ledwo się przeciskały przez zbyt wąskie kominy.

Jeszcze raz zmierzono logiem szybkość.

— No i co? — zapytał kapitan Farragut sternika.

— Dziewiętnaście mil i trzy dziesiąte, panie kapitanie.

— Dodać pary!

Mechanicy spełnili rozkaz. Manometr wskazywał ciśnienie dziesięciu atmosfer. Ale wieloryb widocznie także „dodał pary", bo bez najmniejszego trudu pędził swoich dziewiętnaście i trzy dziesiąte mili na godzinę.

Co za pościg! Nie jestem w stanie opisać wzruszeń, które mną miotały! Ned Land stał na swym stanowisku z harpunem w dłoni. Niekiedy zwierzę pozwalało nam się przybliżyć.

— Doganiamy go, doganiamy! — krzyczał Kanadyjczyk.

Ile razy jednak miał już, już cisnąć swój harpun, wieloryb odskakiwał z szybkością co najmniej czternastu mil na godzinę. W czasie kiedy pędziliśmy z największą szybkością, pozwolił sobie nawet wyraźnie zadrwić z fregaty opływając ją dokoła! Ze wszystkich piersi wydarł się okrzyk wściekłości.

W południe dzieliła nas ta sama przestrzeń, co o ósmej rano. Kapitan Farragut zdecydował się użyć bardziej stanowczych środków.

— To bydlę — wściekał się — płynie szybciej od „Abrahama Lincolna"! Dobrze! Zobaczymy, czy wyprzedzi jednak nasze kule stożkowe! Bosmanie, proszę dać ludzi do działa na przednim pokładzie!

Dziobowe działo zostało natychmiast nabite. Wycelowano, padł strzał, ale kula przeszła o kilka stóp ponad wielorybem, który płynął o pół mili od fregaty.

— Następny, ale tym razem bez pudła! — krzyknął kapitan. — Pięćset dolarów temu, kto przedziurawi tego piekielnika!

Do działa zbliżył się stary, siwobrody kanonier; do dziś pamiętam jego spokojny wzrok i

---

* log — przyrząd, który wskazuje szybkość statku

chłodną twarz. Ustawił armatę i mierzył długo. Rozległ się wystrzał i natychmiast po nim radosne okrzyki załogi.

Kula trafiła w cel, uderzyła w narwala, jednak jakoś dziwacznie zrykoszetowała od jego zaokrąglonej powierzchni i znikła w morzu o dwie mile dalej.

— Ha! — odezwał się stary kanonier z wściekłością — to draństwo zakute jest całe w sześciocalowy pancerz!

— Przekleństwo! — pienił się kapitan Farragut.

Pościg rozpoczął się na nowo; kapitan pochylił się ku mnie i zasyczał:

— Będę go ścigał, choćby fregata miała wylecieć w powietrze!

— Ma pan rację, panie kapitanie — odpowiedziałem. Należało się spodziewać, że przecież zwierzę wyczerpie się w końcu, że nie będzie tak nieczułe na zmęczenie, jak maszyna parowa. Ale nie: upływały godziny bez najmniejszego śladu wyczerpania ze strony narwala.

Na pochwałę „Abrahama Lincolna" trzeba jednak stwierdzić, że walczył z niebywałą wytrwałością. Przestrzeń, jaką przebył owego fatalnego dnia, 6 listopada, oceniam na co najmniej pięćset kilometrów! Nadeszła jednak noc i spowiła mrokiem burzliwy ocean.

Sądziłem już, że nasza wyprawa dobiegła końca i że nie ujrzymy więcej fantastycznego zwierzęcia. Myliłem się jednak.

Około dziesiątej pięćdziesiąt w odległości półtorej mili od fregaty na nawietrznej ukazało się znów owo światło, równie czyste i mocne, jak nocy ubiegłej.

Narwal zdawał się trwać w bezruchu. Może spał, kołysząc się na falach, zmęczony trudami minionego dnia. Kapitan Farragut postanowił skorzystać z nadarzającej się sposobności. Wydał rozkazy. „Abraham Lincoln" pod małą parą przybliżył się ostrożnie, aby nie obudzić przeciwnika. Często napotyka się na pełnym morzu śpiące głęboko wieloryby, które można wtedy zaatakować z powodzeniem; Ned Land nieraz polował na nie w ten sposób. Kanadyjczyk zajął więc znowu swoje stanowisko na dziobie okrętu.

Fregata podpłynęła bezgłośnie; w odległości dwóch kabli od zwierzęcia zatrzymano maszyny i posuwano się już wyłącznie siłą rozpędu. Na pokładzie wstrzymano oddech. Zaległa głęboka cisza. Byliśmy już tylko o niespełna sto stóp od gorejącego źródła blasku, które zwiększało się i oślepiało oczy.

Przechyliwszy się przez parapet przedniego pokładu zobaczyłem pod sobą Neda Landa, trzymającego się jedną ręką liny, a drugą wymachującego swym straszliwym harpunem. Od znieruchomiałego zwierzęcia dzieliło go zaledwie sto stóp.

Nagle ramię jego wyprostowało się gwałtownie i… usłyszałem dźwięk uderzenia harpuna o jakieś twarde ciało. W tej chwili zgasło światło elektryczne i na pokład fregaty zwaliły się dwie potworne trąby wodne, zmywające pomosty we wszystkich kierunkach jak rozszalały potok, przewracając ludzi i łamiąc bariery.

Poczułem nagle straszliwy wstrząs; zanim zdołałem uchwycić się czegokolwiek, przeleciałem przez parapet i w jednej chwili znalazłem się w morzu.

Rozdział VII
Wieloryb nieznanego gatunku

Chociaż wszystko to zaskoczyło mnie zupełnie nieoczekiwanie, nie straciłem wcale przytomności umysłu. Przede wszystkim wpadłem do wody na głębokość około dwudziestu stóp. Pływałem dobrze, choć nie mogę się równać z takimi mistrzami, jakimi byli Byron* i Edgar Poe*; w każdym razie kąpiel ta nie przyprawiła mnie o utratę głowy. Dwoma silnymi ruchami wydobyłem się na powierzchnię.

Przede wszystkim poszukałem oczyma fregaty. Czy zauważono moje zniknięcie? Czy „Abraham Lincoln" zmienił kierunek? Czy kapitan Farragut kazał spuścić szalupę? Czy mnie uratują?

Panowała głęboka noc. W ciemnościach zdołałem dojrzeć wielką, ciemną masę, która oddalała się na wschód i której światła ostrzegawcze znikały już w oddali. To była fregata. Poczułem, że jestem zgubiony.

— Ratunku! — krzyknąłem usiłując rozpaczliwie płynąć za „Abrahamem Lincolnem".

Przeszkadzało mi ubranie; przemokło i kleiło mi się do ciała; paraliżowało ruchy. Tonąłem! Dusiłem się!

— Ratunku! Ratunku!

To były moje ostatnie słowa. Poczułem wodę w ustach. Szamotałem się zapadając w głębiny bez dna.

Nagle jakaś silna ręka pochwyciła mnie za ubranie, uczułem, że ktoś mnie gwałtownie wyciąga na powierzchnię wody, i usłyszałem — tak, usłyszałem! — nad uchem słowa:

— Jeśli pan profesor zechce łaskawie wesprzeć się na moim ramieniu, będzie panu profesorowi o wiele wygodniej.

— To ty — wybełkotałem — ty?!

— To ja — odpowiedział Conseil, — Do dyspozycji pana profesora.

— To ten wstrząs wrzucił cię do morza, tak samo jak mnie?

— Wcale nie. Ale jestem na służbie u pana profesora, więc poszedłem za panem profesorem.

Zacny chłopak uważał to za całkiem zrozumiałe.

— A co z fregatą? — zapytałem.

— Z fregatą? — odparł Conseil odwracając się na plecy. — Zdaje mi się, że lepiej byłoby, gdyby pan profesor nie bardzo na nią liczył!

— Co ty mówisz?!

— Mówię, że kiedy skakałem do wody, słyszałem, jak krzyczano z budki sternika: „Śruba i ster strzaskane!…"

— Strzaskane?

— Tak, strzaskane zębem potwora. Więcej szkód „Abraham Lincoln", zdaje się, nie poniósł. Co jednak dla nas najgorsze, to to, że nie może już sterować.

— Więc jesteśmy zgubieni!

— Bardzo możliwe — odpowiedział spokojnie Conseil. — Mamy przed sobą jednak jeszcze parę godzin, a przez parę godzin może zajść bardzo wiele!

Niezmącona zimna krew Conseila napełniła mnie otuchą. Płynąłem raźniej; było mi jednak bardzo trudno utrzymać się na powierzchni, ponieważ przemoczona odzież krępowała ruchy jak ołowiany pancerz. Dostrzegł to Conseil.

— Pan profesor pozwoli, że mu zrobię cięcie — odezwał się. Wsunął mi otwarty nóż za

---

* „Byron George {1788–1824) — wielki romantyczny poeta angielski. Umarł w czasie wojny grecko–tureckiej, w której wziął udział po stronie walczącego o wolność narodu greckiego

* Poe Edgar (1809–1849) — pisarz i poeta amerykański, autor opowiadań pt. „Niezwykłe historie"

ubranie i szybkim ruchem rozciął je

od góry do dołu. Potem ściągnął je ze mnie zręcznie, podczas gdy ja płynąłem za nas obu. Zrewanżowałem się Conseilowi podobną przysługą i „żeglowaliśmy” dalej jeden obok drugiego.

Nasze położenie było jednak nadal straszne. Może nie zauważono naszego zniknięcia, może i zauważono, ale fregata nie mogła wrócić po nas pod wiatr, ponieważ nie miała już steru. Należało więc liczyć tylko na szalupy ratunkowe.

W ten sposób, zupełnie na chłodno, rozumował Conseil przedstawiając w związku z tym swój plan. Zdumiewający charakter! Flegmatyczny chłopak czuł się tu jak u siebie w domu!

Zadecydowaliśmy więc, że ponieważ jedyną naszą szansą było, iż wyłowią nas szalupy „Abrahama Lincolna”, musimy tak się urządzić, ażeby jak najdłużej móc utrzymać się na powierzchni morza i czekać. Postanowiłem rozłożyć nasze siły tak, abyśmy się nie wyczerpali jednocześnie; jeden będzie leżał nieruchomo na wznak, z rękami na piersiach i z nogami wyciągniętymi, drugi zaś będzie go popychał płynąc.

Taka rola holownika nie powinna trwać ponad dziesięć minut; zmieniając się w ten sposób, powinniśmy wytrzymać jeszcze kilka godzin, a może nawet do świtu.

Słaba to szansa! Ale jakże silnie zakorzenia się nadzieja w sercu człowieka! Poza tym — było nas dwóch. A wreszcie muszę przyznać, choć brzmi to nieprawdopodobnie, że gdybym nawet usiłował wtedy zniszczyć wszystkie swoje złudzenia, gdybym nawet chciał rozpaczać — nie potrafiłbym!

Zderzenie fregaty z wielorybem miało miejsce około jedenastej wieczorem. Do wschodu słońca, liczyłem sobie, musieliśmy płynąć jeszcze osiem godzin. Było to zupełnie możliwe — przy pływaniu na zmianę. Morze, na szczęście łagodne, męczyło nas niewiele. Niekiedy próbowałem przebić wzrokiem otaczające nas ciemności, które rozjaśniało jedynie zjawisko fosforescencji, wywołane naszymi ruchami. Patrzyłem na owe błyszczące fale, rozbijane moją dłonią i połyskujące sinawym światłem. Zdawać by się mogło, że płyniemy w rtęci.

Około pierwszej w nocy ogarnęło mnie ogromne zmęczenie. Kończyny zaczęły mi sztywnieć w gwałtownych skurczach. Conseil musiał mnie podtrzymywać i kłopotać się za nas obu. Wkrótce dosłyszałem, że chłopak dyszy ciężko; potem oddech jego stawał się coraz krótszy i coraz szybszy. Zrozumiałem, że długo tak nie wytrzyma.

— Puść mnie! — powiedziałem.

— Zostawić pana profesora? Nigdy! — odpowiedział. — Liczę na to, że utonę pierwszy!

Zza chmury, którą wiatr poniósł ku wschodowi, wyjrzał w tej chwili księżyc. Pod jego promieniami roziskrzyła się powierzchnia wody. Pod wpływem tego dobroczynnego światła przybyło nam znów sił. Uniosłem głowę. Rzuciłem wzrokiem dokoła siebie. Dojrzałem fregatę. Była od nas o pięć mil i tworzyła już tylko ledwo dostrzegalną, ciemną masę. Szalup żadnych.

Chciałem krzyknąć. Na taką odległość? Po co? Opuchnięte usta nie wydały jednak ani jednego dźwięku. Conseil zdołał wymówić parę słów i słyszałem, jak kilkakrotnie powtórzył:

— Ratunku! Ratunku!

Słuchaliśmy wstrzymawszy na chwilę wszelkie ruchy. Nie wiem, było to może ciśnienie krwi na bębenki w uszach, wywołujące znane buczenie, ale wydało mi się, że na wołanie Conseila odpowiedział jakiś krzyk.

— Conseil, słyszałeś?

— Tak, tak!

I Conseil rzucił znów w przestrzeń swoje rozpaczliwe wołanie.

Tym razem na pewno nie omyliliśmy się! Odpowiedział nam głos ludzki. Czy był to jakiś inny nieszczęśliwiec zgubiony w bezmiarach oceanu, może jeszcze jedna ofiara wstrząsu, jakiemu uległa fregata? Czy może poszukiwała nas szalupa ratunkowa?

Conseil uczynił ostatni wysiłek i, wsparłszy się na moim ramieniu, podczas gdy ja sam

konwulsyjnie utrzymywałem się na powierzchni, wychylił się z wody do połowy ciała. Wreszcie, wyczerpany zupełnie, opadł z powrotem.

— Widziałeś coś?…

— Widziałem… — bełkotał — widziałem… ale nie mówmy… oszczędzajmy sił!…

Co on mógł zobaczyć? Nie wiem dlaczego, ale pierwszy raz« pomyślałem o potworze… Ale w takim razie, co by oznaczał ten głos? Nie żyjemy już w czasach, kiedy Jonaszowie chronili się we wnętrzu wielorybów*!

Conseil wciąż jeszcze mnie holował. Od czasu do czasu unosił głowę i patrzył przed siebie; wydawał okrzyk, na który odpowiadał jakiś głos coraz bliższy. Nie słyszałem już prawie nic. Goniłem resztką sił, palce mi sztywniały, ręce nie pomagały już ciału utrzymać się na powierzchni; konwulsyjnie otworzyłem usta, w których poczułem słony smak wody; ogarnął mnie przenikliwy ziąb. Po raz ostatni uniosłem głowę i… zacząłem zapadać…

W tej chwili poczułem uderzenie czegoś twardego. Uczepiłem się tego bezwładnie. Czułem, że mnie ciągną, że wydobywają na powierzchnię wody, że płuca moje oddychają swobodniej i… straciłem przytomność. Dzięki silnemu nacieraniu całego ciała szybko odzyskałem zmysły. Otworzyłem oczy…

— Conseil… — zdołałem wyszeptać.

— Czy pan profesor dzwonił? — odezwał się spokojnie Conseil. W tej chwili oświetliły nas ostatnie promienie zachodzącego już księżyca i w świetle ich ujrzałem kogoś, kto nie był Conseilem, kogo jednak poznałem natychmiast.

— Ned! — ucieszyłem się.

— To ja, panie profesorze — odpowiedział Kanadyjczyk — gonię za swoją nagrodą!

— I was wrzucił do wody ten okropny wstrząs fregaty?

— Tak, proszę pana, ale miałem większe szczęście: natychmiast prawie zdołałem wylądować na pływającej wysepce.

— Na wysepce?

— Tak, a właściwie na pańskim narwalu.

— Co to znaczy, Nedzie?

— Zrozumiałem, dlaczego harpun nie przebił wieloryba, tylko ześliznął się po jego skórze.

— Dlaczego, Ned?

— Dlatego, że ta bestia, panie profesorze, zrobiona jest ze stali! W tym miejscu muszę się dobrze zastanowić, odświeżyć wspomnienia i skontrolować wrażenia.

Słowa Kanadyjczyka spowodowały w moim mózgu jak gdyby nagły zwrot. Wywindowałem się natychmiast na najwyższy punkt owej na wpół zanurzonej istoty czy też rzeczy, która chwilowo była naszym ocaleniem. Próbowałem jej nogą. Była twarda, nieprzenikliwa, nie mająca nic wspólnego z elastycznym ciałem wielkich ssaków wodnych.

Ten twardy materiał mógł jednak być ościstą skorupą, przypominającą pancerze zwierząt przedpotopowych, i nie omyliłbym się zaliczając potwora do ziemnowodnych gadów, jak żółwie czy aligatory.

Ale nie! Czarniawy grzbiet, który mnie unosił, był gładki, śliski, niechropowaty; przy uderzeniu wydawał metaliczny dźwięk. Jakkolwiek to brzmi nieprawdopodobnie, całość wydawała się — co mówię? — była zrobiona z blach stalowych, łączonych nitami.

Ani mowy o wątpliwościach! Owo zwierzę, potwór, fenomen natury, który zaintrygował cały świat naukowy, rozognił i rozbujał — jak wiadomo — wyobraźnię marynarzy na obu półkulach, okazał się jeszcze bardziej zdumiewającym zjawiskiem — dziełem ludzkiej ręki.

Umysł mój nie zostałby do tego stopnia wstrząśnięty odkryciem żywej istoty, choćby najbardziej nieprawdopodobnej, bajecznej. Jeśli coś monstrualnego pochodzi z ręki Stwórcy,

---

* …kiedy Jonaszowie chronili się we wnętrzu wielorybów — wedle Biblii prorok Jonasz wyrzucony w morze przez załogę statku, którym podróżował, został połknięty przez wieloryba i zwrócony na ląd po trzech dniach podróży podmorskiej

to jest to jeszcze proste. Ale znaleźć się nagle oko w oko z niemożliwością zrealizowaną tajemniczo przez człowieka — to już przerastało mój umysł!

Nie było się co zastanawiać. Znajdowaliśmy się na grzbiecie jakiegoś podwodnego okrętu, zbudowanego — jeśli się mogłem zorientować — w kształcie olbrzymiej, stalowej ryby. Ned Land był tego pewien. Conseil i ja musieliśmy się z tym pogodzić.

— Ten aparat — odezwałem się — musi chyba mieć wewnątrz jakiś mechanizm, który nim porusza, i jakąś załogę, która kieruje całością.

— Oczywiście — rzekł harpunnik. — A jednak, choć mieszkam na tej pływającej wyspie już trzy godziny, nie zauważyłem żadnego znaku życia.

— Czy ten statek wcale się nie posuwa?

— Nie, panie profesorze. Kołysze się tylko swobodnie na falach.

— Wiemy jednak ponad wszelką wątpliwość, że może się poruszać, i to z wielką szybkością. A zatem, ponieważ do wytworzenia takiej szybkości potrzeba maszyny, a do kierowania maszyną — człowieka, przypuszczam, że jesteśmy ocaleni.

— Hm… — mruknął Ned bez wielkiego przekonania.

Nagle, jakby dla potwierdzenia mojej argumentacji, zabulgotała woda w tyle tajemniczego aparatu, poruszanego zatem za pomocą śruby; ruszyliśmy. Ledwo zdążyliśmy się pouczepiać powierzchni wystającej nad wodę na mniej więcej osiemdziesiąt centymetrów. Na szczęście nie płynęliśmy szybko.

— Póki płynie na wodzie, nie mam najmniejszej pretensji — mruczał Ned Land — ale jak mu przyjdzie ochota ponurkować, nie dałbym dwóch dolarów za swoją skórę!

Kanadyjczyk ofiarował nawet zbyt dużo. Było więc sprawą bardzo pilną porozumienie się z tym „kimś” zamkniętym w pancerzach maszyny. Szukałem jakiegoś otworu w stalowej powierzchni, luku czy włazu, żeby użyć technicznego wyrażenia, ale linie nitów, łączących arkusze blachy, biegły nieprzerwanie, prosto i jednolicie.

Na domiar złego zaszedł księżyc pozostawiając nas w głębokich ciemnościach. Trzeba było czekać dnia, aby przedsięwziąć jakiekolwiek środki w celu dostania się do wnętrza owego podmorskiego okrętu.

Tak więc życie nasze zależało teraz wyłącznie od kaprysu tajemniczego sternika nieznanego aparatu: gdyby się zanurzył, bylibyśmy zgubieni! Poza tym jednak byłem pewien, że jakoś porozumiemy się z nim; jeśli sami nie fabrykowali powietrza, to przecież musieli od czasu do czasu wypływać na powierzchnię morza, aby odnowić zapas tlenu. Musiał więc istnieć jakiś otwór łączący wnętrze statku z atmosfera. Co do nadziei, że uratuje nas kapitan Farragut, to trzeba było wyzbyć się jej całkowicie. Jechaliśmy na zachód z przeciętną szybkością, którą oceniłem na mniej więcej dwanaście mil na godzinę. Śruba biła fale z matematyczną regularnością, wyrzucając od czasu do czasu w powietrze fontanny fosforyzującej wody na dużą wysokość.

Około czwartej nad ranem wzrosła szybkość aparatu. Z trudem wytrzymaliśmy tę zawrotną jazdę, podczas której opieraliśmy się siekącym nas spienionym bałwanom. Na szczęście Ned namacał przypadkiem szeroką obręcz biegnącą wzdłuż górnej części pancerza: jej więc uczepiliśmy się kurczowo.

Długa noc skończyła się nareszcie. Pamięć moja niezdolna jest do odtworzenia wszystkich przeżytych w tym czasie wrażeń. Jeden szczegół wszelako pamiętam dokładnie. Kiedy chwilami morze i wiatr milkły, wydawało mi się, że słyszę niewyraźne dźwięki, jak gdyby jakieś odległe akordy układały się w nieuchwytną harmonię. Cóż więc mogło być tajemnicą owej żeglugi podmorskiej, której tajników nadaremnie starał się dociec świat cały? Co za istoty mieszkały w owym nieznanym, dziwnym okręcie? Co za czynnik pozwalał na osiąganie potwornej szybkości?

Wstawał dzień. Spowijały nas mgły poranne, które jednak wkrótce opadły. Zamierzałem właśnie przystąpić do badania kadłuba, który w swojej górnej części przechodził w rodzaj

poziomej platformy, kiedy uczułem, że zaczynamy się z wolna zanurzać.

— Tam, do stu diabłów! — wrzasnął Ned Land uderzając butem w dźwięczną blachę. — Otwierajcie, niegościnni żeglarze!

Trudno jednak było nas usłyszeć poprzez ogłuszające obroty śruby. Na szczęście przestaliśmy się zanurzać.

Nagle z wnętrza statku dał się słyszeć odgłos gwałtownie przesuwanego żelastwa. Jedna z płyt pancernych uniosła się. Ukazał się człowiek, który krzyknął coś niezrozumiale i natychmiast znikł. Po kilku minutach zjawiło się ośmiu tęgich drabów z zamaskowanymi twarzami; bez jednego słowa wciągnęli nas do wnętrza strasznej maszyny.

Rozdział VIII
Mobilis in mobili

Całe to tak brutalne porwanie dokonane zostało z szybkością błyskawicy. Moi towarzysze i ja nie zdążyliśmy się nawet porozumieć. Nie wiem, co odczuwali, kiedy nas tak wleczono do wnętrza pływającego więzienia, bo co do mnie — to dreszcz przeszedł mi po skórze. Z kim mieliśmy do czynienia? Najprawdopodobniej z jakimiś nowoczesnymi piratami, plądrującymi tym sposobem morza.

Gdy tylko zatrzasnęła się za mną klapa, ogarnęła nas zupełna ciemność. Oczy, przywykłe do światła dziennego, nie mogły niczego dostrzec. Czułem, jak moje bose nogi wloką się po szczeblach żelaznej drabinki. Neda Landa i Conseila schwytano również. U dołu drabinki otwarły się jakieś drzwi, które z metalicznym dźwiękiem zatrzasnęły się za nami natychmiast. Zostaliśmy sami. Gdzie? Nie sposób się było tego nawet domyślać. Było ciemno, ciemno tak zupełnie, że po kilku minutach nie dostrzegało się jeszcze owej nieokreślonej szarości, jaka panuje nawet w najgłębszej nocy.

Tymczasem Ned Land, wściekły na sposób, w jaki z nami postępowano, dawał upust swemu oburzeniu.

— Cóż, do stu diabłów! — wrzeszczał. — Ci ludzie mogliby Kaledończyków uczyć gościnności*! Jeszcze tylko brakuje, żeby byli ludożercami! Wcale bym się temu nie dziwił, ale z góry uprzedzam, że nie dam się zjeść bez walki.

— Uspokój się, Ned, uspokój się — mówił spokojnie Conseil. — Nie unoś się zawczasu. Jeszcze nie jesteśmy na patelni!

— Na patelni nie — odpowiedział Kanadyjczyk — ale w piecu to już na pewno! Ciemno tu jak diabli. Na szczęście mam mój bowie–knife*, a widzę jeszcze na tyle, że potrafię go użyć w razie potrzeby. Pierwszy lepszy z tych bandytów, który mnie dotknie…

— Nie denerwujcie się, Ned — wtrąciłem się do rozmowy — i nie narażajcie nas zbyteczną gwałtownością. Kto wie, może nas podsłuchują? Spróbujmy raczej dowiedzieć się, gdzie jesteśmy.

Ruszyłem naprzód po omacku. Po pięciu krokach natknąłem się na ścianę zrobioną z żelaznych, nitowanych płyt. Odwróciłem się i wpadłem na stół drewniany z kilkoma stołkami. Podłoga naszego więzienia pokryta była grubą matą z jakiegoś włókna, która głuszyła kroki. W ścianach nie było ani śladu drzwi czy okien. Napotkałem Conseila, obchodzącego kabinę w przeciwnym kierunku, i razem powróciliśmy na środek pomieszczenia, które miało około dwudziestu stóp długości i około dziesięciu szerokości. Co do wysokości, to nawet Ned Land, mimo swego wzrostu, nie był w stanie jej zmierzyć.

Pół godziny już upłynęło w tej sytuacji, kiedy nagle po najgłębszej ciemności oczy moje poraziło najżywsze światło. Nasze więzienie rozwidniło się znienacka, to jest wypełniło się światłem tak mocnym, że nie można go było zrazu znieść. Po białości i natężeniu poznałem owo elektryczne oświetlenie, które rozsiewało wokół podmorskiego okrętu wspaniałą fosforescencję. Mimo woli zamknąłem oczy. Kiedy je znów otworzyłem, ujrzałem, że źródło światła mieści się w matowej półkuli u sufitu kabiny.

— Nareszcie! Przynajmniej coś widać! — zawołał Ned Land, który stał w pozycji obronnej, z nożem w ręku.

— Owszem — odpowiedziałem wskazując na drugą stronę medalu — ale nasza sytuacja jest nadal ciemna.

---

* …mogliby Kaledończyków uczyć gościnności — Kaledończykami nazywali starożytni Rzymianie mieszkańców Szkocji. W zdaniu tym zawarta jest wyraźna ironia, bo, jak wiadomo, Szkoci są na ogół bardzo gościnni

* Nóż o szerokiej klindze z którym Amerykanin się nie rozstaje (przyp. aut.).

— Zechce pan profesor zdobyć się na odrobinę cierpliwości —rzekł niewzruszony Conseil.

Światło pozwoliło mi zbadać najdrobniejsze szczegóły kabiny. Nie było w niej niczego poza owym stołem i pięcioma stołkami. Niewidoczne drzwi były prawdopodobnie zamykane hermetycznie. Do uszu naszych nie dochodził żaden głos. Wnętrze statku wydawało się wymarłe. Czy płynęliśmy, czy byliśmy na powierzchni oceanu, czy zanurzeni w głębinach? Nie sposób odgadnąć.

Chyba jednak świetlna kula nie zapłonęła bez powodu. Miałem nadzieję, że ktoś z załogi wkrótce się nam ukaże. Nie oświetla się miejsca, które ma pozostać w zapomnieniu.

Nie omyliłem się. Szczęknęły rygle, drzwi się otwarły i ukazało się w nich dwóch ludzi.

Jeden z nich był niewysoki, muskularny, krępy, barczysty, z dużą głową, z gęstymi, czarnymi włosami, ciemnym wąsem, spojrzeniem żywym i przenikliwym; z całej postaci przebijała owa południowa żywość, tak charakterystyczna dla mieszkańców Prowansji*. Diderot* słusznie zauważył, że ruchy ludzkie mają znaczenie metafory. Ten człowiek był najlepszym dowodem słuszności owego zdania; czuło się wprost, że kiedy używał rodzinnego języka, musiał hojnie sypać prozopopejami* i metonimiami* oraz szafować przesadą. Nigdy, co prawda, nie zdołałem tego sprawdzić, gdyż w mojej obecności używał zawsze języka dziwnego i absolutnie niezrozumiałego.

Drugi nieznajomy zasługuje na bardziej szczegółowy opis. Uczeń Gratioleta lub Engela* czytałby z tej twarzy jak z księgi. Bez wahania rozpoznałem główne jego cechy: pewność siebie, bo głowa jego wznosiła się dumnie ponad łuk utworzony przez linię ramion, a oczy spoglądały z chłodnym spokojem; opanowanie, bo blada jego cera znamionowała zimną krew; wreszcie — odwagę, bo szeroki i pełny oddech zdradzał wielką życiową prężność.

Dodam jeszcze, że człowiek ów wyglądał dumnie, że jego pewny i spokojny wzrok zdawał się być odbiciem górnych myśli i że z całości jego wyglądu, z jednolitości wyrazu jego ruchów, postaci i twarzy przebijała — zdaniem fizjonomistów* — bezwzględna szczerość.

Mimo woli poczułem się spokojniejszy w jego obecności; spotkanie to było dobrą wróżbą.

Nie mógłbym określić, czy człowiek ten miał lat trzydzieści pięć, czy pięćdziesiąt. Był wysokiego wzrostu, o wysokim czole i pięknie zarysowanych ustach, miał wspaniałe zęby i długie, piękne ręce. Człowiek ten był niewątpliwie najwspanialszym typem, jaki w moim życiu napotkałem. Oczy jego — ciekawy szczegół! — lekko rozstawione, zdolne były objąć jednocześnie prawie ćwierć widnokręgu. Zdolność tę wspierał jeszcze nadzwyczaj bystry wzrok, silniejszy od wzroku Neda Landa. Kiedy ów nieznajomy wpatrywał się w jakiś przedmiot, marszczyła się linia jego brwi, duże powieki zbliżały się do siebie, tak że otaczały niemal źrenice i zmniejszały w ten sposób pole widzenia; wtedy patrzył. Ale jak patrzył! Wzrok jego powiększał po prostu przedmioty zmniejszone odległością! Przenikał do wnętrza duszy! Przebijał masy wód, tak ciemne dla naszych oczu, czytał wprost w największych głębiach oceanów!

Obaj nieznajomi ubrani byli w berety z futerek wydr morskich, w buty ze skór foczych i w stroje z nieznanej tkaniny, obcisłe w talii, a jednocześnie pozostawiające doskonałą swobodę ruchów.

---

* Prowansja — kraina w południowej Francji

* Diderot Denis (1723–1784) — wielki postępowy pisarz i filozof francuski z epoki Oświecenia

* prozopopeja — figura stylu poetyckiego, polegająca na przenoszeniu cech i czynności ludzkich na zwierzęta lub przedmioty (np. zagniewane morze itp.)

* metonimia — figura retoryczna, tj. zwrot używany w przemówieniach i literaturze, polegający na zastąpieniu właściwego określenia innym pojęciem pozostającym z poprzednim w pewnym związku, np. „las śpiewa” zamiast „ptaki śpiewają w lesie”

* Uczeń Gratioleta lub Engela — Louis–Pierre G r a t i o l e t był profesorem anatomii w Paryżu, a Joseph E n g e l — profesorem anatomii w Wiedniu. Obaj żyli w XIX w.

* fizjonomista — człowiek usiłujący odgadywać z rysów twarzy charakter i uzdolnienia ludzi

Wyższy — niewątpliwie dowódca statku — przypatrywał się nam bez słowa, z największą uwagą. Potem odwrócił się do swego towarzysza i wdał się z nim w rozmowę w języku, którego nie byłem w stanie rozpoznać. Była to mowa dźwięczna, harmonijna, giętka, o bardzo różnie akcentowanych samogłoskach.

Drugi mężczyzna odpowiadał skinieniami głowy, po czym dodał dwa czy trzy słowa, najzupełniej niezrozumiałe. Wzrokiem zdawał się zadawać mi jakieś pytanie.

Odpowiedziałem płynną francuszczyzną, że nie rozumiem jego języka; ale i on chyba nie pojmował moich słów, więc sytuacja stała się kłopotliwa.

— Może by pan profesor jednak opowiedział całą naszą historię — rzekł Conseil. — Ci panowie zrozumieją chyba choć kilka słów.

Rozpocząłem opis wszystkich naszych przygód, wymawiając starannie wszystkie zgłoski, nie opuszczając nawet drobnych szczegółów. Wymieniłem nasze nazwiska i zawody; wreszcie najformalniej przedstawiłem im profesora Aronnaxa, jego służącego — Conseila, i mistrza harpunnika — Neda Landa.

Mężczyzna wysłuchał mnie spokojnie, patrząc łagodnie, nawet grzecznie, ze skupioną uwagą. Na jego twarzy jednak nie zauważyłem nawet drgnienia, które by świadczyło, że zrozumiał moje opowiadanie. Kiedy skończyłem, nie odezwał się ani słowem.

Pozpstawała możliwość przemówienia doń po angielsku. Może porozumiemy się tym niemal ogólnoświatowym językiem. Znałem gc, jak i niemiecki, wystarczająco dobrze, aby móc swobodnie czytać, jednak nie dość, aby płynnie przemawiać. Tutaj jednak należało dać się wyraźnie zrozumieć.

— No, teraz wasza kolej, Ned — rzekłem do harpunnika. — Wyciągnijcie z zanadrza najlepszą angielszczyznę, jaką kiedykolwiek mówili Anglosasi, a może będziecie mieli więcej szczęścia ode mnie.

Ned nie dał się długo prosić i rozpoczął opowieść, którą po części rozumiałem. Treść była ta sama, jedynie forma się różniła. Kanadyjczyk był charakteru gwałtownego, wniósł więc sporo ożywienia do opowiadania. Skarżył się wielce na uwięzienie go wbrew ogólnie przyjętym prawom; pytał, na podstawie jakiej ustawy trzyma się go w zamknięciu; powoływał się na Habeas Corpus*, groził ściganiem tych, którzy go więżą bezprawnie; miotał się, gestykulował, krzyczał; wreszcie wymownym ruchem dał do zrozumienia, że umieramy z głodu.

Była to szczera prawda, choć niemal zapomnieliśmy o tym.

Ku swemu wielkiemu zdumieniu harpunnik spostrzegł, że nie zrozumiano go bardziej ode mnie. Obaj ludzie ani mrugnęli okiem. Było jasne, że nie rozumieli ani języka Arago, ani Faradaya*.

Po tym bezowocnym wyczerpaniu naszych wiadomości filologicznych nie wiedziałem już, co począć, kiedy odezwał się Conseil:

— Jeśli mi pan profesor pozwoli, opowiem wszystko po niemiecku.

— Co? Ty znasz niemiecki? — zapytałem zdumiony.

— Jestem Flamandczykiem, z przeproszeniem pana profesora.

— Ależ nie masz za co przepraszać! Przeciwnie! Wal, chłopcze!

I Conseil swoim spokojnym głosem opowiedział po raz trzeci nasze przygody. Pomimo jednak eleganckich zwrotów i pięknego akcentu narratora język niemiecki nie wywołał również najmniejszego oddźwięku.

Doprowadzony do ostateczności, zebrałem w pamięci resztki wiadomości z lat szkolnych i zacząłem opowiadać wszystko jeszcze raz po łacinie. Cicero** zatkałby sobie uszy i

* Habeas Corpus — nazwa angielskej ustawy o nietykalności osobistej obywateli, obowiązującej od 2679 r. Ustawa ta głosi, że nie wolno obywatela aresztować bez prawomocnego nakazu wydanego przez sąd

* Faraday Michael (1792–1867) — wielki uczony angielski, fizyk i chemik, słynny ze swych badań i odkryć w dziedzinie elektryczności

* Cicero Marcus Tullius (106–43 przed n. e.) — słynny polityk, pisarz i mówca rzymski, obrońca ustroju

wyrzuciłby mnie do kuchni. Jakoś jednak wybrnąłem. Rezultat był identyczny: milczenie,

Po tej ostatniej, nieudanej próbie obaj nieznajomi zamienili między sobą kilka słów w swym niezrozumiałym języku i wyszli; nawet nie uspokoili nas ani jednym ze znanych na całym świecie gestów.

Drzwi się zamknęły.

— Łobuzeria! — wybuchnął po raz dwudziesty Ned Land. — Mówi się do nich po francusku, po angielsku, po niemiecku, po łacinie, a żaden z nich nie jest na tyle przyzwoity, ażeby odpowiedzieć!

— Uspokójcie się, Ned — mitygowałem gorąco harpunnika. — Złość do niczego nie doprowadzi.

— Ale czyż pan nie rozumie, panie profesorze — zżymał się Ned — że w tej żelaznej klatce możemy umrzeć z głodu?

— Ba! — odezwał się filozoficznie Conseil. — Możemy jeszcze dość długo wytrzymać.

— Moi kochani — rzekłem — nie ma co rozpaczać. Przeszliśmy już dużo gorsze rzeczy. Bądźcie łaskawi czekać spokojnie; przekonamy się, kim jest dowódca i załoga tego okrętu…

— Ja już wiem dokładnie — przerwał Ned Land. — To są łajdacy…

— No, dobrze! Ale z jakiego kraju?

— Z kraju łajdaków!

— Kochany Nedzie — rzekłem — ten kraj nie jest jeszcze dokładnie oznaczony na mapie; narodowość tych dwóch nieznajomych jest rzeczywiście trudna do określenia! Nie są Anglikami, nie są Francuzami i nie są Niemcami — tyle tylko wiemy. Jakoś mi się jednak zdaje, że i dowódca, i jego oficer urodzili się pod małymi szerokościami; jest w nich coś z południowców. Ale z wyglądu fizycznego nie mogę stwierdzić, czy to są Hiszpanie, czy Turcy, czy może Arabowie, czy Hindusi. Wiemy tylko, że ich język jest całkiem niezrozumiały.

— Oto nieprzyjemność, kiedy się nie zna wszystkich języków — powiedział Conseil — ani jakiegoś jednego języka wspólnego dla wszystkich!

— To by się na nic nie przydało — odparł Ned Land. — Czy nie widzicie, panowie, że ci ludzie mają swój własny język, wymyślony specjalnie, aby dręczyć uczciwych ludzi, którzy chcą zjeść obiad? Ale przecież we wszystkich krajach świata zrozumiano by, gdybym otworzył usta, poruszył szczękami, kłapnął zębami i zamlaskał wargami! Czy zarówno w Quebecu, jak na wyspach Paumotu, w Paryżu czy też na antypodach* nie znaczy to: „Jestem głodny, dajcie mi jeść”?

— Och! — rzekł Conseil. — Bywają natury do tego stopnia nie—domyślne…

Kiedy wymawiał te słowa, drzwi się otworzyły. Wszedł steward. Przynosił nam ubrania — kurtki i spodnie marynarskie, zrobione z materiału, którego nie znałem. Ubrałem się szybko; moi towarzysze także.

Przez ten czas steward — niemy, a może i głuchy — rozłożył na stole trzy nakrycia.

— Nareszcie coś poważnego — rzekł Conseil. — Zapowiada się nieźle.

— Phi! — burknął gniewnie harpunnik. — Pewnie jedzą tu same świństwa! Żółwią wątróbkę, pieczonego rekina i befsztyk z psa morskiego!

— Zobaczymy! — powiedział Conseil.

Przykryte srebrnymi pokrywami półmiski były symetrycznie rozstawione na obrusie; zasiedliśmy. Stanowczo mieliśmy do czynienia z ludźmi cywilizowanymi; gdyby nie zalewające nas światło elektryczne, myślałbym, że siedzę w sali jadalnej Hotelu Adelphi w Liverpoolu albo w Grand—Hotelu w Paryżu. Nie było tylko chleba i wina. Woda była świeża i czysta, ale była tylko wodą — co nie bardzo się podobało Nedowi. Wśród dań, które stały przed nami, rozpoznałem kilka gatunków ryb, delikatnie przyrządzonych; co do niektórych

---

republikańskiego w Rzymie, uważany za jednego z mistrzów klasycznego języka łacińskiego

* na antypodach — w punkcie leżącym po przeciwnej stronie globu ziemskiego

potraw natomiast — doskonałych zresztą — nie potrafiłbym się wypowiedzieć nawet, czy dostarczył ich świat zwierzęcy, czy roślinny. Jeśli chodzi o nakrycie, to było ono eleganckie i świadczyło o wytwornym smaku właściciela. Na każdej łyżce, widelcu, nożu, na każdym talerzu widniała litera okolona wyrazami dewizy:

Mobilis in Mobili — Ruchome w Ruchomym! Jeśli tłumaczyć przyimek *in* przez *w*, a nie przez *na*, dewiza odniesie się doskonale do owego statku podwodnego. Litera „N” była na pewno inicjałem imienia zagadkowej osoby, owego dowódcy podmorskiego!

Ned i Conseil nie przeżywali zapewne wszystkich tych refleksji. Pożerali chciwie, co było do jedzenia, a ja ich naśladowałem. Byłem zresztą spokojny o nasz los; wyglądało na to, że nasi gospodarze nie zechcą nas morzyć głodem.

Wszystko jednak ma swój koniec na tej ziemi, nawet głód ludzi, którzy nie jedli od piętnastu godzin! Kiedy zaspokoiliśmy nasze apetyty, poczuliśmy nieprzemożną potrzebę snu. Po owej nocy bez końca, w czasie której walczyliśmy ze śmiercią, była to całkiem naturalna reakcja.

— Dobrze sobie chrapnę! — odezwał się Conseil.

— Ja już chrapię! — odpowiedział Ned Land.

Obaj moi towarzysze wyciągnęli się na dywanie, pokrywającym podłogę kabiny, i zapadli po chwili w głęboki sen.

Ja osobiście wolniej ulegałem tej gwałtownej potrzebie snu. Zbyt dużo myśli zbierało się w mej głowie, zbyt wiele pytań przewalało się po niej, zbyt wiele obrazów nie pozwalało zamknąć powiek. Gdzieśmy się znajdowali? W czyjej byliśmy władzy? Czułem, a przynajmniej zdawało mi się, że czuję, iż aparat posuwa się ku największym głębinom morza. Zaczęły mnie oblegać koszmary. Widziałem już w tajemniczych głębinach cały świat nieznanych stworzeń, do których ten okręt zdawał się być podobny — żywy, ruszający się, potworny jak one!… Później jednak mózg mój się uspokoił, wyobraźnia zapadła w nieokreślone odrętwienie i — zasnąłem głębokim, ciężkim snem.

Rozdział IX
Ned Land wpada w gniew

Nie wiem, jak długo spaliśmy; zapewne długo, bo obudziliśmy się zupełnie wypoczęci. Ja wstałem pierwszy. Towarzysze moi jeszcze się nie ruszali; leżeli w swych kątach jak bezwładne przedmioty.

Gdy tylko podniosłem się z dość twardego posłania, poczułem, że umysł mój uwolniony jest od ciężkich zmór nocy i wypoczęty. Jeszcze raz obejrzałem dokładnie naszą celę. Nic się wewnątrz nie zmieniło. Więzienie pozostało więzieniem, więźniowie — więźniami. Jedynie, korzystając z naszego snu, steward sprzątnął ze stołu. Nic nie wskazywało na żadne zmiany sytuacji w najbliższej przyszłości i zacząłem już sobie zadawać poważne pytanie: czy jest nam przeznaczone pozostać do końca życia w owej klatce?

Perspektywa taka wydała mi się o tyle przykra, że wprawdzie mózg mój był już wolny od przeżyć dnia wczorajszego, ale czułem szczególny ucisk na piersi. Oddychałem z trudem. Płucom moim ledwo starczało powietrza, które stało się już ciężkie. Choć nasza kabina była dość obszerna, jednak zużyliśmy już dużą część zawartego w niej tlenu. Człowiek bowiem w ciągu każdej godziny potrzebuje tyle tlenu, ile go jest w stu litrach powietrza; powietrze to natomiast przesyca się prawie taką samą ilością dwutlenku węgla, stając się niezdatne do oddychania.

Trzeba więc było koniecznie odświeżyć atmosferę w naszym więzieniu, a niewątpliwie i atmosferę całego statku podwodnego.

I tutaj powstawało pytanie: jak postępuje dowódca tej pływającej budowli? Czy otrzymuje powietrze drogą chemiczną, wyzwalając za pomocą ciepła tlen z chloranu potasu i wiążąc dwutlenek węgla z potasem kaustycznym? W takim razie musiał zachować jakąś łączność z lądem, inaczej nie miałby materiałów niezbędnych do tych czynności. A może wystarczyło mu magazynowanie powietrza pod wysokim ciśnieniem w jakichś zbiornikach i zużywanie go w miarę potrzeb załogi? Nie wykluczone. A może — co jest wygodniejsze, tańsze, a zatem bardziej prawdopodobne — powracał po prostu, jak wieloryb, na powierzchnię morza i odnawiał co dwadzieścia cztery godziny zapas powietrza? Jakakolwiek jednak była jego metoda, należało ją, moim zdaniem, zastosować bezzwłocznie.

Musiałem już znacznie przyśpieszyć oddech dla wydobycia z naszej celi ostatków tlenu, kiedy poczułem nagle świeży prąd powietrza, czystego i przesiąkniętego solą. To powiew morza, ożywczy, przesycony jodem! Otworzyłem szeroko usta i pozwoliłem płucom rozkoszować się tlenem. Jednocześnie poczułem unoszenie się i opadanie w dół, jakby kołysanie o niewielkiej amplitudzie, ale nie ulegające wątpliwości. Statek, stalowy potwór, wypływał, na powierzchnię oceanu i tam oddychał jak wieloryb. Poznałem więc doskonale sposób jego wentylacji.

Kiedy już nawdychałem się do woli świeżego powietrza, zacząłem szukać drogi, jaką musiało się ono dostawać do wnętrza kabiny. Nie szukałem długo; ponad drzwiami widniał niewielki otwór, którędy wchodził ożywczy prąd, odświeżający duszną atmosferę celi.

Kiedy to zdołałem zauważyć, Ned i Conseil obudzili się prawie jednocześnie pod wpływem owej orzeźwiającej zmiany powietrza. Przetarli oczy, rozprostowali ramiona i zerwali się na równe nogi.

— Czy pan profesor dobrze spał? — spytał Conseil ze zwykłą mu uprzejmością.

— Bardzo dobrze, mój kochany — odpowiedziałem. — A wy, Land?

— Mocno i głęboko, panie profesorze. Ale, jeśli się nie mylę, czuję morski powiew.

Marynarz musiał się na tym poznać; opowiedziałem Kanadyjczykowi, co zaszło w czasie jego snu.

— Aha! — powiedział. — To nam wyjaśnia ryki, które usłyszeliśmy, kiedy rzekomy

narwal znajdował się niedaleko „Abrahama Lincolna”.

— Tak jest, Land, to był jego oddech!

— Nie wiem tylko, panie profesorze, która teraz może być godzina; przypuszczam, że w każdym razie godzina obiadu.

— Godzina obiadu, zacny harpunniku? Powiedzcie raczej — godzina śniadania, bo przecież już na pewno upłynął cały dzień od wczorajszych wydarzeń.

— Oznacza to — odezwał się Conseil — że spaliśmy prawie całą dobę.

— Tak sądzę — powiedziałem.

— Nie sprzeczam się — rzekł Ned Land. — Ale właściwie to obojętne, czy obiad, czy śniadanie; steward będzie mile widziany, jeśli przyniesie jedno lub drugie.

— Jedno i drugie — wtrącił Conseil.

— Naturalnie — powiedział Kanadyjczyk. — Mamy prawo do dwóch posiłków i jeśli o mnie chodzi, obydwu dam radę.

— A więc, Ned, czekajmy — rzekłem. — Widać przecież, że ci nieznajomi ludzie nie mają zamiaru nas zagłodzić, bo w takim razie wczorajszy obiad nie miałby sensu.

— A może nas będą tuczyć? — domyślał się Ned.

— Ależ skąd! — odparłem. — Nie wpadliśmy przecież w ręce ludożerców!

— Że raz dali nam jeść, to jeszcze niczego nie dowodzi — powiedział Kanadyjczyk całkiem serio. — Kto wie, czy ci ludzie nie są od dawna pozbawieni świeżego mięsa? Takie trzy zdrowe i dobrze zbudowane osobniki, jak pan profesor, jego służący i ja…

— Co za myśl, mości Land — rzekłem do harpunnika. — Nie weźcie tylko poważnie tego przypuszczenia i nie unieście się zbytnio wobec naszych gospodarzy, bo to może jedynie pogorszyć naszą sytuację.

— Tak czy owak — wrzasnął harpunnik — jestem głodny jak wszyscy diabli! Obiad czy śniadanie, wszystko jedno — ale go nie ma.

— Słuchajcie, Land — tłumaczyłem — trzeba się stosować do tutejszych przepisów pokładowych; mam wrażenie, że nasze żołądki śpieszą się w stosunku do zegara kucharza okrętowego.

— Musimy je więc nastawić prawidłowo — zauważył spokojnie Conseil.

— Ja już cię znam, przyjacielu Conseil! — niecierpliwił się Kanadyjczyk. — Mało masz żółci i nerwów! Zawsze spokojny! Raczej zdechłbyś z głodu, niż się poskarżył!

— Bo i co by to pomogło? — zapytał Conseil.

— To, że się można skarżyć, też coś znaczy! Jeśli ci piraci — mówię „piraci” przez uprzejmość i tylko dlatego, że pan profesor zabrania nazywać ich ludożercami — otóż jeśli ci piraci wyobrażają sobie, że będą mnie trzymać w tej klatce, gdzie się duszę, i że nie dowiedzą się, jakich przekleństw używam, kiedy jestem wściekły — to się grubo mylą! Długo nas tak będą trzymali w tym żelaznym pudle?

— Prawdę mówiąc, niewiele więcej wiem od was, przyjacielu.

— No, ale jak pan przypuszcza?

— Przypuszczam, że stanęliśmy przypadkiem wobec jakiejś ważnej tajemnicy. Jeżeli więc załoga tego podwodnego statku pragnie tę tajemnicę utrzymać i jeśli to pragnienie jest ważniejsze od życia trzech ludzi, to, jak sądzę, przyszłość nasza jest mocno wątpliwa. W przeciwnym wypadku potwór, który nas pochłonął, zwróci nas przy pierwszej sposobności normalnemu światu.

— A może będziemy musieli zaciągnąć się do jego załogi — rzekł Conseil — i w ten sposób czekać…

— Do chwili — przerwał Ned Land — aż jakaś fregata, szybsza i silniejsza od „Abrahama Lincolna”, zawładnie tym korsarskim gniazdem i wreszcie pozwoli nam wszystkim nałykać się świeżego powietrza… kiedy zadyndamy na głównej rei.

— Całkiem słusznie, Land — odezwałem się. — Ale, jak dotychczas, nic mi nie wiadomo

o takiej propozycji. Nie ma więc sensu dyskutować na temat, co by się w tym wypadku stało. Powtarzam, czekajmy i nic nie róbmy, bo i tak nie ma nic do roboty.

— Przeciwnie, panie profesorze! — odpowiedział harpunnik obstając ciągle przy swoim. — Coś trzeba zrobić koniecznie!

— No i cóż takiego, mości Land?

— Uciec!

— Dostatecznie trudna jest ucieczka z „ziemskiego” więzienia, a z podmorskiego będzie chyba zupełnie niemożliwa.

— No i cóż, przyjacielu Nedzie? — zagadnął Conseil. — Cóż powiesz na zastrzeżenia pana profesora? Czyżby istniał taki Amerykanin, który na coś nie może znaleźć sposobu?

Harpunnik umilkł, widocznie zakłopotany. W warunkach, w jakich znajdowaliśmy się teraz, ucieczka była całkiem niemożliwa. Ale Kanadyjczyk to zawsze pół–Francuz i Land dowiódł tego odpowiadając po kilku chwilach namysłu:

— I pan, panie profesorze, nie zgaduje, co powinni zrobić ludzie, którzy nie mogą uciec z więzienia?

— Nie, mój kochany.

— Przecież to bardzo proste: powinni się tak urządzić, żeby w nim móc zostać.

— Do diabła! — odezwał się Conseil. — Nawet o wiele przyjemniej jest siedzieć w środku niż z wierzchu albo pod spodem!

— Oczywiście, trzeba tylko powyrzucać z więzienia dozorców, kluczników i strażników!

— Jak to, Ned? Myślicie poważnie o opanowaniu tego statku?

— Całkiem poważnie — odparł Kanadyjczyk.

— Przecież to niemożliwe!

— A dlaczego, panie profesorze? Może się nadarzyć odpowiednia sposobność i nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy z niej nie skorzystać. Nie ma ich tu pewnie więcej niż dwudziestu; myślę, że dwóch Francuzów i Kanadyjczyk nie cofną się przed taką siłą!

Lepiej było przyjąć bez dyskusji propozycję harpunnika, więc odpowiedziałem tylko:

— Zobaczymy, co będzie, Land. Na razie, bardzo was proszę, powściągnijcie niecierpliwość. Możemy tu coś zdziałać tylko podstępem, a jeśli się będziecie unosić, na pewno nie stworzycie korzystnych warunków do działania. Przyrzeknijcie mi, że przestaniecie się złościć.

— Dobrze, przyrzekam, panie profesorze — odparł Ned Land tonem nie budzącym zbytniego zaufania. — Nie wypowiem ani jednego słowa, nie zdradzę się ani jednym gwałtownym gestem, choćby nawet nie podawano tu do stołu z należytą regularnością!

— Trzymam was za słowo — rzekłem.

Na tym rozmowa się skończyła i każdy pogrążył się w swych myślach. Przyznam się, że mimo zapewnień harpunnika nie żywiłem żadnych złudzeń. Byłem zdania, że owe „pomyślne warunki”, o których mówił Ned, nie nastąpią nigdy. Statek podwodny, kierowany tak pewnie, wymagał niewątpliwie licznej obsługi, więc w razie walki mielibyśmy na pewno zbyt wielu przeciw sobie. Zresztą trzeba było przede wszystkim być wolnym, a myśmy siedzieli w zamknięciu. Nie widziałem najmniejszego sposobu wymknięcia się z tej stalowej celi, tak hermetycznie zatrzaśniętej. Jeżeli zatem dowódca strzegł istotnie jakiejś tajemnicy — co było bardzo prawdopodobne — to na pewno nie pozwoli nam na swobodne poruszanie się po statku. A teraz pytanie: czy pozbędzie się nas za pomocą gwałtu, czy też wysadzi nas pewnego dnia w jakimś punkcie kuli ziemskiej? Nie miałem pojęcia. Wszystkie te hipotezy wydawały mi się słuszne i trzeba było być chyba harpunnikiem, ażeby mieć nadzieję odzyskania wolności.

Zauważyłem, że — w miarę jak Ned snuł dalsze refleksje — projekty jego stawały się coraz groźniejsze. Słyszałem, jak bulgotały mu w gardzieli jakieś przekleństwa i groźby, jak ruchy stawały się znów gwałtowne. Wstawał, krążył jak zwierz w klatce, kopał ściany i bił w

nie pięściami. Istotnie czas płynął, głód dawał się coraz bardziej we znaki, a steward nie myślał się pokazać. Jeśliby miano uczciwe zamiary wobec nas, to przecież nie zapomniano by tak o doli rozbitków.

Ned Land, którego coraz bardziej dręczyły wymagania ogromnego żołądka, ulegał wzmagającemu się rozdrażnieniu, tak że — mimo słowa, które mi dał — zacząłem się poważnie obawiać wybuchu z jego strony, gdy tylko znajdzie się znów w obliczu kogoś z załogi.

Przez dwie godziny jeszcze wzrastała wściekłość Kanadyjczyka. Wołał, krzyczał — wszystko na próżno. Stalowe ściany milczały. Nie słychać było w ogóle żadnego odgłosu wewnątrz statku, który wydawał się wymarły. Nie poruszał się, bo czułbym przecież drgania kadłuba od obrotów śruby. Zagłębiony w przepaściach wód, nie należał już do ziemi. Przerażające było to ponure milczenie.

Nie śmiałem nawet oceniać, jak długo już byliśmy tak opuszczeni, zapomniani w naszej celi. Nadzieje, jakie zacząłem żywić w związku z ujrzeniem dowódcy statku, rozwiewały się z wolna. Z pamięci mojej zaczęło już znikać łagodne spojrzenie tego człowieka, wspaniałomyślny wyraz jego fizjonomii, szlachetność w ruchach. Zagadkową tę postać widziałem znów taką, jaką prawdopodobnie była: bezlitosną i okrutną. Czułem, że ten człowiek znajduje się poza społeczeństwem ludzkim, że uczucie litości jest mu nie znane, że jest nieprzejednanym wrogiem świata, któremu zaprzysiągł wieczystą nienawiść.

Czy ów człowiek skazywał nas na śmierć z wyczerpania? Czy mieliśmy już pozostać w tym ciasnym więzieniu zdani na okropne podszepty, jakie podsuwa dziki głód? Te straszliwe myśli opanowały całkowicie mój umysł; pomagała im wyobraźnia; czułem, że wkrótce ogarnie mnie szaleństwo. Conseil pozostawał spokojny. Ned Land ryczał.

W tej chwili z zewnątrz dały się słyszeć jakieś odgłosy. Na metalowej podłodze zadźwięczały kroki, zgrzytnęły zamki, drzwi się otworzyły i ukazał się steward.

Kanadyjczyk rzucił się na biedaka, zanim zdołałem uczynić ruch, aby go zatrzymać; przewrócił go na ziemię; ręką sięgnął do gardła. Steward dusił się pod uciskiem tej potężnej dłoni.

Conseil usiłował wydrzeć z rąk harpunnika na wpół zaduszoną ofiarę; właśnie miałem przyjść mu z pomocą, kiedy — nagle — stanąłem jak wryty na dźwięk słów wypowiedzianych po francusku:

— Niech się pan uspokoi, panie Land! Panie profesorze, zechce mnie pan wysłuchać!

Rozdział X
Pan wód

Słowa te wypowiedział dowódca statku.

Ned Land zerwał się natychmiast. Na wpół uduszony steward podniósł się i, na znak dowódcy, wyszedł zataczając się; a taka była moc i władza komendanta, że człowiek ten nie zdradził nawet gestem, co czuje w stosunku do Kanadyjczyka. Conseil i ja, zaskoczeni i zaciekawieni, czekaliśmy w milczeniu na rozwikłanie sytuacji.

Dowódca oparł się o róg stołu i skrzyżowawszy ręce przypatrywał się nam z głęboką uwagą. Czy wahał się mówić? Czy żałował może tych słów wypowiedzianych po francusku? Można było tak sądzić.

Po kilku chwilach milczenia, którego nikt z nas nie śmiał przerwać, odezwał się jednak spokojnym, głębokim głosem:

— Panowie! Mówię równie dobrze po francusku, po angielsku, po niemiecku i po łacinie. Mogłem wam więc odpowiedzieć już w czasie naszego pierwszego spotkania, chciałem was jednak przede wszystkim poznać, a potem zastanowić się. Wasze poczwórne opowiadanie, w gruncie rzeczy identyczne, upewniło mnie co do waszej tożsamości. Wiem teraz, że przypadek zetknął mnie z panem Piotrem Aronnax, profesorem Paryskiego Muzeum Przyrodniczego, któremu powierzono zagraniczną misję naukową, dalej z Conseilem, jego służącym, wreszcie z Nedem Landem z pochodzenia Kanadyjczykiem, obecnie harpunnikiem na pokładzie fregaty „Abraham Lincoln”, należącej do floty Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Skłoniłem się potwierdzająco. Dowódca o nic nie pytał, nie miałem więc co odpowiadać. Wyrażał się z doskonałą swobodą i świetnym akcentem. Formułował jasne zdania, dobierał odpowiednich słów, można było nawet zauważyć łatwość wypowiedzi. Jednakowoż „nie czułem” w nim rodaka.

Po chwili ciągnął dalej:

— Sądził pan zapewne, panie profesorze, że długo zwlekałem, zanim odwiedziłem was po raz drugi. Stało się tak, ponieważ po stwierdzeniu waszej tożsamości chciałem dokładnie rozważyć, jak się wobec was zachować. Długo myślałem. Pożałowania godne okoliczności rzuciły was przed oblicze człowieka, który zerwał z ludzkością. Zjawiliście się tu i zakłóciliście moje życie…

— Niechcący — wtrąciłem.

— Niechcący? — odparł nieznajomy nieco głośniej. — Czy to niechcący ścigał mnie „Abraham Lincoln” po wszystkich morzach? Czy niechcący wsiedliście na pokład tej fregaty? Czy może niechcący odskakiwały wasze kule od kadłuba mojego statku? Czy niechcący uderzył weń pan Ned Land swoim harpunem?

W słowach tych przebijało tłumione rozdrażnienie. Na wszystkie te zarzuty miałem jednak zupełnie naturalną odpowiedź:

— Nie słyszał pan zapewne o tym, ile rozprawiano na pański temat w Ameryce i w Europie. Nie wie pan, do jakiego stopnia poruszyły publiczną opinię obu kontynentów wypadki, które spowodował pański statek podwodny. Nie będę tu wspominał o niezliczonych hipotezach na temat objaśnienia tego niewytłumaczalnego zjawiska, którego tajemnicę jedynie pan posiada. Proszę jednak przyjąć do wiadomości, że „Abraham Lincoln”, ścigając pana aż po północne wody Pacyfiku, robił to w przekonaniu, że poluje na potężnego potwora morskiego, od którego należało uwolnić morza za wszelką cenę.

Lekki uśmiech ukazał się na ustach dowódcy statku; spokojnym już głosem odpowiedział:

— Panie profesorze, czy ośmieliłby się pan twierdzić, że wasza fregata nie ścigałaby i nie ostrzeliwała statku podwodnego tak samo, jak potwora?

Zakłopotało mnie to pytanie, bowiem kapitan Farragut na pewno by się nie zawahał.

Zniszczenie statku podwodnego poczytałby sobie za obowiązek tak samo, jak zabicie olbrzymiego narwala.

— Rozumie pan więc, panie profesorze — ciągnął nieznajomy — że mam prawo uważać pana za wroga.

Nic na to nie odpowiedziałem, bo i po co? Po cóż dyskutować, kiedy najlepsze argumenty zniweczyć może siła?

— Długo myślałem — mówił dalej dowódca. — Nic mnie nie zmuszało do udzielenia wam gościnności. Gdybym się miał z wami rozstać, nie potrzebowałbym was więcej oglądać. Mógłbym was umieścić z powrotem na platformie, na której znaleźliście ocalenie; potem zanurzyłbym się pod wodę i przestałbym nawet pamiętać o waszym istnieniu. Czy nie miałem do tego prawa?

— Byłoby to prawo dzikiego — odpowiedziałem — a nie człowieka cywilizowanego.

— Panie profesorze — rzekł żywo dowódca. — Nie jestem tym, co pan określa mianem „człowiek cywilizowany”! Dla przyczyn, które sam tylko mam prawo rozważać, zerwałem całkowicie z wszelką społecznością. Nie jestem posłuszny jej prawom i proszę, aby pan się na nie przede mną nigdy nie powoływał!

Niedwuznacznie powiedziane! Przez twarz nieznajomego przemknął błysk gniewu i pogardy; odgadywałem straszliwą przeszłość tego człowieka. Nie tylko postawił się poza ludzkimi prawami, ale uczynił siebie niezależnym, wolnym w najściślejszym znaczeniu tego słowa, niedosięgłym! Któż by się odważył ścigać go w głębinach mórz, skoro nawet na powierzchni mógł sobie drwić z wszelkich zamachów przeciw sobie? Jakiż statek oparłby się atakowi jego maszyny podwodnej! Jaki pancerz, choćby najgrubszy, wytrzymałby uderzenie jego ostrogi? Nikt nie był w stanie zażądać rachunku z popełnionych przez tego człowieka czynów. Któż mógłby mu być sędzią? Jedynie chyba Bóg, jeśli w niego wierzył, i sumienie, jeśli je posiadał.

Tak myślałem, a myśli przelatywały błyskawicznie przez moją głowę, w czasie gdy dziwny nieznajomy milczał, jakby pogrążony w sobie. Obserwowałem go z obawą i zaciekawieniem; tak zapewne przyglądał się Edyp Sfinksowi*. Po dość długim milczeniu dowódca znowu przemówił:

— Wahałem się więc długo. Pomyślałem sobie jednak, że można pogodzić mój interes osobisty z ową przyrodzoną litością, do której każda ludzka istota ma prawo. Los rzucił was na pokład mojego statku — więc zostaniecie tu. Zachowacie swobodę, a w zamian za nią, choć i ona będzie dość względna, postawię wam tylko jeden warunek. Wystarczy mi wasze słowo, że go dotrzymacie.

— Proszę mówić — odparłem. — Mam nadzieję, że ten warunek będzie do przyjęcia dla uczciwych ludzi.

— Tak, panie profesorze. Warunek jest następujący: możliwe, że pewne nieprzewidziane wypadki zmuszą mnie do przetrzymywania was w kabinach przez kilka godzin albo i kilka dni. Nie chciałbym nigdy używać przemocy, oczekiwać więc będę z waszej strony absolutnego posłuszeństwa w tych wypadkach, więcej niż kiedykolwiek. W ten sposób biorę na siebie odpowiedzialność, zwalniając was z niej całkowicie, ponieważ już tylko do mnie będzie należało uniemożliwić wam zobaczenie tego, czegoście widzieć nie powinni. Czy przyjmujecie ten warunek?

A zatem na pokładzie zdarzały się rzeczy co najmniej dziwne i nie powinny być one oglądane przez tych, którzy nie postawili siebie poza ludzkimi prawami! Nie była to najbłahsza z niespodzianek, jakie nam przyszłość gotowała.

— Przyjmujemy — odezwałem się. — Proszę mi pozwolić zadać jedno pytanie, tylko

---

* …tak zapewne przyglądał się Edyp Sfinksowi — Edyp jest postacią z mitologii greckiej. Na drodze do Teb spotkał Sfinksa, potwora o ciele lwa i głowie kobiety, który pożerał każdego przechodnia nie umiejącego rozwiązać zagadki, jaką mu zadał. Edyp rozwiązał zagadkę zadaną mu przez Sfinksa i uwolnił Teby od potwora

jedno.

— Słucham pana.

— Powiedział pan, że będziemy mieli swobodę na pańskim statku.

— Tak jest, całkowitą.

— Chciałbym więc zapytać, co pan rozumie przez ową swobodę?

— Ależ zupełną swobodę chodzenia, poruszania się, oglądania, przypatrywania się wszystkiemu, co się tu dzieje — wyjąwszy kilka rzadkich okoliczności — swobodę, jaką zresztą cieszymy się tu wszyscy, to jest moi towarzysze i ja!

Jasne było, że nie zrozumieliśmy się.

— Przepraszam pana bardzo — rzekłem. — Ta swoboda jest tylko taka, jaką ma każdy więzień, któremu wolno chodzić po swym więzieniu! To nam przecież nie może wystarczyć.

— A jednak musi wam to wystarczyć!

— Jak to? Musimy więc na zawsze wyrzec się zobaczenia naszego kraju, naszych przyjaciół, naszych rodzin?

— Tak jest, proszę panów. Zarazem jednak wyrzekniecie się owego nieznośnego jarzma ziemskiego, które ludzie poczytują za wolność; będzie to dla was lżejsze, niż przypuszczacie!

— Coś takiego! — krzyknął Ned Land. — Nigdy nie dam słowa na to, że nie będę próbował uciekać!

— Nie żądam od pana słowa, panie Land — odparł zimno dowódca statku.

— Pan nadużywa swojej władzy w stosunku do nas! — rzekłem unosząc się mimo woli. — To okrucieństwo!

— Nie, panie profesorze, to jest miłosierdzie. Jesteście moimi jeńcami, przegraliście bitwę. Zachowuję was przy życiu, choć mógłbym jednym słowem pogrążyć was znów w przepaściach oceanu! Napadliście na mnie! Chcieliście wydrzeć tajemnicę, której nie powinien poznać żaden człowiek na tym świecie, tajemnicę mojego istnienia! I teraz sądzicie, że powinienem was odesłać na ziemię, na tę ziemię, która nigdy już nie powinna o mnie słyszeć! Za nic! Przytrzymując was, ochraniam nie was, lecz siebie samego!

Słowa te oznaczały, że człowiek ów powziął postanowienie, przeciw któremu nie było argumentów.

— A zatem — odpowiedziałem — daje nam pan po prostu wybór pomiędzy życiem i śmiercią?

— Tak jest.

— Moi kochani — zwróciłem się do swych towarzyszy. — Na zagadnienie, postawione w taki sposób, nie ma co odpowiadać. Ale w stosunku do dowódcy tego okrętu nie jesteśmy związani żadnym słowem!

— Żadnym, profesorze — odpowiedział nieznajomy. I, łagodniejszym głosem, mówił dalej:

— Pozwólcie mi teraz, panowie, dokończyć tego, co miałem wam do powiedzenia. Panie profesorze Aronnax, znam pana. Nie powinien się pan tak uskarżać na zły przypadek, który związał los pański z moim. Między książkami, które mi służą w ulubionych badaniach, znajdzie pan i swoje dzieło o wielkich głębiach morskich. Czytywałem je często. Posunął pan swoją wiedzę tak daleko, jak tylko panu na to pozwalała nauka ziemska. Ale nie zna pan wszystkiego, nie wszystko pan widział. Proszę sobie pozwolić powiedzieć, że nie pożałuje pan czasu spędzonego na pokładzie mojego statku. Będzie pan podróżował po krainie cudów. Będzie się pan stale dziwił i zdumiewał. Niełatwo się pan znudzi widokami, które będą się ciągle roztaczać przed pańskimi oczami. Udaję się teraz w kolejną — kto wie, może już ostatnią — podróż dookoła świata podmorskiego, aby jeszcze raz ujrzeć wszystko to, com mógł zbadać dotychczas w głębinach oceanów; będzie mi pan towarzyszem studiów. Od dnia dzisiejszego wkracza pan w nowy żywioł: będzie pan oglądać to, czego nie widział dotychczas żaden człowiek — bo ja i moi towarzysze nie liczymy się. Dzięki mnie planeta

nasza odsłoni przed panem ostatnie swoje tajemnice.

Nie mogę zaprzeczyć, że te słowa dowódcy wywarły na mnie wielkie wrażenie. Dotknięto mojej słabej strony do tego stopnia, że zapomniałem na chwilę, iż podziwianie tych cudów będę musiał opłacić utratą wolności. Co prawda liczyłem, że przyszłość sama rozwiąże to zagadnienie. Dlatego też odpowiedziałem tylko:

— Chociaż pan zerwał z ludzkością, jednakże mam chyba prawo przypuszczać, że nie odrzucił pan od siebie wszystkich ludzkich uczuć. Jesteśmy rozbitkami przygarniętymi na pański pokład z litości; tego panu nie zapomnimy. Jeśli chodzi o mnie, to zdaję sobie dobrze sprawę z tego, że gdyby interes nauki wymagał aż wyrzeczenia się wolności — spotkanie z panem zrównoważyłoby to w wielkim stopniu.

Sądziłem, że dowódca poda mi rękę dla przypieczętowania zawartego układu. Nie uczynił tego.

Nie poczułem się dotknięty, raczej było mi przykro za niego.

— Ostatnie pytanie — odezwałem się jeszcze, kiedy mi się wydawało, że ten niepojęty człowiek zamierza odejść.

— Słucham, panie profesorze.

— Jak mam pana nazywać?

— Profesorze — odpowiedział dowódca — będę dla pana tylko kapitanem Nemo*. Jesteście, pan i pańscy towarzysze, pasażerami „Nautilusa”*.

Kapitan Nemo zawołał; wszedł steward. Kapitan wydał mu rozkazy w owym obcym języku, którego nawet nie mogłem rozeznać. Potem zwrócił się do Kanadyjczyka i Conseila:

— W waszej kabinie czeka przygotowany posiłek. Ten człowiek was zaprowadzi.

— Tego się nie odmawia! — rzekł harpunnik.

Conseil wyszedł z nim wreszcie z celi, w której przebywali od trzydziestu godzin.

— A teraz, panie profesorze, proszę na śniadanie. Pozwoli pan, że będę szedł pierwszy.

— Do usług, panie kapitanie.

Udałem się za kapitanem Nemo. Natychmiast po wyjściu poszliśmy rodzajem korytarza, podobnego do okrętowych korytarzyków, tylko oświetlonego elektrycznością. Mniej więcej po dziesięciu metrach otworzyły się przede mną inne drzwi.

Wszedłem do jadalni przybranej i umeblowanej w stylu raczej surowym. Pod dwiema ścianami sali stały naprzeciwko siebie dwa wysokie kredensy dębowe z hebanowymi inkrustacjami; na falisto biegnących półkach połyskiwały fajanse, porcelana i kryształy nieocenionej wartości. Naczynia i półmiski błyszczały od promieni światła rzucanych z sufitu, na którym wytworne malowidła tonowały i łagodziły blask. W środku sali stał bogato zastawiony stół.

Kapitan Nemo wskazał mi miejsce.

— Proszę siadać — rzekł. — Niech pan je, panie profesorze, jak człowiek, który był skazany na śmierć głodową.

Śniadanie składało się z szeregu dań na pewno dostarczonych przez morze i z kilku potraw, których pochodzenia nie mogłem się domyślić. Przyznam, że były dobre, choć miały szczególny smak, do którego zresztą szybko się przyzwyczaiłem. Wydawało mi się, że obfitowały w fosfor, i pomyślałem, że zapewne są również pochodzenia morskiego.

Kapitan Nemo przyglądał mi się. Choć nie pytałem o nic, odpowiedział mi, jakby odgadując myśli i pytania, które mnie paliły:

— Nie zna pan większości tych dań, panie profesorze. Może pan jednak jeść bez obawy. Wszystko to jest zdrowe i pożywne. Od dawna już wyrzekłem się ziemskich potraw, a przecież nie czuję się gorzej. Moja załoga odżywia się tak samo, a wszyscy są silni i zdrowi.

— Więc te wszystkie dania są produktami morskimi? — spytałem.

---

* N e m o — po łacinie nemo oznacza: nikt

* Nautilus (łac.) — pływak

— Tak, morze zaspokaja wszystkie moje potrzeby. Czasami zakładam sieci i ciągnę je za statkiem, aż wypełniają się prawie do zerwania. Czasem poluję wśród tego nieprzystępnego, zdawałoby się, dla człowieka żywiołu i ścigam zwierzynę, która kryje się w moich lasach podmorskich. Moje stada, jak trzody starego Neptuna*, pasą się bez obawy na niezmierzonych preriach oceanu. Jestem tu posiadaczem olbrzymich dóbr, stale obsiewanych ręką Stwórcy.

Patrzyłem na kapitana Nemo z niejakim zdziwieniem i rzekłem:

— Rozumiem, kapitanie, że sieci dostarczają panu doskonałych ryb do stołu; trochę mniej rozumiem, jak pan poluje na zwierzynę w pańskich lasach podmorskich; ale już zupełnie nie pojmuję, w jaki sposób może się znaleźć w pańskim jadłospisie choćby niewielki kawałek wołowiny.

— Ależ ja nigdy nie używam mięsa zwierząt lądowych, profesorze — odparł kapitan Nemo.

— A to? — zapytałem wskazując na półmisek, na którym pozostało jeszcze kilka kawałków pieczeni.

— To, co pan uważa za mięso, panie profesorze, to tylko polędwica z żółwia morskiego. A to — wątróbka z delfina, którą łatwo by pan poczytał za potrawkę wieprzową. Mój kucharz jest specjalistą w przygotowywaniu najprzeróżniejszych produktów oceanu. Proszę, niech pan skosztuje. Oto konserwa ze strzykw, za którą przepadają Malajczycy; oto krem, do którego mleka dostarczyło wymię wieloryba, a cukru — ogromne porosty Morza Północnego; wreszcie proszę pozwolić się poczęstować konfiturami z anemonów morskich, które dorównują najdelikatniejszym owocom.

Kosztowałem, bardziej z ciekawości niż jako smakosz, a kapitan Nemo zdumiewał mnie dalej swoimi nieprawdopodobnymi opowiadaniami:

— Morze, ta żywicielka wspaniała i niewyczerpana, nie tylko mnie karmi, profesorze, ale także i ubiera. Materiały, które pana teraz okrywają, utkane są z włókien pewnych mięczaków; farbuję je za pomocą używanej już przez starożytnych purpury, a dodaję fioletu wydzielanego przez aplizje, mięczaki żyjące w wodach Morza Śródziemnego. Na swojej toaletce znajdzie pan perfumy, które otrzymujemy przez destylację pewnych roślin morskich. Materac, na którym pan będzie spał, zrobiony jest z najdelikatniejszego gatunku trawy morskiej. Pańskie pióro jest z fiszbinu wieloryba, atramentu zaś dostarcza ciecz wydzielana przez mątwy. Wszystko, co mam teraz, pochodzi z morza i do morza kiedyś powróci!

— Kocha pan morze, kapitanie?

— O tak! Kocham. Morze jest wszystkim! Pokrywa siedem dziesiątych powierzchni kuli ziemskiej. Jego tchnienie jest czyste i zdrowe. To przeogromna pustynia, na której człowiek nigdy nie jest samotny, bo czuje wszędzie wokół siebie drgające życie. Morze jest nosicielem jakiegoś nieznanego, niezwykłego i potężnego życia; jest ruchem i miłością; jest żywą nieskończonością, jak się wyraził jeden z waszych poetów. Tak jest, panie profesorze, życie ujawnia się tu we wszystkich trzech swoich postaciach: minerałów, roślin i zwierząt. Świat zwierzęcy reprezentują tu dostatecznie cztery grupy zwierzokrzewów, trzy gromady stawonogów, pięć gromad mięczaków, trzy gromady kręgowców: ssaki, płazy i nieprzeliczone masy ryb, nieskończony rząd zwierząt, liczący ponad trzynaście tysięcy gatunków, z których tylko jedna dziesiąta żyje w wodach słodkich. Od morza, że się tak wyrażę, począł się nasz glob ziemski i — kto wie — czy się na morzu nie skończy! Tu spokój osiąga swój szczyt. Morze nie należy do żadnego despoty. Na powierzchni jeszcze mogą oni sprawować swoje niesprawiedliwe rządy, bić się, pożerać wzajemnie, przenosić na nią wszystkie ziemskie okropności. Ale o trzydzieści stóp pod tą powierzchnią kończy się ich władza, gasną ich wpływy, zanika potęga! Ach, panie profesorze, żyć tylko w łonie mórz! Tylko tu jest swoboda! Tu nie uznaję żadnych panów! Tu jestem wolny!

Kapitan Nemo zamilkł nagle, przerywając ten długi potok entuzjazmu, który go rozsadzał.

---

* Neptun — w wierzeniach rzymskich bóg morza i żeglugi

Czy pozwolił sobie na uniesienie ponad zwykłą powściągliwość? Czy powiedział zbyt wiele? Przez kilka minut przechadzał się; był bardzo wzruszony. Po chwili jednak nerwy jego się uspokoiły, twarz przybrała zwykły, chłodny wygląd i kapitan zwrócił się do mnie ze słowami:

— A teraz, panie profesorze, jeśli chce pan zwiedzić „Nautilusa” — służę panu.

Rozdział XI
„Nautilus”

Kapitan Nemo wstał. Otworzyły się podwójne drzwi w głębi sali i wszedłem do pokoju tej samej wielkości, co jadalnia. Była to biblioteka. Wysokie szafy z czarnego palisandru, inkrustowane miedzią, mieściły na szerokich półkach wielką liczbę jednakowo oprawnych książek. U dołu szafy te, biegnące dookoła całej sali, przechodziły w szerokie sofy, obite brązową skórą, tworząc wygodne i przytulne zagłębienia. Na lekkich, ruchomych pulpitach można było, oddalając je lub przybliżając do woli, oprzeć wygodnie czytaną książkę. W środku stał wielki stół zarzucony broszurami i czasopismami, pomiędzy którymi widać było także kilka starych już gazet. Tę zharmonizowaną całość zalewało światło elektryczne, padające z czterech matowych półkul, wprawionych w sufit. Nie wierzyłem prawie oczom przyglądając się z podziwem tej tak wspaniale urządzonej sali.

— Kapitanie Nemo — odezwałem się do mego gospodarza, który usadowił się właśnie na jednej z sof — ta biblioteka przynosiłaby zaszczyt niejednemu ziemskiemu pałacowi; jestem naprawdę oszołomiony, kiedy pomyślę, że może ona służyć panu nawet w największych głębinach.

— Gdzież znalazłbym więcej samotności, więcej ciszy, panie profesorze? — odparł kapitan Nemo. — Czy może pan lepiej wypocząć nawet w pańskim gabinecie w Muzeum?

— Nie, panie kapitanie, jest on uboższy od pańskiego. Ma pan tu sześć czy siedem tysięcy tomów…

— Dwanaście tysięcy, panie profesorze. To są jedyne więzy, które mnie łączą z ziemią. Ale tego dnia, kiedy „Nautilus” po raz pierwszy zanurzył się pod wodę, świat skończył się dla mnie. Tego dnia kupiłem ostatnie tomy, ostatnie broszury, ostatnie gazety; od tego dnia ludzkość — dla mnie — nic już nie wymyśliła ani nie napisała. Te książki są zresztą do pańskiej dyspozycji, panie profesorze, może pan ich używać do woli.

Podziękowałem kapitanowi i podszedłem do półek bibliotecznych. Obfitowały one w książki we wszystkich językach z dziedziny nauki, etyki i literatury; nie zauważyłem tylko ani jednego dzieła na temat ekonomii politycznej; była jakby bezwzględnie wyrugowana ze statku. Zaciekawił mnie szczegół, że dzieła poustawiano bez względu na języki, w jakich były napisane; ta mieszanina dowodziła, że kapitan Nemo widocznie czytał jednakowo płynnie każdy tom, jaki mu wpadł w rękę.

Zauważyłem tu arcydzieła mistrzów dawnych i współczesnych, wszystko właściwie, co najpiękniejszego stworzyła myśl ludzka w dziedzinie historii, poezji i prozy — od Homera do Wiktora Hugo*, od Ksenofonta* do Micheleta*, od Rabelais’go do pani Sand*. Lwia część biblioteki poświęcona jednak była naukom ścisłym; obok dzieł przyrodniczych były tam książki traktujące o mechanice, balistyce, hydrografii, meteorologii, geografii, geologii, z czego wywnioskowałem, że one właśnie były podstawą studiów kapitana. Dostrzegłem wszystkie dzieła Humboldta, komplet Arago, prace takich uczonych, jak Foucault, Henryk Sainte–Claire Deville, Chasles, Milne–Edwards*, de Quatrefages, Tyndall, Faraday, Berthelot, opat Secchi, Petermann, major Maury, Agassiz, wydawnictwa Akademii Nauk, biuletyny

* Hugo Victor (1802–1885) — wielki francuski powieściopisarz, poeta i dramaturg, autor znanej na całym świecie powieści pt. „Nędznicy”

* Ksenofont (ok. 427–355 przed n. e.) — grecki historyk, filozof i dowódca, autor pamiętników („Anabasis”) i historii Grecji

* Michelet Jules (1798–2874) — słynny, postępowy francuski historyk i pisarz, autor monumentalnej „Historii Francji” i „Historii rewolucji francuskiej”

* Sand George (1803–1876) — bardzo popularna w ubiegłym stuleciu powieściopisarka francuska

* Milne–Edwards Henri (1800–1885) — lekarz i zoolog francuski, autor licznych prac o mięczakach, skorupiakach itp.

różnych towarzystw geograficznych i innych, a także, nie na poślednim miejscu, owe dwa tomy, dzięki którym, być może, kapitan Nemo przyjął mnie względnie litościwie.

Wśród dzieł Józefa Bertanda zauważyłem książkę pod tytułem „Założyciele astronomii", która wskazała „mi zupełnie ścisłą datę: ponieważ wiedziałem, że pojawiła się w roku 1865, wywnioskowałem, iż spuszczenie na wodę „Nautilusa" nie mogło nastąpić wcześniej. Tak więc kapitan Nemo rozpoczął swe podmorskie życie najwyżej przed trzema laty. Spodziewałem się zresztą, że świeższe dzielą pozwolą mi jeszcze dokładniej ustalić datę; ale na to miałem jeszcze dość czasu, a na razie nie chciałem już zwlekać z dalszym spacerem wśród cudów „Nautilusa".

— Panie kapitanie — odezwałem się — dziękuję panu za oddanie tej biblioteki do mojej dyspozycji. Są tu prawdziwe skarby wiedzy; będę z nich korzystał.

— Ta sala to nie tylko biblioteka — rzekł kapitan Nemo — to także palarnia.

— Palarnia? — zdumiałem się. — Więc można tu palić?

— Oczywiście.

— W takim razie muszę przypuścić, panie kapitanie, że nie zerwał pan stosunków z Hawaną.

— Nie, panie profesorze. Proszę się poczęstować tym cygarem; jeśli pan jest znawcą, będzie panu smakowało, choć nie pochodzi z Hawany.

Przyjąłem ofiarowane mi cygaro, przypominające kształtem „londressy"*, wyrobione jednak jak gdyby ze złotych liści. Zapaliłem je od maleńkiego grzejniczka elektrycznego na eleganckiej podstawce z brązu i zaciągnąłem się z rozkoszą palacza, który nie palił od dwóch dni.

— Doskonałe — przyznałem. — Ale to nie tytoń.

— Nie — powiedział kapitan. — Ten tytoń nie pochodzi ani z Hawany, ani ze Wschodu. To jest pewien gatunek alg, bogaty w nikotynę, którego mi udziela morze, co prawda nieco skąpo. Czy tęskni pan teraz za „londressami", panie profesorze?

— Pogardzam nimi od dziś.

— No, to niech pan pali do woli, bez zastanawiania się nad ich pochodzeniem. Nad ich fabrykacją nie czuwał wprawdzie żaden monopol, ale sądzę, że przez to nie są wcale gorsze.

— Przeciwnie, wyśmienite.

W tej chwili kapitan Nemo otworzył drzwi umieszczone naprzeciw tych, którymi wszedłem do biblioteki, i przeszliśmy do ogromnego i wspaniale oświetlonego salonu.

Był to obszerny czworobok z zaokrąglonymi kątami, długi na dziesięć metrów, szeroki na sześć, a wysoki na pięć. Ze świetlnego, pokrytego delikatnymi arabeskami sufitu padał jasny, a zarazem łagodny blask na wszystkie cuda nagromadzone w tym muzeum.

Bo było to naprawdę muzeum, w którym mądra i szczodra ręka zebrała wszystkie skarby przyrody i sztuki, rozrzucając je w artystycznym nieładzie, godnym raczej pracowni malarza.

Na pokrytych surowymi gobelinami ścianach, poprzedzielane błyszczącymi zbrojami, wisiały jednolicie oprawione obrazy największych mistrzów. Było ich blisko trzydzieści. Ujrzałem płótna bezcennej wartości; większą ich część podziwiałem już w prywatnych zbiorach europejskich i na wystawach malarskich. Reprezentowane tu były prawie wszystkie szkoły. Z dzieł dawnych mistrzów zobaczyłem jedną z „Madonn" Rafaela, „Dziewicę" Leonarda da Vinci, „Nimfę" Correggia, „Kobietę" Tycjana, jedną z „Adoracji" Veronesa, „Wniebowzięcie" Murilla, Holbeinowski portret, „Mnicha" Velasqueza, „Mękę Pańską" Ribeiry, „Kiermasz" Rubensa, dwa pejzaże flamandzkie Teniersa, trzy rodzajowe obrazki: Gerarda Dou, Metsu i Pawła Pottera, dwa płótna Gericaulta i Prudhona, kilka morskich widoków Backuysena i kompozycję Verneta. Wśród dzieł współczesnego malarstwa widniały podpisy Delacroix, Ingres'a, Decampa, Troyona, Meissoniera i innych. Pod ścianami tego wspaniałego muzeum wznosiły się na piedestałach zmniejszone kopie najpiękniejszych

* londressy — gatunek ówczesnych cygar hawańskich

marmurów i brązów. Zaczęło mnie już ogarniać zdumienie, które przepowiedział dowódca „Nautilusa”.

— Bardzo przepraszam, panie profesorze — odezwał się ten dziwny człowiek — za tę bezceremonialność, z jaką pana goszczę, i za nieporządek, jaki panuje w tym salonie.

— Panie kapitanie, nie próbuję nawet dociec, kim pan jest, ale niech mi będzie wolno nazwać pana artystą.

— Miłośnikiem sztuki najwyżej, panie profesorze. Niegdyś lubiłem zbierać te piękne dzieła ręki ludzkiej. Byłem chciwym poszukiwaczem, niestrudzonym szperaczem i zdołałem nagromadzić nieco wartościowych przedmiotów. To moje ostatnie wspomnienia z ziemi, która już dla mnie umarła. Wasi nowocześni artyści są dla mnie tym, co starożytni; mają tak samo dwa lub trzy tysiące lat; mieszam ich ze sobą. Dla mistrzów nie istnieje wiek.

— A ci kompozytorzy? — spytałem wskazując na partytury Webera, Rossiniego, Mozarta, Beethovena, Haydna, Meyerbeera, Herolda, Wagnera, Gounoda, Masseneta i wielu innych rozrzucone na sporych organach, zajmujących całą jedną ścianę salonu.

— Ci kompozytorzy — odpowiedział kapitan Nemo — to współcześni Orfeusza*, bo we wspomnieniach umarłych zacierają się różnice czasu, a ja umarłem, panie profesorze, umarłem tak, jak ci spośród was, którzy spoczywają na głębokości sześciu stóp pod ziemią!

Kapitan umilkł i zdawał się pogrążony w głębokim zamyśleniu. Przypatrywałem mu się z żywym wzruszeniem, analizując w milczeniu jego przedziwny wyraz twarzy. Nie widział mnie już; wsparty łokciem o róg kosztownego mozaikowego stolika, zapomniał o mojej obecności.

Uszanowałem to skupienie i dalej przyglądałem się osobliwościom nagromadzonym w salonie.

Po dziełach sztuki naczelne miejsce zajmowały rzadkie zbiory przyrodnicze. Składały się one przede wszystkim z roślin, muszli i innych tworów oceanu, będących, jak się zdaje, osobistymi znaleziskami kapitana Nemo. W środku salonu oświetlona elektrycznością fontanna tryskała z basenu będącego w rzeczywistości olbrzymią trydakną*. Muszla ta, wytworzona przez największy gatunek mięczaków bezgłowych, miała około sześciu metrów obwodu i lekko faliste brzegi, a wielkością przewyższała owe piękne trydakny, które otrzymał Franciszek I od Rzeczypospolitej Weneckiej* i które tworzą teraz dwie olbrzymie chrzcielnice w kościele Saint–Sulpice w Paryżu.

Dookoła tego basenu, w eleganckich gablotach ze szkła oprawnego w mosiężne ramy, zebrane były i zaopatrzone naklejkami najcenniejsze i najrzadsze okazy, jakie kiedykolwiek morza udostępniły oczom przyrodnika. Łatwo zrozumieć mój profesorski zachwyt.

Dział zwierzokrzewów reprezentowany był przez bardzo ciekawe okazy należące do obu typów tego działu, to jest do polipów i szkarłupni. Podziwiałem tubipory (organki), wachlarzowate meduzy, miękkie gąbki z wybrzeży Syrii, izisy z Moluków, pennatule (pióra morskie), wspaniałą wirgularię z wód norweskich, najprzeróżniejsze ombellularia i alcyonnaria; całą serię madreporów*, które Milne–Edwards, mój mistrz, tak mądrze podzielił na sekcje, a między którymi zauważyłem przepiękne flabelliny, okuliny (oczkowce) z Wysp Burbońskich, „wóz Neptuna” z Wysp Antylskich, wspaniałe odmiany korali; wreszcie wszystkie prawie gatunki owych ciekawych polipów, których zbiorowiska tworzą wyspy i archipelagi, a czasem całe kontynenty. Pośród szkarłupni, odznaczających się kolczastą powłoką, widziałem rozgwiazdy, gwiazdy morskie, pantakryny, komatule, asterofony,

---

* …to współcześni Orfeusza — Orfeusz jest postacią z mitologii greckiej. Był tak znakomitym muzykiem, że gdy grał, drapieżne zwierzęta przybiegały go słuchać

* trydakna — czyli przydacznica. Największy gatunek małża, dochodzący do 300 kg wagi, o muszli mającej ok. 2 m długości

* …które otrzymał Franciszek I od Rzeczypospolitej Weneckiej — Franciszek I był królem Francji w latach 1515–1547

* madrepory — polipy koralowe, które tworzą obszerne ławice podwodne, rafy i wyspy koralowe

jeżówce, strzykwy i tym podobne, jednym słowem, całą kolekcję przedstawicieli tego świata.

Wrażliwy koncholog* zasłabłby niewątpliwie przed dalszymi gablotkami, jeszcze liczniejszymi, gdzie zgrupowane były okazy typu mięczaków. Ujrzałem bezcenną kolekcję, na której opis zabrakłoby czasu. Przytoczę tylko z pamięci przepiękny „płaszcz królewski" z wód Oceanu Indyjskiego, na którym regularne białe plamy odcinały się żywo od czerwonego i brązowego tła; spondillusa cesarskiego, całego w żywych barwach, najeżonego kolcami, rzadki okaz w muzeach europejskich, którego wartość oceniłem na dwadzieścia tysięcy franków; „młot pospolity" z mórz Nowej Holandii* bardzo trudny do schwytania; egzotyczne burkardy z Senegalu, delikatne, białe muszelki o podwójnych skorupkach, które pod wpływem dmuchnięcia pryskają jak bańka mydlana; szereg odmian bardzo poszukiwanych „koneweczek" z Jawy, w kształcie wapiennych rurek o wywiniętych, pofałdowanych brzegach; całą serię wartołków (Trosus), żółtozielonawych, wyłowionych z wód amerykańskich, rudawobrunatnych z mórz Nowej Holandii, o dachówkowatej muszli, pochodzących z Zatoki Meksykańskiej, innych z mórz południowych; wreszcie najrzadszy okaz wartołka ostrogowatego z Nowej Zelandii; dalej zachwycające telliny siarkowane, cenne odmiany Cytherea i Venus, tarczę siateczkową z wybrzeża Tranąuebaru; marmurkowego pantofelka, połyskującego masą perłową; zielone papużki z mórz chińskich; nie znany prawie stożek z rodzaju Coenodulli, wszystkie odmiany porcelanek, które w Indiach i w Afryce służą za monety; Gloria maris, najcenniejszą muszlę Indii Wschodnich; wreszcie littoryny, delfinule, wieżyczki, dzwoneczki, owula, łukowate, oliwki, mitry, hełmy, purpury, trąbki, harfy Trytona, wrzecionki, skrzydlacze, patelki, kleodory i wszystkie owe delikatne i prześliczne muszelki, które nauka ochrzciła najbardziej uroczymi nazwami.

Osobno, w specjalnych szafkach, wiły się sznury przepięknych pereł, z których światło elektryczne dobywało najwspanialsze ognie; różowe perły, wydarte mięczakom Morza Czerwonego, zielone perły haliotyd, perły żółte, niebieskie, czarne — produkty przeróżnych mięczaków ze wszystkich oceanów i niektórych małżów z północnych prądów; wreszcie inne, nieocenionej wartości okazy, dobyte z najrzadszych perłopławów. Niektóre z tych pereł były większe od gołębiego jaja: wartością przewyższały na pewno tę, którą słynny podróżnik Tavernier* sprzedał szachowi perskiemu za trzy miliony, i tę, którą posiadał imam Maskatu*, a która, moim zdaniem, nie miała dotychczas równej sobie na całym świecie.

Wyrażenie wartości tych zbiorów za pomocą liczb było właściwie niemożliwe. Kapitan Nemo musiał wydać miliony na kupno tych okazów. Z jakiego źródła czerpał środki na zaspokojenie tych najwyszukańszych zachcianek zbieracza? Z zamyślenia wyrwały mnie jego słowa:

— Przygląda się pan moim muszlom, panie profesorze? Rzeczywiście mogą one zainteresować przyrodnika; dla mnie jednak mają tym większy urok, że zebrałem je wszystkie własną ręką; nie ma ani jednego morza na kuli ziemskiej, które ominąłbym w swoich poszukiwaniach.

— Rozumiem, panie kapitanie, rozumiem to zadowolenie z możności przebywania wśród takich bogactw. Należy pan do rzędu tych, którzy skarb swój zdobyli własną ręką. Żadne muzeum w Europie nie posiada podobnych kolekcji tworów oceanu. Nie chcę jednak wyczerpać mojego zachwytu dla tych zbiorów, bo cóż mi pozostanie dla podziwiania statku, który je niesie! Nie chciałbym wdzierać się w pańskie tajemnice, ale przyznam się, że jestem do najwyższego stopnia ciekaw samego „Nautilusa", maszyn, które w nim są, przyrządów, które pozwalają nim kierować, czynnika, który mu nadaje ruch… Widzę tu w salonie rozwieszone na ścianach instrumenty, których przeznaczenia nie znam… Czy mogę…

---

* k o n c h o l o g — przyrodnik badający życie mięczaków, znawca muszel

* Nowa Holandia — dawna nazwa Australii

* Tavernier Jean–Baptiste — podróżnik francuski żyjący w XVII w. Przewędrował Europę, Azję i Afrykę. W czasie swych wędrówek zdobył znaczny majątek

* imam Maskatu — władca państwa arabskiego położonego nad Zatoką Perską

— Panie profesorze — przerwał kapitan Nemo — powiedziałem panu, że na pokładzie mojego statku będzie pan wolny; a zatem nie ma części „Nautilusa”, do której byłby panu wstęp wzbroniony. Może pan go zwiedzić szczegółowo, a ja z przyjemnością będę pańskim przewodnikiem.

— Naprawdę nie wiem, jak panu dziękować, kapitanie, nie chciałbym nadużywać pańskiej uprzejmości. Chciałbym tylko zapytać, do czego służą te przyrządy fizyczne?

— Te same przyrządy znajdują się w moim pokoju, panie profesorze, i tam będzie mi miło wyjaśnić panu ich działanie. Przede wszystkim jednak proszę sobie obejrzeć kabinę, którą przygotowałem dla pana. Musi pan przecież wiedzieć, gdzie i jak będzie pan mieszkał na pokładzie „Nautilusa”.

Poszedłem za kapitanem Nemo i poprzez jedne z drzwi znajdujących się w każdej ze ścian salonu wyszliśmy na korytarz. Zaprowadził mnie na przód statku, gdzie znalazłem dla siebie nie kabinę, ale wręcz wytworny pokoik z łóżkiem, toaletą i innymi sprzętami.

Było za co dziękować memu gospodarzowi.

— Pański pokój przytyka do mojego — odezwał się kapitan otwierając jakieś drzwi — a mój znowu łączy się z salonem, w którym byliśmy przed chwilą.

Wszedłem do pokoju kapitana. Urządzony był surowo, prawie klasztornie. Żelazne łóżko, stół do pracy, sprzęty do mycia. Wszystko w półświetle. Nic z komfortu — tylko to, co niezbędne.

Kapitan Nemo wskazał mi krzesło.

— Pan będzie łaskaw — rzekł. Usiadłem, a on zaczął mówić…

Rozdział XII
Wszędzie elektryczność

Oto są przyrządy niezbędne „Nautilusowi” do żeglugi (tu wskazał porozwieszane na ścianach pokoju instrumenty). Mam je zawsze przed oczyma, zarówno tu, jak i w salonie, i w każdej chwili mogę sprawdzić dokładne położenie i kierunek „Nautilusa” na morzu. Niektóre pan zna, jak termometr, który wskazuje temperaturę wewnętrzną statku; barometr, który mierzy ciśnienie atmosferyczne i przepowiada zmiany pogody; higrometr, który oznacza stopień wilgotności powietrza; „stormglass”, w którym mieszanina ulegająca rozkładowi zapowiada nadchodzenie burz; kompas wskazujący mi kierunek; sekstans, za pomocą którego oznaczam wysokość słońca, a więc i szerokość geograficzną, pod którą się znajduję; chronometry do obliczania długości geograficznej; wreszcie lornety dzienne i nocne, przez które badam horyzont, kiedy „Nautilus” płynie na powierzchni morza.

— Wszystko to są zwykłe przyrządy nawigacyjne — odparłem.

— Wiem, do czego służą. Ale tu są i inne, które zapewne służą szczególnym właściwościom „Nautilusa”. Czy na przykład ta tarcza, po której przebiega wskazówka, to nie manometr?

— Owszem, to manometr, połączony z otaczającą nas wodą. Wskazując ciśnienie zewnętrzne daje mi tym samym głębokość, na jakiej znajduje się statek.

— A te sondy, takie dziwne?

— To są sondy termometryczne, mierzące ciepłotę różnych warstw wody.

— Ale te wszystkie instrumenty, o których nie mam pojęcia?

— Tutaj, panie profesorze, muszę panu udzielić kilku wyjaśnień

— rzekł kapitan Nemo. — Proszę słuchać uważnie. Przez chwilę milczał, a potem zaczął:

— Istnieje pewien potężny, posłuszny, szybki, łatwy do posługiwania się nim czynnik, który nadaje się do wszechstronnego użytku i który jest właściwie panem na moim statku. Spełnia wszystkie funkcje: oświetla, grzeje, jest duszą całego mechanizmu. Ten czynnik to elektryczność.

— Elektryczność?! — wykrzyknąłem zdziwiony.

— Tak, panie profesorze.

— Ależ przecież pański statek zdolny jest do niebywałej szybkości ruchów, co się nie bardzo zgadza z możliwościami elektryczności. Jak wiadomo, jej moc dynamiczna jest bardzo ograniczona i może wywoływać tylko niewielkie zmiany.

— Moja elektryczność, panie profesorze — odpowiedział kapitan Nemo — to nie ta, której się używa wszędzie; tyle tylko mogę panu na ten temat powiedzieć.

— Nie będę nalegał, panie kapitanie, wystarczą mi rezultaty budzące podziw. Jedno tylko jeszcze zadam pytanie; proszę się nie krępować i nie odpowiadać, jeśli będzie niedyskretne: składniki, których pan potrzebuje do produkcji tego cudownego czynnika, na pewno szybko się zużyją. W jaki sposób i czym zastąpi pan na przykład cynk, skoro z ziemią nie utrzymuje pan żadnych stosunków?

— Mogę panu na to odpowiedzieć — rzekł kapitan Nemo. — Przede wszystkim na dnie mórz są złoża cynku, żelaza, srebra, złota, które na pewno można by eksploatować. Nie posługuję się jednak tymi ziemskimi metalami; chcę jedynie od morza żądać środków do produkowania „mojej” elektryczności.

— Od morza?

— Tak, panie profesorze, miałem na to nawet sporo sposobów. Mógłbym na przykład otrzymywać prąd elektryczny z różnicy temperatur w obwodzie, którego przewodniki przebiegają na różnych głębokościach wody; wolałem jednak użyć praktyczniejszego sposobu.

— Jakiego?

— Zna pan, panie profesorze, skład wody morskiej. Na każdy tysiąc gramów mamy tam dziewięćset sześćdziesiąt pięć gramów wody, około dwudziestu sześciu i pół grama chlorku sodu, a poza tym małe ilości chlorków magnezu i potasu, bromku magnezu, siarczanu i węglanu wapnia. Chlorek sodu spotykamy więc, jak pan widzi, w dość znacznych ilościach. Otóż ten właśnie sód wydobywam z wody morskiej, a następnie używam do moich ogniw.

— Sód?!

— Tak, proszę pana. Sód z rtęcią daje amalgamat, który zastępuje cynk w ogniwach Bunsena. Rtęć nie zużywa się w ogóle. Ubywa tylko sodu, którego morze mi dostarcza. Muszę jeszcze dodać, że baterie sodowe należy uznać za najzasobniejsze w energię i że ich moc elektrodynamiczna jest dwa razy większa niż w bateriach cynkowych.

— Rozumiem teraz, panie kapitanie, wyższość sodu ze względu na warunki, w jakich się pan znajduje: daje go panu morze. Słusznie. Ale przecież trzeba go jeszcze fabrykować, czyli wydobywać. I jak to pan robi? Mogłyby oczywiście posłużyć panu pańskie ogniwa; ale, jeśli się nie mylę, utrata sodu, zużywanego przez aparaty elektryczne, przekraczałaby wydobywane ilości. A zatem zużywałby go pan więcej do samej produkcji, niż mógłby go pan wyprodukować!

— Dlatego, panie profesorze, nie wydobywam go za pomocą ogniw, ale po prostu posługuję się ciepłem otrzymywanym z węgla ziemskiego.

— Ziemskiego? — podchwyciłem.

— Możemy go nazwać morskim, jeśli pan woli — odparł kapitan Nemo.

— I potrafi pan eksploatować podmorskie złoża węgla kamiennego?

— Zobaczy pan nawet, jak to się robi, panie profesorze. Proszę pana tylko o trochę cierpliwości; ma pan przecież czas na cierpliwość. Proszę tylko pamiętać zawsze, że ocean daje mi wszystko: produkuje energię elektryczną, a elektryczność daje „Nautilusowi” ciepło, światło, ruch — jednym słowem — życie.

— Ale chyba nie powietrze, którym pan oddycha.

— Och, mógłbym fabrykować i powietrze na swój użytek, ale to niepotrzebne, bo przecież mogę, kiedy mi się podoba, wypływać na powierzchnię. Jeśli jednak elektryczność nie dostarcza mi powietrza do oddychania, to za to porusza potężne pompy, które w specjalnych rezerwuarach magazynują owo powietrze, co z kolei pozwala mi na przedłużanie, w razie potrzeby, mojego pobytu pod wodą, ile tylko zechcę.

— Mogę tylko pana podziwiać, panie kapitanie — rzekłem. — Odkrył pan to, co ludzie dopiero kiedyś odkryją: dynamiczną moc elektryczności.

— Nie wiem, czy ją odkryją — odparł zimno kapitan Nemo. — Ale cokolwiek się stanie, poznał pan już pierwsze zastosowanie tego bezcennego czynnika. Oprócz tego czynnik ten daje nam światło — z jednostajnością i ciągłością, jakiej nie daje nawet słońce. A teraz — proszę się przyjrzeć temu zegarowi: jego napęd jest elektryczny, a daje regularność przewyższającą najlepsze chronometry. Podzieliłem tarczę na dwadzieścia cztery godziny, jak na włoskich zegarach, ponieważ dla mnie nie istnieją ani dni, ani noce, ani słońce, ani księżyc, tylko sztuczne światło, które zabieram ze sobą aż do głębin podmorskich. Widzi pan? W tej chwili mamy dziesiątą rano.

— Wspaniale!

— Dalsze zastosowanie elektryczności: ta tarcza, wisząca przed naszymi oczami, służy do wskazywania szybkości „Nautilusa”. Przewodnik elektryczny łączy ją ze śrubą logu, a igła wskazuje prawdziwą prędkość aparatu. Proszę: w tej chwili płyniemy z umiarkowaną szybkością piętnastu mil na godzinę.

— Wspaniale! — powtórzyłem. — Widzę, że miał pan słuszność, panie kapitanie, używając tego czynnika, który na pewno wyprze w przyszłości wiatr, wodę i parę.

— Nie skończyliśmy, panie profesorze — powiedział kapitan Nemo wstając. — Jeśli pan

sobie życzy, zwiedzimy teraz tylną część „Nautilusa”.

Istotnie, znałem już całą przednią część owego statku podwodnego; oto jego dokładny podział, idąc od środka ku ostrodze: jadalnia, długości pięciu metrów, oddzielona od biblioteki szczelną, to znaczy nie przepuszczającą wody przegrodą, biblioteka, długości pięciu metrów, salon, długości dziesięciu metrów, oddzielony od pokoju kapitana drugą szczelną przegrodą, pokój kapitana, długości pięciu metrów, mój pokój, długości dwóch i pół metra, wreszcie — siedmio— i półmetrowy zbiornik powietrza, ciągnący się aż do dzioba. Całość długości trzydziestu pięciu metrów. Drzwi w szczelnych przegrodach zamykały się hermetycznie za pomocą kauczukowych uszczelniaczy, zapewniając „Nautilusowi” pełne bezpieczeństwo nawet wtedy, gdyby się gdzieś woda pokazała.

Idąc za kapitanem Nemo bocznymi korytarzami, doszedłem do środka okrętu. Znajdował się tam jakby szyb pomiędzy dwiema uszczelnionymi przegrodami. Do ściany przymocowana była żelazna drabinka, prowadząca w górę szybu. Spytałem kapitana, do czego owa drabinka służy.

— Prowadzi do łodzi — odpowiedział.

— Jak to? Ma pan łódź — zdziwiłem się.

— Oczywiście. Doskonałą łódź — lekką i nie tonącą; używa się jej do przejażdżki i przy połowach.

— No, ale musi pan wypływać na powierzchnię morza, kiedy pan chce jej użyć!

— Wcale nie. Ta łódź przylega ściśle do górnej części kadłuba „Nautilusa” i wypełnia dokładnie dopasowaną do niej wklęsłość. Łódź jest całkowicie pokryta pokładem, bezwzględnie szczelna i przymocowana na mocnych sworzniach. Ta drabinka prowadzi do włazu zrobionego w kadłubie „Nautilusa”, a odpowiadającego ściśle takiemu włazowi w boku łodzi. Przez ten właśnie podwójny otwór wchodzę do łodzi; za mną zamykają otwór w kadłubie statku, ja sam zaś zamykam za sobą właz do łodzi za pomocą śruby z nakrętką; zwalniam sworznie i łódź błyskawicznie unosi się na powierzchnię wody. Wtedy otwieram pomost, dotychczas starannie zamknięty, podnoszę maszt, wciągam żagiel albo zakładam wiosła i wyjeżdżam na spacer.

— Ale w jaki sposób pan wraca?

— Wcale nie wracam, panie profesorze, to „Nautilus” do mnie wraca.

— Na dany rozkaz?

— Na dany rozkaz. Łączy mnie z nim przewód elektryczny. Telegrafuję i tyle!

— Rzeczywiście — przyznałem, oszołomiony tymi cudami — to takie proste!

Kiedy przeszliśmy klatkę schodową prowadzącą na zewnętrzną platformę, zobaczyłem kabinę długości dwóch metrów, w której Conseil i Ned Land, zachwyceni, pożerali wprost śniadanie. Następne drzwi prowadziły do kuchni, długiej na trzy metry, położonej pomiędzy obszernymi spiżarniami pokładowymi.

Tutaj wszystkie funkcje związane z przyrządzaniem potraw spełniała elektryczność, energiczniej i posłuszniej nawet od gazu. Przewody, dochodzące aż pod same paleniska, przekazywały platynowym fajerkom ciepło, podtrzymując i rozprowadzając je równocześnie. Ogrzewały one także aparaty destylacyjne, dostarczające przez odparowywanie doskonałej wody do picia. Tuż obok kuchni mieściła się komfortowo urządzona łazienka, której kurki dostarczały zarówno zimnej, jak i ciepłej wody.

Za kuchnią następowało pięciometrowej długości pomieszczenie dla załogi. Drzwi były jednak zamknięte, więc nie mogłem zobaczyć wewnętrznego urządzenia, co by mi dało może pojęcie o liczbie ludzi, niezbędnej do prowadzenia „Nautilusa”.

W głębi wznosiła się czwarta przegroda hermetyczna, oddzielająca to pomieszczenie od maszynowni. Otworzyły się drzwi i znalazłem się w tej części kadłuba, w której kapitan Nemo — bez wątpienia doskonały inżynier — rozmieścił swoje maszyny.

Ta hala maszyn, jasno oświetlona, miała co najmniej dwadzieścia metrów długości. Była

oczywiście podzielona na dwie części: pierwsza zawierała w sobie baterie wytwarzające elektryczność, a druga — maszyny przekazujące ruch śrubie.

Uderzył mnie natychmiast szczególny zapach w owym pomieszczeniu. Kapitan Nemo zauważył to i odezwał się:

— To drobne ilości gazu wydobywające się przy stosowaniu sodu; ale to niewielkie zmartwienie. Każdego ranka oczyszczamy statek z tej woni, dopuszczając świeże powietrze.

Z łatwym do zrozumienia zainteresowaniem przyglądałem się maszynom „Nautilusa".

— Jak pan widzi, panie profesorze — mówił kapitan Nemo — używam stosu Bunsena, a nie baterii Ruhmkorffa. Te byłyby zbyt słabe. Tamte natomiast są mniej liczne, a za to silne i duże, co, jak doświadczenie wykazało, lepiej się opłaca. Wytworzony prąd idzie do tyłu, gdzie za pomocą wielkich elektromagnesów działa na specjalny system dźwigni, przekładni i kół zębatych, które przenoszą ruch na wał śruby. Średnica śruby wynosi sześć metrów, jej skok zaś siedem i pół metra; można osiągnąć do stu dwudziestu obrotów na sekundę.

— I wtedy otrzymuje się szybkość?…

— Dwudziestu czterech mil na godzinę.

Była w tym tajemnica, ale nie usiłowałem jej rozwikłać. W jaki sposób elektryczność mogła działać z taką potęgą? Gdzie poczynała się tak potworna, prawie nieograniczona siła? Czy powstawała wskutek olbrzymiego napięcia otrzymanego za pomocą nowego typu cewek? Czy może wskutek transmisji, którą nieznany system przekładni podnosi do nieskończoności? Nie potrafiłem tego pojąć, więc tylko odezwałem się:

— Panie kapitanie, mogę stwierdzić wyniki i nie próbuję nawet ich tłumaczyć. Widziałem, jak „Nautilus" manewrował przy „Abrahamie Lincolnie", więc wiem, co należy sądzić o jego szybkości. Ale posuwać się — to jeszcze nie wszystko. Trzeba wiedzieć, gdzie się jedzie! Należy móc skierować się w prawo, w lewo, do góry i na dół! W jaki sposób osiąga pan wielkie głębokości, skoro znajduje pan tam opór rosnący ciągle aż do setek atmosfer? W jaki sposób wypływa pan na powierzchnię morza? W jaki wreszcie sposób utrzymuje się pan na takiej głębokości, na jakiej pan sobie życzy? Czy jestem niedyskretny zadając te pytania?

— Nie, panie profesorze — odpowiedział kapitan po krótkim namyśle — ponieważ nigdy pan tego statku podwodnego nie opuści. Przejdźmy do salonu. To będzie nasz właściwy gabinet pracy; tam dowie się pan wszystkiego, co pan może wiedzieć o „Nautilusie"!

Rozdział XIII
Kilka liczb

Oto są, panie profesorze, szczegółowe dane o statku, którym pan płynie. Zbudowany jest w kształcie wydłużonego cylindra o stożkowatych dnach. Przypomina wyraźnie cygaro — kształt przyjęty już w tego rodzaju konstrukcjach budowanych w Londynie. Długość owego cylindra wynosi, od wierzchołka do wierzchołka stożków, dokładnie 70 metrów, największa szerokość zaś — 8 metrów. Stosunek tych wielkości nie równa się zatem 1:10, jak w waszych pospiesznych parowcach, jednak kształt jego jest wystarczająco opływowy, a wymiary wystarczająco długie, aby wypierana woda usuwała się z łatwością i nie stawiała żadnego oporu ruchowi statku.

Z obu tych cyfr może pan z łatwością obliczyć powierzchnię i pojemność „Nautilusa". Powierzchnia wynosi 1011,45 m^2, pojemność zaś 1507,2 m^3, co oznacza, innymi słowy, że statek całkowicie zanurzony wypiera 1507,2 m^3 wody, to jest posiada wyporność 1507 ton.

Kiedy sporządzałem plany tego statku przeznaczonego do nawigacji podwodnej, chciałem, ażeby — znajdując się w wodzie, w stanie równowagi — zanurzał się w 9/10, zaś wynurzał tylko w 1/10 swej objętości. Zatem winien był wypierać wody tylko na 9/10 swej objętości, co czyni 1356,48 m^3. Budując go więc według przytoczonych wyżej wymiarów, nie mogłem przekroczyć tej właśnie wagi.

„Nautilus" składa się z dwóch kadłubów: wewnętrznego i zewnętrznego, połączonych ze sobą sztabami w kształcie litery T, co pozwala mu na rozwijanie olbrzymich szybkości. Dzięki temu bowiem układowi komórkowatemu daje opór jak jednolita bryła, tak jakby nie był pusty. Jego burty nie mogą uginać się pod naciskiem; jest zwarty sam w sobie, a nie przez moc nitów; jednolitość konstrukcji, dzięki doskonałemu spojeniu materiałów, pozwala na urąganie najburzliwszemu morzu.

Oba te kadłuby sporządzone są z blach stalowych, których gęstość w stosunku do wody wynosi 7 i 8/10. Grubość pierwszej powłoki wynosi 5 cm, jej waga — 394,96 tony. Powłoka wewnętrzna, kil — wysokości 50 cm, szerokości 25 cm i wagi 62 ton — maszyny, balast, różne przyrządy i urządzenia, hermetyczne przegrody i wewnętrzne rozpory ważą łącznie 961,52 tony, co — dodane do 394,96 tony daje żądaną całkowitą wagę 1356,48 tony. Zgadza się?

— Zgadza się — potwierdziłem.

— A zatem — ciągnął dalej kapitan — „Nautilus", spuszczony na wodę w tych warunkach, wynurza się z niej o 1/10 swej objętości. Gdybym więc zbudował zbiorniki o pojemności równej owej 1/10, czyli o pojemności 150,72 tony i gdybym te zbiorniki napełnił wodą — statek, wypierając wtedy 1507 ton, czyli tyleż ważąc, będzie się zanurzał zupełnie. I tak właśnie jest, panie profesorze. Takie zbiorniki istnieją i mieszczą się w dolnych częściach „Nautilusa". Kiedy otworzę krany, zbiorniki się wypełniają i statek zanurza się tak, że górną swą powierzchnią muska poziom morza.

— Doskonale, panie kapitanie; ale tutaj stajemy przed poważną trudnością. Że może ślizgać się tuż pod powierzchnią morza, rozumiem; ale przecież głębiej, zanurzając się coraz dalej od tej powierzchni, pański statek podwodny musi napotkać ciśnienie, które oddziaływa podobnie, jak pchnięcie od dołu ku górze, a równa się 1 atmosferze na każde 30 stóp wody, czyli około 1 kilograma na centymetr kwadratowy!

— Tak jest, proszę pana.

— Zatem, skoro pan nie wypełnia „Nautilusa" całkowicie, nie rozumiem, w jaki sposób może go pan zagłębić w niższe warstwy.

— Panie profesorze — odpowiedział kapitan Nemo — nie można, bez narażenia się na popełnienie poważnych błędów, mieszać statyki z dynamiką. Nie trzeba wielkiego wysiłku,

aby osiągnąć dolne warstwy oceanu, ponieważ ciała wykazują stałą tendencję do pogrążenia się w kierunku dna. Niech pan tylko śledzi uważnie moje rozumowanie.

— Słucham, panie kapitanie.

— Kiedy zamierzałem określić wagę, o którą należało powiększyć ciężar „Nautilusa”, aby mógł się on zagłębiać, wystarczyło mi zainteresować się, o ile zmniejsza się objętość wody morskiej w miarę coraz większych głębokości

— To jasne — przyznałem.

— Otóż woda, jeśli jest w ogóle ściśliwa, to w każdym razie bardzo mało. Według ostatnich obliczeń ta redukcja objętości wynosi tylko 0,0000436 na 1 atmosferę, czyli na każde 30 stóp głębokości. Jeśli mam zamiar zanurzyć się na głębokość 1000 metrów, muszę więc liczyć się z redukcją objętości pod ciśnieniem równym ciśnieniu 1000–metrowego słupa wody, a więc pod ciśnieniem 100 atmosfer. Redukcja ta wyniesie 0,00436. Muszę zatem powiększyć ciężar statku tak, aby wyniósł 1513,77 tony zamiast 1507,2 tony. Czyli że powiększenie wyniesie zaledwie 6,57 tony.

— Tylko?

— Tylko, panie profesorze; nietrudno sprawdzić ten rachunek. Otóż mam zbiorniki dodatkowe o pojemności 100 ton. Mogę więc schodzić do znacznych głębokości. Kiedy chcę powrócić pod samą powierzchnię morza, wystarczy mi usunąć tę wodę; wystarczy zaś opróżnić całkowicie wszystkie zbiorniki, aby „Nautilus” wynurzył się o 1/10 swej objętości.

Nie mogłem nic zarzucić temu rozumowaniu popartemu cyframi. Odpowiedziałem więc:

— Zgadzam się na pańskie obliczenia, panie kapitanie; zresztą nie udałoby mi się ich podważyć, skoro codzienne doświadczenie potwierdza je w zupełności. Ale przeczuwam teraz nową trudność.

— Jaką, panie profesorze?

— Kiedy jest pan na głębokości 1000 metrów, ściany „Nautilusa” wytrzymują ciśnienie 100 atmosfer. Jeśli więc chce pan w pewnej chwili opróżnić dodatkowe zbiorniki, aby statek stał się lżejszy i wypłynął na powierzchnię — pańskie pompy muszą przezwyciężyć owo ciśnienie 100 atmosfer, czyli 100 kilogramów na każdy centymetr kwadratowy… Trzeba na to siły…

— …której jedynie elektryczność może mi dostarczyć — wtrącił szybko kapitan Nemo. — Powtarzam panu, panie profesorze, że moc dynamiczna moich maszyn jest prawie nieograniczona. Pompy „Nautilusa” mają potworną siłę; musiał pan to zresztą zauważyć, kiedy potrafiły wyrzucić wodę, której słupy przewaliły się jak rwący potok przez pokład „Abrahama Lincolna”. Zresztą używam tych moich dodatkowych zbiorników tylko wtedy, kiedy chcę osiągnąć przeciętne głębokości — od 1500 do 2000 metrów — a to dlatego, żeby oszczędzać aparaturę. Kiedy natomiast mam ochotę zwiedzić głębie oceanu o 2 lub 3 mile pod jego powierzchnią, używam środków powolniejszych, ale niemniej niezawodnych.

— Jakich, panie kapitanie? — zapytałem.

— Tu już muszę oczywiście powiedzieć panu, w jaki sposób kieruje się „Nautilusem”.

— Bardzo bym to chciał wiedzieć.

— Do skręcania na prawą burtę lub na lewą, jednym słowem, do poruszania się w płaszczyźnie poziomej posługuję się zwykłym sterem o szerokim grzebieniu, umocowanym na tyle rufy, wprawionym w ruch za pomocą koła i bloków. Mogę jednak poruszać „Nautilusem” także od dołu do góry i z góry do dołu, a więc w płaszczyźnie pionowej; do tego celu służą przymocowane do boków statku, w środku linii zanurzenia, dwie nachylone płaszczyzny ruchome, mogące przybierać każde położenie, poruszane ze środka statku za pomocą potężnych dźwigni. Kiedy obie te płaszczyzny leżą w płaszczyźnie równoległej ze statkiem, wtedy płynie on poziomo. Kiedy są nachylone, „Nautilus” albo się zanurza — zgodnie z tym nachyleniem i działaniem własnej śruby — po przekątnej, tak długiej, jak mi się podoba, albo też wypływa na powierzchnię, również po tej przekątnej. Jeśli chcę szybciej

wrócić „na górę”, mogę włączyć śrubę, a wtedy ciśnienie wody wypycha po prostu „Nautilusa” prostopadle, tak samo jak wypełniony wodorem balon wznosi się błyskawicznie w powietrze.

— Brawo, kapitanie! — ucieszyłem się. — A w jaki sposób sternik widzi drogę, którą mu pan wyznacza w głębi morza?

— Sternik siedzi w oszklonej klatce, wystającej z górnej części kadłuba „Nautilusa”, zaopatrzonej w soczewkowe szyby.

— Szyby, które mogą wytrzymać takie ciśnienie?

— Tak, i to swobodnie. Kryształowe szkło, bardzo czułe na uderzenia, stawia jednak znaczny opór. W czasie doświadczalnych połowów przy świetle elektrycznym, dokonywanych na północnych wodach w 1864 roku, stwierdzono, że płyty z tego materiału grubości zaledwie 7 mm wytrzymują ciśnienie 16 atmosfer i nawet przepuszczają silne promienie, których ciepło rozchodzi się po nich równomiernie. Otóż szyby, których ja używam, mają grubość 21 cm w środku soczewki, czyli są trzydzieści razy grubsze od tamtych.

— Zgoda, panie kapitanie; ale po to, żeby widzieć, trzeba jeszcze, aby jakieś światło rozpraszało ciemności, powstaje więc zagadnienie, w jaki sposób w mrokach wód…

— Za klatką sternika umieszczony jest silny reflektor elektryczny, którego promienie oświetlają morze w promieniu pół mili.

— Brawo! Panie kapitanie, brawo! Rozumiem teraz ową fosforescencję rzekomego narwala, która tak intrygowała uczonych! Ale przy okazji: chciałbym zapytać, czy zderzenie „Nautilusa” ze „Szkocją”, tak przecież głośne w swoim czasie, było tylko przypadkowe?

— Zupełnie przypadkowe, panie profesorze. Płynąłem na głębokości dwóch metrów pod powierzchnią morza, kiedy nastąpiło starcie. Widziałem zresztą, że nie spowodowało ono poważniejszych szkód.

— Tak było rzeczywiście. Jeśli natomiast chodzi o pańskie spotkanie z „Abrahamem Lincolnem”?…

— Bardzo mi przykro, panie profesorze. Żal mi jednego z najlepszych okrętów dzielnej floty amerykańskiej, ale zaatakowano mnie, więc musiałem się bronić! I tak zadowoliłem się uszkodzeniem fregaty tylko w takim stopniu, aby przestała mnie niepokoić; będzie mogła naprawić ten defekt w najbliższym porcie.

— Ach, panie kapitanie! — wykrzyknąłem z przekonaniem. — To naprawdę wspaniały statek ten pański „Nautilus”!

— Tak, panie profesorze — odpowiedział z głębokim wzruszeniem kapitan Nemo — i kocham go jak rodzone dziecko! O ile na powierzchni oceanu wszystkie wasze statki zdane są na łaskę jego igraszek, o ile pierwszym wrażeniem na morzu jest — jak to słusznie wyraził Holender Jansen — poczucie otchłani, to w głębi i na pokładzie „Nautilusa” serce ludzkie może się już niczego nie obawiać. Nie ma mowy o wgnieceniu burty, bo podwójny kadłub statku ma wytrzymałość stali; nie ma tu osprzętu stale narażonego na nadwerężenie kołysaniem wzdłużnym i poprzecznym; nie ma żagli, które by wiatr zdzierał, nie ma kotłów, które by para rozsadzała; nie ma niebezpieczeństwa pożaru, ponieważ mój statek zrobiony jest ze stali, a nie z drzewa; nie istnieje brak węgla, ponieważ ruch nadaje tu elektryczność; nie ma obawy awarii, ponieważ na tych głębokościach jestem sam; nie ma niebezpieczeństwa burz, bo o kilka metrów pod powierzchnią wód panuje bezwzględny spokój! To dopiero statek, panie profesorze! I jeżeli prawdą jest, że inżynier projektujący ma więcej zaufania do statku niż jego konstruktor, konstruktor zaś — więcej niż sam kapitan–dowódca, z jaką więc ufnością muszę się oddawać „Nautilusowi”, skoro jestem jednocześnie inżynierem, konstruktorem i kapitanem!

Kapitan Nemo mówił z porywającą swadą. Przeobrażała go płomienność spojrzenia, zmieniała namiętność gestykulacji. Tak, on kochał swój statek jak ojciec rodzone dziecko!

Nasuwało się jednak pytanie, być może niedyskretne, od którego zadania nie mogłem się powstrzymać:

— Więc pan jest inżynierem, panie kapitanie?

— Tak, panie profesorze — odpowiedział mi. — Studiowałem w Londynie, w Paryżu i w Nowym Jorku, kiedy jeszcze byłem mieszkańcem kontynentów naszego globu.

— I w jaki sposób mógł pan w tajemnicy wybudować tego cudownego „Nautilusa”?

— Każda jego część, panie profesorze, pochodzi z innego punktu na kuli ziemskiej i wysłana była do mnie pod zmyślonym adresem. Kil wykuty jest w Creusot, we Francji, wał śruby — u Pena i Spółki w Londynie, blachy stalowe na pokrycie kadłuba — u Learda w Liverpoolu, śruba — u Scotta w Glasgow. Zbiorniki wyprodukował Cail i Spółka w Paryżu, maszyny — Krupp w Prusach, ostrogę — zakłady w Motali, w Szwecji, precyzyjne narzędzia — Bracia Hart w Nowym Jorku i tak dalej; każda z tych firm otrzymała ode mnie plany pod innym nazwiskiem.

— Ale przecież trzeba było te wszystkie części złożyć, dopasować.

— Wybudowałem warsztaty na pewnej bezludnej wysepce na pełnym morzu. Tam moi robotnicy, a właściwie moi dzielni towarzysze, których wyszkoliłem, i ja — dokonaliśmy montażu i wykończenia naszego „Nautilusa”. Po skończonej pracy zniszczyliśmy ogniem wszelkie ślady naszego pobytu na owej wysepce, którą właściwie najchętniej wysadziłbym w powietrze, gdybym mógł.

— Wolno mi wobec tego przypuszczać, że koszt budowy tego statku był niezmiernie wysoki.

— Statek o stalowej konstrukcji kosztuje 1125 franków za każdą tonę. Jak już pan wie, „Nautilus” ma pojemność 1507 ton.

Kosztuje więc przeszło 1 695 000 franków, a właściwie 2 000 000 łącznie z kompletnym wyposażeniem; razem zaś z dziełami sztuki i zbiorami — 4 do 5 000 000 franków.

— Jeszcze ostatnie pytanie, panie kapitanie.

— Słucham, panie profesorze.

— Pan jest bogaty?

— Nieskończenie bogaty, panie profesorze. Bez najmniejszego uszczerbku mógłbym zapłacić za Francję dwanaście miliardów jej długów!

Przyjrzałem się uważnie tej dziwnej osobistości, mówiącej do mnie w ten sposób. Czy kapitan nadużywa mojej łatwowierności? Rozstrzygnąć to miała dopiero przyszłość.

Rozdział XIV
Czarna rzeka

Część kuli ziemskiej pokrytą wodami oszacowano na trzy miliony osiemset trzydzieści dwa tysiące pięćset pięćdziesiąt osiem miriametrów* kwadratowych, to znaczy więcej niż trzydzieści osiem miliardów hektarów. Objętość tej masy wody wynosi dwa miliardy dwieście pięćdziesiąt milionów metrów sześciennych i równa się objętości kuli o średnicy sześćdziesięciu mil; kula ta ważyłaby trzy kwintyliony ton. Ażeby zrozumieć ogrom tej liczby, trzeba pamiętać, że stosunek kwintyliona do miliarda równa się stosunkowi miliarda do jedności, a więc, że tyle jest miliardów w kwintylionie, ile jedności w miliardzie. Innymi słowy, ta płynna masa równa się mniej więcej ilości wody, jaką musiałyby przelewać wszystkie rzeki świata przez czterdzieści tysięcy lat.

W przebiegu epok geologicznych okres ognia ustąpił okresowi wody. Początkowo świat był jednym oceanem. W okresie sylurskim zaczęły z wolna ukazywać się wierzchołki gór, wyłoniły się wyspy; wyspy te znikały w czasie częściowych potopów, ukazywały się znowu, z wolna zestalały się, tworzyły kontynenty i wreszcie lądy stałe ustaliły się geograficznie w obecnej postaci. Ziemia wydarła morzu dwanaście miliardów dziewięćset szesnaście milionów hektarów.

Układ kontynentów pozwala na podział wód na pięć części: Ocean Lodowaty Północny, Ocean Lodowaty Południowy, Ocean Indyjski, Ocean Atlantycki. Ocean Spokojny.

Ocean Spokojny rozciąga się od północy ku południowi pomiędzy obydwoma kołami polarnymi, zaś od zachodu ku wschodowi pomiędzy Azją i Ameryką — na przestrzeni stu czterdziestu pięciu stopni długości geograficznej. Jest to najspokojniejsze z mórz: prądy ma szerokie i powolne, przypływy średnie, deszcze obfite. Taki to ocean kazało mi teraz przeznaczenie przebywać w okolicznościach najmniej spodziewanych.

— Panie profesorze — rzekł kapitan Nemo — ustalimy dokładnie nasze położenie geograficzne i, jeśli pan pozwoli, punkt rozpoczęcia naszej podróży. Jest za piętnaście dwunasta. Wypłyniemy na powierzchnię morza.

Przycisnął trzykrotnie dzwonek elektryczny. Pompy zaczęły wypychać wodę ze zbiorników; igła manometru, oznaczając zmianę ciśnień, wskazywała wznoszący się ruch „Nautilusa”, wreszcie zatrzymała się.

— Jesteśmy — rzekł kapitan.

Udałem się do środkowego szybu z drabinką, która prowadziła na platformę. Po żelaznych szczeblach wydostałem się przez otwartą klapę na wierzch „Nautilusa”. Platforma wystawała z wody zaledwie na osiemdziesiąt centymetrów. Przód i tył „Nautilusa” zwężały się wrzecionowato, co właśnie pozwalało porównać kształt statku do cygara. Zauważyłem, że blachy żelazne były dachówkowato pokarbowane i przypominały łuski okrywające ciało wielkich płazów lądowych. Zrozumiałem teraz jasno, dlaczego, mimo najlepszych lornet, zawsze brano statek za jakieś zwierzę morskie.

Mniej więcej na środku platformy lekką wypukłość tworzyła łódź do połowy wpuszczona w kadłub statku. Z przodu i z tyłu wznosiły się dwie średniej wysokości klatki o pochylonych ściankach, częściowo opatrzonych grubymi soczewkowymi szybami: jedna z nich przeznaczona była dla sternika, prowadzącego „Nautilusa”, w drugiej błyszczał potężny reflektor oświetlający przed nim drogę.

Morze było przepiękne, niebo czyste, długi statek ledwo odczuwał fale i bruzdy oceanu. Powierzchnię wody marszczył z lekka łagodny, wschodni wietrzyk. Można było doskonale obserwować horyzont, wolny od mgły. Na horyzoncie — pusto. Ani wysepki, ani nawet

---

* 108. miriametr — jednostka miary długości = 10 000 m, czyli 10 km

skały. Ani „Abrahama Lincolna”. Niezmierzona pustka.

Kapitan Nemo, uzbrojony w sekstans, badał wysokość słońca, która miała mu określić szerokość geograficzną. Kilka minut czekał, aż płomienna gwiazda dotknie horyzontu. Ani jeden mięsień nie drgnął mu w czasie dokonywania pomiarów, a instrument nie tkwiłby bardziej nieruchomo nawet w dłoni z marmuru.

— Dwunasta — odezwał się. — Panie profesorze, jeśli pan pozwoli…

Objąłem ostatnim spojrzeniem owe z lekka żółtawe wody mórz japońskich i zszedłem do salonu.

Kapitan obliczył tam chronometrycznie długość geograficzną, sprawdził ją z dokonanymi obserwacjami kątów czasowych i rzekł:

— Jesteśmy, panie profesorze, pod 137°15’ długości zachodniej.

— Od jakiego południka? — spytałem żywo, w nadziei, że odpowiedź, kapitana pozwoli mi może określić jego narodowość.

— Mam tu różne chronometry — odpowiedział — regulowane według południków Paryża, Greenwich i Waszyngtonu. Na cześć pana, panie profesorze, będę się posługiwał paryskim.

Niczego się nie dowiedziałem z tej odpowiedzi. Skłoniłem się tylko, a kapitan ciągnął dalej:

— Pod 137°15r długości zachodniej od południka Paryża i pod 30°07’ szerokości północnej, a więc prawie o sto czterdzieści mil od wybrzeża Japonii. W dniu dzisiejszym, 8 listopada, o godzinie dwunastej w południe rozpoczyna się nasza podróż badawcza pod morzami.

— Niech nam Bóg dopomaga! — odpowiedziałem.

— A teraz, panie profesorze — mówił dalej kapitan — pozostawiam pana przy pańskich studiach. Wyznaczyłem kurs wschodnio–północno–wschodni na głębokości pięćdziesięciu metrów. Proszę, oto dokładne mapy, na których może pan śledzić naszą marszrutę. Salon jest do pańskiej dyspozycji. Pozwoli pan, że się oddalę.

Kapitan Nemo ukłonił się i wyszedł. Zostałem sam, pogrążony w myślach. Wszystkie one odnosiły się do komendanta „Nautilusa”. Czy dowiem się kiedykolwiek, do jakiego narodu należy ów dziwny człowiek, chlubiący się tym, że nie należy do żadnego?

Kto obudził w nim ową nienawiść, jaką zaprzysiągł ludzkości, nienawiść, która łaknęła zapewne straszliwej zemsty? Czy był on może jakimś uczonym, który nie znalazł zrozumienia? Czy geniuszem, któremu, według słów Conseila, „narobiono kłopotów”, jakimś nowoczesnym Galileuszem*? A może jednym z owych naukowców, jak Amerykanin Maury*, którym zwichnęły karierę polityczne przewroty? Nie mogłem nic jeszcze powiedzieć na ten temat. Mnie, który dzięki ślepemu przypadkowi znalazłem się na pokładzie jego statku, a więc w jego mocy — przyjął chłodno, ale gościnnie. Nigdy natomiast nie przyjął ręki, którą do niego wyciągałem, nigdy też sam mi swojej dłoni nie podał.

Całą godzinę siedziałem tak zatopiony w rozmyślaniach, szukając rozwiązania tej pasjonującej tajemnicy. Wzrok mój zatrzymał się wreszcie na wielkiej mapie świata, rozłożonej na stole; dotknąłem palcem punktu, w którym przecinały się ustalone współrzędne geograficzne.

Morza mają swoje rzeki, tak jak lądy. Są to odrębne prądy, które poznać można po

---

* Galileusz (właściwie: Galileo Galilei, 1564–1642) — wielki włoski uczony, astronom, fizyk i matematyk. Wynalazł termometr, odkrył prawa powszechnego ciążenia, zbudował pierwszy teleskop. Przyjął i rozwinął teorię Kopernika, która została wtedy ogłoszona za herezję przez kościół. Zmuszono go okrutnymi torturami do wyparcia się tej „heretyckiej” teorii i prześladowano przez resztę życia

* Maury Matthieu–Fontaine (1806–2873) — amerykański uczony pochodzenia francuskiego, geograf i meteorolog. Przewroty polityczne, o których tu mowa, to tzw. wojna secesyjna, tj. wojna domowa między obszarniczymi stanami południowymi i uprzemysłowionymi stanami północnymi o zniesienie niewolnictwa, trwająca od 1860 do 1865

temperaturze i barwie wody, a z których najsłynniejszy znany jest pod nazwą Prądu Zatokowego. Na kuli ziemskiej nauka określiła kierunek pięciu głównych prądów: jednego na północnym Atlantyku, drugiego na Atlantyku południowym, trzeciego na Pacyfiku północnym, czwartego na Pacyfiku południowym i piątego na Oceanie Indyjskim południowym. Szósty prąd istniał prawdopodobnie na Oceanie Indyjskim północnym, w okresie kiedy Morze Kaspijskie i Morze Aralskie, w połączeniu z wielkimi jeziorami Azji, tworzyły olbrzymi obszar wodny.

Otóż przez punkt zaznaczony na mapie przepływał właśnie jeden z takich prądów, słynny japoński Kuro–siwo — Czarna Rzeka. Powstały w Zatoce Bengalskiej, gdzie nagrzewają go prostopadłe promienie zwrotnikowego słońca, przepływa on cieśninę Malakka, płynie wzdłuż wybrzeży azjatyckich i zatacza łuk aż do Wysp Aleuckich na północnym Pacyfiku, unosząc na sobie pnie kamforowców i inne płody południa i przecinając fale oceanu swymi ciepłymi wodami o czystej barwie indygo.

Wzdłuż tego właśnie prądu płynąć miał teraz „Nautilus". Patrzyłem na jego przebieg na mapie, widziałem, jak rozpływa się i gubi na niezmiernych przestrzeniach Pacyfiku, i wydawało mi się, że gubię się wraz z nim.

Nagle w drzwiach salonu ukazali się Ned Land i Conseil. Obaj moi zacni towarzysze stanęli jak wryci na widok cudów nagromadzonych przed ich oczami.

— Gdzież my jesteśmy? Gdzie jesteśmy? — zdumiewał się Kanadyjczyk. — Czy w Muzeum w Quebecu?

— Za pozwoleniem pana profesora — powiedział Conseil — to chyba raczej Sommerard*!

— Nie, moi kochani — odparłem zapraszając ich gestem do środka. — Nie jesteśmy ani w Kanadzie, ani we Francji, tylko ciągle na pokładzie „Nautilusa", i to pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią morza.

— Skoro pan profesor tak twierdzi, to trzeba panu profesorowi wierzyć — rzekł Conseil. — Ale, szczerze mówiąc, ten salon chyba zrobiony jest po to, żeby wprawić w zdumienie nawet takiego Flamandczyka, jak ja.

— Zdumiewaj się, mój kochany, i przypatrz się dobrze, bo jest tu sporo roboty dla tak wprawnego klasyfikatora.

Nie potrzebowałem Conseila zachęcać. Poczciwiec, nachylony nad gablotami, już mruczał w języku przyrodników: „Gromada brzuchonogów, rodzina trąbików, rodzaj porcelankowatych, gatunki Cypraea madagascariensis" i tak dalej.

Tymczasem Ned Land, mało interesujący się konchologią, dopytywał się o moje rozmowy z kapitanem Nemo. Czy już się dowiedziałem, kto to jest, skąd pochodzi, dokąd jedzie, w jakie głębokości pociąga nas ze sobą? Zadał jeszcze tysiąc innych pytań, na które nie miałem nawet czasu odpowiedzieć. Powiedziałem mu tylko to, co sam wiedziałem, a raczej to, czego nie wiedziałem, : spytałem, co on ze swej strony słyszał i widział.

— Nic nie widziałem i nic nie słyszałem — odparł Kanadyjczyk. — Nie widziałem nawet nikogo z załogi tego statku. Czy i ona przypadkiem nie jest elektryczna?

— Elektryczna?!

— Słowo daję, że można by tak pomyśleć! Ale czy pan, panie profesorze, taki zawsze domyślny, nie mógłby określić, ile tu jest ludzi na pokładzie: dziesięciu, dwudziestu, pięćdziesięciu czy stu?

— Nie umiem wam odpowiedzieć, panie Land. Posłuchajcie mnie jednak i porzućcie na razie myśl opanowania „Nautilusa" i ucieczki. Ten statek jest arcydziełem nowoczesnej techniki i bardzo bym żałował, gdybym go nie zobaczył wcale! Na pewno wiele ludzi zgodziłoby się na naszą sytuację, choćby tylko dla samego spacerku poprzez te wszystkie

---

* Sommerard — nazwa pewnej części zbiorów dzieł sztuki znajdujących się w Muzeum Cluny w Paryżu. Zbiory te zostały zgromadzone przez francuskiego historyka sztuki żyjącego w pierwszej połowie XIX w., Aleksandra du Sommerard, a po jego śmierci zakupiło je muzeum

cuda. Zachowujmy się więc spokojnie i starajmy się widzieć, co się dokoła nas dzieje.

— Widzieć! — krzyknąć harpunnik. — Ale przecież tu nic nie można widzieć i nigdy się nic nie zobaczy, co się dzieje poza tym więzieniem ze stali! Jedziemy i płyniemy jak ślepi…

Kiedy Ned Land wymawiał te słowa, zapadła nagle ciemność, ale to ciemność kompletna. Świetlny sufit zgasł tak szybko, że poczułem w oczach podobny ból, jaki się pojawia przy nagłym przechodzeniu od głębokiego mroku do jaskrawego światła.

Staliśmy niemi i bez ruchu, nie wiedząc, czy czeka nas miła, czy niemiła niespodzianka. Dał się słyszeć odgłos poślizgu, jakby przesuwały się blachy chroniące boki „Nautilusa".

— To już koniec — odezwał się Ned Land.

— Rząd hydromeduz… — mruczał Conseil.

Nagle z obu stron salonu padło światło poprzez dwa podłużne otwory. Jasno oświetlona elektrycznym światłem, ukazała się płynna masa; dwie kryształowe płyty oddzielały nas od morza. Zrazu zadrżałem na myśl, że ta wątła przegroda może prysnąć; była jednak oprawiona w silne, mosiężne okucia, nadające jej prawie nie ograniczoną wytrzymałość.

W promieniu pół mili dokoła „Nautilusa" morze było najdokładniej widzialne. Co za widok! Jakie pióro potrafiłoby to opisać! Któż by mógł odmalować te efekty świetlne w przeźroczystym żywiole i łagodne, stopniowe ich zanikanie w miarę oddalania się ku dolnym i górnym warstwom oceanu!

Znana jest przezroczystość wody morskiej. Wiadomo, że przewyższa nawet wodę źródlaną swą nieskażoną czystością. Zawieszone w niej substancje mineralne i organiczne zwiększają nawet ową przejrzystość. W niektórych częściach oceanu, na przykład w okolicach Wysp Antylskich, dojrzeć można nadzwyczaj wyraźnie piaszczyste dno poprzez stuczterdziestopięciometrową warstwę wody, a siła przenikania promieni słonecznych zdaje się zanikać dopiero na głębokości trzystu metrów. Ale wokół „Nautilusa" światłość elektryczna rozlewała się z samego łona wód; nie był to już świetlny płyn, lecz raczej płynne światło.

Jeśli przyjąć hipotezę Ehremberga, która zakłada, że istnieje fosforescencja oświetlająca głębiny podmorskie, to przyroda zachowała dla mieszkańców mórz niewątpliwie jeden z najwspanialszych widoków; mogłem to teraz osądzić przypatrując się tej grze tysięcy świateł. Z obu stron statku otwierały się okna na te niezbadane otchłanie. Ciemność panująca w salonie uwydatniała zewnętrzną jasność; patrzyliśmy, jak gdyby ów czysty kryształ był szybą jakiegoś przeogromnego akwarium.

„Nautilus" zdawał się nie poruszać. Brakowało bowiem punktu oparcia dla wzroku. Niekiedy tylko przesuwały się błyskawicznie przed naszymi oczami smugi wody, prute ostrogą statku.

Staliśmy tak przed tymi szybami, zadumani, wsparci na łokciach, oczarowani, i nikt z nas nie chciał przerywać owej ciszy pełnej zdumienia; dopiero Conseil odezwał się:

— Chciałeś coś widzieć, kochany Nedzie? No, to teraz widzisz!

— Nadzwyczajne, nadzwyczajne! — mówił Kanadyjczyk, opanowany całkowicie urokiem obrazu, zapomniawszy o swych gniewach i projektach ucieczki. — Warto by tu przyjść nawet z daleka, żeby móc podziwiać taki widok!

— Rozumiem teraz życie tego człowieka! — zawołałem. — Stworzył sobie własny świat, który otwiera przed nim swoje najcudowniejsze tajnie!

— No, a ryby? — zauważył Kanadyjczyk. — Jakoś nie widzę ryb!

— A cóż cię obchodzą ryby, przyjacielu Nedzie? — odpowiedział Conseil. — Przecież i tak się na nich nie znasz!

— Co? Ja, rybak?! — krzyknął Ned Land.

I na ten temat powstała między obydwoma przyjaciółmi gorąca dyskusja, ponieważ obaj znali ryby, ale każdy na swój sposób. Wszyscy wiedzą, że ryby tworzą czwartą i ostatnią klasę działu kręgowców. Określono je jako „kręgowce o podwójnym obiegu i zimnej krwi,

oddychające skrzelami i przeznaczone do życia w wodzie”. Składają się na nie dwie odrębne grupy: ryb kostno—szkieletowych, czyli takich, których kręgosłup składa się z kręgów ościstych, i ryb chrząstnoszkieletowych, to jest takich, których kręgosłup składa się z kręgów chrząstkowych.

Może Kanadyjczyk i znał to rozróżnienie, ale Conseil wiedział znacznie więcej na ten temat i choć złączony z Nedem węzłami przyjaźni, nie mógł się zgodzić, że jest od niego mniej wykształcony. Dlatego odezwał się:

— Kochany Nedzie, potrafisz zabijać ryby, jesteś doskonałym rybakiem. Złowiłeś już całą masę tych ciekawych stworzeń. Ale założyłbym się, że nie wiesz, jak się je klasyfikuje.

— Owszem — odparł harpunnik poważnie. — Ryby dzielą się na jadalne i niejadalne!

— Od razu widać, że klasyfikuje obżartuch! — rzekł Conseil. — Ale powiedz mi, czy wiesz, jaka jest różnica pomiędzy rybami kostnoszkieletowymi i chrząstnoszkieletowymi?

— Może i wiem.

— A czy wiesz, jak się dzielą te dwie grupy?

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odparł Kanadyjczyk.

— Więc słuchaj, kochany Nedzie, słuchaj i zapamiętaj sobie! Ryby ościste dzielą się na sześć rzędów: Primo — Acanthopterygiae, mające górną szczękę całkowitą i ruchomą i skrzela w kształcie grzebienia. Ten rząd obejmuje piętnaście rodzin, czyli trzy czwarte wszystkich ryb w ogóle. Typ charakterystyczny: okoń pospolity.

— Dosyć smaczny — odezwał się Ned Land.

— Secundo — ciągnął Conseil — brzuchopłetwe, które mają płetwy brzuszne zawieszone pod samym brzuchem, za płetwami piersiowymi, nie połączone z kośćmi łopatkowymi; rząd ten dzieli się na cztery rodziny i obejmuje znakomitą większość ryb słodko—wodnych. Typ: karp, szczupak.

— Phi! — skrzywił się Kanadyjczyk z odcieniem pogardy w głosie. — Ryby słodkowodne!…

— Tertio — mówił dalej Conseil — Subbrachiae, które mają płetwy brzuszne zawieszone pod piersiowymi, bezpośrednio połączone z kośćmi łopatkowymi. Ten rząd obejmuje cztery rodziny. Typ: flądry, sole.

— Doskonałe, doskonałe! — oblizywał się harpunnik, nadal rozpatrujący ryby jedynie z punktu widzenia jadalności.

— Quarto — wyliczał Conseil niewzruszony — niedopłetwe, o wydłużonym ciele, pozbawione zupełnie płetw brzusznych, pokryte skórą, często oślizłą; rząd ten zawiera tylko jedną rodzinę. Typ: węgorz, strętwa.

— Nienadzwyczajne, wcale nienadzwyczajne! — krzywił się Ned.

— Quinto — mówił Conseil — wąskoskrzelne, które mają szczęki całkowite i ruchome, ale skrzela w kształcie kosmyczków umieszczonych parami wzdłuż łuków skrzelowych. Ten rząd zawiera także jedną rodzinę. Typ: koniki morskie, pegazy–smoki.

— Obrzydliwe! Obrzydliwe! — sklasyfikował Ned.

— Wreszcie sexto — kończył Conseil — zrosłoszczękie, których kość szczękowa przytwierdzona jest nieruchomo do kształtującego szczękę boku międzyszczękowego i których sklepienie podniebieniowe sczepione jest z czaszką sztywnym unieruchamiającym je szwem. Rzędowi temu brak prawdziwych płetw brzusznych, a składa się on z dwóch rodzin. Typ: rybojeż, kolcobrzuch, ryby księżycowe.

— Wszystkie do chrzanu! — skrytykował Kanadyjczyk.

— Zrozumiałeś, kochany Nedzie? — spytał uczony Conseil.

— Ani odrobinki, kochany Conseil — odpowiedział harpunnik. — Ale jedź dalej, bo bardzo mnie tym zająłeś.

— Jeśli chodzi o ryby chrząstnoszkieletowe — podjął wykład Conseil, którego nic nie było w stanie wytrącić z równowagi — to dzielą się one tylko na trzy rzędy.

— Tym lepiej — zauważył Ned.

— Primo, okrągłouste, których szczęki ujęte są jakby w ruchomą obrączkę i których skrzela otwierają się licznymi dziurkami; rząd ten zawiera tylko jedną rodzinę. Typ: minóg.

— Paluszki lizać! — mruknął Ned Land.

— Secundo, poprzecznouste, ze skrzelami podobnymi do skrzeli ryb okrągłoustych, ale z ruchomą dolną szczęką. Ten rząd jest najważniejszy w całej grupie i obejmuje dwie rodziny. Typ: raje i rekiny.

— Co?! — wykrzyknął Ned. — Raje i rekiny w jednym rzędzie? Nie radzę ci, kochany Conseil, w interesie rai, pakować jej do jednego słoja z rekinem!

— Tertio — odpowiedział Conseil — jesiotrowate, których skrzela otwierają się zwyczajnie, jedną szczeliną, opatrzoną klapką; ten rząd obejmuje cztery rodzaje. Typ: jesiotr.

— Aha! Conseil, najlepsze schowałeś na sam koniec! Przynajmniej, jeśli chodzi o mój gust… I to wszystko?

— Tak, zacny Nedzie — odparł Conseil. — Wiedz jednak, że kto już wie to wszystko, ten nic jeszcze nie wie, ponieważ rodziny dzielą się dopiero na rodzaje, podrodzaje, gatunki, odmiany…

— Otóż mamy i odmiany, kochany Conseil! — powiedział Ned nachylając się ku szybie w ścianie.

— Tak! Ryby! — ucieszył się Conseil. — Jesteśmy jak w akwarium!

— Nie — odpowiedziałem. — Przecież akwarium to tylko klatka, a tutaj ryby są wolne jak ptaki w powietrzu.

— No i co, przyjacielu Conseil? — mówił Ned Land. — Teraz je nazywaj! Teraz nazywaj!

— Tego już nie potrafię — odparł Conseil. — To rzecz pana profesora!

Istotnie poczciwy chłopak był tylko zaciekłym klasyfikatorem, a nie przyrodnikiem, i nie wiem, czy odróżniłby tuńczyka od bonita. Jednym słowem, był przeciwieństwem Kanadyjczyka, który za to potrafił nazwać bez namysłu każdą rybę.

— Rogatnica — mówiłem.

— I to chińska — dodawał zaraz Ned Land.

— Rodzaj balist, rodzina kolczasto—pancernych, rząd zrosłoszczękich — mruczał Conseil.

Ned łącznie z Conseilem stworzyliby na pewno jednego doskonałego przyrodnika.

Kanadyjczyk nie omylił się. Stadko balist, o ciałach bez żeber i chropowatych skórach, uzbrojonych w kolec na płetwie grzbietowej, igrało wokół „Nautilusa”, poruszając czterema rzędami kolców jeżących się po każdej stronie ogona. Nic piękniejszego, jak ich skóra — szara z wierzchu, biała od spodu — na której złote plamki migocą poprzez ciemne fałdowania wód. Wśród nich przewijały się raje, podobne do falujących na wietrze kawałków tkaniny; pośród nich zauważyłem z najwyższą radością ową raję chińską, żółtawą na grzbiecie i bladoróżową pod brzuchem, zbrojną w trzy kolce umieszczone za okiem; gatunek rzadki, a nawet podawany w wątpliwość za czasów Lacepede’a*, który widział go jedynie w zbiorze starych japońskich rysunków.

Cała ta armia wodna przez dwie godziny eskortowała „Nautilusa”. W czasie ich igraszek i pląsów, kiedy tak rywalizowały między sobą urokiem, barwami i chyżością, zauważyłem wśród nich i zieloną labrę, i barwenę berberyjską, zdobną w podwójną czarną pręgę, i wąsatego kiełbia o zaokrąglonej płetwie ogonowej, białego z fioletowymi plamami na grzbiecie, i skumbrię japońską, wspaniałą makrelę tych wód, o błękitnym ciele i posrebrzanej głowie; widziałem rozkoszne lazurki, których opis zawiera się w samej nazwie, leszczaki pręgowane o płetwach niebieskożółtych, leszczaki paskowe, zdobne w czarny pas na płetwie ogonowej, leszczaki pasiaste, wytwornie ściśnięte w talii sześciokrotnym pasem, aulostony,

* Lacepede Etienne (1756–1825) — francuski przyrodnik, autor m. in. „Historii naturalnej ryb” i „Historii naturalnej waleni”

inaczej bekasy morskie, których niejeden okaz dochodzi do metra długości, salamandry japońskie, mureny, wyglądające jak długie na sześć stóp węże o żywych i małych oczkach, o szerokim, najeżonym zębami pysku.

Nasz zachwyt nie ostygł ani na chwilę. Świadczyły o tym nasze nie milknące okrzyki. Ned nazywał ryby, Conseil je klasyfikował, ja unosiłem się nad żywością ich ruchów i pięknem kształtów. Nigdy dotychczas nie zdarzyło mi się podpatrzyć tych zwierząt żywych i na swobodzie we własnym żywiole.

Nie będę tu opisywał wszystkich odmian, które przesunęły się w ten sposób przed naszymi zdumionymi oczami, całej tej kolekcji japońskich i chińskich mórz. Ryby gromadziły się liczniej niż ptaki w powietrzu, niewątpliwie przyciągane olśniewającym światłem elektrycznego ogniska.

Nagle w salonie zrobiło się jasno. Zasunęły się blachy stalowe. Znikło czarowne widowisko. Długo jeszcze marzyłem, aż wreszcie wzrok mój padł na wiszące na ścianach instrumenty. Kompas wyznaczał nadal kierunek kursu wschodnio–północno–wschodni, manometr wykazywał ciśnienie pięciu atmosfer, odpowiadające głębokości pięćdziesięciu metrów, a z elektrycznego logu wynikało, że posuwamy się z szybkością piętnastu mil na godzinę.

Czekałem na kapitana Nemo. Nie pokazał się. Była godzina piąta. Ned Land i Conseil powrócili do swojej kabiny. Udałem się i ja do swojego pokoiku. Stał tam już przygotowany obiad. Składał się z żółwiowej zupy, przyrządzonej z najdelikatniejszych widocznie sztuk, następnie z barweny o białym, jakby warstewkowym mięsie, której wyśmienitą wątrobę podano osobno, wreszcie z pieczonej holokanty cesarskiej: jej mięso smakowało mi lepiej niż mięso łososia.

Wieczór spędziłem na czytaniu, pisaniu i rozmyślaniu. Kiedy poczułem zbliżający się sen, wyciągnąłem się na mym posłaniu z zostery, owego delikatnego gatunku trawy morskiej, i usnąłem głęboko, podczas gdy „Nautilus” sunął dalej wzdłuż bystrego prądu Czarnej Rzeki.

Rozdział XV
Listowne zaproszenie

Obudziłem się nazajutrz, 9 listopada, po dwunastogodzinnym śnie. Nadszedł Conseil, aby — zgodnie ze swym zwyczajem — dowiedzieć się, „jak pan profesor spędził noc”, i zgłosić się „do usług”. Swego kanadyjskiego przyjaciela zostawił w kabinie — spał tam jak człowiek, który nic innego nie robi przez całe życie.

Milczałem, kiedy zacny chłopak gadał do woli, ponieważ intrygowała mnie nieobecność kapitana Nemo, który nie pokazał się podczas wczorajszego cudownego widowiska; spodziewałem się, że zobaczę go dzisiaj.

Wkrótce przywdziałem swoje ubranie z bisioru. Conseil zastanawiał się nad nim niejednokrotnie. Wyjaśniłem mu, że tkanina zrobiona była z lśniących, jedwabistych włókien, za pomocą których tak zwane „szyneczki” (rodzaj mięczaków często spotykanych na wybrzeżach Morza Śródziemnego) czepiają się ścian skalistych. Niegdyś robiono z nich piękne materiały, pończochy, rękawiczki, ponieważ były zarazem i miękkie, i ciepłe. Załoga „Nauti—lusa” mogła się więc tanio ubierać bez żadnej łaski ze strony krzaków bawełny, owiec czy jedwabników ziemskich.

Ubrawszy się poszedłem do salonu. Był pusty.

Pogrążyłem się w studiach nad skarbami konchologii, nagromadzonymi w gablotach. Przeglądałem także wielkie zielniki z najrzadszymi roślinami morskimi, które, choć zasuszone, zachowały swe cudowne barwy. Pomiędzy tymi cennymi okazami wodnej flory zauważyłem bedłkę wachlarzowatą, acetabule, podobne do pokurczonych grzybów, zaliczane przez długi czas do zwierzokrzewów, wreszcie całą serię morskich porostów.

Minął cały dzień, a kapitan Nemo nie zaszczycił mnie odwiedzinami. Ściany salonu nie rozsunęły się więcej. Może nie chciano nas zbytnio oswajać z tymi przepięknymi widokami.

W dalszym ciągu „Nautilus” kierował się na wschodnio—północny wschód z szybkością dwunastu mil na godzinę, na głębokości od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu metrów.

Nazajutrz, 10 listopada, znowu samotność. Nie ujrzałem nikogo z załogi. Ned i Conseil spędzili większą część dnia ze mną. Dziwiła ich niewytłumaczalna nieobecność kapitana. Czy ten dziwny człowiek był może chory? Czy chciał może zmienić swoje zamiary w stosunku do nas?

Prawdę mówiąc, Conseil słusznie zauważył, że cieszyliśmy się całkowitą swobodą i byliśmy nadal smacznie żywieni. Nasz gospodarz dotrzymywał warunków układu. Nie mogliśmy się uskarżać; sama niezwykłość naszego losu była wspaniałą rekompensatą, tak że narzekać nie mieliśmy prawa.

Wczesnym rankiem 11 listopada — po świeżym powietrzu rozchodzącym się we wnętrzu „Nautilusa”, poznałem, że wypłynęliśmy na powierzchnię morza w celu odnowienia zapasu tlenu. Skierowałem się ku środkowym schodkom i wyszedłem na platformę.

Minęła szósta. Pogoda była mglista, morze szare, ale spokojne. Fali żadnej. Spodziewałem się spotkania z kapitanem Nemo. Czy przyjdzie? Zobaczyłem tylko sternika zamkniętego w swojej szklanej klatce. Usiadłem na wypukłości kadłuba łodzi i z rozkoszą wdychałem słone powietrze.

Z wolna pod wpływem promieni słońca mgły się rozeszły. Zza wschodniego horyzontu wynurzała się promienna gwiazda. Pod jej spojrzeniem morze zapłonęło jak proch od rzuconej iskry. Chmury postrzępione na wysokim niebie zabarwiły się żywymi, bajecznie cieniowanymi tonami, a liczne „kocie języczki”* zapowiadały całodzienny wiatr.

Ale cóż mógł wiatr zaszkodzić „Nautilusowi”, który drwił sobie z wszelkich burz!

---

* Białe, lekkie chmurki, po brzegach postrzępione (przyp. aut.).

Kiedy tak podziwiałem ów radosny wschód słońca, tak wesoły i ożywczy, posłyszałem, że ktoś wchodzi na platformę.

Przygotowany byłem na powitanie kapitana Nemo, ale ukazał się jego zastępca. Wszedł na platformę i zdawał się nawet nie zauważać mojej obecności. Z największą uwagą zaczął badać horyzont za pomocą potężnej lornety. Kiedy zbadał dokładnie każdy punkt widnokręgu, zbliżył się do klapy i wymówił zdanie, które przytaczam dokładnie. Zapamiętałem je, ponieważ powtarzało się każdego ranka w identycznych okolicznościach. Brzmiało następująco:

„Nautron respok lorni virch".

Nie miałem pojęcia, co to miało znaczyć.

Po wymówieniu tych słów porucznik zszedł z platformy. Sądziłem, że „Nautilus" za chwilę zanurzy się znów pod wodę. Pośpieszyłem więc do klapy i korytarzami powróciłem do swego

pokoju.

Upłynęło tak pięć dni i nic się nie zmieniło. Każdego ranka wychodziłem na platformę, a ten sam człowiek wypowiadał te same słowa. Kapitan Nemo nie ukazywał się.

Zacząłem już przypuszczać, że nie zobaczę go nigdy; kiedy jednak 16 listopada powróciłem do swego pokoju z Nedem i Con—seilem, zastałem na stole zaadresowany do mnie list.

Rozerwałem go niecierpliwie. Pisany był z rozmachem, charakterem szczerym i czystym, ale jakby trochę gotyckim, co przypominało litery niemieckie.

List brzmiał następująco:

Do Pana Profesora
Piotra Aronnax
na pokładzie „Nautilusa"

16 listopada 1867 roku

Kapitan Nemo zaprasza Pana Profesora Aronnax na polowanie, które odbędzie się rankiem dnia jutrzejszego w lasach wyspy Crespo.

Kapitan ma nadzieją, że nic nie przeszkodzi Panu Profesorowi wziąć udziału w polowaniu; z przyjemnością też ujrzy Jego towarzyszy z Nim razem.

Dowódca „Nautilusa"
Kapitan NEMO

— Polowanie! — wykrzyknął Ned.

— I to w lasach wyspy Crespo! — dodał Conseil.

— Czyli że ten oryginał dotknie jednak stopą lądu — zauważył Ned.

— Tak to wygląda; sprawa jest całkiem jasna — rzekłem odczytując list powtórnie.

— W takim razie zaproszenie trzeba przyjąć — powiedział Kanadyjczyk. — Gdy już się raz stanie na lądzie, zobaczymy, co będzie dalej. A zresztą nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zjeść parę kawałków świeżej dziczyzny.

Nie starałem się zrozumieć sprzeczności, która zachodziła między objawiającym się stale wstrętem kapitana Nemo do lądów i wysp a jego zaproszeniem na polowanie w lesie; odpowiedziałem więc na razie z rezerwą:

— Przede wszystkim zobaczymy, co to jest ta wyspa Crespo. Na mapie zobaczyłem pod 32°40' szerokości północnej i pod 167°50' długości zachodniej wysepkę, którą w 1801 roku odkrył kapitan Crespo, a którą stare hiszpańskie mapy nazywały Roca de Za Pląta, czyli „Srebrna Skała". Byliśmy więc blisko o osiemset mil od punktu rozpoczęcia podróży; „Nautilus" lekko zmienił kurs ku południowemu wschodowi.

Pokazałem towarzyszom ową maleńką skałę, zagubioną wśród ogromu północnego

Pacyfiku.

— Jeśli nawet kapitan Nemo wysiada czasem na ziemię — powiedziałem — to przynajmniej wybiera wyspy całkowicie bezludne.

Ned Land nie odpowiadając potrząsnął głową, po czym obaj z Conseileni wyszli. Po kolacji, którą podał mi niewzruszony i milczący steward, położyłem się, ale długo jeszcze rozmyślałem przed zaśnięciem.

Nazajutrz, 17 listopada, natychmiast po obudzeniu się poczułem, że „Nautilus" tkwi w zupełnym bezruchu. Ubrałem się szybko i wszedłem do dużego salonu.

Kapitan Nemo już tam był. Czekał na mnie; wstał, ukłonił się i zapytał, czy chcemy mu towarzyszyć.

Ponieważ ani słowa nie wspomniał o swojej ośmiodniowej nieobecności, nie poruszałem i ja tego tematu; odpowiedziałem tylko po prostu, że moi towarzysze i ja jesteśmy gotowi iść za nim.

— Ale pozwolę sobie zadać jedno pytanie — rzekłem.

— Proszę mówić, panie profesorze; jeśli tylko będę mógł, odpowiem.

— Otóż, jak to się dzieje, panie kapitanie, że zerwał pan wszelkie stosunki z ziemią, a posiada pan lasy na wyspie Crespo?

— Panie profesorze — odparł kapitan — lasy, które ja posiadam, nie wymagają od słońca ani światła, ani ciepła. Nie zamieszkują ich ani lwy, ani tygrysy, ani pantery, ani w ogóle żadne czworonogi. Rosną one tylko dla mnie. To nie są bowiem ziemskie lasy, ale podmorskie.

— Lasy podmorskie! — wykrzyknąłem.

— Tak, panie profesorze.

— I pan obiecuje mnie tam zaprowadzić?

— Tak jest.

— Pieszo?

— Pieszo, a nawet suchą stopą.

— Na polowanie?

— Na polowanie.

— Z bronią w ręku?

— Z bronią w ręku.

Popatrzyłem na dowódcę „Nautilusa" wzrokiem, w którym nie mógł chyba wyczytać nic pochlebnego.

„Na pewno cierpi na mózg — pomyślałem. — Miał ośmiodniowy atak, który jeszcze trwa. Szkoda! Wolę go jako dziwaka niż jako wariata!"

Myśl tę można było na pewno wyczytać bez trudu z mojej twarzy, ale ponieważ kapitan dał mi po prostu znak, by iść za nim, więc poszedłem zrezygnowany zupełnie. Weszliśmy do jadalni, gdzie stało już przygotowane śniadanie.

— Proszę się nie krępować, panie profesorze — odezwał się kapitan — i jeść ze mną razem to śniadanie. Porozmawiamy przy jedzeniu. Obiecałem panu przechadzkę po lesie, ale nie znaczy to, że zaprowadzę tam pana do restauracji. Niech pan je jak człowiek, który prawdopodobnie nie będzie mógł się doczekać obiadu.

Zabrałem się do jedzenia. Posiłek składał się z rozmaitych ryb oraz z kawałków strzykw, przyprawionych bardzo apetycznymi algami, jak Porphyria lacinita i Laurentia primafetida. Za napój służyła czysta woda, do której za przykładem kapitana dodawałem parę kropel sfermentowanego płynu, otrzymywanego metodą mieszkańców Kamczatki z pewnego gatunku algi, znanego pod nazwą rodomenia palmowata.

Kapitan Nemo jadł, początkowo nie odzywając się wcale. Potem zwrócił się do mnie:

Panie profesorze, kiedy zaproponowałem panu polowanie w moich lasach wyspy Crespo, sądził pan, że postępuję niekonsekwentnie. Kiedy wyjaśniłem panu, że chodzi o lasy

podmorskie, przypuszczał pan, że zwariowałem. Panie profesorze, nie trzeba nigdy wydawać o ludziach zbyt lekkomyślnych sądów.

— Ależ proszę mi wierzyć, panie kapitanie…

— Proszę mnie wysłuchać, a zobaczy pan, czy należy mnie posądzać o niekonsekwencję lub o pomieszanie zmysłów.

— Słucham pana.

— Wie pan równie dobrze, jak ja, że człowiek może żyć pod wodą pod warunkiem, że ma ze sobą zapas powietrza, którym mógłby oddychać. Przy niektórych pracach podwodnych robotnik, odziany w nieprzemakalne ubranie i z głową uwięzioną w metalowym hełmie, otrzymuje powietrze z zewnątrz za pomocą pomp tłoczących i regulatorów przepływu.

— Skafandry — wtrąciłem.

— Słusznie. Ale w tych warunkach człowiek nie ma swobody ruchów. Związany jest bowiem z pompą, która przesyła mu powietrze przez gumową rurę, istny łańcuch przykuwający go do ziemi; gdybyśmy byli w ten sposób związani z „Nautilusem", nie moglibyśmy zajść daleko.

— A w jaki sposób osiąga pan swobodę? — zapytałem.

— Używając aparatu wynalezionego przez pańskich dwóch rodaków Rouquayrola i Denayrouze'a, a udoskonalonego przeze mnie; pozwoli on panu na przebywanie w odmiennych warunkach fizjologicznych bez narażenia na szwank pańskiego organizmu. Aparat ten składa się ze zbiornika z grubej blachy, w którym magazynuję powietrze pod ciśnieniem pięćdziesięciu atmosfer. Zbiornik ten zawiesza się na plecach, na szelkach jak tornister wojskowy. Z górnej jego części, w kształcie puszki, powietrze, utrzymywane tam za pomocą czegoś w rodzaju miecha, może uchodzić tylko pod swym normalnym ciśnieniem. W obecnie używanym aparacie Rouquayrola z puszki owej wychodzą dwie rurki gumowe do specjalnej osłonki pokrywającej nos i usta pracującego. Jedna z rurek wprowadza powietrze wdychiwane, druga odprowadza powietrze wytchnięte, zaś język zamyka jedną lub drugą zależnie od potrzeby oddychającego. W naszym wypadku, ponieważ mamy do czynienia z wysokimi ciśnieniami w głębinach morskich, głowa jest także zamknięta, jak u nurków, w miedzianej kuli i do tej właśnie kuli przytykają owe dwie rurki do wdechu i wydechu.

— Doskonale, panie kapitanie. Ale przecież powietrze w zbiorniku musi się szybko zużywać i staje się niezdatne do oddychania, kiedy zawiera mniej niż piętnaście procent tlenu.

— Słusznie, panie profesorze, ale powiedziałem już panu, że pompy „Nautilusa" mogą zmagazynować je pod dużym ciśnieniem; w tych więc warunkach zbiornik aparatu może dostarczać powietrza, zdatnego do oddychania, przez dziewięć do dziesięciu godzin.

— Nie mogę tu już niczego zarzucić — powiedziałem. — Pozwolę sobie tylko zapytać, w jaki sposób oświetla pan sobie drogę na dnie morza.

— Za pomocą aparatu Ruhmkorffa, panie profesorze. Składa się on z ogniwa bunsenowskiego, które działa nie pod wpływem dwuchromianu potasu, ale sodu, a tego mam przecież w bród. Cewka indukcyjna zbiera wyprodukowany prąd i przesyła go do odpowiednio urządzonego reflektora. W reflektorze znajduje się szklana wężownica, zawierająca osad gazu węglowego. Kiedy aparat działa, gaz ten zapala się wydając światło białawe i ciągłe. W taki sposób oddycham i widzę.

— Na wszystkie moje zastrzeżenia, panie kapitanie, daje pan tak druzgocące odpowiedzi, że nie śmiem już w nic wątpić. Godzę się więc na aparat Rouquayrola i Ruhmkorffa i tylko mam pewne wątpliwości co do broni palnej, o której pan mówił.

— Ależ to nie będzie karabin ładowany prochem — odpowiedział kapitan.

— Więc wiatrówka?

— Oczywiście. Jakże mam wytwarzać proch strzelniczy na pokładzie, nie mając ani saletry, ani siarki, ani węgla?

— A poza tym — dodałem — żeby skutecznie strzelać pod wodą, a więc w ośrodku

osiemset pięćdziesiąt pięć razy gęstszym od powietrza, trzeba by pokonać znaczny opór.

— To by jeszcze było najmniejsze. Są już lufy, od czasów Fultona udoskonalone przez Anglików, Filipa Colesa i Burleya, Francuza Furcy, Włocha Landi, które opatrzone są specjalnym systemem uszczelniającym i umożliwiają strzał w tych warunkach. Ale, powtarzam panu, że przecież nie mam prochu, więc zastąpiłem go powietrzem pod wysokim ciśnieniem, którego pompy „Nautilusa" dostarczają mi do woli.

— Takie powietrze chyba szybko się zużywa.

— A od czegóż mój zbiornik aparatu Rouquayrola, z którego

w razie potrzeby mogę czerpać? Wystarczy na to oddzielny kranik. Zresztą sam pan zobaczy, panie profesorze, że w czasie tych polowań podmorskich nie potrzeba zbyt wielkiej ilości powietrza ani kul.

— Wydaje mi się jednak, że w takim półświetle i w płynie tak gęstym w stosunku do atmosfery strzały nie mają zapewne wielkiego zasięgu i nie bywają śmiertelne.

— Przeciwnie, panie profesorze, strzał z tej broni jest śmiertelny; każde stworzenie, choćby najlżej draśnięte, pada jak rażone piorunem.

— Dlaczego?

— Dlatego, że to nie są zwykłe kule; moja broń wyrzuca niewielkie szklane kapsułki, wynalezione przez austriackiego chemika, Leniebroeka; mam ich tu duży zapas. Te szklane kapsułki, pokryte stalowym okuciem i obciążone ołowianą stopką, to istne butelki lejdejskie*, naładowane elektrycznością o bardzo wysokim napięciu. Za najlżejszym uderzeniem pękają i każde zwierzę musi paść martwe. Dodam panu jeszcze, że kapsułki owe są mniejsze od czwartego numeru śrutu i że do zwykłego karabinu można by ich nabić dziesięć.

— Nie mogę już z panem dyskutować — rzekłem wstając od stołu — pozostaje mi tylko zabrać broń i iść za panem.

Kapitan zaprowadził mnie na rufę „Nautilusa"; przechodząc obok kabiny Neda i Conseila zawołałem obu mych towarzyszy, którzy zaraz udali się za nami.

Doszliśmy tak do malutkiej kabinki położonej przy ścianie statku, tuż obok hali maszyn; mieliśmy się tam przebrać w stroje nieodzowne do wyprawy.

---

* butelka lejdejska — rodzaj kondensatora elektrycznego (tj. przyrządu magazynującego pewną ilość energii elektrycznej), wynalezionego pod koniec XVIII w. przez uczonego z miasta Lejdy w Holandii — Cuneusa

Rozdział XVI
Spacer po dnie morza

W tej kabinie mieściły się, ściśle mówiąc, i arsenał, i szatnia „Nautilusa”. Na spacerowiczów oczekiwał tuzin skafandrów zawieszonych na ścianie.

Ned Land okazał najwyraźniejszy wstręt do włożenia ich na siebie.

— Ależ, kochany Nedzie — odezwałem się — lasy wyspy Crespo są lasami podmorskimi!

— Ach, tak! — rzekł rozczarowany harpunnik widząc, że ulatują już jego marzenia o świeżej pieczeni. — I pan, panie profesorze, włoży to na siebie?

— No, trzeba, mości Land!

— Jak pan chce — wzruszył ramionami Ned. — Co do mnie, to, póki mnie nie zmuszą, nigdy w życiu nie wpakuję się do tego.

— Nikt pana nie będzie zmuszał, panie Land — rzekł kapitan Nemo.

— A Conseil zaryzykuje? — spytał Ned.

— Gdzie tylko pójdzie pan profesor, tam i ja pójdę — odpowiedział Conseil.

Na wezwanie kapitana przyszło dwóch ludzi z załogi, aby nam pomóc ubrać się w owe ciężkie, nieprzemakalne ubiory gumowe, zrobione bez szwów i przygotowane do wytrzymywania wysokich ciśnień. Była to niby zbroja, zarazem giętka i trwała. Składała się ze spodni i kurtki. Spodnie kończyły się grubymi butami, zaopatrzonymi w ciężkie, ołowiane podeszwy. Tkaninę kurtki podtrzymywały mosiężne blaszki, opancerzające pierś przeciwko ciśnieniu wód i umożliwiające płucem swobodną pracę; rękawy kończyły się jakby giętkimi rękawicami, które pozwalały na dowolne ruchy dłoni.

Podziwiałem, jak dalece różniły się te udoskonalone skafandry od owych niekształtnych ubiorów, jak korkowe pancerze, kaftany, „morskie stroje”, skrzynie itd., wynalezione i zachwalane w XVIII wieku.

Wkrótce ubraliśmy się wszyscy: kapitan Nemo, jeden z jego towarzyszy (typ Herkulesa o ogromnej zapewne sile), Conseil i ja. Pozostawało już tylko pozamykać nasze głowy w metalowych kulach. Poprosiłem jednak przedtem kapitana o pozwolenie obejrzenia broni, którą mieliśmy się posługiwać.

Jeden z marynarzy „Nautilusa” podał mi strzelbę, zwykłą jednorurkę, której stalowa kolba dość dużych rozmiarów była pusta w środku. Służyła ona za zbiornik sprężonego powietrza, które mogło się dostawać do metalowej lufy przez wentyl działający za pociągnięciem kurka. Wbudowany w kolbę magazynek zawierał dwadzieścia pocisków elektrycznych, które wchodziły do lufy automatycznie za pomocą sprężyny; po oddanym strzale następny pocisk wsuwał się na miejsce pierwszego.

— Doskonała i łatwa w użyciu broń, panie kapitanie — rzekłem. — Chciałbym ją teraz jak najszybciej wypróbować. Ale jak dostaniemy się na dno morza?

— W tej chwili, panie profesorze, „Nautilus” leży na dnie morskim, na głębokości dziesięciu metrów pod powierzchnią wody; możemy wychodzić.

— A jak wyjdziemy?

— Zaraz pan zobaczy.

Kapitan Nemo wsunął głowę w kulistą banię. Conseil i ja poszliśmy za jego przykładem, słysząc jeszcze, jak Kanadyjczyk życzy nam ironicznie „pomyślnych łowów”. Górna część naszych ubrań kończyła się gwintem mosiężnego kołnierza, na który nakręcało się ów metalowy hełm. Trzy otwory, opatrzone grubymi szkłami, pozwalały patrzeć we wszystkich kierunkach — trzeba było tylko obracać głowę wewnątrz kuli. Po jej przykręceniu zaczęły natychmiast działać przymocowane na naszych plecach aparaty Rouquayrola i jeśli o mnie chodzi, oddychałem swobodnie.

Z lampą Ruhmkorffa u pasa i ze strzelbą w ręku gotów już byłem do wyjścia. Przyznam się

jednak szczerze, nie potrafiłbym zrobić kroku, mając ruchy skrępowane tym ciężkim ubraniem i będąc przykuty do podłogi ołowianymi podeszwami.

Ale było to przewidziane i poczułem, że mnie popychano do malutkiej komory, przylegającej do szatni. Za mną popychano również moich towarzyszy. Usłyszałem, jak zamykają się za mną drzwi opatrzone uszczelniaczami; ogarnęła nas zupełna ciemność.

Po kilku minutach usłyszałem głośny świst. Poczułem, jak od stóp do głowy ogarnia mnie lekki chłód. To z wnętrza statku wpuszczono za pomocą kranów wodę, która wkrótce zalała nas i wypełniła całą komorę. Wtedy otworzyły się drugie drzwiczki w ścianie „Nautilusa". Zrobiło się jaśniej. W chwilę później szliśmy pieszo po dnie morskim.

Jakże mam teraz odtworzyć wrażenia, jakich doznałem w czasie tej podwodnej przechadzki? Słowa nie są zdolne opowiedzieć o takich cudach! Skoro nawet pędzel nie potrafi odtworzyć szczególnych efektów płynnego żywiołu, jakże mogłoby to uczynić pióro?

Kapitan Nemo szedł przodem, a o kilka kroków za nami kroczył jego towarzysz. Conseil i ja szliśmy obok siebie, jakby poprzez nasze metalowe skorupy możliwa była jakakolwiek wymiana słów. Nie czułem już ciężaru ubrania, butów, zbiornika z powietrzem ani wagi tej grubej kuli, w której głowa moja kołatała się jak migdał w łupince. Wszystko to, zanurzone w wodzie, traciło część swego ciężaru, równą wadze wypieranego płynu; było mi więc bardzo wygodnie z tym prawem fizyki, ustalonym przez Archimedesa. Nie byłem już bezwładną masą, lecz posiadałem nawet stosunkowo dużą swobodę ruchów.

Zdziwiła mnie moc, z jaką promienie słońca oświetlały grunt na trzydzieści stóp pod powierzchnią oceanu; przebijały łatwo tę masę wody i rozpraszały w niej wszystkie barwy. Na odległość stu metrów rozróżniałem dokładnie wszystko. Dalej tło przechodziło w subtelne stopniowanie ultramaryny, potem ciemniało i wreszcie zacierało się w nieokreślonej barwie mroku. Właściwie otaczająca mnie woda była jakby rodzajem powietrza, może gęstszego niż atmosfera ziemska, ale prawie równie przezroczystego. Ponad sobą widziałem spokojną powierzchnię morza.

Stąpaliśmy po drobnym, ścisłym piasku, nie pomarszczonym jak piasek plaży, na którym widać ślady fal. Ten olśniewający kobierzec jak istny reflektor odbijał promienie słoneczne z nadzwyczajną intensywnością. Tu leżała przyczyna owego odblasku wśród wszystkich płynnych cząstek. Czy nie będę posądzony o przesadę, jeśli stwierdzę, że w tej trzydziestostopowej głębi widziałem tak jasno, jak przy pełni dziennego światła?

Kwadrans już szedłem tak po tym lśniącym piasku, usianym nieuchwytnym pyłem muszelek. W oddali znikał z wolna kadłub „Nautilusa", czerniejący swym wydłużonym kształtem; w razie gdyby się ściemniło, miał nam jednak ułatwić powrót na pokład, rozsiewając widoczne z daleka promienie swego reflektora. Efekt ten niełatwo zrozumie ten, kto widział tylko na ziemi owe białawe, żywo się rysujące smugi. Kurz, którym powietrze jest tam przesycone, nadaje im właśnie ten wygląd świetlnej mgły; ale na morzu, jak i pod morzem, promienie światła elektrycznego rozchodzą się z wyrazistością niezrównaną.

Szliśmy ciągle dalej, a ogromna piaskowa równina wydawała się nie mieć granic. Rozchylałem dłonią wodne zasłony, które zapadały się za mną natychmiast; ślady moich stóp znikały od razu pod ciśnieniem wody.

Wkrótce zarysowały się przed mymi oczami jakieś, zaledwie widoczne w oddali, kształty. Rozpoznałem wspaniałe podnóża skał, usłane najpiękniejszymi okazami zwierzokrzewów, uderzył mnie jedyny w swoim rodzaju widok.

Była dziesiąta rano. Promienie słońca padały na powierzchnię wody pod kątem dosyć jeszcze ostrym; pod wpływem ich światła, rozszczepionego jak w pryzmacie, kwiaty, odziomki, muszle i polipy mieniły się po brzegach siedmioma barwami widma słonecznego. To był po prostu cud, prawdziwa uczta dla wzroku — ta plątanina barw, ten istny kalejdoskop zieleni, koloru żółtego, pomarańczowego, fioletu, indygo, błękitu, całej — jednym słowem — palety jakiegoś rozszalałego malarza–kolorysty! Że też nie mogłem podzielić się z Conseilem

uczuciami, które rozsadzały mi głowę, i współzawodniczyć z nim w okrzykach zachwytu! Że też nie potrafiłem, jak kapitan Nemo ze swym towarzyszem, wyrazić moich myśli za pomocą umówionych znaków! W braku tych możliwości gadałem sam do siebie, krzyczałem w środku miedzianej bani, okrywającej mi głowę, zużywając zapewne próżnymi słowami więcej powietrza, niżby należało.

Oszałamiający ten widok zatrzymał także Conseila. Poczciwy chłopak, stanąwszy wobec tylu okazów zwierzokrzewów i mięczaków, na pewno pofolgował swej pasji klasyfikowania. Grunt pokryty był polipami i jeżowcami. Najprzeróżniejsze izydy, kornularie–samotnice, kępy dziewiczych okulin, znanych dawniej pod nazwą „białych korali", gąbki, najeżone w kształcie grzyba, anemony morskie, przywierające do dna swym krążkiem sprężystym — wszystko to tworzyło cudowny kwietnik, któremu jeszcze przydawały ozdoby porfity, strojne w krezki lazurowych macek, rozgwiazdy, zdobiące piasek całymi konstelacjami; wreszcie brodawkowe asterofity, jak delikatne koronki haftowane dłonią najady, z festonami kołyszącymi się w takt lekkiego falowania wody poruszonej naszymi krokami. Z prawdziwą przykrością rozdeptywałem stopami leżące na piasku miliardy najwspanialszych okazów mięczaków: pogrzebyki spiralne, młoty, donaksy — istne muszle skaczące, wartołki, czerwone hełmiki, stromby białoskrzydłe, aplizje i tyle innych płodów tego niewyczerpanego oceanu. Ale trzeba było iść, więc szliśmy naprzód, a nad naszymi głowami unosiły się gromadki żegawnic wlokących za sobą ultramarynowe macki; meduzy przysłaniające nam słońce swymi opałowymi i bladoróżowymi parasolami, zdobnymi w lazurowe festony; wreszcie pelagie ogonkowe, które w ciemności oświetlały nam drogę fosforyzującymi światełkami!

Te wszystkie dziwy obserwowałem na przestrzeni ćwierci mili, ledwo przystając od czasu do czasu i śpiesząc dalej za kapitanem Nemo, który przyzywał mnie gestem. Wkrótce zmienił się rodzaj gruntu. Piaszczystą równinę zastąpiła warstwa lepkiego szlamu, nazywanego przez Amerykanów oazę, złożonego wyłącznie z krzemowych i wapiennych muszelek. Przecięliśmy łąkę alg, których woda jeszcze nie powyrywała, roślin niebywale wybujałych. Te ścisłe, miękkie pod stopą trawniki mogłyby współzawodniczyć z najdelikatniejszymi kobiercami tkanymi ręką ludzką. Ta sama zaś zieleń, która słała się pod naszymi stopami, falowała także i ponad głowami. Na powierzchni wody splatały się w leciutkim sklepieniu rośliny morskie, zaliczone do owej obfitej rodziny alg, której gatunków poznano już ponad dwa tysiące. Widziałem, jak kołysały się długie pasma wstężycy, kuliste i rurkowate; gatunki wawrzynowatych, gałęzistych o delikatnym listowiu; rod omenie palmowate, podobne do kaktusowych wachlarzy. Zauważyłem; że rośliny zielone utrzymywały się najbliżej powierzchni wody, czerwone zajmowały głębokości średnie, zaś czarne i brunatne tworzyły ogrody i trawniki dalszych warstw oceanu.

Algi są prawdziwym cudem stworzenia, jednym z dziwów flory w ogóle. Rodzina ta bowiem wydaje jednocześnie najmniejsze i największe rośliny na świecie. Naliczono ni mniej, ni więcej, jak czterdzieści tysięcy owych niedostrzegalnych odziomków na przestrzeni pięciu milimetrów kwadratowych, a jednocześnie znane są fukusy o długości przekraczającej pięćset metrów.

Opuściliśmy „Nautilusa" mniej więcej półtorej godziny temu. Zbliżało się południe. Poznać to było można po prostopadłości promieni słonecznych, które już się przestały załamywać. Magia barw znikała z wolna; znikały także z naszego firmamentu szmaragdowe i szafirowe półcienie. Szliśmy równym krokiem, którego odgłos dziwnie mocno dźwięczał w uszach. Najmniejsze szelesty rozchodziły się z szybkością, do której nie przywykliśmy na ziemi. Woda jest bowiem lepszym od powietrza przewodnikiem głosu, który też rozchodzi się po niej z czterokrotnie większą prędkością.

Grunt przeszedł teraz w znaczną pochyłość. Światło przybrało jednolite zabarwienie. Osiągnęliśmy głębokość stu metrów, podlegaliśmy zatem ciśnieniu dziesięciu atmosfer. Ale

mój skafander był tak sporządzony, że ciśnienie to wcale mi nie dolegało. Czułem tylko jakby trudność w poruszaniu palcami, ale i to szybko minęło. Natomiast nie odczuwałem żadnego zmęczenia, choć należało się go spodziewać po owym dwugodzinnym spacerze w tak mało wygodnym stroju, do którego przecież nie byłem przyzwyczajony. Wszystkie ruchy wykonywałem z pomocą wody bez najmniejszych trudności. Na tej trzystustopowej głębokości widziałem jeszcze, choć słabo, światło słoneczne. Jego mocny blask ustąpił czerwonawemu zmierzchowi, co oznaczało przejściowy okres między dniem a nocą. Droga przed nami była jednak dostatecznie widoczna, więc nie potrzebowaliśmy jeszcze uruchamiać aparatów Ruhmkorffa.

Kapitan Nemo nagle przystanął. Zaczekał, dopóki się nie zbliżyłem, i wyciągniętym palcem wskazał mi jakieś niewyraźne kształty, wyłaniające się z mroku niedaleko przed nami.

„To już lasy wyspy Crespo” — pomyślałem.

I nie omyliłem się.

Rozdział XVII
Podmorski las

Doszliśmy wreszcie do skraju tego lasu, niewątpliwie jednego z najpiękniejszych w niezmierzonych posiadłościach kapitana Nemo. Las ten uważał on za swoją własność, przypisując sobie takie do niego prawa, jakie mieli w odniesieniu do natury pierwsi ludzie w pierwszych dniach świata. A zresztą któż by mógł mu zaprzeczyć praw do tych podmorskich posiadłości? Jakiż śmielszy od niego pionier mógłby tu przyjść i z siekierą w dłoni przedzierać się przez te ciemne lasy?

Puszcza składała się z wielkich, drzewiastych roślin; gdy tylko stanęliśmy pod tymi szerokimi sklepieniami, uderzył mnie szczególny układ gałęzi — układ, którego nigdy dotychczas nie zaobserwowałem.

Żadna z wyściełających grunt traw nie pełzała po ziemi, żadna ze sterczących na krzewach gałęzi nie uginała się ani ciągnęła w płaszczyźnie poziomej. Wszystkie pięły się ku powierzchni oceanu. Nie było ani włókienka, ani niteczki, choćby nie wiem jak cienkiej, która by się nie trzymała pionowo jak żelazny pręt. Wstężyce i liany rosły wzdłuż prostych i prostopadłych linii, jakie nadawał im żywioł, który je otaczał. Kiedy te nieruchome rośliny rozgarniałem dłonią, przybierały natychmiast z powrotem poprzednie położenie. W tym królestwie panował wyłącznie pion.

Przyzwyczaiłem się szybko do tego niesamowitego układu oraz do otaczającej nas względnej ciemności. Grunt lasu usiany był ostrymi, niełatwymi do omijania, kamieniami. Podmorska flora była tu bardziej kompletna, bogatsza niż w strefie arktycznej czy tropikalnej, gdzie płody jej nie są tak liczne. Przez dobrych kilka minut mimo woli jednak myliłem tu dwa światy, biorąc zwierzokrzewy za porosty wodne, a więc zwierzęta za rośliny! Ale któż by się tu nie mylił? W tej podmorskiej naturze jakże blisko styka się flora z fauną!

Zauważyłem, że wszystkie te płody świata roślinnego wiążą się z gruntem bardzo powierzchownie. Pozbawione korzeni, obojętne na jakość ciała stałego, na którym się wspierają — czy to piasek, muszle, skorupy czy kamienie — wymagają od ziemi jedynie punktu zaczepienia, a nie soków życiodajnych. Rośliny te utrzymują się samoistnie, a podstawą ich istnienia jest sama woda, która je podtrzymuje i która je żywi. Większość tych roślin wypuszcza zamiast liści płatki najprzeróżniejszych kształtów, których barwy zawierają się w dość ograniczonej gamie obejmującej jedynie czerwień, karmin, zieleń, kolor oliwkowy, płowy i brąz. Ujrzałem znowu, ale już nie w stanie zasuszonym jak w „Nautilusie", pawie bedłki zdające się wachlarzami swymi wzywać powiewu; szkarłatne ceramie; biaszecznice wystawiające swe młode jadalne pędy; nitkowate, krwiste nereocysty rozrastające się na wysokości piętnastu metrów; pęki acetabuli o łodygach rozwijających się od szczytu i wiele jeszcze innych roślin. Wszystkie one pozbawione były kwiatów. „Ciekawe sprzeczności natury, przedziwny żywioł — powiedział pewien dowcipny przyrodnik — gdzie świat zwierzęcy zakwita, nie kwitnie zaś wcale świat roślinny!"

Pośród tych rozmaitych krzewów, wielkich jak drzewa w strefach umiarkowanych, w ich wilgotnym cieniu nagromadzone były masy żywych, ukwieconych krzaków; całe żywopłoty zwierzokrzewów, na których kwitły krętymi bruzdami pasiaste meandryny, żółtawe o przezroczystych mackach dzwonki, gęste jak darń kępy zwierzokwiatów; aby dopełnić złudzenia, z gałęzi na gałąź przeskakiwały ryby–muchy jako roje kolibrów, a spod naszych nóg, jak stada kszyków, zrywały się żółte łuskoskrzele o kolczastych szczękach i ostrych łuskach i jednopłetwe ryby latające.

Około godziny pierwszej kapitan Nemo dał sygnał do wypoczynku. Byłem z tego dość zadowolony; wyciągnęliśmy się wygodnie pod podszyciem z alarii, których długie, coraz cieńsze ku górze pasma prężyły się jak strzały.

Ta chwila odpoczynku wydała mi się rozkoszna. Brakowało nam chyba tylko uroku rozmowy. Niepodobna jednak było pytać, niepodobna odpowiadać. Przybliżyłem tylko moją olbrzymią mosiężną głowę do głowy Conseila. Zobaczyłem błyszczące zadowoleniem oczy chłopaka; na znak ukontentowania w najkomiczniejszy w świecie sposób poruszył się w swej skorupie.

Byłem bardzo zdziwiony, że po czterech godzinach spaceru nie odczuwałem gwałtownego głodu. Nie wiedziałem, czym tłumaczyć ten kaprys żołądka. Czułem natomiast nieprzepartą chęć snu, objaw charakterystyczny u wszystkich pływaków. Powieki ciążyły mi niezmiernie poza grubymi szkłami skafandra i wkrótce zapadłem w głęboki sen, przeciw któremu dotychczas broniłem się jedynie marszem naprzód. Dobry przykład dał nam zresztą kapitan Nemo, który wraz ze swym tęgim towarzyszem wyciągnął się wygodnie w przeczystym żywiole.

Nie mogę określić, jak długo pozostawałem w stanie uśpienia; kiedy się jednak zbudziłem, słońce pochylało się nad widnokręgiem. Kapitan Nemo wstał już; przeciągałem się leniwie, kiedy nieoczekiwany widok porwał mnie w jednej chwili na równe nogi. Potworny, na metr wysoki pająk morski patrzył na mnie z odległości kilku kroków swymi zezowatymi oczami, gotując się do skoku. Nie mogłem powstrzymać się od gestu obrzydzenia i zgrozy, choć skafander był prawdopodobnie wystarczająco gruby, aby ochronić mnie od ukąszeń tego zwierzęcia. W tej chwili przebudził się Conseil i marynarz „Nautilusa". Kapitan Nemo wskazał swemu towarzyszowi potwornego skorupiaka, którego też natychmiast powaliło potężne uderzenie kolby; zobaczyłem, jak ohydne łapy potwora wiły się w straszliwych konwulsjach.

Spotkanie to nasunęło mi myśl, że zapewne w owych głębiach przebywają i inne zwierzęta, daleko straszniejsze, i że skafander nie zawsze może osłonić przed ich ukąszeniem. Dotychczas nie myślałem jakoś o tym, ale teraz postanowiłem mieć się na baczności. Przypuszczałem co prawda, że ten przystanek i wypoczynek stanowił kres naszej przechadzki; omyliłem się jednak, bo kapitan Nemo, zamiast powracać do „Nautilusa", zaczął iść dalej, przedłużając naszą zuchwałą wycieczkę.

Grunt obniżał się coraz bardziej, pochyłe zbocze wiodło nas w coraz większe głębie. Była prawdopodobnie godzina trzecia, kiedy dotarliśmy do wąskiej dolinki, wyżłobionej jakby pomiędzy wysokimi, pionowymi ścianami na głębokości stu pięćdziesięciu metrów. Doskonałość naszych aparatów pozwalała nam przekraczać w ten sposób o dziewięćdziesiąt metrów granicę, jaką dotychczas natura zdawała się zakreślać podmorskim prawom człowieka.

Powiedziałem sto pięćdziesiąt metrów, choć żaden przyrząd nie posłużył mi do określenia tej głębokości. Wiedziałem jednak, że najbardziej przezroczyste morza nie pozwalają promieniom słonecznym na dotarcie do większej głębi. Otóż tutaj panowała już zupełna ciemność. Nawet na dziesięć kroków nie było widać żadnego przedmiotu. Szedłem po omacku, kiedy ujrzałem nagle dość żywe, białe światło. To kapitan Nemo uruchomił swój aparat elektryczny. Jego towarzysz naśladował go; Conseil i ja poszliśmy za ich przykładem. Przez pokręcenie śrubką połączyłem cewkę ze szklaną wężownicą i morze, oświetlone czterema latarniami, rozjaśniło się w promieniu dwudziestu pięciu metrów.

Kapitan Nemo szedł dalej i dalej w głąb lasu, którego drzewa rzedniały coraz bardziej. Zauważyłem, że życie roślinne znika znacznie szybciej niż życie zwierzęce. Jałowy grunt dawno już opuściły wszelkie wodorosty, ale roił się on nadal od niesłychanej liczby zwierząt, zwierzokrzewów, stawonogów, mięczaków i ryb.

Idąc tak, myślałem sobie, że nasze aparaty Ruhmkorffa na pewno przyciągają swym światłem niejednego mieszkańca tych mrocznych głębin. Ale jeśli się coś nawet zbliżało, to pozostawało poza zasięgiem naszej broni myśliwskiej. Widziałem kilkakrotnie, jak kapitan Nemo przystawał i przykładał strzelbę do ramienia; po chwili jednak opuszczał ją i szedł

dalej.

Wreszcie około czwartej cudowna wycieczka dobiegła końca. Przed nami wyrosła ściana wspaniałych skał uderzających ogromem; było to nagromadzenie olbrzymich głazów, gigantyczna zapora granitowa z tajemniczo ciemniejącymi grotami; nic jednak, czego by się można uchwycić.

Zaczynały się urwiska wyspy Crespo. Zaczynała się ziemia. Kapitan Nemo zatrzymał się nagle. Ruchem kazał nam stanąć i choć bardzo pragnąłem przekroczyć ów mur, musiałem się zatrzymać. Tutaj kończyły się posiadłości kapitana Nemo. Poza nie wyjść nie chciał. Za tą ścianą rozciągała się część kuli ziemskiej, po której nigdy już nie miał stąpać.

Rozpoczął się powrót. Kapitan Nemo znowu stanął na czele naszej grupki i szedł ciągle bez najmniejszego wahania. Wydało mi się, że nie wracamy do „Nautilusa" dokładnie tak samo. Ta nowa droga, stroma, a zatem bardzo uciążliwa, przybliżyła nas znacznie dc powierzchni morza. Ten powrót do górnych warstw wody nie był jednak tak nagły, aby ciśnienie spadło zbyt gwałtownie, co mogłoby spowodować poważne zaburzenia w naszych organizmach i wywołać owe, tak szkodliwe i częste u nurków, obrażenia wewnętrzne. Szybko jednak ukazało się światło; rosło ciągle, a ponieważ słońce było już dość nisko nad widnokręgiem, znowu refrakcja otoczyła tęczowymi obrączkami poszczególne przedmioty.

Na głębokości dziesięciu metrów szliśmy wśród chmary malutkich rybek wszelkich gatunków; były one liczniejsze i zwrotniejsze niż ptaki w powietrzu; nie było jednak dotychczas żadnej zwierzyny wodnej, która by się mogła okazać godną wystrzału.

W tym momencie zobaczyłem, jak kapitan przykłada szybko strzelbę do ramienia, wodząc nią za czymś, co się poruszało wśród krzewów. Padł strzał; usłyszałem lekki świst i jakieś zwierzę zwaliło się porażone o kilka kroków od nas.

Była to wspaniała wydra morska, enhydra, jedyny czworonóg wyłącznie morski. Wydra ta, o długości półtora metra, musiała być wielkiej wartości. Jej skóra, brązowokasztanowata po wierzchu i srebrzysta od spodu, była tym przepysznym futrem, tak poszukiwanym na rosyjskich i chińskich rynkach. Delikatność i połysk włosa zapewniały jej minimalną wartość dwóch tysięcy franków. Podziwiałem i zachwycałem się tym ciekawym ssakiem o głowie zaokrąglonej i przybranej krótkimi uszkami, o okrągłych oczkach, białych wąsach podobnych do wąsów kota, płetwowatych, a jednocześnie uzbrojonych w pazury łapach i puszystym ogonie. To cenne mięsożerne zwierzę, ścigane chciwie przez rybaków, staje się niezmiernie rzadkie; teraz schroniło się głównie w północnych wodach Pacyfiku, gdzie zresztą gatunek ten prawdopodobnie szybko wyginie.

Towarzysz kapitana Nemo podszedł do zwierzęcia, przewiesił je sobie przez ramię i ruszyliśmy dalej w drogę.

Przez godzinę tak szliśmy po piaszczystej równinie. Wznosiła się ona niekiedy aż do niespełna dwóch metrów pod powierzchnię wody. Ponad nami widziałem nasz odwrócony i dokładnie odbity obraz: widać było identyczną grupkę, z tymi samymi ruchami i gestami, tylko idącą głowami do dołu i nogami do góry.

Jeszcze jedno: zauważyłem jakby grube chmury, tworzące się szybko i szybko znikające; zrozumiałem po chwili zastanowienia, że złudzenie to dawała zmienna gęstość długich fałd dolnych warstw wody; dostrzegłem nawet, wywoływane przez ich łamiące się grzebienie „baranki" na powierzchni morza. Zdołałem także pochwycić wzrokiem cienie wielkich ptaków, przelatujących nad naszymi głowami i muskających błyskawicznie skrzydłami lustro wody.

Przy tej sposobności byłem świadkiem jednego z najpiękniejszych strzałów, jaki kiedykolwiek targnął nerwami prawdziwego myśliwca. Duży ptak, o wielkiej rozpiętości skrzydeł, zbliżał się ku nam szybując, bardzo wyraźnie widoczny. Towarzysz kapitana Nemo zmierzył szybko i wystrzelił, kiedy ptak był o kilka metrów ponad powierzchnią morza. Stworzenie padło natychmiast, zagłębiając się do samych stóp zręcznego strzelca. Był to

przepiękny gatunek albatrosa, wspaniały okaz morskiego ptaka.

Wypadek ten nie zatrzymał nas jednak ani na chwilę. Przez dwie jeszcze godziny szliśmy dalej już to po piaszczystych równinach, już po łąkach wodorostów bardzo trudnych do przebycia. Byłem już prawie u kresu sił, kiedy dostrzegłem bladawe światło, rozpraszające ciemność mniej więcej o ćwierć mili od nas. Był to reflektor „Nautilusa". Za jakieś dwadzieścia minut powinniśmy byli znaleźć się na pokładzie; tęskniłem do swobodnego oddychania, zdawało mi się bowiem, że zbiornik dostarczał mi już powietrza bardzo ubogiego w tlen. Nie liczyłem się co prawda z pewnym spotkaniem, które nieco opóźniło nasz powrót.

Szedłem o jakieś dwadzieścia kroków za kapitanem Nemo, kiedy ujrzałem, że zawraca gwałtownie ku mnie. Silną swą ręką rzucił mnie na ziemię, a jego towarzysz zrobił to samo z Conseilem. Nie wiedziałem początkowo, co oznacza ta nagła napaść, ale wkrótce uspokoiłem się widząc, jak kapitan kładzie się obok mnie i zamiera w bezruchu.

Leżałem więc na piasku, osłonięty kępą wodorostów; kiedy uniosłem głowę, zobaczyłem, jak przemykają nad nami olbrzymie jakieś masy rzucające fosforyzujące błyski.

Widok ten zmroził mi krew w żyłach! Poznałem, że grożą nam olbrzymie żarłacze. Była to para tintoreów, straszliwych rekinów o ogromnych ogonach, o mętnym i szklistym wzroku; fosforyzującą materię wydzielają one z otworów umieszczonych wokół pysków. Straszliwe „robaczki świętojańskie", które mogą całego człowieka zetrzeć na miazgę w swych stalowych szczękach! Nie wiem, czy Conseil zajmował się w tej chwili klasyfikacją; jeśli chodzi o mnie, to obserwowałem srebrzyste podbrzusza i potworne, najeżone zębami paszcze nie z punktu widzenia naukowego, nie jako przyrodnik, ale raczej jako ofiara.

Na szczęście żarłoczne te zwierzęta niedowidzą. Nie zauważyły nas i przepłynęły, nieledwie musnąwszy nas swymi brunatnymi płetwami; uniknęliśmy cudem niebezpieczeństwa, na pewno większego niż spotkanie tygrysa w dżungli.

Po pół godzinie, idąc ku smudze elektrycznego światła, dotarliśmy do „Nautilusa". Zewnętrzne drzwi pozostały otwarte. Gdy tylko weszliśmy do pierwszej komory, kapitan Nemo zamknął je natychmiast. Potem nacisnął jakiś guzik. Usłyszałem, jak we wnętrzu statku zaczynają pracować pompy, uczułem, że wokół mnie woda opada coraz niżej, aż wreszcie komora opróżniła się całkowicie. Wtedy otworzyły się drzwi wewnętrzne i przeszliśmy do szatni.

Tutaj zdjęto z nas nie bez trudu nasze skafandry. Upadając z wyczerpania i senności, dotarłem wreszcie do swego pokoju, upojony cudami tej niezwykłej wycieczki po dnie morskim.

Rozdział XVIII
Cztery tysiące mil pod wodami Pacyfiku

Nazajutrz, 18 listopada, wypoczęty zupełnie po znużeniu dnia poprzedniego, wyszedłem na platformę w chwili, kiedy porucznik „Nautilusa" wypowiadał swoje codzienne zdanie. Przyszło mi na myśl, że odnosi się to do stanu morza albo raczej znaczy: „horyzont pusty".

Ocean był w istocie wielką pustynią. Ani jednego żagla na widnokręgu. Skały wyspy Crespo znikły w czasie nocy. Woda morska, która pochłania wszystkie kolory tęczy oprócz promieni niebieskich, odbijała tę właśnie barwę we wszystkich kierunkach, przybierając wspaniały odcień indygo. Na lekko falującym morzu rysowała się jakby mora o szerokim i regularnym deseniu.

Zachwycałem się właśnie tym wspaniałym widokiem oceanu, kiedy ukazał się kapitan Nemo. Zdawał się nie zauważać mojej obecności, cały pogrążony w swych obserwacjach astronomicznych.

Kiedy skończył, podszedł do klatki ochraniającej reflektor, oparł 4 się na niej łokciami i zatopił spojrzenie w bezkresie oceanu.

Tymczasem na platformę wyszło ze dwudziestu marynarzy „Nautilusa", tęgich i dobrze zbudowanych ludzi. Przyszli, aby wyciągnąć sieci, które zarzucono w ciągu nocy i które statek ciągnął za sobą, płynąc z wolna. Marynarze ci należeli najwidoczniej do różnych narodowości, chociaż wszyscy, z typu sądząc, byli Ą Europejczykami. Byłem pewien, że poznaję między nimi Irlandczyków, Francuzów, kilku Słowian, Greka czy Kreteńczyka. Wszyscy oni zresztą byli małomówni, a używali między sobą tylko owej dziwnej mowy, której pochodzenia nawet nie byłem w stanie określić. Musiałem więc powstrzymać się od zadawania im jakichkolwiek pytań.

Sieci wyciągnięto na pokład. Były to włoki, w rodzaju sieci używanych na wybrzeżach Normandii, szerokie torby, którym pływający drąg i łańcuch, przeciągnięty przez dolne oka, nie pozwalają się zamknąć. Torby owe, ciągnione w ten sposób na żelaznych ramach, zamiatały po prostu dno oceanu i pochłaniały wszystkie jego płody znajdujące się na drodze. Tego dnia dostarczyły ciekawych okazów tych, tak obfitujących w ryby, wód. Zobaczyłem żaboryby, którym, dzięki ich zabawnym ruchom, nadano także nazwę komediantów; czarne komersony, zbrojne mackami; giętkie balisty opasane czerwonymi pręgami; kolcobrzuchy księżycowe wydzielające ostry jad; kilka oliwkowych minogów; kilka długonosów pokrytych srebrzystą łuską; trichiary, które potrafią razić prądem, podobnie jak węgorze elektryczne lub drętwiki; łuskowate grzbietowce o poprzecznych, brunatnych pręgach; zielonkawe miętusy; szereg odmian kiełbiów, a także kilka większych ryb, jak długie na metr karanksy o wydatnej głowie; liczne i piękne skumbrie–bonity szamerowane błękitem i srebrem; wreszcie trzy wspaniałe tuńczyki, których nie uratowała od sieci właściwa im błyskawiczność ruchów.

Całość połowu oceniłem na przeszło tysiąc funtów ryby. Piękny to plon, ale nie zaskakujący; sieci bowiem zarzucane są na wiele godzin i zagarniają do swego sznurowego więzienia cały wodny świat. Widziałem, że nie zbraknie nam pożywienia w najlepszym gatunku; szybkość „Nautilusa" i przynęta, jaką stanowiło jego światło elektryczne, były tego najpewniejszą gwarancją.

Wszystkie te płody morza zostały natychmiast wrzucone do kambuza*; niektóre przeznaczone były do zjedzenia na świeżo, inne zaś do zakonserwowania.

Ponieważ połów był skończony, a powietrze w „Nautilusie" odświeżone, sądziłem, że statek zanurzy się pod wodę. Zamierzałem już zejść z powrotem do swego pokoju, kiedy kapitan Nemo odwrócił się ku mnie i odezwał się bez żadnego wstępu:

---

* k a m b u z — kuchnia na statku

— Proszę spojrzeć na ocean, panie profesorze. Czy nie żyje on prawdziwym życiem? Czy nie miewa swych chwil wściekłości i tkliwości? Wczoraj usnął razem z nami, a dziś budzi się oto po spokojnej nocy.

Ani słowa powitania! Mogłoby się wydawać, że dziwny ten człowiek prowadzi ciąg dalszy już kiedyś rozpoczętej ze mną rozmowy.

— Niech pan patrzy! — mówił dalej. — Budzi się pod wpływem pieszczoty promieni słonecznych. Budzi się do nowego całodziennego życia! Co za ciekawe studium — badanie czynności tego organizmu! Są w nim i arterie, i puls, i skurcze, zgadzam się w zupełności z owym uczonym Maury, który odkrył w nim i krążenie, równie prawdziwe jak krążenie krwi u zwierząt.

Kapitan Nemo na pewno nie oczekiwał ode mnie żadnej odpowiedzi; wydawało mi się też słuszne nie szafować zbytecznie frazesami w rodzaju „oczywiście", „ależ tak!" lub „ma pan rację". Mówił raczej do siebie, robiąc długie przerwy pomiędzy poszczególnymi zdaniami. Były to jakby głośne rozmyślania.

— Tak — mówił — w oceanie istnieje prawdziwe krążenie i aby je wywołać, wystarczyło Stwórcy wszechrzeczy wyposażyć go w ciepłotę, sole i żyjątka. Ciepłota bowiem wywołuje różnice gęstości, co jest z kolei przyczyną prądów i przeciwprądów. Parowanie, znikome w okolicach podbiegunowych, a tak silne w strefach równika, wywołuje stałą wymianę wód zwrotnikowych i wód polarnych. Poza tym zbadałem z góry na dół i z dołu do góry owe prądy, będące prawdziwym oddechem morza. Widziałem, jak ogrzana na powierzchni cząsteczka wody opuszcza się coraz głębiej, osiąga swą maksymalną gęstość przy dwóch stopniach poniżej zera, a potem, oziębiając się jeszcze bardziej, staje się lżejsza i zaczyna się wznosić z powrotem. Zobaczy pan na biegunie skutki tego zjawiska, panie profesorze, i zrozumie pan wtedy, dlaczego, w związku z tym prawem przewidującej natury, wody mogą zamarzać jedynie na powierzchni.

Kiedy kapitan Nemo wymawiał to zdanie, pomyślałem sobie: „Na biegunie! Czy ten śmiałek ma zamiar aż tam nas zaprowadzić?!"

Ale kapitan umilkł i wpatrywał się w morze — ów żywioł tak dokładnie i bez wytchnienia przez siebie badany. Po chwili podjął:

— W morzach jest bardzo poważna ilość soli, panie profesorze. Gdyby wszystkie rozpuszczone obecnie sole zebrać w jedną masę, dałoby to warstwę objętości czterech i pół miliona mil sześciennych, zalegającą całą kulę ziemską dziesięciometrową grubością. I proszę nie sądzić, że obecność tych soli jest tylko kaprysem natury! Nie! Sprawiają one, że woda morska paruje stosunkowo trudniej; wiatry nie są w stanie odebrać oceanom zbyt wielkich ilości pary, która zalałaby strefy umiarkowane, gdyby się skropliła!

Kapitan Nemo urwał; powstał, uczynił kilka kroków na pomoście i wracając ku mnie, ciągnął dalej:

— Jeśli chodzi o wymoczki, panie profesorze, o owe miliardy żyjątek, których miliony mieszczą się w każdej kropelce i których osiemset tysięcy waży jeden miligram — i one odgrywają bardzo ważną rolę. Absorbują sole, przyswajają sobie składniki ciał stałych, są wytwórcami korali i polipów koralowych, wreszcie budują całe kontynenty wapienne! A wtedy pozbawiona swego składnika mineralna kropla wody staje się lżejsza, wznosi się na powierzchnię, tam — wchłaniając sole, pozostałości parowania — staje się cięższa, z powrotem opada i przynosi żyjątkom nowe składniki do absorpcji. Stąd stałe prądy wznoszące się i opadające, stąd wieczny ruch, wieczne życie. Życie bardziej intensywne niż na lądach, bardziej wybujałe, nieskończenie wolne, kwitnące we wszystkich częściach owego oceanu, oceanu niosącego rzekomo śmierć człowiekowi, ale niosącego życie miliardom zwierząt i — mnie!

Kiedy kapitan Nemo tak mówił, zmieniał się cały, przekształcał się w oczach. Sprawiało to na mnie ogromne wrażenie.

— Dlatego też tutaj dopiero jest prawdziwe życie — mówił. — Można by tu założyć miasta pływające, skupiska podwodnych domów, które by co rano wypływały jak „Nautilus” na powierzchnię wód i tam nabierały oddechu! To byłyby miasta prawdziwie wolne, niepodległe! Choć też nie wiadomo, czy jaki despota…

Kapitan Nemo zakończył gwałtownym gestem. Po chwili zwrócił się do mnie, jakby chcąc odpędzić natrętną myśl:

.— Czy wie pan, panie profesorze, jaka jest głębokość oceanu?

— Znam tylko wyniki najważniejszych sondowań, panie kapitanie.

— Czy może mi pan je przytoczyć? Może mógłbym coś niecoś skontrolować.

— Proszę bardzo — odpowiedziałem. — Oto co pamiętam: jeśli się nie mylę, określono średnią głębokość północnego Atlantyku na osiem tysięcy dwieście metrów, a Morza Śródziemnego — na dwa tysiące pięćset metrów. Najbardziej godne uwagi sondowania poczyniono na południowym Atlantyku, w okolicach 35°; dały one wyniki: dwanaście tysięcy metrów, czternaście tysięcy dziewięćdziesiąt jeden metrów i piętnaście tysięcy sto czterdzieści dziewięć metrów. W ogólności, jeśliby dno morskie było zniwelowane, ocenia się jego przeciętną głębokość na mniej więcej siedem kilometrów*.

— Dobrze, panie profesorze — odpowiedział kapitan Nemo. — Mam nadzieję, że pokażemy panu coś lepszego. Jeśli chodzi o średnią głębokość tej części Pacyfiku, to zobaczy pan, że nie przekracza ona czterech tysięcy metrów.

Powiedziawszy to kapitan Nemo skierował się ku klapie i znikł schodząc po drabince. Zszedłem także i udałem się do salonu. Śruba poszła w ruch, a log wskazał szybkość dwudziestu mil na godzinę.

Zaczęły płynąć dnie i tygodnie, a kapitan Nemo ukazywał się bardzo rzadko. Widywałem go tylko co jakiś czas. Jego zastępca sprawdzał regularnie położenie statku i nanosił je na mapę, tak że mogłem dokładnie śledzić drogę „Nautilusa”.

Conseil i Land spędzali ze mną całe godziny. Conseil opowiedział przyjacielowi o cudach naszej przechadzki, a Kanadyjczyk żałował, że nie poszedł z nami. Miałem jednak nadzieję, że nadarzy się jeszcze sposobność zwiedzenia lasów podmorskich. Codziennie prawie rozsuwały się na kilka godzin ściany salonu i oczy nasze syciły się bez znużenia zgłębianiem tajemnic podwodnego świata.

Zasadniczo „Nautilus” kierował się na południowy wschód, utrzymując się na głębokości stu do stu pięćdziesięciu metrów. Pewnego jednak dnia, nie wiem, z jakiego powodu, idąc po przekątnej swego kierunku i pochylonych płaszczyzn steru poziomego, dotarł do warstw morza na głębokości dwóch tysięcy metrów. Termometr wskazywał wtedy 4,25° C, a więc temperaturę przeciętną, jak się zdaje, dla tej głębokości pod każdą szerokością geograficzną.

26 listopada o trzeciej w nocy „Nautilus” minął zwrotnik Raka pod 172° długości. 27 listopada przepłynął obok archipelagu Sandwich, gdzie 14 lutego 1779 roku znalazł śmierć przesławny Cook*. Od początku naszej podróży przebyliśmy zatem cztery tysiące osiemset sześćdziesiąt mil. Kiedy rankiem wyszedłem na platformę, ujrzałem na podwietrznej, o milę od nas, Hawai — największą z siedmiu wysp tworzących ów archipelag. Widziałem wyraźnie jej uprawne brzegi, pasma górskie biegnące równolegle do wybrzeża, a także wulkany, wśród których króluje Mauna Kea wznosząc się na przeszło cztery tysiące metrów ponad poziom morza. Między innymi okazami tych mórz sieci przyniosły tego dnia wachlarzówki, właściwe dla tej części oceanu polipy o pięknych kształtach.

„Nautilus” kierował się ciągle na południowy wschód. 1 grudnia przeciął równik pod 142°

---

* …ocenia się jego przeciętną głębokość na mniej więcej siedem kilometrów — cyfry przytoczone tu przez autora, jak i wiele innych wiadomości z dziedziny geografii i przyrody zawartych w tej książce, są nieścisłe. Średnia głębokość mórz waha się między 3000 a 4500 m; największa głębia Oceanu Spokojnego wynosi średnio 9750 m (Rów Filipiński). Przeciętna głębokość Atlantyku równa się 3260 m, największa głębia wynosi 8526 m

* Cook James (1728–1779) — słynny podróżnik i odkrywca angielski, badał w swoich trzech podróżach naukowych Ocean Spokojny. W czasie trzeciej podróży został zabity przez krajowców na wyspach Sandwich

długości, a 4 grudnia, po bardzo szybkiej podróży bez przygód, zbliżył się do Archipelagu Markizów. Pod 8°57' szerokości południowej i pod 139°32' długości zachodniej zobaczyłem w odległości półtorej mili cypel Martin wyspy Nukuhiwa, największej z tego archipelagu należącego do Francji. Dojrzałem jedynie lesiste góry zarysowujące się na widnokręgu, ponieważ kapitan Nemo nie lubił zbliżać się do ziemi. Tu znów sieci przyniosły piękne okazy ryb: dorady o lazurowych płetwach, złotych ogonach i najsmaczniejszym w świecie mięsie; węgorzowate, prawie bez łuski, lecz niemniej doskonałe; kościonosy o ościstych szczękach; żółtawe tasardy, równie smaczne jak bonity; wszystkie — godne zajęcia poczesnego miejsca w kambuzie każdego statku.

Po opuszczeniu tych uroczych wysp, nad którymi powiewa francuska flaga, „Nautilus" przebył od 4 do 11 grudnia około dziewięciuset mil. W czasie tej drogi napotkaliśmy olbrzymi rój kalmarów, ciekawy rodzaj mięczaków, bardzo zbliżonych do sepii. Francuscy rybacy nazywają je rogaczami; należą one do gromady głowonogów, która obejmuje poza nimi także mątwy i argonauty. Zwierzątka te, szczegółowo badane przez przyrodników starożytności, dostarczyły zarówno licznych metafor złotoustym mówcom miast greckich, jak i doskonałej potrawy kuchniom bogatych obywateli — przynajmniej jeśli mamy wierzyć lekarzowi greckiemu Ateneuszowi, poprzednikowi Galenusa*.

Całą tę armię mięczaków napotkał „Nautilus" w nocy z 9 na 10 grudnia. Były tego całe miliony. Emigrowały właśnie z wód umiarkowanych do stref cieplejszych, ciągnąc śladami śledzi i sardynek. Patrzyliśmy poprzez grube, kryształowe szyby, jak te stworzenia, poruszając się za pomocą specjalnej rureczki, płyną z niezmierną szybkością tyłem, jak ścigają rybki i inne mięczaki, zjadając mniejsze, a same zjadane przez większe, jak poruszają w niesłychanie skomplikowany sposób swymi dziesięcioma nóżkami, które natura umieściła im na głowie niby owłosienie z elastycznych wężyków. Mimo własnej szybkości „Nautilus" przez wiele godzin płynął wśród tej masy zwierzątek, jednocześnie niezliczoną ich ilość łapiąc w swe sieci. Zdołałem rozróżnić w niej wszystkie dziewięć gatunków, które d'Orbigny przypisał wodom Oceanu Spokojnego.

Tak więc w czasie tej podróży morze pyszniło się ciągle swymi najwspanialszymi obrazami. Zmieniało je bez ustanku. Jakby dla przysporzenia rozkoszy naszym oczom zmieniało dekoracje i inscenizację; wśród tego płynnego żywiołu mogliśmy nie tylko podziwiać dzieło Stwórcy, ale i zgłębiać najskrytsze tajemnice oceanu.

Przez cały dzień 11 grudnia siedziałem w salonie zajęty czytaniem. Ned Land i Conseil obserwowali przeźroczyste wody poprzez rozsunięte ściany statku. „Nautilus" tkwił w bezruchu. Z napełnionymi zbiornikami utrzymywał się na głębokości tysiąca metrów; warstwa to mało zamieszkana, odwiedzana z rzadka, jedynie przez większe ryby.

Właśnie czytałem uroczą książkę Jana Mace pod tytułem „Słudzy żołądka" i zachwycałem się jej dowcipnymi naukami, kiedy Conseil przerwał mi lekturę odzywając się dziwnym głosem:

— Czy pan profesor zechce pofatygować się na chwilę?

— Cóż się dzieje, Conseil?

— Pan profesor będzie łaskaw spojrzeć. Wstałem, zbliżyłem się do szyby i spojrzałem.

W pełni elektrycznego światła dostrzegłem zawieszony w otchłani wód jakiś ogromny, nieruchomy, czarniawy kształt,

Patrzyłem uważnie, zastanawiając się nad tym, co by to był za olbrzymi wieloryb. Nagle myśl rozświetliła mi głowę.

— Statek! — krzyknąłem.

— Tak, panie profesorze! — powiedział Kanadyjczyk. — To rozbity statek idzie na dno!

Land się nie mylił. Mieliśmy przed sobą statek, którego wanty zwisały jeszcze przy

* Galenus (232 – ok. 220 n. e.) — lekarz grecki, autor wielu ksiąg medycznych. Jego nauka była podstawą wiedzy medycznej przez całe średniowiecze. Ateneusz żył w I w. n. e.

łańcuchach. Kadłub wydawał się nie uszkodzony, awaria miała miejsce najwyżej przed kilkoma godzinami. Trzy podstawy masztów, zrąbane na wysokości dwóch stóp nad pokładem, wskazywały, że zagrożony zatonięciem statek pozbył się zapewne swego ożaglowania. Przechylony gwałtownie na bok, został zalany wodą i jeszcze teraz kładł się coraz bardziej na lewą : burtę.

Smutny był widok tego wraka pogrążonego w odmętach, ale smutniejszy po stokroć obraz samego pokładu, na którym spoczywało jeszcze kilka trupów, zaplątanych wśród lin! Naliczyłem ich cztery — czterech mężczyzn, z których jeden stał jeszcze przy sterze — i kobietę, uwięzioną do połowy ciała w okienku rufowej kabiny, trzymającą dziecko na rękach. Kobieta była młoda. W jaskrawym świetle reflektora „Nautilusa" mogłem nawet rozeznać rysy jej twarzy, która nie zdążyła się jeszcze rozłożyć w wodzie. W najwyższym wysiłku unosiła w górę dzieciątko, maleńkie biedactwo, uczepione kurczowo szyi matki!

Straszliwe wydały mi się postacie czterech marynarzy, którzy widocznie wili się konwulsyjnie i skonali w ostatnim wysiłku wydostania się spomiędzy lin wiążących ich ze statkiem. Jedynie sternik wyglądał spokojnie: z poważną i surową twarzą, z siwiejącymi włosami przyklejonymi do czoła, z dłonią zaciśniętą na kole sterowym, zdawał się prowadzić dalej swój zatopiony trójmasztowiec poprzez niezmierzone otchłanie oceanu!

Co za okropna scena! Staliśmy w milczeniu i z bijącym sercem wobec tej katastrofy, tak jaskrawo naszym oczom odsłoniętej i jakby w ostatniej chwili pochwyconej przez aparat fotograficzny! Widziałem, jak ogromne rekiny, zwabione przynętą ludzkiego ciała, zbliżają się już z płonącymi ślepiami!

Tymczasem „Nautilus", manewrując ostrożnie, opłynął dokoła zatopiony statek i przez chwilę mogłem odczytać napis umieszczony na rufie: „Florida, Sunderland".

Rozdział XIX
Wanikoro

Straszliwe widowisko zapoczątkowało całą serię podobnych spotkań z ofiarami katastrof morskich, jakie miał jeszcze „Nautilus” na swej drodze spotkać. Od czasu kiedy płynęliśmy po bardziej uczęszczanych wodach, coraz to dostrzegaliśmy kadłuby statków gnijących już w wodzie, a głębiej, na samym dnie, armaty, pociski, kotwice, łańcuchy i masy innych, zżartych już przez rdzę przedmiotów.

Nadal unoszeni przez „Nautilusa”, na którego pokładzie żyliśmy jak w samotni, dopłynęliśmy wreszcie do archipelagu Tuamotu rozciągającego się na przestrzeni pięciuset mil od południowego wschodu ku północnemu zachodowi, pomiędzy 13°30’ i 23°50’ szerokości południowej a 125°30’ i 151 °30’ długości zachodniej, od wysp Ducie do wyspy Lazariewa. Archipelag ten pokrywa powierzchnię trzystu siedemdziesięciu mil kwadratowych i obejmuje sześćdziesiąt grup wysp, z których wyróżnia się grupa Gambiera, będąca pod protektoratem Francji. Są to wyspy koralowe. Ich powolny, lecz stały wzrost, wywołany nieprzerwaną pracą polipów, sprawi, że kiedyś połączą się one wszystkie. Nowa ta wyspa przylgnie potem do sąsiednich archipelagów i tak powstanie piąty kontynent, ciągnący się od Nowej Zelandii i Nowej Kaledonii aż do Markizów.

Kiedy pewnego dnia rozwijałem tę teorię przed kapitanem Nemo, odpowiedział mi chłodno:

— Ziemi nie potrzeba wcale nowych kontynentów. Trzeba jej tylko nowych ludzi!

Traf, jaki zdawał się kierować całą żeglugą kapitana, zawiódł teraz „Nautilusa” ku wyspie Clermont–Tonnerre, najciekawszej bodaj z całej tej grupy; odkrył ją kapitan Bell na statku „Minerwa” w 1822 roku. Miałem teraz możność studiowania owego madreporowego układu, układu, któremu zawdzięczają istnienie wszystkie wyspy tej części oceanu. Madrepory mają tkankę powleczoną wapienną skorupą, której różna budowa sprawiła, że Milne–Edwards, mój mistrz niedościgniony, klasyfikował je w pięciu sekcjach. Te maleńkie żyjątka, wydzielające ową polipową materię, żyją całymi miliardami w głębi swych skorupek. Ich to właśnie wapienne wydzieliny tworzą rafy, skały, wysepki i wyspy. Tutaj budują one pierścień otaczający lagunę czy wewnętrzne jeziorko połączone z morzem tylko szczelinami. Gdzieniegdzie tworzą całe bariery raf, jak w pobliżu wybrzeży Nowej Kaledonii i rozmaitych wysp archipelagu Tuamotu. W innych okolicach, na przykład koło wysp Reunion i Mauritius, budują rafy poszarpane, łączące się w wysokie, pionowe wały, w pobliżu których ocean bywa zazwyczaj bardzo głęboki.

Płynąc w odległości zaledwie kilkuset metrów od wybrzeży wyspy Clermont–Tonnerre, podziwiałem gigantyczne dzieło owych mikroskopijnych budowniczych. Wały te były wyłącznie owocem pracy madreporów, znanych pod nazwami nakłutek, porytów, gwiazdecznic i meandryn. Polipy te rozwijają się przede wszystkim w niespokojnych górnych warstwach morza, więc też rozpoczynają od góry swoje podbudowy, które potem dopiero osiadają z wolna wraz ze szczątkami unoszących je wydzielin. Tak zresztą głosi teoria Darwina*, który w ten właśnie sposób tłumaczy powstawanie atolów; moim zdaniem, teoria ta jest słuszniejsza od innej, która podstawę dla prac madreporów widzi w szczytach gór lub wulkanów wznoszących się o kilka stóp pod poziomem morza.

Mogłem z bardzo bliska przypatrzyć się owym ciekawym, prostopadłym ścianom; sonda wskazywała tu ponad trzysta metrów głębokości, więc wspaniały wapień iskrzył się w snopach naszego światła elektrycznego.

---

* Darwin Charles (1809–1882) — znakomity przyrodnik angielski, twórca współczesnej materialistycznej nauki o przyrodzie, opartej na teorii ewolucji, tzn. stwierdzającej ciągły i naturalny rozwój gatunków roślin i zwierząt

Kiedy Conseil zapytał mnie, jak długo musiały wzrastać owe kolosalne bariery polipów, wprawiłem go w niesłychane zdumienie oświadczając, że uczeni określają ów wzrost na jedną ósmą cala w ciągu wieku.

— A więc, żeby zbudować te ściany — dziwił się — trzeba było…

— Stu dziewięćdziesięciu dwóch tysięcy lat, kochany Conseil — dokończyłem. — Dziwnie wydłuża to słynne dnie biblijne*. Zresztą powstawanie złóż węglowych, czyli skamieniałych lasów, zamulonych przez potopy, a także stygnięcie skał bazaltowych wymagało jeszcze dłuższych okresów czasu. Dodam tylko, że dnie biblijne są całymi epokami, a nie czasem, jaki upływa od wschodu do zachodu słońca, bo przecież, według tejże Biblii, słońce samo nie powstało pierwszego dnia stworzenia.

Kiedy „Nautilus" powrócił na powierzchnię morza, mogłem swobodnie ogarnąć okiem w całej okazałości ową wyspę Clermont–Tonnerre, płaską i lesistą. Jej madreporowe skały zostały niewątpliwie zapłodnione przez trąby morskie i burze. Jakieś ziarnko, uniesione huraganem z sąsiednich lądów, padło pewnego dnia na te wapienne złoża, zmieszane z rozłożonymi szczątkami ryb i roślin morskich, które utworzyły życiodajną próchnicę. Jakiś orzech kokosowy, unoszący się na falach, dostał się na świeżo utworzony brzeg. Ziarno zakiełkowało. Wzrastające drzewo wykorzystało parowanie wód. Zrodził się strumyczek. Przybywało roślinności. Jakieś żyjątka, robaczki, owady, przypłynęły na pniach drzew, powyrywanych wichrami na sąsiednich wyspach. Żółwie zaczęły znosić tu swe jaja.

Ptaki pozakładały z wolna gniazda na młodych drzewach. W taki to sposób rozwinęło się życie zwierzęce, a potem — znęcony zielenią i żyzną glebą — pojawił się i człowiek. Tak to powstały owe wyspy, olbrzymie dzieła mikroskopijnych zwierzątek.

Pod wieczór wyspa Clermont–Tonnerre roztopiła się w oddali, zaś kurs „Nautilusa" uległ znacznej zmianie. Dotarłszy do zwrotnika Koziorożca pod 135° długości, zawróciliśmy ku zachodnio–północo–zachodowi, przebywając wszerz całą strefę podzwrotnikową. Jakkolwiek letnie słońce słało na ziemię swe palące promienie, nie cierpieliśmy z powodu upału, ponieważ na głębokości trzydziestu czy czterdziestu metrów pod wodą temperatura wynosiła najwyżej dziesięć do dwunastu stopni.

15 grudnia pozostawiliśmy na wschodzie kusząco piękny archipelag Wysp Towarzystwa i uroczą Tahiti, królową Pacyfiku. Rankiem dojrzałem o kilka mil wyniosłe szczyty tej wyspy. Wody jej dostarczyły naszej kuchni wybornych ryb: makreli, bonitów, białoryb i kilku odmian węża morskiego, zwanego murenowężem.

„Nautilus" przebył znów trzysta pięćdziesiąt mil. Log wskazywał już cztery tysiące pięćset mil, kiedy przepłynęliśmy pomiędzy archipelagiem Tonga, gdzie zginęły załogi statków „Argo", „Port—au—Prince" i „Duke—of—Portland", a archipelagiem Wysp Żeglarskich, gdzie poległ kapitan de Langle, przyjaciel słynnego La Pérouse'a*. Minęliśmy potem archipelag Fidżi, gdzie krajowcy zmasakrowali marynarzy „Unii" i kapitana Bureau z Nantes, dowódcę „Pięknej Józefiny".

Archipelag ten, ciągnący się na przestrzeni stu mil z północy na południe i dziewięćdziesięciu mil ze wschodu na zachód, leży pomiędzy 16° i 20° szerokości południowej a 174° długości wschodniej i 179° długości zachodniej. Składa się on z szeregu wysp, wysepek i raf, z których wymienić należy Witi Lewu, Wanua Lewu i Kandawu.

Grupę tych wysp odkrył Tasman w 1643 roku, a więc w tym samym, w którym Toricelli wynalazł barometr, a Ludwik XIV wstępował na tron. Nie będę sugerował, który z tych trzech faktów stał się dla ludzkości najważniejszy. Następnie przybył tu w 1714 roku Cook, w 1793 roku d'Entrecasteaux i w 1827 roku Dumont d'Urville, który rozjaśnił wreszcie chaos geograficzny tego archipelagu. „Nautilus" podpłynął do zatoki Wailea, widowni straszliwych

---

* Dziwnie wydłuża to słynne dnie biblijne — według Biblii Bóg stworzył świat w ciągu sześciu dni

* La Pérouse Jean–Francois (1742—788) — słynny żeglarz i podróżnik francuski, zginął w czasie wyprawy odkrywczej na Pacyfiku, zamordowany przez dzikich mieszkańców wyspy Wanikoro

przygód słynnego kapitana Dillona*, który pierwszy zgłębił tajemnicę rozbicia się La Pérouse'a.

Zatoka ta, przemierzona kilkakrotnie sieciami, dostarczyła nam wielkiej ilości ostryg. Najedliśmy się ich do syta, otwierając muszle dopiero na stole, jak każe Seneka*. Mięczaki te należą do gatunku znanego pod nazwą Ostrea lamellosa, bardzo pospolitego na Korsyce. Ławica w Wailea musiała być bardzo duża; zresztą, gdyby nie liczne przyczyny hamujące, nagromadzenia te zapełniłyby całą zatokę, ponieważ w każdej sztuce naliczono do dwóch milionów jaj.

Jeśli więc mistrz Land nie musiał gorzko odpokutować swego obżarstwa przy tej sposobności, to tylko dlatego, że ostryga jest jedyną potrawą, która nigdy nie wywołuje niestrawności. Potrzeba bowiem nie mniej niż szesnastu tuzinów tych bezgłowych mięczaków, aby dostarczyć owych trzystu piętnastu gramów substancji azotowej, których człowiek codziennie potrzebuje.

25 grudnia „Nautilus" płynął wśród wysp archipelagu Nowe Kebrydy, które w 1606 roku odkrył Quiros, w 1768 roku zbadał Bougainville, a którym Cook w 1773 roku nadał ich obecną nazwę.

Archipelag ten składa się przede wszystkim z dziewięciu wielkich wysp i tworzy studwudziestomilowy pas, biegnący z północno–północnego zachodu ku południowo–południowemu wschodowi, między 15° i 20° szerokości południowej a 164° i 168° długości.

Przepłynęliśmy tuż obok wyspy Auru, która w chwili południowych obserwacji wyglądała jak zbity gąszcz zielonych drzew z wysokim szczytem górskim pośrodku. Był to dzień Bożego Narodzenia i Ned Land wydawał mi się bardzo przygnębiony, że nie może obchodzić swego Christmas, tego prawdziwie rodzinnego święta, tak uwielbianego przez protestantów.

Kapitana Nemo nie widziałem już od tygodnia, kiedy 27 rano wszedł nagle do salonu, jak zwykle z miną człowieka, który opuścił cię przed pięcioma minutami.

Właśnie zajęty byłem badaniem kursu „Nautilusa" na mapie. Kapitan podszedł, położył palec na jakimś punkcie karty i wyrzekł jedno jedyne słowo:

— Wanikoro.

Była to nazwa wysepek, przy których rozbiły się okręty La Pérouse'a. Zerwałem się na równe nogi.

— „Nautilus" niesie nas na Wanikoro? — zapytałem.

— Tak, panie profesorze — odpowiedział kapitan.

— I będę mógł zwiedzić może te słynne wyspy, przy których rozbiły się „La Boussole" i „L'Astrolabe"?

— Jak pan sobie życzy.

— A kiedy będziemy na Wanikoro?

— Już jesteśmy, panie profesorze.

Wybiegłem na platformę i łakomym wzrokiem obrzuciłem ocean aż do widnokręgu. Kapitan Nemo z wolna wyszedł za mną.

Na północnym wschodzie wznosiły się dwie nierównej wielkości wyspy, otoczone osiemnastomilowym kręgiem rafy koralowej. Staliśmy naprzeciwko właściwej wyspy Wanikoro, którą Dumont d'Urville nazwał Wyspą Poszukiwań, a dokładnie naprzeciw malutkiego portu Wanu, położonego pod 16°04' szerokości południowej i 164°32' długości wschodniej. Ziemia zdawała się być cała pokryta ziemią od plaży do szczytów górskich, nad którymi wznosił się wierzchołek Kapogo na czterysta siedemdziesiąt sześć sążni ponad poziom morza.

---

* Dillon Peter (1785–1847) — żeglarz angielski; w 2826 r. natrafił na szczątki okrętów La Pérouse'a i przewiózł je do Paryża, gdzie znajdują się do dziś w Muzeum Marynarki w Louvre

* Seneka (2–66 n. e.) — filozof i pisarz rzymski, jeden ze stoików, tzn. filozofów uważających, że człowiek może uzyskać szczęście jedynie za cenę obojętności dla wszystkich spraw otaczającego świata

Po przebyciu zewnętrznego pasa raf poprzez dość wąskie przejście — „Nautilus” znalazł się pośród naturalnych skalistych falochronów, gdzie morze miało trzydzieści do czterdziestu sążni głębokości.

Pod zielonym cieniem mangowców ujrzałem koło tuzina dzikich, którzy objawili niebywałe zdumienie na nasz widok. Czyż w owym długim, czarniawym kształcie, sunącym po powierzchni „. wody, nie mogli podejrzewać jakiegoś potwornego wieloryba, którego należało się wystrzegać?

W tej chwili kapitan Nemo zapytał mnie, co wiem o katastrofie La Pérouse’a.

— Tyle wiem, co i wszyscy, panie kapitanie — odpowiedziałem.

— A czy nie mógłby mi pan powiedzieć, co wiedzą wszyscy? — spytał nieco ironicznym tonem.

— Bardzo chętnie.

I powiedziałem mu wszystko, co wyjaśniły prace Dumont d’Urville’a; w pobieżnym skrócie mniej więcej tyle:

La Pérouse został, wraz ze swym zastępcą kapitanem de Langle, wysłany przez Luwika XVI w 1785 roku w podróż dookoła świata. Odpłynęli na korwetach „La Boussole” i „L’Astrolabe”, które już nigdy nie powróciły.

W 1791 roku rząd francuski, bardzo zaniepokojony losem obu korwet, uzbroił dwa wielkie frachtowce „La Recherche” i „L’Esperance”. Oba te statki opuściły port w Breście 28 września, pod dowództwem Bruniego d’Entrecasteaux. W dwa miesiące później doniósł im niejaki Bowen, dowódca „Albermale”, że zauważono jakieś szczątki statków na wybrzeżach Nowej Georgii. D’Entrecasteaux nie wziął jednak pod uwagę tej wiadomości — zresztą niepewnej — i skierował się ku Wyspom Admiralicji, które raport kapitana Huntera wskazał jako miejsce rozbicia się La Pérouse’a. Poszukiwania były jednak bezowocne. Statki przepłynęły nawet obok Wanikoro, jednak bez zatrzymania się; cała ta podróż była zresztą bardzo nieszczęśliwa, bo kosztowała życie samego d’Entrecasteaux, dwóch jego zastępców i wielu marynarzy z załogi.

Dopiero stary wyga Pacyfiku kapitan Dillon pierwszy odkrył niezaprzeczone ślady katastrofy. 15 maja 1824 roku statek jego, „Święty Patryk”, przepłynął obok wyspy Tikopia, w archipelagu Nowe Hebrydy. Pewien laskar* podpłynął do niego w swej pirodze, ofiarując na sprzedaż srebrną rękojeść szpady, na której widniały wyryte litery. Oprócz tego laskar ten twierdził jeszcze, że sześć lat temu widział na Wanikoro dwóch Europejczyków, należących do załogi statków, które przed wielu laty rozbiły się na rafach tej właśnie wyspy.

Dillon odgadł, że chodziło o okręty La Pérouse’a, których tajemnicze zniknięcie poruszyło w swoim czasie cały świat. Usiłował więc dotrzeć do Wanikoro, gdzie zdaniem laskara, znajdowały się jeszcze liczne szczątki rozbitych statków; nie pozwoliły mu na to jednak niepomyślne wiatry i prądy.

Dillon powrócił do Kalkuty. Odkryciem swoim potrafił zainteresować tam Towarzystwo Azjatyckie i Kompanię Indyjską. Dano mu do dyspozycji statek, na którym odpłynął 23 stycznia 1827 roku w towarzystwie jednego z francuskich urzędników.

Statek Dillona, zawijając kolejno do wielu punktów Pacyfiku, rzucił wreszcie kotwicę w Wanikoro 7 lipca 1827 roku, w tym samym porcie Wanu, gdzie stał w tej chwili „Nautilus”.

Na Wanikoro zebrał Dillon bardzo liczne szczątki po katastrofie, jak żelazne narzędzia, kotwice, kawałki kół, miotacze kamieni, pocisk osiemnastocalowy, szczątki przyrządów astronomicznych, kawałek szczytu masztu i dzwon z brązu, noszący napis: Odlał mnie Bazin, co było znakiem fabrycznym odlewni arsenału w Breście około 1785 roku. Wątpliwości rozwiały się więc ostatecznie.

Zbierając te dowody pozostał Dillon na miejscu katastrofy do października. Opuścił potem Wanikoro, skierował się ku Nowej Zelandii, rzucił kotwicę w Kalkucie 7 kwietnia 1828 roku,

---

* l a s k a r — tak Anglicy nazywają żołnierzy hinduskich, a także mieszańców hindusko—angielskich

po czym powrócił do Francji, gdzie Karol X przyjął go bardzo łaskawie.

W tym jednak czasie Dumont d'Urville nie wiedząc nic o pracach Dillona wypłynął był już na morze, aby gdzie indziej szukać śladów katastrofy. Dowiedziano się mianowicie od jakiegoś wielorybnika, że dzicy, zamieszkali na archipelagu Luizjady i na wyspie Nowej Kaledonii, są w posiadaniu jakichś medali i Krzyża Sw. Ludwika.

Dumont d'Urville, dowódca „L'Astrolabe", wypłynął więc na morze i w dwa miesiące po opuszczeniu Wanikoro przez Dillona — rzucił kotwicę w Hobart–Town. Tam dowiedział się o rezultatach poszukiwań Dillona, a także i o tym, że niejaki James Hobbs, porucznik „Unii" z Kalkuty, kiedy wylądował na pewnej wysepce położonej pod 8°18r szerokości południowej i pod 156°30' długości wschodniej, zauważył żelazne sztaby i czerwone tkaniny u dzikich mieszkańców tych okolic.

Dumont d'Urville, dość zbity z tropu, nie wiedząc, czy dawać wiarę mało godnym zaufania dziennikom i opowieściom, zdecydował jednak puścić się śladami Dillona.

10 lutego 1828 roku popłynął do Tikopii i zabrawszy z sobą s jako tłumacza i przewodnika pewnego zbiega zamieszkałego na tej wyspie, udał się ku Wanikoro, dopłynął do jej brzegów 12 lutego, okrążał jej rafy aż do 14 i dopiero 20 lutego rzucił i kotwicę wewnątrz naturalnego falochronu, w porcie Wanu.

23 lutego liczni oficerowie obeszli wyspę i zebrali kilka mało znaczących szczątków. Krajowcy bowiem zastosowali taktykę zaprzeczeń i wykrętów i wzbraniali się zaprowadzić marynarzy na miejsce katastrofy. Takie podejrzane zachowanie się pozwalało mniemać, że dzicy zamęczyli rozbitków i teraz obawiają się, iż i Dumont d'Urville przybył, aby pomścić La Pérouse'a i jego nieszczęśliwych towarzyszy.

Jednakowoż 26 lutego dali się namówić i zrozumiawszy, że nie potrzebują się obawiać żadnych represji, zaprowadzili porucznika Jaquinot na miejsce rozbicia.

Tu, na trzy lub cztery sążnie pod wodą, leżały kotwice, armaty, części żelazne i ołowiane, wszystko to wryte w wapienne złoża. Szalupa i łódź wielorybnicza udały się na owo miejsce i, nie bez znacznych trudności, zdołały wydobyć kotwicę ważącą tysiąc osiemset funtów, ośmiusetfuntowe działo z brązu, ołowiany blok balastu i dwie brązowe kartaczownice.

Wypytując dalej krajowców dowiedział się Dumont d'Urville, że La Pérouse, utraciwszy oba swe okręty na rafach wyspy, zbudował sam niewielki statek i odpłynął znów — dokąd?… Nikt nie wiedział. Dowódca „L'Astrolabe" kazał więc tylko pod kępą mangrowców wznieść pomnik, rodzaj grobowca, ku wiecznej pamięci przesławnego żeglarza i jego towarzyszy. Była to zwykła, czworograniasta piramida, zbudowana na koralowym cokole bez żadnej metalowej części, która mogłaby kiedyś wzbudzić pożądliwość krajowców.

Uczyniwszy to, Dumont d'Urville pragnął odpłynąć; z powodu : jednak gorączki, która w niezdrowym tym klimacie nękała załogę i jego samego, odbił od wyspy dopiero 17 marca.

Tymczasem rząd francuski, w obawie, że Dumont d'Urville nie natrafił na ślady poszukiwań Dillona, wysłał na Wanikoro korwetę „Bayonnaise" pod dowództwem Legoranta de Tromelin, która żeglowała u zachodnich wybrzeży Ameryki. „Bayonnaise" rzuciła kotwicę przy brzegach Wanikoro w kilka miesięcy po odpłynięciu Dumont d'Urville'a; nie odkryto żadnych dalszych śladów, stwierdzono tylko, że dzicy uszanowali mauzoleum La Perouse'a.

Oto treść tego, co powiedziałem kapitanowi Nemo.

— Tak więc nikt dotychczas nie wie — zapytał — gdzie zginął ów trzeci statek, zbudowany przez rozbitków na wyspie Wanikoro?

— Nikt nie wie.

— Jeśli pan sobie będzie życzył…

Kapitan Nemo nie odezwał się więcej i dał mi tylko znak, abym szedł za nim; weszliśmy do salonu. „Nautilus" opuścił się na kilka metrów pod powierzchnię wody; rozsunęły się żelazne blachy.

Rzuciłem się w kierunku szyby i — pod nagromadzeniem korali, przez miliardy uroczych

rybek, jak holocentryny i inne — rozpoznałem szczątki, których nie zdołano wyrwać z dna morskiego, jak żelazne uchwyty, kotwice, działa, pociski, reszta windy okrętowej, kawał dziobnicy; wszystkie te resztki zatopionych statków ozdobione teraz były żywym kwieciem.

A kiedy tak patrzyłem na nowe smutne szczątki, kapitan Nemo zaczął mówić poważnie i spokojnie:

— Dowódca wyprawy La Pérouse odpłynął 7 grudnia 1785 roku. Zatrzymał się najpierw w Botany–Bay, zwiedził archipelag Wysp Przyjacielskich, Nową Kaledonię, skierował się ku wyspom Santa Cruz i rzucił kotwicę u brzegów Namuka, jednej z wysp grupy Fidżi. Następnie statki jego przybyły w okolice nieznanych raf Wanikoro. „La Boussole”, idąca przodem, natknęła się na skały wybrzeża południowego. „L’Astrolabe” pospieszyła jej na pomoc i uległa także rozbiciu. Pierwszy statek zatonął prawie natychmiast. Drugi stawiał jeszcze kilka dni opór, ponieważ osiadł na podwietrznej. Krajowcy przyjęli rozbitków dość gościnnie. Osiedli oni na wyspie i z resztek obu rozbitych okrętów zbudowali trzeci, znacznie mniejszy. Kilku marynarzy pozostało dobrowolnie na Wanikoro. Reszta, choć osłabiona i nękana chorobami, odpłynęła z La Pérouse’em. Skierowali się ku wyspom Salomona i tam zginęli wszyscy co do jednego, rozbiwszy się na zachodnim wybrzeżu głównej wyspy archipelagu, pomiędzy przylądkami Rozczarowania i Zadośćuczynienia.

— Skądże pan wie o tym wszystkim, panie kapitanie? — zdumiałem się.

Wtedy kapitan Nemo pokazał mi blaszaną szkatułkę, ozdobioną herbami Francji, całą przeżartą już działaniem słonej wody. Kiedy, ją otworzył, ujrzałem zwój papierów, pożółkłych, ale jeszcze czytelnych.

Były to instrukcje ministra marynarki dla kapitana La Pérouse’a; na marginesach widniały własnoręczne adnotacje Ludwika XVI!

— Jakaż to piękna śmierć dla marynarza! — rzekł kapitan Nemo. — Jaki spokojny ten grób koralowy!… Obyśmy nie mieli innego, ja i moi towarzysze!

Rozdział XX
Cieśnina Torresa

W nocy z 27 na 28 grudnia „Nautilus” opuścił wybrzeża Wanikoro płynąc z bardzo dużą szybkością na południowy zachód. W ciągu trzech dni przebył siedemset pięćdziesiąt mil, dzielących grupę Wysp La Pérouse’a od południowo—wschodnich krańców Nowej Gwinei i stycznia 1868 roku na platformę „Nautilusa” przyszedł do mnie Conseil.

— Panie profesorze — rzekł ten poczciwy chłopak — czy pan profesor pozwoli, że będę panu profesorowi życzył szczęśliwego Nowego Roku?

— Ależ oczywiście, kochany Conseil, tak samo jakbym teraz był w swoim gabinecie w Ogrodzie Botanicznym w Paryżu. Przyjmuję, oczywiście, twoje życzenia i bardzo ci za nie dziękuję. Powiedz mi tylko, co rozumiesz przez „szczęśliwy rok” w warunkach, w jakich się teraz znajdujemy. Czy rok ten przyniesie nam koniec naszego uwięzienia, czy też będzie dalej ciągnął tę naszą przedziwną podróż?

— To racja — odparł Conseil — nie bardzo wiem, co panu profesorowi powiedzieć. To pewne, że widzimy tu bardzo ciekawe rzeczy i że od dwóch miesięcy nie mieliśmy jeszcze czasu na nudę. Każde nowe cudo jest wspanialsze od poprzedniego i jeśli ten postęp ma sie— utrzymać, nie wiem, czym to się skończy. Mam wrażenie, że nigdy nie trafimy na lepszą okazję.

— Nigdy, Conseil.

— Poza tym pan kapitan Nemo, którego łacińskie nazwisko doskonale się tłumaczy, nie jest natrętny i zachowuje się tak, jakby go wcale nie było.

— Masz rację, Conseil.

— Więc za pozwoleniem pana profesora, myślę, że „szczęśliwy rok” to będzie rok, który pozwoli nam wszystko obejrzeć…

— Wszystko obejrzeć, Conseil? To by chyba zbyt długo trwało. A cóż by na to powiedział Ned Land?

— Ned Land myśli wręcz przeciwnie niż ja — odpowiedział Conseil. — To jest konkretny umysł i pożądliwy żołądek. Nie wystarcza mu stałe przyglądanie się i wieczne jedzenie ryb. Poza tym brak wina, chleba i mięsa w najmniejszym stopniu nie odpowiada typowemu Anglosasowi, którego przecież nie przeraża wcale brandy ani gin, zużyte w przyzwoitej dozie, i który przepada za befsztykami!

— Jeśli o mnie chodzi, kochany Conseil, to zupełnie mi to nie przeszkadza; jest mi wcale nieźle z tym trybem życia.

— Mnie tak samo — rzekł Conseil. — Dlatego też tyle myślę o pozostaniu, ile Land o ucieczce. Jeśli więc rozpoczynający się rok okaże się dla mnie zły, będzie za to dobry dla niego i odwrotnie. W ten sposób zawsze ktoś będzie zadowolony. Ostatecznie życzę panu profesorowi wszystkiego tego, co panu profesorowi sprawi przyjemność.

— Dziękuję ci, Conseil. Pozwól tylko, że odłożymy na później sprawę „gwiazdki” dla ciebie; chwilowo mogę ci ofiarować jedynie uścisk dłoni. Nic więcej nie mam przy sobie.

— Nigdy jeszcze pan profesor nie był tak hojny, jak dziś — odpowiedział Conseil odchodząc.

2 stycznia mieliśmy już za sobą pięć tysięcy dwieście pięćdziesiąt mil drogi, przebytej od chwili opuszczenia wód japońskich. Przed ostrogą „Nautilusa” rozciągały się niebezpieczne wody Morza Koralowego u północno—wschodnich wybrzeży Australii. Statek nasz płynął w odległości kilku zaledwie mil od owej niebezpiecznej bariery, o którą omal że nie rozbił się okręt Cooka w dniu 10 czerwca 1770 roku. Statek, na którego pokładzie płynął wtedy Cook, uderzył o skałę i jeśli nie zatonął natychmiast, to tylko dzięki przypadkowi: oderwany wstrząsem złom koralowy utkwił i pozostał w rozdartym kadłubie.

Z wielką chęcią przyjrzałbym się owej trzystusześćdziesięciomilowej rafie, o którą fale wiecznie wzburzonego morza rozbijają J się z hukiem przypominającym przewalanie się grzmotów. Strefy wysokościowe „Nautilusa" pociągnęły nas jednak na większe głębokości, więc nie było mi dane obejrzeć tej olbrzymiej ściany —i koralowej. Musiałem się zadowolić okazami rozmaitych ryb, które przyniosły nasze sieci. Między innymi zauważyłem germony, gatunek skumbrii wielkich jak tuńczyki, o bokach błękitnych i pręgowanych poprzecznymi pasami, które zanikają po śmierci zwierzęcia. Ryby te towarzyszyły nam całymi stadami i dostarczały na hasz stół bardzo delikatnego mięsa. Złowiono także wielką ilość leszczaków, o smaku dorady, oraz ostrolotek, istnych jaskółek podmorskich, które w czasie ciemnych nocy zakreślają zarówno w wodzie, jak i w powietrzu świetlne łuki swymi fosforyzującymi ciałami. Z mięczaków i zwierzokrzewów znalazłem uwięzione w okach sieci rozmaite gatunki korkowatych, niedźwiadki, młoty, ostróżki, tarczyki, teleskopy i skrzydłopławki. Florę reprezentowały piękne algi pływające, blaszecznice i makrocysty, przesycone kleistym roztworem wyciekającym przez wszystkie pory, wreszcie prześliczna Nemastoma geliniaroida, która umieszczona została wśród innych osobliwości natury w muzeum.

Po dwóch dniach krążenia po Morzu Koralowym ujrzeliśmy 4 stycznia wybrzeża Nowej Gwinei. Kapitan Nemo oświadczył mi przy sposobności, że ma zamiar dostać się na wody Oceanu Indyjskiego poprzez Cieśninę Torresa. Poprzestał na tej suchej informacji. Ned cieszył się już, że kierunek ten zbliża nas do mórz europejskich.

Cieśnina Torresa ma opinię niebezpiecznej ze względu na to, że jej dno usiane jest licznymi skałami, a także dlatego, że wybrzeża jej zamieszkują najdziksze plemiona. Cieśnina ta oddziela od Nowej Holandii kraj Papuasów, wielką wyspę zwaną Nową Gwineą.

Wyspa ma czterysta mil długości na sto trzydzieści szerokości i czterdzieści tysięcy mil geograficznych powierzchni. Leży pomiędzy 0°19' i 10°02' szerokości południowej a 128° 23' i 146°15' długości wschodniej. W południe, kiedy porucznik „Nautilusa" dokonywał pomiarów astronomicznych, dojrzałem szczyty gór Arfak wznoszących się jakby koleino spiętrzonymi tarasami i zakończonych ostrymi wierzchołkami.

Ziemię tę, odkrytą w 1511 roku przez Portugalczyka Francisco Serrano, zwiedzali potem kolejno: don Jose Meneses w 1526 roku, Grijalva w 1527 roku, wódz hiszpański Avar de Saavedra w 1528 roku, Jugio Ortez w 1545 roku, Holender Shouten w 1616 roku, Mikołaj Sruic w 1753 roku, Tasman, Darmier, Fumel, Carteret, Edwards, Bougainville, Cook, Forrest, Mac Cluer, d'Entrecasteaux w 1792 roku, Duperry w 1823 roku i Dumont d'Urville w 1827 roku.

„Nautilus" stanął więc u wrót do najniebezpieczniejszej cieśniny świata, cieśniny, którą odważają się przebyć jedynie najśmielsi żeglarze; przepłynął ją Luis Paz de Torres, powracając z mórz południowych, a w 1840 roku o mało co nie zatonęły w niej korwety Dumont d'Urville'a, ciśnięte na mielizny. „Nautilus" jednak, wyższy nad wszelkie groźby morza, miał teraz zapoznać się z owymi rafami koralowymi.

Cieśnina Torresa ma około trzydziestu czterech mil szerokości, ale usiana jest niezliczonymi wyspami, wysepkami, rafami i skałami, które prawie uniemożliwiają w niej żeglugę. Kapitan Nemo musiał więc przedsięwziąć wszystkie środki ostrożności, aby ją przebyć. „Nautilus" unosił się na samej powierzchni wody i posuwał się bardzo uważnie. Śruba jego, jak ogon wieloryba, biła powoli niebezpieczne fale.

Korzystając z tej sposobności, siedziałem z mymi dwoma przyjaciółmi na pustej zawsze platformie statku. Przed nami wznosiła się klatka sternika i mam wrażenie, że się nie omyliłem dojrzawszy w niej samego kapitana Nemo, który osobiście sterował teraz „Nautilusem".

Miałem przed sobą doskonałe mapy Cieśniny Torresa, sporządzone przez inżyniera—hydrografa Vincendon Dumoulina i podporucznika marynarki Coupvent–Desbois, obecnie admirała, ongiś członka sztabu Dumont d'Urville'a w czasie jego ostatniej podróży dookoła

świata. Wraz z mapami kapitana Kinga są to najlepsze mapy, mogące służyć pomocą w rozplątywaniu gmatwaniny owego ciasnego przesmyku; badałem je też ze szczególną uwagą.

Wokół „Nautilusa” morze wrzało z wściekłością. Fale, idą—ce od południowego wschodu ku północnemu zachodowi z szybkością dwóch i pół mili na godzinę, rozbijały się na koralowych skałach, sterczących tu i ówdzie ponad wodą.

— To dopiero obrzydliwe morze! — odezwał się Ned Land.

— Rzeczywiście wstrętne — odpowiedziałem. — I do tego wcale nie odpowiada takiemu statkowi, jak „Nautilus”.

— Ten przeklęty kapitan musi być bardzo pewien swego kursu — mówił dalej Kanadyjczyk — bo przecież widzę tu całe masy korali, które na pewno zmełłyby na proszek kadłub „Nautilusa”, gdyby tylko się o nie otarł!

Sytuacja była rzeczywiście groźna, ale „Nautilus” zdawał się przemykać jak zaczarowany pomiędzy tymi straszliwymi i spienionymi skałami. Nie posuwał się dokładnie tą samą drogą, co „L’Astrolabe” i „La Zelée”, tak fatalną dla Dumont d’Urville’a. Skierował się bardziej na północ, minął Wyspę Murraya i zawrócił na południowy zachód ku przesmykowi Cumberland. Wydawało mi się, że tam właśnie podąży, kiedy zawrócił ponownie na północny zachód i skierował się poprzez całe mnóstwo mało znanych wysepek i skał, ku Wyspie Tounda i Złemu Przesmykowi. Już zadawałem sobie pytanie, czy nierozważny do szaleństwa kapitan Nemo zapuści się ze swym statkiem w owo przejście, w którym katastrofa spotkała obie korwety Dumont d’Urville’a, gdy nagle zmienił kierunek po raz drugi i podążył prosto na zachód, ku wyspie Gueboroar.

Była trzecia po południu. Fale biły o skały, przypływ niemal osiągał swój punkt kulminacyjny. „Nautilus” zbliżał się do owej wyspy, której brzegi, porośnięte nagimi pandanami, do dziś widzę w pamięci. Płynęliśmy „wzdłuż tych brzegów, oddaleni od nich o dwie mile. Nagły wstrząs przewrócił mnie na pokład. „Nautilus” uderzył o skałę i znieruchomiał, pochylony lekko na lewą burtę.

Kiedy się podniosłem, ujrzałem na platformie kapitana Nemo i jego zastępcę. Badali położenie statku, zamieniając między sobą kilka słów w niezrozumiałym języku.

A oto, jak wyglądało to położenie. O dwie mile od prawej burty leżała wyspa Gueboroar, której wybrzeże zataczało łuk od północy ku zachodowi jak olbrzymie wyciągnięte ramię. Od południa i wschodu widać już było kilka szczytów skał koralowych, które z wolna odsłaniał odpływ morza. Osiedliśmy w pełni przypływu, i to w okolicy, gdzie wzniesienie się wód bywa niewielkie; nie wróżyło to łatwego spłynięcia „Nautilusa” na morze. Statek nie ucierpiał ani trochę, tak silne były wiązania jego kadłuba. Jeśli jednak miał teraz pozostać na zawsze uwięziony wśród skał, te cóż był wart, choćby i nie mógł zatonąć ani ulec podziurawieniu!

Zastanawiałem się nad tym wszystkim, kiedy zbliżył się do mnie kapitan, chłodny i spokojny, zawsze opanowany, nie zdradzający po sobie ani wzruszenia, ani zdenerwowania.

— Poważny wypadek? — spytałem.

— Nie, drobny przypadek — odpowiedział.

— Ale ten drobny przypadek zmusić pana może do zamieszkania znowu na ziemi, której się pan tak wystrzegał — rzekłem.

Kapitan popatrzył na mnie dziwnie i zaprzeczył gestem. Oznaczało to najwyraźniej, że nic go nigdy nie zmusi do postawienia stopy na lądzie. Po chwili odezwał się:

— „Nautilusowi”, panie profesorze, nic nie grozi. Jeszcze będzie pana unosił poprzez wszystkie cuda oceanu. Nasza podróż dopiero się rozpoczęła i wcale sobie nie życzę pozbycia się tak prędko zaszczytu pańskiego towarzystwa.

— Ależ „Nautilus” osiadł w chwili kulminacji przypływu, panie kapitanie — rzekłem nie reagując na ironię brzmiącą w ostatnim jego zdaniu. — Na Pacyfiku ruchy morza bywają słabe, więc nie widzę, jakim sposobem opuści pan znowu statek na wodę, bo przecież nie może pan uczynić go lżejszym.

— Przypływy na Pacyfiku rzeczywiście bywają słabe: ma pan rację, panie profesorze — odparł kapitan Nemo — ale w Cieśninie Torresa trafiają się jeszcze różnice poziomów pomiędzy przypływem a odpływem dochodzące do półtora metra. Mamy dziś 4 stycznia, więc za pięć dni nadejdzie pełnia księżyca. Bardzo bym się zdziwił, gdyby ten nasz miły satelita nie podniósł dostatecznie wysoko masy wód i nie wyświadczył mi tej przysługi, którą chciałbym zawdzięczać jedynie jemu.

To rzekłszy kapitan Nemo zszedł wraz ze swym zastępcą do wnętrza „Nautilusa". Statek zaś nadal leżał nieruchomo, jak gdyby polipy koralowe obmurowały go już swym niezniszczalnym cementem.

— A więc, panie profesorze? — zapytał Ned Land zbliżywszy się do mnie po odejściu kapitana.

— A więc, kochany Nedzie, będziemy spokojnie czekać na przypływ 9 stycznia, bo księżyc ma być podobno tak uprzejmy, że nas uniesie wraz z wodą.

— Po prostu?

— Po prostu.

— I ten kapitan wcale nie ma zamiaru rzucać kotwic, zakładać łańcuchów i w ogóle robić, co można, żeby się uwolnić?

— Skoro przypływ wystarczy… — odpowiedział spokojnie Conseil.

Kanadyjczyk spojrzał na niego i wzruszył ramionami. Odezwał się w nim marynarz.

— Panie profesorze — rzekł — może mi pan wierzyć, kiedy powiem, że nigdy ten kawałek żelaza nie będzie pływał ani na . morzach, ani pod morzami. Nadaje się już teraz najwyżej na złom. Myślę, że nadeszła chwila, w której możemy zrezygnować z towarzystwa kapitana Nemo.

— Kochany Nedzie — odpowiedziałem — co do naszego dzielnego „Nautilusa", to jeszcze nie łamię rąk nad jego losem jak wy. Poza tym za cztery dni będziemy wiedzieli raz na zawsze, co sądzić o przypływach na Pacyfiku. Doradzanie ucieczki byłoby zresztą dobre w pobliżu wybrzeży Anglii albo Prowansji; w tych okolicach to zupełnie inna sprawa i na tę ostateczność zawsze jeszcze będziemy mieli czas, jeśli „Nautilusowi" nie uda się spłynąć na wodę, co zresztą byłoby według mnie przykrym wypadkiem.

— A czy nie można by przynajmniej pomacać tej ziemi nogą? — nie ustępował Ned Land. — Proszę, oto wyspa. Na tej wyspie są drzewa. Pod tymi drzewami chodzą zwierzęta lądowe, czyli nosiciele kotletów i rostbefów, na których bardzo chętnie po—ostrzyłbym sobie zęby.

— W tej sprawie Ned ma rację — odezwał się Conseil — przyłączam się do jego zdania. Czyby pan profesor nie mógł otrzymać od przyjaciela pana profesora, pana kapitana Nemo, pozwolenia udania się na ląd, choćby tylko po to, byśmy się nie odzwyczaili od chodzenia po ziemi?

— Mogę go poprosić — odpowiedziałem — ale odmówi na pewno.

— Niech pan profesor zaryzykuje — rzekł Conseil. — Będziemy przynajmniej wiedzieli, co sądzić o uprzejmości kapitana.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu kapitan Nemo udzielił mi pozwolenia, o które prosiłem. Zrobił to nawet bardzo uprzejmie i skwapliwie, nie zażądawszy ode mnie przyrzeczenia powrotu na pokład. Ucieczka poprzez dżungle Nowej Gwinei byłaby jednak bardzo niebezpieczna i nie byłbym skłonny radzić Nedowi Landowi, aby się na nią ważył. Lepiej już było pozostać więźniem na pokładzie „Nautilusa" niż wpaść w ręce Papuasów.

Łódź miała nam być oddana do dyspozycji następnego ranka. Nie próbowałem się nawet dowiadywać, czy kapitan Nemo będzie nam towarzyszył. Byłem też przekonany, że nikt z załogi nas nie odprowadzi i że Ned Land będzie musiał sam zająć się prowadzeniem łodzi. Ziemia leżała jednak najwyżej o milę od statku, więc dla Kanadyjczyka będzie zabawką przeprowadzenie lekkiej łódki wśród raf, tak niebezpiecznych dla dużych statków. Nazajutrz więc 5 stycznia, wyjęliśmy łódź z jej zagłębienia, zdjęliśmy jej pokład i spuścili na morze z

wysokości platformy „Nautilusa”. Dwóch ludzi dało temu radę. Wiosła leżały już przygotowane i pozostawało nam tylko wsiadać.

Uzbrojeni w siekiery i elektryczne karabiny, odbiliśmy od „Nautilusa” o ósmej rano. Morze było dość spokojne. Od lądu wiał lekki wietrzyk. Conseil i ja dzielnie pracowaliśmy przy wiosłach, a Ned sterował manewrując w wąskich przesmykach pomiędzy skałami. Lekka i nietrudna do prowadzenia łódź mknęła szybko. Ned Land nie posiadał się z radości. Był więźniem, który wyrwał się z więzienia, i wcale nie myślał, że trzeba tam będzie wrócić!

— Mięso! — powtarzał. — Będziemy więc jedli mięso, i to jakie mięso! Najprawdziwszą dziczyznę! Szkoda, że bez chleba! Nie mówię, że mi ryba nie smakuje, ale nie należy przesadzać, a kawał świeżej zwierzyny, przypieczony na rozżarzonych węglach, urozmaici bardzo przyjemnie nasz jadłospis.

— Obżartuch! — mówił Conseil. — Przez niego człek aż się oblizuje.

— Należałoby jeszcze sprawdzić, czy w tych lasach jest zwierzyna — powiedziałem — no i czy ta zwierzyna nie jest przypadkiem tak gruba, że sama mogłaby upolować myśliwych.

— Dobra jest, panie profesorze! — odpowiedział Ned Land, którego zęby wydawały mi się ostrzejsze od siekier. — Będę jad i tygrysa, rostbef z tygrysa, jeśli tu nie ma innych czworonogów na wyspie!

— Kochany Ned zaczyna mnie niepokoić — zauważył Conseil.

— Cokolwiek będzie — ciągnął Kanadyjczyk — powitam wystrzałem każde stworzenie na czterech nogach bez pierza czy na; dwóch nogach z pierzem!

— Dobrze, dobrze — powiedziałem. — Mości Land zaczynaj szaleć!

— Niech się pan nie obawia, panie profesorze — rzekł Ned — proszę tylko dobrze wiosłować! Najwyżej za dwadzieścia pięć minut pozwolę sobie poczęstować pana przyrządzonym własnoręcznie daniem!

O pół do dziewiątej łódź „Nautilusa” osiadła łagodnie na piaszczystym brzegu, przebywszy szczęśliwie koralowy pierścień otaczający wyspę Gueboroa.

Rozdział XXI
Kilka dni na lądzie

Wysiadając na ląd stały doznałem nie byle jakiego wrażenia. Ned Land próbował nogą gruntu, jakby się wprawiał w chodzenie. A przecież dopiero dwa miesiące byliśmy „pasażerami" „Nautilusa" — jak mówił kapitan Nemo — czyli, ściśle mówiąc, więźniami jego dowódcy.

W ciągu kilku minut oddaliliśmy się od brzegu mniej więcej na strzał karabinowy. Grunt był prawie całkowicie madreporowy; kilka łożysk po wyschłych strumieniach usianych odłamkami granitu zdradzało jednak pierwotne pochodzenie wyspy. Horyzont był całkowicie przesłonięty wspaniałą kurtyną lasu. Olbrzymie drzewa, dochodzące niekiedy do dwustu stóp wysokości, łączyły się między sobą girlandami lian i pnączy, istnych hamaków, kołysanych łagodnym wietrzykiem. Były tam mimozy, fikusy, kazuaryny, drzewa tekowe, hibiskusy, pandany, palmowce, splątane i bujne, a pod ich zielonym sklepieniem, u stóp gigantycznych pni, rozrastały się orchidee, strączkowce i paprocie.

Kanadyjczyk wolał jednak użyteczne od przyjemnego i nie zważał wcale na owe przepiękne okazy flory papuaskiej. Dostrzegł palmę kokosową, strącił z niej kilka owoców, rozłupał: piliśmy mleko i jedliśmy miąższ kokosu z zadowoleniem źle świadczącym o kuchni „Nautilusa".

— Doskonałe! — powtarzał Ned Land.

— Wyśmienite! — potwierdzał Conseil.

— Myślę, że wasz Nemo nie będzie miał nic przeciwko temu, że przywieziemy mu trochę tego towaru na pokład — mówił Kanadyjczyk.

— Sądzę, że nie — potwierdziłem. — Ale na pewno nie zechce tego jeść!

— Tym gorzej dla niego! — rzekł Conseil.

— I tym lepiej dla nas — stwierdził Ned Land. — Więcej zostanie!

— Jeszcze jedno słowo, kochany Nedzie — rzekłem do harpunnika, który już się zabierał do otrząsania następnej palmy. — Kokosy to smaczna rzecz, ale zanim napełnimy nimi naszą łódkę, radziłbym zbadać, czy nasza wyspa nie rodzi przypadkiem innych produktów, niemniej pożytecznych. Świeże jarzyny na przykład byłyby mile widziane na „Nautilusie".

— Pan profesor ma rację — powiedział Conseil. — Proponuję podzielić naszą łódź na trzy części: w jednej złożymy owoce, w drugiej jarzyny, a w trzeciej zwierzynę, której, co prawda, nie zauważyłem dotychczas ani na pokosztowanie!

— Conseil! Nie wolno tracić nadziei! — rzekł Kanadyjczyk.

— Szukajmy więc dalej — powiedziałem. — Ale miejmy się na baczności: wyspa wydaje się wprawdzie nie zamieszkana, ale kto wie, czy nie ma tu jakichś indywiduów mniej wybrednych od nas, jeśli chodzi o zwierzynę!

— He! he! — odezwał się Ned Land poruszając wymownie żuchwami.

— Cóż to, Nedzie? — zdumiał się Conseil.

— Do diabła! — odparł Kanadyjczyk. — Zaczynam rozumieć rozkosze ludożerstwa!

— Nedzie, Nedzie, cóż ty wygadujesz? — mówił Conseil. — Ty — ludożercą! Jakże mam się teraz czuć z tobą bezpiecznie, skoro mieszkamy w jednej kabinie! Czyżbym pewnego dnia miał się obudzić na pół zjedzony?

— Nie bój się, kochany Conseil; lubię cię bardzo, ale nie do tego stopnia, żebym cię miał pożerać bez istotnej potrzeby.

— Wcale ci nie wierzę — odpowiedział Conseil. — Polujmy!

Musimy przecież jak najszybciej ubić jakąś zwierzynę i zaspokoić głód tego kanibala, bo w przeciwnym razie może pan profesor pewnego ranka znaleźć na usługi tylko parę kawałków swego służącego.

Tak gawędząc weszliśmy pod ciemne sklepienie lasu; w ciągu dwóch godzin przemierzyliśmy go we wszystkich kierunkach. Szczęśliwy przypadek zdarzył, że w poszukiwaniu jadalnych roślin natrafiliśmy na jeden z najpożyteczniejszych płodów strefy podzwrotnikowej, mogący cennym pożywieniem złagodzić dotkliwy brak chleba na pokładzie.

Mam na myśli drzewo chlebowe rosnące bardzo obficie na wyspie Gueboroar; dostrzegłem tu przede wszystkim ową odmianę pozbawioną pestek, którą Malajczycy nazywają „rima".

Drzewo to odróżnić łatwo od innych, gdyż pień jego jest prosty i wysoki na czterdzieści stóp; korona, wdzięcznie zaokrąglona i składająca się z wielkich, postrzępionych liści, łatwo zdradza oczom przyrodnika ów gatunek Artocarpus, który tak szczęśliwie przyjął się także na Wyspach Maskareńskich. Z jego gęstej zieleni zwieszały się duże, okrągłe owoce, o średnicy decymetra, okryte skórką, całą porysowaną zmarszczkami w sześciokąty. Pożyteczna ta roślina jest prawdziwym błogosławieństwem okolic pozbawionych zboża: nie wymagając uprawy, owocuje przez osiem miesięcy w roku.

Ned Land dobrze znał te owoce. Jadał je wielokrotnie podczas swych licznych podróży i umiał przyrządzać ich jadalny miąższ. Widok chlebowców podniecił więc jego apetyt do tego stopnia, że nie wytrzymał i zwrócił się do mnie:

— Panie profesorze, padnę chyba trupem, jeżeli nie skosztuję natychmiast owoców z tego drzewka!

— Kosztujcie, kochany Nedzie, kosztujcie, ile wam się tylko żywnie podoba. Jesteśmy tu, aby robić doświadczenia, róbmy!

— To nie będzie długo trwało — rzekł Kanadyjczyk. ‘

Za pomocą soczewki rozpalił ogień z suchych gałęzi, które zaczęły trzaskać wesoło. Przez ten czas Conseil i ja wybieraliśmy najlepsze owoce chlebowca. Niektóre nie były jeszcze dostatecznie: dojrzałe i gruba ich skóra okrywała miękisz biały, ale jeszcze mało włóknisty. Inne, już żółtawe, o galaretowatej konsystencji, jakby oczekiwały tylko na zerwanie.

W owocach tych nie było wcale pestek. Conseil naznosił ich około tuzina, a Ned Land pokrajał je na grube plastry i poukładał na rozżarzonych węgielkach, powtarzając cały czas:

— Zobaczy pan, panie profesorze, jaki to smaczny chlebek!

— Zwłaszcza dla tych, którzy od dawna chleba nie jedli — zauważył Conseil.

— To już nawet nie chleb — zachwalał Kanadyjczyk — to delikatne ciasto. Nigdy pan tego nie jadł, panie profesorze?

— Nigdy, Nedzie.

— No, to niech się pan przygotuje na soczystą i posilną potrawę. Jeśli pan nie poprosi o drugą porcję, to niech nie będę królem harpunników!

Po kilku minutach zewnętrzne części owoców uległy całkowitemu zwęgleniu. Wewnątrz ukazała się biała masa, przypominająca miękisz chleba, smakiem zaś zbliżona do karczochów.

Trzeba przyznać, że chleb ten był wyborny; jadłem go naprawdę z dużą przyjemnością.

— Szkoda, że ciasta tego nie można przechowywać — powiedziałem — i że nie można zrobić jego zapasów na pokładzie.

— Co też pan mówi, panie profesorze! — oburzył się Ned Land. — Przemawia pan jak przyrodnik, a ja postąpię jak piekarz. Conseil, zbierz no sporo tych owoców; zabierzemy je, kiedy będziemy wracać.

— A jakże je przyrządzicie? — zapytałem Kanadyjczyka.

— Z tego miękiszu trzeba wyrobić ciasto, które przefermentuje i potem będzie mogło leżeć długo, nie ulegając zepsuciu. Kiedy będę chciał je użyć, upiekę je po prostu na kuchni i choć będzie miało smak lekko kwaskowaty, jeszcze będzie się pan nim zachwycał.

— A więc, kochany Nedzie, widzę, że niczego wam już nie potrzeba po tym chlebie!

— Owszem, panie profesorze — odpowiedział Kanadyjczyk. — Potrzeba jeszcze owoców

albo przynajmniej jakichś jarzyn.

— Wobec tego szukajmy owoców i jarzyn.

Poszukiwania nasze nie były bezskuteczne, tak że około południa mieliśmy już spory zapas bananów. Te doskonałe owoce gorącej strefy dojrzewają przez cały rok; Malajczycy nazywają je „pisang” i jedzą na surowo. Prócz bananów nazbieraliśmy także olbrzymich „żaków” o wybornym smaku, doskonałych owoców mango i nieprawdopodobnej wielkości ananasów. Ten zbiór owoców zabrał nam sporo czasu, choć co prawda nie potrzebowaliśmy go żałować.

Conseil patrzył bez przerwy na Neda. Harpunnik szedł przodem i przez cały czas naszej leśnej przechadzki zbierał pewną ręką owoce, które miały uzupełnić jego zapasy.

— Czy już nareszcie nic nam nie brakuje, kochany Nedzie? — zapytał Conseil.

— Hm!… — mruknął Kanadyjczyk.

— Co? Jeszcze ci źle?

— Te wszystkie rośliny nie mogą zastąpić posiłku — odpowiedział Ned. — Może to być najwyżej zakończenie jedzenia, deser. A gdzie jest zupa? Gdzie pieczeń?

— Rzeczywiście — wtrąciłem. — Ned obiecał nam kotlety; wydaje mi się to bardzo problematyczne.

— Panie profesorze — rzekł Kanadyjczyk — polowanie nie tylko się nie skończyło, ale nawet jeszcze nie zostało rozpoczęte. Proszę o cierpliwość! Na pewno spotkamy jakieś stworzenie pokryte pierzem albo sierścią, jeśli nie tu, to gdzie indziej…

— I jeśli nie dziś, to jutro — dodał Conseil — bo przecież nie możemy się zbytnio oddalać. Proponuję nawet wracać już do łódki.

— Co? Już? — oburzył się Ned.

— Musimy być z powrotem przed zapadnięciem nocy — przyznałem.

— A któraż to godzina? — zdziwił się Kanadyjczyk.

— Najmniej druga — odpowiedział Conseil.

— Jak to czas leci na tej ziemi! — westchnął Ned Land z żalem.

— W drogę — rzekł Conseil.

Wróciliśmy drogą przez las, uzupełniając naszą zdobycz znaczną ilością kapusty palmowej, po którą musieliśmy wspinać się aż pod wierzchołki drzew, i niewielkim groszkiem, nazywanym przez Malajczyków „abru”.

Przybyliśmy do łódki obładowani jak wielbłądy. Ned uważał jednak, że zapasy nasze są niewystarczające. Los uśmiechnął się do niego; mieliśmy już prawie odpływać, kiedy zauważył liczne, wysokie na dwadzieścia pięć do trzydziestu stóp drzewa, należące do gatunku palmowatych. Drzewa te, równie cenne jak chlebowce, zaliczane są do najpożyteczniejszych płodów Melanezji.

Były to sagowce, rośliny nie wymagające uprawy, a rozmnażające się, podobnie jak morwy, przez odroślą i nasiona.

Ned Land wiedział, jak należy się zabrać do owych drzew. Wziął siekierę i, machając pracowicie, zrąbał wkrótce dwa czy trzy sagowce, których dojrzałość poznać można było po białym pyle, okrywającym liście.

Przypatrywałem się jego pracy raczej jako przyrodnik niż jako człowiek zgłodniały. Z każdego pnia zaczął Ned zdejmować pasy grubej na cal kory, okrywającej sieć wydłużonych włókien, które tworzyły zawiłe węzły, polepione jakby kleistą mączką. Ta mączka to właśnie było sago, owa jadalna substancja służąca za główne pożywienie ludom melanezyjskim.

Ned Land zadowolił się na razie porąbaniem pni na kawałki, jakby przygotowywał drzewo na opał, odkładając na później wydobycie z nich mączki, wyciśnięcie jej przez płótno w celu oddzielenia włókien, wysuszenie na słońcu i nałożenie do form, aby stwardniała.

Opuściliśmy wreszcie wybrzeże wyspy około piątej po południu, obładowani skarbami. W pół godziny potem przybyliśmy do „Nautilusa”. Nikt się nawet nie ukazał na nasze powitanie.

Olbrzymi stalowy cylinder zdawał się być wymarły. Wyładowaliśmy prowiant: udałem się do siebie. W kabinie czekała na mnie przygotowana kolacja. Zjadłem ją i poszedłem spać.

Nazajutrz, 6 stycznia, na pokładzie nie zaszło nic nowego. Z wnętrza nie dobiegał ani jeden odgłos, ani jeden znak życia.

Łódź kołysała się u boku „Nautilusa" w tym samym miejscu, gdzieśmy ją pozostawili. Postanowiliśmy wrócić na wyspę Gueboroar. Ned Land żywił nadzieję, że będzie miał większe szczęście jako myśliwy, i chciał zwiedzić inną część lasu.

O wschodzie słońca byliśmy już w drodze. Łódź nasza przybiła do wyspy bardzo szybko, niesiona falami bijącymi w kierunku lądu.

Wysiedliśmy. Mając zaufanie do instynktu Kanadyjczyka, poszliśmy za nim, zresztą z trudem nadążając za tym długonogim przewodnikiem.

Ned Land skierował się na zachód wzdłuż wybrzeża, a potem przebywszy w bród kilka strumyków, doszedł do wyniosłej płaszczyzny, za którą ciągnęły się przepiękne lasy. Kilka zimorodków krążyło wzdłuż strumieni, nie pozwalając jednak zbliżyć się do siebie. Ta ich przezorność upewniła mnie, że ptaki owe wiedziały, czego można oczekiwać od podobnych do nas, dwunożnych istot; wywnioskowałem więc, że jeśli nawet wyspa była nie zamieszkana, to przynajmniej od czasu do czasu jacyś ludzie ją odwiedzali.

Przebyliśmy dość dużą łąkę i dotarli do skraju niewielkiego lasku, w którym rozbrzmiewał świergot bardzo licznych ptaków.

— To ciągle jeszcze t y l k o ptaki! — zauważył Conseil.

— Ale i takie, które można zjeść! — odpowiedział harpunnik.

— Ani trochę, przyjacielu — rzekł Conseil. — Widzę tu tylko najzwyczajniejsze papugi.

— Przyjacielu Conseil — odparł poważnie Ned. — Dla tych, którzy nie mają nic innego do jedzenia, papuga jest bażantem.

— Warto dodać — odezwałem się — że ten ptaszek jest wcale niezły, jeśli tylko go dobrze przyprawić.

Pod cienistymi konarami drzew unosiło się istotnie całe mnóstwo papug; aby przemówić ludzkim językiem, czekały, zda się, tylko na okazję wykształcenia się. Tymczasem wrzeszczały jedna przez drugą te różnorodne gaduły: poważne kakadu, zdające się rozważać jakieś zagadnienia filozoficzne; płomiennoczerwone lory, Przelatujące jak kawałki gazy, ozdobione najdelikatniejszymi barwami błękitu; razem — tysiąc odmian skrzydlatej chmary, uroczej, lecz w większości niejadalnej.

W kolekcji tej brakowało tylko jednego właściwego tym ziemiom ptaka, który nigdy nie przekroczył granic wysp Aru i Nowej Gwinei. Losy jednak miały nam sprzyjać i umożliwić jego podziwianie.

Po przebyciu niezbyt gęstego lasku znaleźliśmy się na równinie pokrytej krzewami. Tam ujrzałem nagle zrywające się ptaki, które szczególny układ ich długich piór zmuszał do latania pod wiatr. Ich lot falisty, pełne wdzięku wygięcia skrzydeł, połyskliwe barwy — przyciągały oczy i napawały zachwytem. Poznałem je od razu.

— Rajskie ptaki! — wykrzyknąłem.

— Rząd wróblowatych, sekcja… — zaczął klasyfikować Conseil.

— Czy może rodzina kuropatewek? — zapytał Ned Land.

— Nie sądzę, mości Land. Jednak liczę na waszą zręczność: złowicie chyba choć jeden taki okaz podzwrotnikowej fauny!

— Spróbujemy, panie profesorze. Przyznam się jednak, że poręczniej mi władać harpunem niż strzelbą.

Malajczycy, prowadzący z Chińczykami ożywiony handel rajskimi ptakami, mają liczne sposoby ich łowienia, sposoby — niestety — dla nas niedostępne. Rozciągają na przykład siatki na szczytach wyniosłych drzew, na których rajskie ptaki najchętniej siadają. Łowią je za pomocą pewnego rodzaju lepu paraliżującego ruchy. Dopuszczają się nawet zatruwania

źródeł, do których zazwyczaj zdążają owe ptaki dla zaspokojenia pragnienia. Co do nas, to musieliśmy próbować ustrzelić je w locie, a to dawało nam znikome szansę. Rzeczywiście — zużyliśmy tylko bezowocnie znaczną część amunicji.

Około jedenastej dotarliśmy do podnóża gór, wznoszących się w środku wyspy, ale nic jeszcze nie upolowaliśmy. Głód doskwierał nam porządnie. Zbyt ufni w swą zręczność, zawiedliśmy się mocno… Na szczęście Conseil, ku swemu własnemu zdumieniu, zabił jednym wystrzałem białego gołębia i grzywacza i w ten sposób zapewnił nam choć śniadanie. Oba ptaki, co prędzej oskubane i nadziane na rożen, piekły się nad ogniem z suchych gałęzi. Ned przygotował przez ten czas owoce chlebowca. Oba gołębie zostały następnie zjedzone do ostatniej kosteczki i określone jako wyborne. Gałka muszkatołowa, którą się obżerają, nadaje ich mięsu doskonały zapach i smak.

— To tak, jakby pularda żywiła się truflami — zauważył Conseil.

— No i czegóż wara teraz jeszcze brakuje, przyjacielu Ned? — zapytałem Kanadyjczyka.

— Czegoś na czterech łapach, panie profesorze — odpowiedział Ned Land. — Wszystkie te gołąbki to właściwie tylko przystawka i przysmaczek. Nie będę szczęśliwy, póki nie ustrzelę jakiego kotletowego zwierzaka.

— A ja, dopóki nie złapię rajskiego ptaka.

— Polujmy więc dalej — rzekł Conseil — ale wracajmy ku morzu. Doszliśmy już do pierwszych zboczy górskich, więc myślę, że lepiej zawrócić ku stronom lesistym.

Rada była słuszna. Po godzinnym marszu doszliśmy do prawdziwego lasu sagowców. Jakieś nieszkodliwe węże uciekały nam spod nóg. Rajskie ptaki pierzchały za naszym zbliżeniem i już straciłem nadzieję, że będę mógł z bliska obejrzeć jaki okaz, kiedy Conseil, który szedł przodem, schylił się nagle, wykrzyknął radośnie i zawrócił ku mnie, trzymając w ręku wspaniały egzemplarz.

— Brawo! Wiwat Conseil! — wołałem ucieszony.

— Pan profesor jest zbyt dobry — odpowiedział Conseil.

— Ależ nie, mój kochany! Udał ci się mistrzowski chwyt. Złapać żywcem takiego ptaka, i to ręką, ho, ho!

— Gdyby pan profesor zechciał przyjrzeć mu się z bliska, zobaczyłby pan profesor, że moja zasługa nie jest aż tak wielka.

— A dlaczego?

— Bo przecież ten ptak jest urżnięty jak bela.

— Urżnięty?

— Tak, panie profesorze, upił się gałką muszkatołową; pasł się właśnie pod muszkatowcem, pod którym go złapałem. Patrz, kochany Nedzie, oto potworne skutki braku wstrzemięźliwości!

— Co u diabła! — wrzasnął Kanadyjczyk. — Będziesz mi teraz wymawiał te parę kieliszków ginu, którego i tak nie piłem już od dwóch miesięcy!

Przyglądałem się tymczasem temu osobliwemu ptakowi. Conseil się nie mylił. Stworzenie, oszołomione upajającym sokiem, było prawie całkiem bezwładne. O lataniu nie było mowy. Ptak ledwo chodził. Nie niepokoiło mnie to jednak; wytrzeźwieje na pewno.

Należał do najpiękniejszego z ośmiu gatunków, zamieszkujących Nową Gwineę i sąsiednie wyspy. Był to rajski ptak, zwany „wielkim szmaragdem”, Bardzo rzadko spotykany. Mierzył około trzech: decymetrów długości. Głowę miał stosunkowo niewielką, oczy również małe, umieszczone tuż obok dzioba. Połyskiwał jednak całą tęczą barw i odcieni: dziób miał żółty, nogi i pazurki brązowe, skrzydła orzechowe, przechodzące w purpurę ku końcom, głową i kark bladożółte, szyję szmaragdową, a pierś i podbrzusze kasztanowate. Ponad ogon wyrastały mu dwa prątki rogowe, okryte puchem, sam ogon zaś przedłużały wielkie pióra, bardzo lekkie i przecudnej delikatności. Wszystko to tworzyło niezwykłą urodę tego ptaka, którego krajowcy poetycznie nazwali „ptakiem słońca”. Pragnąłem bardzo móc zabrać do

Paryża ten wspaniały okaz rajskiego ptaka i podarować go ptaszarni Ogrodu Botanicznego, gdzie nie ma ani jednego takiego egzemplarza żywego.

— Więc to takie rzadkie? — zapytał Kanadyjczyk tonem myśliwego, który niewiele dba o artystyczną wartość zwierzyny.

— Bardzo rzadkie, kochany przyjacielu, a przede wszystkim trudne do schwytania żywcem. Zresztą ptaki te, nawet nieżywe, są przedmiotem znacznego handlu. Krajowcy nauczyli się więc fabrykować je, tak jak się fabrykuje perły albo diamenty.

— Co? — zdumiał się Conseil. — Robią fałszywe rajskie ptaki?

— Tak, Conseil.

— I pan profesor wie, j a k to robią?

— Doskonale. W okresie wschodnich musonów rajskie ptaki gubią te wspaniałe pióra, które okalają ich ogony, a które przyrodnicy nazwali piórami podskrzydłowymi. Otóż fałszerze ptaków zbierają te właśnie pióra i przyprawiają je zręcznie byle papudze, oskubawszy ją poprzednio. Potem farbują szwy, lakierują i wykańczają ptaka, no i wreszcie gotowy produkt tego oryginalnego przemysłu wysyłają do Europy dla muzeów i amatorów— zbieraczy.

— Wszystko jedno! — oświadczył Ned Land. — Jeśli to nie sam ptak, to w każdym razie jego pióra. Nie widzę w tym nic złego, skoro i tak mięso jego nie nadaje się do jedzenia!

Jeżeli jednak moje pragnienie złapania rajskiego ptaka zostało już zaspokojone, to łowieckie pragnienia Kanadyjczyka zdawały się nieosiągalne. Na szczęście około godziny drugiej Ned Land ubił wspaniały okaz dzikiej leśnej świni, z gatunku tych, które krajowcy nazywają „bari–utang”. Zwierzę zjawiło się tu widocznie umyślnie w celu dostarczenia nam mięsa czworonoga; zostało też godnie przyjęte. Ned okazał się doskonałym strzelcem. Świnia, trafiona elektrycznym pociskiem, padła trupem na miejscu.

Kanadyjczyk szybko oczyścił ją i wypatroszył wycinając około pół tuzina kotletów, przeznaczonych na usmażenie do wieczornego posiłku. Dalsze polowanie upamiętniło się jeszcze wyczynami Neda i Conseila. Obaj przyjaciele, bobrując po krzakach, wystraszyli stamtąd stadko kangurów, które porwały się do ucieczki, sadząc olbrzymimi susami na swych elastycznych nogach. Zwierzęta nie znikły jednak tak szybko, aby nie mogły ich przedtem dosięgnąć elektryczne pociski.

— Ach, panie profesorze! — wołał Ned Land, upojony łowieckimi sukcesami. — Co za wspaniała zwierzyna, zwłaszcza smacznie uduszona! Co za prowiant dla „Nautilusa”! Dwie, trzy, pięć sztuk! 1 wiecie co? Spałaszujemy całe to mięsiwo, a ci durnie z załogi nie dostaną ani kęsa!

Myślę, że gdyby Kanadyjczyk nie gadał tyle, ubiłby w przystępie zapału całe stadko! Tak zaś musiał się zadowolić tuzinem owych torbaczy, „które tworzą pierwszy rząd ssaków torbaczy” — jak mówił Conseil. Były to zwierzątka niewielkie, gatunek „kanguro–królików”, mieszkających przeważnie po dziuplach drzew i biegających z nadzwyczajną szybkością. Choć małe, dostarczają bardzo smacznego mięsa.

Byliśmy bardzo zadowoleni z wyników naszego polowania. Uradowany Ned obiecywał sobie wrócić nazajutrz na tę uroczą wyspę i ogołocić ją doszczętnie z wszelkich jadalnych czworonogów. Nie mógł wziąć jednak pod uwagę wypadków, które miały nadejść.

Około szóstej powróciliśmy na plażę. Łódź leżała na piasku w zwykłym miejscu. O milę od brzegu sterczał ponad falami długi kadłub „Nautilusa”, podobny do skały.

Ned Land nie zwlekał dłużej i zajął się arcyważną sprawą obiadu. Znał się doskonale na kuchni. Wkrótce przysmażone na węglach kotlety „bari–utanga” zaczęły wydawać rozkoszną woń, która rozeszła się w powietrzu!

Widzę już, że podążam w ślady Kanadyjczyka: oto wpadam w ekstazę przed kawałkiem świeżej, smażonej świniny! Proszę mi to wybaczyć — dla tych samych powodów, dla których ja sam wybaczałem Landowi!

Koniec końców, obiad był wyśmienity. Posiłek uzupełniły dwa grzywacze. Ciasto z sagowca, chleb z drzewa chlebowego, kilka owoców mango, pół tuzina ananasów, wreszcie sfermentowany sok pewnego gatunku orzechów kokosowych — wszystko to wprawiło nas w doskonałe humory. Zdaje mi się nawet, że umysły moich zacnych towarzyszy uległy niejakiemu zaciemnieniu…

— A gdybyśmy tak nie wrócili na noc do „Nautilusa”…? — zagadnął Conseil.

— A może byśmy w ogóle już tam nie wrócili? — dodał Ned. W tej chwili do stóp naszych padł kamień i nie pozwolił harpunnikowi dokończyć propozycji.

Rozdział XXII
Piorun kapitana Nemo

Spojrzeliśmy w stronę lasu nie podnosząc się; zatrzymałem wpół drogi niesiony do ust kąsek. Ned wolał dojeść swą porcję do końca.

— Kamień nie spada z nieba — zauważył Conseil — chyba że to meteor…

Uwagę tę poparł natychmiast drugi kamień, starannie zaokrąglony— wytrącając Conseilowi z ręki smaczne udko grzywacza.

Wszyscy trzej zerwaliśmy się i przyłożyliśmy broń do ramienia, gotowaliśmy się do odparcia czyjegoś ataku.

— Czy to małpy?! — zawołał Ned Land.

— Mniej więcej — odparł Conseil. — To dzicy.

— Do łodzi! — krzyknąłem kierując się ku morzu.

Istotnie trzeba było się cofać, bo na skraju lasku zasłaniającego horyzont z prawej strony ukazało się ze dwudziestu krajowców uzbrojonych w łuki i proce.

Łódź leżała o dziesięć sążni od nas.

Dzicy zbliżali się bez pośpiechu, ale okazując wyraźnie wrogie zamiary. Runął na nas grad kamieni i strzał. Ned Land nie chciał porzucić swych zapasów mimo poważnego niebezpieczeństwa; chwyciwszy świnię pod jedną pachę, a kangury pod drugą, zmykał jednak dość szybko.

W ciągu dwóch minut byliśmy na plaży. Załadowanie łódki zapasami żywności i bronią, zepchnięcie jej na morze i założenie wioseł było dziełem sekundy. Nie zdążyliśmy odpłynąć więcej jak na czterysta metrów, kiedy setka dzikich, wyjąc i gestykulując, weszła po pas w wodę. Patrzyłem, czy ich ukazanie się nie ściągnie na platformę kogoś z załogi „Nautilusa”. Ale nie. Olbrzymia machina leżała na wodzie bez ruchu, nie dając znaku życia.

Po dwudziestu minutach byliśmy na pokładzie. Klapa była otwarta. Wciągnęliśmy łódź i weszliśmy do wnętrza statku.

Zszedłem do salonu, skąd dobiegały ciche akordy. Kapitan Nemo siedział pochylony nad organami, zatopiony w muzycznej ekstazie.

— Panie kapitanie! — odezwałem się. Nie słyszał.

— Panie kapitanie! — powtórzyłem dotykając go ręką. Drgnął i odwrócił się.

— Ach, to pan, panie profesorze — odezwał się. — No i cóż? Jak poszło polowanie? Nazbieraliście może roślin?

— Tak, panie kapitanie — odpowiedziałem. — Niestety jednak ściągnęliśmy tu za sobą gromadę istot dwunogich, których bliskość jest raczej niepokojąca.

— Jakich istot dwunogich?

— Dzikich, panie kapitanie!

— Dzikich… — powtórzył kapitan ironicznie. — I pan się dziwi, że, stanąwszy na ziemi, znalazł pan tam dzikich! A gdzież nie ma dzikich? A zresztą czy ci, których pan nazywa dzikimi, są gorsi od reszty?

— Ależ, panie kapitanie…

— Jeśli o mnie chodzi, panie profesorze, spotykałem ich wszędzie.

— A więc, jeśli nie chce pan ich przyjąć na pokład „Nautilusa” — powiedziałem — proszę się mieć na baczności.

— Niech pan się uspokoi, panie profesorze; nie ma co się nimi zajmować.

— Ależ oni tu są całą gromadą!

— Wielu pan ich naliczył?

— Co najmniej setkę.

— Panie profesorze — rzekł kapitan Nemo kładąc z powrotem palce na klawiszach

instrumentu — wszyscy krajowcy z całej Nowej Gwinei mogą się zebrać na tym wybrzeżu: „Nautilus” nie obawia się ich ataku!

Palce kapitana zaczęły znowu przebiegać po klawiaturze; zauważyłem, że dotykał tylko czarnych klawiszów, co nadawało melodii styl wybitnie szkocki. Wkrótce zapomniał też o mojej obecności i zatopił się w marzeniu, którego nie chciałem przerywać.

Wyszedłem na platformę. Noc już zapadła, gdyż pod tymi małymi szerokościami geograficznymi słońce zachodzi bez zmierzchu. Wyspę Gueboroar widać było bardzo niewyraźnie. Liczne ognie, rozpalone na wybrzeżu, świadczyły jednak, że dzicy ani myśleli o wycofaniu się.

Spędziłem tak samotnie kilka godzin, myśląc o krajowcach (choć nie obawiałem się ich już, upewniony spokojem kapitana) albo zapominając o nich i podziwiając tylko cuda owej podzwrotnikowej nocy. Wspomnienia moje ulatywały ku Francji, prawdopodobnie pod wpływem widoku gwiazd, które za kilka godzin miały i ponad nią zaświecić. Między konstelacjami w zenicie świecił księżyc. Pomyślałem, że ten nasz wierny i miły satelita powróci pojutrze na to samo miejsce, aby unieść wody i wyrwać „Nautilusa” z owego koralowego łożyska. Około północy, widząc, że spokój panuje zarówno na ciemnych falach, jak i pod drzewami na brzegu, powróciłem do swej kabiny i usnąłem spokojnie.

Noc przeszła bez żadnego wypadku. Widocznie Papuasi lękali się samego widoku potwora leżącego na mieliźnie w zatoce, bo przecież otwarta klapa dawała im łatwy dostęp do wnętrza „Nautilusa”.

8 stycznia o szóstej rano wyszedłem znów na platformę. Wstawał dzień. Poprzez rozchodzące się mgły ujrzałem najpierw brzegi wyspy, a potem i jej szczyty.

Krajowcy nie znikli; było ich nawet więcej niż dnia poprzedniego: pięciuset, a może i sześciuset. Niektórzy, korzystając z odpływu, doszli po wierzchołkach skał koralowych na odległość około dwóch kabli od „Nautilusa”. Widziałem ich wyraźnie. Byli to najprawdziwsi Papuasi, pięknej rasy, atletycznej postawy, o szerokim czole, dużym, lecz nie rozpłaszczonym nosie i białych zębach. Wełniste ich włosy, zabarwione na czerwono, odcinały się wyraźnie od ciał, czarnych i błyszczących jak u Nubijczyków. W muszlach uszu, rozciętych i wyciągniętych, wisiały ozdoby z kości. Wszyscy byli całkowicie nadzy. Zauważyłem tylko kilka kobiet, które ubrane były od bioder do kolan w prawdziwe krynoliny z traw, podtrzymywane w pasie również roślinną plecionką. Wodzowie lub naczelnicy plemion ustrojeni byli w naszyjniki z czerwonych i białych szkiełek. Wszyscy prawie, zbrojni w łuki, strzały i tarcze, nosili na ramieniu rodzaj siatki napełnionej zaokrąglonymi kamieniami, które potrafili zręcznie wyrzucać za pomocą proc.

Jeden z takich wodzów przypatrywał się „Nautilusowi” z niewielkiej odległości. Musiał to być wysokiej rangi „mado”, ponieważ przystrojony był w matę z liści bananowych, postrzępioną na brzegach i jaskrawo ufarbowaną.

Krajowca tego, znajdującego się w niedużej odległości, mogłem łatwo trafić; wolałem jednak zaczekać na kroki zaczepne z jego strony. W stosunkach Europejczyków z dzikimi — Europejczykom wypada zawsze bronić się, a nie napadać.

Podczas odpływu krajowcy przez cały czas krążyli niedaleko od „Nautilusa”. Zachowywali się jednak spokojnie; słyszałem, że często powtarzali słowo „assei”, a po ruchach poznałem, że zapraszali mnie w ten sposób na ląd; uważałem jednak, że roztropniej będzie nie przyjmować tego zaproszenia.

Tego dnia łódź nasza nie opuściła więc pokładu, ku wielkiemu zmartwieniu Neda, nie mogącego uzupełniać swych zapasów. Zręczny Kanadyjczyk nie marnował jednak czasu przyrządzając mięsiwo i mąkę, sprowadzone z wyspy Gueboroar. Dzicy natomiast powrócili na ziemię około jedenastej, kiedy wierzchołki skał zaczęły znikać pod wodą nadchodzącego przypływu. Liczba ich wzrosła jednak na wybrzeżu znacznie. Być może, że przybywali z wysp sąsiednich albo z właściwej Nowej Gwinei. Nie zauważyłem jednak ani jednej pirogi.

Nie mając nic lepszego do roboty postanowiłem zapuścić sieci w te przejrzyste wody, na których dnie widniały muszle, zwierzokrzewy i wodorosty. Zresztą był to już ostatni dzień pobytu „Nautilusa” na tych wodach, jeśli, zgodnie z obietnicą kapitana Nemo, miał nazajutrz istotnie spłynąć na morze. Przywołałem więc Conseila, który przyniósł mi niewielką sieć przypominającą nieco siatki, którymi łowi się ostrygi.

— A dzicy? — zapytał Conseil. — Za pozwoleniem pana profesora, nie wyglądają na bardzo złych.

— A jednak to ludożercy, mój kochany.

— Można być ludożercą i jednocześnie poczciwym człowiekiem — odparł Conseil — tak jak można być jednocześnie łakomym i uczciwym. Jedno nie wyklucza drugiego.

— Niech tak będzie, Conseil! Zgadzam się z tobą, że to są uczciwi ludożercy i że jeńców swych pożerają uczciwie. Ponieważ jednak nie życzę sobie być pożarty, nawet uczciwie, więc będę się miał na baczności, bo dowódca „Nautilusa” nie zachowuje żadnych środków ostrożności. A teraz — do roboty!

Łowiliśmy tak przez dwie godziny, ale bez specjalnych wyników. Sieć wypełniła się „uszkami Midasa”, harpiami, melaniami, a także najpiękniejszymi okazami młota, jakie kiedykolwiek widziałem. Złapaliśmy także kilka strzykw, perłopławów i około tuzina małych żółwi, które zaraz oddaliśmy do kuchni.

Nagle, w chwili, w której się tego najmniej spodziewałem, natknąłem się na cud, a raczej wybryk natury, niesłychanie rzadko spotykany. Conseil wydobywał właśnie sieć, wypełnioną na ogół zwykłymi muszlami, kiedy nagle ujrzał, że zanurzyłem błyskawicznie rękę w siatce, chwyciłem jakąś muszelkę i krzyknąłem głosem konchologa, a więc najdonioślejszym, na jaki się może zdobyć krtań ludzka.

— Co się panu profesorowi stało? — zapytał Conseil, bardzo zdziwiony. — Czy pana profesora co ugryzło?

— Nie, mój kochany, ale chętnie poświęciłbym palec za takie odkrycie.

— Co za odkrycie?

— Tej muszli — rzekłem pokazując mu przedmiot mego triumfu.

— Ależ to po prostu oliwka porfirowata, ślimak z rodzaju oliwkowatych, działu mięczaków…

— Tak, tak, Conseil. Ale ta oliwka, zamiast być skręcona od prawej strony ku lewej, zwija się od lewej ku prawej!

— Czy to możliwe?! — wykrzyknął Conseil.

— Tak, mój kochany, to muszla lewa!

— Muszla lewa! — powtórzył Conseil z bijącym sercem. — Patrz na jej zwoje!

— Może mi pan profesor wierzyć — rzekł Conseil biorąc drżącą dłonią ową cenną muszlę — że nigdy jeszcze nie czułem takiego wzruszenia!

Było czym się wzruszyć! Wiadomo bowiem powszechnie, że, jak to zaobserwowali przyrodnicy, natura tworzy wszystko prawostronnie. Gwiazdy i ich satelity w ruchach swych i obrotach kierują się od prawej ku lewej. Człowiek posługuje się częściej prawą ręką niż lewą i, co za tym idzie, wszystkie jego konstrukcje, schody, zamki, sprężyny zegarków itp., budowane są tak, aby .s funkcjonować od prawej ręki ku lewej. Otóż natura, posłuszna J temu prawu, buduje w ten sam sposób i muszle. Wszystkie one i są prawe z bardzo małymi wyjątkami; jeśli zaś trafi się czasem lewoskrętna, znawcy kupują ją na wagę złota.

Razem z Conseilem zatopieni byliśmy właśnie w podziwianiu tego skarbu i już obiecywałem sobie, że wzbogacę nim moje Muzeum, kiedy nagle kamień, fatalnie ciśnięty przez jednego z krajowców, stłukł cenną muszlę w dłoni Conseila.

Krzyknąłem rozpaczliwie! Conseil pochwycił moją strzelbę i zmierzył do dzikiego, który jeszcze wymachiwał procą o kilka metrów od nas. Chciałem go powstrzymać, ale strzał padł i strzaskał bransoletę z amuletów, zdobiącą ramię krajowca.

— Conseil! — zawołałem. — Conseil!

— Albo co?! Czyż pan profesor nie widzi, że ten kanibal zaczął pierwszy?

— Przecież muszla niewarta życia ludzkiego — rzekłem.

— To dopiero drań! — wrzasnął Conseil. — Wolałbym, żeby mi rękę złamał!

Conseil mówił szczerze, ale nie podzielałem jego zdania. Sytuacja zmieniła się jednak od jakiegoś czasu, czegośmy dotychczas nie zauważyli. Około dwudziestu piróg otaczało „Nautilusa". Pirogi te, wydrążone w pniach drzew, długie, wąskie, szybkie, utrzymywały się w równowadze za pomocą podwójnego pływaka bambusowego. Kierowali nimi zręcznie półnadzy wioślarze; patrzyłem na ich zbliżanie się nie bez niepokoju.

Nie ulegało wątpliwości, że ci Papuasi stykali się już z Europejczykami i znali ich statki. Cóż jednak mogli myśleć o leżącym w zatoce długim, stalowym cylindrze, bez masztów i bez komina? Na pewno nic dobrego, toteż zrazu trzymali się odeń z daleka. Kiedy zobaczyli jednak, że pozostaje nadal nieruchomy, nabrali otuchy i zapragnęli widocznie się z nim oswoić. Do tego właśnie oswojenia nie należało dopuścić. Nasza bezgłośna broń niewielkie mogła wywrzeć wrażenie na dzikich, którzy szanują tylko to, co robi hałas. Piorun bez grzmotu mało przerażałby ludzi, chociaż niebezpieczeństwo tkwi w błyskawicy, a nie w huku.

W pewnej chwili pirogi przysunęły się bliżej „Nautilusa" i nagle na statek nasz spadła chmura strzał.

— Do diabła! To istny grad! — krzyknął Conseil. — I to nawet może grad zatruty!

— Trzeba zawiadomić kapitana Nemo — rzekłem schodząc do wnętrza. Wszedłem do salonu. Nie było tam nikogo. Odważyłem się zapukać do drzwi pokoju kapitana.

— Proszę! — odpowiedział mi głos.

Wszedłem i zastałem go nad jakimś rachunkiem, pełnym *x*–ów i innych znaków algebraicznych.

— Czy przeszkadzam? — spytałem grzecznie.

— Raczej tak, panie profesorze — odpowiedział kapitan. — Ale sądzę, że odwiedza mnie pan dla jakichś ważnych przyczyn.

— Bardzo ważnych. Otaczają nas pirogi krajowców i za kilka minut napadną nas prawdopodobnie setki tych dzikich.

— Aha! — rzekł spokojnie kapitan. — Przyjechali więc na swych pirogach?

— Tak, panie kapitanie.

— A więc, panie profesorze, wystarczy zamknąć klapę.

— Właśnie; chciałem też powiedzieć…

— Nic łatwiejszego — rzekł kapitan Nemo.

Nacisnął guzik, przekazując w ten sposób rozkaz do pomieszczenia załogi.

— Już zrobione, panie profesorze — odezwał się po chwili. — Łódź jest na miejscu, klapa zamknięta. Myślę, że pan się nie obawia, aby ci panowie rozwalili ściany, których nie mogły podziurawić pociski waszej fregaty?

— Nie, ale jest inne niebezpieczeństwo.

— Jakie, panie profesorze?

— Takie, że jutro trzeba będzie otworzyć wejście, aby odświeżyć powietrze w „Nautilusie"!…

— Oczywiście, panie profesorze, ponieważ nasz statek oddycha jak wieloryb.

— Otóż jeśli w tym czasie Papuasi będą siedzieć na platformie, to nie wiem, w jaki sposób zabroni pan im wejścia.

— Więc przypuszcza pan, panie profesorze, że wdrapią się na pokład?

— Jestem pewien.

— No, to niech się wdrapują. Nie wiem, dlaczego miałbym im w tym przeszkadzać. W gruncie rzeczy, to biedacy, ci Papuasi! Nie chcę, ażeby mój pobyt na wyspie Gueboroar miał kosztować ich choć jedno życie.

Po tych słowach zamierzałem odejść, ale kapitan Nemo zatrzymał mnie i poprosił, abym usiadł. Wypytywał mnie z zainteresowaniem o nasze wycieczki na ląd, o polowanie, nie okazując wszakże zrozumienia dla owej potrzeby mięsa, która miotała Kanadyjczykiem. Rozmowa zeszła potem na inne tematy; kapitan Nemo, choć nie mówił więcej niż zwykle, był jednak tym razem uprzejmiejszy.

Między innymi zaczęliśmy rozmawiać o obecnej sytuacji „Nautilusa", który osiadł właśnie w tym samym miejscu cieśniny, w którym o mało co nie rozbił się Dumont d'Urville. Tu kapitan odezwał się:

— To był wielki marynarz, ten Dumont d'Urville! Jeden z największych waszych podróżników–żeglarzy! To wasz francuski Cook! Nieszczęśliwy uczony… Ocaleć wśród gór lodowych przy biegunie południowym, wśród raf koralowych Oceanii, wśród ludożerców na wyspach Pacyfiku — po to, ażeby potem zginąć marnie w pociągu*! Jeśli ten dzielny człowiek mógł jeszcze myśleć w ostatnich sekundach swego życia, proszę sobie wyobrazić, jakie były te ostatnie myśli!

Mówiąc tak, kapitan zdawał się być wzruszony; zapisałem to na jego dobro.

Z mapą w ręku komentowaliśmy potem prace tego wielkiego żeglarza francuskiego, jego „podróże dookoła świata, jego dwukrotne usiłowania dotarcia do bieguna południowego, co przyczyniło się do odkrycia Ziemi Amelii i Ziemi Ludwika Filipa, wreszcie jego badania hydrograficzne w okolicach głównych wysp Oceanii.

— To, co wasz d'Urville zrobił na powierzchni mórz — mówił kapitan Nemo — to zrobiłem ja w samym wnętrzu oceanu, i to łatwiej i pełniej niż on. „L'Astrolabe" i „La Zelee", bez ustanku miotane huraganami, nie wytrzymują przecież porównania z „Nautilusem", który jest prawdziwą pracownią, spokojnym gabinetem pośród ogromu wód.

— A jednak, panie kapitanie — zauważyłem — jest pewne podobieństwo między korwetami Dumont d'Urville'a a „Nautilusem"!

— Jakie, panie profesorze?

— Bo i „Nautilus" osiadł na mieliźnie!

— „Nautilus" nie osiadł na mieliźnie, panie profesorze — odparł chłodno kapitan Nemo. — „Nautilus" zbudowany jest nie po to, aby unosił się na powierzchni wód, i nawet nie będę przedsiębrał wszystkich tych prac i straszliwych wysiłków, jakich musiał się podjąć Dumont d'Urville, aby jego korwety spłynęły na morze. „L'Astrolabe" i „La Zelee" omal że nie zginęły, a „Nautilusowi" nie grozi nawet najmniejsze niebezpieczeństwo. Jutro, w przewidzianym dniu o przewidzianej godzinie, przypływ uniesie go łagodnie i statek będzie mógł podjąć dalej swoją żeglugę oceaniczną.

— Nie wątpię, panie kapitanie, że…

— Jutro — powiedział dobitnie kapitan wstając z miejsca — o godzinie czternastej minut czterdzieści „Nautilus" spłynie i bez najmniejszego uszkodzenia opuści Cieśninę Torresa.

Mówiąc te słowa kapitan skłonił się lekko. Oznaczało to, że mogę odejść, udałem się więc do swojej kajuty.

Zastałem tam Conseila, który ciekawy był wyniku mojej rozmowy z kapitanem.

— Mój kochany — rzekłem — kapitan bardzo ironicznie zareagował na moje obawy co do zagrożenia „Nautilusa" przez Papuasów. Nie mogę ci więc nic innego doradzić: miej do niego zaufanie i połóż się spokojnie spać.

— Czy pan profesor mnie jeszcze potrzebuje?

— Nie, mój chłopcze. A co porabia Ned Land?

— Za pozwoleniem pana profesora — odparł Conseil — Ned pitrasi pasztet z kangura i powiada, że to będzie znakomite!

Zostałem sam; położyłem się, ale nie spałem dobrze. Słyszałem, jak dzicy tupali na

---

* …po to, ażeby potem zginąć marnie w pociągu — Jules–Sebastian–Cesar Dumont d'Urville, francuski podróżnik który dokonał m. in. podróży dookoła świata, zginął we Francji w 1842 r. w katastrofie kolejowej.

platformie i wrzeszczeli ogłuszająco. Noc przeszła, a nikt z załogi nie zareagował, jak zwykle. Tyle ich obchodziła obecność ludożerców, ile załogę fortecy obchodzą mrówki, łażące po umocnieniach.

Wstałem o szóstej. Klapa nie została otwarta, a więc powietrze nie było odnawiane, ale rezerwuary zapasowe działały bez zarzutu; i kilkoma metrami sześciennymi tlenu zasiliły zubożałą atmosferę „Nautilusa". Pracowałem siedząc u siebie w pokoju aż do południa i nie widziałem się ani przez chwilę z kapitanem Nemo. Na pokładzie nie czyniono, zdaje się, żadnych przygotowań do odjazdu.

Poczekałem jeszcze jakiś czas i udałem się do salonu. Zegar, wskazywał pół do trzeciej. Za dziesięć minut woda miała osiągnąć; swój najwyższy poziom i jeśli kapitan Nemo nie uczynił zbyt; śmiałej obietnicy, „Nautilus" miał się natychmiast uwolnić z uwięzi. Gdyby to nie nastąpiło, upłyną na pewno długie miesiące, zanim będzie mógł opuścić swoje koralowe łożysko.

Wkrótce poczułem jednak, jak przez kadłub statku przebiegło kilka drgnięć — zwiastunów ruchu. Usłyszałem, jak burty jego trą o wapienne chropowatości koralowego podłoża.

O czternastej trzydzieści pięć kapitan Nemo ukazał się w salonie.

— Odjeżdżamy — rzeki.

— Och! — zdziwiłem się.

— Dałem rozkaz otwarcia klapy.

— A Papuasi?

— Papuasi? — powtórzył kapitan wzruszając ramionami.

— Czy nie wtargną do wnętrza „Nautilusa"?

— Jakim sposobem?

— Przez klapę, którą pan kazał otworzyć.

— Panie profesorze — odpowiedział kapitan spokojnie — nie tak łatwo wejść do „Nautilusa", mimo że klapa jest otwarta.

Spojrzałem na niego bez słowa.

— Nie rozumie pan? — zapytał.

— Nie.

— Więc proszę, zaraz pan zobaczy.

Poszedłem ku środkowemu wejściu. Ned Land i Conseil byli już tutaj i przypatrywali się, jak kilku ludzi z załogi zabierało się do otwierania pokrywy; z zewnątrz dobiegały okrzyki wściekłości i przeraźliwe nawoływania.

Klapy odskoczyły na zewnątrz. Ukazało się ze dwadzieścia straszliwych postaci. Pierwszy jednak z krajowców, który położył rękę na poręczy drabinki, odrzucony został jakąś niewidzialną siłą wstecz i uciekł w szalonych susach, wrzeszcząc okropnie.

Dziesięciu następnych spotkało to samo.

Conseil był zachwycony. Ned Land nie wytrzymał i rzucił się ku drabinie. Gdy tylko jednak uchwycił poręcz obydwiema rękami, został również obalony na ziemię.

— Do stu diabłów! — wrzasnął. — Czy to piorun we mnie trząsł?

Słowo to wyjaśniło mi wszystko. Nie była to już poręcz, ale metalowy przewodnik, dochodzący aż do platformy, naładowany prądem elektrycznym. Ktokolwiek by go dotknął, musiał odczuć straszliwy wstrząs, a wstrząs ten byłby nawet śmiertelny, gdyby kapitan Nemo przepuścił przez ową sztabę całość prądu, jaki był, do jego dyspozycji! Śmiało można powiedzieć, że pomiędzy sobą, a napastnikami rozciągnął sieć elektryczną, której nikt nie był; w stanie przebyć bezkarnie.

Szalejący ze strachu Papuasi uciekli. My zaś, na pół ze śmiechem, pocieszaliśmy i masowaliśmy nieszczęśliwego Neda, który klął jak potępieniec.

W tej chwili jednak „Nautilus", uniesiony ostatnimi, najwyższymi falami, opuścił swoje koralowe łożysko — dokładnie o oznaczonej przez kapitana czterdziestej minucie. Śruba jego

biła wodę z wolna i majestatycznie. Szybkość wzrastała jednak stopniowo i statek, unosząc się na powierzchni oceanu, opuścił niebezpieczne wody Cieśniny Torresa — cały i nie uszkodzony.

Rozdział XXIII
Twardy sen

Następnego dnia, 10 stycznia, „Nautilus” zanurzył się znów pod wodę i zaczął płynąć z szybkością, którą oceniłem na co najmniej trzydzieści pięć mil na godzinę. Śruba obracała się tak szybko, że obrotów jej nie mogłem ani dojrzeć, ani policzyć.

Rozmyślałem nad tym, że ów cudowny czynnik — elektryczność — dający „Nautilusowi” ruch, ciepło i światło, chroni go ponadto przeciw atakom z zewnątrz i zamienia niejako w świętą arkę, której żaden profan nie śmie dotknąć pod groźbą porażenia piorunem. Kiedy tak myślałem, wzrastał mój zachwyt nad statkiem, a od statku przenosił się z kolei na inżyniera, który go stworzył.

Płynęliśmy dokładnie na zachód i 11 stycznia minęliśmy Przylądek Wessela, który pod 135° długości i 10° szerokości południowej tworzy zachodni kraniec zatoki Karpentaria. Rafy były tu jeszcze liczne, ale rzadziej rozrzucone i bardzo dokładnie naniesione na mapy. Pod 130° długości „Nautilus” z łatwością unikał skał Money położonych za lewą burtą i raf Victoria za prawą i płynął ciągle wzdłuż dziesiątego równoleżnika.

13 stycznia na morzu Timor kapitan Nemo zbliżył się do wyspy o tej samej nazwie, pod 122° długości. Wyspą tą, o powierzchni tysiąca sześciuset dwudziestu pięciu mil kwadratowych, rządzą radżowie, mieniący się synami krokodyla, a więc szczycący się najwyższym pochodzeniem, do jakiego ludzka istota może pretendować. Dlatego też owi łuskowaci przodkowie mnożą się obficie we wszystkich rzekach wyspy i są przedmiotem szczególnej czci. Ochrania się je, rozpieszcza, schlebia, żywi, ofiarowuje się im młode dziewczęta na pożarcie i biada cudzoziemcowi, który by na owe święte jaszczury podniósł rękę.

Ale te zwierzęta nie obchodziły „Nautilusa”. Widzieliśmy Timor jedynie przez krótką chwilę, w czasie której, w samo południe, porucznik statku ustalał nasze położenie. Tak samo mignęła nam tylko Wysepka Rottiego, wchodząca w skład archipelagu; kobiety z tej wyspy uchodzą za najpiękniejsze na malajskich rynkach niewolniczych.

Od tego punktu kurs „Nautilusa” uległ zmianie, kierując się bardziej na południowy zachód. Cel zdawał się leżeć gdzieś na Oceanie Indyjskim. Gdzie miała nas zawieść fantazja kapitana Nemo? Czy ku wybrzeżom Azji? Czy zbliży się może do brzegów Europy? Wydawało się to mało prawdopodobne, skoro człowiek ten unikał lądów zamieszkanych. A zatem zwróci się na południe? Okrąży zapewne Przylądek Dobrej Nadziei, potem przylądek Horn, a potem będzie usiłował zbliżyć się do bieguna południowego… Czy wreszcie powróci na wody Pacyfiku, gdzie „Nautilusa” oczekiwała tak łatwa i swobodna żegluga? To wszystko miała okazać dopiero przyszłość.

Po wyminięciu raf Cartiera, Hibernia, Seringapatam i Scotta, będących jakby ostatnimi wysiłkami lądu, aby zadać klęskę płynnemu żywiołowi, oddaliliśmy się od ziemi ostatecznie. Szybkość „Nautilusa” zmalała znacznie; kapryśny statek płynął teraz pod wodą, to na powierzchni.

W tym okresie kapitan Nemo dokonywał ciekawych badań nad różnicami temperatur wody w zależności od głębokości warstwy. W normalnych warunkach dane te otrzymuje się za pomocą dość skomplikowanych przyrządów o wątpliwej dokładności, jak np. sondy termometryczne, których szkła pryskają często pod ciśnieniem wód, albo aparaty działające na zasadzie różnicy oporu stawianego prądowi elektrycznemu przez różne metale. Tak otrzymanych wyników nie można w dodatku kontrolować. Kapitan Nemo natomiast mógł osobiście badać temperatury na żądanych głębokościach; jego termometry, zanurzone bezpośrednio w różnych warstwach morza, wskazywały natychmiast i bezbłędnie szukaną ciepłotę. „Nautilus” osiągał w ten sposób — czy to wypełniając swe zbiorniki, czy zagłębiając

się ukośnie za pomocą swych sterów wysokościowych — głębokość trzech, czterech, pięciu, siedmiu, dziewięciu i dziesięciu tysięcy metrów; ostatecznym zaś rezultatem tych badań było stwierdzenie, że poniżej tysiąca metrów temperatura morza pod każdą szerokością geograficzną wynosi niezmiennie cztery i pół stopnia.

Doświadczenia te śledziłem z najwyższą uwagą. Kapitan Nemo wnosił prawdziwą pasję do swych badań. Zadawałem sobie często pytanie, jaki jest cel owych obserwacji. Czyżby miało to być z korzyścią dla bliźnich i potomnych? Wydawało się to mało prawdopodobne; przecież pewnego dnia wyniki tych prac zaginą wraz z nim w jakimś nieznanym morzu! Chyba że zamierzał mnie przekazać owoce swojej pracy… Ale oznaczałoby to, że moja przedziwna podróż będzie miała kres, kiedy tymczasem kresu tego nie było nawet widać.

Niemniej jednak kapitan zapoznał mnie z innymi wynikami swych badań, mianowicie z tymi, które ustalały różne gęstości wody w głównych morzach kuli ziemskiej. Temat ten nasunął mi pewne wnioski nie mające nic wspólnego z nauką.

Było to rankiem 15 stycznia. Kapitan, z którym przechadzałem się właśnie po platformie, zapytał mnie, czy znane mi są różnice, jakie zachodzą w gęstości wody różnych mórz. Odpowiedziałem przecząco, dodając, że nauce brak dotychczas ścisłych danych pod tym względem.

— Ustaliłem te dane — odpowiedział na to kapitan. — Mogę nawet ręczyć za ścisłość.

— Dobrze — zgodziłem się. — Ale przecież „Nautilus” jest sam dla siebie światem: tajemnice jego uczonych nie docierają do ziemi.

— Ma pan rację, panie profesorze — rzekł kapitan po chwili milczenia. — „Nautilus” jest sam dla siebie światem. Jest tak daleki od ziemi, jak planety towarzyszące jej w obrocie dookoła słońca; nikt nigdy nie zapozna się z pracami uczonych Saturna lub Jowisza. Ponieważ jednak przypadek związał nasze losy, mogę pana zapoznać z wynikami moich obserwacji.

— Słucham pana, panie kapitanie.

— Wie pan, panie profesorze, że woda morska jest gęstsza od wody słodkiej; gęstość ta jednak nie jest wszędzie jednakowa. Jeżeli gęstość wody słodkiej przyjmiemy za jedność, to gęstość wody Pacyfiku wyniesie 1,028, Morza Śródziemnego — 1,030…

„Aha! — przemknęło mi przez myśl. — A więc zagląda i na Morze Śródziemne!”

— …Morza Japońskiego — 1,018 i Adriatyku — 1,029.

A zatem — całkiem na pewno — „Nautilus” nie unikał uczęszczanych mórz europejskich; wywnioskowałem z tego, że — być może niezadługo — powiezie nas ku bardziej cywilizowanym lądom. Pomyślałem, z jaką radością, łatwo zresztą zrozumiałą, dowie się o tym Ned Land.

Wiele następnych dni poświęciliśmy najprzeróżniejszym badaniom ustalającym stopień nasolenia wody na różnych głębokościach, właściwości przewodzenia prądu elektrycznego, zabarwienie, przezroczystość; we wszystkich tych pracach kapitan Nemo wykazywał nadzwyczajną pomysłowość, nie większą jednak niż uprzejmość w stosunku do mnie. Przez następnych kilka dni nie widziałem go wcale, znowu samotnie pozostając na pokładzie.

16 stycznia „Nautilus” wydawał się drzemać zaledwie na kilka metrów pod powierzchnią wody. Elektryczne maszyny nie działały, śruba stała nieruchomo — statek dawał się bezwładnie unosić prądom. Sądziłem, że załoga zajmuje się naprawą urządzeń wewnętrznych, niezbędną co jakiś czas ze względu na potężną pracę mechaniczną i gwałtowność ruchów „Nautilusa”. Towarzysze moi i ja ujrzeliśmy wtedy ciekawe widowisko. Ściany salonu były rozsunięte, a ponieważ reflektor nie działał, w głębi wód panował nieokreślony mrok. Burzliwe i pokryte grubymi chmurami niebo oświetlało pierwsze warstwy oceanu bardzo niewyraźnie.

Przyglądałem się właśnie morzu w tym stanie i największe ryby wydawały mi się podobne raczej do zamglonych cieni, kiedy nagle „Nautilus” znalazł się w pełnym świetle. Sądziłem

zrazu, że to reflektor zapłonął i zalewa swym elektrycznym światłem otaczające nas płynne masy. Myliłem się jednak i błąd swój natychmiast rozpoznałem.

„Nautilus” płynął w nafosforyzowanej warstwie wody, tym jaśniejszej, że poza nią panowała ciemność. Fosforescencję ową dawały miliardy świetlnych żyjątek, których iskrzenie się wzrastało przy zetknięciu z metalowym kadłubem statku. Wśród tej powodzi światła migały jeszcze jaśniejsze błyski, niby masy roztopionego ołowiu w rozżarzonym do białości piecu, niektóre jaśniejące smugi wydawały mi się, prawem kontrastu, cieniem w tym płonącym środowisku, które przecież — zdawałoby się — każdy cień wykluczało. Nie! Nie było to nasze zwykłe, spokojne światło. W promieniowaniu tym czuło się jakąś niezwykłą potęgę i ruch! Czuło się, że to światło żyje!

Było to istotnie skupienie nieskończonej liczby wymoczków morskich, miliardów świecących kuleczek, przezroczystych, galaretowatych, opatrzonych nitkowatymi mackami, których naliczono dwadzieścia pięć tysięcy w każdych trzydziestu centymetrach sześciennych wody! Światłość tę zwiększały jeszcze połyski meduz, rozgwiazd, aurelii, folad daktylowych i innych fosforyzujących zwierzokrzewów, powleczonych smarem rozkładających się w morzu ciał organicznych i — być może — śluzem wydzielanym przez ryby.

Przez wiele godzin płynął tak „Nautilus” wśród owych płonących odmętów, a zachwyt nasz wzmógł się jeszcze, kiedy ujrzeliśmy wielkie zwierzęta morskie, igrające w nich jak salamandry. Zobaczyłem w tym ogniu, który nie parzy, zgrabne i zwinne morświny, te niestrudzone błazny morskie, trzymetrowej długości żeglarki; niezawodne zwiastuny huraganów, o długich mieczach dotykających niekiedy szyb naszego salonu. Potem ukazały się mniejsze ryby, przeróżne balisty, skumbrie–skoczki, makrele i setki innych, nakreślających zygzaki w świetlnej przestrzeni.

Czarodziejski i olśniewający to był widok! Może intensywność tego zjawiska zwiększały odpowiednie warunki atmosferyczne? Może na powierzchni morza szalała teraz jakaś burza? Tutaj, na głębokości kilku metrów, „Nautilus” nie odczuwał jednak jej grozy; kołysał się łagodnie, otoczony spokojną tonią.

Tak płynęliśmy, ciągle czarowani jakimś nowym cudem. Conseil patrzył i klasyfikował swoje zwierzokrzewy, stawowate, mięczaki i ryby. Dnie płynęły szybko i nie usiłowałem ich już nawet liczyć. Ned, zgodnie ze swym nałogiem, starał się urozmaicać pokładowy jadłospis. Byliśmy jak ślimaki pozamykane w swych skorupach i przyznam nawet, że wcale nietrudno jest zostać takim ślimakiem.

Nasz tryb życia wydawał nam się łatwy, naturalny i nawet nie wyobrażaliśmy sobie, że na powierzchni ziemi istnieje inne życie. Pewne zdarzenie uprzytomniło nam dopiero wyjątkowość naszego położenia.

18 stycznia „Nautilus” znajdował się pod 105° długości i pod 15° szerokości południowej. Pogoda była niepewna, morze wzburzone. Dął gwałtowny wiatr wschodni. Barometr, opadający od kilku dni, zwiastował nadchodzącą walkę żywiołów.

Wyszedłem na platformę w chwili, gdy porucznik ustalał codzienne położenie. Oczekiwałem, jak zazwyczaj, wymówienia znanego mi już zdania. Dnia tego usłyszałem jednak inne słowa, równie zresztą niezrozumiałe. Prawie natychmiast ukazał się kapitan Nemo: oczy jego, uzbrojone w lunetę, skierowały się ku widnokręgowi. Przez kilka minut kapitan nie poruszał się uchwyciwszy nieznany punkt w polu widzenia swego obiektywu. Potem opuścił lunetę i zamienił około dziesięciu słów ze swym zastępcą. Ów, widać to było wyraźnie, daremnie starał się powściągnąć wzruszenie, które nim owładnęło. Kapitan Nemo nie stracił panowania nad sobą. Wydawało się także, że wyraża jakieś zastrzeżenia, którym porucznik przeciwstawiał się gwałtownymi zapewnieniami. Tak przynajmniej rozumiałem wnosząc z różnicy ich tonu i gestów. Zacząłem bacznie przyglądać się horyzontowi, nic jednak nie mogłem dojrzeć. Niebo i morze zlewały się w jedność prostą, doskonałą, bez najmniejszej przerwy.

Kapitan Nemo chodził po platformie od jednego jej krańca do drugiego, nie patrząc na mnie, a może nawet nie widząc mnie. Krok jego był pewny, choć nie tak regularny jak zazwyczaj. Niekiedy zatrzymywał się, krzyżował ręce na piersiach i patrzył na morze. Czego szukał na tych niezmierzonych przestrzeniach? „Nautilus" znajdował się przecież o kilkaset mil od najbliższego wybrzeża! Porucznik chwycił znowu lunetę i badał uparcie horyzont, chodząc tam i z powrotem i tupiąc nogą; to nerwowe podniecenie kontrastowało wyraźnie ze spokojem jego zwierzchnika.

Po chwili znowu zwrócił na coś uwagę kapitana. Ten przerwał swą przechadzkę i skierował lunetę na wskazany punkt. Patrzył długo. Byłem poważnie zaintrygowany; zszedłem do salonu i przyniosłem stamtąd doskonałą lunetę, której zwykle używałem: oparłem ją o klatkę reflektora wystającą na przodzie platformy i zabrałem się do obserwacji widnokręgu punkt po punkcie.

Nie zdołałem jednakże przytknąć jeszcze oka do soczewki lunety, kiedy nagle wyrwano mi ją gwałtownie z ręki.

Odwróciłem się, przede mną stał kapitan Nemo, którego nie poznałem. Twarz miał zmienioną, pod zmarszczonymi brwiami błyszczały oczy dziwnym, ponurym ogniem, widziałem na pół odsłonięte zęby. Sztywne ciało, zaciśnięte pięści, głowa schylona między uniesionymi ramionami — znamionowały nienawiść, którą zdawał się cały dyszeć. Nie ruszał się. Moja luneta, upuszczona na ziemię, potoczyła się do jego stóp.

Czy to ja stałem się mimowolnie przyczyną tego wybuchu? Czy niezrozumiały ten człowiek sądził może, że odkryłem jakąś tajemnicę zastrzeżoną wyłącznie dla załogi „Nautilusa"?

Nie! Nie ja byłem przedmiotem owej nienawiści; kapitan nie patrzył na mnie wcale; wzrok jego tkwił ciągle w jednym punkcie nieprzeniknionego horyzontu.

Wreszcie jednak kapitan się opanował. Twarz jego, tak zmieniona, przybrała swój zwykły spokój. Rzucił porucznikowi kilka słów w niezrozumiałym języku i zwrócił się do mnie.

— Panie profesorze — rzekł tonem, który nie dopuszczał oporu — żądam od pana dotrzymania jednej z danych mi obietnic.

— O co chodzi, panie kapitanie?

— Ma pan się pozwolić zamknąć razem ze swymi towarzyszami aż do chwili, w której uznam za stosowne was uwolnić.

— Jest pan tu władcą — odpowiedziałem patrząc mu w oczy. — Ale czy mogę panu zadać jedno pytanie?

— Nie, panie profesorze.

Wszczynanie jakiejkolwiek dyskusji było po takim oświadczeniu bezcelowe: należało być posłusznym, ponieważ i tak wszelki opór byłby bezskuteczny.

Zszedłem do kabiny Neda i Conseila i oznajmiłem im decyzję kapitana. Łatwo się domyślić, jak przyjął tę nowinę Kanadyjczyk. Nie było zresztą czasu na wyjaśnienia. Czterech ludzi z załogi stało już u drzwi. Zaprowadzili nas do tej samej celki, w której spędziliśmy pierwszą noc na pokładzie „Nautilusa".

Ned Land próbował protestować, ale za całą odpowiedź zatrzaśnięto za nami drzwi.

— Czy pan profesor zechce nam powiedzieć, co to wszystko ma znaczyć? — zapytał Conseil.

Opowiedziałem o tym, co się wydarzyło. Dziwili się, jak i ja, ale nie rozumieli więcej niż ja.

Pogrążyłem się w rozmyślaniach na temat dziwnego zachowania się kapitana Nemo. Nie udawało mi się jednak skleić dwóch logicznych wniosków; gubiłem się w najbardziej niedorzecznych hipotezach, kiedy nagle wyrwał mnie z zamyślenia głos Neda:

— Patrzcie, państwo! Śniadanie!

Rzeczywiście stół był nakryty. Jasne było, że kapitan wydał ten rozkaz jednocześnie z

przyśpieszeniem ruchu „Nautilusa”.

— Czy pan profesor pozwoli, że udzielę panu profesorowi jednej rady? — zapytał Conseil.

— Oczywiście, mój chłopcze.

— A więc niech pan profesor lepiej zje śniadanie! Na wszelki wypadek, bo nie wiadomo, co się może zdarzyć.

— Masz rację, Conseil.

— Niestety — rzekł Ned Land — widzę tu tylko zwykłe pożywienie pokładowe.

— Kochany Nedzie — odparł Conseil — a co byś powiedział, gdyby tu wcale nie było śniadania?

Ta słuszna uwaga położyła kres narzekaniom harpunnika. Zasiedliśmy do stołu. Mało kto się odzywał. Jadłem niewiele, Conseil „zmuszał się” — „na wszelki wypadek”, Ned Land zaś pożerał wszystko nie zostawiając ani kawałeczka. Po posiłku każdy z nas skulił się w swoim kąciku.

W tej chwili zgasła kula świetlna zalewająca dotychczas swymi promieniami całą kabinę i zostaliśmy pogrążeni w głębokiej ciemności. Ned Land wkrótce zasnął, a i Conseil zapadł niedługo potem w ciężki sen, co mnie już nieco zdziwiło. Zadawałem sobie pytanie, co mogło wywołać w nim ową nieprzepartą potrzebę snu, kiedy poczułem, że i mój umysł zaczyna ogarniać jakieś odrętwienie. Oczy przymykały mi się wbrew woli. Owładnęły mną przykre halucynacje. Niewątpliwie dodano jakichś usypiających środków do naszego pożywienia. Nie wystarczało zatem kapitanowi Nemo zamknąć nas, aby ukryć swe poczynania; musiał nas jeszcze uśpić! Usłyszałem, jak zamykano klapę. Ustało lekkie kołysanie się statku na falach. A zatem „Nautilus” opuścił powierzchnię oceanu? A więc zanurzył się w nieruchome warstwy wód?

Próbowałem walczyć z sennością. Bezskutecznie. Oddech mi osłabł,, Poczułem, jak śmiertelne zimno ogarnia z wolna moje wszystkie, jakby sparaliżowane mięśnie. Powieki, jak obciążone ołowiem, opadły mi na oczy. Nie byłem w stanie ich unieść. Ogarnął mnie sen ciężki, ponury, pełen zmór i widziadeł. Potem jednak halucynacje znikły pozostawiając mnie w zupełnej nicości.

Rozdział XXIV
Koralowe królestwo

Nazajutrz obudziłem się niesłychanie rześki. Ku wielkiemu memu zdziwieniu znajdowałem się w swojej kabinie. Towarzysze moi zapewne zostali również przeniesieni do swej kajuty, choć bez ich wiedzy. Nie wiedzieli, tak samo jak i ja, co zaszło w czasie nocy: liczyłem, że tylko jakiś przypadek pozwoli mi z czasem odkryć tę tajemnicę.

Zachciało mi się wyjść z pokoju. Czy byłem znowu wolny, czy jeszcze więźniem? Wolny! Otworzyłem drzwi i przeszedłem korytarzykiem ku środkowej drabince. Zatrzaśnięta wczoraj klapa była znów otwarta. Wyszedłem na platformę.

Byli tam już Ned Land i Conseil. Zarzuciłem ich pytaniami. Nic nie wiedzieli. Tak samo owładnął nimi ciężki sen, z którego nie wynieśli żadnego wspomnienia, tak samo zbudzili się potem, zdumieni, że znajdują się we własnej kabinie.

„Nautilus” zaś wyglądał jak zawsze — spokojny i tajemniczy. Unosił się na falach, płynąc z umiarkowaną szybkością, jakby nigdy nic. Ned Land obserwował morze swymi doskonałymi oczami. Morze było puste. Kanadyjczyk nie dostrzegł nic na horyzoncie — ani żagla, ani lądu. Dął tylko dość mocny wiatr zachodni i długie fale silnie kołysały statkiem.

Odświeżywszy powietrze „Nautilus” trzymał się teraz stale przeciętnej głębokości piętnastu metrów, tak aby w każdej chwili móc szybko wynurzyć się na powierzchnię wody. Dnia tego, 19 stycznia, podobna operacja, wbrew zwyczajowi, powtórzyła się wielokrotnie. Na platformę wychodził wtedy porucznik i znane zdanie rozlegało się wewnątrz statku.

Kapitan Niemo nie pokazywał się wcale. Z załogi ujrzałem jedynie niewzruszonego stewarda, który przyniósł mi posiłek jak zwykle punktualnie i bez słowa.

Około drugiej, kiedy siedziałem w salonie zajęty porządkowaniem moich notatek, otworzyły się drzwi i wszedł kapitan. Ukłoniłem się. Odpowiedział mi niedostrzegalnym prawie skinieniem, nie odzywając się ani słowem. Powróciłem do swej roboty mając nadzieję, że przecież udzieli mi jakichś wyjaśnień co do wydarzeń zeszłej nocy. Milczał jednak. Przyjrzałem mu się. Wydawało mi się, że twarz ma zmęczoną, zaczerwienionych oczu nie orzeźwił widocznie sen ani na chwilę, zdawał się być smutny, obarczony jakąś wielką troską. Chodził tam i z powrotem, siadał i wstawał, brał jakąkolwiek książkę, rzucał ją, przyglądał się instrumentom pokładowym nie czyniąc jednak zwykłych notatek: zdawało się, że nie może wysiedzieć na miejscu. Wreszcie zwrócił się do mnie:

— Czy jest pan lekarzem, panie profesorze?

Nie spodziewałem się takiego pytania i przez chwilę patrzyłem tylko na niego nie odpowiadając.

— Czy pan jest lekarzem? — powtórzył. — Bardzo wielu pańskich kolegów— przyrodników studiowało i medycynę. Taki na przykład Gratiolet albo Moquin–Tandon i inni.

— Owszem — rzekłem wreszcie — jestem lekarzem, asystentem szpitala. Wiele lat praktykowałem, zanim przeszedłem do Muzeum.

— To dobrze.

Kapitan Nemo był wyraźnie zadowolony z mojej odpowiedzi. Nie wiedziałem, do czego zmierza, czekałem więc na dalsze pytania, postanawiając odpowiadać stosownie do okoliczności.

— Profesorze — zapytał kapitan — czy zgodziłby się pan zaopiekować jednym z moich ludzi?

— Ma pan tu kogoś chorego?

— Tak.

— Służę panu.

— Więc proszę za mną.

Przyznam się, że serce mi biło. Nie wiem, dlaczego —wydawało mi się, że istnieje jakaś łączność między ową chorobą jednego z ludzi załogi a wydarzeniami dnia wczorajszego. Tajemnica ta pasjonowała mnie nie mniej niż sam chory.

Kapitan Nemo zaprowadził mnie na rufę „Nautilusa”, gdzie weszliśmy do niewielkiej kabinki położonej obok pomieszczenia załogi.

Na łóżku leżał człowiek mniej więcej czterdziestoletni; miał energiczną twarz znamionującą typowego Anglosasa.

Pochyliłem się nad nim. Nie był właściwie chory, lecz ranny. Na dwóch poduszkach spoczywała jego głowa owinięta w skrwawione bandaże. Kiedy je odwiązywałem, patrzył na mnie nieruchomymi oczami i ani jęknął.

Rana było okropna. Czaszka, zgruchotana jakimś tępym narzędziem, odsłaniała mózg, którego masa była bardzo głęboko naruszona. W półpłynnej substancji o barwie winnego osadu utworzyły się już krwawe skrzepy. Oprócz kontuzji zaszedł tu i wstrząs mózgu. Chory oddychał wolno. Przez twarz jego przebiegały krótkie skurcze. Nadchodziło powoli najzupełniejsze obezwładnienie czucia i ruchów.

Ująłem go za puls. Był nierówny. Kończyny chorego już stygły i śmierć zbliżała się wyraźnie: nie było sposobu wstrzymania jej. Opatrzyłem biedaka i zmieniłem bandaże na głowie, po czym zwróciłem się do kapitana Nemo.

— Skąd taka rana? — zapytałem.

— Mniejsza o to! — odpowiedział kapitan wymijająco. — Wstrząs „Nautilusa” strzaskał jedną z dźwigni maszyny, która uderzyła tego człowieka. Mój zastępca stał przy nim. Człowiek len rzucił się przed porucznika, aby go osłonić… Cóż prostszego? Brat poświęca się za brata, przyjaciel za przyjaciela! Takie prawo panuje tu na „Nautilusie”! Ale co pan sądzi o stanie chorego? Wahałem się z odpowiedzią.

— Może pan śmiało mówić — rzekł kapitan. — Ten człowiek nie rozumie po francusku.

Spojrzałem jeszcze raz na rannego i odpowiedziałem:

— On umrze za dwie godziny.

— Czy nic już nie może go uratować?

— Nic.

Dłoń kapitana Nemo skurczyła się nagle i zobaczyłem, że kilka łez popłynęło z jego oczu; nigdy nie podejrzewałbym go o to, że potrafi płakać.

Przez kilka chwil jeszcze obserwowałem umierającego, z którego z wolna uchodziło życie. Na swym łożu śmiertelnym, skąpanym w elektrycznym świetle, wydawał się jeszcze bledszy. Patrzyłem na tę twarz inteligentną, okrytą przedwczesnymi zmarszczkami, wyrytymi dawno już zapewne przez troski, a może i nędzę. Czyhałem na kilka słów, które może odkryłyby mi tajemnicę jego życia!

— Może pan odejść, panie profesorze — odezwał się kapitan Nemo.

Pozostawiłem go w kabinie z umierającym i wróciłem do swego pokoju bardzo poruszony tą sceną.

Przez cały dzień miotały mną jakieś ponure przeczucia. W nocy spałem źle; zdawało mi się, że wśród często przerywanych snów słyszę odległe westchnienia i żałobne psalmodie. Czy były to może modlitwy za umarłych odmawiane półgłosem w owym nie znanym mi języku?

Nazajutrz rano wyszedłem na platformę. Kapitan Nemo już tam był. Natychmiast zwrócił się do mnie z propozycją:

— Panie profesorze, czy nie odpowiadałoby panu zrobienie dzisiaj wycieczki podmorskiej?

— Z moimi towarzyszami? — zapytałem.

— Jeśli będą chcieli, oczywiście.

— Jesteśmy na pańskie rozkazy, kapitanie.

— Wobec tego bądźcie łaskawi ubrać się w skafandry.

O umierającym czy może już zmarłym nie wspomniał ani słówkiem.

Poszedłem do Neda Landa i Conseila. Przekazałem im propozycję kapitana. Conseil zgodził się natychmiast, a i Kanadyjczyk tym razem się nie wzbraniał.

Była ósma rano. O pół do dziewiątej byliśmy już ubrani do tej drugiej podmorskiej wycieczki i uzbrojeni w oba aparaty — do oświetlania i do oddychania. Otwarto podwójne drzwi i wyszliśmy na dno, na którym leżał „Nautilus" o jakie dziesięć metrów pod powierzchnią wody. Poza nami i kapitanem Nemo było jeszcze ze dwunastu ludzi z załogi.

Lekką pochyłością doszliśmy do falistego podłoża na głębokości mniej więcej piętnastu sążni. Dno różniło się tu zupełnie od gruntu, który zwiedziłem w czasie mojej pierwszej wycieczki pod wodami Oceanu Spokojnego. Nie było tu ani sypkiego, delikatnego piasku, ani łąk podmorskich, ani lasów. Rozpoznałem od razu cudowne strony, w które wiódł nas dzisiaj kapitan Nemo. Było to państwo korala.

Korale należą do zwierzokrzewów drzewkowatych, czyli krzaczastych. Jest to substancja o tyle ciekawa,, że klasyfikowana była raz jako minerał, raz jako roślina, raz jako zwierzę. Dopiero marsylczyk Peysonnel zaliczył ostatecznie koral do zwierząt. Starożytnym służył za lekarstwo, dziś jest raczej klejnotem.

Koral jest nagromadzeniem żyjątek na kruchym, kamienistym polipniaku. Materię twórczą posiadają wspólną i rozmnażają się przez pączkowanie, a więc posiadają egzystencję własną, uczestnicząc jednocześnie we wspólnym życiu. Jest to rodzaj naturalnego socjalizmu. Znałem wyniki ostatnich badań nad tym dziwacznym zwierzokrzewem, który — jak słusznie zaobserwowali przyrodnicy — będąc zwierzęciem, ulega przemianie jednocześnie w kamień i drzewo. Nie było dla mnie nic ciekawszego, jak zwiedzenie jednego z owych kamiennych lasów, które przyroda umieściła w głębi morza.

Uruchomiliśmy aparaty Ruhmkorffa i poszliśmy wzdłuż formującej się dopiero ławicy koralowej, która z czasem zamknie tę część Oceanu Indyjskiego. Droga nasza prowadziła wśród niesłychanej plątaniny krzewów koralowych, okrytych delikatnymi kwiatkami w kształcie gwiazdek o białych promieniach. Krzewy te, przeciwnie, jak na ziemi, przytwierdzone były wszystkie do skał, rosnąc od góry do dołu.

Światło naszych lamp grało na tych barwnych rozgałęzieniach, wywołując tysiące cudownych efektów. Wydawało się, że owe rureczki i błonki drżą pod falowaniem wody. Pokusa mnie brała, aby zerwać ich świeże, młode korony, zdobne w delikatne czułki, to świeżo rozwinięte, to zaledwie powstałe. Potrącały je masy leciutkich rybek o migocących płetwach niby chmary przelatującego ptactwa, ile razy jednak zbliżałem rękę do owych żywych kwiatów i ruchomych czułek, natychmiast całą kolonię opanowywała panika. Białe korony cofały się w głąb czerwonych szypułek, kwiaty rozpływały się wprost w oczach i krzak zmieniał się w kamienisty wzgórek.

Miałem szczęście napotkać najcenniejsze okazy tego ciekawego zwierzokrzewu.

Korale tutejsze dorównywały wartością koralom śródziemnomorskim, wyławianym na wybrzeżu Francji, Włoch i Afryki Północnej. Swymi żywymi barwami usprawiedliwiały poetyczne nazwy „krwawego kwiatu" i „krwistej piany", które nadano w handlu najpiękniejszym okazom. Cena sprzedażna korali osiąga pięćset franków za kilogram, a w tym miejscu fale morskie pokrywały chyba cały majątek wszystkich poławiaczy korali na świecie. Ta cenna substancja, pomieszana niejednokrotnie z innymi polipniakami, tworzyła tu zbite i poplątane nagromadzenia, zwane *macciota*, wśród których dojrzałem między innymi najwspanialsze okazy korala różowego. Wkrótce kępy się zacieśniły, krzewy urosły. Przed nami utworzyły się istne lasy skamieniałe, tworzące jakby długie przęsła jakiejś fantastycznej budowli.

Kapitan Nemo zagłębił się w mroczną galerię, której łagodna pochyłość zawiodła nas na sto metrów pod powierzchnię morza. Blask naszych latarek wywoływał niekiedy wprost

czarodziejskie efekty, padając na chropowate nierówności owych naturalnych sklepień, podobnych do zwisających świeczników, i sprawiał, że świeciły jak obsypane iskrami. Pomiędzy krzewami korali zauważyłem i inne, niemniej ciekawe polipy, jak melity, stawowato rozgałęzione irydy, kilka kęp koralin to zielonych, to czerwonych — istnych wodorostów, zasklepionych pod warstwą własnych soli wapiennych. Przyrodnicy długo dyskutowali, zanim ostatecznie zaliczyli je do świata roślinnego. Jednak, jak głosi uwaga jednego z uczonych, „może tu właśnie jest ów moment przełomowy, kiedy to życie budzi się po omacku z kamiennego snu, nie opuszczając wszakże ostatecznie pierwotnego punktu wyjścia".

Po dwóch godzinach marszu osiągnęliśmy wreszcie głębokość trzystu metrów, a więc granicę ostateczną porostów koralowych. Nie był to jednak ani samotny krzak, ani skromny i niewysoki gaik; była to ogromna puszcza wielkich, kamiennych roślin, olbrzymich drzew skamieniałych, połączonych girlandami plumarii, owych lian morskich, zdobna w półcienie i odblaski. Szliśmy tak swobodnie pod wysokimi sklepieniami, a pod .naszymi stopami słał się istny kobierzec ozdobiony olśniewającymi klejnotami rurko–krzewów, meandryn, gwiazdowców.

Co za widok nie do opisania! Czemuż nie mogliśmy przekazywać sobie nawzajem naszych wrażeń? Czemu byliśmy uwięzieni w tych maskach z metalu i szkła? Dlaczego wszelkie słowa były nam wzbronione? Dlaczego nie mogliśmy żyć jak owe ryby zaludniające odmęty wód albo raczej jak amfibie, które mogą do woli przez długie godziny przebiegać podwójny świat: ziemi i wody!

Kapitan Nemo przystanął. Ja i moi towarzysze zatrzymaliśmy się również. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem, jak załoga ustawia się w półkole dookoła swego dowódcy. Przyjrzawszy się bliżej, zauważyłem, że czterej z nich dźwigają na ramionach jakiś podłużny przedmiot.

Byliśmy w samym środku obszernej polany, otoczonej wysokimi pniami podmorskiego lasu. Lampy nasze rzucały tutaj światło jakby przygasłe, wydłużające nieproporcjonalnie cienie na dnie morza. Na krańcach polany ciemność stawała się coraz głębsza: widać było tylko nieliczne iskierki na ostrych krawędziach korala.

Ned Land i Conseil stali przy mnie. Patrzyliśmy tak — i nagle przyszło mi do głowy, że będziemy świadkami jakiejś niezwykłej sceny. Zauważyłem, że dno morskie jakby piętrzyło się w niektórych miejscach wzgórkami, jakby lekkimi wyniosłościami, pokrytymi tynkiem wapiennej warstwy i rozmieszczonymi z regularnością, w której znać było ludzką rękę.

Na środku polany, na piedestale ze skalnych złomów, stał krzyż koralowy, wyciągający swe ramiona — rzekłbyś — ze skamieniałej krwi.

Na znak kapitana Nemo wystąpił jeden z jego ludzi i o kilka stóp od krzyża zaczął odpiętym od pasa oskardem kopać otwór.

W tej chwili wszystko zrozumiałem! Ta polana była cmentarzem, ten otwór — grobem, podłużny przedmiot — ciałem zmarłego w nocy człowieka! Kapitan Nemo z towarzyszami przyszedł tu pogrzebać kolegę we wspólnej ziemi, na niedostępnym dnie oceanu!

Nigdy jeszcze umysł mój nie doznał takiego podniecenia! Nigdy nie miotały mną gwałtowniejsze wzruszenia! Nie wierzyłem własnym oczom!

Dół pogłębiał się z wolna. Tu i ówdzie uciekały spłoszone ryby. Słyszałem, jak wapienny grunt dźwięczał pod uderzeniami oskarda. Otwór rozszerzył się, pogłębił, aż wreszcie stał się wystarczająco obszerny, aby objąć ciało.

Zbliżyli się wtedy czterej tragarze. Trup owinięty w tkaninę z białego bisioru złożony został w swym wilgotnym grobie. Kapitan Nemo z rękami skrzyżowanymi na piersiach i wszyscy przyjaciele, ukochani zapewne przez zmarłego, uklękli. Moi dwaj towarzysze i ja pochyliliśmy się ze czcią.

Grób zasypany został odłamkami gruntu, tworząc lekkie wzniesienie.

Potem kapitan i cała załoga wyprostowali się, wszyscy zbliżyli się do grobu, jeszcze raz ugięli kolana i wyciągnęli ręce z ostatnim pozdrowieniem.

A potem cały ten orszak żałobny zawrócił ku „Nautilusowi”, przechodząc z powrotem pod sklepieniami lasu, przez coraz rzadszy gaik, wzdłuż koralowych krzewów, coraz wyżej po wznoszącym się dnie.

Ukazał się wreszcie blask reflektora. Świetlna smuga wskazywała drogę aż do samego „Nautilusa”. O pierwszej byliśmy już z powrotem. Natychmiast po zdjęciu skafandrów wyszedłem na platformę, gdzie pod nawałem przygniatających mnie myśli usiadłem obok klatki z reflektorem.

Wkrótce ukazał się kapitan Nemo. Wstałem i odezwałem się:

— A zatem, zgodnie z moim przewidywaniem, ów człowiek umarł tej nocy?

— Tak, panie profesorze — odparł kapitan.

— I teraz spoczywa obok swych towarzyszy na koralowym cmentarzu?

— Tak jest, zapomniany przez wszystkich, tylko nie przez nas! Wykopujemy groby, a polipy pieczęciami swymi opatrują naszych zmarłych na całą wieczność!

Kapitan gwałtownym ruchem ukrył twarz w zaciśniętych dłoniach i daremnie usiłował powstrzymać łkanie. A potem rzekł:

— Tam jest nasz zaciszny cmentarz: tam, o kilkaset stóp pod powierzchnią morza!

— Wasi zmarli śpią spokojnie, kapitanie. Znajdują się tam przynajmniej poza zasięgiem rekinów!

— Tak jest — odpowiedział poważnie kapitan Nemo — poza zasięgiem rekinów i ludzi!

Część druga

Rozdział I
Ocean Indyjski

Tu rozpoczyna się druga część naszej podmorskiej podróży. Część pierwszą zakończyła wzruszająca scena na koralowym cmentarzu; utkwiła mi ona głęboko w pamięci. Tak więc nie tylko całe życie kapitana Nemo upływało w głębi morza, ale nawet swój grób przygotował on w tej nieprzeniknionej otchłani. Żaden potwór oceanu nie zakłóci tam ostatniego snu gospodarzy „Nautilusa", skutych więzami przyjaźni zarówno za życia, jak i po śmierci.

I żaden człowiek! — jak zauważył kapitan.

Zawsze ta sama ponura, nieprzebłagana nieufność w odniesieniu do społeczeństwa ludzkiego!

Co do mnie, nie wystarczyły mi już hipotezy, które w zupełności zadowalały Conseila. Poczciwy chłopiec widział uparcie w dowódcy „Nautilusa" jednego z zapoznanych uczonych odpłacających ludzkości pogardą za obojętność. Ów niezrozumiany geniusz miał dość zawodów i rozczarowań na ziemi i postanowił schronić się w głębinie niedostępnego żywiołu, gdzie mógł swobodnie puścić wodze swoim kaprysom. Według mnie jednak hipoteza ta zbyt jednostronnie tłumaczyła tajemnicę kapitana.

Na zupełnie nowe ślady naprowadziły mnie tajemnicze wydarzenia owej nocy, w czasie której zostaliśmy skuci niewolą i snem: niezrozumiała ostrożność, która kazała kapitanowi wyrwać mi z rąk lornetę, gdy chciałem zbadać horyzont, wreszcie śmiertelne zranienie człowieka, które nastąpiło skutkiem zagadkowego wstrząsu, jakiemu uległ rzekomo „Nautilus". Nie! Kapitan Nemo nie poprzestał na stronieniu od ludzi! Jego przedziwny okręt służył nie tylko wypaczonemu instynktowi wolności, ale z pewnością był także narzędziem nieznanego, a straszliwego odwetu.

W tej chwili nic jeszcze nie było dla mnie jasne i dostrzegłem zaledwie niewyraźne światełka wśród tajemniczych mroków; muszę się zatem ograniczyć do pisania, że tak powiem, pod dyktandem wydarzeń.

Nic nas zresztą nie wiązało z kapitanem Nemo. Wiedział on dobrze, że ucieczka z „Nautilusa" była niemożliwa. Nie byliśmy nawet więźniami na słowo. Nie krępowało nas żadne zobowiązanie honorowe. Byliśmy tylko jeńcami, których przez pozorną kurtuazję nazywano gośćmi.

Ned Land nie porzucił nadziei odzyskania wolności. Wiedziałem, że skorzysta na pewno z pierwszej sposobności, jaka mu się nadarzy. I ja zamierzałem zrobić tak samo. A przecież nie bez pewnego żalu myślałem o czasach, gdy wspaniałomyślność kapitana Nemo pozwoliła nam przeniknąć tajniki „Nautilusa"! Sam nie wiem właściwie, czy należy nienawidzić tego człowieka, czy go podziwiać? Czy on sam był ofiarą, czy katem? Ponadto przyznam się, że przed opuszczeniem go na zawsze, chciałem jeszcze dokończyć tej podmorskiej podróży dookoła świata, której początek był tak wspaniały. Chciałem obejrzeć całość tych dziwów nagromadzonych pod powierzchnią mórz. Choćby mi przyszło przypłacić życiem ową nienasyconą żądzę poznania, chciałem przynajmniej zobaczyć to, czego dotychczas żaden jeszcze człowiek nie widział! Cóż bowiem odkryłem do tej chwili? Nic albo prawe nic, przecież przepłynęliśmy zaledwie sześć tysięcy mil po Oceanie Spokojnym.

A jednak czułem, że jeżeli „Nautilus" zbliży się do ziem zamieszkanych i jeżeli stanie przed nami jakaś niewielka choćby szansa ucieczki, to okrucieństwem byłoby poświęcać towarzyszy mojej osobistej pasji badacza. Trzeba będzie pójść za nimi, a może nawet poprowadzić ich. Ale czy taka sposobność kiedykolwiek się nadarzy?

Człowiek przemocą pozbawiony wolności zawsze szuka takiej okazji, lecz badacz chciwy wiedzy — raczej od niej ucieka.

Tego dnia, 21 stycznia 1868 roku, w samo południe, zastępca dowódcy statku wyszedł dla

dokonania pomiarów wysokości słońca. Wyszedłem i ja na pomost, zapaliłem cygaro i przypatrywałem się czynnościom oficera. Byłem pewien, że człowiek ten nie rozumie po francusku, ponieważ zrobiłem kilka głośnych uwag, które na pewno sprowokowałyby jakąś mimowolną reakcję z jego strony, gdyby je zrozumiał; pozostał jednak, jak zwykle, obojętny i milczący. Kiedy tak dokonywał swych obserwacji za pomocą sekstansu, jeden z marynarzy „Nautilusa" — ten sam olbrzym, który towarzyszył nam w czasie pierwszej wycieczki podmorskiej do lasów wyspy Crespo — przyszedł czyścić szyby reflektora. Przyjrzałem się dokładnie instalacji tego aparatu; siłę jego wzmacniał stokrotnie układ soczewek ustawionych jak w latarni morskiej i kierujących światło w żądaną stronę. Elektryczna lampa tak była skonstruowana, aby jej moc świetlna mogła być zużytkowana w całości. Światło mianowicie powstawało w próżni, co zapewniało mu stałość, a równocześnie intensywność. Próżnia oszczędzała poza tym grafitowe bieguny, między którymi powstawał łuk świetlny. Była to dla kapitana Nemo ważna oszczędność, niełatwo bowiem przy—szłoby mu wymienić grafity na nowe; w tych jednak warunkach zużycie ich było nieznaczne.

Kiedy „Nautilus" był już gotowy do dalszej podróży podwodnej, zszedłem do salonu. Zatrzaśnięto klapę włazu i statek pomknął prosto przed siebie.

Pruliśmy zatem wody Oceanu Indyjskiego. „Nautilus" płynął przeważnie na głębokości stu do dwustu metrów. Trwało tak kilka dni. Prawdopodobnie każdy uważałby te godziny za zbyt długie i jednostajne; dla mnie jednak, ogromnie już rozkochanego w morzu, owe codzienne przechadzki po pomoście, kiedy upajałem się ożywczym powietrzem oceanu, przypatrywanie się bogactwom wód poprzez szyby salonu, czytanie książek w bibliotece, spisywanie pamiętników — było zajęciem wystarczającym, pochłaniało cały mój czas i nie pozostawiało ani chwili na nudę.

Zdrowie dopisywało nam wszystkim doskonale. Tryb życia na pokładzie „Nautilusa" odpowiadał nam wyśmienicie i — jeżeli o mnie chodzi — nie trzeba mi było wcale tyle urozmaiceń, które usiłował wprowadzić Ned Land, zawsze kłótliwie usposobiony. W tej jednostajnej temperaturze nie potrzebowaliśmy obawiać się nawet zaziębienia. Zresztą na statku był znaczny zapas dendrophylei, znanej w Prowansji pod nazwą „morskiego kopru", mogącej w każdej chwili dostarczyć bardzo skutecznego lekarstwa przeciw kaszlowi.

Przez kilka dni widzieliśmy wielkie ilości ptaków wodnych, płetwonogich i mew. Niektóre z nich, zręcznie zestrzelone i odpowiednio przyrządzone, zaopatrzyły nas w wyborne mięso, przypominające w smaku dzikie ptactwo wodne.

Sieci „Nautilusa" przyniosły liczne odmiany żółwi morskich z gatunku karetów o wypukłym grzbiecie; skorupy ich są bardzo cenne. Gady te potrafią nurkować i długo wytrzymać pod wodą, zamykając mięsistą klapę, umieszczoną przy zewnętrznym wylocie kanału nosowego. Niektóre z nich, kiedy je złapano, spały jeszcze w swych skorupach pancernych, chroniących je przed morskimi drapieżnikami. Mięso tych żółwi nie było nadzwyczajne, ale za to jaja doskonałe.

Co do ryb, to zawsze wzbudzały one nasz zachwyt, gdy przez rozsunięte ściany statku podpatrywaliśmy tajemnice ich życia wodnego. Zauważyłem liczne gatunki, których dotychczas nie spotkaliśmy.

Wymienię przede wszystkim ostrygowate, spotykane jedynie na Morzu Czerwonym, na Oceanie Indyjskim i w tej części Atlantyku, która oblewa brzegi Afryki równikowej. Ryby te — podobnie jak żółwie, pancerniki, jeżówce i skorupiaki — chroni pancerz nie kredowy i nie kamienny, ale ościsty; przybiera on czasem kształt trójgraniastej, a czasem czworograniastej bryły.

Powołując się na codzienne notatki mości Conseila, wspomnę jeszcze o pewnych rybach z rodzaju rybojeżów, spotykanych na tych wodach; o spenglarach o czerwonym grzbiecie i białej piersi, z trzema podłużnie biegnącymi rzędami nitek; rybach „elektrycznych", długich na siedem cali, strojnych w najżywsze kolory. Z innych rodzajów przytoczę, „jajowate",

podobne do czarno–brunatnych jaj, pręgowane w białe pasy i pozbawione ogonów; diodony, prawdziwe morskie jeżówce, zbrojne w kolce i w umiejętność nadymania się w kształt kłębuszka najeżonego szpilkami; dalej koniki morskie, spotykane we wszystkich oceanach; latające pegazy o wydłużonych pyskach i bardzo szerokich, rozłożonych w kształt skrzydeł płetwach piersiowych, które pozwalają im, jeśli już nie latać, to w każdym razie wyskakiwać w powietrze; „gołębie kopystkowate", których ogon pokryty jest licznymi łuskowatymi ogniwkami, wspaniałe ryby o długich szczękach, mające dwadzieścia pięć centymetrów długości i połyskujące uroczymi barwami; sine kalimory o pomarszczonych głowach; miliardy skoczków czarno prążkowanych, wyposażonych w długie płetwy piersiowe, ślizgających się po powierzchni wody z niezmierną chyżością; żeglarki, które umieją podnosić płetwy jak żagle, aby wystawić je na działanie przychylnego prądu; widzieliśmy przepiękne kurty, które natura szczodrze obsypała barwą żółtą, błękitem, srebrem i złotem; skrzydłopłetwe, o skrzydłach utworzonych z włókienek; kolczugi wiecznie uwalane mułem i umiejące wydawać nieokreślone, podobne do szmerów odgłosy; trygle, których wątroba uchodzi za truciznę; bodiany, zaopatrzone w ruchome klapki nad oczami; wreszcie mieszki o długich i rurkowatych pyszczkach, istne muchołówki oceanu, zabijające owady za pomocą jednego uderzenia kroplą wody.

Z ryb należących do osiemdziesiątego dziewiątego rodzaju drugiej gromady ościstych według klasyfikacji Lacépede'a — wyróżniających się okrywą i błoną oskrzelową — zauważyłem skorpenę o głowie najeżonej kolcami i o jednej tylko płetwie grzbietowej; stworzenia te, zależnie od podrodzaju, do którego należą, mają drobniutką łuskę albo są jej pozbawione. Przykładów drugiego podrodzaju dostarczyły nam okazy dydaktylów, długich na trzy czy cztery decymetry, żółto pręgowanych z fantastycznie ukształtowanymi głowami. Jeżeli zaś chodzi o pierwszy podrodzaj, to dostarczył on wielu okazów owej dziwacznej ryby, zwanej słusznie „ropuchą morską"; jest to stworzenie o wielkiej głowie, już to pooranej głębokimi bruzdami, już to usianej guzami; cała ryba jeży się ościeniami i gruzełkami, ciało jej i ogon, zbrojne w szkaradne, niesymetryczne rogi, pokryte są naroślami; jej kolce zadają niebezpieczne rany; obrzydliwa to ryba i straszna.

Od 21 do 23 stycznia „Nautilus" płynął z przeciętną szybkością pięciuset trzydziestu mil na dobę, znaczy dwudziestu dwóch mil na godzinę. Jeżeli mogliśmy po drodze rozpoznać poszczególne odmiany ryb, to tylko dlatego, że zwabione elektrycznym blaskiem, starały się nam towarzyszyć. Większość zresztą pozostawała rychło w tyle, nie mogąc dorównać naszej szybkości. Niektórym jednak udawało się przez jakiś czas płynąć obok „Nautilusa".

24 stycznia rano pod 12°05' szerokości południowej i pod 94°33' długości ujrzeliśmy koralowe wyspy Keeling pokryte wspaniałymi palmami kokosowymi; zwiedził je w swoim czasie Darwin i kapitan Fitz–Roy. „Nautilus'" minął te wyspy w niewielkiej odległości od ich stromych brzegów. Zarzucone włoki przyniosły nam liczne okazy polipów i szkarłupni oraz ciekawe skorupiaki należące do działu mięczaków. Wkrótce wyspy Keeling znikły za horyzontem, a kurs nasz zmienił się na północno–zachodni ku cyplowi Półwyspu Indyjskiego.

— To już kraj cywilizowany — powiedział tego dnia Ned Land — a nie owe wyspy Papuasów, gdzie spotkać można więcej dzikich niż dziczyzny. Na Półwyspie Indyjskim, panie profesorze, są już drogi, koleje, miasta angielskie, francuskie i hinduskie. Wystarczy przejść pięć mil, żeby się natknąć na rodaka. He, he, panie profesorze! Czy nie nadszedł już moment, aby gwizdnąć na gościnność tego całego kapitana Nemo?

— Nie, nie, Nedzie — odparłem bardzo stanowczo. — Pozostawmy rzeczy ich biegowi. „Nautilus" zbliża się do lądów zamieszkanych. Wraca do Europy — niechże nas tam wiezie. Gdy już będziemy na naszych wodach, zobaczymy, co się da zrobić. Nie przypuszczam zresztą, żeby kapitan Nemo pozwolił nam zapolować na Wybrzeżu Malabarskim albo Koromandelskim równie swobodnie, jak w lasach Nowej Gwinei.

— Ale czy nie można by, panie profesorze, obyć się bez jego pozwolenia?

Zamilkłem. Nie chciałem wdawać się w dyskusję. W gruncie rzeczy marzyłem o tym, aby wyzyskać do końca to zrządzenie losu, który rzucił mnie na pokład „Nautilusa”.

Od wysp Keeling szybkość nasza znacznie zmalała. Zapuszczaliśmy się, jak gdyby dla kaprysu, na znaczne nieraz głębokości. Wielokrotnie użyto sterów wysokościowych, które za pomocą dźwigni, poruszanych wewnątrz statku, mogły ustawić się ukośnie do linii zanurzenia. Zanurzaliśmy się do dwóch i trzech kilometrów, nigdy jednak nie potrafiliśmy sprawdzić, jak wielka jest głębokość Oceanu Indyjskiego; nie mogły jej zgłębić nawet trzynastokilometrowe sondy. Co do temperatury, to na wielkich głębokościach termometry wskazywały niezmiennie cztery stopnie powyżej zera. Zauważyłem tylko, że w warstwach wyższych woda była zawsze zimniejsza na płyciznach niż na pełnym morzu.

25 stycznia ocean był najzupełniej pusty. Przez cały dzień „Nautilus” płynął po jego powierzchni, rozbijając fale swą potężną śrubą i wyrzucając wodę na znaczną wysokość. Jakże w tych warunkach nie miano go brać za gigantycznego wieloryba?

Trzy czwarte dnia spędziłem na pomoście. Obserwowałem morze. Horyzont był jednak pusty, jeżeli nie brać pod uwagę długiego parowca, który około czwartej po południu ukazał się na zachodzie, płynąc szybko w kierunku przeciwnym naszemu. Przez chwilę mignęły jego maszty, ze statku jednak nie można nas było dostrzec, „Nautilus” bowiem wynurzał się niewiele ponad powierzchnię wody. Mam wrażenie, że parowiec ten należał do Linii Żeglugowej Półwyspu i Dalekiego Wschodu, utrzymującej komunikację między Cejlonem a Sydney, zahaczając po drodze o Cypel Króla Jerzego i Melbourne.

O godzinie piątej wieczorem — zanim zapadł ów nagły zmierzch łączący w strefach podzwrotnikowych dzień z nocą — pewne ciekawe zjawisko oczarowało Conseila i mnie.

Istnieje mianowicie urocze zwierzątko, z którym spotkanie już starożytni poczytywali za dobrą wróżbę. Arystoteles, Ateneusz, Pliniusz i Oppienus* dokonali badań jego zwyczajów i upodobań i pod tym względem wyczerpali chyba cały zmysł poetycki i zdolność fantazjowania uczonych Grecji i Italii. Nazywali je „nautilus” albo „pompylius”. Współczesna nauka nie przyjęła jednak tych nazw. Mięczak ów znany jest obecnie pod imieniem „argonauty”. Otóż po powierzchni oceanu płynęła właśnie cała gromada takich argonautów. Moglibyśmy ich naliczyć kilka setek. Należały do gatunku argonautów, właściwych wodom indyjskim.

Piękne te mięczaki płynęły tyłem, posługując się rurką, przez którą wyrzucały wciąganą uprzednio wodę. Z ośmiu macek sześć długich i cienkich poruszało się na wodzie, pozostałe zaś dwie, zaokrąglone płetwowato, rozpięte były na wiatr niby leciutkie żagle. Widziałem dokładnie ich pofałdowaną, spiralną muszlę, którą Cuvier* słusznie przyrównywał do zgrabnej szalupy. Istotnie muszla ich wyglądała jak prawdziwy statek. Okręcik ten unosi stworzonko, które go wytworzyło, choć na stałe doń nie przywiera.

— Argonauta może porzucić swoją skorupę — rzekłem do Conseila — nigdy jednak tego nie czyni.

— Tak samo postępuje kapitan Nemo — zauważył roztropnie Conseil. — Lepiej by też zrobił, gdyby swój statek nazwał „Argonautą”.

„Nautilus” płynął blisko godzinę wśród tej gromady mięczaków. Potem coś je nagle przestraszyło. Jakby na dany sygnał zniknęły wszystkie żagielki, macki złożyły się, ciała skurczyły, muszle odwracając się zmieniły swój środek ciężkości i cała flotylla znikła pod wodą. Stało się to w jednej chwili i eskadra okrętów nie mogłaby się pochwalić tak składnym manewrem. W tej chwili błyskawicznie zapadła noc; fale, zaledwie poruszane łag&dnym wietrzykiem, układały się spokojnie wzdłuż boków „Nautilusa”.

Nazajutrz, 26 stycznia, przecięliśmy równik pod osiemdziesiątym drugim południkiem,

---

* Oppienus — grecki poeta z II w. n. e., autor poematów pt. „Łowiectwo” i „Rybołówstwo”

* Cuvier Jean (1769–1832) — słynny przyrodnik francuski, autor wielu prac naukowych z zakresu anatomii porównawczej

wpływając na półkulę północną.

W dniu tym towarzyszyła nam przez jakiś czas olbrzymia gromada rekinów. Wody, po których teraz płynęliśmy, są przez to bardzo niebezpieczne. Były tam żarlacze Philipsa o brunatnych grzbietach i białawych brzuchach, uzbrojone w jedenaście rzędów zębów; dalej żarłacze–oczkowce, które mają na szyi wielką, czarną plamę z białą obwódką, przypominającą oko, i żarłacze izabelowate o paszczach zaokrąglonych, usianych ciemnymi plamkami. Potężne te zwierzęta rzucały się często ku szybie salonu z niepokojącą gwałtownością. W takich chwilach Ned Land omal nie tracił panowania nad sobą. Chciał wypłynąć na powierzchnię i pozakłuwać harpunem wszystkie te potwory, a zwłaszcza rekiny „squalsemissoles", których paszcze są po prostu wyłożone zębami niby mozaiką, i rekiny–tygrysy, długie na pięć metrów, szczególnie napastliwe. Wkrótce jednak „Nautilus" powiększył szybkość i z łatwością zostawił daleko poza sobą najśmiglejsze nawet żarłacze.

27 stycznia, w samym środku rozległej Zatoki Bengalskiej byliśmy świadkami smutnego widoku — po powierzchni morza pływały trupy. Byli to ludzie zmarli w miastach hinduskich, których wrzucano do Gangesu, a rzeka unosiła ich aż tu, na pełne morze; nie zdołały ich jeszcze pożreć sępy, jedyni grabarze w tym kraju. Nie brakło i rekinów do pomocy w tej żałobnej posłudze.

Około siódmej wieczorem „Nautilus", wynurzywszy się do połowy, zdawał się płynąć po morzu z mleka. Jak okiem sięgnąć, ocean stał się mlecznobiały. Byłoż to złudzenie wywołane promieniami księżyca? Nie, gdyż młody dwudniowy dopiero księżyc krył się jeszcze za horyzontem w promieniach słonecznych. Całe niebo, choć rozświetlone nieco blaskiem gwiazd, wydawało się jednak czarne w porównaniu z białością wody.

Conseil nie wierzył własnym oczom i zapytywał mnie o przyczyny tego dziwnego zjawiska. Szczęściem potrafiłem udzielić mu objaśnień.

— Nazywają to „mlecznym morzem": białe wody widuje się często na wielkich przestrzeniach w pobliżu brzegów Amboine* i w okolicach tych mórz, po których właśnie płyniemy.

— Ale może pan profesor byłby łaskaw mi wytłumaczyć — nalegał Conseil — z czego ta barwa pochodzi, bo przecież woda nie zmieniła się chyba w mleko.

— Oczywiście, że nie — odpowiedziałem. — Tę białość, która cię zdumiewa, zawdzięcza woda obecności miliardów wymoczków, jak gdyby malutkich robaczków świętojańskich, z wyglądu galaretowatych i pozornie bezbarwnych, grubości włosa i długości nie przekraczającej jednej piątej milimetra. Czasami wymoczki te przywierają do siebie na przestrzeni wielu mil.

— Wielu mil! — zdumiał się Conseil.

— Tak, mój kochany. Ale nie próbuj nawet ustalić liczby tych żyjątek! Nie uda ci się to na pewno, bo jeśli się nie mylę, byli żeglarze, którzy płynęli „mlecznym morzem" na przestrzeni wynoszącej ponad czterdzieści mil.

Wiele jeszcze godzin pruł „Nautilus" swoim dziobem białawe fale; zauważyłem, że na tej mydlanej wodzie ślizgał się bezszelestnie, jak gdyby płynął po pianie, którą niekiedy zostawiają w zatokach ścierające się ze sobą prądy i przeciwprądy.

Około północy morze przybrało nagle swój zwykły wygląd, choć za nami, aż po krańce widnokręgu, niebo odbijało białość wody i długo jeszcze nam się wydawało, że zabarwione jest nieokreślonymi blaskami zorzy polarnej.

---

* Amboine — jedna z wysp archipelagu Moluki na Oceanie Spokojnym

Rozdział II
Nowa propozycja kapitana Nemo

Kiedy 28 stycznia w południe „Nautilus” wypłynął na powierzchnię morza pod 9°04’ szerokości północnej, o osiem mil na zachód od niego widać było ziemię. Przypatrywałem się temu zgrupowaniu wzgórz, sięgających dwóch tysięcy stóp, a odznaczających się niezwykłością kształtów. Po dokonaniu pomiarów zszedłem do salonu i kiedy nasze położenie ustalone zostało na mapie, dowiedziałem się, że mamy przed sobą Cejlon, ową perłę zwisającą u konchy Półwyspu Indyjskiego.

Udałem się do biblioteki, aby wyszukać sobie jakąś książkę traktującą o tej wyspie, jednej z najżyźniejszych na świecie. Udało mi się znaleźć tom zatytułowany „Cejlon i Cejlończycy” pióra Anglika Sirra. Powróciwszy do salonu, zanotowałem przede wszystkim położenie geograficzne wyspy, którą tak różnymi nazwami chrzcili już starożytni. Cejlon rozciąga się pomiędzy 5°55’ a 9°49’ szerokości północnej i 7.9°42’ a 82°04’ długości na wschód od południka Greenwich; długość wyspy wynosi dwieście siedemdziesiąt pięć mil, największa szerokość sto pięćdziesiąt mil, obwód dziewięćset mil, a powierzchnia około siedemdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli niewiele mniej od powierzchni Irlandii.

W tej chwili ukazał się kapitan Nemo wraz ze swym zastępcą. Rzucił okiem na mapę i zwrócił się do mnie:

— Wyspa Cejlon słynie ze swych pereł, panie profesorze. Czy zechciałby pan zwiedzić jedno z takich miejsc połowu?

— Bez wątpienia, panie kapitanie.

— Dobrze. Nie będzie to rzeczą trudną. Uprzedzam jednak, że choć zobaczymy owe miejsca, nie będziemy widzieli samych poławiaczy. Doroczna eksploatacja jeszcze się nie rozpoczęła. Mniejsza o to! Każę wpłynąć do zatoki Mannar. Dobijemy tam jeszcze tej nocy.

Tu kapitan szepnął kilka słów porucznikowi, który natychmiast wyszedł. „Nautiius” zanurzył się w swój płynny żywioł i wkrótce manometr wskazał głębokość trzydziestu stóp.

Odszukałem na mapie zatokę Mannar. Znalazłem ją pod dziewiątym równoleżnikiem, na północno–zachodnim wybrzeżu Cejlonu. Tworzyła ją wydłużana linia brzegu malutkiej wysepki Mannar. Aby się tam dostać, należało popłynąć wzdłuż całego zachodniego wybrzeża Cejlonu.

— Panie profesorze — odezwał się kapitan Nemo. — Perły łowi się w Zatoce Bengalskiej, na Oceanie Indyjskim, w morzach Chińskim i Japońskim, w Zatoce Panamskiej i w Zatoce Kalifornijskiej; nigdzie jednak rezultaty połowów nie są tak wspaniałe jak na Cejlonie. Jesteśmy tu, co prawda, nieco za wcześnie; w zatoce Mannar zbierają się poławiacze dopiero w marcu, aby w ciągu trzydziestu dni za pomocą trzystu niewielkich statków uprawiać tę popłatną eksploatację skarbów morza. W każdym stateczku siedzi dziesięciu wioślarzy i dziesięciu poławiaczy. Poławiacze, podzieleni na dwie grupy, nurkują na zmianę, opuszczając się na głębokość dwunastu metrów za pomocą ciężkiego kamienia, ściskanego między stopami. Kamień ten przymocowuje się sznurem do statku.

— Więc ciągle jeszcze — zapytałem — jest w użyciu ten prymitywny sposób?

— Ciągle, panie profesorze, mimo że prawa do tych połowów należą do najbardziej uprzemysłowionego kraju na świecie, mianowicie do Anglii, która uzyskała je na podstawie traktatu w Amiens w 1802 roku.

— A przecież wydaje mi się, że taki skafander, jakiego pan używa, oddałby duże usługi przy połowach.

— Oczywiście, ci biedacy nie mogą długo wytrzymać pod wodą. Anglik Perceval opowiada wprawdzie, że w czasie podróży po Cejlonie spotkał pewnego Kafra, który potrafił rzekomo wytrzymać pięć minut pod wodą, ale wydaje mi się to mało prawdopodobne. Wiem,

że niektórym nurkom udaje się zatrzymać oddech do pięćdziesięciu siedmiu sekund, a najbieglejszym — do osiemdziesięciu siedmiu sekund. Na ogół jednak jest to rzadkością; a gdy wracają do łodzi, z nosa i uszu wylewa się tym nieszczęśliwcom woda zabarwiona krwią. Mam wrażenie, że przeciętnie mogą oni wytrzymać pod wodą trzydzieści sekund i w tym czasie starają się zebrać do niewielkiej siatki tyle ostryg perłowych, ile tylko uda się im oderwać od skał. Na ogół poławiacze żyją krótko; wzrok im słabnie, oczy zaczynają ropieć, ciało pokrywa się ranami, bywa nawet, że giną na dnie morza rażeni apopleksją.

— Smutny to zawód — przyznałem — a służy jedynie do zaspokojenia zachcianek mody! Ale proszę mi powiedzieć, panie kapitanie, ile ostryg może wyłowić jeden statek w ciągu dnia?

— Czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy mniej więcej. Mówią nawet, że kiedy w 1814 roku rząd angielski zorganizował połów na własny rachunek, nurkowie wydobyli w ciągu dwudziestu dni pracy siedemdziesiąt sześć milionów perłopławów.

— Czy przynajmniej poławiacze ci są odpowiednio wynagradzani? — zapytałem.

— Bardzo nędznie, panie profesorze. W Panamie zarabiają zaledwie dolara tygodniowo. Najczęściej dostają pięć centymów od muszli zawierającej perłę, a ileż to wyłowią pustych!

— Pięć centymów dla tych biedaków! Dla nich, którzy wzbogacają tak bez miary swych pracodawców! Ależ to haniebne!

— Tak więc, panie profesorze — rzekł kapitan — pan i pańscy towarzysze zwiedzicie ławicę Mannar, a jeżeli przypadkiem znajdzie się tam również jakiś przedwczesny poławiacz, to przyjrzymy się jego pracy.

— Świetnie, panie kapitanie!

— Ale, ale, panie profesorze! Czy nie obawia się pan rekinów?

— Rekinów?! — wykrzyknąłem. Pytanie wydawało mi się co najmniej niewłaściwe.

— A więc? — powtórzył kapitan.

— Przyznam się, panie kapitanie, że nie bardzo jestem za pan brat z rybkami tego rodzaju.

— My wszyscy jesteśmy już z nimi oswojeni — rzekł na to kapitan. — Z czasem i pan do nich przywyknie. Zresztą będziemy uzbrojeni i być może, że po drodze upolujemy jakiego żarłacza. To bardzo interesujące polowanie. No, do jutra, panie profesorze. Do jutra o świcie!

Powiedziawszy to swobodnym tonem, kapitan Nemo opuścił salon.

Gdyby cię, czytelniku, zaproszono na polowanie na niedźwiedzie w górach szwajcarskich, odpowiedziałbyś może: „Doskonale! Jutro pójdziemy polować na niedźwiedzie”.

Gdyby ci zaproponowano polowanie na lwy na stokach Atlasu albo na tygrysy w dżunglach Indii — powiedziałbyś prawdopodobnie: „No, dobrze. Chyba zapolujemy na lwa albo tygrysa!” Ale gdyby cię zaproszono na polowanie na rekiny, i to w ich przyrodzonym żywiole, z pewnością zażądałbyś chwili namysłu przed Przyjęciem zaproszenia.

Co do mnie, to podniosłem rękę do czoła, na którym perliły się krople zimnego potu.

— Zastanówmy się — rzekłem do siebie. — Tylko bez pośpiechu! Polować na wydry w puszczach podmorskich, jak to było w lasach wyspy Crespo — jeszcze ujdzie. Ale wałęsać się po dnie morskim w tym przeświadczeniu, że się człowiek natknie na rekiny — to już zupełnie co innego! Wiem wprawdzie, że w niektórych krajach, zwłaszcza na Wyspach Andamańskich, tubylcy nie; wahają się atakować rekina ze sztyletem w jednej ręce i sznurową pętlą w drugiej, ale wiem także, jak wielu z nich nie powraca; z takich wypraw. Zresztą nie jestem przecież Andamaninem, a gdybym nawet i był nim, to chwilka namysłu bardzo by się w takim wypadku przydała!

Tu oddałem się rozmyślaniom o rekinach, o ich szczękach uzbrojonych w wiele rzędów zębów, zdolnych przeciąć człowieka na pół. Czułem już jakiś ból w krzyżach. Przy tym wszystkim nie potrafiłem strawić owej beztroski, z jaką kapitan wygłosił to nieszczęsne zaproszenie! Mogłoby się zdawać, że chodzi o jakieś najzwyklejsze w świecie polowanie na niewinnego lisa! „A zresztą, niech tam — pomyślałem sobie. — Conseil nigdy nie zgodzi się

na taką wyprawę, a to zwolni mnie od towarzyszenia kapitanowi”.

Jeśli chodzi o Neda Landa, przyznaję, że nie byłem tak pewien jego rozsądku. Im większe było niebezpieczeństwo, tym bardziej pociągało tę wojowniczą naturę.

Zabrałem się z powrotem do lektury książki Sirra, ale odwracałem tylko machinalnie kartki. Między wierszami widziałem potwornie porozwierane szczęki.

W tej chwili wszedł Conseil z Nedem; obaj spokojni, a nawet z wesołymi minami. Nie wiedzieli, co ich czeka.

— Wie pan co, panie profesorze? — rzekł Ned Land. — Ten pański kapitan Nemo (niech go diabli wezmą!) zrobił nam przed chwilą bardzo uprzejmą propozycję.

— Ach… Więc już wiecie?…

— Z przeproszeniem pana profesora — rzekł Conseil. — Dowódca „Nautilusa” zaprosił nas na jutro na zwiedzenie, razem z panem profesorem, wspaniałych cejlońskich ławic perłowych. Zrobił to w bardzo miłej formie i zachował się jak prawdziwy dżentelmen.

— I nic więcej wam nie powiedział?

— Nic, proszę pana — odparł Kanadyjczyk. — Chyba to, że i panu już wspomniał o tej malej przechadzce.

— Rzeczywiście — przyznałem. — A czy nie było mowy o żadnych szczegółach tej przechadzki? — Nie, panie profesorze. Pójdzie pan z nami, prawda?

— Ja?… No, oczywiście… Widzę, że się wam to bardzo podoba,

panie Land!

— O, to bardzo ciekawe, panie profesorze, bardzo ciekawe!

— Może i niebezpieczne — wtrąciłem znacząco.

— Niebezpieczne?! — oburzył się Ned Land. — Przecież to zwykły spacerek po ławicy perłopławów!

Zapewne kapitan Nemo uznał za zbyteczne wspomnieć moim towarzyszom o rekinach. Co do mnie, patrzyłem na nich przerażonym wzrokiem, jak gdyby już im brakowało którejś ręki lub nogi. Czy powinienem ich ostrzec? Niewątpliwie tak, choć właściwie nie bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać.

— Panie profesorze — odezwał się Conseil — czy pan profesor nie zechciałby nam udzielić kilku informacji na temat połowu pereł?

— Na temat samego połowu — spytałem — czy też wypadków, które…

— Samego połowu — odpowiedział Kanadyjczyk. — Dobrze jest wiedzieć coś niecoś o terenie, po którym ma się chodzić.

— No, to siadajcie, kochani przyjaciele. Dowiecie się tego wszystkiego, czego ja sam dowiedziałem się przed chwilą od Sirra.

Ned i Conseil rozsiedli się na jednej z sof. Kanadyjczyk zapytał:

— Przede wszystkim, panie profesorze, co to jest perła?

— Kochany mój Nedzie — odpowiedziałem — dla poety perła jest łzą morza; dla ludów Wschodu jest zastygłą kroplą rosy; dla kobiet to po prostu klejnot o owalnym kształcie, szklistym połysku i mlecznej barwie, noszony na palcu, na szyi lub w uchu; dla chemika jest to mieszanka fosforanu i węglanu wapnia z odrobiną żelatyny; wreszcie dla przyrodnika perła jest po prostu patologiczną wydzieliną macicy perłowej pewnych mięczaków dwuskorupnych.

— Typ mięczaków — wtrącił Conseil — gromada małżów, rodzina perłopławów.

— Tak — ciągnąłem — właściwym mięczakiem, który wydziela perłę, jest perłopław, bardzo ceniony, zwany „perliczką”. Sama Perła jest tylko wydzieliną formującą się w kształt kulisty. Albo przylega ona do muszli, albo wpija się w ciało małża. Perła przywiera ściśle do muszli, natomiast w ciele mięczaka jest całkiem samodzielna. Zawsze jednak zawiązkiem jej jest jakieś niewielkie, twarde ciało, jak na przykład nie zapłodnione jajeczko albo ziarno piasku, wokół którego masa perłowa układa się przez wiele lat, narastając z wolna cienkimi,

koncentrycznymi warstwami.

— Czy zdarza się po kilka pereł w jednej skorupie? — zapytał Conseil.

— Tak, mój kochany. Bywają „perliczki” — istne szkatułki klejnotów. Podobno istniał nawet perłopław, który — choć nie bardzo w to wierzę — zawierał ni mniej, ni więcej tylko sto pięćdziesiąt rekinów.

— Sto pięćdziesiąt rekinów?! — wykrzyknął Ned Land.

— Powiedziałem „rekinów”? — zapytałem. Chciałem powiedzieć sto pięćdziesiąt pereł. „Rekinów” nie miałoby najmniejszego sensu.

— No, właśnie. Ale może pan profesor powie nam teraz, jakim sposobem wydobywa się te perły?

— Robi się to rozmaicie; często nawet, kiedy perły przywierają mocno do skorupy, poławiacz odrywa je szczypcami. Zwykle jednak rozkłada się „perliczki” na matach rozciągniętych wzdłuż wybrzeża. Tam mięczaki, pozbawione wody, zamierają, a po upływie mniej więcej dziesięciu dni znajdują się już w odpowiednim stanie rozkładu. Wtedy zanurza się je w wielkich zbiornikach wody morskiej, otwiera i przemywa. Rozpoczyna się teraz podwójna praca. Przede wszystkim oddziela się płaty masy perłowej, znane w handlu pod nazwami srebrzanki, szczepionki (mieszanki) białej i szczepionki czarnej, dostarczane w skrzyniach po sto dwadzieścia pięć i sto pięćdziesiąt kilogramów. Następnie oddziela się miękkie części małżów, rozgotowuje i przepuszcza przez sita, aby wydobyć nawet najdrobniejsze, perły.

— Cena tych pereł waha się oczywiście zależnie od wielkości? — zapytał Conseil.

— Nie tylko od wielkości — odparłem. — Cena zależy także od ich kształtu, „wody”, to jest koloru, wreszcie „gry”, której różnorodność daje tak wspaniałe wzrokowe efekty. Najpiękniejsze perły nazywa się „dziewiczymi” albo „wzorowymi”; w tkance mięczaka tworzą się one samotnie; są białe, często matowe, choć bywają i przezroczyste z opałowym połyskiem; kształt ich jest przeważnie kulisty lub owalny. Jako najkosztowniejsze, sprzedaje się je na sztuki. Inne perły przywierają do muszli, są mniej kształtne i sprzedaje się je na wagę. Wreszcie do najpośledniejszych należą malutkie perełki, zwane ziarnkami.

— No, dobrze — odezwał się Conseil. — Ale czy taki połów pereł jest niebezpieczny?

— Nie — odpowiedziałem szybko. — Zwłaszcza jeśli się przedsięweźmie odpowiednie środki ostrożności.

— A cóż może grozić przy tej robocie? — zapytał Ned. — Chyba to, że się można nałykać trochę słonej wody!

— Otóż to, Nedzie. Ale, ale — dodałem usiłując naśladować swobodny ton kapitana Nemo. — Czy nie boicie się, kochany Nedzie, rekinów?

— Ja? — zdziwił się Kanadyjczyk. — Zawodowy harpunnik? Przecież to moje codzienne rzemiosło! Drwię sobie z nich!

— Ale tu nie chodzi — przerwałem — o to, by złowić je na obręcz, wywindować na pokład, odciąć ogon jednym zamachem siekiery albo rozpłatać brzuch, wyjąć wnętrzności i wyrzucić do morza!

— A więc chodzi o…?

— Tak, tak właśnie.

— W wodzie?

— W wodzie.

— Phi! Jeśli się ma dobry harpun, panie profesorze, te rekiny to właściwie niezdarne bydlaki! Zanim pana capnie, musi się taki odwrócić na grzbiet, a przez ten czas…

Słowo „capnie” wymawiał Ned Land w sposób, który wywoływał gęsią skórkę.

— No, a ty, Conseil, co myślisz o żarłaczach?

— Ja? — powtórzył Conseil. — Powiem panu profesorowi najzupełniej szczerze…

„No!” — pomyślałem z ulgą.

Jeśli pan profesor ma zamiar stawić czoło rekinom — oświadczył Conseil — to nie widzę powodu, dla którego nie miałby im stawić czoła także wierny sługa pana profesora!

Rozdział III
Perła warta dziesięć milionów

Nadeszła noc. Położyłem się spać. Spałem niedobrze. W moich snach żarłacze grały główną rolę i byłem zdania, że bardzo trafna i zarazem nietrafna jest owa zmyślona etymologia*, według której słowo rekin pochodzi od requiem*. Nazajutrz nad ranem obudził mnie steward, którego kapitan Nemo przydzielił mi do usług.

Szybko wstałem, ubrałem się i przeszedłem do salonu.

Kapitan Nemo już mnie oczekiwał.

— Czy jest pan gotów do drogi, panie profesorze? — zapytał.

— Gotów, panie kapitanie.

— Wobec tego proszę za mną.

— A moi towarzysze?

— Już na nas czekają.

—, Czy nie włożymy skafandrów? — zapytałem.

— Jeszcze nie. Wydałem polecenie, aby „Nautilus" nie zbliżał się zanadto do brzegu, jesteśmy więc teraz dość daleko od ławicy Mannar. Kazałem jednak przygotować łódź, która zawiezie nas na samo miejsce i oszczędzi zbyt długiej wędrówki. W łodzi są również nasze skafandry, które włożymy dopiero w chwili, kiedy rozpocznie się nasza wyprawa podmorska.

Kapitan Nemo poprowadził mnie ku środkowym schodom, których stopnie docierały do pomostu. Ned Land i Conseil już tam byli, w podnieceniu gotując się do niezwykłej wycieczki. W łodzi, przycumowanej do statku, czekało nas pięciu marynarzy „Nautilusa" z wiosłami w rękach.

Noc była jeszcze ciemna. Niebo zakrywały warstwy chmur, gdzieniegdzie zaledwie można było dojrzeć gwiazdy. Zwróciłem oczy w stronę lądu; spostrzegłem jednak tylko mglisty zarys zamykający trzy czwarte widnokręgu od południa ku północnemu zachodowi. „Nautilus" przepłynął nocą wzdłuż całego zachodniego wybrzeża Cejlonu i teraz znajdował się na zachód od zatoki czy raczej cieśniny, która oddziela tę wyspę od wysepki Mannar. Tu właśnie pod mrocznymi wodami ciągnęła się ławica „perliczek", owo niewyczerpane pole perłowe o długości wynoszącej ponad dziesięć mil.

Kapitan Nemo, Conseil, Ned Land i ja usadowiliśmy się w tyle lodzi. Bosman zajął miejsce przy sterze; czterej marynarze pochylili się nad wiosłami; odcumowana łódka śmignęła po wodzie.

Skierowaliśmy się ku południowi. Wioślarze nie kwapili się zbytnio. Zauważyłem, że wiosła ich, zanurzane głęboko, uderzały wodę dokładnie co dziesięć sekund: system ten jest ogólnie przyjęty w marynarce wojennej. Kiedy tak łódź płynęła swoim szlakiem, kropelki wody rozpryskiwały się o czarne fale jak roztopiony ołów; łagodny wietrzyk, wiejący od strony otwartego morza, lekko kołysał łodzią, a grzebienie niewielkich fal pluskały z cicha pod dziobem.

Milczeliśmy. Nad czym rozmyślał kapitan Nemo? Może myślał o ziemi, do której teraz podpływa? Może wydawała mu się zbyt bliską — w przeciwieństwie do Kanadyjczyka, który uważał, że jest jeszcze zbyt odległa. Co do Conseila, to powodowała nim zwykła ciekawość.

Około pół do szóstej, w pierwszym brzasku zarysowały się wyraźnie kontury wybrzeża. Brzeg, stosunkowo płaski na wschodzie, wznosił się nieco ku południowi. Dzieliło nas od niego jeszcze około dwóch mil; zarys wybrzeża zacierał się w mgle unoszącej się nad

---

* etymologia — pochodzenie wyrazu

* …pochodzi od requiem — kościelna pieśń żałobna zaczyna się od słów Requiem aeternam dona ei, Domine, to znaczy „odpoczynek wieczny daj mu, Panie". Requies znaczy zatem „odpoczynek" i jednocześnie przywodzi na myśl pieśń żałobną

wodami. Morze było zupełnie puste. Ani statków, ani nurków. W tym punkcie zbornym poławiaczy pereł panowała głęboka cisza. Jak kapitan Nemo słusznie zauważył, przybywaliśmy w te strony o miesiąc za wcześnie.

O szóstej rozjaśniło się nagle i nastał dzień z błyskawiczną szybkością, właściwą podzwrotnikowym okolicom, które nie znają ani świtu, ani zmierzchu. Promienie słońca przebiły zasłonę nagromadzonych na wschodzie chmur i płomienna gwiazda wzniosła się nad widnokręgiem.

Ujrzałem wyraźnie ziemię; tu i ówdzie rosły drzewa. Łódź skierowała się ku wysepce Mannar, widniejącej na południu. Kapitan Nemo uniósł się z ławki i spojrzał na morze.

Na jego znak rzucono kotwicę, łańcuch jednak ledwo się wysunął, bo dno wznosiło się w tym miejscu i tylko metr dzielił je od powierzchni wody; był to jeden z najwyższych punktów ławicy perłowej. Łódź wykręciła się natychmiast, spychana odpływem w kierunku otwartego morza.

— Jesteśmy na miejscu, panie profesorze — odezwał się kapitan Nemo. — Widzi pan tę wąską zatoczkę? Tu właśnie zgromadzą ‘S się za miesiąc liczne statki poławiaczy i wody te zaczną odważnie przeszukiwać najemni nurkowe. Zatoka leży bardzo dogodnie dla tego rodzaju połowów. Osłoniona jest od zbyt silnych wiatrów i morze nigdy nie jest tu mocno wzburzone, co bardzo przeszkadzałoby nurkom w pracy. A teraz włożymy skafandry i rozpoczniemy nasz spacer.

Nic na to nie odpowiedziałem. Patrząc niespokojnie na podejrzane wody, zacząłem przy pomocy marynarzy przywdziewać ciężki strój nurka. Kapitan Nemo i moi dwaj towarzysze ubierali się także. Nikt z załogi „Nautilusa” nie miał nam towarzyszyć w dzisiejszej wycieczce.

Wkrótce byliśmy już po szyje uwięzieni w kauczukowych strojach. Na plecach umieszczono nam przymocowane na szelkach aparaty z powietrzem. Nie zauważyłem natomiast aparatów Ruhmkorffa. Nie wkładając jeszcze głowy w miedzianą banię, zwróciłem kapitanowi uwagę na ten brak.

— Aparaty te są zbyteczne — odparł kapitan. — Nie opuścimy się na wielkie głębie, a zatem promienie słońca oświetlą nam dostatecznie drogę. Nie byłoby zresztą roztropnie zabierać reflektory elektryczne pod te właśnie wody. Blask ich mógłby niespodziewanie przyciągnąć niejednego mieszkańca tych mórz.

Kiedy kapitan wymawiał te słowa, odwróciłem się do Conseila i Neda Landa; obaj przyjaciele mieli już jednak głowy zamknięte w metalowych baniach i nie mogli ani nas słyszeć, ani nam odpowiedzieć. Zwróciłem się do kapitana z jednym jeszcze pytaniem:

— A nasza broń, nasze strzelby?

— Strzelby? A po co? Czyż wasi górale nie idą na niedźwiedzia ze sztyletem w dłoni? Czy stal nie jest pewniejsza od ołowiu? Proszę, oto niezłe ostrze. Niech je pan zatknie za pas, panie profesorze, i ruszajmy!

Spojrzałem na mych towarzyszy. Uzbrojeni byli tak, jak my, a ponadto Ned Land wywijał tęgim harpunem, zabranym do łodzi z pokładu „Nautilusa”.

Za przykładem kapitana dałem sobie włożyć na głowę ciężką mosiężną kulę i natychmiast poczułem, że zbiorniki powietrza zaczęły pracować.

W chwilę później marynarze wysadzili nas jednego po drugim na gładkie, piaszczyste dno, na głębokości zaledwie półtora metra. Kapitan Nemo dał znak ręką, żeby iść za nim i, zstępując po łagodnej pochyłości, zniknęliśmy wkrótce pod falami.

Opuściły mnie tu wszystkie czarne myśli. W zadziwiający sposób powrócił mi spokój. Łatwość ruchów wzmogła zaufanie do siebie samego, a roztaczające się przede mną dziwy przykuły uwagę i uwięziły wyobraźnię.

Słońce świeciło już dostatecznie mocno; najdrobniejsze nawet przedmioty były doskonale widoczne. Po dziesięciu minutach marszu znaleźliśmy się na głębokości pięciu metrów, a

spadzistość zmalała prawie zupełnie.

Jak stada bekasów nad moczarami, zrywały się przed nami chmary mało znanych ryb rodzaju jednopłetwych, posiadających jedną tylko płetwę ogonową. Rozpoznałem od razu „jawajczyka”, istnego węża o długości ośmiu decymetrów i sinawym brzuchu, gdyby nie złote pasy na bokach, można by go łatwo wziąć za węgorza morskiego. Zauważyłem barwne zjawki z rodzaju bezskrzelowych o ciele bardzo ścisłym i owalnym i płetwie grzbietowej podobnej do kosy: jest to ryba jadalna, która po nasoleniu i zamarynowaniu staje się doskonałą potrawą, znaną pod nazwą „karawade”; zobaczyłem także trankbary, należące do rodzaju głowaczy, o ciałach pokrytych pancerzem składającym się z ośmiu podługowatych łusek.

Tymczasem słońce wznosiło się z wolna, oświetlając masę wód coraz silniej. Grunt zmieniał się stopniowo. Delikatny piasek ustąpił miejsca prawdziwej bitej szosie, wyłożonej okrągłymi głazami, pokrytej kobiercem mięczaków i zwierzokrzewów. Wśród przedstwicieli tych dwóch działów zauważyłem placeny o cienkich i nierównych skorupkach, rodzaj ostrygowatych, spotykanych głównie w Morzu Czerwonym i w Oceanie Indyjskim; pomarańczowe lucynki o kręgowatych muszelkach; świderki, z gatunku owych purpurek perskich, dostarczających „Nautilusowi” wspaniałego barwnika; rogate skałki, długie na jedenaście centymetrów, sterczące pod falami niby wyciągnięte drapieżnie ręce; ślimaki–śrubowce, całe najeżone kolcami; dwuskorupowe języczki bezgłowe, muszle jadalne, których pełno na rynkach Hindostanu; delikatne świecące mięczaki ogonowe; wreszcie zachwycające oczkowce wachlarzowate, których wspaniałe pióropusze tworzą tak bogatą roślinność tych mórz.

Pośród owej flory i pod baldachimami pnączy wodnych pełzały całe legiony niezgrabnych stawonogów, a więc przede wszystkim zębate żabieńce o skorupkach w kształcie z lekka zaokrąglonego trójkąta; często spotykane w tych okolicach birgi; wreszcie ohydne partenopy, budzące wstręt swym wyglądem. Wielokrotnie zauważyłem także inne, niemniej wstrętne zwierzę, mianowicie olbrzymiego kraba, którego zaobserwował również Darwin; natura wyposażyła go w instynkt i siłę potrzebną do tego, by mógł żywić się orzechami kokosowymi; wdrapuje się mianowicie na przybrzeżne drzewa, strąca orzech, który pęka padając na ziemię, a następnie rozłupuje go swymi potężnymi szczypcami. Pod przeźroczystymi falami zatoczki krab ten biegał z niesłychaną chyżością, podczas gdy pewien gatunek raków morskich, spotykany u wybrzeży Malabaru, pełzał z wolna między odłamkami skalnymi.

Około godziny siódmej doszliśmy nareszcie do ławicy perłowej. Leżały tam miliony małżów.

Cenne te mięczaki przywierały silnie do skał za pomocą brunatnej wydzieliny uniemożliwiającej wszelki ruch; są pod tym względem niższe od innych małżów, którym natura nie odmówiła zdolności przenoszenia się z miejsca na miejsce.

„Perlica” Meleagrina posiada obie skorupy mniej więcej równej wielkości i ma kształt zaokrąglonej muszelki, o ściance grubej i bardzo chropowatej. Niektóre z nich miały na sobie zielonkawa pasy rozchodzące się promienisto do szczytu muszli. Były to osobniki młode.

Inne, o powierzchni czarnej i szorstkiej, liczyły po dziesięć i więcej lat i dochodziły do piętnastu centymetrów szerokości.

Kapitan Nemo wskazał ręką to potężne nagromadzenie perlić. Zrozumiałem dobrze, że taka kopalnia była praktycznie nie do wyczerpania, twórcze bowiem siły przyrody przewyższają ludzki instynkt niszczenia. Wierny temu instynktowi Ned Land chwycił siateczkę, którą miał u boku, i skwapliwie napełniał ją co najpiękniejszymi mięczakami.

Nie mogliśmy się jednak zatrzymywać. Trzeba było iść śladem kapitana; zdawał się on podążać niewidzialnymi, jemu tylko znanymi szlakami. Grunt podnosił się wyraźnie, tak że parokrotnie mogłem wyciągnięte ramię wznieść ponad powierzchnię morza. Potem ławica

zaczęła się obniżać nierównomiernie. Często musieliśmy okrążać wysokie skały sterczące na kształt spiczastych piramid. W ich mrocznych załamaniach tkwiły nieruchomo wielkie skorupiaki; na wysokich swych nogach wyglądały jak machiny wojenne i przyglądały się nam wytrzeszczonymi ślepiami; pod naszymi stopami pełzały miriany, krwawniki, pierścienice i inne, wyciągając swoje nadmiernie długie czułki i macki.

W pewnej chwili otworzyła się przed nami obszerna grota, wydrążona w malowniczym zwalisku skał wysłanych najwspanialszymi okazami flory podmorskiej. Zrazu grota wydała mi się całkiem ciemną. Promienie słońca zdawały się z wolna, stopniowo przygasać, a światło, jakoby zatopione, dawało słabą widoczność.

Kapitan Nemo wszedł do groty, my za nim. Oczy moje szybko przywykły do względnej ciemności. Rozróżniałem już nieregularnie rysujące się załamania sklepienia, wspartego na osadzonych w granicie naturalnych słupach, niby ciężkich kolumnach architektury toskańskiej. Po cóż prowadził nas w głąb tego podmorskiego lochu nasz tajemniczy przewodnik? Miałem się tego wkrótce dowiedzieć.

Po dość stromej pochyłości zeszliśmy na dno jakby okrągłej studni. Tutaj kapitan Nemo zatrzymał się i ręką wskazał nam przedmiot, którego dotychczas nie zauważyłem.

Było to muszla nadzwyczajnych rozmiarów, olbrzymia trydakna, istna chrzcielnica, mogąca pomieścić całe jezioro świecącej wody, koncha o średnicy około dwóch metrów, a zatem większa od tej, która zdobiła salon „Nautilusa”.

Zbliżyłem się do mięczaka—fenomenu. Wydzieliną swą przyczepiony do granitowej skały, rozwijał się samotnie w spokojnych wodach groty. Wagę tej trydakny oceniłem na trzysta kilogramów. Skorupa mogła zawierać z piętnaście kilogramów mięsa, trzeba by zatem mieć żołądek Gargantui**, aby potrafić zjeść kilka tuzinów tych przysmaków.

Kapitan Nemo niewątpliwie wiedział o istnieniu tej muszli. Odwiedzał ją na pewno nie po raz pierwszy. Sądziłem zrazu, że zaprowadził nas tam tylko po to, aby nam pokazać tę osobliwość; myliłem się jednak. Kapitan był szczególnie zainteresowany w stwierdzeniu obecnego stanu trydakny.

Obie skorupy mięczaka były z lekka rozchylone. Kapitan podszedł i wsunął ostrze swego sztyletu pomiędzy muszle tak, aby nie mogły się zatrzasnąć, a potem uniósł dłonią błoniastą tkankę postrzępioną na brzegach, tworzącą płaszcz zwierzęcia.

Pomiędzy fałdami i zwojami ujrzałem perłę wielkości orzecha kokosowego. Kulisty kształt, doskonała przezroczystość i wspaniały blask nadawały jej wartość wprost bezcenną. Uniesiony ciekawością, wyciągnąłem rękę, aby ją pochwycić, zważyć, dotknąć! Kapitan powstrzymał mnie jednak, zrobił gest przeczący i, szybkim ruchem cofnąwszy sztylet, pozwolił zatrzasnąć się obu połowom muszli.

Zrozumiałem jego zamiary; pozostawiając perłę osłoniętą płaszczem trydakny, pozwalał jej na stały, choć nieznaczny wzrost. Z każdym rokiem wydzielina mięczaka powiększała perłę o dalsze koncentryczne warstwy. Jedynie kapitan znał grotę, w której „dojrzewał” ów wspaniały owoc natury, jedynie on hodował go niejako, aby pewnego dnia przenieść perłę do swego muzeum. Być może nawet, że — idąc za przykładem Chińczyków i Hindusów — sam spowodował utworzenie się tej perły, kładąc w zwoje mięczaka kawałeczek szkła lub metalu, który z wolna został pokryty macicą perłową. Tak czy owak, porównując okaz ten z perłami połyskującymi w zbiorach kapitana, oceniłem wartość jego na co najmniej dziesięć milionów franków. Był to oczywiście niezwykły cud natury, a jednak nie można było nazwać tego klejnotem, bo jakież ucho kobiece byłoby zdolne go udźwignąć!

Skończyła się wizyta u bezcennej trydakny. Kapitan Nemo opuścił grotę, wspięliśmy się ponownie na ławicę perłową wśród wód jasnych, nie zmąconych jeszcze pracą nurków–poszukiwaczy. Szliśmy pojedynczo, włócząc się jak spacerowicze, zatrzymując się i

---

* Gargantua — olbrzym, bohater napisanej przez Rabelais’go około 1535 r. Fantastyczno–satyrycznej opowieści pt. „Nieocenione życie Gargantui”, wyszydzającej ciemnotę i zabobony średniowiecza

oddalając według własnej fantazji. Jeśli o mnie chodzi, nie troszczyłem się już ani trochę o niebezpieczeństwo, które wyobraźnia moja tak niemądrze wyolbrzymiła. Dno wznosiło się coraz bardziej i niebawem głowy nasze ukazały się ponad powierzchnią oceanu. Conseil zbliżył się do mnie i, przytykając swą wielką banię do mojej, zamrugał przyjaźnie oczami. Jednak tylko kilka sążni ciągnęło się owo wzniesienie dna morskiego; natychmiast prawie powróciliśmy w głąb „naszego żywiołu". Teraz mam już chyba prawo nazywać go w ten sposób.

Po dziesięciu minutach marszu kapitan Nemo nagle przystanął. Sądziłem początkowo, że zatrzymał się, aby zawrócić do statku. Jednak nie. Gestem rozkazał nam skupić się wokół siebie w obszernym zagłębieniu skały. Ręką wskazał jakiś punkt płynnej otchłani. Patrzyłem uważnie.

O pięć metrów przed nami ukazał się cień opuszczający się w kierunku dna morza. Przez głowę przemknęła mi znowu niepokojąca myśl o rekinach; myliłem się jednak. Tym razem jeszcze nie mieliśmy do czynienia z potworami oceanu.

Był to człowiek, żywy człowiek, ciemnoskóry Hindus; niewątpliwie poławiacz, nędzarz, przybywający uskubać coś niecoś przed właściwą porą zbiorów. Zauważyłem dno czółna zakotwiczonego o kilka stóp ponad jego głową. Człowiek nurkował i wypływał raz po raz. Aby szybciej opuszczać się na dno morza, ściskał między nogami kamień ociosany w kształcie głowy cukru i umocowany do czółna za pomocą sznura. Był to cały jego warsztat pracy. Opuściwszy się na dno na głębokość około pięciu metrów, klękał i napełniał swą torbę zbieranymi prawie na oślep „perlicami". Potem wypływał, opróżniał torbę, wciągał do góry kamień i znów rozpoczynał całą operację, trwającą zresztą nie dłużej niż trzydzieści sekund.

Poławiacz nie widział nas. Zasłaniał nas cień skały. Zresztą czyż mógł biedny Hindus przypuścić, że tu, pod wodą, znajdują się istoty ludzkie śledzące każdy jego ruch i podglądające najdrobniejsze szczegóły jego pracy?

Wielokrotnie wynurzał się w ten sposób i znowu nurkował. Za każdym razem wynosił nie więcej niż dziesięć muszli perłowych; musiał je przecież odrywać od ławicy, do której przylegały silnie za pomocą wydzieliny bisioru. A ileż z owych ostryg nie zawierało wcale pereł, dla których przecież narażał życie!

Obserwowałem go bardzo uważnie. Pracował, regularnie powtarzając swoje manewry, i w ciągu pół godziny nie wydawało się, aby jakiekolwiek niebezpieczeństwo miało mu zagrażać. Oswoiłem się już z zajmującym widokiem tego niezwykłego połowu, kiedy nagle ujrzałem, że Hindus, klęczący właśnie na dnie morskim, zrywa się przerażony i wykonuje ruch, jakby chciał wypłynąć na powierzchnię. Zrozumiałem ten przestrach.

Nad nieszczęśnikiem zamajaczył ogromny cień. W kierunku poławiacza sunął ukosem olbrzymi rekin z płonącymi ślepiami i rozwartą paszczą. Znieruchomiałem ogarnięty zgrozą.

Jednym silnym ruchem płetwy żarłoczne zwierzę rzuciło się ku Hindusowi; ten uskoczył na bok, unikając straszliwych szczęk, nie uchronił się jednak od uderzenia ogonem: potworny cios w pierś obalił go na ziemię.

Cała ta scena trwała zaledwie kilka sekund. Rekin zawrócił i, odwracając się na grzbiet, już gotował się przeciąć człowieka na dwoje, kiedy zobaczyłem nagle, że stojący obok mnie kapitan Nemo zerwał się. Ze sztyletem w dłoni biegł ku potworowi, gotów do walki oko w oko.

Żarłacz — w momencie, w którym już–już miał pochwycić nieszczęśliwego poławiacza — dostrzegł nowego przeciwnika, odwrócił się więc z powrotem grzbietem do góry i skierował się błyskawicznie ku niemu.

Widzę jeszcze sylwetkę kapitana Nemo. Skupiony, z godną podziwu zimną krwią oczekiwał ataku potwornego żarłacza, a kiedy ten rzucił się na niego, kapitan błyskawicznie odskoczył w bok, uniknął starcia i wbił sztylet w brzuch bestii. Nie był to jednak koniec. Straszliwa walka dopiero się rozpoczęła.

Z rany rekina strumieniem buchnęła krew. Morze zabarwiło się na czerwono; poprzez tę ciemną masę płynu przestałem cokolwiek rozróżniać.

Nie widziałem nic aż do chwili, kiedy w jakimś przebłysku światła dostrzegłem zuchwałego kapitana, jak, trzymając kurczowo zwierzę za jedną z płetw, walczył z nim wręcz sztyletem. Orząc brzuch potwora nie mógł wszakże zadać ostatecznego ciosu, to jest ciosu w serce. Rekin miotał się, z furią mącił wodę, tak że ledwo mogłem ustać.

Chciałem biec kapitanowi z pomocą, ale zgroza przykuła mnie do miejsca.

Patrzyłem błędnym wzrokiem. Widziałem, jak zmienia się przebieg walki. Kapitan, przygnieciony potworną masą cielska, upadł. Szczęki rekina otworzyły się szeroko, niby ogromne mechaniczne nożyce; niewątpliwie byłoby już po kapitanie, gdyby nie Ned Land, który z harpunem w dłoni — szybki jak myśl — rzucił się na rekina i ugodził go swą straszliwą bronią.

Masa krwi zabarwiła wodę. Fale pieniły się pod wpływem ruchów rekina, bijącego je z nieopisaną wściekłością. Ned Land nie chybił jednak. Potwór dogorywał; ugodzony w samo serce ciskał się w straszliwych drgawkach i zdołał jeszcze przewrócić Conseila.

Tymczasem Ned Land pomagał wstać kapitanowi. Ten, nie odniósłszy żadnej rany, skierował się natychmiast ku Hindusowi, przeciął sznur łączący biedaka z kamieniem, wziął go w ramiona, i, silnym uderzeniem stopy odbiwszy się od dna morza, uniósł się na powierzchnię.

Wszyscy trzej poszliśmy za jego przykładem i po chwili, cudownie ocaleni, znaleźliśmy się w czółnie poławiacza.

Pierwszą troską kapitana Nemo było przywrócenie do przytomności nieszczęśliwego Hindusa. Nie byłem pewien, czy mu się to uda. Żywiłem pewną nadzieję, bo przecież biedak znajdował się pod wodą nie tak jeszcze długo. Co prawda uderzenie rekinowego ogona mogło być śmiertelne.

Na szczęście, pod wpływem energicznych nacierań Conseila i kapitana, Hindus odzyskał przytomność. Otworzył oczy. Jakież musiało być jego zdumienie i jakie przerażenie, kiedy ujrzał pochylone nad sobą cztery wielkie banie miedziane!

A zwłaszcza, co sobie pomyślał, kiedy kapitan Nemo wydobył z kieszeni swego odzienia woreczek z perłami i wetknął mu w rękę! Drżącą dłonią przyjął ubogi cejloński Hindus ten szczodry dar od pana wód. Wystraszone jego oczy wskazywały zresztą na to, że nie ma pojęcia, jakim nadludzkim istotom zawdzięcza naraz majątek i życie.

Na znak kapitana powróciliśmy na ławicę perłową i wracając tą samą drogą, doszliśmy po półgodzinnym marszu do kotwicy rzuconej przez łódź „Nautilusa”. Gdy tylko znaleźliśmy się na jej pokładzie, każdy z nas przy pomocy marynarzy oswobodził się z ciężkiego, miedzianego aparatu. Pierwsze słowa kapitana Nemo zwrócone były do Kanadyjczyka.

— Dziękuję wam, Nedzie! — rzekł.

— Oh, to tylko rewanż, panie kapitanie — odparł Ned Land. — Byłem panu winien coś niecoś.

Blady uśmiech przemknął po twarzy kapitana — i na tym się skończyło.

— Do „Nautilusa”! — rozkazał.

Łódź pomknęła po falach. W kilka minut potem zobaczyliśmy unoszące się na wodzie cielsko zabitego rekina. Po czarnych zakończeniach płetw rozpoznałem straszliwy gatunek melanoptera mórz południowych, z rodzaju rekinów właściwych. Długość jego wynosiła ponad dwadzieścia pięć stóp, potworna paszcza sięgała jednej trzeciej wymiarów ciała. Był to okaz dorosłego żarłacza, co można było poznać po sześciu rzędach zębów ułożonych w trójkąt u górnej szczęki.

Kiedy tak przypatrywałem się tej bezwładnej masie ciała, wokół łodzi ukazał się nagle z tuzin żarłocznych melanopterów, które, nie zajmując się wcale nami, rzuciły się na trupa i zaczęły rozdzierać go w strzępy.

O pół do dziesiątej byliśmy z powrotem na pokładzie „Nautilusa”. Tu zacząłem rozmyślać o wypadkach, które zaszły w czasie naszej wycieczki na ławicę Mannar. Nasunęły mi się nieodparcie dwa zasadnicze spostrzeżenia: bezprzykładna odwaga kapitana Nemo—i jego poświęcenie się dla człowieka, a więc przedstawiciela istot, przed którymi przecież uciekł aż w głębiny oceanów. Widocznie dziwny ten człowiek jeszcze nie zdołał całkowicie zabić w sobie serca.

Gdy zwróciłem mu na to uwagę, odpowiedział mi głosem z lekka wzruszonym:

— Ten Hindus, panie profesorze, jest mieszkańcem kraju uciśnionych, a ja należę jeszcze i do ostatniego mego tchu należeć będę do tego właśnie kraju!

Rozdział IV
Morze Czerwone

29 stycznia Cejlon zniknął nam z horyzontu, a „Nautilus”, z szybkością dziewięciu mil na godzinę, przemykał się wzdłuż labiryntu kanałów oddzielających Malediwy od Lakkadiwów. Przepłynął nawet w pobliżu wyspy Kittan (pochodzenia madreporycznego), odkrytej w 1499 roku przez Vasco da Gamę*; jest to jedna z dziewiętnastu głównych wysp Archipelagu Lakkadiwów, położonego między 10° a 14°30r szerokości północnej i 69° a 50°72r długości . —.schód niej.

Mieliśmy wtedy za sobą już siedem tysięcy pięćset mil drogi od chwili rozpoczęcia podróży, to jest od wód Morza Japońskiego.

Nazajutrz, 30 stycznia, „Nautilus” wypłynął na powierzchnię oceanu. Jak okiem sięgnąć, rozlewał się bezkres wody. Wzięliśmy kurs na północny zachód, kierując się na Morze Arabskie, wciśnięte pomiędzy Półwysep Arabski i Indyjski, gdzie przez Zatokę Omańską wlewają się wody Zatoki Perskiej.

Był to oczywiście „ślepy zaułek”, droga bez wyjścia. Dokądże więc kierował się kapitan Nemo? Nie miałem pojęcia. Nie podobało się to, naturalnie, Kanadyjczykowi, który tego dnia właśnie zwrócił się do mnie z zapytaniem, dokąd płyniemy.

— Płyniemy tam, mości Nedzie, gdzie nas wiedzie fantazja kapitana.

— Ta fantazja nie zawiedzie nas jednak zbyt daleko — odpowiedział Kanadyjczyk. — Zatoka Perska nie ma wyjścia, więc — jeżeli nawet tam wpłyniemy — będziemy musieli szybko się wycofać.

— No, to się wycofamy, kochany Nedzie. A jeśli po Zatoce Perskiej „Nautilus” zechce zwiedzić Morze Czerwone, to przecież cieśnina Babel–Mandeb jest na oścież otwarta.

— Wie pan jednak, panie profesorze, tak samo dobrze jak ja — odparł Ned Land — że Morze Czerwone jest równie bez wyjścia, jak i Zatoka Perska, ponieważ Przesmyk Sueski nie jest jeszcze przekopany*, a gdyby nawet i był, to taki tajemniczy statek, jak nasz, nie zapuszczałby się przecież w wąskie kanały, poprzecinane śluzami. A zatem Morze Czerwone nie jest jeszcze drogą, która by nas zawiodła do Europy.

— Toteż wcale nie powiedziałem, że mamy wracać do Europy.

— Więc cu pan profesor przypuszcza?

— Sądzę, że po zwiedzeniu ciekawych okolic Półwyspu Arabskiego i wybrzeży Egiptu „Nautilus” powróci na Ocean Indyjski, aby — czy te przez Kanał Mozambicki, czy też koło Wysp Maskareńskich — dopłynąć do Przylądka Dobrej Nadziei.

— No, a za Przylądkiem Dobrej Nadziei?… — pytał Kanadyjczyk ze wzrastającą natarczywością.

— Cóż? Wypłyniemy na Atlantyk, którego przecież jeszcze nie poznaliśmy. Czyżby, Nedzie, zmęczyła was już ta podróż podmorska? Nudzi was może ten wiecznie zmieniający się krajobraz cudów i dziwów? Jeżeli chodzi o mnie, to bardzo bym nawet żałował, gdyby musiała się nagle zakończyć ta wędrówka, jedyna w swoim rodzaju.

— Ależ czy pan wie, panie profesorze — ciągnął Kanadyjczyk — że dobiegają już trzy miesiące od chwili, kiedy zostaliśmy uwięzieni na pokładzie „Nautilusa”?

— Nie, Nedzie, nie wiem i nie chcę wiedzieć, nie liczę wcale dni ani godzin.

— Ale co z tego wyniknie?

— Zobaczymy, co wyniknie. Zresztą nic nie możemy poradzić i nasza dyskusja jest

---

* Vasco da Gama (1469–1524) — słynny żeglarz portugalski, odkrył w 1498 r. drogę morską z Europy do Indii wiodącą dokoła Afryki

* …ponieważ Przesmyk Sueski nie jest jeszcze przekopany — budowa Kanału Sueskiego, której projektodawcą i kierownikiem był Francuz Ferdynand Lesseps — została ukończona w 1869 r.

zupełnie jałowa. Gdybyście, mój Nedzie, przyszli do mnie i powiedzieli: „Jest szansa ucieczki!”, rozważyłbym ją z wami chętnie. Tak jednak nie jest i, muszę przyznać, wydaje mi się wątpliwe, żeby kapitan Nemo miał się kiedykolwiek zapuścić na morza europejskie.

Przez cztery dni, aż do 3 lutego, „Nautilus” zwiedzał Morze Arabskie z rozmaitą szybkością i na rozmaitych głębokościach. Zdawać by się mogło, że płynie na oślep i rozmyśla, dokąd by się udać; nie przekroczył jednak ani razu zwrotnika Raka.

Zanim opuściliśmy te wody, znaleźliśmy się na krótko w pobliżu Maskatu, głównego miasta Omanu. Trwało to jednak nie dłużej niż mgnienie oka, po czym „Nautilus” natychmiast zanurzył się pod fale bijące o te ponure wybrzeża.

Następnie płynęliśmy w odległości trzech mil, równolegle do wybrzeży arabskich Mahra i Hadramaut i do pofalowanej linii gór, ożywionej gdzieniegdzie starożytnymi ruinami. 5 lutego wpłynęliśmy wreszcie do Zatoki Adeńskiej, istnego lejka, wciśniętego w gardziel cieśniny Babel–Mandeb i przelewającego wody z Oceanu Indyjskiego do Morza Czerwonego.

6 lutego zbliżył się „Nautilus” do Adenu położonego na cyplu, który wąski przesmyk łączył z lądem stałym, Byłem pewien, że kapitan Nemo cofnie się teraz; pomyliłem się jednak: ku mojemu zdumieniu stało się inaczej.

Nazajutrz, 7 lutego, wpływaliśmy do cieśniny Babel–Mandeb, której nazwa znaczy po arabsku „Wrota Łez”. Cieśnina ta przy dziewięciu milach szerokości ma zaledwie pięćdziesiąt dwa kilometry długości, więc płynąc pełną szybkością, „Nautilus” przebył ją w niecałą godzinę; nie zobaczyłem jednak niczego, nawet wyspy Perim, której posiadanie umacnia pozycję brytyjską w Adenie. Zbyt wiele angielskich i francuskich parowców, kursujących na liniach, które łączą Suez z Bombajem, Kalkutą, Melbourne oraz wyspami Reunion i Świętego Maurycego, przepływa ową wąską cieśninę, aby „Nautilus” mógł się w niej pokazywać. Toteż przezornie trzymał się głębin morza.

Wreszcie około południa pruliśmy już wody Morza Czerwonego.

Morze Czerwone, słynne morze podań biblijnych! Morze, którego nie odświeżają żadne deszcze, którego nie zasila żadna większa rzeka, wysysa je nieustannie nadmierne parowanie, tak że rokrocznie ubywa mu warstwa płynna grubości półtora metra! Przedziwna to zatoka; gdyby była zamknięta jak jezioro, zapewne wyschłaby z czasem całkowicie.

Nie próbowałem nawet odgadywać, jaki kaprys powodował kapitanem Nemo, kiedy zdecydował się pociągnąć nas w głąb tej zatoki; pochwalałem po prostu bez zastrzeżeń ową marszrutę „Nautilusa”. Unikając spotkań ze statkami, płynął on z umiarkowaną szybkością to na wodzie, to pod wodą, mogłem więc obserwować owo ciekawe morze zarówno na powierzchni, jak i od wnętrza.

8 lutego o świcie ujrzeliśmy Mokkę. Miasto, dzisiaj zrujnowane, o murach walących się na sam głos armaty i porosłych zielonymi palmami daktylowymi, było niegdyś ważnym i kwitnącym grodem. Posiadało sześć rynków handlowych i dwadzieścia sześć meczetów, a trzykilometrowej długości pierścień murów obronnych, który je opasywał, był opatrzony czternastoma basztami. Następnie „Nautilus” zbliżył się do wybrzeża afrykańskiego, gdzie głębokość morza wzrosła. Tu, przez rozsunięte ściany statku, w wodzie o przezroczystości kryształu, mogliśmy podziwiać bujne krzewy wspaniałych korali i ogromne głazy skalne, okryte cudowną zielenią alg i wodorostów. Widok nie do opisania! Co za różnorodność obrazów na tej skalistej równinie i wśród licznych wysepek wulkanicznych, sąsiadujących z wybrzeżem afrykańskim! W najwspanialszej swej krasie ukazała się roślinność w pobliżu wybrzeża Tehama, wzdłuż którego płynął teraz „Nautilus”, tu bowiem nagromadzenia zwierzokrzewów nie tylko kwitły pod powierzchnią morza, ale tworzyły również malownicze sploty na dziesięć sążni ponad poziomem wody. Te były nawet bardziej różnorodne, choć mniej barwne od podwodnych, które życiodajna wilgoć utrzymywała stale w świeżości.

Ileż uroczych godzin spędziłem w ten sposób przed szybą salonu! Ileż nieznanych okazów flory i fauny podmorskiej dane mi było podziwiać w blaskach naszego elektrycznego

reflektora!

Typ gąbek wytworzył ciekawy produkt — gąbkę pospolitą, której użyteczność jest niezaprzeczalna. Gąbka nie jest rośliną, jak utrzymują jeszcze niektórzy przyrodnicy; jest ona zwierzęciem niższym jeszcze od korala. Ten jej charakter nie ulega wątpliwości, tak że nie można się zgodzić ze zdaniem starożytnych, którzy zaliczali ją do istot pośrednich między rośliną a zwierzęciem. Muszę tu dodać jednakże, iż przyrodnicy nie są jednego zdania co do organizmu gąbki. Jedni utrzymują, że jest to polipniak, inni zaś — jak na przykład Milne–Edwards — że to osobnik samotny, nie żyjący grupowo.

Typ gąbek liczy mniej więcej trzysta gatunków spotykanych w licznych morzach, a nawet niekiedy w wodach bieżących, gdzie otrzymały nazwę „ręcznych"; jednak ulubione ich tereny to Morze Śródziemne, okolice Archipelagu Egejskiego i wybrzeży syryjskich oraz Morze Czerwone. Tu rodzą się i rozmnażają owe delikatne gąbki, których cena sięga stu pięćdziesięciu franków za sztukę — biała gąbka syryjska, twarda berberyjska i inne. Ponieważ nie miałem nadziei, że będę mógł obserwować te zwierzokrzewy u wybrzeży lewantyńskich, od których dzielił nas niemożliwy do przebycia Przesmyk Sueski, byłem zadowolony, że mogłem przyglądać się gąbkom Morza Czerwonego. Przywołałem Conseila. „Nautilus", płynąc na głębokości ośmiu do dziesięciu metrów, z wolna mijał przepiękne skały wschodniego wybrzeża.

Miały tu swoje siedlisko najprzeróżniejsze gąbki: szypułkowate, liściaste, galkowate, palczaste. Usprawiedliwiały one najzupełniej swe nazwy, nadane im przez rybaków (raczej poetów niż uczonych): koszyczek, kieliszek, kądziolka, łosiowy róg, pawi ogon, rękawiczka Neptuna. Z ich włóknistego wnętrza, powleczonego na pół płynną, galaretowatą substancją, wytryskiwały bezustannie cieniutkie strumyczki wody wnoszącej życie do każdej komórki żyjątka, a potem wydalanej na zewnątrz za pomocą jego kurczliwych ruchów. Galaretowata substancja gnije po śmierci polipa; gnijąc wydziela obficie amoniak. Pozostaje tylko nagromadzenie rogowatych włókien w postaci gąbki domowej o rudawej barwie, używanej do najrozmaitszych celów w zależności od stopnia jej elastyczności, nieprzemakalności i odporności na rozmiękczanie.

Gąbki przywierały do skał, do muszel mięczaków, a nawet do łodyg roślin podwodnych. Wypełniały najmniejsze zagłębienia skalne rozciągając się na podłożu lub pnąc się ku górze niczym odroślą koralowe. Pouczałem Conseila, że gąbki owe łowi się dwoma sposobami — za pomocą włoska lub ręką. Sposób drugi, choć wymaga zatrudnienia nurków, jest praktyczniejszy, ponieważ nie kaleczy samej włóknistej tkanki polipniaka, podwyższa zatem ogromnie wartość połowu.

Z innych zwierzokrzewów, od których roiło się wokół gąbek, zauważyłem głównie meduzy bardzo pięknego gatunku; mięczaki reprezentowała pewna odmiana mątw, które d'Orbigny* przypisuje wyłącznie Morzu Czerwonemu; z gadów widzieliśmy żółwie z rodzaju Virgata; dostarczyły one na nasz stół zdrowego i smacznego pożywienia.

9 lutego „Nautilus" płynął w najszerszym miejscu Morza Czerwonego między Suakinem na zachodnim wybrzeżu a Kunfidą na wschodnim.

Tegoż dnia w samo południe, gdy tylko ustalono położenie, kapitan Nemo wyszedł na pomost, gdzie się właśnie znajdowałem. Przyrzekłem sobie, że nie pozwolę mu zejść z powrotem, zanim nie zdradzi mi choć części swych dalszych zamiarów. Skoro tylko mnie spostrzegł, zbliżył się, poczęstował grzecznie cygarem i przemówił:

— No i cóż, panie profesorze? Podoba się panu Morze Czerwone? Przyjrzał się pan dostatecznie cudom, które w sobie kryje? Tym rybom, zwierzokrzewom, pokładom gąbek i koralowym lasom? Czy widział pan i miasta rozrzucone po jego brzegach?

— Tak, panie kapitanie — odpowiedziałem — „Nautilus" nadaje się wspaniale do tego

---

* d'Orbigny Charles (1806–1876) — francuski przyrodnik, autor „Powszechnego słownika historii naturalnej"

rodzaju obserwacji. Cóż to za sprawny statek!

— O tak, panie profesorze, sprawny, mądry i nie do pokonania! Nie obawia się ani straszliwych burz Morza Czerwonego, ani jego prądów, ani skał podwodnych.

— To morze — wtrąciłem — zalicza się rzeczywiście do najniebezpieczniejszych; jeśli się nie mylę, to i w czasach starożytnych miało bardzo podłą opinię.

— Bardzo podłą, panie profesorze. Historycy greccy i rzymscy wyrażają się o nim niepochlebnie, a Strabon* powiada, że jest ono szczególnie niebezpieczne dwa razy w roku: w czasie północnych wiatrów oraz w porze dżdżystej. Arab Edrisi*, który opisał je pod nazwą zatoki Kolzum, twierdzi, że bardzo wiele okrętów ginie na jego piaszczystych mieliznach i że nikt nie ośmieliłby się żeglować po tych wodach nocą. Nad morzem tym — powiada on — przelatują straszliwe burze, jest ono usiane niebezpiecznymi wysepkami, a w ogóle „nie ma tam nic dobrego" zarówno w głębinach, jak i na powierzchni.

— Widać zaraz, że ci historycy nie podróżowali na pokładzie „Nautilusa" — odezwałem się.

— Oczywiście — uśmiechnął się kapitan. — Ale pod tym względem współcześni niewiele więcej posunęli się naprzód od starożytnych. Ileż wieków upłynęło, zanim odkryto moc napędową pary! Któż więc wie, czy nawet za sto lat istnieć będzie taki drugi „Nautilus"! Postęp idzie bardzo powoli, panie profesorze.

— Niewątpliwie — przyznałem — pański statek wyprzedza swą epokę o całe stulecie, a może i więcej. Jaka szkoda, że tajemnica tak wielkiej wartości musi zginąć razem ze swym konstruktorem.

Kapitan Nemo nic na to nie odpowiedział. Dopiero po kilku minutach milczenia odezwał się:

— Wspomniał pan o poglądach starożytnych historyków na niebezpieczeństwa, jakie stwarza żegluga na Morzu Czerwonym.

— Tak — odrzekłem — ale czy ich obawy nie były przypadkiem przesadzone?

— Tak i nie, panie profesorze — powiedział kapitan Nemo, który, jak mi się zdawało, wiedział o wszystkim, co dotyczyło Morza Czerwonego. — To, co jest zupełnie bezpieczne dla okrętu współczesnego, dobrze ożaglowanego, zbudowanego solidnie, mogącego płynąć w ściśle wyznaczonym kierunku dzięki posłusznej sile pary — statkom starożytnym groziło na każdym kroku zgubą. Niech pan sobie wyobrazi, jak ci pierwsi żeglarze zapuszczali się na pełne morze w barkach z desek powiązanych sznurami z włókien palmowych, uszczelnionych smołą i napuszczonych tranem z psów morskich. Nie mieli żadnych przyrządów do oznaczania kierunku, płynęli na chybił–trafił pośród rozlicznych prądów morskich, o których nie mieli prawie pojęcia. W takich warunkach katastrofy zdarzały się i musiały się zdarzać bardzo często. Ale dzisiaj parowce, które kursują pomiędzy Suezem i morzami Południa, mogą sobie kpić z gniewu wód tej zatoki i z przeciwnych wiatrów. Marynarze i pasażerowie nie myślą nawet składać bogom ofiar błagalnych przed odjazdem ani odprawiać uroczystych modłów dziękczynnych po powrocie.

— Zgadzam się z tym — odparłem. — Para najprawdopodobniej zabiła uczucie wdzięczności w sercach marynarzy. Ale skoro pan, jak się zdaje, specjalnie interesował się tym morzem, to może wyjaśni mi pan pochodzenie jego nazwy.

— Istnieją różne interpretacje tej nazwy, panie profesorze. Czy chce pan poznać zdanie pewnego kronikarza z XIV wieku?

— Chętnie — rzekłem.

— Otóż fantasta ów sądzi, że nazwa ta została nadana morzu po przejściu przezeń Żydów, kiedy to faraon zginął w jego falach, które zamknęły się na rozkaz Mojżesza. Na znak tego

---

* S t r a b o n (58 przed n. e. — 25 n. e.) — słynny geograf grecki, autor dzieła pt. „Geografia"

* Edrisi Abu–Abdullah–Mahomed — uczony geograf i podróżnik arabski, żyjący w XII w.: sporządził wiele map na podstawie ówczesnych wiadomości geograficznych

cudu morze to stało się czerwone.

— To jest wyjaśnienie poetyckie — odparłem — i wcale mi nie wystarcza. A jakie jest pańskie osobiste zdanie w tej sprawie?

— Moim zdaniem, panie profesorze, nazwa Morza Czerwonego jest tłumaczeniem hebrajskiego wyrazu edron; starożytni nadali mu to imię z powodu charakterystycznej barwy jego wód.

— Jakoś dotychczas widziałem tylko przezroczystą wodę, bez żadnego szczególnego zabarwienia.

— Niewątpliwie; ale dalej zauważy pan to ciekawe zjawisko. Pamiętani, że widziałem kiedyś zatokę Tor całkowicie czerwoną, niby jezioro krwi.

— Czy barwę tę przypisuje pan mikroskopijnym gatunkom alg?

— Tak jest. Ową purpurową, klejowatą substancję wydzielają delikatne, włoskowate roślinki, których czterdzieści tysięcy zajmuje przestrzeń milimetra kwadratowego. Być może zobaczy je pan, kiedy będziemy w zatoce Tor.

— A więc nie pierwszy raz przepływa pan Morze Czerwone na pokładzie „Nautilusa”, kapitanie?

— Nie pierwszy, panie profesorze.

— Pozwolę sobie zapytać w takim razie, czy wykrył pan pod jego wodami jakieś ślady tego wielkiego wydarzenia historycznego, jakim było przejście Izraelitów i katastrofa Egipcjan?

— Nie, panie profesorze, i jest to zupełnie zrozumiałe.

— A dlaczego?

— Po prostu dlatego, że miejsce, którędy szedł Mojżesz ze swym ludem, jest obecnie piaszczystą mielizną; woda jest tam tak płytka, że wielbłądy mogłyby w niej zaledwie umoczyć nogi. Rozumie pan chyba, że mój „Nautilus” nie miałby wystarczającej dla siebie ilości wody.

— A gdzież jest to miejsce? — zapytałem.

— Nieco poniżej Suezu, w odgałęzieniu, które niegdyś, kiedy Morze Czerwone sięgało jeszcze do samych Jezior Słonych, było dość głębokim brodem. Tędy właśnie (mniejsza o to, czy było to cudowne, czy nie) przeszli Żydzi uchodząc do Ziemi Obiecanej i tu zginęła armia faraona. Mam wrażenie, że poszukiwania wśród piasków pozwoliłyby wykryć wielkie ilości broni i narzędzi pochodzenia staroegipskiego.

— Myślę, że prędzej czy później archeologowie zabiorą się do tej pracy, tym bardziej że po przekopaniu Kanału Sueskiego na pewno powstaną wokół przesmyku nowe miasta. Co prawda — dla „Nautilusa” kanał ten będzie najzupełniej bezużyteczny.

— Słusznie — zgodził się kapitan Nemo. — Przyda się jednak całej reszcie świata. Już starożytni dobrze rozumieli przydatność takiego połączenia między Morzem Czerwonym i Śródziemnym, choćby tylko dla swych celów handlowych; ale nie próbowali przekopywać kanału bezpośredniego, poprzestając na pośrednictwie Nilu. Jeśli wierzyć tradycji, budowę kanału łączącego Nil z Morzem Czerwonym rozpoczęto za panowania Sezostrisa. Pewne jest w każdym razie, że Nekao w roku 615 przed naszą erą przedsięwziął prace przy budowie kanału zasilanego wodami Nilu — w poprzek równiny egipskiej na wprost Arabii. Trzeba było czterech dni, aby przepłynąć ten kanał, którego szerokość pozwalała na swobodne mijanie się dwóch trójpokładowych galer. Kanał budował dalej Dariusz, syn Hystaspa, ukończył zaś prawdopodobnie Ptolemeusz II. Strabon oglądał go w czasie pełnej eksploatacji. Niestety spławny był on tylko przez kilka— miesięcy w roku, ponieważ spadek jego wód od Bubasty do Morza Czerwonego był bardzo niewielki. Kanał ten służył żegludze handlowej aż po epokę Antoninów; potem został zaniedbany, opuszczony, przysypany piaskami, raz jeszcze naprawiony i oczyszczony na rozkaz kalifa Omara, wreszcie — w roku 761 lub 762 — ostatecznie zasypany przez kalifa Al–Manzora, który w ten sposób chciał odciąć dowóz

żywności zbuntowanemu przeciwko niemu Mohamedowiben Abdalla.

— A zatem, panie kapitanie, Lesseps podjął teraz pracę, której nie odważyli się przedsięwziąć starożytni… To połączenie dwóch mórz skróci drogę z Kadyksu do Indii o dziewięć tysięcy kilometrów i przemieni wkrótce całą Afrykę w jedną ogromną wyspę.

— Tak, profesorze, ma pan prawo być dumny ze swego rodaka. Ten człowiek bodaj że bardziej przyczynia się do chwały swego narodu niż najwięksi wodzowie! Rozpoczął — podobnie jak wielu innych — od przykrości i niepowodzeń, zwyciężył jednak, ponieważ ma potężny umysł i silną wolę. Przykro pomyśleć tylko, że to dzieło, które powinno być dziełem międzynarodowym, a samo w sobie starczy, by uświetnić całą epokę, powiedzie się wyłącznie dzięki energii jednego człowieka. Chwała i cześć panu de Lesseps!

— Tak jest, chwała temu wielkiemu obywatelowi — potwierdziłem, prawdziwie zaskoczony mocą i przekonaniem, z jakim kapitan wypowiedział te słowa.

— Niestety, nie mogę pana przewieźć przez sam Kanał Sueski — rzekł po chwili. — Jednak pojutrze, kiedy już będziemy na Morzu Śródziemnym, będzie pan mógł dojrzeć gołym okiem długie nabrzeża i mola Port Saidu.

— Na Morzu Śródziemnym?! — wykrzyknąłem.

— Tak, panie profesorze. Dziwi to pana?

— Dziwi mnie to, że mamy tam być pojutrze!

— Czemuż pan się dziwi?

— Istotnie, panie kapitanie, prawdę powiedziawszy nie powinienem się już w ogóle dziwić czemukolwiek, od kiedy podróżuję na pokładzie pańskiego statku.

— Więc cóż pana tak zdumiewa?

— Przerażająca szybkość, którą chce pan wycisnąć z „Nautilusa”, aby znaleźć się pojutrze na Morzu Śródziemnym opłynąwszy Afrykę dokoła Przylądka Dobrej Nadziei.

— A któż panu powiedział, że będziemy opływali Afrykę i Przylądek Dobrej Nadziei?

— Jak to, kapitanie, przecież dopóki „Nautilus” nie może podróżować po lądzie stałym ani nie potrafi przelecieć ponad przesmykiem…

— …A może pod nim, panie profesorze?

— Pod nim?

— Oczywiście — odpowiedział kapitan Nemo. — Natura dawno już zrobiła pod owym wąskim przesmykiem to, co ludzie budują dopiero teraz na powierzchni.

— Jak to? Więc istnieje tam przejście?

— Tak jest, przejście podziemne, nazwane przeze mnie Arabian–Tunnel. Rozpoczyna się ono pod Suezem, a kończy w Zatoce Peluzyjskiej, w pobliżu ruin dawnego miasta Tineh.

— Ale przecież na grunt przesmyku składają się tylko ruchome piaski!

— Do pewnej głębokości. Już od pięćdziesięciu metrów napotyka się grunt skalisty, twardą opokę.

Nie mogłem wyjść z zadziwienia.

— I to przypadkowo odkrył pan owo przejście? — spytałem.

— Przypadkowo, a także dzięki rozumowaniu, panie profesorze — odparł. — Właściwie przede wszystkim dzięki rozumowaniu.

— Słucham pana, kapitanie, i ledwo wierzę temu, co słyszę!

— Ach, panie profesorze! — machnął ręką kapitan. — Aures habent et non audient*, zawsze to samo. Nie tylko przejście to istnieje, ale sam korzystałem z niego wielokrotnie. Przecież nie zapuszczałbym się inaczej w ten ślepy zaułek, którym jest Morze Czerwone.

— A czy wolno zapytać, w jaki sposób odkrył pan ów tunel?

— Profesorze — odparł kapitan. — Nie ma tajemnic pomiędzy osobami, które nie mają się rozstać…

Nie odpowiedziałem na to prowokujące, bądź co bądź, stwierdzenie i czekałem na

* Aur es habent etrion audient (łac.) — mają uszy, a nie słyszą

odpowiedź kapitana Nemo.

— Panie profesorze — zaczął. — Do odkrycia tego przejścia, znanego jedynie mnie spośród wszystkich ludzi, doprowadziło zwykłe rozumowanie przyrodnika. Zauważyłem, że zarówno w Morzu Czerwonym, jak i w Śródziemnym istnieje pewna liczba najzupełniej identycznych gatunków ryb, jak tęczaki, okonie i inne. Upewniwszy się co do tego, zadałem sobie pytanie, czy pomiędzy obydwoma morzami nie ma żadnego przejścia? Jeśli jest, to prąd podziemny biec musi w kierunku od Morza Czerwonego do Śródziemnego, a to z powodu różnicy poziomów. Złowiwszy więc dużą ilość ryb w okolicach Suezu, zaopatrzyłem je w mosiężne obrączki na ogonach i wrzuciłem z powrotem do wody. Kilka miesięcy później u wybrzeży syryjskich wyłowiłem sporo ryb ozdobionych moimi obrączkami. A zatem komunikacja między morzami istnieje. Na moim „Nautilusie" zacząłem więc szukać owego przejścia, znalazłem je, zapuściłem się odważnie w jego czeluść i… wkrótce pan także, panie profesorze, przepłynie odkryty przeze mnie Tunel Arabski!

Rozdział V
Arabian–Tunnel

Tegoż dnia przytoczyłem Conseilowi i Nedowi tę część mojej rozmowy z kapitanem, która mogła ich najbardziej zainteresować. Kiedy powiedziałem, że za dwa dni będziemy na wodach Morza Śródziemnego, Conseil aż klasnął w dłonie, a Kanadyjczyk wzruszył ramionami.

— Tunel podmorski! — rzekł pogardliwie. — Przejście pomiędzy dwoma morzami! Słyszał kto kiedy coś podobnego?!

— Mój przyjacielu — odparł Conseil. — A kto kiedy słyszał o „Nautilusie”? Nikt! A przecież istnieje. Nie wzruszaj więc ramionami dlatego tylko, żeś o czymś nie słyszał.

Tego wieczora „Nautilus”, płynąc po powierzchni morza, zbliżył się do wybrzeży arabskich pod 21°30r szerokości północnej. Ujrzałem Dżiddę, ważne centrum handlowe rynków Egiptu, Syrii, Turcji i Indii. Wkrótce jednak Dżidda znikła w ciemnościach nocy i „Nautilus” zanurzył się pod fosforyzujące wody.

Nazajutrz, 10 lutego, ujrzeliśmy większą ilość statków płynących w kierunku przeciwnym do naszego. „Nautilus” zaczął znów płynąć pod wodą, ale w południe, kiedy merze było zupełnie puste, wynurzył się na powierzchnię, aby ustalić położenie. Wyszedłem na pomost w towarzystwie Conseila i Neda Landa. Wschodni brzeg morza był ledwo widoczny za zasłoną wilgotnej mgły. Oparci o bok łodzi, gwarzyliśmy o tym i o owym, kiedy nagle Ned Land wyciągnął rękę i, wskazując jakiś punkt na morzu, odezwał się:

— Widzi pan, panie profesorze?

— Nie, Nedzie — odparłem. — Nie mam przecie waszego doskonałego wzroku, wiecie o tym dobrze.

— Niech pan uważnie popatrzy — mówił Ned dalej. — Tam, tam, za prawą burtą, ku przodowi, mniej więcej na wysokości reflektora! Czy nie widzi pan czarnej poruszającej się masy?

— Rzeczywiście — przyznałem wytężywszy wzrok. — Zdaje mi się, że widzę na wodzie coś długiego i czarniawego.

— Może to jakiś drugi „Nautilus”? — odezwał się Conseil.

— Gdzie tam… — rzekł Kanadyjczyk. — Jeśli się nie mylę, jest to jakieś zwierzę morskie.

— Czy na Morzu Czerwonym są wieloryby? — zapytał Conseil.

— Owszem, mój chłopcze — odparłem. — Bywają czasami.

— To nie jest wieloryb — stwierdził Ned Land nie spuszczając wzroku z obserwowanego przedmiotu. — Z wielorybami znam się zbyt dawno, abym mógł mieć co do tego jakieś wątpliwości.

— Poczekajmy — doradził Conseil. — „Nautilus” płynie właśnie w tę stronę, więc niedługo dowiemy się, co to właściwie jest.

Istotnie czarniawy przedmiot znalazł się wkrótce niedaleko nas. Przypominał sporą skałę, sterczącą nad pełnym morzem. Nie miałem jeszcze najmniejszego pojęcia, co to takiego.

— Oho! — krzyknął Ned Land. — To się rusza! O, płynie, zanurza się! Do stu diabłów, cóż to za zwierzak? Ogon wcale nie rozwidlony, jak u wieloryba albo kaszalota, a płetwy przypominają obcięte kończyny.

— Ależ to w takim razie… — zacząłem.

— Patrzcie go! — przerwał Kanadyjczyk. — Odwrócił się na grzbiet, wymionami do góry!

— To syrena — zawołał Conseil — prawdziwa syrena, za pozwoleniem pana profesora!

Ta nazwa wprowadziła mnie na właściwy trop; domyśliłem się, że zwierzę należy do rzędu owych istot morskich, którym baśnie nadały imię syren, czyli pół–kobiet, pół–ryb.

— Nie — rzekłem. — To nie jest syrena, tylko interesujące stworzenie, którego kilka

ostatnich okazów przebywa jeszcze w Morzu Czerwonym. To diugoń.

— Rząd syrenowatych, grupa rybokształtnych, gromada ssaków, podtyp kręgowców — uzupełnił Conseil.

Do tych określeń nie potrzebowałem już nic dodawać.

Ned Land patrzył ciągle. Na widok zwierzęcia oczy jego błyszczały pożądliwie. Ręka zdawała się sięgać po harpun. Wydawało się, że czeka tylko na odpowiedni moment, aby rzucić się w morze i zaatakować diugonia w jego własnym żywiole.

— Ach, panie profesorze! — przemówił wreszcie wzruszonym głosem. — Jeszcze nigdy w życiu „tego" nie zabiłem!

Cały harpunnik tkwił w tym jednym zdaniu. W tej chwili na pomoście ukazał się kapitan Nemo. Spostrzegł diugonia. Zrozumiał postawę Kanadyjczyka i zwrócił się do niego:

— Gdybyście teraz mieli harpun, mości Nedzie — paliłby wam ręce, prawda?

— Oczywiście, panie kapitanie.

— I nie zmartwilibyście się, gdybyście mogli na jeden dzień powrócić do swego zawodu i do listy ubitych przez siebie zwierząt dorzucić jeszcze i tego diugonia?

— Nie zmartwiłbym się ani trochę, panie kapitanie!

— No, to w takim razie możecie spróbować.

— Dziękuję, panie kapitanie! — rzekł Ned Land z płonącym wzrokiem.

— Radzę wam jednak — mówił dalej kapitan — i to we własnym waszym interesie, nie chybić tego zwierzęcia.

— Czy taki diugoń jest istotnie niebezpieczny? — spytałem nie zwracając uwagi na to, że Ned wzruszył tylko ramionami.

— Owszem, bywa niebezpieczny — odparł kapitan. — Zwierzę to rzuca się na atakujących i często wywraca ich łódź. Co do Landa nie ma wprawdzie obawy, ma on bystre oko i pewną rękę. Jeżeli radzę mu nie chybić diugonia, to tylko dlatego, że jest to doskonała zwierzyna, a wiem, że sam imć pan Ned nie gardzi smakowitymi kąskami.

— Ach, tak? — zdziwił się Kanadyjczyk. — Więc to bydlę pozwala sobie również na ten luksus, że jest smaczne?

— Tak, panie Land. Ma znakomite mięso, bardzo cenione i w całej Melanezji podawane tylko na książęce stoły. Dlatego też poluje się na to zwierzę tak zawzięcie; w rezultacie staje się ono coraz rzadsze i powoli ginie.

— Jeżeli więc przypadkiem okaz ten jest właśnie ostatnim z rodu — wtrącił poważnie Conseil — to czyby nie należało go oszczędzić, choćby w interesie nauki?

— Być może — szybko zareplikował Kanadyjczyk. — Musimy jednak na niego zapolować, choćby w interesie naszej kuchni.

— Możecie zaczynać, Nedzie — rzekł kapitan.

W tej chwili weszło na platformę siedmiu ludzi z załogi, jak zwykle milczących i obojętnych. Jeden z nich niósł harpun i sznur, jakiego zwykle używają łowcy wielorybów. Łódź wyjęto z osady, zdjęto z niej pokład i spuszczono na morze. Sześciu wioślarzy usiadło na ławkach, sternik stanął u przodu. Ned, Conseil i ja zasiedliśmy z tyłu.

— Pan nie jedzie, kapitanie? — zapytałem.

— Nie, panie profesorze, ale życzę pomyślnych łowów.

Łódź odbiła od „Nautilusa" i, poruszana sześciu wiosłami, skierowała się błyskawicznie do diugonia unoszącego się na wodzie o dwie mile od statku.

Na kilka kabli od zwierzęcia zwolniła jednak biegu; wiosła zanurzały się w wodę prawie bezszelestnie. Ned Land z harpunem w dłoni stanął na przodzie łodzi. Harpun, używany do połowu wielorybów, bywa zazwyczaj uwiązany do długiego sznura, który się szybko rozwija, kiedy trafione zwierzę ucieka z ostrzem wbitym w ciało. Tym razem sznur mierzył zaledwie dziesięć sążni, a drugim swym końcem przymocowany był do niewielkiej beczułki, która unosząc się na wodzie, miała wskazywać kierunek ucieczki diugonia pod powierzchnią.

Wstałem i przyjrzałem się uważnie przeciwnikowi Kanadyjczyka. Diugoń ów, którego nazywają także halikorem, przypominał pospolitą krowę morską. Podługowate jego ciało kończyło się bardzo wydłużonym ogonem, boczne zaś płetwy miały prawdziwe palce. Od krowy morskiej różnił się przede wszystkim tym, że górna szczęka uzbrojona była w dwa długie, spiczaste zęby, niby kły rozchodzące się w obie strony.

Diugoń, którego zamierzał zaatakować Ned Land, miał wymiary ogromne. Długość jego przekraczała siedem metrów. Nie poruszał się wcale i zdawał się spać na falach, co stwarzało dogodniejsze warunki do ataku. Łódź podpłynęła ostrożnie na odległość trzech sążni od zwierzęcia. Wiosła zawisły nieruchomo na dulkach. Uniosłem się z lekka. Ned Land, odchylając się nieco do tyłu, wprawną ręką wywijał harpunem. Nagle dał się słyszeć świst i diugoń zniknął. Silnie wyrzucony harpun uderzył prawdopodobnie w wodę.

— Do diabła! — wrzasnął Kanadyjczyk wściekły. — Chybiłem!

— Nie — rzekłem. — Zraniliście go, oto krew; ale harpun nie utkwił w ciele.

— Mój harpun! Mój harpun! — krzyczał Ned.

Wioślarze pochylili się znów nad wiosłami, a sternik skierował łódź ku kołyszącej się na falach beczułce. Po wyłowieniu harpuna rozpoczęliśmy pościg za zwierzęciem.

Co jakiś czas wypływało ono na powierzchnię wody, aby zaczerpnąć powietrza. Rana widocznie nie osłabiła go zbytnio, płynęło bowiem z nadzwyczajną szybkością. Łódź, posłuszna sześciu parom tęgich ramion, wprost leciała jego śladem. Kilkakrotnie zbliżała się już na odległość kilku sążni i Kanadyjczyk już–już gotował się do ciosu, ale diugoń dawał nagle nurka, znowu uniemożliwiając celny rzut.

Można sobie wyobrazić, jaka wściekłość ogarnęła Neda Landa. Miotał na głowę nieszczęsnego zwierzęcia najstraszliwsze przekleństwa, jakie tylko zna język angielski. Jeżeli chodzi o mnie, zły byłem, że diugoń kpi sobie z naszych trudów.

Ścigaliśmy go tak przez godzinę bez wytchnienia i już zaczynałem się obawiać, że bardzo trudno będzie go złowić, kiedy nagle zwierzę wpadło na nieszczęśliwy dla siebie pomysł zemszczenia się na nas; zawróciło w kierunku łodzi, aby się na nią rzucić.

— Uwaga! — krzyknął Kanadyjczyk, który dostrzegł ten manewr.

Sternik rzucił kilka słów w swym dziwnym języku, prawdopodobnie ostrzegał marynarzy przed niebezpieczeństwem. Diugoń podpłynął na jakie dwadzieścia stóp od łodzi, zatrzymał się i gwałtownie wciągnął powietrze swymi szerokimi nozdrzami, umieszczonymi nie na końcu, lecz na górnej części pyska. Potem rozpędził się i runął wprost na nas.

Łódź nie uniknęła ciosu; przechyliwszy się na bok, nabrała dobrych kilka beczek wody, którą natychmiast trzeba było wylać; dzięki zręczności sternika zderzenie nastąpiło jednak od dzioba, a nie z boku, wskutek czego nie wywróciliśmy się dnem do góry. Ned Land, uczepiwszy się dzioba, szpikował po prostu harpunem olbrzymią bestię, która zębami swymi, wbitymi w burtę, unosiła łódkę w powietrze, niczym lew unoszący do góry sarnę. Przewracaliśmy się wszyscy na dnie łódki jeden przez drugiego i naprawdę nie wiem, jak skończyłaby się ta przygoda, gdyby Kanadyjczyk, rozwścieczony do ostatnich granic, nie ugodził wreszcie zwierzęcia w samo serce.

Usłyszałem zgrzyt zębów o stalowy bok łodzi i — diugoń znikł pociągając za sobą harpun. Wkrótce jednak wypłynęła na powierzchnię baryłka, a zaraz potem ukazało się całe ciało zwierzęcia, odwrócone do góry brzuchem. Łódź nasza zbliżyła się i, holując zabitego diugonia za pomocą sznura, skierowała się ku „Nautilusowi”. Trzeba było użyć bardzo potężnych bloków, aby wciągnąć zwierzę na pokład. Ważyło pięć tysięcy kilogramów. Oprawiono je w obecności Kanadyjczyka, który koniecznie chciał widzieć wszystkie szczegóły tej operacji. Tego jeszcze dnia steward podał mi na obiad kilka kawałków mięsa znakomicie przyrządzonego przez kucharza okrętowego. Smakowało wybornie; było chyba lepsze od wołowiny, a nawet może od cielęciny.

Nazajutrz, 11 lutego, spiżarnia „Nautilusa” wzbogaciła się jeszcze bardziej. Na statku

przysiadło stado jaskółek morskich z gatunku *Sterna nilotica*, spotykanego w Egipcie; dziób takiej jaskółki jest czarny, głowa szara, cętkowana, oko otoczone białymi punktami, grzbiet, skrzydła i ogon szarawe, brzuszek i szyja białe, nóżki czerwone. Złowiliśmy również parę tuzinów kaczek nilowych, dzikich ptaków, niezwykle smacznych; kaczki owe mają szyję i wierzch głowy białe z czarnymi plamkami.

„Nautilus" płynął teraz z szybkością bardzo umiarkowaną. Ledwie posuwał się naprzód, wlokąc się niedbale. Zauważyłem, że w miarę zbliżania się do Suezu woda Morza Czerwonego stawała się coraz mniej słona. Około godziny siedemnastej spostrzegliśmy na północy przylądek Ras Mohammed. Przylądek ten jest południowym krańcem Arabii Skalistej, położonej między zatokami Suezu i El–Akaba.

„Nautilus" wpłynął teraz do cieśniny Dżubal prowadzącej do Zatoki Sueskiej. Ujrzałem wyraźnie wysoką górę wznoszącą się nad Ras Mohammedem, między dwiema zatokami. Był to szczyt Horeb, ów Synaj, gdzie Mojżesz spojrzał Bogu twarzą w twarz, góra, którą wyobraźnia widzi zazwyczaj otoczoną wieńcem błyskawic.

O szóstej „Nautilus" — płynąc to na wodzie, to pod nią — minął Tor, miasto rozsiadłe nad zatoką, której wody wydawały się zabarwione czerwienią, na co kapitan Nemo uprzednio zwrócił już uwagę. Potem nadeszła noc, głuchą ciszę przerywał niekiedy krzyk pelikana lub jakiegoś nocnego ptaka, odgłos fal rozbijających się o skały albo daleki ryk syreny parowca prującego wody zatoki.

Między ósmą a dziewiątą „Nautilus" płynął na niewielkiej głębokości pod wodą. Według moich obliczeń powinniśmy się byli zbliżać już do Suezu. Przez szyby salonu widziałem skaliste dno jasno oświetlone naszym elektrycznym reflektorem. Wydawało mi się, że cieśnina zwęża się coraz bardziej.

Kwadrans po dziewiątej statek wypłynął znów na powierzchnię. Wyszedłem na pomost. Moja ciekawość i zniecierpliwienie wzrastały. Jak też przepłyniemy tunel kapitana Nemo? Nie mogłem wprost usiedzieć spokojnie i odczuwałem potrzebę zaczerpnięcia świeżego, nocnego powietrza. Wkrótce dostrzegłem wśród mroków jakieś blade światełko, na poły przesłonięte mgłą, w odległości około pół mili od nas.

— Pływająca latarnia morska — odezwał się ktoś koło mnie. Odwróciłem się i ujrzałem kapitana.

— To boja świetlna Suezu — objaśniał dalej. — Niedługo będziemy u wejścia do tunelu.

— Wjazd tam chyba niełatwy?

— Bardzo trudny. Dlatego też zwykle wchodzę do kabiny sternika i kieruję statkiem osobiście. Może zechce pan teraz zejść do wnętrza, profesorze. „Nautilus" zagłębi się pod wodę, a wynurzy się dopiero po przebyciu Arabian–Tunnelu.

Poszedłem za kapitanem. Zatrzasnęła się nad nami pokrywa włazu, zbiorniki wypełniły się wodą i statek zanurzył się na głębokość około dziesięciu metrów. Kierowałem się już do mej kabiny, kiedy kapitan powstrzymał mnie słowami:

— Czy nie zechciałby pan, panie profesorze, towarzyszyć mi w kabinie sternika?

— Nie śmiałem o to prosić, panie kapitanie.

— Proszę, niech pan pójdzie ze mną. Zobaczy pan wszystko, co tylko można zobaczyć w czasie tej podróży podmorskiej i zarazem podziemnej.

Zaprowadził mnie ku środkowym schodom. Przeszedłszy połowę wysokości otworzył jakieś drzwi, minął górne korytarzyki i dotarł wreszcie do kabiny sternika umieszczonej, jak wiadomo, na samym końcu pokładu.

Była to kabina o wymiarach sześciu stóp na sześć, przypominająca kabiny sterników na parowcach Missisipi czy Hudsonu. W środku znajdowało się prostopadłe koło sterowe, które za pomocą linowych przekładni biegnących na sam tył „Nautilusa" było połączone ze sterem statku. Cztery szyby z soczewkowych szkieł, wbudowane w ściany kabiny, pozwalały stojącemu przy sterze patrzeć we wszystkie strony. Kabina była pogrążona w mroku. Kiedy

oczy przywykły do ciemności, spostrzegłem sternika, tęgiego chłopa, z dłońmi wspartymi o dzwona koła. Przed nami widniało morze jaskrawo oświetlone reflektorem promieniującym nieco w tyle za kabiną na drugim końcu pomostu.

— No, czas szukać naszej drogi! — rzekł kapitan Nemo.

Z kabiny sternika prowadziły druty elektryczne do hali maszyn, tak że kapitan mógł nadawać „Nautilusowi" jednocześnie i kierunek, i szybkość. Nacisnął metalowy guzik — i natychmiast szybkość obrotów śruby poważnie zmalała.

Patrzyłem w milczeniu na wysoką i stromą ścianę, wzdłuż której teraz płynęliśmy: była to opoka, na której spoczywał piaszczysty masyw wybrzeża. Wzdłuż owej ściany i zaledwie o kilka metrów od niej płynęliśmy blisko godzinę. Kapitan Nemo nie spuszczał oka z busoli zawieszonej w kabinie na dwóch koncentrycznych obręczach. Na każde, choćby najmniejsze, jego skinienie sternik natychmiast zmieniał kierunek ruchu „Nautilusa".

Stojąc przy szybie z lewej strony — widziałem wspaniałe pokłady korali, zwierzokrzewy, algi, widziałem wzdłuż załamań skalnych skorupiaki poruszające olbrzymimi łapami.

Kwadrans po dziesiątej kapitan Nemo sam ujął ster. Przed nami otwierała się szeroka galeria, czarna i głęboka. „Nautilus" zapuścił się w nią odważnie. Oszałamiał mnie niezwykły szum dochodzący z obu stron. To wody Morza Czerwonego z szaloną szybkością pędziły po pochyłości tunelu do Morza Śródziemnego. Z prądem tym „Nautilus" mknął jak strzała, pomimo wysiłków potężnej śruby, która hamując biła wodę w odwrotnym kierunku.

Na ciasnych ścianach sklepienia widziałem już tylko oślepiające smugi, kresy i bruzdy iskier, powstałe od blasku światła elektrycznego pod wpływem potwornej szybkości. Serce biło mi tak silnie, że musiałem dłoń przycisnąć do piersi.

O dziesiątej trzydzieści pięć kapitan Nemo opuścił stanowisko przy kole sterowym i odwrócił się do mnie ze słowami:

— Morze Śródziemne.

„Nautilus", niesiony prądem, przebył więc Przesmyk Sueski w niespełna dwadzieścia minut.

Rozdział VI
Archipelag Egejski

Nazajutrz, 12 lutego, o świcie „Nautilus” wypłynął na powierzchnię morza. Wybiegłem na pokład. W odległości około trzech mil na południe rysowała się niewyraźnie sylwetka Tineh w Zatoce Peluzyjskiej. Rwący potok przeniósł nas z jednego morza w drugie. Tunel ten był jednak nie do przebycia w kierunku odwrotnym.

Około siódmej rano przyszedł Conseil z Nedem Landem. Dwaj nierozłączni towarzysze przespali noc najspokojniej ani dbając o przygody „Nautilusa”.

— No i jak tam, proszę pana przyrodnika? — zapytał Kanadyjczyk z lekka kpiąco. — Co słychać z naszym Morzem Śródziemnym?…

— Płyniemy po jego powierzchni, kochany Nedzie.

— Co? — zdumiał się Conseil. — Dziś w nocy?…

— Dziś w nocy, w przeciągu kilkunastu minut przebyliśmy właśnie ów przesmyk pozornie nie do przebycia.

— Nie wierzę — rzekł Kanadyjczyk.

— Nie macie racji, Land — odpowiedziałem. — Owo niewysokie wybrzeże, skręcające ku południowi, to Egipt.

— Nie mnie mówić takie rzeczy — powtórzył uparty harpunnik.

— Skoro pan profesor tak twierdzi — rzekł Conseil — to trzeba panu profesorowi wierzyć.

— Kapitan Nemo, kochany Nedzie, pokazał mi z bliska ów tunel; stałem przy nim w kabinie sternika, kiedy kierował osobiście „Nautilusem” w czasie podróży przez to wąskie przejście.

— Słyszysz, Ned? — zapytał Conseil.

— Macie zresztą doskonały wzrok — dodałem. — Możecie więc, Nedzie, dojrzeć stąd gołym okiem ciągnące się wzdłuż morza nabrzeża i mola Port Saidu.

— Ma pan rację, panie profesorze — rzekł wreszcie. — Pański kapitan to łebski człowiek. Jesteśmy na Morzu Śródziemnym. Dobra. A zatem możemy teraz pogadać o naszych sprawach, ale lepiej, żeby nas nikt nie słyszał.

Zrozumiałem zaraz, do czego Kanadyjczyk zmierza. „Skoro tego żąda — pomyślałem sobie — tak czy owak trzeba z nim porozmawiać”. Wszyscy trzej usiedliśmy więc sobie koło reflektora, gdzie byliśmy mniej wystawieni na wilgotne bryzgi fal.

— Słuchamy, Nedzie — zagaiłem. — Cóż macie nam do powiedzenia?

— To, co mam do powiedzenia — rzekł Kanadyjczyk — jest bardzo proste i nieskomplikowane. Jesteśmy w Europie, żądam więc opuszczenia „Nautilusa”, zanim fantazja kapitana Nemo nie zawiedzie nas w głąb mórz polarnych lub z powrotem do Oceanii.

Przyznam się, że rozmowa z Kanadyjczykiem na ten temat zawsze mnie nieco krępowała. Nie chciałem ograniczać poczucia wolności moich towarzyszy, a jednocześnie nie odczuwałem najmniejszej chęci opuszczenia kapitana Nemo. Dzięki niemu i dzięki jego statkowi pogłębiałem każdego dnia swoją wiedzę o morzu i uzupełniałem moją książkę o głębinach morskich, znajdując się w samym sercu tego żywiołu.

Czy będę miał jeszcze kiedykolwiek w życiu podobną sposobność przyglądania się cudom oceanów? Na pewno nigdy! Nie mogłem się zatem pogodzić z myślą opuszczenia „Nautilusa” przed zakończeniem tych badań.

— Powiedzcie mi zupełnie szczerze, kochany Nedzie — odezwałem się — czy nudzicie się na pokładzie tego statku? Czy wyrzekacie na los, który was tu rzucił wydając w ręce kapitana Nemo? Czy żałujecie tego?

Kanadyjczyk milczał przez kilka chwil, zanim odpowiedział.

— Szczerze mówiąc, nie żałuję. Będę bardzo zadowolony z tego, że braliśmy w tej

podróży udział, musi się jednak zakończyć, abyśmy mogli stwierdzić, żeśmy ją odbyli. Tak przynajmniej sądzę.

— Zakończy się na pewno, Nedzie.

— Ale gdzie i kiedy?

— Gdzie? Nie mam pojęcia. Kiedy? Także nie wiem. Przypuszczam jednak, że kres jej nadejdzie wtedy, gdy morza nie będą już miały przed nami żadnej tajemnicy. Wszystko, co się zaczyna, kochany Nedzie, musi mieć kiedyś swój koniec.

— Jestem tego samego zdania, co pan profesor — odezwał się Conseil. — Mam wrażenie, że po przebyciu wszystkich mórz świata kapitan Nemo chętnie pozbędzie się naszego towarzystwa.

— Pozbędzie?! — wrzasnął Kanadyjczyk. — Chyba prędzej pozbawi nas życia!

— Nie przesadzajmy, mistrzu Land — rzekłem. — Nie mamy powodu obawiać się kapitana; co prawda, nie sądzę, aby i Conseil miał rację. Znamy wszystkie tajemnice „Nautilusa”, nie przypuszczam więc, aby kapitan zwrócił nam wolność, musiałby bowiem zgodzić się na ujawnienie tych wszystkich sekretów przed światem.

— Na co więc pan liczy? — spytał Kanadyjczyk.

— Na okoliczności, które kiedyś tak się ułożą, że będziemy mogli, a nawet musieli z nich skorzystać. Może to nastąpić równie dobrze za pół roku, jak dziś.

— Oho! — zadrwił Ned Land. — A gdzież to, zdaniem pana profesora, będziemy za pół roku?

— Może tu, a może w Chinach. Wiecie dobrze, że „Nautilus” potrafi szybko płynąć, przebywa oceany jak jaskółka przestworza i jak pociąg pośpieszny — kontynenty. Nie obawia się wcale mórz uczęszczanych. Któż więc może zapewnić, że nie zbliży się do wybrzeży Francji, Anglii czy Ameryki, gdzie moglibyśmy spróbować ucieczki z równą szansą powodzenia, jak tu?

— Panie profesorze — rzekł Kanadyjczyk. — Pańskie argumenty są fałszywe w samym założeniu. Mówi pan w czasie przyszłym: „Będziemy tam”. „Będziemy ówdzie”. A ja powiadam w czasie teraźniejszym: „Jesteśmy tu i trzeba z tego korzystać!”

Przyparty do muru logicznym rozumowaniem Neda, poczułem się pobity. Nie wiedziałem już, jakiego argumentu użyć w swojej obronie.

— Panie profesorze — rzekł jeszcze Ned Land. — Przypuśćmy, choć jest to oczywiście niemożliwe, że kapitan Nemo ofiaruje panu wolność jeszcze dzisiaj. Czy przyjąłby pan?

— Nie wiem — odparłem.

— A czy przyjmie pan, jeżeli kapitan zaznaczy, że tej oferty nigdy już więcej nie ponowi?

Nie odpowiedziałem.

— A cóż o tym wszystkim sądzi nasz przyjaciel Conseil? — zapytał Ned Land.

— Przyjaciel Conseil? — odparł zacny chłopak. — Przyjaciel Conseil nie ma tu nic do gadania. Cała sprawa jest mu najzupełniej obojętna. Jest kawalerem, tak jak pan profesor i jak kolega Ned. W ojczyźnie nie czeka na niego ani żona, ani rodzice, ani dzieci… Jest na służbie u pana profesora, myśli zatem jak pan profesor, mówi jak pan profesor, bardzo żałuje więc, że nie można liczyć na to, aby jego zdanie przeważyło szalę głosów. Obecne są tylko dwie osoby, pan profesor z jednej strony, Ned Land z drugiej. Przyjaciel Conseil powiedział, co miał do powiedzenia, a teraz tylko słucha i gotów jest zapisać punkty „za” i „przeciw” w tym sporze.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu słysząc, jak Conseil unicestwia bez reszty całą swą osobowość. Co do Kanadyjczyka, ten na pewno był zachwycony, że chłopak nie oświadczył się przeciwko niemu.

— A więc, panie profesorze — mówił dalej Ned — skoro Conseil nie istnieje, rozmawiajmy tylko we dwójkę. Ja już swoje powiedziałem, słyszał pan, prawda? Co pan na to odpowie?

Trzeba było wreszcie dać jakąś odpowiedź, mętne wykręty już mi obrzydły.

— Kochany Nedzie — rzekłem. — Oto, co powiem: macie rację, a moje argumenty nie mogą się równać z waszymi. Nie można w żaden sposób liczyć na dobrą wolę kapitana Nemo. Zasady najzwyklejszej przezorności nie pozwolą mu wypuścić nas stąd. Ta sama przezorność zatem nakazuje, abyśmy skorzystali z pierwszej sposobności opuszczenia „Nautilusa".

— Świetnie, panie profesorze. Oto mądre słowa!

— Ale — mówiłem dalej — jest jedno zastrzeżenie. Sposobność musi być poważna. Pierwsza nasza próba ucieczki musi bezwzględnie zakończyć się powodzeniem. W przeciwnym bowiem razie następna nie nadarzy się nigdy, a kapitan Nemo nie wybaczy nam tego kroku.

— Ma pan zupełną słuszność — przyznał Kanadyjczyk. — Zastrzeżenie pańskie odnosi się jednak do każdej próby ucieczki, obojętne, czy będzie to za dwa lata, czy za dwa dni. Sprawa zatem wygląda ciągle tak: jeśli dogodna sposobność się nadarzy, trzeba skorzystać z niej natychmiast.

— Zgoda. Bądźcie tylko łaskawi, kochany Nedzie, powiedzieć mi teraz, co rozumiecie przez określenie „dogodna sposobność"?

— Jeśli na przykład w ciemną noc „Nautilus" zbliży się na niewielką odległość do wybrzeży Europy.

— Próbowalibyśmy zatem uciekać wpław?

— Tak, jeżeli oczywiście będziemy wystarczająco blisko brzegu i jeśli statek będzie płynął po powierzchni morza. Nie zrobimy tego natomiast, jeżeli będziemy znacznie oddaleni od brzegu albo gdy statek będzie zanurzony.

— A w takim razie?…

— W takim razie spróbujemy zawładnąć łodzią. Wiem, jak to się robi. Wejdziemy do środka, poodkręcamy śruby i wzniesiemy się na powierzchnię tak, że nawet sternik, siedzący w przodzie statku, nie zauważy naszej ucieczki.

— Dobrze, Nedzie, wypatrujcie więc tej sposobności; pamiętajcie tylko, że w razie niepowodzenia jesteśmy zgubieni.

— Będę pamiętał, panie profesorze.

— A czy teraz chcecie się dowiedzieć, jakie jest moje zdanie w tej sprawie?

— Bardzo chętnie, panie profesorze.

— Otóż myślę — nie powiem, że „mam nadzieję" — myślę, że taka sposobność nie nadarzy się nigdy.

— Dlaczegóż to?

— Dlatego, że kapitan Nemo na pewno zdaje sobie sprawę z tego, iż bynajmniej nie wyrzekliśmy się nadziei odzyskania swobody, i będzie się miał na baczności, zwłaszcza w pobliżu wybrzeży europejskich.

— Jestem tego samego zdania, co pan profesor — wtrącił Conseil.

— Zobaczymy! — Ned zdecydowanym ruchem potrząsnął głową.

— A więc, kochany Nedzie, dość tej rozmowy. Ani słowa więcej o tym. W odpowiednim momencie uprzedzicie nas i wtedy pójdziemy za wami. Zdajemy się na was w zupełności.

W ten sposób zakończyła się ta rozmowa, w przyszłości brzemienna w poważne następstwa. Muszę tu dodać, że ku wielkiej rozpaczy Kanadyjczyka fakty zdawały się potwierdzać moje przypuszczenia. Czy kapitan Nemo nie ufał nam na tych uczęszczanych wodach, czy tylko wolał kryć się przed wzrokiem licznych statków prujących Morze Śródziemne? Nie wiem. Faktem jest, że trzymał się na ogół pod wodą i w dużych odległościach od wybrzeży. „Nautilus" płynął bądź tuż pod powierzchnią morza, tak że wystawała tylko kabina sternika, bądź zanurzał się na wielkie głębokości. Pomiędzy Archipelagiem Egejskim a wybrzeżami Azji Mniejszej nie natrafiliśmy na dno morskie nawet

przy dwóch tysiącach metrów zanurzenia. Ziemi nie widziałem ani razu.

Jedną z wysp Archipelagu Sporadów, mianowicie Karpathos, poznałem tylko w ten sposób, że kapitan Nemo położył palec na mapie i zacytował mi fragment z Wergiliusza*: — *Est in Carpathio Neptuni gurgite vates caeruleus**… Jakoż była to w starożytności siedziba Prometeusza, sędziwego pasterza trzód Neptuna, położona między Rodosem a Kretą. Przez szybę salonu zdołałem dojrzeć tylko jej granitowe podwaliny.

Nazajutrz, 14 lutego, postanowiłem poświęcić kilka godzin studiom nad rybami wód archipelagu, ściany pozostały jednak, nie wiem dlaczego, szczelnie zasunięte. Badając położenie „Nautilusa" zauważyłem, że kieruje się ku Kandii, czyli starożytnej Krecie. Pamiętam, że kiedy wstępowałem na pokład „Abrahama Lincolna", na wyspie tej wybuchło powstanie przeciw despotycznej władzy tureckiej. Jaki obrót przyjęło w chwili obecnej — nie wiedziałem, zapytać zaś o to kapitana Nemo było niedorzecznością, bo przecież nie utrzymywał on żadnych stosunków z ziemią.

Nie wspomniałem więc o tym ani słowa, kiedy wieczorem siedzieliśmy z kapitanem sam na sam w salonie. Zresztą miałem wrażenie, że kapitan Nemo jest dziś szczególnie milczący i zatopiony w sobie. W pewnej chwili rozkazał, wbrew dotychczasowemu zwyczajowi, rozsunąć obie ściany salonu i, chodząc od jednej szyby do drugiej, przypatrywał się uważnie płynnym odmętom. Po co? Nie usiłowałem nawet zgadywać; poświęciłem się całkowicie studiowaniu licznych ryb sunących przed moimi oczami.

Zauważyłem między innymi ów gatunek kiełbi, o których wspomina Arystoteles; pospolicie nazywają się one „ślizami morskimi", a trafiają się zwłaszcza w wodach słonych, sąsiadujących z deltą Nilu. Między nimi pląsały fosforyzujące ryby z gatunku leszczaków, które u Egipcjan uchodziły za święte i których ukazanie się w wodach rzeki zwiastowało użyźniający jej wylew. Czczono je religijnymi obrzędami. Zaobserwowałem także trzydziestocentymetrowe ryby ustowate, ościste, o przezroczystej łusce, z czerwonymi plamami na sinawym tle.

Jeszcze inny mieszkaniec tych wód przyciągnął moją uwagę, budząc w umyśle reminiscencje starożytności. Była to remora albo trzymonaw, która podróżuje zazwyczaj pod brzuchami rekinów. Według starożytnych, mała ta rybka, uczepiwszy się dna statku, zdolna jest powstrzymać jego bieg; jedna z nich podobno zatrzymała okręt Antoniusza w czasie bitwy pod Akcjum i ułatwiła zwycięstwo Augustowi*. Od takich to wydarzeń zależą rzekomo losy narodów! Podziwiałem jeszcze przecudne ryby kwieciste, czczone przez Greków za ich moc wypędzania potworów morskich z wód, w których przebywały; nazwę swą zawdzięczają mieniącym się barwom, wspaniałym odcieniom czerwieni, od bladości róży do purpury rubinu, i drgającym połyskom płetwy grzbietowej.

Oczy wprost nie mogły się oderwać od tych cudów. Nagle ujrzałem coś zupełnie nieoczekiwanego.

W wodzie ukazał się człowiek. Nurek ów miał u pasa skórzaną sakiewkę; nie był to wcale trup miotany przez fale: to był żywy człowiek, znakomity pływak. Od czasu do czasu wypływał na powierzchnię, aby zaczerpnąć powietrza, i wówczas znikał nam z oczu.

Odwróciłem się od szyby i wzruszonym głosem zawołałem do kapitana Nemo:

---

* Wergiliusz (71–19 przed n. e.) — jeden z największych poetów rzymskich, autor epopei pt. „Eneida", sielanek pt. „Bukoliki", „Georgiki" itp.

* Est in Carpathio Neptuni gurgite vates caeruleus (łac.) — Błękitnooki wieszcz Neptuna w toni karpatyjskiej mieszka… (Neptun był w mitologii rzymskiej bogiem morza. Karpathos to wyspa na Morzu Egejskim często nazywanym przez Rzymian, od tej właśnie wyspy Morzem Karpatyjskim)

* …i ułatwiła zwycięstwo Augustowi — pod koniec I w. przed n. e. arystokracja rzymska w obawie przed buntami niewolników postanowiła obalić republikę w Rzymie i stworzyć dyktaturę wojskową. Dwaj wodzowie rzymscy — Marek Antoniusz i Oktawian (późniejszy cesarz August) — pretendowali do stanowiska dyktatora. W 31 r. przed n. e. przyszło między nimi do ostatecznej rozgrywki. W bitwie morskiej koło przylądka Akcjum, u wybrzeży greckich, zwyciężył Oktawian, któremu nadano tytuł Augusta (tj. „boskiego") i władzę imperatora

— Człowiek! Panie kapitanie, rozbitek! Trzeba go koniecznie wyratować!

Kapitan nic nie odpowiedziawszy podszedł do szyby. Człowiek podpłynął bliżej i, z twarzą przy szklanej ścianie, patrzył na nas.

Ku mojemu największemu zdumieniu kapitan Nemo dał mu jakiś znak ręką. Nurek odpowiedział również gestem, zawrócił ku powierzchni morza i nie pokazał się więcej.

— Proszę się nie obawiać, panie profesorze — odezwał się kapitan. — To jest Mikołaj, zwany Rybą. Pochodzi z przylądka Matapan, ale znają go na całym Archipelagu Cykladów. To śmiały nurek! Woda jest bardziej jego żywiołem niż ziemia, na której mało przebywa, pływając wiecznie od wyspy do wyspy nawet na Kretę.

— Pan go zna, kapitanie?

— Czemu by nie, panie profesorze?

To rzekłszy kapitan Nemo skierował się ku szafie stojącej przy lewej ścianie salonu. Obok szafy ujrzałem obity żelaznymi obręczami kufer, zaopatrzony u góry w mosiężną tabliczkę, na której wyryty był monogram „Nautilusa" z jego dewizą:

Nic sobie nie robiąc z mojej obecności, kapitan otworzył szafę, rodzaj kasy pancernej, i oczom moim ukazała się wielka ilość sztab. Były to sztaby złota.

Skąd pochodził ów szlachetny kruszec przedstawiający tak olbrzymią wartość? Gdzie to kapitan zaopatrywał się w złoto i co z nim zamierz;—] teraz uczynić?

Nie odzywałem się ani słowem. Patrzyłem dalej. Kapitan brał sztaby jedną po drugiej i układał systematycznie w kufrze, aż wypełnił go po brzegi. Oceniłem zawartość jego na ponad tysiąc kilogramów złota, co równało się pięciu milionom franków.

Kapitan zamknął szczelnie kufer i na wieku napisał jakiś adres w języku, zdaje mi się, nowogreckim.

Następnie nacisnął guzik połączony drutem elektrycznym z pomieszczeniem załogi. Ukazało się czterech ludzi, którzy nie bez trudu wywlekli ciężką skrzynię z salonu. Usłyszałem potem, jak za pomocą bloków windowali ją po żelaznych schodkach.

Kapitan Nemo zwrócił się do mnie:

— Pan coś mówił, profesorze?

— Nic nie mówiłem, panie kapitanie.

— Pozwoli pan zatem życzyć sobie dobrej nocy. To rzekłszy kapitan opuścił salon.

Można sobie wyobrazić, jak bardzo zaintrygowany powróciłem do swej kabiny. Na próżno usiłowałem zasnąć. Doszukiwałem się związku pomiędzy ukazaniem się nurka a owym kufrem pełnym złota. Poznałem niebawem po kołysaniu, że „Nautilus" opuścił głębiny i wypłynął na powierzchnię. Potem usłyszałem odgłosy kroków na pokładzie. Domyśliłem się, że odwiązano łódź i spuszczono ją na morze. Słyszałem jeszcze, jak kilkakrotnie uderzyła o bok „Nautilusa", po czym nastała cisza.

W dwie godziny później usłyszałem te same odgłosy i kroki. Łódź została wciągnięta na pokład i umocowana w swym zagłębieniu; „Nautilus" zanurzył się znów pod powierzchnię wody.

Tak więc miliony owe zostały wysłane pod wskazanym adresem. Gdzie? Na jaki punkt lądu? Z kim komunikował się kapitan Nemo?

Nazajutrz rano opowiedziałem Conseilowi i Kanadyjczykowi o wszystkich wydarzeniach tej nocy, które tak bardzo podnieciły moją ciekawość. Towarzysze moi byli zdumieni nie mniej ode mnie.

— Skądże on bierze te miliony? — dziwił się Ned Land.

Na pytanie to nikt z nas nie mógł odpowiedzieć. Po śniadaniu udałem się do salonu i zabrałem się do pracy. Do piątej po południu robiłem moje notatki. Nie wiem, czy przypisać to po prostu dyspozycji wewnętrznej, lecz zrobiło mi się tak gorąco, że musiałem zdjąć z siebie bisiorowe okrycie. Było to wprost niezrozumiale, bo przecież nie znajdowaliśmy się tak blisko zwrotnika, a ponadto „Nautilus" był pod wodą zupełnie niewrażliwy na podnoszenie się temperatury powietrza. Spojrzałem na manometr: wskazywał głębokość sześćdziesięciu stóp; gorąco atmosferyczne na pewno tu nie przenikało.

Pracowałem dalej, ale wkrótce temperatura tak się podniosła, że niepodobna było wytrzymać.

„Czyżby na statku wybuchł pożar?" — pomyślałem.

Już miałem wyjść z salonu, kiedy zjawił się kapitan Nemo. Podszedł do termometru, popatrzył i powiedział:

— Czterdzieści dwa stopnie.

— Dobrze to odczuwam, panie kapitanie — odrzekłem. — Jeszcze trochę, a nikt z nas tu nie wytrzyma.

— Och, panie profesorze! To tylko od nas zależy, czy temperatura wzrośnie, czy nie.

— Czyżby pan mógł regulować ją do woli?

— Nie, ale mogę oddalić się od jej źródła.

— A zatem jest ono poza statkiem?

— Oczywiście. Płyniemy w prądzie wrzącej wody.

— Niemożliwe! — zdumiałem się.

— Proszę, niech pan spojrzy.

Ściany rozsunęły się; wokół „Nautilusa" ujrzałem morze zupełnie białe. Wśród odmętów przewalały się kłęby siarkowych oparów, woda gotowała się jak w kotle. Dotknąłem ręką szyby, ale cofnąłem się szybko, tak była gorąca.

— Gdzież jesteśmy? — zapytałem.

— Koło wyspy Santoryn, panie profesorze — odparł kapitan. — Dokładnie w kanale oddzielającym Nea Kamenni od Palea Kamenni. Chciałem panu pokazać ciekawe zjawisko czynnego wulkanu podmorskiego.

— Mniemałem, że proces tworzenia się tych wysp zakończył się już całkowicie.

— W okolicach wulkanicznych proces taki nie skończy się nigdy — odparł kapitan Nemo. — Ogień podziemny bezustannie nurtuje naszą ziemię. Według Kassjodora* i Pliniusza, właśnie w miejscu gdzie później utworzyły się te wysepki, powstała w 19 roku naszej ery nowa wyspa, boska Theja. Pogrążyła się ona potem w falach, aby ukazać się w roku 69, i znowu zniknęła. Od tamtego okresu, aż do naszych czasów, procesy wulkaniczne się nie powtórzyły. 3 lutego 1866 roku z siarkowych oparów wynurzyła się w pobliżu Nea Kamenni wysepka, którą nazwano nazwiskiem George'a, a która zapadła się 6 tegoż miesiąca. W siedem dni potem, 13 lutego, w odległości dziesięciu metrów od Nea Kamenni ukazała się wysepka Aphroessa. Przebywając akurat na tych wodach, mogłem śledzić wszystkie fazy tego zjawiska. Wysepka Aphroessa była mniej więcej okrągła, mierzyła trzysta stóp średnicy na trzydzieści stóp wysokości. Zbudowana była z czarnej, szklistej lawy, pomieszanej z odłamkami szpatu. Wreszcie 10 marca w pobliżu Nea Kamenni pojawiła się jeszcze mniejsza wysepka, nazwana Ręka. Dziś wszystkie te trzy wysepki połączyły się i tworzą jedną wyspę.

— A gdzież jest kanał, którym teraz płyniemy? — zapytałem.

— Tutaj — odparł kapitan wskazując miejsce na mapie archipelagu. — Widzi pan, nowe wysepki są tu już naniesione.

— Przypuszczalnie ten kanał zapełni się kiedyś, prawda? — spytałem.

---

* Kassjodor Magnus Aurelius (468 – ok. 552 r. n. e.) — chrześcijański pisarz łaciński i mąż stanu w państwie Gotów, za panowania króla Teodoryka

— Bardzo możliwe, panie profesorze. Od roku 1866 ukazało się na wprost malutkiego Portu Św. Mikołaja na Palea Kamenni aż osiem małych wysepek z lawy. Jasne zatem, że i Nea z Paleą wkrótce się połączą.

Powróciłem do okna. „Nautilus” nie posuwał się naprzód. Gorąco było nie do zniesienia. Z białego morze stało się czerwone; barwę tę nadały mu jakieś sole żelaza, wydzielające się widocznie obficie. Mimo hermetycznej szczelności okien, czuć było nieznośny zapach siarki; zaobserwowałem nawet szkarłatne płomienie, przy których nikł blask światła elektrycznego.

Rozpływałem się, roztapiałem, dusiłem, gotowałem. Naprawdę myślałem, że się ugotuję!

— Nie można zbyt długo wysiedzieć w tej wrzącej wodzie — odezwałem się do kapitana.

— Rzeczywiście, i nawet nie byłoby to roztropne — odpowiedział obojętnie.

Na dany rozkaz „Nautilus” zawrócił i oddalił się od owego płonącego pieca, w pobliżu którego było już naprawdę niebezpiecznie.

W kwadrans później oddychaliśmy pełną piersią na powierzchni morza.

Wpadło mi na myśl, że gdyby Ned Land wybrał te właśnie okolice dla zorganizowania naszej ucieczki, na pewno nie wyszlibyśmy cało z rozpalonego morza.

Nazajutrz, 16 lutego, opuściliśmy ów basen Morza Śródziemnego, dochodzący pomiędzy Rodosem a Aleksandrią do trzech tysięcy metrów głębokości; „Nautilus” minął wyspę Cerigo i, opłynąwszy przylądek Matapan, pozostawił Archipelag Egejski poza sobą.

Rozdział VII
Morze Śródziemne w ciągu czterdziestu ośmiu godzin

Morze Śródziemne, owo w całym tego słowa znaczeniu błękitne morze, zwane „Wielkim” przez Hebrajczyków, Marę Nostrum przez Rzymian, a po prostu „Morzem” przez Greków — jest dzisiaj istnym polem bitwy, na którym Neptun z Plutonem walczą o panowanie nad światem*. Jego wybrzeża i wody są okolone drzewami pomarańczowymi i aloesem, kaktusami i piniami, przepojone wonią mirtu, obramowane stromymi górami, zanurzone w balsamicznej przejrzystej atmosferze, mimo że drąży i nurtuje je bezustannie ogień podziemny. Jest to część globu, gdzie, według Micheleta, człowiek zażywa dobrodziejstw jednego z najrozkoszniejszych klimatów.

Jednakowoż basen tego morza, zajmujący powierzchnię dwóch milionów kilometrów kwadratowych, wraz z całą swoją pięknością ledwie mignął mi przed oczami. Nawet nie skorzystałem z wiadomości kapitana Nemo na ten .temat, bo tajemniczy ów człowiek nie ukazał się ani razu przez cały czas tej podróży, odbytej zresztą bardzo szybko. Przestrzeń przebyta przez „Nautilusa” pod wodami tego morza wynosiła, według mnie, około czterech tysięcy dwustu mil; całość trasy przebyliśmy w dwie doby. Opuściwszy wody greckie 16 lutego rano, już 18 o świcie przebyliśmy Cieśninę Gibraltarską.

Stało się dla mnie zupełnie jasne, że owo Morze Śródziemne, wciśnięte pomiędzy lądy, których kapitan Nemo tak unikał, było mu szczególnie niemiłe. Prawdopodobnie fale i wichry przynosiły mu tutaj zbyt wiele wspomnień czy nawet żalu. Nie odczuwało się tu owej swobody, owej niezależności, którą dawały bezmiary oceanów. „Nautilusowi” ciasno było pomiędzy zbliżonymi do siebie wybrzeżami Afryki i Europy.

Toteż szybkość statku wynosiła dwadzieścia pięć mil na godzinę. Jasne, że Ned Land musiał — choć z wielkim żalem — zrezygnować ze swoich planów ucieczki. Nie mógł przecież użyć łodzi unoszonej z prędkością dwunastu do trzynastu metrów na sekundę. Opuszczenie „Nautilusa” w tych warunkach równałoby się wyskoczeniu z pędzącego pociągu, a więc byłoby krokiem co najmniej nierozważnym. Poza tym statek wypływał na powierzchnię morza jedynie w nocy; odświeżał wtedy zapas powietrza i pędził dalej, kierując się wyłącznie wskazaniami kompasu i logu.

Z tajemnic Morza Śródziemnego mogłem więc dojrzeć zaledwie tyle, ile dostrzega zwykle podróżny z okna ekspresu, to znaczy raczej odległy horyzont niż plan pierwszy, zazwyczaj migający tylko jak błyskawica. Conseil i ja mogliśmy czasem zaobserwować jedynie te ryby śródziemnomorskie, którym potężne płetwy pozwalały utrzymać się przez kilka chwil w pobliżu „Nautilusa”. Ale wciąż czatowaliśmy za szybami salonu i poczyniliśmy notatki, które pozwalają mi teraz w kilku słowach streścić ichtiologię tego morza.

W otchłani wodnej, żywo oświetlonej smugami światła elektrycznego, uwijały się metrowe minogi, pospolite zresztą we wszystkich prawie klimatach. Jak zwiewne szale zwijały się i rozwijały ryby ostroryjkowate, w rodzaju rai, szerokie na pięć stóp, z białymi brzuchami i popielatym cętkowanym grzbietem. Inne rodzaje raj przepływały tak szybko, że nie zdołałem stwierdzić, czy zasługują one bardziej na nadaną im przez Greków nazwę „orły”, czy też raczej na dziwaczne przezwiska, jak np. „szczur”, „ropucha” albo „nietoperz”, którymi obdarzają je rybacy współcześni. Szybkością rywalizowały z nimi dwunastostopowe żarłoczne tchórze, postrach nurków. Jak wielkie, niebieskawe cienie przemykały lisy morskie, długie na osiem stóp i wyposażone w nadzwyczaj czuły węch. Trzynastodecymetrowe dorady, z rodzaju leszczaków, przepływały tuż, przystrojone w srebro i lazur, z płetwami

* …na którym Neptun z Plutonem walczą o panowanie nad światem — w mitologii rzymskiej Neptun był bogiem morza, a Pluton bogiem podziemi i umarłych. Autor ma tu na myśli działanie wody i procesów wulkanicznych na kształtowanie się lądów i mórz

jakby poprzecinanymi lampasami na ciemnym tle; złociste brwi osłaniają oczy tych ryb, słusznie poświęconych Afrodycie. Wspaniałe jesiotry, długości dziewięciu i dziesięciu metrów, pływające bardzo szybko, potężnymi ogonami trącały o szyby statku, ukazując grzbiety niebieskawe z brunatnymi plamkami; wyglądem swym przypominają one żarłacze, lecz nie dorównują im siłą. Spotkać je można we wszystkich morzach, a wiosną lubią wpływać do wielkich rzek i podróżować pod prąd.

Gdy „Nautilus" zbliżał się do powierzchni wody, mogłem dobrze obserwować sześćdziesiąty trzeci rodzaj ryb ościstych, a mianowicie tuńczyki niebiesko—czarne na grzbiecie, srebrzyste na opancerzonym brzuchu, ze złotymi połyskami na płetwach grzbietowych. Ryby te rzekomo płyną za okrętami, chroniąc się w ich cieniu przed żarem zwrotnikowego słońca; jakoż towarzyszyły „Nautilusowi", tak jak niegdyś fregatom La Pérouse'a. Całymi godzinami szły o lepsze z szybkością naszego statku. Nie mogłem się oprzeć uczuciu zachwytu nad tymi stworzeniami jakby przystosowanymi do zawodów szybkości: mała główka, gładkie, wrzecionowate ciało długości ponad trzy metry, bardzo silne płetwy piersiowe oraz rozwidlony ogon. Ryby te płyną zwykle trójkątnym kluczem jak niektóre ptaki i prawie równie szybko, jak tamte; w związku z tym starożytni utrzymywali, że tuńczykom nieobca jest geometria i strategia.

Jeśli chodzi o ssaki morskie, to zdaje mi się, że — mijając Adriatyk — dostrzegłem dwa lub trzy kaszaloty, zbrojne w jedną płetwę grzbietową, kilka delfinów z rodzaju kręgogłowych, charakterystycznych dla wód Morza Śródziemnego, z tylną częścią głowy prążkowaną jaśniejszymi kreskami, wreszcie około tuzina fok o białych brzuchach i czarnych grzbietach, znanych pod mianem mnichów i rzeczywiście podobnych do trzymetrowych dominikanów.

Conseil twierdził, że dostrzegł sześciostopowego żółwia, ozdobionego trzema ośćmi sterczącymi wzdłuż pancerza.

Co do zwierzokrzewów — mogłem przez kilka chwil podziwiać tzw. włókno pomarańczowe, które uczepiło się szyby salonu po lewej stronie statku; była to długa, cieniutka tkanka, rozgałęziająca się w nieskończoną ilość włókienek zakończonych koronką tak delikatną, że sama Arachne* nie uprzędłaby jej subtelniej. Nie mogłem niestety złowić tego wspaniałego okazu. Zresztą nie dojrzałbym prawdopodobnie ani jednego więcej zwierzokrzewu śródziemnomorskiego, gdyby 16 lutego wieczorem „Nautilus" nie zwolnił nagle tempa. A było to tak:

Przepływaliśmy właśnie pomiędzy Sycylią a wybrzeżami Tunisu. Na tej przestrzeni, zawartej pomiędzy przylądkiem Bon a Cieśniną Mesyńską, dno morskie wznosi się bardzo stromo. Biegnie tędy jak gdyby grobla, nad którą leży warstwa zaledwie siedemnastu metrów wody, podczas gdy po obu stronach głębokość wynosi sto siedemdziesiąt metrów. Musiał więc „Nautilus" poruszać się bardzo ostrożnie, aby nie zaczepić o tę podwodną barierę.

Pokazałem Conseilowi na mapie Morza Śródziemnego ową długą rafę.

— Z przeproszeniem pana profesora — zauważył Conseil. — To jest prawdziwy przesmyk łączący Europę z Afryką.

— Tak, mój kochany — odparłem. — Zagradza on w poprzek całą Cieśninę Sycylijską; sondowania Smitha* dowiodły nawet, że niegdyś oba te kontynenty łączyły się w jedną całość między przylądkami Bon i Furina.

— Właśnie tak przypuszczałem — rzekł Conseil.

— Wiedz poza tym — dodałem — że podobna bariera istnieje także pomiędzy Gibraltarem a Ceutą; w odległych epokach geologicznych zamykała ona Morze Śródziemne całkowicie.

---

* Arachne — postać z mitologii starożytnej. Arachne, dziewczyna lidyjska, przędła tak pięknie, że wzbudziła tym zazdrość bogini mądrości, rzemiosła i robót krawieckich — Ateny. Zawistna Atena podarła tkaninę zrobioną przez Arachne i zamieniła młodą prządkę w pająka

* Smith Sidney (1764–1840) — admirał floty angielskiej

Conseil, uspokojony, zabrał się natychmiast do studiowania wysoko w tym miejscu wznoszącego się dna morskiego, którego „Nautilus” prawie dotykał ostrogą, płynąc z bardzo umiarkowaną szybkością. Przyglądał się zwłaszcza mięczakom i stawonogom, które słusznie podzielił na sześć klas.

Po przebyciu bariery w Cieśninie Sycylijskiej „Nautilus” ponownie zanurzył się w warstwy głębsze i powrócił do zwykłej szybkości. Znikły więc mięczaki, znikły stawonogi, znikły zwierzokrzewy, jedynie czasem wielkie ryby przemykały obok nas jak cienie.

W nocy z 16 na 17 lutego znaleźliśmy się w drugim basenie Morza Śródziemnego, gdzie największe głębokości osiągają trzy tysiące metrów. Party swą potężną śrubą, zagłębiał się „Nautilus” za pomocą sterów wysokościowych w najniższe warstwy morza.

Tu nie było już cudów przyrody; w otchłaniach wodnych napatrzyliśmy się na wiele scen wstrząsających i okropnych. Przepływaliśmy bowiem akurat tę część Morza Śródziemnego, która szczególnie obfituje w katastrofy; ileż statków poszło na dno, ileż okrętów zaginęło tutaj właśnie, na przestrzeni między brzegami Algierii a wybrzeżami Prowansji!

Morze Śródziemne, w porównaniu z rozległymi przestrzeniami Pacyfiku, jest zwykłym sobie jeziorem. Jest to wszakże jezioro o usposobieniu nader kapryśnym i zmiennym; dzisiaj zdaje się tulić i pieścić kruchą tartanę*, skąpaną w błękicie wód i nieba, jutro — wścieka się i pieni drażnione przez wichry, druzgoce najsilniejsze okręty szybkimi ciosami krótkich fal…

W czasie naszej przeprawy przez owe głębie zdołałem dojrzeć całe stosy rozbitych statków leżących na dnie; niektóre oplotły już korale, inne zaledwie pokryła warstwa rdzy; a ileż tam było kotwic, dział, pocisków, części żelaznych, ramion śrub, kawałków maszyn, strzaskanych cylindrów, popękanych kotłów; ileż kadłubów pływających jeszcze pod wodą — czasem prosto, czasem dnem do góry!

Niektóre z zatopionych statków zginęły wskutek zderzenia, inne rozbiły się o granitowe skały podwodne. Widziałem i takie, które zatonęły prostopadle, nie tracąc masztów, z ożaglowaniem usztywnionym przez wodę. Wyglądały zupełnie, jakby stały zakotwiczone na jakiejś nieznanej, ogromnej redzie i czekały tylko na chwilę odpłynięcia. Kiedy „Nautilus” przepływał między nimi, oblewając je smugami elektrycznego światła, wydawało się, że owe statki zamierzają pozdrowić go zatknięciem bander. Ale nie, w tej okolicy katastrof panowała tylko cisza i śmierć!

Zauważyłem, że liczba nieszczęsnych szczątków zwiększa się w miarę zbliżania się „Nautilusa” do Cieśniny Gibraltarskiej. Wybrzeża Afryki i Europy zbliżają się tu do siebie, jasne więc, że w tej wąskiej przestrzeni łatwiej o zderzenia. Ujrzałem tu niezliczone kadłuby żelazne, fantastyczne szczątki parowców to leżące, to stojące, podobne do jakichś potwornych zwierząt.

Straszliwy widok przedstawiał jeden ze statków z rozdartymi burtami, załamanym kominem, kołami, w których pozostała wyłącznie oprawa, sterem, oderwanym od kadłuba i wiszącym już tylko na żelaznym łańcuchu, wreszcie tablicą na rufie z napisem zżartym przez słoną wodę! Ileż istnień zginęło w tej katastrofie, ile ofiar pogrążyło się w przepaściach wód! Czy ocalał choć jeden marynarz, który mógłby opowiedzieć o przebiegu nieszczęścia? Czy też otchłań wodna do dziś strzeże tej tajemnicy zniszczenia?

Obojętny na wszystko, szybki „Nautilus” całą siłą swej śruby mknął wśród ruin i szczątków. 18 lutego około trzeciej w nocy dotarł do wrót Cieśniny Gibraltarskiej.

Istnieją tu dwa prądy: górny, znany od dawna, przelewający wody oceanu do basenu Morza Śródziemnego, i dolny — płynący w kierunku przeciwnym. Domyślano się tego już dawniej i rozumowano słusznie, że suma wód Morza Śródziemnego, wzrastająca nieustannie wskutek dopływu wody z Atlantyku i licznych rzek, musiałaby wpływać na stałe podnoszenie się poziomu tego morza, ponieważ parowanie nie wystarcza w żadnym razie do utrzymania równowagi. Tak jednak nie jest, a zatem musiano założyć istnienie dolnego prądu, który przez

* tartana — typ śródziemnomorskiej barki jednomasztowej o bardzo malowniczym układzie żagli

tę samą Cieśninę Gibraltarską przelewa do Atlantyku nadmiar wód Morza Śródziemnego.

Istotnie, „Nautilus” skorzystał właśnie z tego przeciwprądu przemykając się błyskawicznie przez wąską cieśninę. Przez chwilę tylko zdołałem dostrzec wspaniałe ruiny świątyni Herkulesa — jeśli wierzyć Pliniuszowi i Avienusowi* — pochłoniętej przez fale wraz z płaską wysepką, na której była zbudowana.

W kilka minut potem płynęliśmy już po Oceanie Atlantyckim.

* A v i e n u s — poeta i geograf rzymski żyjący w IV w. n. e.’

Rozdział VIII
Zatoka Vigo

Atlantyk! Rozległa przestrzeń wodna licząca około stu milionów kilometrów kwadratowych. Ogromne morze, w czasach starożytnych prawie nie znane; jedynie Kartagińczycy, ci Holendrzy starożytności, w swych wędrówkach handlowych zapewne opływali zachodnie wybrzeża Europy i Afryki. Wspaniała równina wodna, którą nieustannie prują statki wszystkich narodów, pod wszystkimi banderami świata; przestrzeń ujęta między dwa straszliwe dla wszystkich żeglarzy punkty: przylądek Horn i Przylądek Burz*! „Nautilus" pruł teraz owe wody swoją ostrogą, przebywszy w trzy i pół miesiąca około dziesięciu tysięcy mil, a zatem więcej, niż wynosi obwód kuli ziemskiej. Dokąd płynęliśmy i co nam teraz przyszłość gotowała? Po wyjściu z Cieśniny Gibraltarskiej „Nautilus" skierował się na pełne morze. Wypłynął na powierzchnię wody, więc mogliśmy znowu korzystać z codziennych przechadzek na pokładzie. Wyszedłem tam zaraz z Conseilem i Nedem.

W odległości około sześciu mil rysował się blado Przylądek Św. Wincentego, tworzący południowo–zachodni cypel Półwyspu Iberyjskiego. Wiał dosyć silny wiatr południowy. Morze było wzburzone i groźne. „Nautilus" kołysał się gwałtownie. Było prawie niemożliwością utrzymać się na pokładzie z powodu wielkich fal, bijących co chwila ze wszystkich stron. Zdołaliśmy tylko zaczerpnąć trochę powietrza, po czym trzeba było zejść pod pokład. Wróciłem do swego pokoiku. Conseil także udał się do swojej kabiny, ale Kanadyjczyk ze skupioną miną poszedł za mną. Nasz błyskawiczny przeskok przez Morze Śródziemne nie pozwolił mu na spełnienie powziętych zamiarów, nie ukrywał więc wcale swego rozczarowania.

Zamknął za sobą drzwi kabiny, usiadł i patrzył na mnie w milczeniu.

— Drogi Nedzie — odezwałem się. — Rozumiem was dobrze, ale nie mamy sobie nic do zarzucenia. W warunkach, w jakich płynął „Nautilus", myśleć o opuszczeniu go — byłoby szaleństwem!

Ned Land nie odpowiedział. Zaciśnięte usta i zmarszczone brwi wskazywały tylko, że opanowała go jedna natrętna myśl.

— Jeszcze nic straconego — rzekłem znowu. — Płyniemy wzdłuż brzegów Portugalii. Niedaleko stąd do Francji i Anglii, gdzie łatwo znaleźlibyśmy schronienie. Oczywiście byłbym równie niespokojny, jak i wy, gdyby „Nautilus" po wyjściu z Cieśniny Gibraltarskiej skierował się na południe, unosząc nas w okolice, w których lądu prawie nie ma. Teraz jednak wiemy już, że kapitan Nemo nie stroni od okolic cywilizowanych, zatem sądzę, że za kilka dni będziecie prawdopodobnie mogli zacząć działać bez ryzyka.

Ned Land spojrzał na mnie jeszcze bystrzej i odezwał się:

— Dzisiaj wieczorem.

Wyprostowałem się nagle. Przyznam się, że mało byłem przygotowany na taką wiadomość. Chciałem coś Kanadyjczykowi odpowiedzieć, ale zabrakło mi wprost słów.

— Zgodziliśmy się, że czekamy tylko na sposobność — ciągnął Ned Land. — Otóż sposobność nadarza się właśnie. Dziś wieczorem będziemy tylko o kilka mil od wybrzeży hiszpańskich. Noc ciemna. Wiatr dmie od strony morza. Mam pańskie słowo, panie profesorze, więc liczę na pana.

Ponieważ ciągle milczałem, Kanadyjczyk wstał i podszedłszy do mnie, powiedział:

— Dziś wieczorem o dziewiątej. Conseila już uprzedziłem. Kapitan Nemo zamknie się o tej porze w swojej kabinie i będzie prawdopodobnie spał. Nikt z załogi ani z obsługi maszyn

---

* Przylądek Burz — początkowa nazwa Przylądka Dobrej Nadziei, położonego na południowym krańcu kontynentu afrykańskiego

nie może nas zobaczyć. Conseil i ja udamy się ku środkowym schodom. Pan, panie profesorze, będzie siedział w bibliotece, o dwa kroki od nas, czekając mego znaku. Wiosła, maszt i żagiel są już w łodzi. Udało mi się nawet umieścić tam trochę żywności. Zaopatrzyłem się także w klucz francuski do odkręcenia śrub, które łączą łódź z kadłubem „Nautilusa". Jednym słowem, wszystko gotowe. Do zobaczenia wieczorem!

— Morze wzburzone… — wyszeptałem.

— Zgadzam się — odpowiedział Kanadyjczyk. — Musimy jednak zaryzykować. Za wolność warto zapłacić nie byle jaką cenę. Zresztą łódź jest mocna, a kilka mil z pomyślnym wiatrem — to właściwie niewielka trudność. Kto wie, czy jutro nie będziemy już o sto mil od brzegów, na pełnym morzu? Niech tylko okoliczności nam sprzyjają, a między dziesiątą i jedenastą wieczorem wylądujemy na jakimś punkcie stałego lądu — albo zginiemy. Z Bogiem więc, do zobaczenia wieczorem!

Po tych słowach Kanadyjczyk wyszedł pozostawiając mnie w oszołomieniu. Sądziłem zawsze, że w podobnym wypadku będę miał czas do namysłu, możliwości jakiejś dyskusji. Ale władcze usposobienie mojego towarzysza nie dopuściło nawet do tego. A zresztą, cóż bym mu powiedział? Ned Land miał najzupełniejszą słuszność: nadarzała się sposobność — korzystał z niej. Czyż mogłem cofnąć dane słowo i wziąć na siebie taką odpowiedzialność, poświęcić przyszłość mych towarzyszy, we własnym, czysto osobistym interesie? Czyż nie było prawdopodobne, że kapitan Nemo wypłynie jutro na pełne morze?

W tej chwili dość silny gwizd dał mi znać, że napełniają się zbiorniki i „Nautilus" zagłębia się w fale Atlantyku.

Pozostawałem nadal w swej kabinie. Chciałem uniknąć spotkania z kapitanem, aby ukryć przed jego wzrokiem podniecenie, które mną owładnęło. Spędziłem w ten sposób resztę tego smutnego dnia, miotany na przemian chęcią odzyskania swobody i żalem na myśl, że trzeba będzie opuścić ten cudowny statek przed zakończeniem podmorskich studiów. Porzucić ów ocean, ten „mój Atlantyk", jak go już czule nazwałem, nie zbadawszy go aż do najniższych warstw, nie wyrwawszy mu owych tajemnic, które odsłoniły przede mną oceany Indyjski i Spokojny! Moja powieść urywała się w takim razie po pierwszym tomie, mój sen kończył się nagle w najpiękniejszym momencie! Upływały przykre godziny; już widziałem siebie bezpiecznym, na stałym lądzie, wraz z towarzyszami — to znów życzyłem sobie w duchu, wbrew rozumowi, aby jakaś nagła przeszkoda wstrzymała realizację zamiarów Neda. Dwukrotnie wchodziłem do salonu, aby spojrzeć na kompas. Chciałem sprawdzić, czy istotnie „Nautilus" zbliżał się do wybrzeża, czy też oddalał od niego. Ani jedno, ani drugie! Statek płynął ciągle po wodach portugalskich wzdłuż brzegu, kierując się nadal na północ. Należało pogodzić się z losem i przygotować do ucieczki. Bagażu nie miałem dużo, ot, moje notatki i nic poza tym. Rozważałem, co też pomyśli kapitan Nemo o naszej ucieczce, o jakie przyprawi go ona niepokoje, o jakie troski! Co przedsięweźmie, w razie gdyby ucieczka nam się nie powiodła albo gdyby wykrył przygotowania do niej? Trzeba przyznać, że dotychczas nie miałem powodów do skarg, wręcz przeciwnie — gościnność jego była wyjątkowo szczera i serdeczna. Jednak opuszczając go nie mogłem być posądzony o niewdzięczność. Nie wiązała mnie z nim żadna przysięga. Zatrzymując nas przy sobie na zawsze — mógł liczyć tylko na siłę okoliczności, a nie na nasze słowo. W istocie jego otwarte żądanie przykucia nas do siebie w charakterze dożywotnich więźniów — usprawiedliwiało wszelkie nasze poczynania.

Nie widziałem kapitana od czasu naszego pobytu na wodach Santorynu. Czy los miał mnie zetknąć z nim jeszcze, zanim opuścimy ten pokład? Lękałem się tego i pragnąłem zarazem. Nasłuchiwałem, czy z jego pomieszczenia, które przylegało do mojego, nie dojdzie mnie odgłos kroków. Ale nie było słychać najmniejszego nawet szmeru. Chyba nikogo tam nie było. Zacząłem wątpić, czy w ogóle dziwny ten człowiek jest teraz na statku. Pojęcie, jakie sobie o nim wyrobiłem, uległo zmianie od owej nocy, kiedy to od „Nautilusa" odbiła

tajemnicza łódź. Pomyślałem, że kapitan Nemo zachował jednak nadal jakieś szczególnego rodzaju stosunki z ziemią. Czy wobec tego nie opuszczał „Nautilusa” od czasu do czasu? Ileż to razy mijały całe tygodnie, w czasie których bywał w ogóle niewidzialny. Cóż wtedy robił? Może — gdy ja go posądzałem o mizantropię.* — dokonywał owych tajemniczych czynów, których dotychczas nie dane mi było nawet się domyślać?

Myśli te nie dawały mi spokoju. W sytuacji, w jakiej znajdowaliśmy się, pole do domysłów było wprost nieograniczone. Czułem się bardzo niedobrze, byłem rozgorączkowany. Dzień nie miał wprost końca. Godziny wlokły się ślimaczo, niecierpliwiłem się ogromnie. Kolację, jak zwykle, przyniesiono mi do kabiny. Nie mogłem jeść, pogrążony w myślach. Kiedy wstałem od stołu, była siódma. Od chwili, w której miałem się połączyć z Nedem, dzieliło mnie jeszcze sto dwadzieścia minut, liczyłem je mimo woli. Moje podniecenie wzrastało, puls bił coraz szybciej. Nie mogłem usiedzieć na miejscu. Chodziłem tam i z powrotem po pokoju, próbując się opanować i uspokoić wzburzony umysł. Najmniejszym stosunkowo zmartwieniem była dla mnie myśl, że z tej zuchwałej wyprawy nie wyjdziemy cało; serce jednak biło mi mocniej, kiedy myślałem sobie, co nastąpi, jeżeli sprawa zostanie wykryta przed opuszczeniem przez nas „Nautilusa”, kiedy wyobrażałem sobie, że będę musiał stanąć przed kapitanem Nemo, którym na skutek naszej ucieczki owładnie wtedy gniew albo — co gorsza — smutek?

Postanowiłem ostatni raz zobaczyć salon. Wąskimi korytarzykami dotarłem do owego muzeum, gdzie spędziłem tyle miłych i pożytecznych godzin. Obejrzałem jeszcze raz wszystkie te bogactwa, wszystkie skarby; miałem uczucie człowieka udającego się na wieczne wygnanie, odjeżdżającego gdzieś, skąd nie ma powrotu. Miałem oto opuścić te cuda przyrody, te arcydzieła sztuki, wśród których od tak dawna już koncentrowało się moje życie. Gorąco pragnąłem spojrzeć jeszcze przez szybę salonu na wody Atlantyku, ściany były jednak hermetycznie zamknięte — od tego oceanu, którego jeszcze nie zdążyłem poznać, oddzielał mnie stalowy pancerz.

Błądząc tak po salonie, stanąłem nagle przed drzwiami w ściętym rogu pokoju, wiodącymi do kabiny kapitana. Ku wielkiemu mojemu zdumieniu drzwi były na pół uchylone. Cofnąłem się mimo woli. Jeśli kapitan Nemo był u siebie, mógłby mnie teraz dojrzeć. Po chwili zbliżyłem się jednak znowu, nie słysząc żadnego odgłosu. W pokoju na pewno nie było nikogo. Pchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Zrobiłem kilka kroków. Ten sam nastrój, surowy, klasztorny. Jakieś akwaforty na ścianach przyciągnęły moją uwagę, bo nie zauważyłem ich w czasie pierwszej wizyty. Były to portrety wielkich postaci historycznych, których życie było jednym pasmem poświęceń dla ludzkości: oto Kościuszko, zwyciężony bohater, który padł ranny z okrzykiem „Finis Poloniae!”*; oto Botsaris*, ten Leonidas* współczesnej Grecji; O’Connel*, obrońca Irlandii; Washington*, założyciel Unii Amerykańskiej; Manin*, patriota włoski; Lincoln*, który zginął od kuli zwolennika

---

* mizantropia — usposobienie nacechowane wrogością do ludzi

* F i n i s P o l o n i a e (łac.) — koniec Polski

* Botsaris Marcos (1788–1823) — jeden z bohaterów walk wyzwoleńczych narodu greckiego przeciwko Turkom. Odznaczył się w obronie miasta Missolongi. Zginął w bitwie pod Karpenisi

* Leonidas — król starożytnego greckiego państwa Sparty, panujący z początkiem V w. przed n. e. Leonidas słynny jest z bohaterskiej obrony przeciwko najeźdźcom perskim w wąwozie Termopile, w którym zginął ze wszystkimi swoimi żołnierzami

* O’Connell Daniel (1775–1847) — działacz irlandzki, broniący uciskanej przez lordów angielskich Irlandii w parlamencie brytyjskim i prasie. Początkowo cieszył się popularnością wśród ludu irlandzkiego, ale stracił ją, gdy nie ogłosił, jak tego od niego oczekiwano, zbrojnego powstania przeciwko Anglikom

* Washington George (1732–1799) — przywódca wojny z Anglikami o niepodległość, pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych i twórca konstytucji

* Manin Daniele (1804–1857) — włoski patriota, uczestnik walk niepodległościowych Italii przeciw monarchii austriackiej. W 1848 r., w czasie Wiosny Ludów, był prezydentem Republiki Weneckiej

* Lincoln Abraham (1809–1865) — działacz partii republikańskiej i prezydent Stanów Zjednoczonych,

niewolnictwa; wreszcie męczennik za sprawę wolności czarnej rasy — John Brown*, wiszący na szubienicy: wstrząsająco wierny rysunek Wiktora Hugo. Co za więź istniała między duszami tych bohaterów a duszą kapitana Nemo? Czyżby na koniec ta galeria portretów miała mi odkryć tajemnicę tego człowieka? Czy był to może jakiś obrońca uciśnionych ludów, czy wybawca narodów pozbawionych wolności? Czyżby brał udział we wstrząsach politycznych i społecznych naszego wieku? A może to jakiś bohater straszliwej wojny domowej w Ameryce, tak nieszczęsnej, a zarazem opromienionej chwałą?

Nagle zegar wybił godzinę ósmą. Pierwsze uderzenie wyrwało mnie gwałtownie z zamyślenia. Zadrżałem, jak gdyby jakieś niewidzialne oko spojrzało nagle w głąb mych najtajniejszych myśli; szybko wyszedłem z kabiny. Spojrzałem na kompas w salonie. Płynęliśmy ciągle na północ. Log wskazywał umiarkowaną szybkość, manometr — głębokość około sześćdziesięciu stóp. Wszystkie okoliczności zdawały się więc sprzyjać zamiarom Kanadyjczyka.

Wróciłem do swojej kabiny. Ubrałem się ciepło: wysokie buty morskie, futrzana czapka z wydry, kurtka z bisioru, podbita skórą fok. Byłem gotów. Czekałem. Głęboką ciszę panującą na pokładzie zakłócał jedynie cichy warkot śruby. Nadsłuchiwałem pilnie, czy jakieś okrzyki nie ostrzegą mnie nagle, że schwytano Neda na gorącym uczynku przygotowywania ucieczki. Owładnął mną śmiertelny niepokój.

Na kilka minut przed dziewiątą przytknąłem ucho do drzwi pokoju kapitana. Cisza. Wyszedłem z kabiny i wróciłem do salonu. Był pusty i pogrążony w półmroku.

Otworzyłem drzwi prowadzące do biblioteki. Ten sam półmrok, ta sama pustka. Ulokowałem się obok drzwi wychodzących na klatkę środkowych schodów. Oczekiwałem sygnału Neda.

W tej chwili obroty śruby zmalały, potem ustały zupełnie. Dlaczego ta zmiana w marszrucie? Nie orientowałem się, czy ten przystanek odpowiadał, czy raczej przeszkadzał planom Neda. W ciszy biło teraz głośno jedynie moje serce. Nagle poczułem lekki wstrząs; zrozumiałem, że „Nautilus” osiadł na dnie oceanu. Mój niepokój wzrósł. Sygnał cd Kanadyjczyka nie nadchodził. Poczułem nagle chęć, aby go odszukać i skłonić do odłożenia tej próby. Byłem pewien, że w naszej podróży zaszło coś niezwykłego… W tej chwili otworzyły się drzwi salonu; wszedł kapitan Nemo. Spostrzegł mnie i bez żadnego wstępu, ale bardzo uprzejmie odezwał się:

— Ach, to pan, panie profesorze! Właśnie pana szukałem. Czy zna pan dobrze dzieje Hiszpanii?

Byłem oszołomiony, straciłem zupełnie głowę! W tych warunkach nawet z najdokładniej znanej historii własnego kraju nikt nie potrafiłby zacytować ani słówka.

— No, cóż? — powtórzył kapitan Nemo. — Nie dosłyszał pan mego pytania? Czy pan zna dobrze dzieje Hiszpanii?

— Bardzo źle — zdołałem odpowiedzieć.

— Oto uczeni — z lekka zadrwił kapitan — którzy się niewiele nauczyli! Niech pan siada, panie profesorze — dodał po chwili. — Opowiem panu ciekawy epizod tych dziejów.

Rozsiadł się wygodnie na sofie, a ja machinalnie zająłem miejsce obok niego, w półcieniu.

— Niech pan dobrze słucha, panie profesorze — zaczął. — Opowiadanie moje powinno pana o tyle zainteresować, że udzieli panu odpowiedzi na pewne pytanie, którego niewątpliwie dotychczas nie zdołał pan rozwiązać.

---

rzecznik zniesienia niewolnictwa Murzynów. Został zamordowany przez zamachowca nasłanego przez plantatorów z Południa — byłych właścicieli niewolników, którzy w wyniku wojny domowej (1861–1865) zostali pokonani

* Brown John (1800–1859) — farmer ze stanu Wirginia, bojownik o zniesienie niewolnictwa Murzynów w Stanach Zjednoczonych. Usiłował wywołać ogólne powstanie niewolników, ale został pochwycony i skazany na śmierć przez powieszenie. Zamordowanie Johna Browna wywołało ogromne oburzenie na całym świecie i wznieciło szereg powstań Murzynów amerykańskich

— Słucham, panie kapitanie — odparłem nie wiedząc, do czego zmierza ten człowiek i czy incydent ten nie ma jakiegoś związku z naszymi planami ucieczki.

— Jeżeli pan zatem pozwoli — ciągnął kapitan Nemo — cofniemy się do 1702 roku. Wie pan oczywiście, że w owym czasie król wasz, Ludwik XIV, w mniemaniu, że wystarczy jeden jego władczy gest, aby zetrzeć z powierzchni ziemi łańcuch Pirenejów, narzucił Hiszpanom swego wnuka, księcia Anjou. Książę ów, panujący dość licho pod imieniem Filipa V, miał do czynienia z silnymi wrogami zewnętrznymi. Rok przedtem, mianowicie, zawarty został w Hadze sojusz między domami królewskimi Holandii, Austrii i Anglii, mający na celu wydarcie korony hiszpańskiej Filipowi V i włożenie jej na skronie jednego z arcyksiążąt, któremu przedwcześnie nadano imię Karola III.

Hiszpania musiała stawić czoło tej koalicji. Miała jednak zbyt mało żołnierzy i za słabą flotę. Jednego jej tylko nie brakło — pieniędzy, pod warunkiem wszakże, iż galiony ze złotem i srebrem, płynące z Ameryki, dotrą cało do portów. Właśnie z końcem 1702 roku oczekiwano dużego transportu płynącego pod eskortą dwudziestu trzech okrętów francuskich, którymi dowodził admirał Chateau–Renaud. Sprzymierzone floty koalicji grasowały wówczas po całym Atlantyku.

Początkowo celem konwoju był Kadyks; kiedy jednak admirał dowiedział się, że na wodach tych krąży flota angielska, postanowił zawinąć do jednego z portów francuskich. Hiszpańscy oficerowie konwoju zaprotestowali przeciwko tej decyzji. Żądali, aby skierowano ich do któregoś z portów Hiszpanii: jeżeli nie do Kadyksu, to w takim razie do zatoki Vigo, położonej na północno—zachodnich wybrzeżach kraju i nie objętej blokadą. Admirał Chateau–Renaud okazał się słaby i usłuchał owych żądań; galiony ze złotem wpłynęły do zatoki Vigo. Niestety jest to zatoka zupełnie otwarta i nie posiada żadnych warunków do obrony. Należało się śpieszyć z wyładowaniem galionów przed przybyciem floty sprzymierzonych; byłoby nawet dosyć czasu, gdyby nie powstał nagle nędzny problem konkurencji handlowej. Czy pan uważnie słucha? — spytał kapitan.

— Ależ oczywiście — odpowiedziałem, ciągle jeszcze nie mając pojęcia, jaki był cel całej tej lekcji historii.

— Więc proszę uważać, co się dalej stało. Kupcy Kadyksu mieli przywilej odbioru wszelkich transportów pochodzących z Indii Zachodnich. Wyładowanie zatem złota z galionów w porcie Vigo byłoby sprzeczne z prawem. Kupcy udali się ze skargą aż do Madrytu i wymogli na słabym Filipie V decyzję, iż konwój bez wyładowania ma pozostać w zatoce Vigo do czasu, kiedy nieprzyjaciel się oddali.

Tymczasem w chwili gdy powzięto to postanowienie, 22 października 1702 roku, do zatoki Vigo wpłynęły okręty angielskie. Mimo przewagi po stronie nieprzyjaciela — admirał Chateau–Renaud bronił się mężnie. Gdy jednak spostrzegł, że wszystkie skarby transportu wpadną na pewno w ręce wroga, kazał podpalić i zatopić galiony. Tak więc niezmierne owe bogactwa zatonęły w morzu.

Kapitan Nemo umilkł. Przyznam, że nadal nie wiedziałem, do czego cała ta historia zmierza…

— No i co dalej? — zapytałem.

— To, panie profesorze — odparł kapitan — że jesteśmy teraz w zatoce Vigo i jeżeli tylko pan zechce, może pan zgłębić jej tajemnice.

Wstał i poprosił, abym poszedł za nim. Zdołałem już ochłonąć i usłuchałem. Salon był pogrążony w mroku; przez szyby połyskiwały fale. Spojrzałem.

Wokół „Nautilusa”, w promieniu ćwierci mili, woda zdawała się przesycona blaskiem elektrycznym. Piaszczyste dno było jasne i czyste. Ludzie z załogi w skafandrach uwijali się wśród sczerniałych szczątków kadłubów, dobywając z rumowisk na pół przegniłe beczki i podziurawione skrzynie. Z tych skrzyń i baryłek wysypywały się sztaby złota i srebra, wielkie masy dukatów i klejnotów. Całe dno morskie było nimi zasłane. Obładowani cennym łupem,

powracali marynarze do „Nautilusa”, składali w nim swoje ciężary i znów podejmowali pracę na miejscu owego niewyczerpanego złoża srebra i złota. Tu zatem było pole bitwy z 22 października 1702 roku! W tym właśnie miejscu zatonęły galiony wiozące złoto dla rządu hiszpańskiego. Tu przybywał kapitan Nemo, ilekroć miał ładować nowe miliony na pokład „Nautilusa”. Dla niego i tylko dla niego przysłała Ameryka te bezcenne kruszce! On był bezpośrednim i jedynym dziedzicem skarbów, które podbitym Inkom wydarł Ferdynand Cortez*!

— Czy wiedział pan, profesorze — spytał kapitan z uśmiechem — że morze kryje w sobie tyle bogactw?

— Wiedziałem tylko, że oszacowano na dwa miliony ton ilość srebra rozpuszczoną w wodach oceanów.

— To prawda; ale koszt wydobycia tego srebra przewyższałby osiągnięty zysk. Tutaj natomiast mogę po prostu zbierać to, co ludzie potracili, i to nie tylko w zatoce Vigo, ale i w tysiącach innych miejsc katastrof, oznaczonych dokładnie na mojej mapie podmorskiej. Czy rozumie pan teraz, że bogactwa moje sięgają miliardów?

— Rozumiem, panie kapitanie. Proszę jednak pozwolić sobie powiedzieć, że w eksploatacji zatoki Vigo wyprzedził pan tylko pewne konkurencyjne przedsiębiorstwo.

— Cóż to za przedsiębiorstwo?

— Pewna spółka akcyjna otrzymała od rządu hiszpańskiego zezwolenie na przeprowadzenie poszukiwań zatopionych galionów. Akcjonariuszów nęci perspektywa olbrzymich zysków, ponieważ wartość tych zatopionych skarbów oszacowano na pięćset milionów.

— Pięćset milionów! — rzekł kapitan Nemo. — Było ich tam może i więcej, ale teraz już nie ma.

— No, myślę! — odparłem. — Dlatego też spełniłby miłosierny uczynek ten, kto by uprzedził o tym akcjonariuszy. Co prawda, kto wie, jak by go przyjęto? Zazwyczaj gracz nie tyle żałuje przegranych pieniędzy, ile straconej a szaleńczej nadziei. Zresztą żal mi nie tyle owych kombinatorów, co tysięcy biedaków, którym owe bogactwa, sprawiedliwie rozdzielone, mogłyby się przydać, podczas gdy w ten sposób pozostaną dla nich na zawsze bezużyteczne.

Nie dokończyłem jeszcze tych słów, kiedy uczułem, jak bardzo musiałem dotknąć kapitana Nemo.

— Bezużyteczne? — powtórzył. — Więc pan sądzi, panie profesorze, że te bogactwa idą na marne, ponieważ ja z nich korzystam? Czy pan myśli, że wydobywam je wyłącznie dla siebie? A skąd pan wie, czy nie używam ich w sposób właściwy? Wyobraża pan sobie, że nie mam pojęcia, iż są na świecie istoty cierpiące, narody uciśnione, biedacy, którym trzeba ulżyć, ofiary, które trzeba pomścić? Czy pan tego nie rozumie?…

Kapitan Nemo przerwał nagle, jakby żałując, że tak dużo powiedział. Ale odgadłem natychmiast, że jakiekolwiek były powody, dla których musiał szukać swobody aż pod morzami, pozostał on jednak człowiekiem! Zrozumiałem, dla kogo przeznaczone były miliony, które kapitan wyekspediował z pokładu „Nautilusa” na wodach greckich: na Krecie wrzało powstanie!

---

* Cortez Fernando (1485–1547) — hiszpański „conquistador”, tzn. „zdobywca”. Kierował podbojem Meksyku, dopuszczając się przy tym okrutnych zbrodni i zdzierstw na broniących swej niepodległości Indianach

Rozdział IX
Zaginiony kontynent

Nazajutrz, 19 lutego, z samego rana Kanadyjczyk wszedł do mojej kabiny. Oczekiwałem tego. Miną miał bardzo kwaśną.

— No i cóż, panie profesorze? — zagadnął.

— No i nic, kochany Nedzie. Szczęście nam nie sprzyjało.

— Właśnie! Ten przeklęty kapitan musiał zatrzymać statek właśnie w chwili, w której już —już mieliśmy uciekać.

— Tak, Nedzie. Musiał wstąpić do swojego bankiera.

— Do bankiera?

— A właściwie do swego banku. Mam na myśli ocean, gdzie bogactwa jego leżą bezpieczniej niż w skarbcach jakiegokolwiek państwa.

Opowiedziałem Kanadyjczykowi wydarzenia dnia wczorajszego w cichej nadziei, że potrafię odwieść go od zamiaru opuszczenia statku kapitana Nemo. Opowiadanie moje miało jednak tylko jeden skutek. Ned wyraził głębokie ubolewanie, że nie mógł odbyć na własną rękę spaceru po polu bitwy w zatoce Vigo.

— Ostatecznie, nic straconego — rzekł wreszcie. — Tym razem harpun chybił! Powiedzie się innym razem, a nawet dzisiaj wieczorem, jeśli będzie trzeba…

— Dokąd płynie „Nautilus”? — zapytałem.

— Nie mam pojęcia — odparł Ned Land.

— A więc zobaczymy w południe, kiedy ustalą położenie. Kanadyjczyk wrócił do Conseila. Ubrałem się i przeszedłem do

salonu. Kompas nie wskazywał nic pocieszającego. „Nautilus” płynął na południowy zachód. Odwróciliśmy się plecami do Europy.

Z pewną niecierpliwością czekałem naniesienia na mapę naszego położenia. Około pół do dwunastej opróżniono zbiorniki i statek nasz wypłynął na powierzchnię oceanu. Wybiegłem na pokład. Ned Land zdążył jednak przybyć tam przede mną.

Żadnego lądu na horyzoncie: morze i tylko morze! W dali ujrzałem zaledwie kilka żagli, były to zapewne statki opływające przylądek De La Roca, aby tam złapać pomyślne wiatry, wiejące w kierunku Przylądka Dobrej Nadziei. Było pochmurno. Zbierało się na sztorm.

Ned z wściekłością próbował przebić wzrokiem mglistą dal. Ciągle jeszcze miał nadzieję, że poza tą mgłą rozciąga się tak upragniona ziemia.

W południe na chwilę ukazało się słońce. Porucznik skorzystał z tego momentu, by ustalić jego wysokość nad horyzontem. W chwilę potem morze tak się wzburzyło, że musieliśmy zejść do wnętrza; klapę włazu szczelnie zamknięto. W godzinę potem ujrzałem naniesione na mapę położenie „Nautilusa”: 16° 17’ długości i 33° 22’ szerokości, sto pięćdziesiąt mil od najbliższego lądu. Nie było mowy o ucieczce; można sobie wyobrazić wściekłość Kanadyjczyka, kiedy mu przyniosłem tę wiadomość.

Co do mnie, nie bardzo się martwiłem. Poczułem ulgę, jak gdybym pozbył się wielkiego ciężaru, i powróciłem do moich zajęć ze względnym spokojem.

Około jedenastej wieczorem całkiem nieoczekiwanie przyszedł do mnie kapitan Nemo. Zapytał bardzo uprzejmie, czy nie czuję się zmęczony po źle przespanej poprzedniej nocy. Odpowiedziałem, że nie.

— Pozwoli pan zatem, panie profesorze, że panu zaproponuję ciekawą wycieczkę.

— Słucham, panie kapitanie.

— Chodził pan dotychczas po dnie morskim jedynie w dzień, przy świetle słonecznym. Czy nie zechciałby pan ujrzeć go w ciemnościach nocy?

— Ależ bardzo chętnie.

— Uprzedzam pana, że to wycieczka uciążliwa. Trzeba będzie długo iść, a potem wspinać się pod górę. A konserwacja dróg nie jest tu idealna!

— To wszystko tylko jeszcze bardziej mnie zaciekawia, panie kapitanie. Gotów jestem iść z panem.

— Chodźmy zatem, panie profesorze. Włożymy skafandry.

W szatni zrozumiałem, że ani nikt z załogi, ani moi towarzysze nie pójdą na tę wycieczkę. Kapitan Nemo nawet mi nie zaproponował zabrania z sobą Neda i Conseila.

Ubraliśmy się szybko; na plecach umieszczono nam zbiorniki, napełnione powietrzem, lamp elektrycznych jednak nie przygotowano. Zwróciłem na to uwagę kapitanowi.

— Nie będą nam potrzebne — odpowiedział.

Sądziłem, że źle usłyszałem, ale nie zdołałem powtórzyć uwagi, ponieważ głowa kapitana znikła już w metalowej kuli. Dopełniwszy mojego dziwacznego ubioru poczułem, jak mi wetknięto w rękę tęgo okutą laskę, i w kilka minut później zwykłym trybem znaleźliśmy się na dnie Atlantyku, na głębokości trzystu metrów.

Dobiegała dwunasta w nocy. W wodzie panowała ciemność, ale kapitan Nemo wskazał na widniejący w odległości mniej więcej dwóch mil od „Nautilusa” czerwony punkt, rzucający dość silny blask. Nie byłbym w stanie określić, co to był za płomień, co go zasilało, dlaczego i w jaki sposób trwał tak w płynnym żywiole; cokolwiek to jednak było, zawsze oświetlało nam drogę; niewyraźne było to światło, wkrótce jednak przywykłem do półmroku i zrozumiałem, dlaczego w tych warunkach lampy Ruhmkorffa były nam niepotrzebne.

Szliśmy z kapitanem Nemo obok siebie, wprost w kierunku owego światła. Płaski grunt wznosił się nieznacznie ku górze. Szliśmy dobrym marszem, wspierając się na laskach; nie posuwaliśmy się jednak bardzo szybko, ponieważ stopy grzęzły nam często w mule zmieszanym z wodorostami i usianym gęsto płaskimi kamykami.

Idąc tak, słyszałem ponad głową odgłosy podobne do padającego gradu. Szmer ten wzmagał się czasem, przypominając zwielokrotnione musowanie wody sodowej. Wkrótce zrozumiałem: nad nami padał gwałtowny deszcz, z pluskiem uderzając w fale. Przez głowę przeleciała mi śmieszna myśl, że zmoknę do nitki! Zmoknąć w wodzie! Roześmiałem się. Prawdę powiedziawszy jednak, w grubym skafandrze nie czuje się wcale płynności otaczającego żywiołu, ma się po prostu wrażenie przebywania w środowisku nieco tylko gęstszym od atmosfery ziemskiej.

Po półgodzinnym marszu grunt stał się bardziej skalisty. Meduzy, mikroskopijne skorupiaki i pennatule oświetlały go swą niewyraźną fosforescencją. Można było dojrzeć stosy kamieni, pokryte milionami zwierzokrzewów i plątaniną alg. Ślizgałem się często na owym lepkim podkładzie wodorostów i gdyby nie laska, nieraz byłbym upadł. Odwracając się widziałem ciągle białawy reflektor „Nautilusa”, blednący z wolna w oddali.

Skupiska kamieni, o których wyżej wspomniałem, leżały na dnie oceanu z zachowaniem pewnej regularności, której nie potrafiłem sobie wyjaśnić. Zdawało mi się, że dostrzegłem jakieś olbrzymie bruzdy ginące w mrocznej dali; długości ich nie sposób było określić. Poza tym dostrzegłem wiele innych rzeczy, których nie umiałem sobie wytłumaczyć. Wydawało mi się mianowicie, że swymi ciężkimi ołowianymi podeszwami miażdżę jakieś pokłady kości, z suchym chrzęstem łamały się one pod nogami. Co to była za równina, po której kroczyliśmy? Chciałem zapytać o to kapitana, nie potrafiłem jednak porozumiewać się jeszcze owym językiem znaków, w jakim rozmawiał on ze swymi towarzyszami w czasie podmorskich wycieczek.

Czerwona jasność, ku której zmierzaliśmy, wzrastała tymczasem i rozpłomieniała horyzont. Do najwyższego stopnia intrygowała mnie obecność tego ognia pod wodą. Czy były to jakieś wyładowania elektryczne? Czyż zbliżaliśmy się może do jakiegoś zjawiska, którego ziemscy uczeni jeszcze nie znają? A może — przemknęło mi przez głowę — płomień ów wznieciła ręka człowieka? Może pożar ten utrzymywano sztucznie? Może w głębinach

tych napotkam jakichś towarzyszy czy przyjaciół kapitana Nemo, którzy — jak on — żyją równie dziwnym życiem, a których szedł on teraz odwiedzić? Czyżbym się miał natknąć na całą kolonię wygnańców, którzy, w ucieczce od nędzy i trosk życia na ziemi, szukali i aż tu, na dnie oceanu, znaleźli wyzwolenie? Opadły mnie takie i tym podobne szalone, nierozsądne myśli; byłem tak podniecony cudami, które ciągle przesuwały się przed moimi oczyma, że w tym stanie ducha naprawdę chyba nie zdziwiłbym się, gdybym tu, na dnie morza, zobaczył teraz całe miasto, jedno z tych, o których marzył kapitan Nemo!

Droga nasza stawała się coraz jaśniejsza. Bielejący blask spływał ze szczytu góry, wysokiej na mniej więcej osiemset stóp. To jednak, co widziałem teraz, było tylko odblaskiem rozlewającym się w krysztale warstw wodnych; źródło tej niewytłumaczonej jasności znajdowało się na przeciwległym zboczu góry. Kapitan Nemo bez najmniejszych wahań szedł naprzód owymi labiryntami kamienistych bruzd. Znał widać doskonale ponurą tę drogę na dnie Atlantyku. Niewątpliwie przemierzał ją nieraz i nie obawiał się zbłądzenia. Towarzyszyłem mu z niezachwianą ufnością. Wydawał mi się, kiedy tak szedł przede mną, istnym geniuszem morza. Podziwiałem jego wysoką postać odcinającą się czarną sylwetką na tle jaśniejącego coraz bardziej widnokręgu. Była pierwsza po północy. Dotarliśmy do stoków góry; aby je przebyć, należało jeszcze zapuścić się w pogmatwane ścieżki rozległego lasu. Tak, lasu! Lasu martwych drzew, bez liści, bez żywicy; drzew skamieniałych pod działaniem wody, wśród których gdzieniegdzie wystrzelały w górę gigantyczne sosny! Istna kopalnia węgla za setki tysięcy lat; teraz drzewa stały jeszcze, wpijając się korzeniami w pozapadany grunt; na sklepieniu wód rysowały się wyraźnie potworne kontury jak wycinanka z czarnego papieru. Był to jakby las z gór Harcu, uczepiony na skalistym zboczu i pogrążony w masie wód. Ścieżki okrywał gąszcz alg i wstężyc, pomiędzy którymi mrowiło się od skorupiaków. Szedłem ciągle, piąłem się w górę po odłamkach skalnych, przełaziłem przez obalone pnie, przedzierałem się przez liany morskie, zwisające między drzewami, płoszyłem masy ryb przesuwających się z gałęzi na gałąź. Nie czułem zmęczenia, szedłem wciąż za swoim niestrudzonym przewodnikiem.

Co za widok! Jak go opisać? Jak odmalować ów las i owe skały zatopione w odmętach, ich poszycie mroczne i straszne, ich szczyty mieniące się czerwienią od owej niepojętej jasności, zwielokrotnionej zwierciadlanymi właściwościami wody? Wspinaliśmy się po skałach, które obsuwały się i waliły za nami tocząc się ogromnymi odłamami z głuchym odgłosem lawiny. Na prawo i lewo od nas ciągnęły się rozległe polanki, wyrąbane — zdawałoby się — ludzką ręką; oczekiwałem prawie, że lada chwila ukaże mi się jakiś człowiek — mieszkaniec tych głębin podmorskich.

Ale kapitan Nemo wspinał się ciągle w górę. Nie chciałem opóźniać marszu, więc szedłem za nim, choć z trudem. Laska okazała się nieoceniona. Niezwykle groźny byłby upadek na tych wąskich ścieżkach, wiodących nad przepaściami; szedłem jednak pewnie i bez uczucia zawrotu głowy. Przeskakiwałem szczeliny, których głębokość kazała mi przenosić się myślą w odległe czasy lodowców; po chwiejących się pniach, przerzuconych ponad przepaściami, przechodziłem nie patrząc pod nogi, nie odrywając oczu od dzikiego piękna malowniczego krajobrazu. Tu i ówdzie monumentalne skały, zawieszone na nieregularnie ściętych podstawach, zdawały się urągać wszelkim zasadom równowagi. Czasem w załamaniach wyrastały nagle, niby wytrysk pod wpływem potwornego ciśnienia, olbrzymie drzewa i nie wiadomo było, czy to one podtrzymują skały, czy też skały je wspierają. Naturalne wieżyce, olbrzymie głazy w kształcie murów i bastionów stały nachylone pod takimi kątami, na jakie prawa grawitacji nigdy nie zezwoliłyby na powierzchni ziemi. Ja sam zresztą odczuwałem na sobie ową różnicę powstałą dzięki potężnemu ciśnieniu wody; przecież mimo ciężkiego ubrania, miedzianej kuli na głowie i ołowianych podeszew, wspinałem się po zboczach niezwykle stromych i przebywałem je z lekkością kozicy.

W dwie godziny po opuszczeniu „Nautilusa” przebyliśmy wreszcie linię drzew i

ujrzeliśmy o sto stóp nad sobą szczyt góry; ona to zasłaniała swym konturem oślepiający blask, którego źródło znajdowało się po przeciwnej stronie zbocza. Tu i ówdzie rosły pokręcone dziwacznie, skamieniałe krzewy. Spod naszych stóp zrywały się całe masy ryb, zupełnie jak stada ptaków wypłoszonych z wysokiej trawy. W skalistej opoce natura wydrążyła nieprzeniknione czeluście i szczeliny, głębokie groty, jakieś przepastne lochy; na ich dnie słyszałem odgłosy poruszających się potwornych stworzeń. Krew odpływała z serca, gdy drogę zagradzały mi straszliwe macki, a w głębi czeluści zaciskały się z chrzęstem złowrogie kleszcze! W ciemnościach połyskiwały tysiące] punkcików: były to oczy ogromnych skorupiaków ukrytych w swych norach, homarów stojących prostopadle jak halabardziści i poruszających łapami jakby z chrzęstem przesuwanego żelastwa, olbrzymich krabów osadzonych jak działa na swych łożyskach, straszliwych mątw, których drgające macki przypominały kłębowisko wężów.

Cóż to za świat potworny, dotychczas zupełnie mi nie znany? Do jakiegoż rzędu należą te stawonogi, dla których drugą skorupę: tworzy niejako sama skała? Jakież są tajemnice ich istnienia i od ilu stuleci żyją tak w najgłębszych warstwach oceanu?

Nie mogłem jednak się zatrzymać. Kapitan Nemo, oswojony widać z tymi strasznymi stworami, nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Doszliśmy tak do płaskowzgórza, gdzie oczekiwały mnie dalsze niespodzianki. Ujrzałem malownicze ruiny, na których znać było już rękę nie Stwórcy, lecz człowieka. Były to ogromne nagromadzenia kamieni; można było rozróżnić pałace i świątynie okryte kwitnącymi zwierzokrzewami; nie bluszcz i dzikie wino, lecz algi i wstężyce tworzyły tu gruby płaszcz roślinny.

Czymże więc była ta część globu, zatopiona skutkiem jakiegoś kataklizmu? Któż to poukładał owe skały i kamienie, niby dolmeny* z okresów przedhistorycznych? Gdzie byłem? Dokąd to zawiodła mnie fantazja kapitana Nemo?

Chciałem go o to wszystko zapytać. Ponieważ było to niemożliwe, zatrzymałem go chwytając za ramię. Potrząsnął jednak głową i wskazał szczyt góry, zdając się mówić:

„Jeszcze dalej! Jeszcze! Jeszcze!”

Uczyniłem ostatni wysiłek i po kilku minutach osiągnąłem szczyt, który o jakieś dziesięć metrów górował nad całą tą skalistą okolicą.

Rzuciłem okiem na zbocze, któreśmy zdobyli; nie wznosiło się wyżej nad siedemset do ośmiuset stóp ponad powierzchnię równiny. Natomiast od strony przeciwległej góra ta panowała z dwukrotnie większych wysokości nad dnem tej części oceanu. Można stąd było ogarnąć wzrokiem rozległą przestrzeń, oświetloną gwałtownymi błyskami. Góra była wulkanem. O pięćdziesiąt stóp poniżej szczytu, wśród deszczu kamieni i żużlu wielki krater miotał strumienie lawy, które rozlewały się w płynnej masie ognistymi kaskadami. Jak olbrzymia pochodnia, oświetlał wulkan całą równinę aż do krańców horyzontu.

Wspomniałem, że z krateru buchała lawa, a nie płomienie; płomieniom trzeba tlenu z powietrza, nie mogą zatem powstawać pod wodą, lecz rozpalone do białości potoki lawy zdolne są do zwycięskiej walki z żywiołem wody, przy czym — oczywiście — potwornie parują. Gwałtowne prądy porywały te wydzielające się gazy, a potoki lawy osuwały się aż do stóp góry, niczym wylewy Wezuwiusza w podmorskim Torre del Greco*.

W dole widać było istotnie jakieś miasto zniszczone, zrujnowane, zwalone, zapadłe dachy domów, świątynie w gruzach, porozwalane sklepienia, obalone kolumny; we wszystkim znać było jeszcze masywne proporcje architektury bardzo zbliżonej do toskańskiej*; w oddali

---

* dolmeny — przedhistoryczne budowle wykonane z olbrzymich kamieni, znajdujące się na wybrzeżach Francji, Szwecji itd.

* Torre del Greco — miasto włoskie położone w Zatoce Neapolitańskiej, na południe od wulkanu Wezuwiusza

* architektura t o s k a ń s k a — jeden ze stylów architektonicznych używanych przez Rzymian starożytnych. Charakteryzowała go prostota, brak jakichkolwiek wyszukanych ornamentów, kolumny gładkie i koliste łuki sklepień

widniały szczątki kolosalnego akweduktu*; tu — obmurowana wyniosłość akropolu* z wznoszącymi się resztkami niby Partenonu*, tam — pozostałość nabrzeża, jak gdyby jakiś antyczny port na wybrzeżu nie istniejącego już oceanu, udzielający niegdyś schronienia statkom handlowym i wojennym; w dali widać było długie szeregi zwalonych murów, szerokie, opustoszałe ulice, istną zatopioną Pompeję*, którą teraz kapitan Nemo wskrzeszał przed moimi oczyma!

Gdzież więc jestem? Gdzie jestem?! Musiałem się tego dowiedzieć, musiałem za wszelką cenę! Chciałem mówić, pytać, chciałem zerwać sobie z głowy ów hełm miedziany!

Ale kapitan Nemo powstrzymał mnie jednym gestem.

Potem schylił się, podniósł kawałek kamienia kredowego, podszedł do złomu czarnego bazaltu i nakreślił na nim jedno słowo:

ATLANTYDA

Umysł mój rozświetliła nagła błyskawica! Atlantyda!… Dawna Meropida greckiego historyka Teopompa, Atlantyda filozofa Platona, kontynent, w którego istnienie nie wierzył Orygenes, Porfiriusz, Jambłicjusz, d'Anville, Malte–Brun, Humboldt… Wieści o jej zniknięciu zaliczali do zwykłych legend. A przecież tę Atlantydę, w którą jednak wierzył Possidonius, Pliniusz, Amian Marcellinus, Tertulian, Engel, Sherer, Tournefort, Buffon, d'Avezac, tę Atlantydę widziałem teraz na własne oczy i miałem oto przed sobą niezaprzeczalne dowody jej katastrofy! Więc to był ów ląd zatopiony, istniejący poza Europą, poza Azją i poza Libią* z tamtej strony Słupów Herkulesa*; to była ziemia, gdzie żyło potężne plemię Atlantów, z którymi starożytna Grecja wiodła swe najdawniejsze wojny!

Historykiem, który w pismach swych zebrał opisy sławnych czynów w owych heroicznych czasach, był sam Platon. Jego dialog Timeosa z Krytiasem napisany został, można by rzec, pod natchnieniem poety i prawnika — Solona.

Mianowicie Solon rozmawiał pewnego dnia z kilkoma uczonymi z Sais, miasta już wówczas osiemsetletniego, o czym świadczyły jego kroniki ryte na czcigodnych murach świątyń. Jeden ze starców opowiedział wtedy dzieje innego miasta, starszego od Sais jeszcze o tysiąc lat. Ów pierwszy gród ateński, liczący dziewięćset stuleci, napadnięty został i częściowo zburzony przez Atlantów. Atlanci — opowiadał starzec — zamieszkiwali ogromny kontynent, większy od Afryki i Azji razem wziętych, rozciągający się pomiędzy dwunastym a czterdziestym stopniem szerokości północnej. Hegemonia tego plemienia sięgała nawet Egiptu, Atlanci pragnęli narzucić ją także Grecji, musieli się jednak wycofać wobec niezwyciężonego oporu Hellenów. Wieki płynęły. Nadeszła chwila kataklizmu: powodzi, trzęsienia ziemi… Jednej doby starczyło, by zapadła się i znikła cała Atlantyda. Nad wodę wystają do dziś tylko najwyższe jej szczyty: Madera, Azory, Wyspy Kanaryjskie i Wyspy Zielonego Przylądka.

Takie oto reminiscencje historyczne obudził we mnie wyraz nakreślony przez kapitana Nemo. Tak więc, wiedziony przedziwnym przeznaczeniem, stąpałem teraz po szczycie i zboczach jednej z gór owego kontynentu! Własną ręką dotykałem ruin z czasów odległych o

---

* akwedukt — most służący do przeprowadzenia rur wodociągowych nad doliną, drogą itp.

* akropol — w grodach starożytnej Grecji warownia położona w najwyższym punkcie miasta

* Partenon — wspaniała świątynia w starożytnych Atenach poświęcona bogini Atenie; jej ruiny dotrwały do dziś

* Pompeja — dawne miasteczko położone u stóp Wezuwiusza. Było ono luksusową miejscowością wypoczynkową bogaczy starożytnego Rzymu. Wybuch Wezuwiusza w 79 r. n. e. spowodował całkowite zasypanie Pompei grubą warstwą popiołu i lawy. Od 1748 r. trwają w tym miejscu prace wykopaliskowe dostarczające wielu dokumentów o życiu i kulturze starożytnych Rzymian

* Libia — tak Rzymianie nazywali Afrykę

* Słupy Herkulesa — mitologiczna nazwa Cieśniny Gibraltarskiej

tysiące lat!

Ach, czemuż miałem tak mało czasu? Pragnąłem zsunąć się po stromych zboczach góry, przemierzyć wzdłuż i wszerz ogromny ten kontynent, niegdyś łączący zapewne Afrykę z Ameryką, zwiedzić owe wielkie przedpotopowe miasta i grody! Może tu właśnie pod mymi stopami leżał potężny, wojowniczy gród Makhimos; a może słynne ze świątobliwości miasto Euzebes, którego gigantyczni mieszkańcy żyli całe wieki, a byli tak silni, że potrafili nagromadzić potężne bloki skalne, dotychczas opierające się niszczącemu działaniu wody! Kto wie, czy pewnego dnia jakieś nowe zjawisko wulkaniczne nie wynurzy owych zatopionych ruin z powrotem na powierzchnię fal? W tej części oceanu sygnalizowane są przecież liczne wulkany podmorskie i nieraz statki, przepływające nad kotłującymi się odmętami, odczuwały jakieś niezwykłe wstrząsy. Niektóre donosiły o głuchych odgłosach zdradzających podwodną walkę żywiołów; inne pokazywały popiół i żużle wulkaniczne, wyrzucone na powierzchnię morza. Całe dno morskie aż do równika drążą tu jeszcze ciągle i kształtują — siły Plutona. Kto wie, czy kiedyś, za setki i tysiące lat, na powierzchni Atlantyku nie ukażą się szczyty gór zionących ogniem, które podwyższą się wskutek stałego nawarstwiania się pokładów lawy i innych produktów wulkanicznych!

Kiedy tak marzyłem, starając się wryć sobie w pamięć wszystkie możliwe szczegóły tego imponującego krajobrazu, kapitan Nemo stał skamieniały w niemej ekstazie, oparty nieruchomo o jakiś omszały obelisk. Czy myślał o tych nie istniejących już pokoleniach, czy może pytał je o tajemnicę ludzkich przeznaczeń? Czy może ów dziwny człowiek, który nie chciał nic wiedzieć o życiu współczesnym, przybywał w to miejsce, aby pogrążyć się we wspomnienia dawnych dziejów? Cóż dałbym za to, aby znać teraz jego myśli, aby je z nim dzielić i rozumieć!

Całą godzinę staliśmy tak w miejscu, spoglądając w zamyśleniu na rozległą równinę tonącą w blasku lawy, który wzmagał się niekiedy zadziwiająco. Od podziemnych wrzeń przebiegało czasem przez skorupę góry nagłe drżenie, rozlegały się głębokie, niskie tony, nabierające w owym płynnym ośrodku majestatycznej pełni. Nagle przez masy wód błysnął księżyc, oblewając bladymi promieniami zatopiony kontynent. Efekt tego nikłego połysku był nie do opisania!

Kapitan wyprostował się i rzucił jeszcze raz wzrokiem na niezmierzoną płaszczyznę. Potem dał znak ręką, abym wracał za nim.

Z góry zeszliśmy bardzo szybko. Po przebyciu skamieniałego lasu ujrzałem reflektor „Nautilusa”, błyszczący w oddali jak gwiazda. Kapitan skierował się wprost na to światło; wstąpiliśmy na pokład w chwili, gdy powierzchnię oceanu zaczęły lekko rozjaśniać pierwsze blaski porannej zorzy.

Rozdział X
Podmorska kopalnia

Nazajutrz, 20 lutego, obudziłem się bardzo późno. Męcząca wyprawa sprawiła, że spałem aż do jedenastej. Ubrałem się szybka, pilno mi było poznać kierunek, w jakim płynie „Nautilus". Instrumenty pokładowe wskazywały, że płyniemy ciągle na południe, z szybkością dwudziestu mil na godzinę, na głębokości stu metrów.

Zjawił się Conseil. Opowiedziałem mu o naszej nocnej wycieczce, a ponieważ ściany salonu były rozsunięte, mógł jeszcze dojrzeć część zatopionego kontynentu.

„Nautilus" płynął na wysokości najwyżej dziesięciu metrów ponad równiną Atlantydy. Mknęliśmy jak w balonie unoszonym przez wiatr ponad powierzchnią ziemi. Co prawda, siedząc w salonie byliśmy raczej podobni do pasażerów pociągu pośpiesznego. Na pierwszym planie przed naszymi oczyma przesuwały się fantastyczne sylwetki skał i całe puszcze drzew, które z roślin stały się już minerałami; nieruchome ich sylwetki widniały pod falami jakby narysowane. Były tam także całe zwaliska głazów, pokryte płaszczem aksydii i anemonów i najeżone długimi, prostopadle rosnącymi wodorostami, wreszcie dziwacznie ukształtowane bloki lawy, świadczące o potędze działania sił podziemnych.

Kiedy tak owe dziwne krajobrazy przesuwały się przed nami w świetle reflektora, opowiadałem Conseilowi dzieje Atlantów, których tak uroczo i z tak bujną fantazją opisywał Bailly*. Mówiłem o wojnach, jakie wiodły te waleczne ludy. Rozprawiałem o Atlantydzie jak człowiek, który już bezwzględnie wierzy w jej istnienie. Conseil jednak słuchał z pewnym roztargnieniem; wkrótce wyjaśniła się ta jego obojętność dla spraw historii.

Wzrok jego mianowicie przyciągały masy ryb przepływających przed oknami, a z chwilą kiedy zaczynały wchodzić w grę ryby, Conseil zatracał poczucie rzeczywistości, porwany bez reszty w otchłanie klasyfikacji.

I tym razem nie miałem innego wyjścia, jak pójść w jego ślady i razem z nim pogrążyć się w studiach ichtiologicznych.

Ryby Atlantyku niewiele różniły się od ryb, które mieliśmy sposobność oglądać przedtem. Obserwując tedy najprzeróżniejsze okazy owej fauny morskiej, nie spuszczałem z oka bezkresnych równin Atlantydy. Niektóre kapryśne ukształtowania gruntu zmuszały nasz statek do zmniejszania szybkości i prześlizgiwania się ze zręcznością wodnego zwierzęcia w wąskich gardzielach oddzielających jedne pagórki od drugich. Czasami labirynt takich gardzieli stawał się nie do przebycia, a wtedy „Nautilus" unosił się jak balon do góry, aby po przebyciu przeszkody powrócić do normalnego szybkiego biegu o kilka metrów ponad dnem. Cóż za wspaniała i cudowna podróż! Przypominała raczej przejażdżkę aerostatem, z tą jednak różnicą, że „Nautilus" posłuszny był rozkazom swego sternika.

Około czwartej po południu grunt zaczął się lekko zmieniać: gruby muł zmieszany ze skamieniałościami drzew i gałęzi stawał się bardziej skalisty, usiany konglomeratami tufu bazaltowego, odłamków lawy i szpatu polnego. Pomyślałem, że długa równina ustąpi wkrótce okolicom górzystym; rzeczywiście, przy niektórych zwrotach „Nautilusa" zdołałem zauważyć jak gdyby wysoki wał, zamykający horyzont od południa. Szczyt wynurzał się niewątpliwie ponad powierzchnię morza. A zatem musiał to być ląd albo co najmniej wyspa — może jedna z Wysp Kanaryjskich albo Zielonego Przylądka. Nie wiedziałem, gdzieśmy się znajdowali, ponieważ dnia tego, może rozmyślnie, nie ustalono położenia. Wydawało mi się w każdym razie, że wyniosłość owa oznacza kres Atlantydy, którą zwiedziliśmy tak pobieżnie.

Nie przerwałem obserwacji nawet po zapadnięciu nocy. Zostałem sam; Conseil odszedł już do swojej kabiny. „Nautilus" z wolna unosił się nad coraz mniej wyraźnym dnem oceanu, to

---

* Bailly Jean–Sylvain (1736–1793) — astronom francuski, autor obszernej historii astronomii

muskając je nieledwie, jakby zamierzał na nim osiąść, to znów wypływając, nie wiadomo po co, ku powierzchni wody. Mogłem wtedy dojrzeć niektóre jaśniejsze konstelacje, między innymi pięć czy sześć gwiazd tuż koło Oriona.

Długo jeszcze siedziałem tak przy szybie i podziwiałem uroki morza i nieba, zanim ściany statku nie zasunęły się. „Nautilus” dotarł do pionowej ściany wysokiego wału. Nie miałem najmniejszego pojęcia, w jaki sposób będzie się dalej posuwać. Wróciłem do kabiny. „Nautilus” stał nieruchomo. Zasypiając przyrzekłem sobie obudzić się za kilka godzin. Kiedy nazajutrz zszedłem do salonu, była już jednak ósma rano. Spojrzałem na manometr i odczytałem, że statek nasz unosi się na powierzchni oceanu. Z pomostu dobiegały mnie zresztą odgłosy kroków.

Nie czuło się jednak zwykłego kołysania. Wyszedłem po schodach aż do włazu w pokładzie; był otwarty. Jakież było moje zdziwienie, gdy zamiast białego dnia otoczyła mnie głęboka ciemność! Gdzie jesteśmy? Czyżbym się mylił? Może to jeszcze noc? Niemożliwe! Nie widać było ani jednej gwiazdy, a poza tym noc nigdy nie jest aż tak zupełnie ciemna.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć, kiedy nagle ktoś się odezwał:

— To pan, panie profesorze?

— Ach, pan kapitan! — ucieszyłem się. — Gdzie my jesteśmy?

— Pod ziemią, panie profesorze.

— Pod ziemią? — zdumiałem się. — Przecież „Nautilus” jest na wodzie?!

— „Nautilus” zawsze jest na wodzie.

— Nic nie rozumiem.

— Proszę chwilę zaczekać. Zaraz zapalimy reflektor. Lubi pan jasną sytuację, prawda? Będzie pan ją miał.

Wyszedłem na pokład i czekałem. Ciemności były tak głębokie, że nie widziałem nawet kapitana. W zenicie, prostopadle nad moją głową, dostrzegłem wprawdzie jakieś niewyraźne światło, jakąś szarość dochodzącą przez okrągły otwór, lecz w tej chwili nagle zapłonął reflektor tłumiąc swym potężnym blaskiem owo słabe światełko.

Oślepiony nagłą jasnością, przymknąłem na chwilę oczy. Potem spojrzałem. „Nautilus” stał nieruchomo, przy stromym niewysokim brzegu, niby przycumowany w porcie. Wody, na których unosił się w tej chwili, były niewielkim jeziorem o średnicy wynoszącej dwie mile, zatem o obwodzie — około sześciu mil. Jego poziom, jak zresztą wskazywał manometr, był identyczny z poziomem morza, bo oczywiście musiało istnieć między nimi jakieś połączenie. Wysokie ściany, chyląc się od podstawy ku środkowi, tworzyły w górze sklepienie podobne do ogromnego, odwróconego lejka, którego wysokość wynosiła pięćset czy sześćset metrów. W samym szczycie widniał okrągły otwór, przez który wpadało trochę światła, najwidoczniej światła dziennego.

Zanim zabrałem się do dokładniejszego zbadania wnętrza owej olbrzymiej jaskini, nie zastanawiając się nawet, czy jest ona tworem natury, czy też dziełem ludzkiej ręki, zwróciłem się wprost do kapitana:

— Gdzie jesteśmy?

— Wewnątrz wygasłego wulkanu — odparł. — W następstwie jakiegoś trzęsienia ziemi do środka jego wtargnęła woda. Kiedy pan spał, panie profesorze, „Nautilus” dostał się tutaj kanałem położonym o dziesięć metrów pod powierzchnią morza. Oto port macierzysty naszego statku — pewny, bezpieczny, wygodny, zakonspirowany i osłonięty od jakichkolwiek wiatrów! Niech pan spróbuje znaleźć na brzegu któregoś z waszych lądów stałych albo i wysp przystań równie bezpieczną, tak dobrze chroniącą od burz i huraganów!

— Tutaj jest pan rzeczywiście bezpieczny, panie kapitanie — rzekłem. — Któż by pana odszukał we wnętrzu wulkanu? Czy mi się jednak zdaje, że u samego szczytu znajduje się otwór?

— Owszem, to dawny krater; niegdyś zionął lawą, gazami i płomieniami, a dziś umożliwia

tylko dopływ świeżego powietrza do wnętrza góry.

— A cóż to właściwie za góra? — zapytałem.

— To jedna z licznych wysepek, w które obfituje ocean w tych okolicach. Dla zwykłych statków jest to po prostu skała, dla naszego zaś — olbrzymia jaskinia. Odkryłem ją przypadkiem; był to wyjątkowo szczęśliwy przypadek.

— Czy nie można się tu jednak dostać przez ów dawny krater?

— Nie, panie profesorze. Do wysokości około stu stóp można by jeszcze dotrzeć, ale wyżej ściany tak się pochylają, że nikt nie zdołałby się na nich utrzymać.

— Widzę, panie kapitanie, że przyroda sprzyja panu zawsze i wszędzie. Jest pan rzeczywiście zupełnie bezpieczny na tym jeziorze i nikt, poza panem, nie może tu wtargnąć. Ale proszę mi powiedzieć, po co panu właściwie schronienie; przecież „Nautilus" portu nie potrzebuje.

— Portu nie, panie profesorze, ale potrzeba mu prądu elektrycznego. W tym celu niezbędne mu są ogniwa, baterii, do nich z kolei potrzebuje sodu, do produkcji sodu trzeba węgla, węgiel zaś należy wydobywać z kopalni. Otóż właśnie tutaj morze pokrywa całe puszcze, zalane i zamulone niegdyś, w odległych epokach geologicznych, potem skamieniałe i wreszcie przemienione w niewyczerpane wprost pokłady węgla kamiennego.

— Więc załoga pańska, panie kapitanie, staje się tutaj brygadą górników?

— Tak jest. Pokłady węgla ciągną się pod morzem niczym kopalnie zagłębia Newcastle*. Ludzie moi przybrani w skafandry, z kilofami i szuflami w ręku dobywają tu właśnie węgiel; nie potrzebuję więc szukać go na lądzie. Kiedy przy fabrykacji sodu spalam węgiel, dym wychodzący przez krater sprawia na zewnątrz wrażenie, że wulkan jest nadal czynny.

— Czy będę mógł zobaczyć pańskich towarzyszy przy pracy?

— Nie, a ściślej mówiąc — tym razem nie, panie profesorze, ponieważ pilno mi w dalszą drogę, nie możemy przerywać naszej podmorskiej podróży dookoła świata. Korzystam obecnie z przygotowanych już zapasów sodu, zatrzymamy się więc tylko tyle, ile będzie trzeba, aby go załadować, to znaczy jeden dzień, potem natychmiast ruszamy dalej. Może pan skorzystać z tego dnia, panie profesorze, jeżeli chce pan zwiedzić naszą grotę i obejść jezioro dookoła.

Podziękowałem kapitanowi i poszedłem po obu mych towarzyszy. Siedzieli jeszcze u siebie w kabinie. Nie powiedziałem im, gdzie jesteśmy, lecz wyprowadziłem obu na pomost. Conseila, który niczemu się nie dziwił, nie zdziwiło i to, że zasnął pod wodą, a obudził się pod ziemią, Ned Land natomiast począł się natychmiast zastanawiać, czy z jaskini tej nie ma wyjścia.

Zjedliśmy śniadanie i około dziesiątej wyszliśmy na brzeg.

— Otóż i znowu jesteśmy na ziemi — odezwał się Conseil.

— To wcale nie ziemia — rzekł na to Kanadyjczyk. — A poza tym nie jesteśmy „na", tylko „pod".

Między ścianami groty i wodą jeziora ciągnęło się piaszczyste wybrzeże, dochodzące w najszerszym miejscu do pięciuset stóp szerokości. Plażą tą można było swobodnie obejść jezioro dookoła. Podstawa ścian natomiast była bardzo chropowata; leżały tam malowniczo rozrzucone bloki lawy i ogromne bryły pumeksu. Wszystko to połyskiwało w blasku naszego reflektora, ponieważ powierzchnia głazów pokryta była jakby polewą, powstałą pod wpływem żaru ogni podziemnych. Spod naszych stóp wzbijał się pył drobniutkich cząsteczek miki, który migotał w powietrzu jak snopy iskier.

W miarę oddalania się od wody grunt wznosił się coraz bardziej; wkrótce doszliśmy do długich i krętych chodników, prawdziwych serpentyn, pnących się łagodnie wzdłuż ścian pieczary; trzeba jednak było iść bardzo ostrożnie, gdyż sterty kamieni i minerałów

---

* Newcastle — miasto w Anglii, stolica hrabstwa Northumberland, ośrodek handlu węglem kamiennym w Anglii północnej

wulkanicznych nie były przecież powiązane cementową zaprawą, a stopy ześlizgiwały się na szklistych bryłach pełnego szpatu i kwarcu. Wszędzie można było stwierdzić wulkaniczne pochodzenie całej tej ogromnej jaskini. Zwróciłem na to uwagę moich przyjaciół.

— Możecie sobie chyba wyobrazić — mówiłem — co się działo w tym leju, kiedy jeszcze wypełniała go wrząca lawa i gdy ta cała masa rozpalona do białości wznosiła się aż do samego otworu u szczytu góry niczym roztopione żelazo w piecu.

— Wyobrażam to sobie doskonale — rzekł Conseil. — Ale czy pan profesor zechce mi wytłumaczyć, dlaczego ten piec jest już nieczynny i jak to się stało, że zamiast roztopionej masy znajduje się tu tylko spokojne jezioro?

— Prawdopodobnie jakiś wstrząs podziemny sprawił, że pod powierzchnią oceanu powstało pęknięcie, szczelina, otwór, z którego skorzystał potem „Nautilus", aby dostać się tu, do środka. Wody Atlantyku runęły wtedy do wnętrza wulkanu. Wywiązała się straszliwa walka dwóch żywiołów, a z walki tej Neptun wyszedł zwycięsko. Od tego czasu upłynęły wieki i zalany wulkan przemienił się z wolna w spokojną grotę.

— Bardzo to wszystko piękne — odezwał się Ned Land. — Wyjaśnienie jest całkiem zrozumiałe, żałuję tylko, że — w naszym własnym interesie — otwór, o którym wspomniał pan profesor, nie powstał ponad poziomem morza.

— Ależ, kochany Nedzie — powiedział Conseil — gdyby to nie było wejście podmorskie, „Nautilus" nigdy by się tu nie dostał.

— A poza tym — dodałem — woda nie wtargnęłaby do wnętrza góry i wulkan pozostałby wulkanem. Próżne więc wasze żale.

Szliśmy ciągle pod górę. Serpentyny były coraz mniej dostępne, coraz bardziej strome. Niekiedy przecinały je głębokie szczeliny, przez które trzeba było przeskakiwać. Sterczące głazy musieliśmy okrążać. Czołgaliśmy się na kolanach, a niekiedy i na brzuchach.

Pokonywaliśmy te przeszkody jedynie dzięki zręczności Conseila i sile Kanadyjczyka. Na wysokości około trzydziestu metrów grunt się zmienił, lecz droga nie stała się przez to łatwiejsza. Dotychczasowe zlepy skał i porfiry ustąpiły czarnym bazaltom; niektóre były w kształcie płyt pokrytych bąblami, inne tworzyły regularne graniastosłupy, podtrzymujące, niby ogromna kolumnada, łuki olbrzymiego sklepienia. Podziwialiśmy tę wspaniałą, naturalną architekturę. Między bazaltami wiły się długie strumienie zastygłej lawy inkrustowane żyłami smoły czy asfaltu, a gdzieniegdzie widać było grube warstwy siarki. Mocniejsze już nieco światło dzienne, wpadające przez krater, spowijało niepewnym blaskiem wszystko, co kiedyś wytworzyła działalność wulkanu, a co teraz spoczywało na wieki w łonie wygasłej góry.

Na wysokości około dwustu pięćdziesięciu stóp wspinaczka nasza natknęła się jednak na przeszkody nie do przezwyciężenia. Zbocze skalne stawało się coraz bardziej urwiste przechodząc w przewieszkę;— w końcu nasze wspinanie musiało zmienić się w spacer dookoła jaskini. Była to granica, na której w ów świat minerałów zaczął wkraczać świat roślin. Z załamań w ścianach wyrastało parę krzewów, a nawet nieco drzew. Rozpoznałem euforbie, ociekające gryzącym, żrącym sokiem. Kilka heliotropów — nie usprawiedliwiających zresztą swej nazwy*, ponieważ promienie słoneczne nigdy tu nie docierały — pochylało smutne kielichy o barwie i zapachu jakby przywiędłych. Tu i ówdzie, u stóp aloesu o długich, smutnych i chorowitych liściach rosły nieśmiało chryzantemy. Między potokami lawy dojrzałem kilka fiołków, malutkich i bardzo słabo pachnących; woń tę wdychałem jednak z rozkoszą. Zapach to dusza kwiatu, a kwiaty morskie, choć wspaniałe, duszy jednak nie mają.

Kiedy dotarliśmy do stóp silnie rozrośniętego krzewu smokowca, Ned Land krzyknął nagle:

---

* Kilka heliotropów — nie usprawiedliwiających zresztą swej nazwy — „heliotrop" po grecku znaczy: obracający się ku słońcu

— Ul, panie profesorze, ul!

— Ul? — zdumiałem się wykonując gest niedowierzania.

— Tak, tak, w każdym razie rój — zapewniał Kanadyjczyk. — I pszczoły brzęczą naokoło!

Zbliżyłem się i stwierdziłem, że Land ma słuszność. W pniu drzewa widniała dziura, a u jej wylotu wirowały tysiące owych mądrych owadów, tak często spotykanych na Wyspach Kanaryjskich, a cenionych ze względu na miód i wosk. Oczywiście Kanadyjczyk przede wszystkim zapragnął zaopatrzyć się w miód; nie chciałem oponować. Rozpalił więc nieco suchych liści posypanych siarką i zabrał się do wykurzania pszczół. Powoli ucichło ich brzęczenie i opróżniony ul dostarczył Nedowi kilku funtów wonnego miodu, który natychmiast znikł w jego tobołku.

— Przyprawię tym miodem ciasto z drzewa chlebowego — oświadczył — i przyrządzę wam coś wybornego.

— Phi! — odezwał się Conseil. — Zwykły piernik!

— Mniejsza o piernik — rzekłem. — Idźmy dalej. Ten spacer jest bardzo interesujący.

Z niektórych miejsc ścieżki, po której szliśmy, jezioro widoczne było w całej swej rozciągłości. Powierzchnię jego, nie znającą fal ani nawet zmarszczek, oświetlał dokładnie reflektor „Nautilusa”. Statek stał nieruchomo. Na pokładzie i na brzegu widać było tylko czarne sylwetki ludzi z załogi, odcinające się wyraźnie na jasnym tle.

Szliśmy właśnie wzdłuż występu ciągnącego się przy samych skałach podtrzymujących sklepienie. Ujrzałem, że pszczoły nie były jedynymi przedstawicielami fauny we wnętrzu tego wulkanu. W cieniu krążyły drapieżne ptaki, latające nad gniazdami uwitymi w załamaniach skał. Były to białobrzuche jastrzębie i krzykliwe pustułki. Po zboczach zmykały, ile tylko siły w szczudłowatych nogach, piękne i tłuste dropie. Proszę sobie wyobrazić, jak widok tej wyśmienitej zwierzyny rozpalił pożądliwość Kanadyjczyka i jak bardzo Ned żałował, że nie ma strzelby przy sobie. Próbował zastąpić ołów kamieniami i po wielu próżnych wysiłkach zdołał wreszcie trafić jednego dropia. Chyba ze dwadzieścia razy ryzykował przy tym własne życie, ale w końcu ptak powędrował do tobołka razem z przyszłym piernikiem. Musieliśmy wreszcie zejść ku brzegowi, bo droga stała się już nie do przebycia. Nad nami widniał rozwarty krater, niby otwór ogromnej studni. Z tego miejsca widać było wyraźnie niebo i pędzone zachodnim wiatrem chmury, wlokące swe mgliste strzępy tuż nad wierzchołkiem góry. Chmury płynęły zatem dość nisko, gdyż wulkan nasz wznosił się na wysokość najwyżej ośmiuset stóp ponad poziomem morza.

W pół godziny po ostatnim świetnym wyczynie Kanadyjczyka dotarliśmy do brzegu jeziora. Florę reprezentowała tu jedynie bujnie rosnąca roślina z rodzaju baldaszkowatych, zwana „morskim koperkiem”, doskonała na konfitury. Fauna była obfitsza; widzieliśmy tysiące najprzeróżniejszych skorupiaków, jak homary, kraby, krewetki i inne, oraz ogromną ilość muszli: porcelanek, skałek i patelek.

W miejscu tym otworzyła się przed nami urocza, niewielka grota; rozciągnęliśmy się z przyjemnością na jej miałkim, delikatnym piasku. Ściany groty wypalone niegdyś przez ogień lśniły jak emalia, połyskując pyłem miki. Ned Land zabrał się do obmacywania tych murów, próbując zbadać ich grubość. Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu. Rozmowa zeszła naturalnie na temat odwiecznych projektów ucieczki. Wydało mi się, że mogę bez ryzyka roztoczyć przed harpunnikiem pewną nadzieję: kapitan Nemo skręcił na południe niewątpliwie po to tylko, aby odnowić swoje zapasy sodu. Teraz należało się spodziewać, że zawróci w okolice wybrzeży Europy i Ameryki, a to zapewni Kanadyjczykowi możność ponowienia prób z większym sukcesem niż dotychczas.

Odpoczywaliśmy tak w owej przemiłej grocie ponad godzinę. Rozmowa, zrazu ożywiona, przycichła nieco. Ogarnęła nas senność. Nie miałem powodu opierać się jej, więc wkrótce zapadłem w głęboki sen.

Zbudził mnie nagle głos Conseila, który krzyczał:

— Alarm! Uciekajmy!

— Co się dzieje? — pytałem na pół przebudzony.

— Woda nas zalewa!

Zerwałem się. Do naszego zacisza waliło morze jak wezbrany potok; nie byliśmy mięczakami — trzeba było uciekać.

Po kilku chwilach siedzieliśmy bezpiecznie na samym szczycie groty.

— Co się właściwie stało? — pytał Conseil. — Cóż to za nowe zjawisko?

— Nic strasznego, moi kochani — uspokoiłem ich. — To przypływ, po prostu przypływ, który omal nas nie zaskoczył. Na zewnątrz groty ocean się podnosi i na zasadzie prawa naczyń połączonych poziom jeziora zmienia się również. Tyle tylko, żeśmy się trochę skąpali. Chodźmy się przebrać do „Nautilusa".

W trzy kwadranse później zakończyliśmy nasz okólny spacer i powróciliśmy na pokład. Ludzie z załogi kończyli właśnie ładowanie zapasów sodu i „Nautilus" mógł zaraz odpłynąć. Tymczasem kapitan Nemo nie wydawał żadnego rozkazu. Czyżby czekał na zapadnięcie nocy, chcąc ukryć przed nami owo podmorskie przejście? Być może. Tak czy owak — „Nautilus", po opuszczeniu swego portu macierzystego, płynął nazajutrz na pełnym morzu, z dala od wszelkiego lądu, o kilka metrów pod powierzchnią Atlantyku.

Rozdział XI
Morze Sargasowe

Kierunek naszej marszruty nie zmienił się. Musieliśmy na razie odrzucić wszelkie nadzieje na powrót „Nautilusa” ku wodom europejskim. Kapitan Nemo kierował się cały czas na południe. Dokąd nas wiózł? Nie miałem pojęcia. Tego dnia „Nautilus” przebył niezwykle interesującą część Atlantyku.

Każdy zna ów wielki, ciepły prąd zwany Prądem Zatokowym albo Golfsztromem, który wypływa z okolic Florydy, kierując się aż do Spitsbergenu. Około 44° szerokości północnej dzieli się on jednak na dwa ramiona: jedno, kierujące się ku wybrzeżom Irlandii i Norwegii, i drugie, skręcające ku południowi na wysokości Wysp Azorskich, wzdłuż brzegów Afryki; po zakreśleniu wydłużonego owalu prąd ten powraca ku Antylom.

Ten właśnie prąd — przypominający raczej naszyjnik niż ramię — okrąża swymi ciepłymi wodami zimną, spokojną i nieruchomą część Atlantyku, nazwaną Morzem Sargasowym. Jest to prawdziwe jezioro na pełnym oceanie. Wody wielkiego prądu potrzebują trzech lat, aby je okrążyć.

Ściśle mówiąc, Morze Sargasowe pokrywa całą zatopioną Atlantydę. Niektórzy autorzy sądzą nawet, że olbrzymie ilości wodorostów, w jakie to morze obfituje, pochodzą wprost z łąk i stepów tego dawnego kontynentu. Jednakże wydaje się bardziej prawdopodobne, że algi i wstężyce, naniesione tu zostały Prądem Zatokowym z wybrzeży Europy i Ameryki.

Okolica Atlantyku, którą zwiedzaliśmy w tej chwili, była prawdziwym stepem, istnym kobiercem alg i fukusów, owych „winnic zwrotnikowych”. Preria ta jest tak zbita i gęsta, że nawet dziób nie byle jakiego statku nie potrafi się przez nią przedrzeć bez szkody dla siebie. Dlatego też kapitan Nemo, nie chcąc widocznie ryzykować oplatania śruby „Nautilusa” tym zielskiem, utrzymywał się stale na głębokości kilku zaledwie metrów pod powierzchnią oceanu.

Nazwa Morza Sargasowego pochodzi od hiszpańskiego słowa „sargazo”, oznaczającego wodorosty. Wodorosty te tworzą tutaj olbrzymią, niezmierzoną ławicę. Dlaczego owe rośliny gromadzą się w tej spokojnej części Atlantyku, tłumaczy uczony autor „Geografii fizycznej świata”, Maury:

„Wyjaśnienie możemy znaleźć w ogólnie znanym doświadczeniu: jeżeli do naczynia z wodą wrzucimy kawałeczki korka lub innego ciała pływającego, po czym zaczniemy mieszać wodę tak, aby nadać jej ruch obrotowy, to ujrzymy, że porozrzucane cząsteczki zbiorą się w jednym miejscu, mianowicie w samym centrum wodnej powierzchni, czyli w punkcie stosunkowo najspokojniejszym. Otóż w rozpatrywanym przez nas zjawisku naczyniem będzie Atlantyk, czynnikiem nadającym wodzie ruch obrotowy — Prąd Zatokowy, a punktem centralnym, gdzie zbierają się właśnie ciała pływające — Morze Sargasowe…”

Podzielam to zdanie Maury’ego; miałem możność zaobserwowania tego zjawiska tam, gdzie statki zapuszczają się bardzo rzadko.

Pod nami, wśród gąszczów brunatnych wodorostów, unosiły się ciała najróżniejszego rodzaju, pnie drzew, powyrywane zapewne w Kordylierach albo w Górach Skalistych i przyniesione do Atlantyku z prądem Amazonki lub Missisipi, liczne szczątki okrętów, resztki stępek i burt, podziurawione kadłuby, wszystko to tak bardzo oblepione, a zatem obciążone muszlami i skorupiakami, że nie było w stanie pływać po powierzchni oceanu.

Przez cały dzień 22 lutego płynęliśmy po owym Morzu Sargasowym. Ryby, żywiące się roślinami wodnymi i skorupiakami, mają tam wspaniałe żerowisko. Nazajutrz ocean przybrał znów zwykły swój wygląd.

Od tej chwili, to jest od 23 lutego, przez osiemnaście dni, aż do 11 marca, „Nautilus” trzymał się środka Atlantyku płynąc na południe ze stałą szybkością dwustu mil na dobę.

Kapitan Nemo chciał niewątpliwie wypełnić swój program podróży podmorskiej; byłem pewien, że zamierza okrążyć przylądek Horn i powrócić na południowe wody Pacyfiku.

Obawy Neda były więc słuszne. Nie można było marzyć o próbach opuszczenia statku na tych bezkresnych wodach, z dala od lądów i wysp. Nie było także sposobu sprzeciwienia się woli kapitana Nemo; pozostawało jedynie poddać się jej. Chwilami myślałem sobie jednak, że można będzie osiągnąć perswazją to, co było nie do osiągnięcia ani siłą, ani podstępem. Czy po zakończeniu podróży kapitan Nemo nie zgodziłby się zwrócić nam wolności w zamian za przysięgę, że nigdy nie zdradzimy się słówkiem o jego istnieniu? Przecież przysięgi takiej dotrzymalibyśmy z pewnością. Trzeba by było poruszyć tę delikatną sprawę bezpośrednio z kapitanem. Wątpliwe jednak, czyby mnie dobrze przyjął, gdybym przyszedł do niego z taką propozycją. Czyż nie zaznaczył z naciskiem na samym początku, że tajemnica jego istnienia wymaga bezwzględnie naszego dożywotniego uwięzienia na pokładzie „Nautilusa”? Może wydało mu się, iż moje milczenie trwające już cztery miesiące wyraża cichą zgodę na tę sytuację? Jeżeli teraz powrócę do tego tematu, czy nie obudzi to w nim podejrzeń, które potem przeszkodzą nam w naszych projektach w razie, gdyby kiedyś nadarzyła się sposobność ucieczki? Wszystkie te względy i argumenty ważyłem i rozważałem teraz wielokrotnie; podsuwałem je także Conseilowi, który był w nie mniejszej rozterce ode mnie. W końcu zrozumiałem, choć nie należę do ludzi łatwo zniechęcających się, że szansę ujrzenia kiedykolwiek moich bliźnich słabną z każdym dniem, zwłaszcza teraz, kiedy kapitan Nemo tak zdecydowanie podążał na południe.

W czasie tych osiemnastu dni, o których wspomniałem, w naszej podróży nie wydarzyło się nic szczególnego. Kapitana widywałem rzadko. Pracował. Często znajdowałem w bibliotece książki, zwłaszcza dzieła przyrodnicze, które pozostawiał otwarte. Przeglądana przez niego moja praca o głębinach oceanów pokryta była w wielu miejscach notatkami na marginesach; zaprzeczały niekiedy moim teoriom i systematyce. Rzadko jednak kapitan prowadził ze mną dyskusję; przeważnie zadowalał się tylko poprawianiem mojego dzieła. Kilkakrotnie słyszałem także, jak grywał melancholijne melodie na organach, ale zdarzało się to wyłącznie w nocy, w najgłębszej ciemności, gdy „Nautilus” zasypiał wśród bezmiaru mórz.

Podczas tego etapu naszej podróży płynęliśmy całymi dniami po powierzchni oceanu. Morze było zupełnie puste. Czasem tylko jakiś żaglowiec płynący do Indii mijał nas, kierując się ku Przylądkowi Dobrej Nadziei. Pewnego razu ścigały nas przez czas pewien odzie jakiegoś statku wielorybniczego, poczytując widocznie „Nautilusa” za cenny okaz olbrzymiego wieloryba. Kapitan Nemo jednak, nie chcąc, aby poczciwi rybacy tracili daremnie czas i siły, zakończył ten pościg, zanurzając się po prostu pod wodę.

Zauważyłem, że incydent ten żywo zainteresował Neda. Prawdopodobnie nie mylę się sądząc, że Kanadyjczyk żałował mocno, iż naszego stalowego wieloryba nie mógł śmiertelnie ugodzić harpun wielorybników.

Ryby, które Conseil i ja zaobserwowaliśmy w tym czasie, niewiele różniły się od gatunków zauważonych pod innymi szerokościami. Należałoby tylko wymienić kilka okazów straszliwych ryb z rodzaju chrząstnoszkieletowych. Trzy rzędy tych ryb liczą nie mniej niż trzydzieści dwa gatunki. Widziałem mianowicie żarłacze pasiaste, długości pięciu metrów, z płaską i szerszą od reszty ciała głową, zaokrągloną płetwą i siedmioma czarnymi równoległymi pasami biegnącymi wzdłuż grzbietu, oraz żarłacze perłowe, barwy popielatej, z siedmioma otworami skrzelowymi i jedną jedyną płetwą grzbietową, umieszczoną mniej więcej w środku tułowia.

Przepływały obok nas także wielkie „psy morskie”, ryby niezwykle żarłoczne.

Całymi dniami towarzyszyły nam stadka zwinnych i rozbawionych delfinów. Płynęły grupkami po pięć lub sześć sztuk, polując niczym wilki w polu. Mierzyły około trzech metrów długości, były czarne, tylko brzuchy miały białoróżowe, pokryte z rzadka niewielkimi plamkami.

W końcu Conseil sklasyfikował sporo ryb latających. Nic ciekawszego nad widok polowania, jakie z niesłychaną precyzją urządzały na nie delfiny; jakkolwiek by leciały, jakiekolwiek by łuki opisywały w powietrzu, nawet ponad „Nautilusem” — zawsze te nieszczęsne stworzenia lądowały w czekających na nie, otwartych paszczach delfinów. Ryby latające mają świecące pyski, co sprawia, że w nocy przypominają gwiazdy zakreślające świetlne łuki na niebie i zapadające potem w ciemne wody oceanu.

Tak podróżowaliśmy aż do 13 marca. W dniu tym „Nautilus” wykonał ciekawe doświadczenie z sondowaniem głębokości, które niezwykle mnie zainteresowało.

Od czasu gdy opuściliśmy wody japońskie na Oceanie Spokojnym, przebyliśmy już trzynaście tysięcy mil. Znajdowaliśmy się teraz pod 45°37’ szerokości południowej i pod 37°53’ długości zachodniej. Były to te same obszary, które kapitan Denham* sondował na swym „Heraldzie” do głębokości czternastu tysięcy metrów i jeszcze gruntu nie dosięgnął. Tutaj również Parker, porucznik amerykańskiej fregaty „Kongres”, nie osiągnął dna oceanu, sondując przecież aż do piętnastu tysięcy stu czterdziestu metrów.

Aby skontrolować owe różne wyniki sondowań, kapitan Nemo postanowił zanurzyć się z „Nautilusem” do największych głębokości. Przygotowałem się do notowania wyników całego eksperymentu. Rozsunięto ściany salonu i rozpoczęło się manewrowanie, konieczne, aby osiągnąć tak potworne głębie.

Oczywiście nie było mowy o zanurzeniu się za pomocą zbiorników napełnionych wodą. Nie potrafiłyby one prawdopodobnie zwiększyć wystarczająco ciężaru własnego „Nautilusa”. Poza tym, aby wypłynąć na powierzchnię, trzeba by było wypchnąć wodę ze zbiorników, a wówczas pompy nie przezwyciężyłyby prawdopodobnie potężnego ciśnienia zewnętrznego.

Kapitan Nemo postanowił dotrzeć do dna oceanu po dość wydłużonej przekątnej, używając do tego sterów wysokościowych, nachylonych pod kątem 45° do linii zanurzenia statku. Śrubie nadano maksymalną ilość obrotów tak, że cztery jej ramiona biły wodę z nieopisaną mocą.

Pod wpływem tak potężnego pchnięcia kadłub „Nautilusa” zadrżał jak wyprężona struna i zagłębił się prawidłowo pod wodę. Kapitan i ja staliśmy w salonie, obserwując manometr, którego igła przesuwała się bardzo szybko. Rychło przebyliśmy strefę, w której przebywa większość ryb. Niektóre z tych stworzeń mogą żyć wyłącznie przy powierzchni mórz i rzek, inne, choć jest ich niewiele, zamieszkują warstwy znacznie głębsze. Zauważyłem tu na przykład pewien rodzaj „psa morskiego” o sześciu otworach skrzelowych, rybę „teleskop” o ogromnych oczach, „pancernika” o szarych płetwach piersiowych, a czarnych brzusznych, osłaniających różowy żabot ościstych łusek, wreszcie „grenadiera”, rybę żyjącą na głębokości tysiąca dwustu metrów, a więc wytrzymującą ciśnienie stu dwudziestu atmosfer.

Zapytałem kapitana Nemo, czy zauważył ryby żyjące na jeszcze większych głębokościach.

— Na ogół rzadko — odpowiedział mi — lecz proszę mi powiedzieć, panie profesorze, co na ten temat wie dzisiejsza nauka.

— Bardzo chętnie. Otóż wiadomo, że w miarę zanurzania się w coraz głębsze warstwy wody najpierw zanika życie roślinne, a dopiero potem zwierzęce. Wiadomo, że w warstwach, w których można jeszcze napotkać żywe istoty, nie ma już ani jednej rośliny wodnej. Wiadomo, że niektóre gatunki ostryg żyją na głębokości dwóch tysięcy metrów oraz że bohater mórz polarnych, Mac Clintock*, wyłowił żywą rozgwiazdę z głębokości dwóch tysięcy pięciuset metrów. Wiadomo również, że załoga statku „Bull–Dog” należącego do Floty Królewskiej zaobserwowała tegoż przedstawiciela szkarłupni na głębokości dwóch tysięcy sześciuset dwudziestu sążni, a zatem przeszło jednej mili. Może jednak oświadczy mi pan—teraz, kapitanie, że właściwie ludziom nic nie wiadomo.

---

* Denham Dix on (1786–1828) — podróżnik angielski, badał tereny środkowej Afryki

* Mac Clintock Francis (1819—1907) — żeglarz angielski, badacz terenów położonych w okolicach bieguna północnego

— Nie, panie profesorze — odpowiedział kapitan — tak niegrzeczny nie będę. Zapytam jeszcze tylko, jak pan tłumaczy fakt, że w takich głębinach mogą istnieć żywe stworzenia?

— Można to wytłumaczyć dwiema przyczynami — rzekłem. — Przede wszystkim istnieją prądy prostopadłe, powstające skutkiem różnic w nasoleniu i gęstości wody; wytwarzają one ruch wystarczający do utrzymania prymitywnego życia niektórych gwiazdowców.

— Zgadzam się — powiedział kapitan.

— Poza tym podstawą życia jest tlen, a wiadomo, że ilość tlenu, rozpuszczona w wodzie, zwiększa się w miarę głębokości, a nie zmniejsza; przyczyną tego jest zwiększone ciśnienie w dolnych warstwach mórz, co sprzyja większemu zgęszczeniu tlenu.

— Ach, więc i o tym wiedzą już uczeni? — zdziwił się z lekka kapitan. — Mają rację, panie profesorze, rzeczywiście tak się sprawa przedstawia. Dodam jeszcze, że u ryb, złowionych blisko powierzchni wody, stwierdzono w pęcherzach większą ilość azotu niż tlenu i przeciwnie — więcej tlenu niż azotu mają te ryby, które wyłowiono z wielkich głębokości. Potwierdza to wasze tezy. Obserwujmy jednak dalej.

Spojrzałem na manometr. Wskazywał głębokość sześciu tysięcy metrów. Zagłębialiśmy się już dłużej niż godzinę; „Nautilus” opuszczał się ciągle. Toń morska była zadziwiająco przeźroczysta, żaden pędzel nie odmalowałby tak wspaniałej przejrzystości. Po godzinie osiągnęliśmy trzynaście tysięcy metrów, lecz nic jeszcze nie zwiastowało zbliżania się do dna oceanu.

Dopiero na głębokości czternastu tysięcy metrów dojrzałem jak gdyby czarne szczyty wynurzające się z otchłani. Szczyty owe mogły jednak należeć do masywu górskiego, wyższego od Mont Blanc albo Himalajów*, zatem nie można było nadal stwierdzić, jaka jest głębokość oceanu w tych okolicach.

Mimo ogromnego ciśnienia, jakiemu podlegał teraz „Nautilus”, opuściliśmy się jeszcze niżej. Czułem wprost, jak płyty stalowe dygocą wzdłuż spojeń, jak uginają się żelazne krokwie, jak trzeszczą przegrody wewnętrzne, jak pod ciśnieniem wody szyby salonu wciskają się do wnętrza. Statek nie wytrzymałby na pewno, gdyby nie to, że, jak się wyrażał kapitan, zdolny był stawiać opór niczym masywny blok, niczym jedna bryła!

Kiedy dotykaliśmy prawie owych wierzchołków sterczących w bezdennych przepaściach, zauważyłem jeszcze kilka żywych małżów oraz kilka okazów rozgwiazd. Wkrótce jednak znikli ci ostatni przedstawiciele życia, „Nautilus” bowiem przekroczył granicę wegetacji podmorskiej, tak jak wznoszący się balon przekracza strefę, w której można jeszcze oddychać. Osiągnęliśmy głębokość szesnastu tysięcy metrów; ściany „Nautilusa” wytrzymywały zatem ciśnienie tysiąca sześciuset atmosfer, to znaczy tysiąca sześciuset kilogramów na każdy centymetr kwadratowy swej powierzchni.

— Co za chwila! — odezwałem się. — Jesteśmy teraz na głębokościach, do jakich nie dotarł jeszcze żaden człowiek! Niech pan patrzy, panie kapitanie, niech pan patrzy na te wspaniałe skały, na te nie zamieszkane przez nikogo groty, na te najgłębsze przepaści globu, gdzie życie jest niemożliwe! Co za kraina! Dlaczegóż ma ona pozostać tylko w naszej pamięci?

— A wolałby pan wynieść stąd coś lepszego niż wspomnienie? — zapytał kapitan Nemo.

— Nie rozumiem… Co pan chce przez to powiedzieć, panie kapitanie?

— Chcę powiedzieć, panie profesorze, że nic łatwiejszego, jak sfotografować sobie te podmorskie okolice.

Nie zdążyłem jeszcze wyrazić swego zdumienia, kiedy — na rozkaz kapitana — przyniesiono do salonu aparat fotograficzny. Przez szeroko rozsunięte ściany widniała otchłań wodna, oświetlona elektrycznie, dokładnie, wprost doskonale. Idealnego światła nie

---

* …wyższego od Mont Blanc albo Himalajów — Mont Blanc — najwyższy szczyt w Alpach — wznosi się na 4807 m nad p. m. Pasmo górskie Himalajów — na pograniczu Indii i Tybetu — zawiera najwyższe na globie ziemskim szczyty (Mount Everest — 8845 m, zdobyty po raz pierwszy dopiero w 1953 r.)

przesłaniał najmniejszy cień, sztuczny blask nie ulegał żadnemu stopniowaniu. Światło słoneczne nie byłoby na pewno lepsze. „Nautilus” party swą śrubą, a wstrzymywany nachyleniem sterów, trwał bez ruchu. Skierowano aparat na samą głębię oceanu i po kilku sekundach otrzymaliśmy bardzo wyraźny negatyw.

A oto odbitka. Postaram się dać jej opis: widać na niej pierwotne skały, które nigdy jeszcze nie widziały blasku słonecznego, owe granitowe masy, będące właściwym, najniższym podłożem ziemi, bezdenne groty i wyżłobienia w kamiennej opoce, niezrównanej wyrazistości zarysy, odcinające się czernią na jasnym tle, niczym stworzone wyobraźnią flamandzkich mistrzów; w oddali widnieją sylwetki gór, a faliste ich linie zamykają tło horyzontu. Nie potrafię opisać tego nagromadzenia czarnych, gładkich, polerowanych skał, nie skalanych najmniejszym mchem, najmniejszą plamką; dziwacznych kształtów, mocno wrytych w piaszczyste podłoże i odcinających się na jasnym tle, które połyskiwało w świetle naszego reflektora. Po zrobieniu zdjęcia kapitan Nemo odezwał się jednak:

— Wracamy, panie profesorze. Nie możemy zbytnio przedłużać tej chwili i wystawiać „Nautilusa” na niebezpieczeństwo tak potwornych ciśnień.

— Wracajmy — zgodziłem się.

— Niech się pan trzyma!

Zanim zdołałem zrozumieć radę kapitana, rzuciło mną o dywan.

Na jego znak wyłączono bowiem śrubę, zmieniono położenie sterów wysokościowych i „Nautilus”, niczym balon w powietrzu, zaczął podnosić się z szaloną szybkością. Przecinał teraz wody grzmiąc i drgając. Nie sposób było dojrzeć cokolwiek. Statek przebył owe dziewięć mil dzielących go od powierzchni oceanu w cztery minuty! W potwornym rozpędzie wyskoczył jeszcze ponad fale niczym ryba latająca, a potem opadł wyrzucając spienione słupy wody na ogromną wysokość.

Rozdział XII
Kaszaloty i wieloryby

W nocy z 11 na 12 marca „Nautilus” skierował się znowu na południe. Sądziłem, że na wysokości przylądka Horn skręci na zachód, aby na Pacyfiku zakończyć swą podróż dookoła świata. Tak jednak się nie stało; płynęliśmy dalej na południe. Dokąd więc zmierzał teraz „Nautilus”? Do bieguna? Nonsens! Zacząłem wierzyć, że zuchwalstwo kapitana Nemo usprawiedliwia dostatecznie obawy Neda.

Od kilku już dni Kanadyjczyk przestał mówić o swych projektach ucieczki. Stał się małomówny, prawie milczący. Wiedziałem jednak, jak bardzo ciąży mu to nasze przedłużające się więzienie. Czułem, że wzbiera w nim gniew. Kiedy spotykał kapitana, oczy płonęły mu ponurym blaskiem, tak że zacząłem się obawiać, aby wrodzona gwałtowność nie doprowadziła go do jakiegoś szalonego kroku. 12 marca obaj z Conseilem przyszli do mojej kabiny. Spytałem o przyczynę tych odwiedzin.

— Chciałbym panu zadać jedno pytanie, panie profesorze — rzekł Kanadyjczyk.

— Słucham was, Nedzie — odpowiedziałem.

— Jak pan sądzi, ile też ludzi może mieć „Nautilus” na pokładzie?

— Nie mam najmniejszego pojęcia, przyjacielu.

— Mam wrażenie, że obsługa statku nie wymaga wielkiej liczby ludzi — mówił Ned.

— Chyba macie rację — odparłem. — Sądzę, że w tych warunkach nie potrzeba by ich tutaj więcej niż dziesięciu.

— Świetnie — ucieszył się Kanadyjczyk. — Dlaczegóż zatem miałoby ich tu być więcej?

Spojrzałem na niego bystro, zgadując, co ma na myśli.

— Dlatego — odpowiedziałem — że, jeśli się nie mylę w ocenie obecnego życia kapitana Nemo, „Nautilus” nie jest zwykłym statkiem. Jest to na pewno schronienie i miejsce ucieczki dla tych wszystkich, którzy razem z nim zerwali wszelkie stosunki z ziemią.

— Bardzo możliwe — odezwał się Conseil. — Ostatecznie jednak w „Nautilusie” pomieścić się może tylko pewna liczba ludzi, a pan profesor mógłby określić to maksimum.

— W jaki sposób?

— Można to obliczyć. Mając daną pojemność statku (którą pan profesor zna), a więc i ilość powietrza, jaka się w nim mieści, wiedząc, ile tlenu potrzebuje człowiek do oddychania, wiedząc wreszcie, że „Nautilus” musi co dwadzieścia cztery godziny wypływać na powierzchnię, aby…

Conseil jeszcze nie skończył, kiedy odgadłem, do czego zmierza. Rzekłem więc:

— Rozumiem doskonale. Obliczenie takie jest nawet zupełnie proste, ale otrzymana liczba będzie bardzo niepewna.

— Wszystko jedno — nalegał Ned Land.

— Dobrze więc, liczmy — powiedziałem. — Każdy człowiek zużywa w ciągu jednej godziny tlen zawarty w stu litrach powietrza; zatem w ciągu dwudziestu czterech godzin potrzeba mu tlenu z dwóch tysięcy czterystu litrów powietrza. Musimy więc obliczyć, ile razy po dwa tysiące czterysta litrów powietrza mieści się w pojemności „Nautilusa”.

— Tak jest — wtrącił Conseil.

— Otóż pojemność ta — mówiłem dalej — wynosi tysiąc pięćset ton, a ponieważ tona ma tysiąc litrów, więc w „Nautilusie” znajduje się milion pięćset tysięcy litrów powietrza, co podzielone przez dwa tysiące czterysta… (szybko obliczyłem ołówkiem) wynosi sześćset dwadzieścia pięć. Powietrze „Nautilusa” mogłoby zatem wystarczyć przez dwadzieścia cztery godziny dla sześciuset dwudziestu pięciu ludzi.

— Sześciuset dwudziestu pięciu! — powtórzył Ned.

— Możecie być jednak pewni — dodałem — że, łącznie z załogą i oficerami, nie

stanowimy nawet dziesiątej części tej liczby.

— To i tak zbyt wielu jak na trzech! — mruknął Conseil.

— Nie mogę wam zatem nic lepszego doradzić, kochany Nedzie, jak cierpliwość.

— Nawet więcej niż cierpliwość — rzekł Conseil — bo rezygnację.

Conseil miał słuszność.

— Zresztą — powiedział — kapitan Nemo nie może przecież płynąć ciągle na południe! Gdzieś przecież musi się zatrzymać,

choćby przed ławicami lodowymi, a potem powrócić na morza bardziej uczęszczane. Wtedy będziemy mogli podjąć projekty Neda.

Kanadyjczyk potrząsnął głową, przesunął ręką po czole i, nic nie mówiąc, wyszedł z kabiny.

— Pozwoli pan, panie profesorze, że zwrócę panu na jedno uwagę — odezwał się wtedy Conseil. — Ten biedak ciągle marzy o tym, czego nie może osiągnąć. Stale mówi tylko o dawnym życiu. Żałuje wszystkiego, czego nam nie wolno. Opadają go stare wspomnienia i serce mu pęka. Cóż, trzeba go zrozumieć. Co on ma tu do roboty? Nic. Nie jest przecież uczonym, jak pan profesor, i nie potrafi nawet, tak jak pan profesor i ja, zachwycać się cudami mórz. Oddałby chętnie to wszystko za możliwość wstąpienia do jakiej tawerny w swojej ojczyźnie.

Była w tym racja; monotonia życia na pokładzie „Nautilusa” musiała być wprost nieznośna dla Kanadyjczyka, przyzwyczajonego do swobodnego i bardzo czynnego życia. Rzadko zdarzało się tu coś, co mogłoby go pasjonować. Co prawda, wypadek, który zaszedł tego dnia, mógł przypomnieć harpunnikowi najpiękniejsze jego czasy.

Około godziny jedenastej „Nautilus”, płynąc na powierzchni morza, znalazł się nagle w samym środku stada wielorybów. Nie zdziwiło mnie to, wiedziałem bowiem, że zwierzęta owe, tak wszędzie ścigane i prześladowane, chronią się często w okolicach pod wysokimi szerokościami geograficznymi.

Wieloryby odgrywają dużą rolę w świecie oceanicznym, niemało też przyczyniły się do dokonania szeregu odkryć geograficznych. Za nimi to bowiem uganiali się po morzach Baskowie, potem Asturyjczycy, potem Anglicy i Holendrzy, czując się na oceanie coraz pewniej i zapuszczając się coraz dalej, z jednego końca ziemi na drugi.

Morze było spokojne. Siedzieliśmy na pokładzie w pogodny dzień jesienny (marzec bowiem odpowiada pod tą szerokością mniej więcej europejskiemu wrześniowi), kiedy nagle Kanadyjczyk, który pod tym względem nigdy się nie mylił, zasygnalizował wieloryba na horyzoncie od strony wschodniej. Istotnie, o dwie mile od „Nautilusa” można było dojrzeć czarniawy grzbiet, wznoszący się i opadający na falach.

— Ach! Gdybym był teraz na pokładzie wielorybniczego statku… — westchnął Ned Land. — To by dopiero było spotkanie! Bo to na pewno duże zwierzę. Widzicie, jak silnie nozdrza jego wyrzucają słupy wody i pary? Dlaczego, do wszystkich diabłów, muszę tu siedzieć jak przykuty na tym kawałku blachy?

— Jeszcze nie straciliście, kochany Nedzie, chętki do polowania… — powiedziałem.

— Panie profesorze, czy wielorybnik może zapomnieć o swoim dawnym zawodzie? Czy emocje takiego polowania mogą kiedykolwiek znudzić?

— Ale na tych wodach nigdyście nie polowali — prawda, Nedzie?

— Nigdy, panie profesorze. Tylko na morzach północnych, zarówno w Cieśninie Beringa, jak i w Cieśninie Davisa.

— A zatem nie znacie wielorybów południowych. Polowaliście dotychczas na wieloryby północne, które nie odważyłyby się przekroczyć gorących okolic równika.

— Co też pan mówi, panie profesorze? — rzekł Kanadyjczyk niedowierzająco.

— Mówię, jak jest.

— Coś podobnego! W roku sześćdziesiątym piątym, to znaczy dwa i pół roku temu, ja

sam, osobiście, ubiłem koło Grenlandii wieloryba, w którego boku tkwił jeszcze harpun jakiegoś wielorybnika z Cieśniny Beringa. Zapytuję więc, w jaki sposób zwierzę, trafione na zachód od Ameryki, mogło być zabite na wschód od niej, jeśli nie opłynęłoby przylądka Horn albo Przylądka Dobrej Nadziei, a zatem nie przekroczyło równika?

— Ja myślę tak samo, jak i Ned — odezwał się Conseil. — Czekam, co nam teraz powie pan profesor.

— Pan profesor powie wam, moi kochani, że pewne gatunki wielorybów zamieszkują pewne morza, których nigdy nie opuszczają. Jeśli więc jakiś wieloryb z Cieśniny Beringa znalazł się w Cieśninie Davisa, to tylko dlatego, że z jednego morza na drugie musi być jakieś przejście albo w okolicach północnych wybrzeży Ameryki, albo też Azji.

— Czyżby? — zapytał Kanadyjczyk mrużąc jedno oko.

— Jeżeli pan profesor tak mówi, to trzeba panu profesorowi wierzyć — rzekł Conseil.

— Skoro więc nigdy nie polowałem w tych okolicach, to już nie mogę znać wielorybów, które tu żyją? — spytał Ned.

— Tak, jak powiedziałem.

— Tym bardziej należałoby się z nimi zapoznać — zauważył Conseil.

— Patrzcie, patrzcie! — krzyczał Kanadyjczyk podnieconym głosem. — Zbliża się! O, płynie do nas! Kpi sobie ze mnie, bydlę, wie, że mu nic nie mogę zrobić!

Ned aż tupał nogami. Ręce mu drżały, jakby już dzierżyły harpun i miały go cisnąć.

— Czy te wieloryby są tak wielkie, jak północne? — spytał.

— Mniej więcej.

— Bo ja, panie profesorze, widywałem ogromne wieloryby, do stu stóp długości. A słyszałem, że „hullamoki” i „umgalliki” z okolic Wysp Aleuckich przekraczają czasem sto pięćdziesiąt stóp.

— Myślę, że to lekka przesada, Nedzie — rzekłem. — Jeżeli chodzi o te wieloryby, to są one na ogół mniejsze od północnych, tak jak i kaszaloty, poza tym nie mają płetw grzbietowych.

— O! — wykrzyknął Kanadyjczyk, który przez cały czas nie spuszczał oczu z powierzchni oceanu. — Zbliża się! Już jest niedaleko „Nautilusa”!

Wieloryb istotnie zbliżał się do nas, a Ned pożerał go wzrokiem.

— O! — wrzasnął nagle. — To przecie nie jeden wieloryb, tylko dziesięć czy dwadzieścia! Całe stado! A ja nie mogę nic zrobić! Ręce i nogi mam związane…

— Ależ, przyjacielu — odezwał się Conseil — dlaczego nie pójdziesz do kapitana Nemo i nie poprosisz o pozwolenie na zapolowanie?…

Conseil jeszcze nie skończył, kiedy Ned skoczył w kierunku schodków i popędził na poszukiwanie kapitana. W kilka chwil potem wyszli obaj na pokład.

Kapitan przypatrywał się wielorybom, które igrały na wodzie o pół mili od „Nautilusa”.

— To wieloryby południowe — rzekł. — Cała flotylla wielorybnicza mogłaby się tu obłowić.

— Czy zatem nie mógłbym na nie zapolować, panie kapitanie? — spytał Kanadyjczyk. — Już choćby dlatego, żeby nie zapomnieć swego rzemiosła?

— Po cóż polować z samej tylko żądzy zabijania? — odparć kapitan. — Nie potrzeba nam tranu na pokładzie.

— A przecież na Morzu Czerwonym — prosił dalej Kanadyjczyk — pozwolił nam pan ścigać diugonia, panie kapitanie.

— Tak, ale wtedy chodziło mi o świeże mięso dla załogi. Natomiast tutaj byłoby to tylko zabijanie dla zabijania. Wiem, że ludzie przywłaszczyli sobie ten przywilej, ja jednak nie pozwalam na takie mordercze rozrywki. Pańscy bliźni, panie Land, popełniając czyny, których powinni się wstydzić, sprawią, że wieloryby południowe, jak zresztą i północne, stworzenia dobre, bezbronne i pożyteczne, wyginą wreszcie całkowicie, tak jak wyginęły już

zupełnie w Zatoce Baffina. Niech pan pozostawi te biedne wieloryby w spokoju, panie Land. Dość mają swoich naturalnych wrogów, jak kaszaloty, piły czy narwale.

Można sobie wyobrazić minę Kanadyjczyka podczas tego wykładu moralności. Dawanie podobnych rad myśliwemu było czystą stratą czasu. Ned Land patrzył na kapitana, nie rozumiejąc po prostu, co tamten mówi. Kapitan jednak miał rację: barbarzyńska i nierozumna zapalczywość łowców sprawi, że niewątpliwie pewnego dnia zniknie z wód oceanu ostatni wieloryb.

Ned Land wsadził ręce do kieszeni i, gwiżdżąc przez zęby Yankee–Doodle*, odwrócił się od nas plecami. Kapitan Nemo obserwował jednak dalej stado wielorybów i po chwili zwrócił się do mnie:

— Miałem rację, kiedy powiedziałem, że oprócz człowieka, wieloryby mają innych, naturalnych wrogów. Nasze stado będzie miało za chwilę do czynienia z potężnym przeciwnikiem. Czy widzi pan, tam, pod wiatr, o cztery mile od nas, te czarne poruszające się grzbiety?

— Widzę, panie kapitanie.

— To są kaszaloty, straszliwe zwierzęta, które spotykałem nieraz w grupach po dwieście i trzysta sztuk. Jeżeli o nie chodzi, są tak okrutne i złośliwe, że mają rację ci, którzy je tępią.

Na te słowa Kanadyjczyk odwrócił się szybko.

— A więc, panie kapitanie — rzekłem — jeszcze zdążymy… Dla dobra wielorybów choćby…

— Po co się fatygować, panie profesorze? — odparł kapitan. — „Nautilus” sam da sobie radę z kaszalotami. Ma przecież stalową ostrogę, która warta jest przynajmniej tyle, co harpun Landa, prawda?

Kanadyjczyk wzruszył ramionami nie krępując się dłużej. Walczyć z kaszalotami za pomocą ostrogi statku? Któż kiedy słyszał o czymś podobnym?

— Chwilę cierpliwości, panie profesorze — mówił dalej kapitan. — Pokażemy panu polowanie, jakiego pan nigdy jeszcze nie widział. Nie ma litości dla tych okrutnych zwierząt: to tylko paszcze i zęby!

Paszcze i zęby! Trudno lepiej opisać kaszalota wielkogłowego.

Długość jego przekracza niekiedy dwadzieścia pięć metrów, około jednej trzeciej ciała zajmuje olbrzymi łeb. Kaszalot, w przeciwieństwie do wieloryba, którego górna szczęka zaopatrzona jest tylko w fiszbin, zbrojny jest w dwadzieścia pięć wielkich, dwudziestocentymetrowych zębów o kształcie cylindrów zakończonych stożkami i ważących po dwa funty. W górnej części tej . potwornej głowy, w wielkich komorach, poprzedzielanych chrząstkowymi przegrodami, znajduje się trzysta do czterystu kilogramów owego cennego, białego tłuszczu, zwanego olbrotem.

Stado tych straszliwych bestii zbliżało się coraz bardziej. Kaszaloty dostrzegły już igrające wieloryby i gotowały się do ataku. Z. góry można było przewidzieć ich zwycięstwo, ponieważ nie tylko są one silniejsze od bezbronnych przeciwników, ale potrafią znacznie dłużej przebywać pod wodą i nie muszą wypływać na powierzchnię dla zaczerpnięcia oddechu.

Był najwyższy czas, aby wieloryby otrzymały jakąś odsiecz. „Nautilus” zanurzył się pod wodę. Conseil, Ned i ja zasiedliśmy przy szybie salonu. Kapitan Nemo udał się do kabiny sternika, by osobiście kierować ruchami swego statku — przemienionego teraz w narzędzie zniszczenia. Wkrótce poczułem też, że zwiększają się obroty śruby i nasza szybkość wzrasta.

Kiedy „Nautilus” przybył na pole bitwy, walka pomiędzy kaszalotami a wielorybami już się rozpoczęła. Manewr statku rozdzielił stado napastników na pół. Zwierzęta początkowo nie zważały na nowego potwora, który wtrącił się do ich walki. Ale już po chwili zaczęły liczyć

---

* Y a n k e e – D o o d l e — słynna żołnierska piosenka amerykańska, powstała w czasach walki z Anglikami o niepodległość Stanów Zjednoczonych

się z jego ciosami.

Cóż to była za rozprawa! Rozentuzjazmowany Ned Land zaczął klaskać w dłonie, „Nautilus” bowiem stał się potwornym harpunem, miotanym dłonią kapitana. Rzucał się na te ogromne masy mięsa i przecinał je w poprzek, pozostawiając za sobą dwie drgające połowy potwora. Nie odczuwał nawet potężnych uderzeń ogonów o swe ściany ani wstrząsów wywołanych własnymi ciosami. Unicestwiwszy jednego kaszalota ciskał się na drugiego, zawracając w miejscu, aby żadnemu nie darować, płynął w przód i w tył, posłuszny rozkazom sternika; kiedy kaszalot umykał pod powierzchnię oceanu, zanurzał się za nim, gdy tamten wypływał na górę, wynurzał się i on; atakował z boku lub z ukosa, rozdzierając albo przecinając przeciwnika na pół, poruszając się we wszystkich kierunkach ze zmienną szybkością; siał zniszczenie i śmierć swoją straszliwą ostrogą.

Co za rzeź! Co za zgiełk na powierzchni fal! Jakie gniewne świsty i chrapania przerażonych potworów! Na tych spokojnych zazwyczaj wodach ogony ich wznieciły istną burzę.

Przeszło godzinę trwał ten homerycki bój; kaszaloty nie potrafiły jednak sprostać straszliwemu przeciwnikowi. Kilkakrotnie łączyły się w gromady po dziesięć, dwanaście sztuk i próbowały razem zmiażdżyć „Nautilusa” swym ciężarem. Przez szybę widać było ich olbrzymie, uzbrojone zębami paszcze i straszliwe oczy. Ned Land nie panował w takich chwilach nad sobą, wymyślał im, lżył i przeklinał. Czuliśmy, jak olbrzymie zwierzęta czepiały się naszego statku niczym psy szarpiące dzika w gąszczu. „Nautilus” zwiększał jednak szybkość, unosił potwory ze sobą, wciągał je w głębiny lub wypływał na powierzchnię wody, nic sobie nie robiąc z ich ogromnego ciężaru ani potężnych uścisków.

Wreszcie stado kaszalotów przerzedziło się i fale ustały. Poczułem, że „Nautilus” wypływa na powierzchnię. Otwarto pokrywę włazu, wybiegliśmy wszyscy na pokład.

Morze pokryte było straszliwie pokaleczonymi trupami. Żaden wybuch nie poszarpałby, nie porozdzierał, nie posiekał z większą gwałtownością owych potwornych zwałów mięsa. Płynęliśmy wśród olbrzymich ciał, niebieskawych na grzbietach, białawych pod brzuchami i powyginanych w olbrzymie garby. Na horyzoncie widać było jeszcze kilka kaszalotów umykających w popłochu. Na przestrzeni paru mil woda była zaczerwieniona; „Nautilus” płynął jak gdyby w morzu krwi. Ukazał się kapitan Nemo.

— No, cóż, panie Land? — zapytał.

— To było rzeczywiście straszliwe widowisko — odparł Kanadyjczyk, którego zapał powoli ostygał. — Ale ja nie jestem rzeźnikiem, tylko myśliwym, a to jest rzeźnia.

— „Nautilus” nie jest nożem rzeźniczym — odpowiedział kapitan Nemo. — To była masakra krwiożerczych i okrutnych stworzeń.

— Już ja wolę swój harpun — rzekł Ned Land.

— Każdy walczy, jak może — odparł kapitan patrząc Kanadyjczykowi prosto w oczy.

Obawiałem się już, że harpunnika poniesie gwałtowny temperament, co mogłoby się źle skończyć. Na szczęście wściekłość Neda minęła na widok wieloryba, obok którego „Nautilus” właśnie przepływał.

Zwierzę nie uniknęło straszliwych zębów kaszalota. Był to całkowicie czarny wieloryb południowy, o spłaszczonej głowie. Biedak leżał na boku, martwy; u poszarpanej płetwy trzymał się jeszcze mały wielorybek, którego matka nie zdołała ocalić od śmierci. Z otwartego pyska wylewała się woda, szemrząc po fiszbinach jak kaskada.

Kapitan Nemo podpłynął „Nautilusem” tuż do ciała martwego zwierzęcia. Dwaj ludzie z załogi weszli na wieloryba i, ku mojemu zdziwieniu, nadoili z jego wymion jeszcze dwie do trzech beczek mleka.

Kapitan poczęstował mnie filiżanką tego, ciepłego jeszcze, napoju. Nie potrafiłem powstrzymać się od okazania wstrętu, ale kapitan zapewnił mnie, że mleko jest doskonałe i wcale nie różni się od krowiego.

Skosztowałem i musiałem mu przyznać rację. Była to zatem dla nas cenna zdobycz, ponieważ mleko, przerobione na masło i zasolone albo pod postacią sera, wniosło sporo urozmaicenia do naszej kuchni.

Z niepokojem zauważyłem, że od owego dnia Ned Land zaczął jeszcze bardziej patrzyć wilkiem na kapitana Nemo. Postanowiłem uważniej czuwać nad postępowaniem i ruchami Kanadyjczyka.

Rozdział XIII
Ławica lodowa

Niewzruszenie płynął „Nautilus” wciąż na południe. Pędził szybko wzdłuż pięćdziesiątego południka. Czyżby rzeczywiście kierował się ku biegunowi? Wątpiłem, gdyż dotychczas wszystkie próby dotarcia do tego punktu ziemi zawiodły*. Poza tym pora roku była już dość późna, ponieważ dzień 13 marca w okolicach antarktycznych odpowiada dacie 13 września w strefie arktycznej, a zatem rozpoczyna mniej więcej okres porównania dnia z nocą.

13 marca ujrzałem pod 55° szerokości pierwsze kry; były to niewielkie, dwudziesto— lub dwudziestopięciostopowe bryły lodu, bladawe bloki, obmywane falami oceanu. „Nautilus” płynął po powierzchni morza. Ned Land w połowach swoich zapuszczał się nieraz na morza arktyczne, był więc przyzwyczajony do tego widoku i nie podziwiał go tak, jak Conseil i ja, którzy oglądaliśmy góry lodowe na oceanie po raz pierwszy w życiu. Daleko na południowym horyzoncie błyszczało oślepiającą białością coś jakby wstęga. Angielscy wielorybnicy nazwali to ice–blink*; najcięższe chmury nie potrafią przyćmić tego blasku. Zwiastuje on „pack”, czyli ławicę lodową.

Jakoż wkrótce pojawiły się większe bloki połyskujące mniej lub więcej, zależnie od gęstości mgły. Na niektórych rysowały się wyraźnie zielone żyły, jakby wyżarte siarczanem miedzi, inne przypominały olbrzymie ametysty, pozwalające światłu dziennemu przenikać aż do głębi. Niektóre odbijały promienie słońca na niezliczonych, drobniutkich powierzchniach swych kryształków, inne, połyskując wapienną bielą, mogłyby chyba dostarczyć marmurowego budulca na wybudowanie całego miasta. Im dalej płynęliśmy na południe, tym owe pływające góry lodowe stawały się liczniejsze i większe. Zamieszkiwały je całe chmary ptaków polarnych. Petrele, warcabnice i inne ogłuszały nas po prostu swymi krzykami. Niektóre z nich sądziły widocznie, że „Nautilus” jest trupem jakiegoś wieloryba, nadlatywały więc i stukały dziobami w dźwięczącą blachę.

W całej tej podróży wśród lodowców kapitan Nemo przebywał dużo na pokładzie. Uważnie przyglądał się pustym okolicom.

Widziałem, jak spokojne jego spojrzenie ożywiało się niekiedy. Czyżby mówił sobie w takich chwilach, że jest panem tych niezmierzonych przestrzeni i że na niedostępnych dla człowieka wodach polarnych czuje się jak u siebie? Być może. Nie odzywał się jednak, nie poruszał nawet; jedynie instynkt żeglarza przywoływał go do przytomności. Kierował też „Nautilusem” doskonale; zręcznie unikał zderzeń z lodowymi masami, rozciągającymi się nieraz na przestrzeni wielu mil — wysokość ich dochodziła do siedemdziesięciu i osiemdziesięciu metrów. Często horyzont wydawał się zupełnie zamknięty. Pod 60° szerokości nie widać już było żadnego przejścia. Kapitan Nemo szukał jednak pilnie, znajdował zawsze jakąś wąską szczelinę i wciskał się w nią zuchwale, choć wiedział, że tuż za nim zamknie się cna natychmiast. W taki to sposób „Nautilus”, kierowany wprawną dłonią, wyminął wszystkie te lodowce, które, ku uciesze Conseila, żeglarska terminologia sklasyfikowała bardzo ściśle w zależności od kształtu i wielkości lodu: ice–berg to góra lodowa, ice–fields — jednolite i rozległe pola, drift–ice — pływająca kra, wreszcie pokruszone ławice packs zwane palchs, jeżeli są zaokrąglone, streams zaś, jeśli składają się z brył wydłużonych.

Temperatura była dość niska. Wystawiony na zewnątrz termometr wskazywał dwa do trzech stopni poniżej zera. Byliśmy jednak ciepło ubrani w futra fok i morskich niedźwiedzi.

---

* …dotychczas wszystkie próby dotarcia do tego punktu ziemi zawiodły — pierwszy do bieguna południowego dotarł dopiero w 1911 r. odkrywca norweski Amundsen, po nieudanych próbach podróżników Scotta i Shackletona w 1902 i 1909 r.

* i c e – b l i n k (ang.) — dosł. migotanie lodu

Wewnątrz „Nautilusa”, ogrzewanego równomiernie za pomocą elektryczności, nie lękaliśmy się nawet największych mrozów. Zresztą wystarczyłoby, abyśmy się zanurzyli na kilka metrów pod powierzchnię wody, a temperatura stałaby się natychmiast zupełnie znośna.

Dwa miesiące temu mielibyśmy pod tą szerokością stale dzień; teraz jednak noc zapadała już na trzy do czterech godzin na dobę, a wkrótce okryć miała strefę koła podbiegunowego sześciomiesięcznym mrokiem.

14 marca przekroczyliśmy szerokość Południowych Szetlandów i Południowych Orkadów.

15 marca około ósmej rano „Nautilus”, płynąc wzdłuż pięćdziesiątego piątego południka, przeciął koło podbiegunowe. Ze wszystkich stron otaczały nas lodowce aż po sam horyzont. Kapitan Nemo przemykał się jednak między nimi, płynąc ciągle na południe.

— Dokądże on jedzie? — zapytałem.

— Przed siebie — odpowiedział Conseil. — Ostatecznie kiedyś się zatrzyma, gdy już nie będzie mógł jechać dalej.

— Nie dałbym za to głowy — odparłem.

Szczerze mówiąc, ta awanturnicza wycieczka bardzo mi się podobała. Nie potrafiłbym nawet opisać, jak oszałamiało mnie piękno tych nowych, nieznanych okolic. Lodowce przybierały niekiedy fantastyczne kształty. W jednym na przykład miejscu skupiska ich tworzyły niby wschodnie miasto z niezliczonymi minaretami i meczetami, w innym — niby rozwalony gród, zniszczony trzęsieniem ziemi. Panorama zmieniała się bezustannie, to oświetlona ukośnymi promieniami słońca, to przesłonięta szarymi mgłami i śnieżnymi nawałnicami. Zewsząd rozlegały się detonacje; co chwila lodowce kruszyły się wzajemnie, góry lodowe waliły i cała dekoracja zmieniała się jak pejzaże w fotoplastykonie.

Jeżeli podczas kruszenia się tych gór „Nautilus” przebywał właśnie pod wodą, huki i łoskoty rozlegały się wprost przerażająco, walenie się zaś ice–bergów wytwarzało niebezpieczne wiry na znacznych głębokościach. Statek nasz kołysał wtedy gwałtownie, niczym zwykły żaglowiec, porzucony na pastwę żywiołów. Wielokrotnie sądziłem już, że „Nautilus” uwiązł ostatecznie, kapitan Nemo jednak, którego prowadził żeglarski instynkt, odkrywał najdrobniejsze nawet możliwości przejścia, obserwując bacznie wątłe strumyczki niebieskawej wody, wijące się między lodowcami; nie mylił się nigdy. Nie miałem wątpliwości, że zapuszczał się już nieraz ze swym statkiem na wody antarktyczne.

Jednakże 16 marca pola lodowe zagrodziły nam drogę zupełnie. Nie była to wprawdzie jeszcze ławica, lecz ogromne, spojone mrozem ice–fieldy. Przeszkoda ta nie powstrzymała kapitana Nemo, który rzucił się na lodowce z olbrzymią energią. W zamrożony masyw „Nautilus” wbijał się jak klin, rozłupując lody z okropnym trzaskiem, jak starożytny taran, poruszany olbrzymią, wprost nieopisaną siłą. Wyrzucone w górę odłamki lodu spadały na nas gradem. Prąc do przodu, „Nautilus” otwierał sobie drogę samym naporem i własną masą. Niekiedy wślizgiwał się z rozpędu na pole lodowe i miażdżył je ciężarem, niekiedy zagłębiał się pod lód i rozdzierał go od spodu, krusząc go ostrogą.

W ciągu tych wszystkich dni nieraz nawiedzały nas straszliwe wichury. Mgły bywały tak gęste, że nie sposób było sięgnąć wzrokiem z jednego końca pokładu na drugi. Wiatr często i nagle zmieniał kierunek. Warstwy śniegu twardniały tak bardzo, że trzeba je było rozbijać. Wystarczyło zresztą, żeby temperatura spadła do 5° poniżej zera, a wszystkie zewnętrzne części „Nautilusa” okrywały się lodem. Każde ożaglowanie odmówiłoby tu posłuszeństwa. Jedynie statek pozbawiony żagli i poruszany za pomocą silnika elektrycznego, nie wymagającego węgla, może zapuszczać się pod tak wysokie szerokości.

W tych warunkach barometr stał przez cały czas bardzo nisko. Opadł nawet aż do 73,5 mm. Kompas przestał dawać jakiekolwiek wskazówki. Gdy zbliżaliśmy się do bieguna magnetycznego, który — jak wiadomo — nie odpowiada biegunowi ziemskiemu, igła zaczynała jak szalona biegać w różnych kierunkach. Według Hanstena biegun magnetyczny leży mniej więcej pod 70° szerokości i 130° długości, według obserwacji zaś Duperrego pod

135° długości i 70°30’ szerokości. Trzeba było dokonywać obserwacji na kompasach przenoszonych w rozmaite części statku, po czym ustalać przeciętną.. Często jednak musiano po prostu uciekać się do oceniania „na oko” przebytej drogi, co było bardzo niepewną metodą, ponieważ punkty ustalenia w owych krętych lodowych labiryntach ciągle się zmieniały.

Ostatecznie 17 marca „Nautilus” po wielu bezskutecznych szamotaniach przestał posuwać się naprzód. Przed nim rozciągały się już nie streamsy czy packsy, czy ice–fieldy, lecz nie kończąca się i nieruchoma bariera, złożona z połączonych między sobą gór lodowych.

— Ławica — powiedział Kanadyjczyk.

Zrozumiałem, że dla Neda, jak zresztą i dla wszystkich żeglarzy, którzy dotarli tu przed nami, była to zapora nie do przebycia.

Ponieważ w południe słońce pokazało się na kilka chwil, kapitan Nemo zdołał dość dokładnie oznaczyć nasze położenie: 51°30’ długości i 67°39r szerokości południowej. Byliśmy więc w punkcie bardzo znacznie wysuniętym w strefę podbiegunową.

Jak okiem sięgnąć, nie widać było płynnej powierzchni morza. Przed ostrogą „Nautilusa” rozciągała się olbrzymia płaszczyzna, pokryta spiętrzonymi blokami i bezładnie rozrzuconymi bryłami, przypominająca, choć w gigantycznym powiększeniu, powierzchnię jakiejś wielkiej rzeki tuż przed puszczaniem lodów. Tu i ówdzie ostre iglice wznosiły się do wysokości dwustu stóp; w oddali widać było łańcuch ostro zakończonych szarawych wzgórz, gdzie, jak w ogromnych zwierciadłach, odbijały się nieliczne promienie słońca, które zdołały przebić się przez warstwę mgły. Nad całą tą przygnębiającą pustynią zalegała martwa cisza, przerywana najwyżej łopotem skrzydeł przelatujących petreli. Wszystko było tu ścięte mrozem — nawet odgłosy!

W samym środku tego lodowatego pola zatrzymać się musiał „Nautilus” nie mogąc kontynuować dalej swej awanturniczej wyprawy.

— Jeśli pański kapitan, panie profesorze, pojedzie jeszcze dalej… — rzekł Ned Land.

— To co?

— To będzie nie lada majstrem.

— Dlaczego, Nedzie?

— Dlatego, że nikt nie potrafi przekroczyć ławicy lodowej. Pański kapitan jest bardzo mocny, ale — do stu diabłów! — nie mocniejszy przecież od przyrody. A tam, gdzie ona położyła granice, trzeba się zatrzymać, czy się chce, czy nie chce.

— Macie rację, Nedzie, ale przyznam się, że bardzo chciałbym wiedzieć, co jest poza tą ławicą lodową. Taki mur złości mnie okropnie.

— Pan profesor ma rację — odezwał się Conseil. — Mury wymyślono chyba tylko po to, aby gniewały uczonych. Mury nie powinny istnieć w ogóle.

— Eh! — rzekł lekceważąco Kanadyjczyk. — Wiem dobrze, co jest za tą ławicą.

— Co takiego? — zapytałem.

— Lód, lód i jeszcze raz lód!

— Jesteście tego pewni, Nedzie? Bo ja nie —’odparłem. — Dlatego chciałbym się o tym przekonać.

— Niech pan się lepiej wyzbędzie tej myśli, panie profesorze — powiedział Kanadyjczyk. — Dojechał pan do samej ławicy lodowej; to już dużo. Dalej pan nie pojedzie; ani pański Nemo, ani jego „Nautilus”. Czy zechce, czy nie — będzie musiał zawrócić na północ, to jest ku stronom zamieszkanym przez uczciwych ludzi.

Musiałem się zgodzić na opinię Neda, bo przecież, dopóki nie zostaną wynalezione statki, które by potrafiły posuwać się po lodzie, zawsze będą musiały stanąć przed ławicą. Mimo największych wysiłków, mimo potężnych przyrządów do łamania lodu, „Nautilus” musiał się też zatrzymać. Zazwyczaj, jeżeli kto nie może iść naprzód, musi się cofnąć. W naszym jednak wypadku cofać się było równie niemożliwe, jak płynąć naprzód, ponieważ wszystkie

przejścia i szczeliny poza nami zamknęły się znowu i gdyby nasz statek stanął na dłuższy czas, zamarzłby na dobre. Tak się zresztą i stało około godziny czternastej. Na bokach „Nautilusa” świeży lód utworzył się z zadziwiającą szybkością. Musiałem przyznać, że postępowanie kapitana Nemo było więcej niż nierozsądne.

Znajdowałem się właśnie na pomoście, kiedy kapitan, od kilku chwil rozważając naszą sytuację, odezwał się:

— No, cóż, panie profesorze? Co pan o tym wszystkim sądzi?

— Sądzę, że jesteśmy zamknięci, panie kapitanie.

— Jak to „zamknięci”, co pan przez to rozumie?

— Rozumiem, że nie możemy jechać ani w przód, ani w tył, ani w bok. Mam wrażenie, że to właśnie (na lądach zamieszkanych) nazywa się „zamknięci”.

— Więc pan sądzi, że „Nautilus” już się z tego nie wydobędzie?

— Trudno to będzie, panie kapitanie, bo przecież porę roku mamy już zbyt późną, by liczyć na ruszenie lodów.

— Ach, panie profesorze! — odparł kapitan z ironią. — Nigdy się pan już chyba nie zmieni! Wszędzie widzi pan tylko trudności i przeszkody! Zapewniam pana, że „Nautilus” nie tylko wydobędzie się stąd, ale pojedzie jeszcze dalej!

— Dalej na południe? — spytałem patrząc na kapitana uważnie.

— Tak, panie profesorze, do samego bieguna.

— Do bieguna! — wykrzyknąłem niedowierzająco.

— Tak jest, do bieguna południowego, do tego tajemniczego punktu, gdzie krzyżują się wszystkie południki kuli ziemskiej. Wie pan przecież, że „Nautilus” zrobi wszystko to, co ja chcę.

To prawda — wiedziałem, że kapitan jest człowiekiem zuchwałym do szaleństwa! Ale porywać się na przeszkody, od których aż się jeży biegun południowy! Jest on przecież bardziej niedostępny od północnego, do którego nie przedarli się jeszcze nawet najśmielsi żeglarze*. Było to przedsięwzięcie wprost bezsensowne i powstać mogło jedynie w umyśle szaleńca!

Zapytałem więc kapitana Nemo, czy już poprzednio odkrył może ów biegun, nie tknięty dotychczas stopą człowieka.

— Nie, panie profesorze — odparł. — Odkryjemy go razem. Innym się to nie powiodło, nam powiedzie się na pewno. Nigdy jeszcze nie poprowadziłem „Nautilusa” tak daleko na morza południowe, ale powtarzam panu — zajedziemy jeszcze dalej.

— Chętnie uwierzę, panie kapitanie — zgodziłem się z lekką ironią. — Wierzę panu. Jazda naprzód! Nie ma dla nas przeszkód! Skruszmy tę ławicę! Wysadźmy ją w powietrze, a jeśli się to nie uda, przypnijmy „Nautilusowi” skrzydła, żeby nad nią przeleciał!

— Nad nią? — zapytał spokojnie kapitan Nemo. — Wcale nie nad nią, panie profesorze, tylko pod nią.

— Pod nią!

To niespodziewane oświadczenie kapitana rozjaśniło mój umysł. Zrozumiałem. W tym nadludzkim przedsięwzięciu wykorzystamy przecież cudowne właściwości „Nautilusa”!

— Zdaje mi się, panie profesorze — rzekł kapitan z uśmiechem — że zaczynamy się rozumieć; już widzi pan możliwość — ja natomiast mam pewność powodzenia naszych zamierzeń. Co dla innych statków jest niewykonalne, dla „Nautilusa” jest zupełnie łatwe. Jeżeli na biegunie jest ląd, będziemy musieli się zatrzymać, jeśli jednak będzie to wolne morze, dojedziemy do samego bieguna.

— Rzeczywiście — przyznałem porwany rozumowaniem kapitana. — Powierzchnia

---

* …do którego nie przedarli się jeszcze nawet najśmielsi żeglarze — pierwszym zdobywcą bieguna północnego był podróżnik amerykański Robert Peary, który dotarł tam w 1909 r.

morza* skuta jest wprawdzie lodem, ale warstwy dolne muszą być płynne, ponieważ temperatura wody o maksymalnej gęstości jest wyższa od tak zwanego „punktu zamarzania”. Poza tym, jeżeli się nie mylę, stosunek części ławicy, zanurzonej w wodę, do części wynurzającej się nad powierzchnię ma się jak cztery do jednego?

— Mniej więcej, panie profesorze. Na każdą stopę wysokości góry lodowej ponad powierzchnię morza przypadają trzy stopy pod wodą. Ponieważ zaś wysokość tych gór nie przekracza stu metrów, więc lód nie sięga głębiej ponad trzysta metrów, prawda? A cóż to jest dla „Nautilusa” trzysta metrów?!

— Nic, panie kapitanie, po prostu nic.

— Właśnie. Będzie mógł zanurzyć się nawet jeszcze niżej, gdzie we wszystkich morzach panuje temperatura jednolita i gdzie będziemy się mogli śmiać nawet z 30 czy 40° poniżej zera na powierzchni.

— Słusznie, panie kapitanie, zupełnie słusznie! — potwierdziłem zapalając się.

— Pozostaje tylko jedna trudność — ciągnął kapitan. — Będziemy musieli mianowicie pozostać pod wodą przez wiele dni bez możności odnawiania zapasów powietrza.

— Tylko to? — zdziwiłem się. — Przecież „Nautilus” ma ogromne zbiorniki, które możemy napełnić tlenem na długi czas.

— Świetnie, panie profesorze — uśmiechnął się kapitan Nemo. — Nie chcę tylko, żeby mnie pan posądził o szaleństwo, więc z góry przedstawiam panu możliwe trudności.

— Czyżby jeszcze były jakie inne?

— Jeszcze tylko jedna. Jeżeli na biegunie rozciąga się morze, to zapewne będzie ono całkowicie pokryte lodem, co przeszkodzi nam w wypłynięciu na powierzchnię.

— Ale, panie kapitanie, zapomina pan chyba, jak potężną ostrogą dysponuje nasz „Nautilus”! Można będzie rozpędzić go wzdłuż przekątnej i uderzyć od dołu w ławicę, która na pewno pęknie od tego wstrząsu!

— Ależ pan ma pomysły, panie profesorze!

— A zresztą, panie kapitanie — ciągnąłem, coraz bardziej rozentuzjazmowany — dlaczegóż na biegunie południowym, tak jak i na północnym, nie mielibyśmy napotkać otwartego morza? Przecież ani w strefie arktycznej, ani w antarktycznej bieguny ziemskie nie pokrywają się z biegunami zimna. Póki zatem ktoś nie dowiedzie, że jest inaczej, należy przypuszczać, że w obu tych punktach kuli ziemskiej znajduje się albo ląd, albo ocean wolny od lodów.

— Tak też i ja sądzę, panie profesorze — odpowiedział kapitan. — Pozwoli pan sobie tylko zwrócić uwagę, że poprzednio wytaczał pan masę argumentów przeciw memu projektowi, a teraz miażdży mnie pan wywodami, które go popierają.

Kapitan mówił prawdę. Doszło do tego, że pobiłem go zuchwałością! Teraz ja ciągnąłem go pod biegun! Wyprzedzałem go, dystansowałem śmiałością!… Ależ nic podobnego, stary głupcze! Kapitan Nemo grubo lepiej od ciebie orientował się we wszystkich pro i contra całego zagadnienia i tylko bawił się widokiem profesora, którego wyobraźnia poniosła tak daleko!

Tymczasem kapitan nie marnował ani chwili. Na jego znak ukazał się porucznik. Obaj porozumieli się ze sobą szybko w owym nie znanym mi języku; nie wiem, czy porucznik był już uprzedzony, czy też uważał, że projekt jest całkiem wykonalny, dość że nie dał po sobie poznać najmniejszego zdziwienia. I mimo że był bardzo spokojny, przecież bardziej spokojnym okazał się Conseil, którego zawiadomiłem o naszym zamiarze dotarcia do bieguna południowego. Za całą odpowiedź musiałem się zadowolić zwykłym: „Jak pan profesor sobie życzy!” Natomiast Ned Land wzruszył tylko ramionami, i to tak wysoko, jak chyba nikt dotychczas. Powiedział tylko:

---

* Powierzchnia morza… — dziś wiemy już, że w okolicach bieguna południowego znajduje się nie morze, ale olbrzymi ląd o powierzchni ponad 14 milionów km^2, noszący nazwę Antarktydy

— Wie pan co, panie profesorze? Żal mi pana i tego pańskiego kapitana Nemo!

— A jednak pojedziemy aż na biegun, Nedzie!

— Możliwe, ale nie wrócicie stamtąd!

Po czym Ned poszedł do swojej kabiny, aby, jak się wyraził, „nie zrobić komu krzywdy”.

Rozpoczęto zatem przygotowania do śmiałego przedsięwzięcia. Potężne pompy zaczęły tłoczyć powietrze do zbiorników, aby je tam przechować pod wysokim ciśnieniem. Około czwartej kapitan Nemo oznajmił, że pokrywa wejściowa będzie za chwilę zamknięta. Rzuciłem po raz ostatni okiem na grubą ławicę, którą mieliśmy przebyć. Pogoda była dobra, powietrze czyste, mróz ostry, 12° poniżej zera; było jednak zupełnie znośnie, bo wiatr się uspokoił.

Na kadłub „Nautilusa” wyszło z dziesięciu ludzi, aby kilofami porozbijać lód, który się wokół utworzył. Poszło to szybko, bo świeży lód nie był jeszcze zbyt gruby. Potem wszyscy zeszli do wnętrza. Zbiorniki zaczęły wyciągać wodę z najbliższego otoczenia „Nautilusa”, wolnego już od lodu. Statek zagłębił się natychmiast.

Razem z Conseilem usiedliśmy w salonie i przez odsłoniętą szybę przypatrywaliśmy się coraz niższym warstwom Oceanu Lodowatego. Rtęć w termometrze szła powoli do góry. Igła manometru drgała na podziałce.

Zgodnie z przewidywaniami kapitana Nemo, na głębokości około trzystu metrów byliśmy już pod falistą dolną powierzchnią ławicy. „Nautilus” opuszczał się jednak ciągle aż do głębokości ośmiuset metrów.

— Za pozwoleniem pana profesora, zdaje mi się, że przejedziemy — odezwał się Conseil.

— No, myślę! — odpowiedziałem tonem najgłębszego przekonania.

Pod lodem „Nautilus” skierował się wprost na biegun, nie zbaczając z pięćdziesiątego drugiego południka. Od 67°30’ do 90° pozostawało nam do przebycia dwadzieścia dwa i pół stopnia, czyli nieco ponad tysiąc mil. Szybkość „Nautilusa” wynosiła teraz około dwudziestu sześciu mil na godzinę, a więc równała się szybkości pociągu pośpiesznego. W takim tempie powinniśmy dotrzeć do bieguna w ciągu czterdziestu godzin.

Nasze nowe położenie było tak interesujące, że obaj z Conseilem spędziliśmy część nocy przy szybie. Morze płonęło w świetle naszego reflektora. Było jednak zupełnie puste; w tych uwięzionych wodach nie było ryb, które tylko przepływały tędy z oceanu do otwartego morza na biegunie. „Nautilus” płynął bardzo szybko, odczuwaliśmy to bardzo dobrze po drżeniach przebiegających jego stalowy kadłub.

Około drugiej w nocy postanowiłem przespać się kilka godzin. Conseil odszedł także. W żadnym z korytarzy nie spotkałem kapitana. Myślę, że siedział w sterówce.

Nazajutrz, 18 marca, o piątej rano byłem już z powrotem w salonie. Elektryczny log wskazywał, że szybkość „Nautilusa” zmalała. Statek powoli opróżniał swe zbiorniki, ostrożnie powracał na powierzchnię.

Serce mi biło. Czyżbyśmy wypływali już na wolne wody bieguna? Nie. Poznałem po wstrząsie, że „Nautilus” uderzył o dolną powierzchnię ławicy, bardzo jeszcze grubej, sądząc po matowym odgłosie uderzenia. Istotnie, mówiąc po marynarsku, „zgruntowaliśmy”, ale odwrotnie, i to na głębokości trzech tysięcy stóp. Wynikało stąd, że ławica wystawała z wody jeszcze na tysiąc stóp, zatem cała jej grubość wynosiła cztery tysiące. Było to więcej niż w miejscu, gdzie rozpoczęliśmy się zanurzać. Nic wesołego.

Przez cały dzień „Nautilus” wielokrotnie jeszcze powtarzał ten sam eksperyment, zawsze jednak uderzał w rozciągające się ponad nim sklepienie. W kilku miejscach napotkał je na głębokości dziewięciuset metrów, co oznaczało, że ławica wznosi się ponad powierzchnię oceanu na trzysta metrów, a łączna jej grubość wynosi kilometr i dwieście metrów! Była zatem dwa razy grubsza niż na początku.

Pilnie notowałem te głębokości i otrzymałem w ten sposób podmorski profil lodowego łańcucha ciągnącego się nad nami.

Do wieczora nie zaszła żadna zmiana w sytuacji. Stale lód na głębokości czterystu i pięciuset metrów! Było to już nieco mniej, ale jakże gruba ławica dzieliła nas ciągle jeszcze od powierzchni oceanu! Zgodnie ze zwyczajem panującym na pokładzie, już od czterech godzin powinniśmy byli odświeżyć powietrze we wnętrzu „Nautilusa”. Mimo to nie odczuwaliśmy duszności, choć kapitan Nemo nie sięgnął jeszcze do zapasów tlenu w zbiornikach.

Źle spałem tej nocy. Oblegały mnie kolejno to nadzieja, to obawa. Kilkakrotnie wstawałem. „Nautilus” ciągle badał „po omacku” dno ławicy. Około trzeciej w nocy zauważyłem, że dotykamy dolnej powierzchni lodu na głębokości zaledwie pięćdziesięciu metrów. Od poziomu wody dzieliło nas zatem zaledwie sto pięćdziesiąt stóp. Ławica przechodziła powoli w ice–field; góra stawała sio; polem lodowym. Nie spuszczałem oczu z manometru. Wznosiliśmy się powoli, ale stale, płynąc ciągle skośnie do góry, wzdłuż błyszczącej od naszego reflektora powierzchni lodu. Ławica obniżała się zarówno od góry, jak i od dołu, z wolna, stopniowo. Z kilometra na kilometr stawała się coraz cieńsza.

Wreszcie pamiętnego dla mnie dnia 19 marca, o godzinie szóstej rano, otworzyły się drzwi salonu. Wszedł kapitan Nemo i powiedział tylko dwa słowa:

— Wolne morze!

Rozdział XIV
Biegun południowy

Wybiegłem na pomost.

Tak! Morze było wolne! Widzieliśmy zaledwie trochę kry, parę pływających ice–bergów, a w oddali swobodną przestrzeń morza; w powietrzu unosiły się chmary ptactwa, miliony ryb pląsały w wodzie mieniącej się, w zależności od dna, barwami od mocno błękitnej do oliwkowozielonej. Termometr wskazywał 3° Celsjusza poniżej zera. Niczym wiosna, zamknięta murem ławicy lodowej, rysującej się na horyzoncie północnym.

— Czy jesteśmy na biegunie? — zapytałem kapitana z bijącym sercem.

— Nie wiem — odparł. — W południe ustalimy położenie.

— Czy jednak przez te mgły wyjrzy słońce? — wyraziłem obawę, spoglądając na szarawe niebo.

— Jeżeli pokaże się choćby na chwilkę, już mi to wystarczy — odpowiedział kapitan.

O dwie mile na południe od „Nautilusa" widać było wznoszącą się do wysokości dwustu metrów, samotną wysepkę. Popłynęliśmy ku niej, ostrożnie jednak, bo przecież morze mogło tu być usiane skałami.

Po godzinie byliśmy już przy wyspie, po dwóch zaś okrążyliśmy ją całkowicie; miała dwie do trzech mil obwodu. Wąski kanał oddzielał ją od jakiegoś większego lądu, być może nawet od dużego kontynentu, którego krańców nie sposób było dostrzec. Istnienie tego lądu zdawało się potwierdzać hipotezę uczonego Maury. Bystry ten Amerykanin zauważył mianowicie, że między biegunem południowym a sześćdziesiątym równoleżnikiem morze pokryte jest górami lodowymi o tak ogromnych rozmiarach, jakich nie spotyka się zupełnie na Atlantyku północnym. Wywnioskował stąd, że w strefie antarktycznej znajdować się musi znaczny kontynent, ponieważ góry lodowe nie tworzą się na pełnym morzu, lecz zawsze w pobliżu wybrzeży. Według jego obliczeń, masy lodu, otaczające biegun południowy, tworzą na nim ogromną „czapę" o szerokości dochodzącej do czterech tysięcy kilometrów.

W obawie przed skałami „Nautilus" zatrzymał się o jakieś trzy sążnie od płaskiego wybrzeża, nad którym sterczały wspaniałe urwiska. Spuszczono na wodę łódź, do której wsiadł kapitan, dwóch ludzi z instrumentami obserwacyjnymi, Conseil i ja. Była godzina dziesiąta. Neda nie widziałem. Najprawdopodobniej Kanadyjczyk uparł się i nie chciał w obliczu bieguna południowego zmienić swego zdania. Po kilku uderzeniach wiosłami łódź osiadła na piasku. Conseil chciał wyskoczyć, ale powstrzymałem go.

— Panie kapitanie! — powiedziałem. — Niech panu pierwszemu przypadnie zaszczyt dotknięcia stopą tego lądu.

— Owszem, panie profesorze. Jeżeli nie waham się postawić nogi na tej ziemi, to tylko dlatego, że żaden człowiek nie zostawił tu dotychczas swoich śladów.

Po tych słowach lekko wyskoczył na piasek. Był widocznie wzruszony, serce mu biło żywiej. Wdrapał się na skałę, górującą nad niewielkim przylądkiem, i z jej szczytu, stojąc ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, z płonącym wzrokiem, nieruchomy i niemy, zdawał się obejmować w posiadanie całą tę krainę. Zatopiony w ekstazie, stał tak około pięciu minut, po czym zwrócił się do nas i zawołał:

— Proszę bardzo, panie profesorze!

Wysiadłem wraz z Conseilem, pozostawiając w łodzi obu ludzi z załogi.

Na dużej przestrzeni ziemia pokryta była czerwonawym tufem, niby miałko tłuczoną cegłą, oraz żużlem, lawą i pumeksem. Wulkaniczne pochodzenie tego lądu rzucało się wprost w oczy. W pewnych miejscach można było nawet dojrzeć unoszący się leciutki dymek pachnący siarką, świadczący, że ognie podziemne bynajmniej nie utraciły jeszcze swej mocy. Kiedy wdrapałem się na dość wysokie wzniesienie, nie dojrzałem jednak ani jednego wulkanu w

promieniu wielu mil. Wiadomo natomiast, że na sto sześćdziesiątym siódmym południku, pod 77°32’ szerokości James Ross*[*] odkrył czynne kratery wulkanów — Erebus i Terror.

Szata roślinna tego pustego kontynentu była bardzo uboga. Na czarnych skałach widniało nieco mchu z gatunku Usnea melanoxantha. Lichej flory tej ziemi dopełniały mikroskopijne roślinki o prymitywnej budowie, niby komóreczki umieszczone między dwiema kwarcowymi skorupkami, i długie fukusy, czerwone i karmazynowe, unoszące się na malutkich pęcherzykach pławnych i wyrzucane przez wodę na brzeg.

Całe wybrzeże usiane było mięczakami, maleńkimi małżami, patelkami, gładkimi bukardami w kształcie serca, a zwłaszcza podługowatymi i rozczłonkowanymi skrzydłopławkami o głowach utworzonych z dwóch zaokrąglonych płatków. Ujrzałem także miliony trzycentymetrowych skrzydłopławek północnych, których całą masę wieloryb pochłania na jeden tyk. Miłe te stworzonka, istne motyle morskie, ożywiały wolną od lodu wodę przy brzegach. Ze zwierzokrzewów ujrzałem na dnie kilka krzewów koralowych, które, według Jamesa Rossa, żyją w południowych morzach na głębokościach do tysiąca metrów, dalej sporo malutkich przedstawicieli gatunku Procellaria pelagica, wreszcie wielkie ilości właściwych tym strefom rozgwiazd morskich, zalegających grunt malowniczymi konstelacjami.

Prawdziwym jednak życiem tętniło dopiero powietrze. Unosiły się w nim dziesiątki tysięcy najprzeróżniejszych ptaków, ogłuszających nas swymi krzykami. Niektóre siedziały całymi gromadami na skałach, przypatrywały nam się bez obawy i nawet cisnęły się do nas poufale. Były to pingwiny, tak ciężkie i niezgrabne na ziemi, a tak zręczne i lekkie w wodzie, że niejednokrotnie mieszano je ze zwinnymi bonitami; krzyczały dziwacznie, zbierając się w tłumne gromady. Niewiele się to wszystko ruszało, za to wrzeszczało przeraźliwie.

Wśród ptaków zauważyłem pewien gatunek z rodziny czaplowatych wielkości gołębia, o upierzeniu białym, dziobie krótkim, stożkowatym i oczach otoczonych czerwonymi obwódkami. Conseil ubił ich sporo, gdyż odpowiednio przyrządzone stanowią smaczne danie. Nad nami przelatywały czarne jak sadza albatrosy, o rozpiętości skrzydeł dochodzącej do czterech metrów, zwane słusznie sępami oceanu; olbrzymie petrele, jak na przykład „quebrante–huesos” o łukowatych skrzydłach, pożeracze fok; „warcabnice” podobne do małych kaczek o czarno–białych grzbietach, wreszcie całe masy petreli, jedne białawe o skrzydłach obramowanych brunatną obwódką, inne niebieskie; te ostatnie, zamieszkujące przede wszystkim polarne morza południowe, są tak „oleiste” (jak się wyraziłem w rozmowie z Conseilem), że mieszkańcy Wysp Owczych nie wytapiają z nich tłuszczu, tylko po prostu umocowują w nich knot i zapalają.

— Niewiele brakuje, a byłyby to doskonałe lampy — zauważył poważnie Conseil. — Ostatecznie, trudno wymagać, aby knoty przyprawiała im sama natura.

W odległości około pół kilometra cały grunt był zryty gniazdami bezlotków: były to jak gdyby nory do składania i wysiadywania jaj; wylatywało stamtąd mnóstwo ptaków. Kapitan Nemo polecił później upolować kilkaset sztuk ze względu na ich doskonałe, czarne mięso. Stworzenia te, wielkości gęsi, czarne na grzbiecie, białe na brzuchu i zdobne cytrynową obwódką na szyi, wydawały odgłosy podobne do ryku osła, nie uciekały zupełnie przy zbliżaniu się człowieka, można je było zabijać kamieniami.

Tymczasem jednak mgła nie rozeszła się wcale i około jedenastej nie było jeszcze widać słońca. Niepokoiło mnie to, ponieważ uniemożliwiało poczynanie obserwacji. Jakże mogliśmy ustalić, czy istotnie dotarliśmy do bieguna?

Kiedy zbliżyłem się do kapitana Nemo, zastałem go opartego łokciem o skałę i wpatrującego się milcząco w niebo. Wydawał się zniecierpliwiony i rozdrażniony. Nie było rady. Ów odważny i potężny człowiek nie mógł jednak rozkazywać słońcu tak, jak rozkazywał morzu.

---

* Ross James Clarke (1800–1862) — podróżnik angielski, badał tereny antarktyczne, odkrył Ziemię Wiktorii

Południe minęło, a promienista gwiazda nie pokazała się ani na chwilę. Poza grubą warstwą mgły nie można było nawet poznać, gdzie się znajduje. Wkrótce mgła spadła obficie pod postacią śniegu.

— Do jutra! — odezwał się kapitan po prostu.

Wróciliśmy do „Nautilusa” wśród gęstej zadymki.

W czasie naszej nieobecności zarzucono sieci i teraz przypatrywałem się z ciekawością wydobywanym na pokład rybom. Wody Oceanu Lodowatego Południowego są schroniskiem wielkiej liczby ryb wędrownych, uciekających tu przed burzami szalejącymi w strefach cieplejszych; inna sprawa, że wpadają też przeważnie w paszcze morświnów i fok. Zauważyłem kilka głowaczy południowych długości decymetra, z gatunku chrząstkowatych, białawych, ozdobionych poprzecznymi pasami i uzbrojonych w kolce, dalej trzystopowe „chimery” antarktyczne, o ciele wydłużonym, skórze białosrebrnej i gładkiej, o głowie zaokrąglonej i grzbiecie zaopatrzonym w trzy płetwy, z pyskiem zakończonym zakrzywioną trąbą. Spróbowałem ich mięsa: było mdłe, choć Conseilowi bardzo smakowało.

Śnieżna burza trwała aż do dnia następnego. Na pomoście nie można było nawet wytrzymać. W salonie, gdzie notowałem wydarzenia naszej podbiegunowej podróży, słychać było krzyki igrających w śnieżycy petreli i albatrosów. „Nautilus” nie tkwił w miejscu, przeciwnie — posunął się wzdłuż wybrzeża jeszcze około pięciu mil na południe. Słońce, wędrujące też przy horyzoncie, dawało niewiele światła. Panował prawie półmrok.

Nazajutrz, 20 marca, śnieg ustał. Mróz zwiększył się nieco; termometr wskazywał 4° poniżej zera. Mgła uniosła się, miałem więc nadzieję, że będzie można dokonać pomiarów.

Kapitan Nemo nie pojawił się jeszcze, zatem łódka zabrała na brzeg tylko mnie i Conseila. Grunt był tu również pochodzenia wulkanicznego. Wszędzie widoczne były ślady lawy, żużlu, bazaltów, choć nigdzie nie zauważyłem krateru. I tutaj unosiły się w powietrzu miliony ptaków. Królestwo swoje dzieliły one tu jednak z dużymi stadami ssaków morskich, przyglądających się nam łagodnymi oczami. Były to najprzeróżniejsze gatunki fok: jedne leżały na ziemi, inne na pływających odłamkach kry, jeszcze inne wyłaziły z morza lub wracały do wody. Za naszym zbliżeniem się nie uciekały zupełnie, widocznie jeszcze nie widziały człowieka; było ich tyle, że mogły dostarczyć pożywienia kilkuset co najmniej statkom.

Była ósma rano. Od chwili, w której należało zaobserwować słońce, aby ustalić nasze położenie, dzieliły nas jeszcze cztery godziny.

Skierowaliśmy się ku obszernej zatoce, wrzynającej się w granitowe urwiska wybrzeża.

Jak okiem sięgnąć — ziemia i lodowce wokół aż czerniły się od ssaków morskich. Były to przeważnie foki. Siedziały najczęściej grupkami: samce z samicami, ojcowie czuwający nad bezpieczeństwem rodziny, matki karmiące małe, wreszcie kilkoro młodzików, siłujących się i bawiących ze sobą. Przenosząc się z miejsca na miejsce, ssaki te posuwały się drobnymi skokami, kurcząc całe ciało i pomagając sobie niezręcznie ogonem w kształcie płetwy. A muszę zaznaczyć, że stworzenia te, o ruchomym stosie pacierzowym, wąskiej miednicy, krótkiej i gęstej sierści i płetwowatych palcach u kończyn, świetnie się poruszają w wodzie. Woda jest ich właściwym żywiołem. Kiedy odpoczywały na ziemi, przybierały jednak pozy bardzo wdzięczne.

Zwróciłem uwagę Conseila na mocno rozwinięte czaszki tych mądrych zwierząt. Żaden ssak, z wyjątkiem człowieka, nie jest równie bogaty w substancję mózgową. Dlatego to foki można do pewnego stopnia kształcić; oswajają się łatwo i sądzę (jak zresztą wielu innych przyrodników), że przy odpowiedniej tresurze mogłyby pożytecznie służyć człowiekowi za „psy rybołówcze”.

Większość owych zwierząt spała na urwiskach i na piasku. Pomiędzy fokami właściwymi, nie mającymi, jak wiadomo, zewnętrznych uszu, zauważyłem kilka odmian: niektóre mierzyły trzy metry długości, miały białą sierść i głowę buldoga uzbrojoną w dziesięć zębów

w każdej szczęce: po cztery siekacze u dołu i u góry oraz dwa wielkie kły, przypominające kształtem kwiat lilii. Wśród nich przeciskały się słonie morskie, rodzaj fok zaopatrzonych w krótką i ruchliwą trąbę. Olbrzymy te miały w obwodzie około dwudziestu stóp i ponad dziesięć metrów długości. Nic sobie z nas nie robiły.

— To chyba nie są niebezpieczne zwierzęta? — informował się Conseil.

— Nie — odparłem. — Byleby ich nie zaczepiać. Foka broniąca swych małych jest straszna i nierzadko rozbija w drzazgi łódź rybacką.

— Właściwie nie można jej tego brać za złe — zauważył Conseil. — Może i masz rację, o dwie mile dalej powstrzymał nas w marszu wzgórek osłaniający zatokę od wiatrów wiejących z południa. Wzgórek ten wchodził cyplem w morze i okryty był pianą bijących fal. Spoza cypla dochodziły straszliwe ryki, jakby wydawało je całe stado wołów.

— No, no… — zdziwił się Conseil. — Koncert byków?

— Nie — odparłem. — Koncert morsów.

— Biją się?

— Biją się albo bawią.

— Za pozwoleniem pana profesora: trzeba by to zobaczyć.

— Trzeba zobaczyć, Conseil.

Zaczęliśmy się wspinać po czarniawych skałach; niektóre usuwały się nagle; wszystkie kamienie były oślizłe od lodu. Kilkakrotnie staczałem się w dół i obijałem sobie boki. Ostrożniejszy i mocniej stąpający Conseil ani się zachwiał. Pomagał mi podnosić się mówiąc:

— Pan profesor na pewno lepiej utrzymywałby równowagę, gdyby pan profesor zechciał szerzej stawiać nogi!

Przybywszy nad krawędź pagórka, ujrzałem rozległą, białą płaszczyznę, zapełnioną morsami. Zwierzęta bawiły się. Ryki nie oznaczały wściekłości, lecz zadowolenie.

Morsy przypominają foki kształtem ciała i rozmieszczeniem kończyn. Nie mają natomiast kłów i siekaczy w dolnej szczęce, za to kły górne dochodzą do osiemdziesięciu centymetrów długości i mają trzydzieści trzy centymetry obwodu przy nasadzie. Kły te są bardzo poszukiwane, ponieważ są twardsze od słoniowych, ściślejsze (bez prążków) i nie tak prędko żółkną. Dlatego morsy ściga się bez opamiętania i prawdopodobnie szybko wyginą; myśliwi bowiem biją ich rocznie ponad cztery tysiące, uśmiercając kotne samice oraz młode.

Przechodząc tuż obok tych ciekawych stworzeń, mogłem przypatrywać się im do woli, bo zupełnie nie były płochliwe. Skórę miały grubą i pomarszczoną, barwy płowej, wpadającej w rudą, sierść krótką i rzadką. Niektóre okazy dochodziły do czterech metrów długości. Były spokojniejsze i mniej lękliwe od swych północnych braci i nie rozstawiały, jak tamte, specjalnych czat, które ostrzegają całe stado o grożącym niebezpieczeństwie.

Zwiedziwszy to miasto morsów postanowiłem wracać. Była jedenasta i jeżeli kapitan Nemo miałby odpowiednie ku temu warunki, chciałem być obecny przy dokonywaniu obserwacji. Nie sądziłem co prawda, aby słońce miało się jeszcze tego dnia pokazać. Chmury na horyzoncie ukrywały je przed naszymi oczami. Wyglądało tak, jakby zazdrosna gwiazda postanowiła nie dopuścić ludzi do tajemnicy tego niedostępnego punktu na ziemi.

Mimo to chciałem wracać do „Nautilusa”. Poszliśmy wąskim grzbietem wzdłuż szczytów urwiska i o pół do dwunastej doszliśmy do miejsca wylądowania. Na piasku leżała łódź, która przywiozła na ląd kapitana Nemo. Ujrzałem go niebawem, stojącego na bloku bazaltu, obok przygotowane były instrumenty. Kapitan spoglądał na północ, w stronę gdzie słońce opisywało wzdłuż horyzontu długą krzywą.

Zbliżyłem się i czekałem w milczeniu. Dwunasta minęła i, tak jak wczoraj, słońce nie pokazało się wcale. Fatalna okoliczność! Nie można było dokonać pomiarów. Gdyby i nazajutrz miało się to powtórzyć, trzeba by zrezygnować ostatecznie z ustalenia naszego położenia.

Mieliśmy bowiem dzień 20 marca. Jutro, 21, w dniu porównania wiosennego, słońce (nie

biorąc pod uwagę refrakcji*) zniknie z horyzontu na sześć miesięcy, a z jego zniknięciem rozpocznie się długa noc polarna. Od porównania wrześniowego słońce przebiegło długą drogę, wychylając się spoza horyzontu północnego i wznosząc się po bardzo wydłużonych spiralach aż do 21 grudnia. Po tym dniu, który dla okolic biegunowych jest dniem przesilenia, zaczęło się zniżać i jutro właśnie rzucić miało swoje ostatnie promienie. Te moje uwagi i obawy zakomunikowałem kapitanowi Nemo.

— Ma pan rację, panie profesorze — odrzekł. — Jeżeli jutro nie będę mógł ustalić wysokości słońca, można będzie obserwacje powtórzyć dopiero po upływie sześciu miesięcy. Dzięki jednak temu samemu przypadkowi, który zawiódł mnie tutaj na dzień 21 marca, ustalenie naszego położenia będzie bardzo łatwe, oczywiście, jeżeli słońce pokaże się w południe.

— Dlaczego, panie kapitanie?

— Dlatego, że kiedy słońce zakreśla spirale tak wydłużone, zmierzenie jego dokładnej wysokości nad horyzontem nie jest łatwe; instrumenty mogą dopuścić nawet znaczne błędy.

— Cóż więc pan zrobi?

— Użyję tylko chronometru — odpowiedział kapitan. — Jeśli jutro, 21 marca, w południe horyzont przetnie słońce dokładnie na dwie połowy (nie licząc oczywiście refrakcji), znaczyć to będzie, że jesteśmy na biegunie południowym.

— Rzeczywiście — zgodziłem się. — Trudno jednak stwierdzić to z matematyczną dokładnością, bo przecież moment porównania nie musi przypaść w samo południe.

— Niewątpliwie, panie profesorze. Błąd jednak nie wyniesie nawet stu metrów; wystarczy nam to w zupełności. A zatem — do jutra!

Kapitan Nemo powrócił na pokład. Zostaliśmy z Conseilem na plaży jeszcze do piątej po południu, łażąc, przypatrując się i studiując. Nie przyniosłem jednak żadnej ciekawej pamiątki, poza jednym ogromnym jajem pingwina, za które zbieracz–amator zapłaciłby na pewno ponad tysiąc franków. Było kawowej barwy i pokryte kreskami podobnymi do hieroglifów — rzadki bibelocik! Oddałem je Conseilowi, a ten, stąpając ostrożnie i trzymając jajo jak bezcenną chińską porcelanę, doniósł je bez uszkodzenia do „Nautilusa". Złożyłem je w jednej z gablotek w salonie–muzeum.

Na kolację zjadłem z apetytem doskonały kawałek foczej wątróbki; w smaku przypominała wieprzowinę. Potem poszedłem spać, wezwawszy przedtem, niczym pobożny Hindus, pomocy wszechmocnego Słońca na dzień jutrzejszy.

Nazajutrz, 21 marca, od piątej rano byłem już na pomoście. Zastałem tam kapitana Nemo, który rzekł zaraz:

— Trochę się wypogadza. Zaczynam mieć nadzieję. Po śniadaniu pojedziemy na ląd i wybierzemy dobry punkt obserwacyjny.

Poszedłem do Neda, chciałem go bowiem zabrać z sobą. Uparty Kanadyjczyk odmówił jednak; zauważyłem, że z każdym dniem wzrastała jego małomówność i objawy złego humoru. Zresztą nie żałowałem, że tak się uparł w tym wypadku. Na ziemi było zbyt wiele fok, po cóż więc wystawiać nieopanowanego myśliwca na taką pokusę.

Po śniadaniu udałem się na ląd. Przez noc „Nautilus" posunął się jeszcze o kilka mil dalej. Teraz drzemał na wodzie w odległości dobrej mili od wybrzeża, na którym wznosił się na czterysta czy pięćset metrów ostry wierzchołek góry. W łodzi siedział także kapitan Nemo oraz dwaj ludzie z załogi z instrumentami — chronometrem, lornetą i barometrem.

Podczas przejazdu zauważyłem dużo waleni należących do trzech rodzajów spotykanych na morzach południowych, a więc wieloryba właściwego, nazywanego przez Anglików right whale, pozbawionego płetwy grzbietowej, dalej hump–back*, o pomarszczonym brzuchu i

---

* refrakcja — załamanie promieni świetlnych przy przechodzeniu światła z jednego środowiska do drugiego

* h u m p – b a c k (ang.) — garbus

wielkich białych płetwach, wreszcie fin–back*, brązowożółtawego, najzwinniejszego ze wszystkich wielorybów. Potężne te zwierzęta słychać z daleka, gdy wyrzucają na dużą wysokość słupy powietrza i pary, niczym kłęby dymu. W spokojnych wodach igrały całymi stadami, co przekonało mnie, że basen mórz antarktycznych służy za schronienie licznym wielorybom, tak zawzięcie ściganym przez rybaków i myśliwych.

Wylądowaliśmy o dziesiątej. Niebo stawało się coraz czystsze, chmury uciekały na południe. Mgła podnosiła się powoli znad zimnej powierzchni morza. Kapitan Nemo skierował się ku szczytowi góry, gdzie zapewne chciał urządzić swoje obserwatorium. Uciążliwa to była wspinaczka po ostrych kawałkach lawy i pumeksu, wśród siarkowych wyziewów dymnic. Jak na człowieka nienawykłego do stąpania po ziemi, kapitan wdzierał się na najbardziej strome zbocza ze zwinnością, której nie potrafiłem dorównać, a której pozazdrościć mógłby mu nawet łowca kozic.

Po dwóch godzinach osiągnęliśmy wreszcie szczyt góry, która składała się z porfirów i bazaltów. Wzrok ogarniał stąd wielką przestrzeń morza odcinającą się wyraźną linią horyzontu na tle nieba. U stóp naszych ciągnęła się równina olśniewająca bielą, ponad głowami — bezkres bladego, bezchmurnego lazuru. Na północy widniała tarcza słoneczna, niby ognista kula, okrojona już cięciwą widnokręgu. Ponad wodą tryskały setki wspaniałych fontann. W dali leżał „Nautilus” jak uśpiony wieloryb. Za nami rozciągał się olbrzymi ląd — bezładne i bezkresne nagromadzenie skał i lodowców.

Po przybyciu na szczyt kapitan Nemo starannie oznaczył za pomocą barometru jego wysokość ponad poziomem morza, gdyż należało wziąć ją pod uwagę w czasie obserwacji.

Kwadrans przed dwunastą słońce, dotychczas widziane tylko dzięki zjawisku refrakcji, wysunęło się spod horyzontu jak złoty dysk, rzucając ostatnie promienie na bezludny i pusty kontynent i na morza, po których nigdy jeszcze człowiek nie żeglował.

Kapitan Nemo, uzbrojony w lornetę z mikrometrem nitkowym i lustrem usuwającym refrakcję, obserwował gorejącą kulę, która znikała pod widnokręgiem, opuszczając się powoli, po bardzo wydłużonej krzywej.

Trzymałem chronometr. Serce biło mi silnie. Jeżeli połowa tarczy słonecznej zniknie w samo południe, to znaczy, że jesteśmy na biegunie.

— Dwunasta! — krzyknąłem.

— Biegun południowy — odezwał się natychmiast kapitan Nemo głosem bardzo poważnym i podał mi lornetę, w której ujrzałem tarczę słoneczną przeciętą horyzontem dokładnie na połowę.

Patrzyłem, jak ostatnie promienie wieńczą aureolą szczyt góry, a już cienie pną się po zboczach ku wierzchołkowi. Kapitan Nemo oparł rękę na moim ramieniu i rzekł:

— Panie profesorze! W 1600 roku Holender Ghéritk, niesiony przez prądy i burze, osiągnął 64° szerokości południowej i odkrył archipelag Południowych Szetlandów. 17 stycznia 1773 roku, płynąc wzdłuż trzydziestego ósmego południka, przesławny Cook dotarł do 67°30’ szerokości, 30 zaś stycznia 1774 roku, płynąc na południku sto dziewiątym, osiągnął 71°15r szerokości. W 1819 roku Rosjanin Bellinghausen znalazł się na sześćdziesiątym dziewiątym równoleżniku, a w 1821 roku — na sześćdziesiątym szóstym pod 111° długości zachodniej. Anglik Brunsfield zatrzymał się w 1820 roku na sześćdziesiątym piątym stopniu. Anglik Powell nie potrafił przekroczyć sześćdziesiątego drugiego stopnia w 1825 roku. Tegoż roku zwykły poławiacz fok, Anglik Weddel, osiągnął na trzydziestym piątym południku 72° 14’, a na trzydziestym szóstym — 74°15’. Anglik Bisscoe w 1831 roku odkrył 1 lutego Ziemię Enderbiego pod 68°50’ szerokości, w roku zaś 1832, 5 lutego, pod 67° szerokości — Wyspę Adelaidy, a 21 lutego pod 64°45’ szerokości — Ziemię Grahama. W 1838 roku Francuz Dumont d’Urville zatrzymał się przed ławicą lodową pod 62° 57’ szerokości i ustalił położenie Ziemi Ludwika Filipa; w dwa lata później, w czasie nowej

* f i n – b a c k (ang.) — fin znaczy płetwa, back — grzbiet

wyprawy na południe, 21 stycznia odkrył pod 66°30’ — Ziemię Adeli, w tydzień zaś później, pod 64°40’ — Wybrzeże Klary. W roku 1838 Anglik Wilkes posunął się po setnym południku aż do sześćdziesiątego dziewiątego równoleżnika. Wreszcie Anglik James Ross, dowodzący statkami „Erebus” i „Terror”, dnia 12 stycznia 1842 roku pod 76°56’ szerokości i 171°7’ długości wschodniej odkrył Ziemię Wiktorii, 27 stycznia dotarł do 76°8’, 28 — do 77°32’, 2 lutego do 78°4’! Po czym wracając w ciągu całego 1842 roku, dotarł do 71°, którego już nie przekroczył. Otóż teraz ja, kapitan Nemo, dnia 21 marca 1868 roku osiągnąłem biegun południowy pod 90° i całą tę część świata, dorównującą jednej szóstej znanych dotychczas kontynentów, obejmuję w posiadanie.

— W czyim imieniu, panie kapitanie?

— W moim, panie profesorze!

Mówiąc to kapitan rozwinął czarną banderę, na której widniała złotem wyhaftowana litera „N”. A potem zwrócił się do zachodzącego słońca, którego ostatnie promienie muskały horyzont, i zawołał:

— Żegnaj, słońce! Znikaj, promienna gwiazdo! Ukryj się za widnokręgiem tego wolnego morza! Niech sześciomiesięczna noc roztoczy teraz swój cień nad moim nowym królestwem!

Rozdział XV
Poważny wypadek czy drobny przypadek

Nazajutrz, 22 marca, o szóstej nad ranem rozpoczęto przygotowania do odjazdu.

Szarość zmierzchu roztapiała się już w ciemnościach nocy. Zimno było dotkliwe. Na niebie konstelacje błyszczały nadzwyczaj wyraźnie. W samym zenicie płonął Krzyż Południa, wspaniały gwiazdozbiór strefy antarktycznej.

Termometr wskazywał 12° poniżej zera; zimny wiatr kłuł boleśnie. Na wolnym dotychczas morzu ukazywały się coraz liczniejsze kry; woda zamarzała ze wszystkich stron; liczne czarniawe płaty na powierzchni zwiastowały rychłe utworzenie się lodu. Jasne było, że basen tego morza, zamarzając na przeciąg sześciu zimowych miesięcy, stawał się całkowicie niedostępny. Co się dzieje z wielorybami w takim okresie? Na pewno odpływają pod ławicą na inne morza, gdzie życie jest możliwsze. Foki i morsy natomiast, przyzwyczajone do najsurowszego klimatu, pozostają w tej lodowatej krainie. Zwierzęta posiadają instynkt, który każe im drążyć sobie otwory w lodowej pokrywie i stale je utrzymywać. Do dziur tych podpływają, aby zaczerpnąć powietrza; owe ssaki morskie pozostają jedynymi panami polarnego kontynentu, bo nawet ptaki, ścigane mrozem, uchodzą na północ.

Tymczasem napełniono zbiorniki i „Nautilus” z wolna opuszczał się w głębinę. Zatrzymał się na głębokości tysiąca stóp. Wprawiono w ruch śrubę i statek ruszył na północ, z szybkością piętnastu mil na godzinę. Wieczorem płynął już pod powierzchnią niezmiernej skorupy — ławicy lodowej.

Ściany salonu zasunięto przez prostą ostrożność, ponieważ kadłub „Nautilusa” mógł natknąć się na jakąś pływającą bryłę. Cały ten dzień spędziłem więc na porządkowaniu moich notatek. Ciągle jeszcze miałem głowę przepełnioną wspomnieniami z bieguna. Niedostępny ten punkt osiągnęliśmy bez trudu, bez niebezpieczeństw, jak gdyby nasz pływający wagon po prostu ślizgał się po szynach kolejowych. A teraz oto wracaliśmy. Czy ten powrót dostarczy mi podobnych wrażeń? Byłem tego pewien. Tak niewyczerpane jest bogactwo cudów podmorskich! Przecież od momentu kiedy traf rzucił nas na pokład „Nautilusa”, upłynęło pięć i pół miesiąca, przebyliśmy już czternaście tysięcy mil; wzdłuż owej trasy dłuższej od równika, ileż to ciekawych lub strasznych wydarzeń urozmaiciło nam podróż! Polowanie w lasach wyspy Crespo… przymusowa przerwa w podróży na skałach w Cieśninie Torresa… koralowy cmentarz… ławica perłowa Cejlonu… Tunel Arabski… piekło wulkanu koło wyspy Santoryn… miliony w zatoce Vigo… Atlantyda… biegun południowy! Wszystkie te wspomnienia opadły mnie równocześnie, tak że mózg mój pracował przez całą noc.

O trzeciej nad ranem obudził mnie gwałtowny wstrząs. Usiadłem na łóżku i zacząłem nadsłuchiwać w ciemności, gdy nagle cisnęło mną na środek kabiny. Widocznie „Nautilus” zawadził kilem i znacznie się przechylił. Trzymając się ścian przeczołgałem się wzdłuż korytarzyka aż do salonu tonącego w blasku świetlnego sufitu. Meble były poprzewracane. Gabloty, solidnie przymocowane do podłogi, na szczęście ocalały. Skutkiem nachylenia obrazy po prawej stronie przywarły silnie do obicia, natomiast po lewej odstawały dolnymi częściami ram na dobrą stopę od ściany. A zatem „Nautilus” leżał na prawej burcie; co gorsza jednak — zupełnie się nie poruszał.

Usłyszałem jakieś kroki i zmieszane głosy. Kapitan Nemo nie ukazywał się jednak. Już miałem wyjść z salonu, kiedy ukazał się Conseil z Nedem.

— Co się dzieje? — spytałem natychmiast.

— Właśnie chciałem o to zapytać pana profesora — odparł Conseil.

— Wiem dobrze, co się stało, do stu diabłów! — wrzasnął Kanadyjczyk. — „Nautilus” „zgruntował”, a po jego przechyleniu wnoszę, że nie wywinie się już tak łatwo, jak wtedy, w Cieśninie Torresa!

— Czy przynajmniej jesteśmy na powierzchni morza? — spytałem.
— Nie wiem — odparł Conseil.
— Nietrudno to będzie sprawdzić — rzekłem.
Podszedłem do manometru. Ku wielkiemu memu zdziwieniu wskazywał on głębokość trzystu sześćdziesięciu metrów.
— Cóż to znaczy?! — zawołałem zdumiony.
— Trzeba zapytać kapitana Nemo — rzekł Conseil.
— Ale gdzie go teraz znaleźć? — spytał Ned Land. — Chodźmy — rzekłem do obu przyjaciół.
Wyszliśmy z salonu. W bibliotece nie było nikogo. Wpadło mi na myśl, że kapitan znajduje się w kabinie sternika. Najlepiej więc było zaczekać. Wróciliśmy do salonu.
Zarzuty i złorzeczenia Kanadyjczyka pominę tu milczeniem. Miał prawo denerwować się. Nic nie odpowiedziałem pozwalając mu wyładować do woli cały zły humor.
Siedzieliśmy tak już ze dwadzieścia minut, usiłując łowić uchem najlżejsze odgłosy, kiedy nagle wszedł kapitan Nemo. Zdawał się nas zupełnie nie zauważać. Na jego twarzy, zazwyczaj tak niewzruszonej, malował się jakby niepokój. Przyjrzał się uważnie kompasowi i manometrowi, a potem położył palec na jakimś punkcie mapy, w okolicach mórz polarnych.
Nie chciałem mu przeszkadzać. Kiedy jednak w kilka minut potem zwrócił się ku mnie, zapytałem używając tego samego zwrotu, którym posłużył się swojego czasu w Cieśninie Torresa:
— Drobny przypadek, panie kapitanie?
— Nie, panie profesorze — odpowiedział. — Tym razem to poważny wypadek.
— Bardzo poważny?
— Być może.
— Czy niebezpieczeństwo grozi nam natychmiast?
— Nie.
— „Nautilus” osiadł?
— Tak.
— A jak to się stało?
— Po prostu kaprys natury. Nie była to nieudolność człowieka; nasi ludzie nie popełnili ani jednego błędu czy niedokładności. Wszelako trudno przeciwstawić się prawom równowagi i ich skutkom. Można opierać się prawom ludzkim, ale nigdy — sprzeciwiać się przyrodzie.
Szczególną chwilę wybrał kapitan Nemo na filozoficzne rozważania… W rezultacie odpowiedź jego nic mi nie dała.
— Czy mogę poznać, panie kapitanie, istotną przyczynę tego wypadku? — zapytałem.
— Przewrócił się ogromny blok lodu, cała góra po prostu — odparł kapitan. — Kiedy ice–bergi topnieją od podstawy wskutek przepływających cieplejszych prądów czy od ciągłego zderzania się ze sobą, ich środek ciężkości przesuwa się ku górze. Wtedy wywracają po prostu kozła. To właśnie wydarzyło się teraz. Jeden z takich wywracających się bloków uderzył „Nautilusa” płynącego pod wodą, a potem wśliznąwszy się pod kadłub uniósł statek z nieprzepartą mocą ku górze, w warstwy nie tak gęste, gdzie właśnie leży przechylony na bok.
— Ale czyż nie można by się z tego uwolnić, opróżniając zbiorniki, aby statek mógł przybrać położenie normalne?
— Właśnie w tej chwili to robimy, panie profesorze. Czy słyszy pan, jak pracują pompy? Proszę spojrzeć na wskazówkę manometru. „Nautilus” wznosi się do góry. Lodowy blok wznosi się jednak także i pozycja nasza nie ulegnie zmianie, dopóki jakaś przeszkoda nie powstrzyma tego wznoszenia się.
Istotnie „Nautilus” ciągle leżał przechylony na prawą burtę. Wyprostowałby się na pewno, gdyby lodowiec się zatrzymał. Kto wie jednak, czy wówczas nie uderzymy o ławicę, czy nie

zostaniemy straszliwie zgnieceni między dwiema lodowymi płaszczyznami?

Przez głowę przebiegały mi wszystkie możliwe konsekwencje naszego położenia. Kapitan Nemo wpatrywał się ciągle w manometr. Od chwili wywrócenia się góry lodowej „Nautilus” wzniósł się już na przeszło sto pięćdziesiąt stóp, ale ciągle jeszcze znajdował się pod tym samym kątem do pionu. Nagle przez jego kadłub przebiegło lekkie drżenie. Rzeczywiście statek powoli się prostował. Obrazy wiszące w salonie przybierały z wolna normalne położenie, a ściany zbliżały się do pionu. Nikt z nas nie odezwał się ani słowem. Z bijącym sercem obserwowaliśmy podnoszenie się „Nautilusa”. Czuliśmy je. Podłoga pod naszymi stopami wracała do poziomu. Upłynęło jeszcze dziesięć minut.

— Nareszcie! — wykrzyknąłem. — Stoimy prosto!

— Tak — rzekł kapitan Nemo kierując się ku wyjściu z salonu.

— Ale czy popłyniemy? — spytałem.

— Naturalnie — odpowiedział. — Gdy tylko opróżnimy zbiorniki, „Nautilus” wypłynie na powierzchnię morza.

Kapitan wyszedł. Wkrótce jednak, jak spostrzegłem, na jego rozkaz zatrzymano wznoszenie się statku. Jeszcze trochę, a uderzyłby o dolną powierzchnię ławicy. Lepiej już było płynąć pod wodą.

— Aleśmy się wywinęli — odezwał się teraz Conseil.

— Tak — przyznałem. — Mogliśmy być przez te lody zgnieceni, a co najmniej uwięzieni. A wtedy nie mogąc odświeżać powietrza… Tak, tak! Wywinęliśmy się, nie ma co.

— Jeżeli na tym się skończy… — mruknął Ned Land.

Wolałem nie wszczynać z Kanadyjczykiem bezużytecznej dyskusji, więc nie odpowiedziałem. W tej chwili zresztą otworzyły się ściany salonu i przez odsłoniętą szybę wtargnęło do wnętrza światło.

Jak już powiedziałem, byliśmy pod wodą, ale z każdej strony „Nautilusa” wznosiła się w odległości mniej więcej dziesięciu metrów oślepiająco biała ściana lodu. Nad nami i pod nami — taka sama ściana. Nad nami — ponieważ dolna powierzchnia ławicy ciągnęła się niby niezmierzony sufit, pod nami zaś — ponieważ wywrócona góra, unosząc się po trochu, natrafiła w ścianach bocznych na dwa punkty oparcia, które utrzymywały ją w tym położeniu. „Nautilus” uwięziony był w istnym tunelu lodowym, szerokim około dwudziestu metrów i wypełnionym spokojną wodą. Wyjście nie było więc trudne, należało tylko popłynąć do przodu albo do tyłu, a potem powrócić do dolnych warstw wody, gdzie na głębokości kilkuset metrów było swobodne przejście pod ławicą.

Salon zalewał intensywny blask, chociaż sufit świetlny był zgaszony. To potężny odblask lodowych ścian oświecał nas w ten sposób odbitym światłem reflektora. Nie potrafię wprost opisać niezrównanych efektów świetlnych na owych olbrzymich, fantastycznie ukształtowanych blokach, gdzie każde załamanie, każda krawędź, każda ścianka grała innym blaskiem, zgodnie z układem żyłek i słojów lodu. Co za olśniewająca kopalnia klejnotów, zwłaszcza szafirów, których błękitne lśnienia krzyżowały się z zielonymi połyskami szmaragdów! Tu i ówdzie nieskończenie delikatne opałowe cienie przymykały się wśród miliona jarzących się punktów, istnych diamentów ognistych, których płomieni oko nie mogło wprost wytrzymać. Moc reflektora została ustokrotniona jak moc ogniska potężnej latarni morskiej przez układ soczewek.

— Jakież to piękne! Jakie piękne! — wykrzykiwał Conseil.

— Tak! Wspaniały widok! — przyznałem. — Prawda, Nedzie?

— Tak, do stu diabłów! — ryknął Ned Land. — Wspaniałe! Wściekły jestem, ale muszę to przyznać! Nigdy w życiu nie widziałem nic podobnego! Tylko że taki widok może nas jeszcze drogo kosztować! Jeżeli mam być szczery, powiem, że — według mnie — widzimy tu rzeczy, które Bóg wolał ukryć przed oczami ludzkimi.

Ned miał rację, to było zbyt piękne. Nagle, na okrzyk Conseila, musiałem się odwrócić.

— Co się stało? — zapytałem.

— Niech pan profesor zamknie oczy! Niech pan profesor nie patrzy!

Krzycząc tak Conseil zasłaniał sobie oczy dłońmi.

— Co ci się stało, mój kochany?

— Olśniło mnie, oślepiło!

Niechcący odwróciłem wzrok ku szybie, ale nie potrafiłem wytrzymać blasku bijących przez nią ogni.

Zrozumiałem, co się stało. „Nautilus” zaczął płynąć z dużą szybkością i wszystkie blaski lodowych ścian zmieniły się teraz w płonące pręgi. Pchany swą potężną śrubą, „Nautilus” płynął jak w tunelu błyskawic.

Stalowe ściany zasunęły się jednak. Staliśmy z rękami przy oczach, w których jeszcze migotały nam koncentryczne blaski, zupełnie tak samo, jak po gwałtownym uderzeniu promieni słońca wprost na siatkówkę oka. Po pewnym dopiero czasie to przykre wrażenie ustąpiło. Powoli można było opuścić dłonie.

— Naprawdę, nigdy bym w to nie uwierzył! — rzekł Conseil.

— A ja jeszcze nie wierzę! — krzyknął natychmiast Kanadyjczyk.

— Kiedy powrócimy na ziemię, nasyceni tyloma cudami przyrody — mówił dalej Conseil — jakież ubogie wydadzą się nam lądy i jakie nędzne twory ludzkiej ręki! Nie! Świat cywilizowany nie jest już nas godny!

W ustach spokojnego i obojętnego Flamandczyka słowa takie były chyba dostatecznym dowodem, jak wielki był nasz entuzjazm. Kanadyjczyk nie omieszkał jednak do tego gorącego nastroju dolać kilku kropel zimnej wody.

— Świat cywilizowany! — odezwał się potrząsając głową. — Bądź spokojny, kochany Conseil, nigdy tam nie wrócimy!

Była piąta rano. W tym momencie uczuliśmy wstrząs na przodzie „Nautilusa”. Zrozumiałem zaraz, że ostroga jego musiała uderzyć w bryłę lodową. Widocznie wykonano jakiś fałszywy manewr; tunel podmorski, cały usiany pływającymi bryłami lodu, nie był przecież łatwy do przebycia. Pomyślałem, że kapitan Nemo skręci teraz trochę z drogi i ominie przeszkodę zagłębiając się w kręty labirynt tunelu. W każdym razie trzeba było bezwzględnie posuwać się dalej naprzód. Tymczasem, wbrew oczekiwaniom, „Nautilus” zaczął wyraźnie płynąć do tyłu.

— Cofamy się? — spytał Conseil.

— Tak — rzekłem. — Widocznie z tej strony tunel jest bez wyjścia.

— No i co będzie?

— Będzie całkiem zwyczajnie — odparłem. — Cofniemy się i wypłyniemy południowym wylotem tunelu. Po prostu!

Mówiąc to pragnąłem okazać, że jestem spokojniejszy, niż byłem naprawdę. Ruch wsteczny „Nautilusa” uległ tymczasem przyspieszeniu; płynął teraz „kontrparą” bardzo szybko.

— Będzie spóźnienie — odezwał się Ned.

— Mniejsza o tych kilka godzin, byleby w ogóle stąd wyjechać! — odpowiedziałem.

— Byleby w ogóle stąd wyjechać — powtórzył Ned.

Przez jakiś czas przechadzałem się po salonie i bibliotece. Towarzysze moi siedzieli w milczeniu. Po chwili rzuciłem się na jedną z sof, wziąłem jakąś książkę i zacząłem machinalnie wodzić po niej oczami. W kwadrans później zbliżył się do mnie Conseil i zapytał:

— Czy to bardzo ciekawe, co pan profesor czyta?

— Bardzo! — odpowiedziałem.

— No, myślę! Przecież pan profesor czyta książkę pana profesora!

— Moją książkę?

Rzeczywiście trzymałem w ręce dzieło: „Tajemnice głębin morskich”. Nawet tego nie zauważyłem. Zamknąłem książkę i zacząłem znowu chodzić. Ned i Conseil wstali zamierzając wyjść.

— Zostańcie, moi drodzy — rzekłem zatrzymując ich. — Bądźmy razem aż do chwili, w której wydostaniemy się z tego ślepego zaułka.

— Jak pan profesor sobie życzy! — odparł Conseil.

Upłynęło kilka godzin. Często obserwowałem wiszące na ścianie salonu instrumenty. Manometr wskazywał, że „Nautilus” utrzymywał się na stałej głębokości trzystu metrów, kompas — że płynął stale na południe, log zaś — że prędkość jego wynosiła dwadzieścia mil na godzinę, co było szybkością ogromną w tak ciasnej przestrzeni. Kapitan Nemo wiedział przecież, że żadna, chociażby największa szybkość nie byłaby tu za duża i że minuty znaczyły teraz tyle, co wieki.

O ósmej dwadzieścia pięć dał się odczuć drugi wstrząs, tym razem z tyłu statku. Zbladłem. Obaj moi towarzysze zbliżyli się do mnie. Ująłem Conseila za rękę. Zapytywaliśmy się wzajemnie tylko wzrokiem, choć nigdy słowami nie wyrazilibyśmy lepiej naszych myśli.

W tej chwili do salonu wszedł kapitan. Zwróciłem się do niego z zapytaniem:

— Droga na południe także zamknięta?

— Tak, panie profesorze. Przewrócona góra lodowa zatarasowała wylot.

— Więc jesteśmy zablokowani?

— Tak.

Rozdział XVI
Brak powietrza

Tak więc wokół „Nautilusa”, a także pod nim i nad nim, znajdowała się nieprzebyta ściana lodowa. Ławica uwięziła nas! Kanadyjczyk rąbnął w stół swoją olbrzymią pięścią. Conseil milczał. Ja patrzyłem na kapitana. Na jego twarzy malowała się zwykła obojętność. Skrzyżował ramiona na piersiach i myślał. „Nautilus” stał w miejscu. Wreszcie kapitan odezwał się spokojnym głosem: — Panowie! W tych warunkach, w jakich się teraz znajdujemy, mamy przed sobą dwa rodzaje śmierci.

Tajemniczy ten człowiek miał teraz wygląd profesora matematyki prowadzącego wykład przed uczniami.

— Pierwszy rodzaj — ciągnął — to zgniecenie. Drugi — uduszenie. Nie mówię o śmierci głodowej, ponieważ zapasy żywności na pokładzie „Nautilusa” przetrwają nas na pewno. Zajmijmy się zatem możliwościami zgniecenia i uduszenia.

— Co do uduszenia, panie kapitanie — odezwałem się — to chyba nie mamy się czego lękać, bo przecież mamy pełne zbiorniki.

— Słusznie — odparł kapitan Nemo. — Zapas ten wystarczy jednak zaledwie na dwie doby. Znajdujemy się pod wodą już trzydzieści sześć godzin i powietrze „Nautilusa” powinno być dawno odświeżone. Za czterdzieści osiem godzin nasze rezerwy się wyczerpią.

— W takim razie, panie kapitanie, wydostańmy się stąd przed upływem czterdziestu ośmiu godzin!

— Będziemy się starali. Spróbujemy przebić otaczający nas mur.

— W którym miejscu? — spytałem.

— Będziemy sondować. „Nautilus” osiądzie na dolnej powierzchni lodu, a ludzie moi, odziani w skafandry, zaatakują górę lodową w najcieńszym miejscu.

— Czy można rozsunąć ściany salonu?

— Naturalnie, to już niczym nie grozi. „Nautilus” stoi w miejscu.

Kapitan Nemo wyszedł. Wkrótce usłyszałem gwizdy oznajmiające, że do zbiorników wchodzi woda. „Nautilus” opuszczał się powoli, aż wreszcie osiadł na lodzie, na głębokości trzystu pięćdziesięciu metrów; tak głęboko bowiem leżała dolna ławica lodowa.

— Drodzy przyjaciele — odezwałem się — sytuacja jest bardzo poważna, ale liczę na waszą odwagę i energię.

— Oczywiście, panie profesorze — odparł Kanadyjczyk. — Nie będę przecież w takiej chwili zanudzał pana zrzędzeniem. Dla wspólnego dobra jestem gotów na wszystko.

— Dobrze, kochany Nedzie — rzekłem wyciągając do niego rękę.

— Warto dodać także — ciągnął — że umiem machać kilofem nie gorzej niż harpunem, więc jeżeli kapitan będzie mnie potrzebował, jestem na rozkazy.

— Z pewnością nie odrzuci waszej pomocy, Nedzie. Chodźmy. Zaprowadziłem Kanadyjczyka do „szatni”, gdzie marynarze „Nautilusa” wdziewali właśnie skafandry. Zakomunikowałem kapitanowi decyzję Neda; przyjął ją. Kanadyjczyk natychmiast przywdział skafander stając w gotowości na równi z pozostałymi towarzyszami pracy. Każdy z nich miał aparat Rouquayrola dobrze wypełniony czystym powietrzem ze zbiorników. Trzeba było niestety z zapasów „Nautilusa” zaciągnąć znaczną pożyczkę. Lampy Ruhmkorffa były natomiast zbyteczne w zalanej potokami światła przeźroczystej wodzie.

Kiedy Ned już się ubrał, wróciłem do salonu, w którym rozsunięto przedtem szyby, i razem z Conseilem przypatrywałem się otaczającym i unoszącym „Nautilusa” warstwom lodu. W kilka chwil potem ujrzeliśmy wychodzących na lód dwunastu ludzi z załogi, wśród nich i Neda, którego poznaliśmy po wysokim wzroście.

Kapitan Nemo był z nimi.

Zanim przystąpiono do rąbania ścian, kazał dokonać próbnych sondowań, które by zapewniły prawidłowy przebieg prac. Zapuszczono długie świdry w boczne ściany lodowe; przebiwszy jednak piętnaście metrów świdry ciągle jeszcze tkwiły w grubych murach. Na „sufit" nie było się co nawet porywać, ponieważ tworzyła go sama ławica, mierząca ponad czterysta metrów wysokości. Kapitan kazał zatem świdrować powierzchnię dolną. Okazało się, że od wody dzieli nas dziesięć metrów. Taka bowiem była grubość tego ice–fieldu. Trzeba było zatem wyciąć w nim otwór o powierzchni równej obwodowi „Nautilusa", tzn. wyrąbać około sześciu i pół tysiąca metrów sześciennych, aby powstała dziura, przez którą moglibyśmy opuścić się pod lodowiec.

Pracę rozpoczęto natychmiast i prowadzono ją z niezmordowanym uporem. Zamiast rąbania wokół „Nautilusa", co byłoby połączone z daleko większymi trudnościami, kapitan Nemo kazał narysować ogromny rów w odległości ośmiu metrów od lewej burty statku. Potem jednocześnie w wielu punktach wywiercano na tym obwodzie liczne otwory. Wreszcie rzucono się z kilofami na całą bryłę, wyłamując od razu duże bloki lodu. Bloki te, jako lżejsze od wody, podnosiły się natychmiast ku sklepieniu tunelu, które grubiało z wolna u góry, w miarę ubywania u dołu. Nie przejmowaliśmy się tym jednak, skoro coraz mniej lodu dzieliło nas ostatecznie od wody.

Po dwóch godzinach energicznej pracy wrócił Ned Land bardzo wyczerpany. Jego i towarzyszy zastąpiła teraz nowa partia robotników, do których przyłączyłem się i ja wraz z Conseilem. Dowodził nami porucznik „Nautilusa". Woda wydała mi się bardzo zimna, rozgrzałem się jednak szybko przy kilofie. Ruchy wykonywać mogłem całkiem swobodnie, choć wszystko odbywało się pod ciśnieniem trzydziestu atmosfer.

Kiedy po dwóch godzinach powróciłem z pracy, aby pożywić się nieco i odpocząć, poczułem znaczną różnicę między czystym powietrzem, jakiego dostarczał mi aparat Rouquayrola, a atmosferą „Nautilusa", przesyconą już kwasem węglowym. Od czterdziestu ośmiu godzin nie odświeżano tu powietrza, zatem ożywcze jego właściwości bardzo już osłabły. Tymczasem przez dwanaście godzin wyrąbaliśmy z owej narysowanej powierzchni zaledwie jednometrową warstwę lodu, czyli około sześciuset metrów sześciennych. Jeślibyśmy przyjęli, że taka sama praca będzie wykonywana stale w przeciągu dwunastu godzin, trzeba by jeszcze pięciu nocy i czterech dni na doprowadzenie do końca naszego przedsięwzięcia.

— Pięć nocy i cztery dni! — rzekłem do obu mych towarzyszy. — A w zbiornikach mamy powietrza zaledwie na dwa dni.

— Ponadto trzeba wziąć pod uwagę — dodał Ned — że po wydostaniu się z tej przeklętej matni będziemy przecież nadal pod ławicą, bez dostępu powietrza.

Słuszna uwaga; któż mógłby przewidzieć minimum czasu niezbędnego do naszego wyzwolenia? Czy nie zginiemy z braku powietrza, zanim „Nautilus" będzie mógł wypłynąć na powierzchnię wody? Czy nasz statek, wraz ze wszystkimi znajdującymi się na jego pokładzie, skazany już był na zagładę w tym lodowym grobowcu? Położenie wydawało się straszliwe. Wszyscy jednak potrafili spojrzeć niebezpieczeństwu prosto w oczy i zdecydowani byli spełnić swe obowiązki do końca.

Jak przewidywałem, przez noc pogłębiono ogromne owalne zagłębienie o dalszą warstwę jednego metra. Kiedy jednak rankiem wszedłem w skafandrze w otaczającą nas wodę o temperaturze 6° do 7° poniżej zera, zauważyłem, że boczne ściany zbliżyły się nieco do siebie. Warstwy wody bardziej oddalone od wyrąbanego rowu, nie ogrzewane ani pracą ludzi, ani ruchami narzędzi, wykazywały tendencję do przechodzenia w lód. Jakże małe stały się teraz nasze szansę ocalenia wobec tego nowego i groźnego niebezpieczeństwa! Jak powstrzymać zamarzanie płynnego żywiołu, pod którego ciśnieniem stalowe ściany „Nautilusa" prysną jak szklane?

Obu moim towarzyszom nic nie wspomniałem o nowym niebezpieczeństwie: po cóż

odbierać im zapał i energię, jaką wkładali w ciężką pracę ratowniczą? Po powrocie na pokład zwróciłem jednak uwagę kapitana Nemo na tę poważną komplikację.

— Wiem o tym — odparł spokojnym głosem, którego nie potrafiły zmienić nawet najstraszliwsze okoliczności. — Stajemy wobec jeszcze jednego niebezpieczeństwa. Ale nie widzę żadnego sposobu przeciwstawienia się. Jedyna możliwość ratunku to praca, i to praca szybsza niż krzepnięcie wody. Musimy być pierwsi. Tylko tyle.

Musimy być pierwsi! Wciąż jeszcze nie mogłem przywyknąć do tego sposobu wyrażania się.

Przez cały dzień jednak wytrwale machałem kilofem, praca podtrzymywała mnie na duchu. Zresztą pracować, znaczyło wyjść z „Nautilusa", znaczyło oddychać czystym powietrzem ze zbiorników, znaczyło uniezależnić się od zubożałej i zepsutej atmosfery wnętrza statku.

Pod wieczór nasz rów pogłębił się o dalszy metr. Kiedy wróciłem na pokład, myślałem, że się duszę, tak dalece powietrze było już przesycone kwasem węglowym. Ach, czemuż nie mieliśmy żadnych środków chemicznych, które pozwoliłyby na wydalenie tego zabójczego gazu? Tlenu przecież nam nie brakło, woda zawiera go dostateczną ilość, a za pomocą naszych potężnych baterii moglibyśmy przecież wyzwolić z niej ów ożywczy pierwiastek. Myślałem już o tym, ale co by nam z tego przyszło, skoro cały statek wypełniony był już nadmiarem wydychanego przez nas dwutlenku węgla?

Tegoż wieczora musiał kapitan Nemo otworzyć kurki zbiorników i wpuścić kilka strumieni świeżego powietrza do wnętrza „Nautilusa". Przezorność ta była konieczna: moglibyśmy się już nie obudzić.

Nazajutrz, 26 marca, powróciłem do pracy górnika rozpoczynając piąty metr. Boczne ściany i dolna powierzchnia ławicy grubiały w oczach. Jasne było, że zejdą się, zanim „Nautilus" zdoła się wyswobodzić. Przez chwilę ogarnęła mnie rozpacz. O mało co nie wypuściłem kilofa z rąk. Po co rąbać, skoro i tak miałem zginąć zduszony i zgnieciony tą wodą, która zmienia się w skałę? Skoro czekały mnie męki, jakich nie wymyśliłoby nawet okrucieństwo dzikich? Wydawało mi się, że jestem pomiędzy z wolna zaciskającymi się szczękami jakiegoś potwora!

W tej chwili przeszedł obok mnie kapitan Nemo. Kierował pracą, a równocześnie sam także pracował. Dotknąłem go ręką i wskazałem ściany naszego więzienia. Mur z prawej strony zbliżył się do burty „Nautilusa" na niespełna cztery metry.

Kapitan zrozumiał i dał mi znak, abym poszedł za nim. Wróciliśmy na pokład. Po zdjęciu skafandrów udaliśmy się do salonu.

— Panie profesorze — rzekł kapitan — musimy się zdobyć na heroiczny wysiłek, bo inaczej zostaniemy żywcem zamurowani w tej wodzie, która krzepnie jak beton.

— Tali — odparłem. — Ale co robić?

— Ach, gdyby mój „Nautilus" potrafił wytrzymać takie ciśnienie! — wykrzyknął.

— To co by było? — spytałem nie rozumiejąc myśli kapitana.

— Czy nie domyśla się pan, że to zamarzanie wody byłoby nam nawet pomocne? Czy pan nie rozumie, że rozsadziłoby ono tę ławicę, która nas więzi, tak jak się to dzieje z najtwardszymi skałami? Przecież to jasne, że zamarzanie stałoby się dla nas czynnikiem zbawiennym, zamiast być czynnikiem zgubnym.

— Tak, panie kapitanie, to możliwe. Ale mimo że „Nautilus" jest niebywale odporny na ciśnienie, przecież takiego ucisku nie wytrzymałby i spłaszczyłby się na grubość arkusza blachy!

— Wiem, panie profesorze. Nie możemy więc liczyć na pomoc ze strony przyrody. Trzeba liczyć na samych siebie. Musimy powstrzymać to zamarzanie. Nie tylko bowiem zaciskają się boczne ściany, lecz także z przodu i z tyłu „Nautilusa" pozostaje już zaledwie po pięć stóp wody. Zamarzamy ze wszystkich stron.

— Na jak długo — spytałem — starczy nam jeszcze powietrza w zbiornikach?

Kapitan spojrzał mi prosto w oczy.

— Pojutrze zbiorniki będą puste — oświadczył.

Oblał mnie zimny pot. Co prawda nie powinna mnie była zdziwić ta odpowiedź. „Nautilus” zanurzył się pod wodę wolnego morza na biegunie 22 marca, a był już 26. Pięć dni żyliśmy z zapasów pokładowych! A przecież resztki powietrza zdatnego do oddychania trzeba było zachować dla tych, którzy pracowali. W chwili gdy piszę o tym wszystkim, wrażenie jest jeszcze tak żywe, że ogarnia mnie mimowolny strach i wydaje mi się, że nie mam czym oddychać!

A tymczasem kapitan Nemo, nieruchomy i milczący, myślał, zastanawiał się, kombinował. Widać było, że owładnęła nim jakaś myśl. Zdawał się ją odrzucać. Sobie samemu odpowiadał przecząco. Wreszcie wyszeptał tylko dwa wyrazy:

— Wrząca woda!…

— Wrząca woda? — zdumiałem się.

— Tak, panie profesorze. Jesteśmy zamknięci w przestrzeni stosunkowo niewielkiej. Czy strumienie wrzącej wody, wyrzucane stale przez pompy „Nautilusa”, nie podniosłyby ciepłoty ośrodka i nie powstrzymałyby nieco zamarzania wody?

— Trzeba spróbować — powiedziałem stanowczo.

— Spróbujemy, panie profesorze!

Termometr wskazywał wtedy na zewnątrz –7°. Kapitan Nemo zaprowadził mnie do kuchen, gdzie funkcjonowały wielkie aparaty destylacyjne, dostarczające przez parowanie wody do picia i gotowania. Napełniono je wodą i cała moc prądu z baterii skierowana została do spiralnych rur zanurzonych w naczyniach. Po kilku minutach woda osiągnęła temperaturę 100°. Skierowano ją do pomp tłoczących, zastępując ubytek świeżą wodą. Gorąco dostarczane z wężownic było tak wielkie, że woda zimna, zassana z morza, przebywała tylko ich spirale i docierała wrząca do cylindrów pomp.

„Zastrzyki” rozpoczęły się. W trzy godziny potem termometr na zewnątrz wskazywał 6° poniżej zera. Zyskaliśmy już więc jeden stopień. W dwie godziny później termometr wskazywał już tylko –4°.

— Uda się — rzekłem do kapitana po dokonaniu licznych obserwacji i dokładnym sprawdzeniu wyników naszej pracy.

— Tak myślę — odpowiedział. — Nie zostaniemy już zmiażdżeni. Obawiać się musimy tylko uduszenia.

Przez noc temperatura wody podniosła się do 1° poniżej zera. Zastrzyki gorącej wody nie potrafiły podnieść jej jeszcze wyżej. Ponieważ jednak woda morska zamarza dopiero przy temperaturze –2°, uspokoiłem się co do grożącego nam niebezpieczeństwa dalszego zamarzania.

Nazajutrz, 27 marca, wyrąbaliśmy rów do głębokości sześciu metrów. Jeszcze tylko cztery metry dzieliły nas od wody. Oznaczało to czterdzieści osiem godzin pracy. We wnętrzu „Nautilusa” nie mogliśmy już odnawiać powietrza. Było z każdą godziną gorzej.

Przygniatał mnie nieznośny ciężar. Około trzeciej po południu to męczące uczucie gwałtownie wzrosło. Ziewanie rozdzierało mi szczęki. Płuca dyszały ciężko w poszukiwaniu tlenu niezbędnego do oddychania, a coraz bardziej rzedniejącego. Umysł mój ogarniał powoli bezwład. Leżałem bezsilny, prawie nieprzytomny. Nie opuszczał mnie mój poczciwy Conseil, choć cierpiał tak samo, z takimi samymi symptomami. Brał mnie za rękę, dodawał odwagi i szeptał cicho:

— Ach, panie profesorze, gdybym mógł nie oddychać… Więcej powietrza zostałoby dla pana profesora!

Słowa te wzruszyły mnie do łez.

Im nieznośniejsza sytuacja panowała wewnątrz statku, z tym większym pośpiechem i

uczuciem szczęścia wkładaliśmy skafandry, kiedy na nas przychodziła kolej pracować. Kilofy dźwięczały i szczękały, ramiona nam puchły, z dłoni złaziła skóra. Cóż jednak znaczyło to zmęczenie, jak mało ważne były te rany! Do płuc dochodziło ożywcze powietrze! Oddychaliśmy! Oddychaliśmy!

A jednak nikt nie przedłużył swojego czasu podwodnej pracy ponad wyznaczony termin. Po wykonaniu zadania każdy oddawał następnemu, ciężko dyszącemu koledze, zbiornik z odżywczym powietrzem. Kapitan Nemo służył przykładem i pierwszy poddał się tej surowej dyscyplinie. O oznaczonej godzinie oddawał aparat następnemu i wracał do zepsutej atmosfery statku, zawsze spokojny, nie upadając na duchu, nie utyskując.

Dnia tego z jeszcze większym zapałem wypełniliśmy zwykłą normę pracy. Na całej powierzchni pozostała jeszcze do wyrąbania warstwa dwóch metrów. Dwa metry tylko dzieliły nas od swobodnej przestrzeni wodnej. Zbiorniki były już jednak prawie puste. Odrobinę pozostałego powietrza trzeba było rezerwować dla pracujących. Dla „Nautilusa” — ani atomu!

Gdy powróciłem na pokład, zacząłem się dosłownie dusić. Co za noc! Nie potrafię jej opisać. Nie można opisać podobnych cierpień. Nazajutrz oddech mój stał się już potwornie ciężki. Do bólów głowy dołączyły się oszałamiające wprost zawroty; byłem jak pijany. Identyczne symptomy występowały u moich towarzyszy. Kilku ludzi z załogi rzęziło. Tego dnia — był to już szósty od momentu naszego uwięzienia — kapitan Nemo porzucił kilofy i oskardy, jako zbyt powolne, i postanowił rozedrzeć powłokę lodową, która nas jeszcze oddzielała od wody. Człowiek ten zachował jeszcze zimną krew i energię. Cierpienia fizyczne ujarzmiał siłą charakteru. Myślał, wnioskował, działał.

Na jego rozkaz statek uniósł się nieco z lodowego pokładu, na którym— spoczywał dotychczas, po czym pokierowano nim tak, że znalazł się nad owym olbrzymim rowem przez nas wyrąbanym. Następnie wypełniono zbiorniki wodą, statek opuścił się i osiadł w zagłębieniu. Wtedy cała załoga wróciła na pokład. Zatrzaśnięto podwójne drzwi prowadzące na zewnątrz. „Nautilus” leżał na warstwie lodu cieńszej niż metr i podziurawionej świdrami w wielu punktach. Otwarto szeroko wpusty zbiorników i do wnętrza runęło sto metrów sześciennych wody, powiększając ciężar „Nautilusa” o sto tysięcy kilogramów. Czekaliśmy. Słuchaliśmy, niepomni własnych cierpień, żywiąc jeszcze nadzieję. Całe nasze wybawienie postawione zostało na tę jedną kartę. Mimo nieustannego szumu w głowie, usłyszałem wkrótce jakieś drżenie pod kadłubem „Nautilusa”. Coś się poruszyło. Lód zaczął pękać z charakterystycznym trzaskiem, przypominającym darcie papieru, i „Nautilus” opuścił się nieco.

— Wydostajemy się — szepnął mi Conseil do ucha.

Nie mogłem odpowiedzieć i tylko ująłem go za rękę. Mimo woli ściskałem ją konwulsyjnie.

Nagle, pociągnięty własnym straszliwym ciężarem, „Nautilus” wpadł w wodę jak kamień, jak gdyby leciał w próżnię!

Wtedy całą moc prądu skierowano na pompy, które natychmiast zaczęły wypychać wodę ze zbiorników. Po paru minutach przestaliśmy spadać. Wkrótce manometr wskazywał nawet lekkie wznoszenie się. Śruba ruszyła pełnymi obrotami, tak że cały kadłub zadygotał w spojeniach, i pchnęła nas na północ. Jak długo jednak miała trwać nasza podróż pod ławicą lodową aż do wolnego morza? Dzień? Nie dożyję. Dusiłem się leżąc wyciągnięty na sofie w bibliotece. Twarz miałem już fioletową, usta zsiniałe, umysł przytępiony. Nie widziałem nic, nic nie słyszałem. Nie mogłem władać mięśniami. Nie potrafiłem określić, ile godzin tak upłynęło. Miałem jednak świadomość rozpoczynającej się własnej agonii. Zrozumiałem, że przy mnie stoi śmierć…

Nagle odzyskałem przytomność. Do płuc moich dostało się parę łyków powietrza. Czyżbyśmy już wypłynęli na powierzchnię? Czy przebyliśmy ławicę?

Nie! To moi dwaj zacni przyjaciele, Ned i Conseil, poświęcali się dla uratowania mnie. W głębi jakiegoś aparatu było jeszcze kilka drobin powietrza; zamiast nim odetchnąć, zachowali je dla mnie i kropla po kropli wlewali mi życie, podczas gdy sami dusili się i sinieli.

Chciałem odepchnąć aparat, ale przytrzymali mi ręce i przez kilka chwil oddychałem z rozkoszą.

Spojrzałem na zegar, była jedenasta. Zdaje się, że mieliśmy dzień 28 marca. „Nautilus" płynął z potworną szybkością czterdziestu mil na godzinę, prując wodę jak igła!

Gdzie był kapitan Nemo? Czy może już nie żył? A może zginęli także wszyscy jego towarzysze? W tej chwili manometr wskazywał głębokość zaledwie dwudziestu stóp. Zwykłe pole lodowe dzieliło nas od powierzchni wody i od atmosfery. Czy nie można by tego pola przebić? W każdym razie „Nautilus" zamierzał spróbować. Poczułem, że przybiera pozycję ukośną do pionu, opuszczając rufę i wznosząc ostrogę. Wystarczyło do tego odpowiednie wprowadzenie wody.

Potem pchnięty swą potężną śrubą, uderzył w ice–field od spodu niby straszliwy taran. Rozbijał lód po trochu, cofając się i uderzając całą mocą swej szybkości w pękające z wolna pole, aż wreszcie z rozpędem wyskoczył na lodowatą płaszczyznę, łamiąc ją i druzgocąc swym ciężarem.

Otwarto klapę. Po wszystkich zakamarkach „Nautilusa" rozeszło się czyste powietrze!

Rozdział XVII
Od Przylądka Horn do Amazonki

Nie potrafiłbym powiedzieć, w jaki sposób znalazłem się na pomoście. Może zaniósł mnie tam Kanadyjczyk. Zresztą to obojętne — oddychałem! Wchłaniałem w siebie ożywczy powiew morza! Obaj moi towarzysze upajali się wraz ze mną ową świeżością. Ludziom zbyt długo pozbawionym możności jedzenia nie wolno rzucać się nierozważnie na wszelkie jadło, które się im wreszcie dostanie. My natomiast — przeciwnie, nie potrzebowaliśmy się krępować, mogliśmy pełnymi płucami wdychiwać ożywcze drobiny powietrza, a łagodny wietrzyk wlewał do naszych płuc rozkosz i upojenie! — Ach, cóż to za wspaniała rzecz, ten tlen! — zachwycał się Conseil. — Panie profesorze, proszę śmiało oddychać! Wystarczy dla wszystkich!

Ned Land nie odzywał się wcale i tylko stał z ustami rozwartymi tak szeroko, że przerazić mógłby rekina. Co za wdechy! Kanadyjczyk „ciągnął" jak dobrze rozpalony piec.

Bardzo szybko odzyskaliśmy siły. Kiedy się rozejrzałem, spostrzegłem, że jesteśmy na pomoście zupełnie sami: ani jednej osoby z załogi. Nie ukazał się nawet kapitan Nemo. Przedziwnym marynarzom „Nautilusa" wystarczyło powietrze krążące wewnątrz statku. Nikt nie wyszedł na pomost, aby rozkoszować się oddychaniem pełną piersią.

Pierwszymi moimi słowami były słowa podzięki i wdzięczności skierowane do moich towarzyszy. W ciągu ostatnich godzin naszego długiego konania Ned z Conseilem dosłownie przedłużali mi życie. Wdzięczność moja była niczym wobec takiego poświęcenia.

— Już dobrze, dobrze, panie profesorze — mówił Ned Land, Nie ma o czym mówić! Gdzież tu nasza zasługa? To tylko sprawa zwykłego rachunku. Pańskie życie było więcej warte niż nasze, a zatem trzeba je było zachować.

— Nie, mój Nedzie — odpowiedziałem — wcale nie było więcej warte. Nikt nie może być więcej wart od dobrego i szlachetnego człowieka. A wy właśnie jesteście takim człowiekiem.

— No, już dobrze, dobrze! — powtarzał zakłopotany Kanadyjczyk.

— I ty, poczciwy Conseilu, dobrze się nacierpiałeś!

— Nie za bardzo. Krótko mówiąc, panie profesorze — brakowało mi po prostu paru łyków powietrza, ale sądzę, że obszedłbym się bez nich. Zresztą widziałem, jak pan profesor traci przytomność, a to odbierało mi wszelką chęć do oddychania. To mi wręcz, jak to mówią, zatykało od…

Conseil nie dokończył, zmieszany własnymi, banalnymi słowami.

— Moi przyjaciele — rzekłem wzruszony. — Jesteśmy na zawsze ze sobą związani, do mnie zaś nabyliście praw…

— …których nie omieszkam nadużyć! — wtrącił Kanadyjczyk.

— Hę? — zdumiał się Conseil.

— Owszem — powiedział Ned Land. — Mam na myśli prawo zabrania pana ze sobą, kiedy będę opuszczał ten diabelny statek.

— W rzeczy samej… — rzekł Conseil. — Czy dobrze płyniemy?

— Tak — odparłem. — Jedziemy przecież wprost na słońce, a tutaj słońce wskazuje północ.

— Oczywiście — zgodził się Ned Land. — Ale musimy jeszcze dowiedzieć się, czy płyniemy na Pacyfik, czy na Atlantyk, to znaczy na wody puste czy uczęszczane.

Na to pytanie nie mogłem dać odpowiedzi; obawiałem się, że kapitan Nemo zawiezie nas raczej na bezmiary tego olbrzymiego oceanu, oblewającego brzegi zarówno Azji, jak i Ameryki. Tu zakończyłby swą podróż podmorską dookoła świata, powracając zarazem na wody, gdzie „Nautilus" czuł się najswobodniej. Gdyby jednak tak było, gdybyśmy powrócili na Pacyfik, to co stałoby się z projektami Neda na owych przestrzeniach, z dala od wszystkich

zamieszkałych lądów?

Wkrótce mieliśmy otrzymać odpowiedź na to ważne pytanie. „Nautilus” płynął bardzo szybko. Minęliśmy koło biegunowe kierując się prosto na przylądek Horn. Naprzeciw tego cypla kontynentu amerykańskiego znaleźliśmy się 31 marca, o siódmej wieczorem.

Wszystkie przebyte cierpienia poszły w niepamięć. Powoli zatarło się w naszych umysłach wspomnienie uwięzienia pod lodową ławicą. Zaczęliśmy myśleć tylko o przyszłości. Kapitan Nemo nie ukazywał się teraz ani w salonie, ani na pomoście. Ustalone przez porucznika i codziennie nanoszone na mapę położenie „Nautilusa” pozwoliło mi stwierdzić kierunek, w którym dążył. Tego właśnie wieczora stało się jasne, że ku wielkiemu mojemu zadowoleniu, powracamy na północ przez Ocean Atlantycki. Rezultat moich obserwacji przekazałem natychmiast Kanadyjczykowi i Conseilowi.

— Dobra nowina — ucieszył się Ned. — Ale dokąd płyniemy?

— Nie mam pojęcia, Nedzie — odrzekłem.

— Czy po biegunie południowym kapitan nie porwie się na podbój bieguna północnego i dopiero potem powróci na Pacyfik słynnym „przejściem północno–zachodnim”?

— W każdym razie jest do tego zdolny — zauważył Conseil.

— Czyli że musimy zwiać wcześniej!

— Co jak co, ale to jednak morowy chłop, ten nasz kapitan Nemo — rzekł Conseil — i znajomości z nim nie będziemy żałować!

— Zwłaszcza wtedy, kiedy się z nim rozstaniemy — zakończył Ned.

Nazajutrz, 1 kwietnia, kiedy „Nautilus” na kilka minut przed dwunastą wypłynął na powierzchnię morza, ujrzeliśmy na zachodzie ląd. Była to Ziemia Ognista, której nazwę nadali pierwsi żeglarze, widząc liczne dymy, unoszące się nad szałasami krajowców. Ziemia Ognista jest rozległym skupiskiem wysp rozciągającym się na powierzchni trzydziestu mil szerokości i osiemdziesięciu długości, pomiędzy 53° a 56° szerokości południowej i 67° 50’ a 77° 15’ długości zachodniej. Wybrzeże wydawało mi się dość płaskie, w dali jednak wznosiły się wysokie góry. Zdawało mi się nawet, że dojrzałem łupkową górę Sarmiento, wysoką na dwa tysiące sto siedemdziesiąt metrów, o kształcie silnie zaostrzonego stożka; Ned Land oświadczył mi, że szczyt ów „przepowiada pogodę” w zależności od tego, czy przesłonięty jest chmurami, czy nie.

W tej chwili rysował się jednak wyraźnie na tle nieba, co zwiastowało piękną pogodę. Przepowiednia sprawdziła się.

„Nautilus” zanurzył się pod wodę, zbliżył się do wybrzeży i płynął w odległości zaledwie kilku mil od nich. Przez szyby salonu można było dojrzeć długie liany i olbrzymie wstężyce, których okazy napotykałem i na morzu biegunowym; lepkie i gładkie włókna miały do trzystu metrów długości — są to istne kable, grubsze niż kciuk, bardzo mocne; marynarze używają ich często do cumowania statków. Inny wodorost, o czterostopowych liściach pokrytych koralowymi skamieniałościami, zaścielał dno oceanu; było to zarazem schronienie i pożywienie dla miliardów skorupiaków i mięczaków, krabów i mątw.

„Nautilus” przepływał nad tym obficie użyźnionym dnem morza z wielką szybkością. Przed wieczorem był już niedaleko archipelagu Wysp Falklandzkich, których dzikie szczyty ujrzałem nazajutrz.

W tych okolicach sieci przyniosły nam piękne okazy alg, a zwłaszcza pewien rodzaj fukusa, którego korzenie były wprost oblepione najsmaczniejszymi w świecie małżami. Całe tuziny gęsi i kaczek obsiadały nasz pomost, skąd rychło dostawały się do kuchni. Co dc ryb, szczególnie zwróciły moją uwagę ościste, długości dwóch decymetrów, usiane białawymi i żółtymi plamkami.

Podziwiałem także liczne meduzy, zwłaszcza najpiękniejsze z nich, a tak częste na wodach Wysp Falklandzkich, chryzaory. Przybierały one rozmaite formy: raz gładziutkiej, półkulistej parasolki, całej w czerwonobrunatne pręgi i zakończonej dwunastoma identycznymi

festonikami, to znowu koszyczka, z którego wdzięcznie wysuwały się szerokie listki i długie, czerwone rozgałęzienia. Płynęły poruszając szybko czterema blaszkowatymi ramionami i unosząc za sobą obfity pęk powiewających macek. Chętnie zabrałbym kilka okazów tych delikatnych zwierząt; są to jednak prawdziwe chmurki, cienie, widziadła, roztapiające się i ulatniające, gdy się je wyjmie z rodzimego żywiołu.

Gdy tylko ostatnie szczyty Wysp Falklandzkich znikły za horyzontem, „Nautilus" zanurzył się na głębokość dwudziestu do dwudziestu pięciu metrów i zaczął płynąć wzdłuż wybrzeży amerykańskich. Kapitan Nemo nie ukazywał się wcale.

Tak płynąc to pod wodą, to na powierzchni, aż do 3 kwietnia, posuwaliśmy się wzdłuż brzegów Patagonii. „Nautilus" przebył szeroką, pełną mielizn zatokę przy ujściu La Płaty i 4 kwietnia znalazł się w odległości dwudziestu pięciu mil od brzegów Urugwaju. Płynął ciągle na północ, wzdłuż wybrzeży Ameryki Południowej. Od wstąpienia na pokład „Nautilusa" na wodach japońskich mieliśmy za sobą szesnaście tysięcy mil. Około 11 przecięliśmy na trzydziestym siódmym południku zwrotnik Koziorożca, opływając z daleka przylądek Frio. Kapitan Nemo nie lubił zapewne zamieszkanych wybrzeży brazylijskich, bo ku wielkiemu niezadowoleniu Neda pędził dalej z bardzo wielką szybkością.

Szybkość tę utrzymywał przez wiele dni. Pod wieczór 9 kwietnia mijaliśmy Przylądek Św. Rocha, najbardziej na wschód wysunięty cypel Ameryki Południowej. Wtedy jednak „Nautilus" oddalił się znów od brzegów i popłynął ku wielkim głębinom doliny podmorskiej uformowanej między wymienionym przylądkiem a Sierra Leone na wybrzeżach afrykańskich. Dolina ta rozdwaja się mniej więcej na wysokości Antylów, kończąc się na północy olbrzymią głębią dziewięciu tysięcy metrów. Geologiczny przekrój dna oceanu w tych okolicach aż do Małych Antylów przedstawia sześciokilometrowy ostry grzbiet; na wysokości Wysp Zielonego Przylądka znajduje się druga niemniej wysoka ściana, która razem z poprzednią zamyka zatopiony kontynent Atlantydy. Z dna owej olbrzymiej doliny wyrasta gdzieniegdzie kilka szczytów górskich, przydając malowniczości tej podmorskiej okolicy.

Mówię o tym wszystkim na podstawie ręcznie skreślonych map, które znajdowały się w bibliotece „Nautilusa"; mapy te wykonane zostały widocznie przez kapitana Nemo na podstawie osobistych obserwacji.

Przez dwa dni zwiedzaliśmy te puste i głębokie wody opuszczając się za pomocą sterów wysokościowych. „Nautilus" kreślił długie zygzaki, osiągając najrozmaitsze głębokości. 11 kwietnia jednak wzniósł się nagle, wypłynął i oczom naszym ukazała się ziemia. Byliśmy akurat naprzeciw ujścia Amazonki. Obszerną zatokę tak obficie zasila potężna ta rzeka, że słona woda morska staje się słodką na przestrzeni wielu mil.

Równik mieliśmy już za sobą. O dziesięć mil na zachód leżała Gujana, ziemia należąca do Francji; łatwo znaleźlibyśmy tam schronienie. Dął jednak bardzo silny wiatr, więc zwykła łódź nie potrafiłaby stawić czoła spienionym bałwanom. Ned Land niewątpliwie rozumiał to dobrze i nic nie wspominał o ucieczce. Ja ze swej strony nie uczyniłem w tym kierunku najmniejszej aluzji nie chcąc namawiać go do przedsięwzięcia czegokolwiek, co z góry skazane było na niepowodzenie.

Nie żałowałem jednak tej zwłoki w wypełnieniu naszych zamierzeń, mogłem bowiem poświęcić się ciekawym obserwacjom. W ciągu dwóch dni, 11 i 12 kwietnia, „Nautilus" płynął cały czas na powierzchni morza, a zapuszczone sieci przyniosły nam wspaniały połów zwierzokrzewów, ryb, płazów i tak dalej.

Muszę tu wspomnieć o pewnym okazie ryby, którą Conseil zapamiętał na długo i nie bez przyczyny.

W jednej z sieci znaleźliśmy rodzaj bardzo spłaszczonej rai, która, mając krótko ścięty ogon, tworzyła prawie doskonale okrągłą tarczę i ważyła około dwudziestu kilogramów. Od spodu była biała, od góry czerwona z wielkimi, okrągłymi, ciemnoniebieskimi plamami w

czarnych obwódkach; skórę miała gładką, płetwę ogonową rozwidloną. Wiła się na pokładzie we wszystkich kierunkach, próbowała odwrócić się gwałtownymi skurczami i szamotała się tak mocno, że jeszcze jeden skok, a wpadłaby z powrotem do morza. Wtedy Conseil, któremu na rybie bardzo zależało, rzucił się i pochwycił ją, zanim zdołałem go przestrzec.

Natychmiast, porażony do połowy ciała, padł na pomost i, wywijając nogami, zaczął krzyczeć:

— Panie! Panie! Ratunku!

Pierwszy to raz biedny chłopak zwrócił się do mnie w ten sposób i nie użył słów „proszę pana profesora".

Razem z Kanadyjczykiem podnieśliśmy go i zaczęliśmy rozcierać skurczone ciało. Nieustępliwy klasyfikator — zaledwie odzyskał zmysły — już szeptał przerywanym głosem:

— Gromada chrząstkowatych, rząd chrząstkopłetwych ze stałymi skrzelami, podrząd żarłaczy, rodzina rai, rodzaj drętwików!

— Tak, mój kochany — przyznałem. — To drętwik tak cię urządził.

— Ach, może mi pan profesor wierzyć — rzekł Conseil — że zemszczę się srodze na tym zwierzaku.

— W jaki sposób?

— Zjem go po prostu.

Tak też i uczynił tegoż wieczora, ale chyba przez czystą żądzę zemsty, bo prawdę mówiąc, była to obrzydliwości.

Biedak natknął się na najniebezpieczniejszy gatunek drętwika. Dziwaczne to zwierzę potrafi — korzystając z tego, że woda jest dobrym przewodnikiem elektryczności — porażać prądem ryby z odległości kilku metrów, dysponuje bowiem potężną siłą narządu produkującego prąd, którego oba główne pola biegunowe mają powierzchnię około dwudziestu siedmiu stóp kwadratowych!

Nazajutrz, 12 kwietnia, „Nautilus" zbliżył się w ciągu dnia do wybrzeża posiadłości holenderskich, w okolicach ujścia rzeki Maroni. Napotkaliśmy tam manaty należące, podobnie jak diugonie, do rzędu syrenowatych. Piękne te zwierzęta, łagodne i nieszkodliwe, miały sześć do siedmiu metrów długości i ważyły zapewne najmniej po cztery tysiące kilogramów.

Załoga „Nautilusa" złowiła ich z pół tuzina. Chodziło bowiem o zaopatrzenie kuchni w doskonałe mięso, lepsze nawet od wołowiny i cielęciny. Polowanie jednak nie było interesujące — zwierzęta nie broniły się zupełnie. Na statku zmagazynowano co najmniej kilka tysięcy kilogramów mięsa przeznaczonego na ususzenie.

Wody tych okolic były tak pełne „zwierzyny", że tego samego dnia zapasy „Nautilusa" zasiliły się jeszcze poważniej, a to po dość niezwykłym polowaniu. Sieci mianowicie przyniosły nam pewną ilość ryb, których głowy zakończone były owalną tarczką o mięsistych brzegach. Były to remory, czyli trzymonawy z trzeciej rodziny miękkopromiennych subrachii. Owa płaska tarczka składała się z ruchomych poprzecznych płatków chrząstkowatych, między którymi zwierzę potrafi wytwarzać próżnię; pozwala mu to, niby pustej bańce, przywierać silnie do każdego przedmiotu.

Po wyłowieniu pewnej ilości tych ryb „Nautilus" podpłynął do wybrzeża. Tam na powierzchni morza spała duża gromada żółwi morskich. Cenne te gady są niesłychanie trudne do złowienia, ponieważ budzi je najlżejszy szelest, a skorupa ich jest tak mocna, ze i harpun nie może jej dać rady. Dopiero trzymonaw miał pomóc nam w tym połowie z niebywałą pewnością i precyzją. Zwierzę to jest istnym żywym haczykiem na ryby i uszczęśliwiłoby niewątpliwie niejednego rybaka, łowiącego na wędkę.

Marynarze „Nautilusa" pozakładali na ogony tych ryb pierścienie dość duże, aby nie krępowały ich ruchów; od pierścieni szły długie linki aż na pokład.

Rzucone w morze trzymonawy spełniły doskonale swe zadanie przywierając silnie do

pancerzy żółwi. Trzymały się tak mocno, że można je było raczej rozedrzeć, niż oderwać od zdobyczy. Wciągnięto je na pokład, a z nimi i żółwie, do których przylgnęły.

Złapano w ten sposób bardzo wiele żółwi, mierzących metr szerokości i ważących po dwieście kilogramów. Niezwykle cenne były ich skorupy pokryte wielkimi rogowymi płatami; były one cienkie, przeźroczyste, barwy brunatnej, z białymi i żółtymi cętkami.

Poza tym żółwie te miały wyśmienite mięso, równie doskonałe jak mięso żółwi pospolitych, które, jak wiadomo, jest wielkim przysmakiem.

To polowanie zakończyło nasz pobyt w okolicach ujścia Amazonki; z nadejściem nocy „Nautilus” powrócił na pełne morze.

Rozdział XVIII
Ośmiornice

Przez kilka dni „Nautilus” stale oddalał się od wybrzeży amerykańskich. Jasne było, że nie zapuści się na uczęszczane wody Zatoki Meksykańskiej lub Morza Karaibskiego. Co prawda, wody nie zabrakłoby mu tam, bo przecież średnia głębokość morza w tych stronach wynosi tysiąc osiemset metrów; widocznie jednak nie odpowiadały kapitanowi Nemo te okolice, usiane wyspami i poorane szlakami licznych parowców.

16 kwietnia wyminęliśmy w odległości około piętnastu mil Martynikę i Gwadelupę. Przez chwilę widać było ich wyniosłe szczyty. Ten obrót sprawy zbił mocno z tropu Kanadyjczyka. Liczył bowiem na to, że w zatoce będzie mógł urzeczywistnić swoje zamiary ucieczki bądź dostając się na jakiś ląd, bądź też łapiąc jeden z licznych statków, pływających kabotażem od wyspy do wyspy. Gdyby Nedowi udało się po kryjomu zawładnąć łodzią, ucieczka byłaby nawet zupełnie wykonalna. Na pełnym oceanie jednak nie można było nawet myśleć o tym.

Odbyliśmy we trójkę, to jest Kanadyjczyk, Conseil i ja, dosyć długą rozmowę na te tematy. Już od sześciu miesięcy byliśmy więźniami na pokładzie „Nautilusa”. Przebyliśmy siedemnaście tysięcy mil i, jak się wyraził Ned Land, nie było powodu, dla którego miałaby się ta podróż zakończyć. Zrobił mi więc dosyć nieoczekiwaną propozycję. Żądał, abym zadał kapitanowi Nemo kategoryczne pytanie, czy ma zamiar trzymać nas na swym pokładzie do nieskończoności.

Odniosłem się niechętnie do tego wystąpienia: według mnie, nie miało ono szans powodzenia. Po dowódcy „Nautilusa” nie można się było niczego spodziewać, mogliśmy liczyć wyłącznie na nas samych. Zresztą od jakiegoś czasu człowiek ten stał się jeszcze bardziej ponury, zamknięty w sobie, mniej towarzyski. Wyglądało na to, że mnie unikał. Spotykałem go bardzo rzadko. Dawniej pokazywanie mi cudów podmorskich sprawiało mu widoczną przyjemność, teraz zostawiał mnie samego, pogrążonego w badaniach, i w ogóle nie przychodził do salonu.

Jakaż to zmiana w nim zaszła? Dlaczego? Nie miałem sobie nic do zarzucenia. A może zaczęła mu już ciążyć nasza obecność na statku? Mimo to jednak nie sądziłem, aby kapitan zechciał zwrócić nam wolność. ‘

Prosiłem więc Neda o czas do namysłu, zanim przystąpię do działania. Gdyby bowiem to wystąpienie nie miało wywrzeć żadnego skutku, to mogłoby rozbudzić podejrzenia, pogorszyć naszą sytuację i zaszkodzić projektom Kanadyjczyka. Warto dodać, że nie mogłem w żadnym razie wysuwać kwestii naszego zdrowia; z wyjątkiem ciężkiej przeprawy, jaką mieliśmy pod ławicą lodową na biegunie południowym, nie czuliśmy się nigdy jeszcze tak dobrze, zarówno Ned i Conseil, jak i ja. Zdrowe pożywienie, zdrowe powietrze, regularny tryb życia, jednostajna temperatura — nie dawały wprost przystępu chorobom; rozumiałem dobrze kapitana Nemo, którego ponadto nie wiązały z ziemią żadne więzy uczuciowe i który był ostatecznie „u siebie w domu”: płynął, dokąd chciał, dążył do własnego celu, tajemniczego może dla innych, ale przecież jasnego dla niego samego.

My natomiast nie zerwaliśmy jeszcze z ludzkością. Jeżeli o mnie chodzi, to wcale nie miałem zamiaru zabierać ze sobą do grobu wyniku moich studiów i badań, tak ciekawych i niezwykłych. Miałem już teraz bezwzględne prawo do napisania pracy o morzu i pragnąłem, aby ta książka wcześniej czy później mogła jednak ujrzeć światło dzienne. Choćby i tutaj, w głębinach Morza Karaibskiego, o dziesięć metrów pod powierzchnią wody, ileż ciekawych uwag mogłem dorzucić do codziennych notatek, obserwując świat podmorski przez rozsunięte ściany salonu.

20 kwietnia płynęliśmy na średniej głębokości tysiąca pięciuset metrów. Najbliższym lądem był dla nas wtedy archipelag Wysp Bahama, zaścielający morze jak rozrzucony stos

„kocich łbów”. Wznosiły się tam wysokie wały podmorskie, sterczące prostopadle ściany skalne, wsparte na szerokich naturalnych fundamentach, między którymi widniały czarne szczeliny tak głębokie, że do dna ich nie docierało światło naszego reflektora. Skały usłane były olbrzymimi trawami, gigantycznymi algami, nieskończonej długości wstężnicami, istnym gąszczem wodorostów morskich, o skali godnej świata tytanów.

Kiedyśmy tak, Conseil i ja, rozmawiali o tych kolosalnych roślinach, pogawędka nasza przeszła niepostrzeżenie na temat olbrzymich zwierząt morskich. Pierwsze są bowiem niewątpliwie przeznaczone na pokarm dla drugich.

Było około jedenastej, gdy Ned Land zwrócił mi uwagę na jakieś potworne kotłowanie się w olbrzymich gęstwinach alg.

— No, tak — rzekłem. — Tu przecież są istne jaskinie ośmiornic, więc wcale bym się nie zdziwił, gdyby się jaka pokazała.

— Co?! — odezwał się Conseil. — Kałamarnice*? Zwykłe kałamarnice z gromady głowonogów?

— Nie — odparłem — są to bardzo duże ośmiornice. Nasz przyjaciel Ned omylił się jednak, bo nic na razie nie widać.

— Szkoda — rzekł Conseil. — Bardzo chciałbym zobaczyć z bliska choć jedną z tych ośmiornic, o których tyle słyszałem. Podobno potrafią one nawet pociągnąć statek na dno morza. Te straszliwe zwierzaki nazywają się kra…

— …kraczesz głupstwa — przerwał ironicznie Kanadyjczyk.

— Krakeny — ciągnął Conseil nie zrażony żartem przyjaciela.

— Nikt mnie nie przekona, że takie zwierzęta w ogóle istnieją — powiedział Ned Land.

— A dlaczegóż by miały nie istnieć? — spytał Conseil. — Przecież uwierzyliśmy w istnienie ogromnego narwala pana profesora.

— I nie mieliśmy racji, kochany Conseilu.

— Oczywiście, ale bardzo możliwe, że pozostali ludzie jeszcze w to wierzą.

— Rzeczywiście, to możliwe — przyznałem. — Jeżeli jednak o mnie chodzi, to nie uwierzę w istnienie tych potworów, póki nie będę mógł dokonać ich sekcji własną ręką.

— A więc pan profesor naprawdę nie wierzy — pytał Conseil — że istnieją potwornej wielkości kałamarnice?

— A któż by w to uwierzył? — zaśmiał się Kanadyjczyk.

— Bardzo wiele ludzi, kochany Nedzie.

— Na pewno nie rybacy. Chyba uczeni!

— Bardzo was przepraszam, Nedzie; ani rybacy, ani uczeni!

— Ja osobiście, we własnej osobie — odezwał się Conseil najpoważniejszym w świecie tonem — przypominam sobie, że widziałem wielki statek wciągany pod fale przez ramiona takiego głowonoga.

— Widziałeś to na pewno? — spytał Kanadyjczyk.

— Tak, Nedzie.

— Na własne oczy?

— Na własne oczy.

— A może powiesz nam, gdzie to było, jeśliś łaskaw?

— W Saint–Malo* — odparł Conseil bez śladu zakłopotania.

— W samym porcie? — zapytał Ned z ironią.

— Nie, w kościele — rzekł Conseil.

— W kościele?! — wykrzyknął zdumiony Kanadyjczyk.

— Tak, kochany Nedzie. To był obraz przedstawiający właśnie taką kałamarnicę.

---

* kałamarnice — w rzeczywistości kałamarnice i ośmiornice należą do dwu różnych podrzędów głowonogów

* S a i n t – M a l o — mały port położony na północno–zachodnim wybrzeżu Francji

— Świetne! — wybuchnął śmiechem Ned Land. — A to mnie mości Conseil wystrychnął na dudka!

— Rzeczywiście, słyszałem o tym obrazie — wtrąciłem. — Ale tematem jego jest zdarzenie legendarne, a wiecie chyba, jak się należy zapatrywać na legendy w sprawach dotyczących zjawisk przyrodniczych! Jeżeli chodzi o potwory, to już wyobraźnia ludzka nie zna granic! Twierdzi się, że ośmiornice potrafią wciągać statki w głębiny, ale mało tego: niejaki Olaus Magnus pisze o głowonogu, który miał pół mili długości i przypominał raczej wyspę niż żywe stworzenie. Powiadają także, że biskup Nidrosu wybudował kiedyś ołtarz na ogromnej skale. Po skończonej mszy skała „ożyła" i zanurzyła się pod wodę. Ta skała to była ośmiornica.

— Tylko tyle? — zapytał ironicznie Kanadyjczyk.

— Nie — odpowiedziałem. — Inny biskup, Pontoppidanus i Bergen, opisuje również ośmiornicę, na której mógł odbywać ćwiczenia pułk kawalerii.

— Niczego sobie, ci dawni biskupi! — wtrącił Ned.

— Wreszcie starożytni przyrodnicy wspominają o potworach, które miały paszcze wielkości zatoki, a same były tak olbrzymie, że nie mogły przepływać Cieśniny Gibraltarskiej.

— Niech im będzie! — ironizował Kanadyjczyk.

— A ileż jest prawdy w tych wszystkich bajeczkach? — zapytał Conseil.

— Ani odrobiny, moi kochani; w każdym razie nie ma jej tam, gdzie opowieści przekraczają granice prawdopodobieństwa, przechodząc w baśnie i legendy. Jednakowoż do pobudzenia ludzkiej wyobraźni potrzeba przyczyny, a co najmniej pretekstu. Nie można zaprzeczyć, że istnieją bardzo wielkie gatunki ośmiornic, choć zawsze są one mniejsze od wielorybów. Arystoteles podaje wymiary kałamarnicy na pięć łokci, a zatem trzy metry i dziesięć centymetrów. Nasi rybacy widują często okazy, których długość przekracza metr osiemdziesiąt. Muzea w Trieście i w Montpellier są w posiadaniu szkieletów ośmiornic o wymiarach dwóch metrów. Zresztą przyrodnicy obliczyli, że sześciostopowa ośmiornica musiałaby mieć macki długości dwudziestu siedmiu stóp, a to przecież wystarczy, żeby już była straszliwym potworem.

— Czy łowi się je obecnie? — zainteresował się Kanadyjczyk.

— Jeżeli się ich nawet nie łowi, to w każdym razie marynarze widują je często. Jeden z moich przyjaciół, kapitan Paweł Bos z Hawru, kilkakrotnie opowiadał mi, że na Oceanie Indyjskim spotkał okaz takiego kolosalnego potwora. Najciekawszy jednak fakt, który nie pozwala już wątpić w istnienie tych ogromnych zwierząt, miał miejsce w roku 1861, a więc zaledwie kilka lat temu.

— Cóż to za fakt? — spytał Ned Land.

— Słuchajcie. W 1861 roku załoga awiza* „Alecton", płynąc na północo–wschód od Teneryfy, pod tą samą mniej więcej szerokością, pod którą my płyniemy w tej chwili, zauważyła potworną kałamarnicę. Dowódca, kapitan Bouyer, zbliżył się do zwierzęcia i zaatakował je harpunami i kulami karabinowymi, bez większego jednak sukcesu, ponieważ zarówno kule, jak i harpuny przeszywały to miękkie ciało jak rzadką galaretkę. Po licznych nieudanych próbach udało się marynarzom zarzucić pętlę na olbrzymie ciało mięczaka. Pętla ześliznęła się aż do płetwy ogonowej zwierzęcia i tam się zatrzymała. Wtedy zaczęto wciągać potwora na pokład, ciężar jego był jednak tak wielki, że ogon urwał się i pozbawione tej ozdoby zwierzę znikło pod wodą.'

— Nareszcie mamy jakiś fakt! — zawyrokował Ned.

— Fakt niezaprzeczony, kochany Nedzie. Ośmiornicę tę zaproponowano nazwać „kałamarnicą Bouyera".

---

* a w i z o — tu: rodzaj małego okrętu przeznaczonego do patrolowania wybrzeża, konwojowania statków handlowych itp.

— A czy była ona długa? — zapytał Kanadyjczyk.

— Czy przypadkiem nie miała około sześciu metrów długości? — zapytał Conseil stojąc przy oknie i przyglądając się ciągle załamaniom i szczelinom ściany podmorskiej.

— Owszem — odparłem.

— A czy z jej głowy nie wyrastało osiem macek, które wiją się pod wodą jak kłębowisko wężów?

— Owszem.

— Czy nie miała straszliwie wyłupiastych oczu, umieszczonych na samym szczycie głowy?

— Tak, Conseil.

— A czy paszcza jej nie przypominała dzioba papugi, ale kolosalnych rozmiarów?

— Owszem.

— A zatem, z przeproszeniem pana profesora, jeśli to nie jest „kałamarnicą Bouyera”, to z pewnością jej rodzona siostra.

Popatrzyłem na Conseila. Ned Land rzucił się ku szybie.

— Ależ okropna bestia! — krzyknął.

Spojrzałem — i nie potrafiłem powstrzymać gestu obrzydzenia. Przed moimi oczami wiła się bestia tak wstrętna, że mogłaby być bohaterką legend o potworach. Była to ośmiornica ogromnych rozmiarów, bo długości ośmiu metrów. Płynęła w kierunku „Nautilusa” z szaloną szybkością. Patrzyła nieruchomo straszliwymi, bladowodnistymi ślepiami. Osiem ramion, a raczej osiem nóg wyrastało z jej głowy — to właśnie było przyczyną, że stworzenia owe nazwano głowonogami — macki te były dwukrotnie dłuższe od samego ciała i skręcały się niczym włosy na głowie furii. Widać było wyraźnie owych dwieście pięćdziesiąt przyssawek, rozrzuconych na wewnętrznej stronie macek w kształcie półkulistych kapsułek. Przyssawki te przywierały niekiedy do szyby salonu, natychmiast wytwarzając w tych miejscach próżnię. Pysk potwora — rogowy, w kształcie dzioba papugi — otwierał się i zamykał nieustannie. Z jego straszliwych kleszczy wysuwał się drgający język, też rogowy i uzbrojony wieloma rzędami wyostrzonych zębów. Co za dziki kaprys natury! Ptasi dziób u mięczaka! Wydłużone i wydęte w środku ciało było jedną bryłą mięsa, ważącą na pewno dwadzieścia do dwudziestu pięciu tysięcy kilogramów. Barwa zwierzęcia zmieniała się wciąż, przechodząc niezmiernie szybko z szarosinej w brunatnoczerwoną, w zależności od stopnia jego rozdrażnienia.

Cóż tak złościło teraz okropnego mięczaka? Niewątpliwie „Nautilus”, który był od niego straszliwszy i którego nie imały się wcale ani ssące macki, ani ogromne szczęki. Cóż to za potwory te ośmiornice, jakże ogromna jest ich siła żywotna, jaka moc w samych ruchach; przecież mają aż trzy serca!

Przypadkiem tylko natknęliśmy się na ową ośmiornicę, ale nie chciałem zmarnować okazji szczegółowego obejrzenia tego dkazu głowonogów. Przezwyciężając obrzydzenie, jakie wywoływał jego wygląd, wziąłem ołówek i zacząłem zwierzę rysować.

— A może to ta sama, z którą zetknął się „Alecton”? — zastanowił się Conseil.

— Nie — odparł Kanadyjczyk — bo przecież tamta byłaby bez ogona!

— To by o niczym nie świadczyło — odezwałem się. — Ramiona i ogon tych zwierząt odrastają, a ogon „kałamarnicy Bouyera” miał na to siedem lat czasu, więc odrósł już z pewnością.

— A zresztą — rzekł Land — jeśli to nie ta, to może któraś z tamtych!

Rzeczywiście. Za szybą prawej burty pojawiły się inne ośmiornice. Było ich siedem: płynęły eskortując „Nautilusa” i słychać było zgrzytanie dziobów o stalowy kadłub. Mieliśmy ich więc do woli. Płynęły z nami tak równo, że zdawały się tkwić w bezruchu i mógłbym je chyba przekalkować na szybie, oczywiście w pomniejszeniu. Posuwaliśmy się zresztą niezbyt szybko.

Nagle „Nautilus” stanął. Poczuliśmy silny wstrząs.

— Czyżbyśmy osiedli na czymś? — spytałem.

— W każdym razie jużeśmy się oswobodzili — zauważył Kanadyjczyk — bo przecież kołyszemy się.

Rzeczywiście „Nautilus” kołysał się, choć nie posuwał naprzód. Śruba nie obracała się zupełnie. Minęła minuta. Do salonu wszedł kapitan Nemo z porucznikiem.

Nie widziałem go już od dłuższego czasu. Wydał mi się chmurny. Bez słowa, może nawet nie zauważając nas, podszedł do szyby, przyjrzał się ośmiornicom i powiedział kilka słów do porucznika, który natychmiast wyszedł. Wkrótce zasunęły się ściany; zapłonął sufit.

Zwróciłem się do kapitana.

— Ciekawa kolekcja ośmiornic — powiedziałem swobodnym tonem, jakim prawdopodobnie przemawiałby znawca stojący przed szybą akwarium.

— Rzeczywiście, panie profesorze — odparł. — Zaraz się do nich zabierzemy.

Popatrzyłem na niego myśląc, żem się przesłyszał.

— Zabierzemy się do nich? — powtórzyłem.

— Tak, proszę pana. Śruba została unieruchomiona. Sądzę, że pomiędzy jej ramiona dostały się rogowe szczęki jednej z ośmiornic. I to nie pozwala nam płynąć.

— Więc, co pan zamierza?

— Wypłyniemy na powierzchnię morza i wymordujemy całe to robactwo.

— To nie będzie łatwe.

— Niewątpliwie. Elektryczne pociski będą tu bezsilne, bo w miękkich ciałach ośmiornic nie napotykają wystarczającego oporu, ażeby eksplodować. Ale zabierzemy się do tego siekierami.

— I harpunem, panie kapitanie — wtrącił Kanadyjczyk — jeśli pan przyjmie moją pomoc.

— Przyjmę, panie Land.

— Idziemy razem — powiedziałem. I poszliśmy za kapitanem Nemo, kierując się ku środkowym schodom.

Czekało tam już około dziesięciu ludzi uzbrojonych w topory. Conseil i ja chwyciliśmy także za siekiery; Ned Land uzbroił się w harpun.

„Nautilus” wypłynął na powierzchnię. Jeden z marynarzy, stojąc na najwyższym stopniu, odkręcał śruby klapy. Zaledwie jednak zdjął mutry, kiedy klapa podniosła się gwałtownie; najwidoczniej szarpnęły ją przyssawki jednego z ramion ośmiornicy. Jednocześnie długa macka wśliznęła się niby wąż przez otwór, a dwadzieścia innych zatrzepotało w górze. Kapitan Nemo jednym cięciem siekiery odrąbał potworne ramię, które wijąc się spadło po stopniach drabinki.

W chwili jednak, kiedy wszyscy cisnęli się jeden przez drugiego do wyjścia na pokład, dwie inne macki śmignęły w powietrzu, opadły na jednego ze stojących przed kapitanem marynarzy i porwały go z nieprzepartą siłą.

Kapitan krzyknął strasznie i wypadł na pomost. Wszyscy skoczyliśmy za nim.

Co za scena! Nieszczęsny marynarz, pochwycony macką i przyssany do niej, kołysał się w powietrzu zgodnie z ruchami tej straszliwej trąby. Rzęził, dusił się, krzyczał: „Ratunku! Ratunku!” Te słowa, wymówione w języku francuskim, spowodowały, że osłupiałem wprost; a więc na pokładzie miałem rodaka?! Może niejednego? Całe życie słyszeć będę ten rozdzierający krzyk.

Nieszczęśliwiec był zgubiony. Cóż mogło go wyrwać z tego potwornego uścisku? Kapitan Nemo rzucił się jednak na ośmiornicę i odrąbał jej siekierą jeszcze jedno ramię. Porucznik walczył wściekle z innymi potworami, czołgającymi się na bokach „Nautilusa”. Marynarze rąbali siekierami. Kanadyjczyk, Conseil i ja kłuliśmy i siekli te zwały mięsa. Było to okropne. Przez chwilę myślałem, że wyrwiemy nieszczęśliwca ze straszliwych ssawek ośmiornicy. Siedem macek na osiem było już odciętych. Jedna tylko jeszcze wiła się w powietrzu, wymachując swą ofiarą jak piórkiem. W chwili jednak gdy kapitan z porucznikiem rzucili się

na nie, zwierzę wypuściło słup czarniawej cieczy, wydzielanej z woreczka umieszczonego pod brzuchem. Na sekundę oślepiło nas. Kiedy chmura rozwiała się, kałamarnicy już nie było, a razem z nią znikł mój nieszczęśliwy rodak.

Ogarnęła nas teraz straszliwa wściekłość na owe potwory. Przestaliśmy panować nad sobą. Dziesięć czy dwadzieścia ośmiornic obiegło już pokład i boki „Nautilusa". Kotłowaliśmy się prawie na oślep wśród tego kłębowiska wężów wijących się na pokładzie w potokach krwi i atramentowej cieczy. Harpun Neda za każdym uderzeniem tonął w wodnistych ślepiach ośmiornic i wyłupiał je. Ale nagle mego zuchwałego towarzysza powaliły macki jednego z potworów. Nie zdołał ich uniknąć.

Nad Kanadyjczykiem rozwarł się straszliwy dziób. Jeszcze chwila, a nieszczęśnik zostałby przecięty na dwoje. Skoczyłem na ratunek. Uprzedził mnie jednak kapitan Nemo. Jego siekiera znikła między potwornymi szczękami. Cudem ocalony Kanadyjczyk zerwał się na równe nogi i zatopił swój harpun aż po rękojeść w potrójnym sercu ośmiornicy.

— Winien wam byłem ten rewanż — rzekł kapitan do Neda.

Ten skłonił się tylko i nic nie odpowiedział.

Walka trwała blisko kwadrans. Rozgromione potwory wycofały się wreszcie z pola bitwy i znikły pod falami. Kapitan Nemo, cały czerwony od krwi, stał nieruchomo koło reflektora i patrzył na morze, które pochłonęło jednego z jego towarzyszy. Z oczu spływały mu grube łzy.

Rozdział XIX
Prąd Zatokowy

Nikt z nas nigdy nie zapomni straszliwej sceny z 20 kwietnia. Opisałem ją będąc jeszcze pod wrażeniem tych przeżyć, prawie na gorąco. Potem przejrzałem opis i odczytałem go Conseilowi i Kanadyjczykowi. Obaj stwierdzili, że jest wierny, ale nie wywiera dość wstrząsającego wrażenia. Istotnie, dla odmalowania podobnych obrazów trzeba by pióra najznakomitszego z naszych poetów, autora: „Pracowników morza”*.

Wspomniałem już, że kapitan Nemo płakał patrząc na morze. Cierpiał niewymownie. Od czasu naszego przybycia na pokład „Nautilusa” tracił już drugiego towarzysza. I jakże przerażającą śmiercią zginął ten przyjaciel! Zgnieciony, zaduszony w okropnym uścisku ośmiornicy, starty na miazgę w żelaznych szczękach, nie mógł nawet spocząć tam, gdzie leżeli inni jego towarzysze: w zaciszu koralowego cmentarza na Oceanie Indyjskim!

Dla mnie osobiście najstraszliwszym momentem całej walki był ów krzyk rozpaczy, który wydarł się z piersi ofiary. Ten nieszczęsny Francuz zapomniał biedaczysko umówionej mowy i ostatni swój okrzyk wydał w języku kraju ojczystego, w języku swej matki! Miałem zatem rodaka wśród członków załogi „Nautilusa”, oddanych duszą i ciałem kapitanowi Nemo, unikających jak i on jakiegokolwiek kontaktu z ludźmi! Czy w tym tajemniczym bractwie, najwyraźniej złożonym z przedstawicieli różnych narodowości, był on jedynym Francuzem? Oto jeszcze jedna nierozwiązalna zagadka, która miała nadal dręczyć mój umysł. Kapitan Nemo powrócił do swojej kabiny i znowu nie widziałem go przez dłuższy czas. Po zachowaniu się jednak „Nautilusa”, którego był przecież duszą i który w zamian był odbiciem wszystkich jego wrażeń, poznałem, jak musiał być smutny, przygnębiony i skołatany.

Statek nie płynął w żadnym zdecydowanym kierunku. Posuwał się tam i z powrotem, unosił się jak trup, zdany na łaskę fal. Śruby jego już nic nie krępowało, a przecież prawie jej nie używał. Płynął na oślep. Nie mógł się wprost oderwać od tego pola walki, od tych wód, które pochłonęły kogoś, kto był jakby jego częścią składową.

Minęło dziesięć dni. Dopiero 1 maja „Nautilus” skierował się zdecydowanie na północ, minąwszy wyspy i ujście Kanału Bahama. Płynęliśmy teraz z prądem największej „rzeki morskiej’, mającej swoje brzegi, swoje własne ryby i swoją temperaturę. Mówię o Prądzie Zatokowym.

Jest to rzeczywiście rzeka, która płynie swobodnie przez cały Ocean Atlantycki, a której wody nie ulegają wcale zmieszaniu z wodami oceanu. Rzeka to słona, o wiele bardziej słona niż otaczające ją morze. Przeciętna jej głębokość wynosi trzy tysiące stóp, a przeciętna szerokość — sześćdziesiąt mil. W niektórych miejscach szybkość tego prądu wynosi cztery kilometry na godzinę. Stała masa jego wód jest większa niż wszystkie rzeki świata razem wzięte.

Prawdziwe źródło Prądu Zatokowego albo, jeśli kto woli, jego punkt wyjścia — leży, jak to wykazał major Maury, w Zatoce Biskajskiej. Tu wody jego, jeszcze jakby niepewne, zarówno co do ciepłoty, jak i barwy, zaczynają Się powoli formować. Prąd kieruje się ku południowi, wzdłuż brzegów Afryki równikowej, ogrzewa się w promieniach podzwrotnikowego słońca, przebywa Atlantyk, dociera do Przylądka Św. Rocha na wybrzeżu Brazylii i rozwidla się na dwa ramiona, z których jedno rozgrzeje się wkrótce jeszcze bardziej ciepłymi cząsteczkami Morza Karaibskiego. Od tej chwili Golfsztrom rozpoczyna swą rolę

---

* …trzeba by pióra najznakomitszego z naszych poetów, autora „Pracowników morza” — autorem powieści „Pracownicy morza” wydanej w 1866 r. jest wielki pisarz francuski Wiktor Hugo. „Pracownicy morza” to historia rybaka–marynarza Gilliatta, który dzięki nadludzkiej wytrwałości i wysiłkowi ratuje maszynę parową z uwięzionego na pełnym morzu wraka, aby otrzymać rękę ukochanej dziewczyny. W II tomie tej pięknej powieści znajduje się wspaniały opis walki Gilliatta z ośmiornicą

regulatora, utrzymując równowagę temperatur i mieszając wody zwrotnikowe z wodami północnymi. Rozgrzany „do czerwoności” w Zatoce Meksykańskiej, płynie wzdłuż wybrzeży Ameryki Północnej aż do Nowej Fundlandii, zbacza na pełny ocean pod parciem zimnego Prądu Labradorskiego wypływającego z Cieśniny Davisa, płynie dalej po linii loksodromicznej* i rozdziela się około 43° na dwa ramiona, z których jedno, wspomagane północno–wschodnim pasatem, powraca ku Zatoce Biskajskiej i Wyspom Azorskim, drugie zaś, ogrzawszy wybrzeża Irlandii i Norwegii, płynie aż poza Spitsbergen; temperatura jego wreszcie spada do 4°, utrzymując wolne od lodów morze w okolicach biegunowych.

Wodami tej to właśnie rzeki oceanicznej płynął teraz „Nautilus”. U ujścia Cieśniny Florydzkiej Golfsztrom ma trzydzieści mil szerokości i trzysta pięćdziesiąt metrów głębokości, płynie zaś z szybkością ośmiu kilometrów na godzinę. W miarę posuwania się ku północy szybkość ta zmniejsza się powoli; życzyć sobie należy jak największej regularności pod tym względem, gdyby bowiem, jak rzekomo niektórzy zdołali zaobserwować, szybkość jego i kierunek miały ulec zmianie, klimat europejski doznałby nieobliczalnych w swych skutkach zakłóceń.

Gkoło południa wyszedłem z Conseilem na pokład. Zapoznałem go z różnymi właściwościami Prądu Zatokowego, a kiedy skończyłem, zaproponowałem mu, żeby zanurzył ręce w wodzie. Usłuchał i był ogromnie zdumiony, że nie odczuwa wrażenia ani ciepła, ani zimna.

— Pochodzi to stąd — tłumaczyłem — że u wyjścia z Zatoki Meksykańskiej temperatura wody prądu równa się prawie temperaturze ludzkiego ciała. Golfsztrom jest olbrzymim kaloryferem, który sprawia, że wybrzeża europejskie pokryte są wieczną zielenią. Jeżeli mamy wierzyć Maury’emu, ilość cieplika w prądzie, zużyta w całości, wystarczyłaby do utrzymania w stanie płynnym rzeki roztopionego żelaza wielkości Amazonki albo Missouri.

Szybkość prądu wynosiła w tej chwili dwa metry dwadzieścia pięć centymetrów na sekundę. Nurt jego do tego stopnia oddziela się od otaczającego morza, że ściśnięte wody tworzą wypukłość ponad powierzchnię oceanu, powstaje różnica poziomów między nimi a wodami zimnymi. Poza tym ciemny ten nurt, niezwykle bogaty w sole, odcina się wyraźnym kolorem indygo od zielonych fal reszty oceanu. Linia demarkacyjna jest tak widoczna, że widzieliśmy na własne oczy, jak u wybrzeży amerykańskich, na wysokości obu stanów Karoliny, „Nautilus” przeciął swą ostrogą falę Prądu Zatokowego, podczas gdy jego śruba biła jeszcze wody oceanu.

W nurcie tym roiło się od przedstawicieli fauny morskiej. Widziałem na przykład liczne gromady argonautów, tak pospolitych na Morzu Śródziemnym.

Dodam także, że w nocy fosforyzujące wody Prądu Zatokowego rywalizowały swym blaskiem z naszym reflektorem, zwłaszcza w czasie nawiedzających nas burz.

8 maja znajdowaliśmy się naprzeciw przylądka Hatteras, na wysokości Północnej Karoliny. Szerokość Prądu Zatokowego wynosi tu około trzydziestu pięciu mil, głębokość zaś dwieście dziesięć metrów. „Nautilus” płynął nadal jak gdyby bez celu. Na pokładzie zamarła wszelka czujność. Przyznaję, że w tych warunkach ucieczka mogłaby się udać. Zamieszkane wybrzeża udzieliłyby nam zawsze schronienia. Liczne parowce, pełniące służbę na liniach między Nowym Jorkiem i Bostonem a Zatoką Meksykańską, przemierzały nieustannie morza, poza tym dzień i noc pływały tędy niewielkie dwumasztowce obsługujące kabotażem rozmaite punkty wybrzeży amerykańskich. Można było śmiało liczyć, że przyjęto by nas na jakiś pokład. Okoliczności były więc wyraźnie sprzyjające, pomimo odległości czternastu mil oddzielającej nasz statek od brzegów Stanów Zjednoczonych.

Jedna natomiast okoliczność sprzeciwiała się stanowczo planom Kanadyjczyka. Pogoda była bardzo zła. Zbliżaliśmy się do okolic częstych burz, trąb powietrznych i cyklonów,

* linia loksodromiczna — w żegludze i lotnictwie linia na powierzchni ziemi, wzdłuż której posuwa się okręt lub samolot, przecinająca wszystkie południki, z którymi się krzyżuje, pod tym samym kątem

powstających właśnie wokół Prądu Zatokowego. W wątłej łodzi stawić czoło rozhukanemu morzu równało się niewątpliwie śmierci. Ned Land sam zresztą to uznawał. Dlatego też miotał nim gniew i okrutna nostalgia, a zaspokoić je mogła tylko ucieczka. Tego też dnia odezwał się do mnie:

— Panie profesorze, to się musi raz skończyć. Chcę wiedzieć, jak się rzecz przedstawia. Pański Nemo oddala się od lądu i płynie na północ. Oświadczam panu jednak, że dość mam bieguna południowego i na biegun północny nie jadę.

— Cóż zrobić, kochany Nedzie, skoro teraz w żaden sposób nie można uciekać?

— Właśnie o tym myślałem. Trzeba rozmówić się z kapitanem. Nie powiedział pan ani słowa, kiedy byliśmy niedaleko wybrzeży pańskiego kraju. Teraz ja będę mówił, ponieważ jesteśmy w pobliżu mojej ojczyzny. Kiedy pomyślę, że za parę dni „Nautilus" znajdzie się na wysokości Nowej Szkocji i że tam, w okolicach A Nowej Fundlandii, otwiera się wielka zatoka i że do tej zatoki wpada Rzeka Św. Wawrzyńca, moja rzeka, moja własna, rzeka Quebecu, mojego rodzinnego miasta; kiedy o tym wszystkim pomyślę — krew napływa mi do twarzy i włosy mi się jeżą! Niechaj mi pan wierzy, panie profesorze, że raczej rzucę się do morza! Nie zostanę tu! Duszę się wprost!

Rzeczywiście Kanadyjczyk był u kresu cierpliwości. Dzielna jego natura nie potrafiła pogodzić się z tym długim więzieniem. Wyglądał z dnia na dzień gorzej. Usposobienie jego stawało się coraz bardziej ponure. Wyobrażałem sobie, co musiał cierpieć, bo i mnie zaczęła z wolna ogarniać nostalgia. Upływało już siedem miesięcy, a nie mieliśmy nawet najmniejszej wiadomości z ziemi. Poza tym stałe izolowanie się kapitana Nemo, jego nastrój, który uległ takiej zmianie, zwłaszcza od czasu bitwy z ośmiornicami, jego wieczne milczenie — wszystko to sprawiało, że powoli zacząłem inaczej zapatrywać się na nasz los. Rozwiał się już entuzjazm pierwszego okresu. Żeby się zgodzić z tą sytuacją, trzeba było chyba urodzić się Flamandczykiem jak Conseil, który czuł się dobrze w tym żywiole wielorybów i innych mieszkańców morza… Zdaje mi się, że gdyby ten zacny chłopak miał skrzek zamiast płuc, to naprawdę byłaby z niego wspaniała ryba!

— No, więc jak, panie profesorze? — nalegał Ned Land widząc, że nie odpowiadam.

— Więc chcecie, żebym zapytał kapitana Nemo, jakie ma zamiary względem was?

— Tak jest.

— Mimo że raz już przecież podał nam je do wiadomości?

— Tak. Chcę się upewnić po raz ostatni. Niech pan zresztą mówi w moim imieniu, tylko w moim własnym imieniu.

— Tak rzadko go spotykam… Unika mnie nawet.

— Tym bardziej trzeba go poszukać.

— Dobrze. Pomówię z nim, Nedzie.

— Kiedy? — niecierpliwił się Kanadyjczyk.

— Gdy tylko go spotkam.

— Panie profesorze, czy pan chce, żebym ja sam do niego poszedł?

— Nie, nie, już ja to zrobię. Jutro…

— Dzisiaj! — przerwał Ned Land.

— Niech będzie. Porozmawiam z nim dzisiaj — powiedziałem, zdając sobie sprawę, że Kanadyjczyk popsułby wszystko, gdyby zaczął działać na własną rękę.

Zostałem sam. Zdecydowawszy się już, postanowiłem zabrać się do sprawy natychmiast. Wolę sprawę załatwioną od sprawy do załatwienia.

Wróciłem do mego pokoju. Tu dosłyszałem kroki w kabinie kapitana Nemo. Sposobności ujrzenia go nie należało zmarnować. Zapukałem do drzwi. Nie odpowiedział. Zapukałem znowu i nacisnąłem klamkę. Drzwi się otworzyły, wszedłem do środka. Kapitan siedział zgarbiony nad biurkiem. Nie słyszał. Postanowiłem jednak nie wychodzić, dopóki się nie rozmówię. Podszedłem bliżej. Gwałtownie podniósł głowę, zmarszczył brwi i zapytał ostro:

— Pan tutaj? Czego pan chce ode mnie?

— Chciałem z panem pomówić, panie kapitanie.

— Ależ jestem zajęty, profesorze, pracuję. Czy nie mogę zachować dla siebie nawet tej swobody robienia, co mi się podoba, jaką pozostawiam panu?

Takie przyjęcie nie bardzo mnie ośmieliło. Zdecydowany jednak byłem wszystkiego wysłuchać, aby móc potem na wszystko odpowiedzieć.

— Panie kapitanie — rzekłem. — Muszę, i to natychmiast, pomówić z panem o pewnej sprawie.

— O jakiej, panie profesorze? — spytał ironicznym tonem. — Może zrobił pan jakieś odkrycie, które uszło mojej uwagi? Czy może ocean otworzył przed panem jakiś nowy sekret?

Nie rozumieliśmy się. Nie zdążyłem jednak odpowiedzieć, kiedy kapitan wskazał leżący na biurku rękopis i odezwał się poważnie:

— Oto, panie profesorze, rękopis w kilku językach. Zawiera on streszczenie wyników moich badań nad morzem i, jeśli przeznaczenie zechce, nie zginie razem ze mną. Będzie on przeze mnie podpisany, uzupełniony dziejami mego życia i zamknięty w niewielkim aparaciku nieprzemakalnym i nie tonącym. Ten z nas, który przeżyje wszystkich pozostałych, wrzuci aparat do morza, aby popłynął, gdzie go fale poniosą.

Nazwisko tego człowieka! Jego własnoręcznie spisane dzieje! A więc kiedyś tajemnica ta zostanie odkryta! Teraz co prawda widziałem w zwierzeniu kapitana tylko okazję pozwalającą mi od razu przejść do rzeczy.

— Panie kapitanie — rzekłem. — Pański pomysł wydaje mi się godny pochwały. Nie można pozwolić, aby owoc pańskich długoletnich badań miał kiedykolwiek zginąć. Jednakże środek, którego pan chce użyć, wydaje mi się dość prymitywny. Kto wie, dokąd wiatry zapędzą ten aparat, w jakie ręce wpadnie rękopis? Czy nie może pan czegoś pewniejszego wymyślić? Czy pan albo któryś z pańskich ludzi…

— Nigdy, profesorze! — przerwał mi gwałtownie kapitan.

— W takim razie ja i moi towarzysze gotowi jesteśmy przechować rękopis i — kiedy pan zwróci nam wolność…

— Wolność! — przerwał znowu kapitan wstając od stołu.

— Tak, panie kapitanie, właśnie w tej sprawie przyszedłem z panem pomówić. Jesteśmy już na pokładzie pańskiego statku od siedmiu miesięcy i zapytuję pana dzisiaj, w imieniu moich towarzyszy i moim własnym, czy ma pan zamiar zatrzymać nas tu na zawsze?

— Panie profesorze — odparł kapitan Nemo — odpowiem panu dzisiaj tak samo, jak odpowiedziałem panu przed siedmioma miesiącami: kto wstąpił na pokład „Nautilusa”, nie może go nigdy opuścić!

— W ten sposób narzuca nam pan niewolę!

— Może pan to nazwać, jak się panu podoba.

— Ależ nigdzie nie odbiera się niewolnikowi nadziei odzyskania wolności! W tym celu wolno mu nawet imać się wszelkich środków!

— A czyż wara tego nie wolno? — rzekł kapitan. — Czy kiedykolwiek zażądałem od was jakiejś wiążącej przysięgi?

Usiadł i skrzyżowawszy ramiona wpatrywał się we mnie.

— Panie kapitanie — odezwałem się po chwili — ani dla pana, ani dla mnie powracanie do tego tematu po raz drugi nie będzie przyjemnością. Skorośmy jednak zaczęli, powinniśmy go wyczerpać. Powtarzam panu, że nie chodzi tu wyłącznie o moją osobę. Dla mnie ratunkiem, zapomnieniem, rozrywką i namiętnością, dzięki której mogę zapomnieć o wszystkim, jest nauka. Potrafię, tak jak pan, żyć zapomniany i w ukryciu, żywiąc wątłą tylko nadzieję, że kiedyś będę mógł przekazać potomności wyniki moich prac, choćby za pomocą niepewnego aparatu rzuconego na łaskę fal i wichrów. Jednym słowem, mogę pana

podziwiać, mogę nawet towarzyszyć panu, choć nie bardzo rozumiem, ku czemu pan zdąża. Życie pańskie ma jednak i inne aspekty: otoczone jest mianowicie splotami powikłań i tajemnic, do których my, to jest moi towarzysze i ja, nie zostaliśmy dopuszczeni. I jeżeli nawet serca nasze zabiły czasem dla pana — wzruszone niektórymi pańskimi troskami albo ujęte oznakami pańskiego talentu i męstwa — to natychmiast musieliśmy tłumić w sobie najlżejsze oznaki owej sympatii, którą wywołuje zazwyczaj piękno i dobro, nawet jeżeli pochodzi od nieprzyjaciela. Otóż to właśnie poczucie obcości w stosunku do wszystkiego, co dotyczy pana, panie kapitanie, sprawia, że nasza sytuacja staje się nie do przyjęcia, wprost niemożliwa do zniesienia — nawet dla mnie, a cóż dopiero dla Neda Landa. Każdy człowiek, już choćby tylko dlatego, że jest człowiekiem, zasługuje na to, ażeby się o niego zatroszczyć. Jakież mściwe zamiary i plany w takiej naturze, jak Neda, potrafi wzbudzić umiłowanie wolności i nienawiść do niewolnictwa! Czy zastanowił się pan kiedy, co ten człowiek może myśleć, jakie mieć zamiary, na co się porwać?

Umilkłem. Kapitan Nemo wstał.

— Cóż mnie to obchodzi, co Ned Land myśli, jakie ma zamiary i na co się porywa? Nie ja go szukałem. Nie trzymam go dla własnej przyjemności na pokładzie „Nautilusa”! Pan natomiast, panie profesorze, należy do tego typu ludzi, którzy potrafią wszystko zrozumieć, nawet milczenie. Nie mam panu więcej nic do powiedzenia. Niech ten pierwszy raz, kiedy rozmawia pan ze mną na ten temat, będzie zarazem ostatnim; drugi raz nie byłbym w stanie nawet wysłuchać pana!

Wyszedłem. Od tego dnia sytuacja nasza uległa wyraźnemu napięciu. Treść rozmowy z kapitanem powtórzyłem obu moim towarzyszom.

— Teraz przynajmniej wiemy, że nie należy niczego oczekiwać od tego człowieka — stwierdził Ned. — „Nautilus” zbliża się do Long Island. Uciekniemy bez względu na pogodę.

Niebo stawało się jednak coraz groźniejsze. Nadchodził huragan. Powietrze zrobiło się białawe, mleczne. Gdy znikły pierzaste obłoki, zaczęły gromadzić się na horyzoncie ciężkie, kłębiaste chmury deszczowe. Inne chmury przelatywały zupełnie nisko. Morze rosło i wzdymało się w długie fale. Znikły gdzieś ptaki, z wyjątkiem przyjaciół burz — petreli. Barometr spadał coraz bardziej, wykazując ogromną ilość pary w powietrzu. Sztormglas rozkładał się wprost pod wpływem atmosfery przeładowanej elektrycznością.

Wkrótce nadejść miała walka żywiołów.

Burza wybuchła w dniu 18 maja, akurat kiedy „Nautilus” znajdował się na wysokości Long Island, o parę mil od krętych przesmyków i wysepek Nowego Jorku. Mogę opisać przebieg tej walki żywiołów, bo kapitan Nemo, zamiast schronić się w głębinach morza, postanowił dla niepojętego wprost kaprysu pozostać na powierzchni.

Od południowego zachodu dął wicher początkowo z szybkością piętnastu metrów na sekundę, potem jednak, około trzeciej po południu, szybkość ta wzrosła do dwudziestu pięciu metrów. Jest to już szybkość huraganu.

Kapitan Nemo, nie zważając na straszliwe podmuchy wiatru, ulokował się na pomoście. Aby oprzeć się potwornym falom, przewalającym się nad statkiem, przywiązał się w pasie. Ja przywiązałem się także, aby podziwiać jednocześnie burzę i tego niezrównanego człowieka, który ośmielał się stawić jej czoło. Ogromne strzępy chmur zamiatały morze maczając się w jego wzburzonych odmętach. Nie widać już było owych niewielkich pośrednich fal, tworzących się zazwyczaj w głębokich bruzdach wody. Jak okiem sięgnąć — tylko długie, czarne fale, zbite i gęste. Wysokość ich wzrastała. Waliły jedna o drugą. „Nautilus” to kładł się na bok, to stawał dęba kołysząc się straszliwie. Około piątej lunęły potoki deszczu, co nie uśmierzyło zresztą ani wiatru, ani wzburzonego morza. Huragan osiągnął szybkość czterdziestu pięciu metrów na sekundę, czyli prawie osiemdziesięciu mil na godzinę. Wtedy potrafi on wywracać domy, zrywać dachówki i wtłaczać je w drzwi, łamać żelazne okratowania i przesuwać armaty. Tymczasem „Nautilus” w samym środku tej nawałnicy

zdawał się usprawiedliwiać zdanie wypowiedziane przez jednego ze słynnych inżynierów: „Dobrze zbudowany kadłub nie potrzebuje obawiać się żadnej burzy”. Nie była to skała, która by się opierała i musiała poddać walącym zewsząd bałwanom; stalowe wrzeciono, ruchliwe, bez olinowania, bez masztów i żagli, urągało bezkarnie wściekłości żywiołów.

Uważnie przypatrywałem się rozszalałym bałwanom. Miały do piętnastu metrów wysokości i sto pięćdziesiąt do stu siedemdziesięciu pięciu metrów długości, a szybkość ich, równa połowie szybkości wiatru, wynosiła ponad dwadzieścia metrów na sekundę. Ich pojemność i moc wzrastały w miarę zwiększania się głębokości oceanu. Zrozumiałem teraz rolę, jaką odgrywają fale wiążąc ze sobą powietrze i wtłaczając je w głębiny, dokąd wraz z tlenem niosą przecież i życie. Obliczono, że najwyższa siła ich ciśnienia może dochodzić do trzech tysięcy kilogramów na stopę kwadratową powierzchni, o którą się rozbijają.

Z nadejściem nocy wzrosło natężenie burzy. Podobnie jak w okolicach wyspy Reunion, w czasie cyklonu w 1860 roku, barometr opadł do siedmiuset dziesięciu milimetrów. O zmroku dojrzałem jeszcze na widnokręgu duży parowiec, walczący ciężko z burzą i płynący pod małą parą, aby utrzymać się prosto na falach. Wkrótce statek ten znikł w ciemnościach.

O dziesiątej wieczorem niebo stało jeszcze w ogniu. Powietrze przecinały potworne błyskawice. Nie mogłem znieść ich blasku, choć kapitan Nemo patrzył w nie prosto, zdając się wciągać w płuca oddech burzy. Ryk walących się bałwanów, wycie wiatru i huk grzmotów składały się razem na ciągły, straszliwy hałas, wypełniający atmosferę. Wiatr dął ze wszystkich stron, cyklon idący od wschodu obiegał północ, zachód i południe i wracał na wschód, przybierając kierunek przeciwny niż cyklon na półkuli południowej.

Ach, ten Prąd Zatokowy! Zasługuje zupełnie na swą nazwę króla burz! Przecież to on sprzyja powstawaniu tych straszliwych cyklonów, powodując różnicę temperatur w warstwach powietrza leżących ponad jego nurtem.

Po deszczu nastąpiła ulewa ognia. Kropelki wody zmieniały się w naelektryzowane snopy. Kołysząc się potwornie, „Nautilus” zadarł w powietrze swą stalową ostrogę, a wtedy ujrzałem, jak tryskały z niej niezliczone iskry.

Złamany, wyczerpany ostatkiem sił doczołgałem się do włazu. Otworzyłem go i zeszedłem do salonu. Burza osiągnęła wówczas szczyt swego napięcia. We wnętrzu „Nautilusa” niepodobna było utrzymać się na nogach. Kapitan Nemo wrócił około północy. Usłyszałem, jak napełniają się zbiorniki. „Nautilus” z wolna zagłębił się pod powierzchnię morza.

Przez rozsunięte szyby salonu widać było wielkie ryby uciekające w popłochu i przesuwające się jak widma przez wrzące wody kipieli. „Nautilus” opadał ciągle. Sądziłem, że spokój panować będzie już na głębokościach piętnastu metrów.

Ale nie. Powierzchnia morza zbyt była wzburzona; musieliśmy szukać wytchnienia aż w pięćdziesięciometrowej otchłani.

Za to tam — co za spokój, jaka cisza! Jak bezpiecznie!… I któż by powiedział, że na powierzchni oceanu szalał w tym czasie tak groźny huragan?

Rozdział XX
Pod 47°24' szerokości i 17°28' długości

Ta okropna burza odrzuciła nas na wschód. Rozwiały się wszystkie nadzieje ucieczki na wodach przybrzeżnych Nowego Jorku lub ujścia Rzeki Św. Wawrzyńca. Zrozpaczony Ned pogrążył się, jak kapitan Nemo, w zupełnej samotności. Conseil nie rozstawał się ze mną.

Wspomniałem, że „Nautilus" przesunął się na wschód. Ściśle biorąc, powinienem był powiedzieć: na północny wschód. Przez kilka dni statek błąkał się to na powierzchni morza, to znowu pod nią, cały czas wśród gęstych mgieł, tak niebezpiecznych dla żeglarzy. Mgły te powoduje przeważnie tajanie lodów, co przepełnia atmosferę nadmierną wilgocią. Ileż zginęło w tych okolicach okrętów szukających na próżno świateł wybrzeży! Ile katastrof wydarzyło się w tych nieprzeniknionych mgłach! Ile statków rozbiło się na skałach, ponieważ łoskot bijących o nie fal przytłumiało wycie wichrów! Ile było tu zderzeń mimo ostrzegawczych świateł, mimo syren i dzwonów alarmowych!

Dlatego też dno morza w tych okolicach było istnym polem bitwy, na którym leżały trupy zwyciężonych przez ocean okrętów; niektóre już dawno zamulone, inne świeże i połyskujące w świetle naszego reflektora swymi okuciami i miedzianymi blachami. Ileż statków i ładunków, ile załóg, ile tysięcy emigrantów zginęło w tych niebezpiecznych okolicach, często wymienianych przez statystyki: przylądek Race, Wyspa Św. Pawła, cieśnina Belle Isle, ujście Rzeki Św. Wawrzyńca!…

15 maja znajdowaliśmy się przy południowym krańcu ławicy nowofundlandzkiej. Ławicę tę utworzyły namuły morskie i wielkie skupiska szczątków organicznych, naniesionych bądź z okolic równika przez Golfsztrom, bądź z bieguna północnego przez ów przeciwprąd zimnej wody, biegnący wzdłuż brzegów Ameryki. Tu także nagromadziły się masy głazów narzutowych pochodzenia polodowcowego. Tu wreszcie utworzyła się olbrzymia kostnica ryb, mięczaków i zwierzokrzewów, ginących w owych stronach całymi miliardami.

Przy ławicy nowofundlandzkiej morze nie jest zbyt głębokie. Ma najwyżej kilkaset sążni. Ku południowi jednak głębokość ta zwiększa się gwałtownie, tworząc olbrzymią wklęsłość trzech tysięcy metrów. Tu Prąd Zatokowy osiąga swą maksymalną szerokość. Traci wprawdzie na szybkości i temperaturze, ale staje się prawdziwym morzem.

Z ryb, które „Nautilus" spłoszył swym ukazaniem się, warto przytoczyć metrowego cykloptera o czarniawym grzbiecie i pomarańczowym brzuchu, który daje siostrom i braciom ze swego rodu rzadki i mało naśladowany przykład wierności małżeńskiej; dalej wielkiego upernacka, z rodzaju zielonych muren, bardzo smacznego; wielkookiego karraka, o głowie przypominającej głowę psa; dalej ślizgi, jajorodne jak węże; czarne, dwudziestocentymetrowe kiełbie; wreszcie połyskujące srebrem długoogonice, ryby śmigłe, zapuszczające się daleko na północ. Złapała się także w nasze sieci ryba zuchwała i odważna, silna, doskonale umięśniona, zbrojna jakby w igły na głowie i kolce na płetwach, niby skorpion trzymetrowy, zacięty wróg ślizg, miętusów i łososi — był to północny głowacz, brunatny z czerwonymi płetwami, o ciele okrytym gruzełkami. Łowcy z „Nautilusa" namęczyli się z nim nieco, gdyż zwierzę to, dzięki specjalnym klapkom, potrafi ustrzec swe skrzela od zetknięcia z powietrzem, co umożliwia mu na jakiś czas życie nawet po wyjęciu z wody.

Przytoczę jeszcze — dla pamięci — boskiny, niewielkie rybki, długo towarzyszące statkom na wodach podbiegunowych, raszki i wreszcie miętusy, a przede wszystkim pewien gatunek dorsza, którego dojrzałem w owych wodach; przebywa on ze szczególnym: upodobaniem w okolicach ławicy nowofundlandzkiej.

Właściwie można powiedzieć, że dorsze te są rybami górskimi. Nowa Fundlandia bowiem jest niczym innym jak właśnie górą podmorską. Kiedy „Nautilus" zaczął płynąć przez zbitą gromadę owych ryb, Conseil nie mógł powstrzymać się od uwagi:

— Patrzcie! Takie dorsze? A ja myślałem, że one są płaskie, tak jak flądry i sole.

— Głuptasku — odparłem. — Dorsze są płaskie tylko w sklepie, gdzie widzisz je już rozpłatane i wystawione na sprzedaż. Ale w wodzie są to wrzecionowate ryby, podobne do tępogłowów, doskonale i szybko pływające.

— Muszę uwierzyć panu profesorowi — rzekł Conseil. — Lecz cóż to za chmara! Co za mrowie!

— Ho, ho, przyjacielu! Byłoby ich tu znacznie więcej, gdyby nie ich wrogowie: raszki i ludzie. Czy wiesz, ile jajeczek naliczono w jednej jedynej samiczce dorsza?

— Hm, tak na oko… No, nie żałujmy sobie: pięćset tysięcy.

— Jedenaście milionów, mój kochany.

— Jedenaście milionów? Trudno w to uwierzyć, chyba że sam je policzę.

— Licz, licz, Conseil, ale lepiej byłoby, żebyś mi uwierzył: mniej ci to zajmie czasu. Zresztą Francuzi, Amerykanie, Duńczycy, Norwegowie łowią dorsze tysiącami. Konsumpcja tych ryb jest olbrzymia i gdyby nie zdumiewająca ich płodność, zabrakłoby ich w morzach bardzo szybko. W samej Anglii i Ameryce przy połowach dorsza zajętych jest pięć tysięcy statków z siedemdziesięcioma pięcioma tysiącami rybaków. Połów każdego statku wynosi przeciętnie czterdzieści tysięcy sztuk, co daje razem liczbę dwudziestu pięciu milionów. To samo na wybrzeżach Norwegii.

— No, dobrze — rzekł Conseil. — Zdaję się na pana profesora. Nie będę ich już liczył.

— Czego?

— Jedenastu milionów jajeczek. Pozwolę sobie tylko zauważyć…

— Że co?

— Że gdyby się te wszystkie jajeczka wykluwały, to cztery dorsze mogłyby wyżywić Anglię, Amerykę i Norwegię.

Kiedyśmy tak płynęli nad samą ławicą nowofundlandzką, mogłem doskonale dojrzeć długie wędki, których każdy stateczek zapuszcza całe tuziny; wędka taka zbrojna jest w dwieście haczyków. Jednym końcem pogrąża się ona w wodę za pomocą małej, kilkuzebnej kotwiczki, drugim zaś trzyma się powierzchni morza za pomocą niewielkiej, korkowej boi. „Nautilus” musiał zręcznie przemykać się między tą podwodną siecią.

Nie przebywał zresztą długo w owych uczęszczanych okolicach. Popłynął na północ, mniej więcej aż do 47° szerokości. Na wysokości Portu Św. Jana na Nowej Fundlandii oraz Heart’s Content dotarł do końcówki kabla transatlantyckiego.

Wtedy „Nautilus” zamiast płynąć dalej na północ, skierował się na wschód, jakby chciał podążyć wzdłuż łożyska kabla telegraficznego, które wielokrotnie już zbadano sondowaniami, otrzymując dokładny profil dna morskiego.

17 maja, mniej więcej o pięćset mil od Heart’s Content ujrzałem istotnie kabel leżący na głębokości dwóch tysięcy ośmiuset metrów. Conseil, którego nie uprzedziłem, sądził początkowo, że jest to jakiś olbrzymi wąż morski, i już zabierał się do klasyfikowania, kiedy wyprowadziłem go z błędu. Na pociechę opowiedziałem mu kilka szczegółów na temat prac związanych z założeniem kabla.

Pierwszy mianowicie założony został w latach 1857 i 1858, przestał jednak działać po przesłaniu około czterystu telegramów. W roku 1863 inżynierowie skonstruowali nowy kabel, który miał trzy tysiące czterysta kilometrów długości, ważył cztery tysiące pięćset ton i załadowany został na pokład „Great Eastern”. I ta próba nie powiodła się jednak.

Otóż 25 maja „Nautilus” znajdował się na głębokości trzech tysięcy ośmiuset trzydziestu sześciu metrów, dokładnie w miejscu gdzie nastąpiło pęknięcie kabla, co obróciło wniwecz całe przedsięwzięcie. Było to w odległości sześciuset trzydziestu ośmiu mil od wybrzeży Irlandii. O fakcie ustania komunikacji z Europą przekonano się o godzinie czternastej. Inżynierowie elektrycy na pokładzie postanowili przeciąć kabel i wyciągnąć go na statek; zostało to wykonane już o godzinie dwudziestej trzeciej. Uszkodzoną część spojono, po czym

kabel został ponownie zatopiony. W kilka dni później pękł jednak znowu i nie można już było wyłowić go z ogromnej głębi.

Amerykanie nie zniechęcili się jednak. Cyrus Field, śmiały projektodawca przedsięwzięcia, który postawił na kartę cały swój majątek, ogłosił nową subskrypcję powstającego towarzystwa akcyjnego. Cały kapitał został natychmiast subskrybowany. Zbudowano kabel, i to jeszcze lepszy: wiązkę drutów izolowanych osłonięto bawełnianą plecionką, uzbrojoną powłoką metalową, i powleczono gutaperką*. „Great Eastern" odpłynął ponownie 13 lipca 1866 roku.

Wszystko szło pomyślnie, ale wydarzył im się także nieprzyjemny incydent. Elektrotechnicy przy rozwijaniu kabla kilkakrotnie zauważyli gwoździe powbijane weń, niewątpliwie w celu uszkodzenia rdzenia. Kapitan Anderson, oficerowie i inżynierowie zebrali się, odbyli naradę i ogłosili, że jeżeli winowacja schwytany zostanie na pokładzie, wówczas bez sądu wrzucony będzie do morza. Od tej chwili zbrodniczy sabotaż nie powtórzył się więcej. 23 lipca „Great Eastern" był już tylko o osiemset kilometrów od Nowej Fundlandii, kiedy z Irlandii przetelegrafowano mu wiadomości o zawieszeniu broni, zawartym pomiędzy Prusami i Austrią po bitwie pod Sadową. 27 lipca, w czasie dużej mgły, statek wpłynął wreszcie do portu Hearfs Content. Trudne przedsięwzięcie zostało szczęśliwie ukończone, a pierwszą depeszą, jaką młoda Ameryka przesłała starej Europie, były mądre, a tak rzadko rozumiane słowa: „Chwała na wysokościach Panu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli".

Jak się tego spodziewałem, kabel nie był w takim stanie, w jakim opuścił zakłady, które go wyprodukowały. Długi wąż, pokryty szczątkami muszel i najeżony pierścienicami, był prawie cały zagrzebany w kamienistym szlamie, chroniącym go od groźnych mięczaków. Leżał spokojnie, nigdy nie miotany burzami morskimi, w odpowiednim ciśnieniu, które pozwalało iskrze elektrycznej na przebywanie drogi z Ameryki do Europy w ciągu trzydziestu dwóch setnych sekundy. Trwałość takiego kabla jest chyba nieskończona, zaobserwowano bowiem, że gutaperkowa powłoka utrwala się w wodzie morskiej.

Zresztą płaskowyż podmorski został wybrany o tyle szczęśliwie, że kabel nigdzie nie zapada się tak głęboko, aby mógł ulec pęknięciu. „Nautilus" zapuścił się za nim aż do największej głębokości, to jest do czterech tysięcy czterystu trzydziestu metrów. Kabel i tam leżał jeszcze bez żadnych oznak nadmiernego naprężenia. Potem podpłynęliśmy do miejsca, gdzie wydarzył się ów incydent w 1863 roku.

Dno oceanu kształtowało się tutaj w dolinę szerokości stu dwudziestu kilometrów, tak głęboko, że można by w niej ustawić Mont Blanc, a szczyt jego nie wystawałby nad powierzchnię morza. Dolinę tę zamyka od wschodu pionowa ściana wysokości dwóch tysięcy metrów. Dotarliśmy do niej 28 maja; „Nautilus" znajdował się wtedy zaledwie o sto pięćdziesiąt kilometrów od brzegów Irlandii.

Czyżby kapitan Nemo miał zamiar popłynąć na północ aż do wybrzeży Wielkiej Brytanii? Nie. Ku memu wielkiemu zdziwieniu skierował się na południe, ku wodom kontynentu europejskiego. W czasie okrążania Szmaragdowej Wyspy* widziałem przez chwilę przylądek Clear i latarnię morską Fastenet, która oświetla tysiące statków wypływających z portów Glasgow i Liverpool.

Narzucało się nieodparcie pytanie: czy „Nautilus" ośmieli się wpłynąć do kanału La Manche? Ned Land, który od momentu zbliżenia się do lądów porzucił swój żywot odludka, zamęczał mnie wprost wątpliwościami na ten temat. Cóż miałem mu odpowiedzieć? Kapitan Nemo był ciągle niewidzialny. Czyżby chciał mi teraz pokazać brzegi Francji tak, jak Kanadyjczykowi niedawno ukazał z daleka wybrzeża Ameryki?

---

* gutaperka — substancja podobna do kauczuku, produkowana z żywicy pewnego gatunku drzewa rosnącego na Sumatrze i sąsiednich wyspach. Używa się jej do wyrobu izolacji kabli elektrycznych, uszczelniaczy itp.

* Szmaragdowa Wyspa — poetycka nazwa Irlandii

Istotnie, „Nautilus” płynął ciągle na południe. 30 maja minął najdalej na zachód wysunięty cypel Anglii, przylądek Lands End oraz wyspy Scilly, które pozostawił za swą prawą burtą.

Jeśli miał zamiar wpłynąć do kanału La Manche, byłoby trzeba teraz skierować się prosto na wschód. Tak się jednak nie stało.

Przez cały dzień 31 maja „Nautilus” zataczał po morzu tajemnicze kręgi. Zdawał się szukać jakiegoś miejsca, niełatwego do odnalezienia. W południe kapitan Nemo wyszedł osobiście ustalić położenie. Nie odezwał się do mnie nawet słowem. Wydał mi się tak chmurny, jak nigdy. Cóż mogło go tak przygnębić? Czy może bliskość wybrzeży Europy? Może ogarniały go jakieś wspomnienia w związku z porzuconą ojczyzną? Co odczuwał: wyrzuty sumienia czy żal? Długo się nad tym zastanawiałem, doznając jakby przeczucia, że przypadek wkrótce odsłoni tajemnicę tego człowieka.

Nazajutrz, 1 czerwca, „Nautilus” nie zmieniał sposobu manewrowania. Jasne było, że szuka jakiegoś określonego punktu na oceanie. Kapitan Nemo, tak jak wczoraj, wyszedł zmierzyć wysokość słońca. Morze było spokojne, niebo czyste. O osiem mil na wschód widać było na horyzoncie duży parowiec. Nie powiewała na nim żadna bandera, nie mogłem więc rozpoznać, do jakiego państwa należał.

Na kilka minut przed maksymalnym wzniesieniem się słońca nad południkiem, kapitan Nemo wziął sekstans i przeprowadzał obserwacje z niezwykłą ścisłością. Zupełna cisza na morzu ułatwiała jego czynności. Byłem właśnie na pokładzie. Nieruchomy „Nautilus” nie kołysał się ani wzdłuż swej osi, ani na boki. Po ustaleniu położenia kapitan wypowiedział tylko dwa słowa:

— To tutaj!

I zeszedł do wnętrza. Czy zauważył ów statek, który zmieniał kurs i zdawał się zbliżać do nas? Nie mam pojęcia.

Wróciłem do salonu. Klapa włazu zatrzasnęła się i usłyszałem świst wody wchodzącej do zbiorników. „Nautilus” zaczął zagłębiać się po linii pionowej, zahamowana śruba nie nadawała mu żadnego ruchu poziomego. Po kilku minutach statek nasz osiadł na dnie, na głębokości ośmiuset trzydziestu trzech metrów.

Wtedy zgasł świetlny sufit salonu, rozsunęły się stalowe ściany i przez szybę ujrzałem morze oświetlone na przestrzeni pół mili promieniami naszego reflektora. Po lewej stronie nie dostrzegłem nic, poza bezmiarem spokojnych wód.

Po prawej natomiast stronie, w głębi, zwróciła moją uwagę jakaś znaczna wypukłość. Było to coś jakby ruiny, okryte masą białawych muszel niby śnieżnym płaszczem. Gdy przyjrzałem się uważniej tym niewyraźnym kształtom, rozpoznałem z trudem zgrubiałe zarysy okrętu pozbawionego masztów, który zatonął prawdopodobnie dziobem. Katastrofa ta wydarzyć się musiała już bardzo dawno, powleczone wapiennym osadem szczątki spoczywały na pewno wiele lat na dnie oceanu. Co to był za statek? W jakim celu „Nautilus” odwiedzał teraz jego grobowiec? Czy nie burza była tu przyczyną zatonięcia?

Nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić; w tej chwili usłyszałem za sobą głos kapitana Nemo mówiącego bardzo powoli:

— Ten okręt nazywał się początkowo „Marsylianin”. Uzbrojony w siedemdziesiąt cztery działa, spuszczony został na wodę w 1762 roku. 13 sierpnia 1778 roku pod dowództwem admirała La Poype–Vertrieux walczył mężnie przeciwko okrętowi „Preston”. 4 lipca 1779 roku wraz z eskadrą admirała d’Estaing brał udział w zdobyciu Grenady. 5 września 1781 roku uczestniczył w bitwie hrabiego de Grasse w zatoce Chesapeake. W roku 1794 Republika Francuska* zmieniła jego nazwę. 16 kwietnia tego roku połączył się w porcie Brest z eskadrą admirała Villaret de Joyeuse, która miała konwojować transport zboża, płynącego z Ameryki

* W roku 1794 Republika Francuska… — w 1789 r. wybuchła we Francji rewolucja burżuazyjna, która obaliła ustrój feudalny. We wrześniu 1792 r. Francja została ogłoszona republiką i była nią aż do zamachu stanu Napoleona Bonaparte, który w 1804 r. ogłosił się cesarzem

pod dowództwem admirała Van Stabel. 11 i 12 miesiąca prairiala roku II* eskadra ta natknęła się na wojenne okręty angielskie. Panie profesorze, mamy dziś 13 prairiala, czyli 1 czerwca 1868 roku. Siedemdziesiąt cztery lata temu, dokładnie tego samego dnia i w tym samym miejscu, pod 47°24' szerokości i 17°28' długości, okręt ten, po bohaterskiej walce, pozbawiony wszystkich trzech masztów, zalany wodą pod pokładem, utraciwszy trzecią część załogi, wolał zatonąć wraz z trzystu pięćdziesięcioma sześcioma marynarzami, niż się poddać. Przybiwszy na rufie swoją flagę, zniknął pod wodą z okrzykiem: „Niech żyje Republika!"

— To „Mściciel"! — domyśliłem się.

— Tak, panie profesorze, „Mściciel" — odparł kapitan. — Piękna nazwa… — wyszeptał po chwili, krzyżując na piersiach ramiona.

* …miesiąca prairiala roku II —w 1793 r. rewolucyjny rząd Francji wprowadził w życie wiele reform, a między innymi — nowy kalendarz. Poetyckie nazwy miesięcy w tym kalendarzu odpowiadały właściwościom pór roku (np. prairial oznaczał miesiąc łąk, brumaire — miesiąc mgieł itp.). Lata liczono od daty ogłoszenia republiki francuskiej, tzn. od września 1792 r. Prairial roku II przypadał zatem na wiosnę 1794 r.

Rozdział XXI
Hekatomba*

Głęboko wzruszyło mnie odezwanie się kapitana. Nagłość całej tej sceny, dzieje heroicznego okrętu, zimny początkowo ton opowiadania, a potem widoczne wzruszenie, z jakim dziwny ten człowiek wypowiedział ostatnie słowa, wreszcie sama nazwa — „Mściciel” — którą dobrze zrozumiałem, dały mi do myślenia. Nie spuszczałem wzroku z kapitana. Stał z wyciągniętymi rękami i płonącymi oczyma wpatrywał się w bohaterskie szczątki. Być może, nigdy nie miałem się dowiedzieć, kim on był, skąd pochodził, dokąd dążył; jednak uczony ów coraz wyraźniej stawał się w moich oczach człowiekiem. Nie mizantropia zamknęła kapitana Nemo wraz z towarzyszami w stalowych ścianach „Nautilusa”, nie zwykłe pragnienie samotności, ale jakaś straszliwa, potężna i wzniosła nienawiść, której nawet czas nie zdołał osłabić.

Czy nienawiść ta pragnęła jeszcze zemsty? Przyszłość miała mi na to odpowiedzieć.

Tymczasem „Nautilus” wznosił się z wolna ku powierzchni morza. Widziałem, jak niewyraźne kształty „Mściciela” zacierały się i znikały. Wkrótce poznałem po delikatnym kołysaniu się statku, że jesteśmy na falach. W tym momencie dał się słyszeć głuchy huk. Spojrzałem na kapitana. Ani drgnął.

— Panie kapitanie!

Nie odpowiedział. Wyszedłem i udałem się na pokład. Conseil i Ned Land już tam byli.

— Skąd ta detonacja? — spytałem.

Spojrzałem w kierunku statku zauważonego już poprzednio. Zbliżył się był do „Nautilusa” i widać było, że dodawał pary. Oddzielały go od nas mniej więcej trzy mile.

— Wystrzał armatni — odpowiedział Ned Land.

— A cóż to za statek, Nedzie?

— Z ożaglowania i wysokości masztów widać, że to okręt wojenny — odparł Kanadyjczyk. — Ach, jakbym chciał, żeby na nas napadł i zatopił tego przeklętego „Nautilusa”!

— Mój drogi Nedzie! — odezwał się Conseil. — Cóż taki okręt może zrobić „Nautilusowi”? Czy będzie go ścigał pod wodą? Czy może zbombarduje go w bezdennych otchłaniach?

— Powiedzcie no, Nedzie — rzekłem — czy nie możecie rozpoznać narodowości tego okrętu?

Kanadyjczyk zmarszczył brwi, zmrużył powieki, zwęził oczy i przez kilka chwil wpatrywał się w statek, wysilając całą bystrość swego wzroku.

— Nie, panie profesorze — odparł wreszcie. — Nie potrafię określić, do jakiego kraju należy. Nie wywiesił bandery. Ale pewien jestem, że to okręt wojenny, bo na szczycie głównego masztu powiewa długi proporzec.

Przez cały kwadrans obserwowaliśmy zbliżający się do nas statek. Co prawda nie przypuszczałem, aby z tej odległości dojrzał już „Nautilusa”, a tym bardziej rozpoznał, że to jest statek podwodny. Wkrótce Kanadyjczyk oświadczył, że okręt ten to wielki pancernik dwupokładowy z ostrogą. Z obu jego kominów buchały kłęby czarnego dymu. Z daleka zwinięte żagle zlewały się z linią rej; na przednim maszcie nie było żadnej flagi. Odległość nie pozwalała jeszcze rozróżnić barw proporca, który powiewał jak wąska wstążeczka na wietrze. Okręt płynął szybko. Jeśliby kapitan Nemo pozwolił mu się zbliżyć, otwierała się przed nami szansa ucieczki.

---

* str. 415. hekatomba — w starożytnej Grecji uroczysta ofiara ze stu wołów składana bogom. W przenośni używa się tego wyrazu dla określenia wydarzenia (np. bitwy), w którym ginie naraz wiele ludzi

— Panie profesorze — rzekł Ned Land — jeżeli ten okręt zbliży się do nas na milę, skaczę w morze i radzę panu zrobić to samo.

Nie odpowiedziałem na tę propozycję Kanadyjczyka i wpatrywałem się dalej w okręt, który rósł w oczach. Obojętne, czy był to pancernik angielski, francuski, amerykański czy rosyjski — przyjąłby nas na pewno, gdyby tylko udało się nam dostać na jego pokład.

— Zechce sobie pan profesor przypomnieć — odezwał się Conseil — że w pływaniu mamy już nieco wprawy. Troskę o dotarcie do okrętu zechce pan profesor złożyć całkowicie na mnie, jeżeli oczywiście odpowiada panu profesorowi projekt naszego kochanego Neda.

Już zamierzałem odpowiedzieć, kiedy z dzioba okrętu wytrysnął biały obłoczek. W kilka sekund potem tył „Nautilusa" zbryzgany został wodą, którą wzburzył upadek czegoś ciężkiego. Po chwili usłyszałem detonację.

— Jak to? — zdumiałem się. — Strzelają do nas!

— Morowe chłopy! — mruknął Ned Land.

— A zatem nie uważają nas wcale za rozbitków, uczepionych szczątka rozbitego statku!

— Za pozwoleniem pana profesora… Hm! — Conseil strzepnął z siebie wodę, która bryznęła od nowego pocisku. — Za pozwoleniem pana profesora, oni poznali narwala i do narwala właśnie strzelają.

— Ale przecież widzą na pewno, że mają do czynienia z ludźmi ! — zawołałem.

— Może właśnie dlatego strzelają! — powiedział Ned Land i spojrzał na mnie spokojnie.

Umysł mój doznał nagłego olśnienia. Oczywiście, przecież dowiedziano się już, co sądzić o istnieniu rzekomego potwora! Kiedy „Abraham Lincoln" zderzył się z „Nautilusem", kiedy Ned Land ugodził weń harpunem, kapitan Farragut na pewno poznał, że narwal jest właściwie statkiem podwodnym, stokroć niebezpieczniejszym od kolosalnego wieloryba! Naturalnie! Na pewno tak było — i teraz ściga się po wszystkich morzach to straszliwe narzędzie zniszczenia!

A było ono istotnie straszliwe, jeżeli, jak należało przypuszczać, kapitan Nemo używał „Nautilusa" do swojego dzieła zemsty. Czyż wtedy, na pełnym Oceanie Indyjskim, kiedy nas zamknął w celi i uśpił, nie zaatakował jakiegoś okrętu? Czy ów człowiek, spoczywający teraz na koralowym cmentarzu, nie był ofiarą wstrząsu, jakiemu uległ „Nautilus" z tego powodu? Ależ tak, na pewno! Na pewno tak było! Odkryliśmy tedy część tajemnicy kapitana Nemo. I choć nie ustalono, kim jest, to jednak sprzymierzone przeciw niemu państwa ścigały teraz już nie jakieś chimeryczne i tajemnicze stworzenie, ale człowieka; człowieka, który poprzysiągł im nieubłaganą nienawiść!

Straszliwa ta przeszłość stanęła mi teraz przed oczami. Zamiast więc, znaleźć przyjaciół na zbliżającym się okręcie, mogliśmy się tylko natknąć na bezlitosnych wrogów.

Tymczasem wokół nas pociski padały coraz liczniej. Niektóre odbijały się rykoszetem od powierzchni wody i wpadały w morze daleko od nas. Żaden jednak nie trafił w „Nautilusa".

Pancernik był już od nas nie dalej niż o trzy mile. Mimo gwałtownej kanonady kapitan Nemo nie ukazywał się na pokładzie. A przecież, gdyby choć jeden taki stożkowaty pocisk uderzył wprost w kadłub „Nautilusa", skończyłoby się to fatalnie.

— Panie profesorze — odezwał się Kanadyjczyk — musimy zrobić wszystko, żeby wydostać się z tej opresji. Dawajmy znaki! Przecież, do tysiąca diabłów, zrozumieją tam chyba, że jesteśmy porządnymi ludźmi!

Wyciągnął chusteczkę, aby zamachać nią w powietrzu. Jednak nie zdążył jej nawet rozłożyć, kiedy jakaś żelazna ręka zgniotła go tak, że mimo swej ogromnej siły, upadł na pomost.

— Ty nędzniku! — wołał kapitan. — Czy chcesz, żebym cię przymocował do ostrogi „Nautilusa" i dopiero potem przeszył nią ten okręt?

Straszny był głos, ale jeszcze straszniejszy był widok kapitana. Twarz mu pobladła od skurczu serca, które chyba przestało bić na chwilę. Źrenice zwęziły mu się straszliwie. Głos

jego nie był już mową, lecz po prostu rykiem. Pochylony do przodu, gniótł żelazną dłonią kark Kanadyjczyka. Potem puścił go, odwrócił się w stronę wojennego okrętu, którego pociski padały wokół, i potężnym swym głosem zawołał:

— Więc już wiesz, kim ja jestem, służalcze przeklętych tyranów! Ja także nie potrzebowałem twojej bandery, aby cię rozpoznać! Patrz! Pokażę ci moją!

I zatknął na przodzie statku czarną flagę, taką samą, jaką rozwinął na biegunie południowym. W tej chwili pocisk uderzył w kadłub „Nautilusa”, nie uszkadzając go odbił się rykoszetem, przeleciał obok kapitana i znikł gdzieś daleko w morzu. Kapitan Nemo wzruszył ramionami. Potem zwrócił się do mnie i rzekł krótko:

— Proszę zejść! Niech pan zejdzie razem z pańskimi towarzyszami!

— Panie kapitanie! — wykrzyknąłem. — Więc pan zaatakuje ten okręt?

— Zatopię go, panie profesorze.

— Nie zrobi pan tego!

— Zrobię! — odparł zimno kapitan Nemo. — Proszę nie próbować osądzać mego kroku, panie profesorze. Fatalny los zechciał, aby pan zobaczył to, czego pan widzieć nie powinien. Wymierzono mi cios, odparuję go w straszliwy sposób. Proszę zejść do wnętrza !

— Co to za okręt?

— Nie wie pan? W takim razie — tym lepiej! Niech przynajmniej jego narodowość pozostanie dla pana tajemnicą. Proszę zejść!

Nie mogliśmy się opierać — ani Kanadyjczyk, ani Conseil, ani ja. Kapitana otaczało z piętnastu marynarzy „Nautilusa”; spoglądali oni na zbliżający się okręt z nieubłaganą nienawiścią. Czuło się wprost, że wszystkie te dusze ogarniała żądza zemsty. Kiedy schodziłem, inny pocisk otarł się o kadłub „Nautilusa” i dosłyszałem jeszcze, jak kapitan Nemo zawołał:

— Strzelaj, głupcze! Ciskaj i marnuj pociski! Dosięgnie cię ostroga „Nautilusa”! Ale nie zginiesz w tym miejscu. Nie życzę sobie, aby szczątki twoje pomieszały się z czcigodnymi szczątkami „Mściciela”!

Wróciłem do swej kabiny. Kapitan z porucznikiem zostali na pokładzie. Śruba poszła w ruch i „Nautilus” oddalił się szybko poza zasięg kul pancernika. Pościg nie ustał, jednak kapitan Nemo utrzymywał niezmienną odległość od okrętu.

Około godziny szesnastej nie potrafiłem już utrzymać w ryzach mego niepokoju i zniecierpliwienia; podszedłem ku środkowym schodom. Klapa włazu była otwarta. Zaryzykowałem i wyszedłem na pokład. Kapitan wciąż jeszcze przechadzał się tam nerwowym krokiem. Spoglądał na okręt znajdujący się w odległości pięciu lub sześciu mil na podwietrznej. Krążył wokół niego jak dziki zwierz, pozwalając się ścigać i pociągając go za sobą na wschód. Nie atakował jednak. Może się namyślał. Postanowiłem jeszcze raz interweniować. Zaledwie jednak się odezwałem, kapitan Nemo nakazał mi milczenie.

— Ja tu jestem prawem, ja tu wymierzam sprawiedliwość — oświadczył. — Jestem prześladowany, a to jest mój prześladowca. Przez niego przepadło wszystko, com kiedykolwiek kochał, czcił i wielbił: ojczyzna, żona, dzieci, ojciec, matka! Wszystko to, czego nienawidzę jest — tam! Proszę milczeć!

Jeszcze raz rzuciłem okiem na pancernik, który właśnie dodawał pary. Potem poszedłem do Neda i Conseila.

— Uciekniemy — rzekłem mocno.

— Dobra! — zawołał Ned. — Co to za okręt?

— Nie mam pojęcia; ale bez względu na to, zostanie zatopiony jeszcze dzisiaj. Tak czy owak, lepiej zginąć, niż zostać współwinnym jakiejś zemsty, której słuszności nie sposób zbadać.

— Tak i ja sądzę — odparł chłodno Ned Land. — Poczekajmy do nocy.

Noc nadeszła, a wraz z nią głęboka cisza na pokładzie. Kompas wskazywał, że „Nautilus”

nie zmieniał kierunku.

Słychać było, jak śruba jego biła fale szybko i regularnie. Płynął po powierzchni morza i tylko lekkie kołysanie przechylało go to na jeden bok, to na drugi.

Towarzysze moi i ja postanowiliśmy uciekać w chwili, w której okręt zbliży się tak dalece, że będzie nas można z niego usłyszeć albo nawet zobaczyć, księżyc bowiem, będący na trzy dni przed pełnią, świecił wspaniale. Z chwilą znalezienia się na pokładzie pancernika zdołamy przestrzec go przed grożącym mu straszliwym ciosem, a w każdym razie zrobimy wszystko, na co tylko pozwolą nam okoliczności. Wielokrotnie sądziłem już, że „Nautilus" gotuje się do ataku. On jednak pozwalał tylko zbliżyć się przeciwnikowi, po czym natychmiast uciekał dalej.

Część nocy przeszła w ten sposób bez żadnego wypadku. Czekaliśmy dogodnej chwili. Na ogół milczeliśmy wskutek silnego zdenerwowania. Ned Land rad by już był skoczyć w morze, ale powstrzymywałem go siłą. Sądziłem, że „Nautilus" zaatakuje dwupokładowy pancernik na powierzchni morza, co nie tylko umożliwiłoby nam, ale nawet ułatwiło ucieczkę.

O trzeciej w nocy wyszedłem z niepokojem w sercu na pokład. Kapitan Nemo był tam cały czas. Stał na samym dziobie pod flagą, którą lekki wiatr rozwijał nad jego głową. Nie spuszczał oczu z okrętu. Wzrok jego zdawał się z niebywałą intensywnością przyzywać, fascynować, ciągnąć pancernik pewniej, niż gdyby to robił jakiścholownik!

Księżyc świecił wysoko, na wschodzie błyszczał Jowisz. W tej ciszy całej przyrody niebo i ocean zdawały się prześcigać wzajemnie spokojem, a morze było jednym wspaniałym zwierciadłem, w którym przeglądał się księżyc. I naprawdę, kiedy pomyślałem o tym głębokim spokoju żywiołów, a jednocześnie o straszliwej nienawiści i namiętnościach tlących w nieprzeniknionym łonie „Nautilusa", zadrżałem. Okręt był teraz oddalony od nas o dwie mile. Zbliżył się płynąc ciągle ku fosforyzującemu blaskowi, który określał położenie „Nautilusa". Widać już było jego światła pozycyjne, czerwone i zielone, oraz biały reflektor na więzi przednika. Niewyraźny blask oświecał całe olinowanie, co dowodziło, że kotły rozpalone były do ostateczności. Buchające z kominów snopy iskier i rozżarzone drobiny węgla rozświetlały powietrze.

Pozostałem na pokładzie do szóstej rano. Kapitan Nemo zdawał się mnie nie widzieć. Pancernik znajdował się już o półtorej mili od nas i z pierwszym brzaskiem wznowił kanonadę. Niedaleka już była chwila, w której „Nautilus" zaatakuje swego przeciwnika, a ja i moi towarzysze opuścimy na zawsze tego człowieka, którego nie ważyłem się potępić.

Miałem właśnie zamiar zejść i dać im sygnał do działania, kiedy na pomost wyszedł porucznik w towarzystwie kilkunastu marynarzy. Kapitan Nemo nie widział ich albo nie chciał widzieć. Dokonano krótkich czynności, które nazwałbym „przygotowaniem bojowym" „Nautilusa". Były one bardzo proste. Opuszczono balustradę biegnącą wokół pomostu. Również klatka z reflektorem i kabina sternika wciągnięte zostały do wnętrza kadłuba tak, że zaledwie wystawały. Nic już zatem nie było na powierzchni tego długiego, stalowego cygara; usunięto wszystko, co mogłoby przeszkadzać jego ruchom.

Wróciłem do salonu. „Nautilus" pozostawał wciąż jeszcze na powierzchni wody. Toń morską oświetlać zaczęły pierwsze blaski poranka. Przy pewnych, kołyszących ruchach fal, szyby płonęły czerwienią wschodzącego słońca. Tak nadchodził ów straszny dzień 2 czerwca. O piątej rano log wskazał, że szybkość „Nautilusa" zaczęła się zmniejszać. Zrozumiałem, że pozwalał się dościgać. Zresztą huk dział słychać było coraz silniej. Pociski orały wodę dokoła naszego statku, wpadając w nią z charakterystycznym świstem.

— Moi kochani! — odezwałem się. — Chwila nadeszła! Podajmy sobie ręce i niech nas Bóg ma w opiece!

Ned Land był zdecydowany, Conseil spokojny, mnie zaś opanowało takie wzburzenie, że ledwo sobą władałem. Przeszliśmy do biblioteki. W chwili gdy otwierałem drzwi prowadzące

do głównych schodów, usłyszałem zamykającą się nagle klapę włazu. Znany świst oznajmił, że do zbiorników wchodziła już woda. Rzeczywiście, po kilku chwilach „Nautilus” zanurzył się na głębokość kilku metrów pod powierzchnią morza.

Zrozumiałem. Na ucieczkę było już za późno. „Nautilus” nie zamierzał wcale uderzać przeciwnika w pancerz, ale tam, gdzie stalowe blachy nie chronią już kadłuba, a więc pod linią zanurzenia. Byliśmy znowu więźniami, przymusowymi świadkami gotującego się dramatu. Zresztą nie było już czasu do namysłu. Skupiliśmy się wszyscy trzej w mojej kabinie i patrzyliśmy na siebie bez słowa. Odeszła mnie całkowicie wszelka zdolność myślenia. Znajdowałem się w owym przykrym stanie, który poprzedza zwykle spodziewaną detonację. Czekałem, słuchałem. Zamieniłem się cały w słuch.

Tymczasem szybkość „Nautilusa” wzrosła. Najwidoczniej rozpędzał się. Cały jego kadłub drgał. Nagle krzyknąłem. Poczułem wstrząs, może nawet niezbyt mocny. Pojąłem, że stalowa ostroga wbija się w coś z szaloną siłą, usłyszałem zgrzyt i gwałtowne trzeszczenie. To „Nautilus” siłą swojego rozpędu przeszył kadłub pancernika na wylot jak igła płótno!

Nie wytrzymałem. Oszalały, nieprzytomny, przerażony, wyskoczyłem z kabiny i wpadłem do salonu. Był tam już kapitan Nemo. W milczeniu, chmurny, nieubłagany, spoglądał przez szybę z lewej strony. Olbrzymia masa zapadała się w wodę, a „Nautilus”, chcąc być obecny przy tej agonii zstępował razem z nią w otchłań oceanu. W odległości dziesięciu może metrów ujrzałem straszliwie rozdarty kadłub, do którego wlewała się woda hucząc jak grzmot; wyżej dojrzałem rząd dział i parapety ochronne. Na pokładzie uwijały się czarne sylwetki ludzi. Woda wdzierała się coraz wyżej. Nieszczęśnicy wspinali się po drabinkach, czepiali masztów, miotali pod wodą. Istne mrowisko ludzkie zalewane przez morze!

Patrzyłem wciąż! Sparaliżowany, zesztywniały z bólu, ze zjeżonym włosem, z rozszerzonymi oczami, bez tchu i oniemiały, patrzyłem uparcie! Jakaś nieprzeparta moc trzymała mnie przy szybie.

Ogromny okręt zagłębiał się z wolna. „Nautilus” opuszczał się z nim razem, śledząc wszystkie jego ruchy. Nagle nastąpiła eksplozja. Sprężone powietrze rozsadziło pokłady pancernika, jakby w prochowni wybuchł pożar. Pęd wody był tak silny, że „Nautilus” odskoczył, odepchnięty. Od tej chwili nieszczęsny okręt zagłębiał się coraz szybciej. Ukazały się drabinki, całe obwieszone skazańcami, potem reje uginające się pod ciężarem ludzi, wreszcie szczyt głównego masztu. A potem owa czarna masa znikła w otchłani i razem z nią cała ta załoga trupów wciągniętych straszliwym wirem…

Odwróciłem się i spojrzałem na kapitana Nemo. Ten nieubłagany sędzia, istny archanioł nienawiści, patrzył ciągle.

Kiedy już było po wszystkim, skierował się ku drzwiom swej kabiny, otworzył je i wszedł. Śledziłem go wzrokiem.

W głębi, na ścianie, nad wizerunkami bohaterów, ujrzałem portret młodej jeszcze kobiety z dwojgiem małych dzieci.

Kapitan Nemo przez kilka chwil wpatrywał się w obraz, potem wyciągnął ku niemu ręce, ukląkł i głośno załkał.

Rozdział XXII
Ostatnie słowa kapitana Nemo

Po tym straszliwym widowisku stalowe ściany zasunęły się, ale salon pozostał nie oświetlony. We wnętrzu „Nautilusa” zapanowały ciemności i milczenie. Statek z potworną szybkością opuszczał arenę zniszczenia. Dokąd płynął? Na północ czy na południe? Dokąd uciekał ten człowiek po wypełnieniu straszliwej zemsty? Wróciłem do swej kabiny, gdzie Ned i Conseil czekali na mnie w milczeniu. Do kapitana Nemo odczuwałem niepohamowaną odrazę. Bez względu na to, ile wycierpiał ze strony ludzi — nie miał prawa karać ich w ten sposób. Uczynił przy tym ze mnie jeżeli nie wspólnika, to w każdym razie świadka tej zemsty. Tego już było za wiele.

O jedenastej rozbłysło znowu światło elektryczne. Przeszedłem do salonu. Był pusty. Spojrzałem na instrumenty pokładowe. „Nautilus” uciekał na północ z szybkością dwudziestu pięciu mil na godzinę, już to po powierzchni morza, już to na trzydzieści stóp pod nią. Ujrzałem na mapie, że przepłynęliśmy naprzeciwko kanału La Manche i mknęliśmy ku morzom północnym.

Do wieczora przebyliśmy już dwieście mil Atlantyku. Zapadł zmrok i aż do wschodu księżyca morze osnuły ciemności. Wróciłem do swej kabiny. Nie mogłem jednak zasnąć. Opadły mnie jakieś koszmary. W umyśle moim tkwił uparcie przez cały czas obraz straszliwej sceny zniszczenia.

Nikt nie potrafiłby określić, po jakich okolicach północnego Atlantyku pędził z nami „Nautilus” od owego dnia. Wciąż z nieopisaną szybkością, wciąż wśród mgieł podbiegunowych! Może dotarliśmy do krańców Spitsbergenu, może do brzegów Nowej Ziemi? Może błądziliśmy po nieznanych wodach Morza Białego, Morza Karskiego, ujścia rzeki Ob, archipelagu Wysp Nowosyberyjskich i nieznanych wybrzeży azjatyckich? Nie miałem pojęcia. Czas płynął, ale nie potrafiłbym go określić. Na statku pozatrzymywano zegary. Wydawało się, że, podobnie jak w krajach polarnych, dzień i noc przestały po sobie następować. Czułem, że wkroczyłem w dziedzinę Nieznanego, gdzie swobodnie poruszać się potrafiła jedynie nieokiełznana wyobraźnia Edgara Poe.

Ta obłędna podróż trwała — być może, że się mylę — około dwóch tygodni lub dwudziestu dni i nie wiem, jak długo trwałaby jeszcze, gdyby nie katastrofa, która ją zakończyła. Kapitan Nemo jak gdyby znikł; z nim razem i porucznik. Żaden z członków załogi nie ukazał się ani na chwilę. „Nautilus” płynął prawie cały czas pod wodą. Kiedy wypływał na powierzchnię, aby odświeżyć powietrze wnętrza, klapa otwierała się i zamykała automatycznie. Zaprzestano nanosić na mapę położenie statku. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy.

Muszę również wspomnieć, że i Kanadyjczyk przestał się pokazywać, będąc u kresu swych sił i cierpliwości. Conseil nie potrafił wyciągnąć z niego ani słowa i obawiał się, że Ned targnie się na własne życie w przystępie szału wywołanego potworną nostalgią. Czuwał więc nad nim stale z całym poświęceniem. Łatwo zrozumieć, że w tych warunkach nasza sytuacja stała się nie do zniesienia.

Pewnego ranka — nie potrafiłbym określić daty — zasnąłem tuż przed świtem i drzemałem tak w męczącym i chorobliwym półśnie. Kiedy się obudziłem, ujrzałem schylającego się nade mną Neda i usłyszałem jego szept: — Uciekajmy!

Usiadłem.

— Kiedy? — spytałem.

— Najbliższej nocy. Zdaje się, że na „Nautilusie” zamarła wszelka czujność. Można by powiedzieć, że ogarnęło wszystkich zupełne odrętwienie. Czy pan jest gotów, panie profesorze?

— Oczywiście. Gdzie jesteśmy?

— W każdym razie widać jakąś ziemię. Zobaczyłem ją w mgłach, w odległości jakichś dwudziestu mil na wschód.

— Co to za ziemia?

— Nie mam pojęcia. Schronimy się tam jednak, cokolwiek by to było.

— Naturalnie, Nedzie. Uciekniemy tej nocy, choćby nas morze miało pochłonąć.

— Morze bardzo wzburzone, wiatr silny, ale dwadzieścia mil do przebycia w lekkiej łodzi „Nautilusa" to nie takie straszne. Zdołałem przenieść do niej trochę żywności i kilka butelek słodkiej wody. Nikt mnie nie widział.

— Pójdę z wami!

— A zresztą — dodał Kanadyjczyk — jeśli mnie nakryją, będę się bronił i niech mnie nawet zatłuką.

— Zginiemy razem, kochany przyjacielu!

Byłem na wszystko zdecydowany. Kanadyjczyk znikł. Wyszedłem na pokład, gdzie ledwo mogłem ustać pod naporem przelewających się fal. Niebo było groźne, musieliśmy jednak uciekać, póki za tymi grubymi mgłami leżała ziemia. Nie mogliśmy stracić ani jednego dnia, ani jednej godziny.

Wróciłem do salonu, życząc sobie i zarazem obawiając się spotkania z kapitanem Nemo; chciałem go zobaczyć, a jednocześnie nie chciałem. Cóż bym mu powiedział? Czy potrafiłbym ukryć zgrozę, jaką we mnie budził mimo woli? Nie, nie, lepiej nie spotkać się już z nim twarzą w twarz! Zapomnieć o nim! A przecież!…

Jakże długi wydał mi się ten dzień, ostatni, jaki miałem spędzić na pokładzie „Nautilusa". Byłem sam. Ned Land i Conseil unikali rozmowy ze mną, aby się przypadkiem nie zdradzić. O szóstej zjadłem kolację, choć nie byłem głodny. Mimo wstrętu zmuszałem się do jedzenia, aby nie osłabnąć. O pół do siódmej przyszedł do mnie Ned Land i powiedział:

— Już się nie zobaczymy przed odjazdem. O dziesiątej, zanim wzejdzie księżyc, skorzystamy z ciemności. Proszę przyjść do łodzi. Conseil i ja będziemy tam czekać na pana. To rzekłszy wyszedł nie dając mi nawet czasu na odpowiedź. Chcąc sprawdzić kierunek „Nautilusa" poszedłem do salonu. Znajdowaliśmy się na głębokości pięćdziesięciu metrów, pędząc z przerażającą szybkością na północny wschód.

Po raz ostatni rzuciłem okiem na cuda przyrody i arcydzieła sztuki nagromadzone w tym muzeum, na ową, nie mającą sobie równej, kolekcję, która miała pewnego dnia zapaść się w morze wraz ze swym twórcą. Pragnąłem utrwalić w umyśle te nieporównane wrażenia. Spędziłem tak całą godzinę, skąpany w blaskach świetlnego sufitu, zajęty przeglądaniem wszystkich skarbów połyskujących w gablotach. Potem powróciłem do kabiny.

Włożyłem na siebie mocne i ciepłe ubranie. Pozbierałem wszystkie notatki i starannie schowałem na piersiach. Serce tłukło się we mnie tak mocno, że bezskutecznie starałem się je uspokoić. Ten mój niepokój i podniecenie z pewnością zdradziłyby mnie w oczach kapitana Nemo.

Co się z nim teraz działo? Przyłożyłem ucho do drzwi jego kabiny. Usłyszałem kroki. Był więc u siebie i nie spał. Zdawało mi się, że lada chwila ukaże mi się i zapyta, dlaczego chcę uciekać. Bez przerwy odczuwałem nerwowy stan alarmu. Powiększała go wyobraźnia. Uczucie to stało się wreszcie tak natarczywe, że zacząłem się zastanawiać, czyby nie było lepiej wejść po prostu do pokoju kapitana, stanąć przed nim oko w oko i pokazać gestem i wzrokiem, że się go nie boję!

Wszystko to były myśli szaleńca. Na szczęście zapanowałem nad sobą i wyciągnąłem się na łóżku, aby uspokoić drżenie ciała. Nerwom przyniosło to ulgę, ale przez mój podniecony umysł przeleciało błyskawiczne wspomnienie całej mojej przeszłości na pokładzie „Nautilusa", wszystkich szczęśliwych i nieszczęśliwych wydarzeń od chwili naszego zniknięcia z „Abrahama Lincolna": polowania podmorskie, Cieśnina Torresa, dzicy na

wyspach w pobliżu Nowej Gwinei, koralowy cmentarz, tunel pod Suezem, wyspa Santoryn, tajemniczy nurek z Krety, zatoka Vigo, Atlantyda, ławica lodowa, biegun południowy, uwięzienie pod lodem, walka z ośmiornicami, burza na wodach Prądu Zatokowego, „Mściciel” i wreszcie ta straszliwa scena zatopienia okrętu wraz z całą załogą!… Wszystkie wydarzenia przesuwały się teraz przed moimi oczami niczym płócienne dekoracje przesuwane w teatrze. W tym przedziwnym środowisku kapitan Nemo urastał do nieprawdopodobnych rozmiarów. Osobowość jego przybierała nadludzkie proporcje. Nie był to już mój bliźni, ale jakiś stwór otchłani wodnych, geniusz morza!

Było pół do dziesiątej. Musiałem obiema rękami trzymać się za głowę; zdawało mi się, że pęka. Zamknąłem oczy — nie chciałem myśleć. Jeszcze pół godziny czekania! Pół godziny koszmarów i widziadeł doprowadzających mnie do szaleństwa. W tej chwili usłyszałem dźwięk organów. Minorowe akordy przy nieokreślonej melodii były prawdziwą skargą duszy pragnącej zerwać więzy łączące ją ze światem doczesnym. Słuchałem wszystkimi zmysłami, bojąc się odetchnąć; tak jak kapitan, zatopiłem się w ekstazie muzycznej, która potrafiła przenosić go poza granice tego świata.

Nagle straszna myśl przemknęła mi przez głowę. Kapitan Nemo wyszedł ze swego pokoju. Był teraz w salonie, przez który musiałem przejść. A zatem spotkam go jeszcze raz! Zobaczy mnie, może przemówi! Jeden jego gest mógł mnie unicestwić, jedno słowo — przykuć do „Nautilusa” na zawsze! Tymczasem zbliżała się dziesiąta. Nadchodziła chwila, w której musiałem wyjść ze swej kabiny, aby połączyć się z towarzyszami.

Nie było co się namyślać, choćby nawet kapitan Nemo stanął przede mną. Ostrożnie otworzyłem drzwi; wydało mi się, że zawiasy skrzypnęły okropnie, ale może hałas ten powstał tylko w mojej wyobraźni.

Przeczołgałem się przez ciemne korytarze „Nautilusa”, zatrzymując się co krok, aby stłumić uderzenia własnego serca. Dotarłem wreszcie do drzwi salonu. Otworzyłem je delikatnie. Salon tonął w głębokiej ciemności. Organowe akordy dźwięczały przytłumione. Kapitan Nemo mnie nie widział. Sądzę, że nie zauważyłby mnie nawet przy pełnym świetle, tak zatopiony był w swojej ekstazie. Czołgając się po dywanie, starałem się uniknąć najmniejszego szmeru, który by mnie zdradził. Straciłem całych pięć minut, zanim dotarłem do drzwi wiodących do biblioteki.

Już miałem je otworzyć, kiedy przykuło mnie do miejsca westchnienie kapitana. Zrozumiałem, że powstał. Dojrzałem go nawet, bo do salonu dochodziło kilka promieni z oświetlonej biblioteki. Szedł ku mnie milczący, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, bezszelestnie jak duch. Wzbierało w nim łkanie. Dosłyszałem jeszcze, jak wyszeptał ostatnie słowa, jakie dane mi było usłyszeć z jego ust:

— Boże wszechmogący! Dosyć! Dosyć!…

Czyżby to wyrzuty sumienia wyrwały ten jęk z piersi kapitana Nemo?

Półprzytomny z przerażenia, wymknąłem się do biblioteki. Przeszedłszy główne schody i górne korytarzyki dotarłem do łodzi.

Do jej wnętrza dostałem się przez otwór, którędy weszli uprzednio obaj moi towarzysze.

— Uciekajmy! Uciekajmy! — nagliłem.

— Już, już — odparł Kanadyjczyk.

Zamknęliśmy otwór w boku „Nautilusa” i pozakręcaliśmy śruby za pomocą francuskiego klucza, w który Ned Land zaopatrzył się poprzednio. Otwór w boku naszej łodzi zatrzasnęliśmy także i Kanadyjczyk zabrał się do odkręcania mutr łączących nas jeszcze ze statkiem. Nagle usłyszeliśmy wewnątrz „Nautilusa” jakiś hałas. Dobiegły stamtąd ożywione głosy. Co się stało? Czy zauważono naszą ucieczkę? Poczułem, że Ned Land wsuwa mi do ręki nóż. — Tak — szepnąłem. — Potrafimy umrzeć!

Kanadyjczyk przerwał swą robotę. Ale przyczynę zamieszania powstałego wewnątrz „Nautilusa” wyjaśniło mi jedno słowo, jedno przerażające słowo, powtarzane sto razy. Nie o

nas to chodziło załodze.

— Malström! Malström! — wołano.

Malström! Czy kiedykolwiek w straszliwszej chwili mogliśmy usłyszeć groźniejsze słowo? A zatem znajdowaliśmy się w owych niebezpiecznych okolicach wybrzeży norweskich! I właśnie w momencie kiedy zamierzaliśmy się oderwać od „Nautilusa”, wciąga go w swą otchłań ten potworny wir?!

Wiadomo powszechnie, że w czasie przypływu, wody ściśnięte pomiędzy archipelagiem Wysp Owczych a Lofotami pędzą z niepowstrzymaną gwałtownością, tworząc wir, z którego żaden jeszcze statek’nie wyszedł cało. Potworne fale biegną tu ze wszystkich stron, tworząc otchłań, słusznie nazwaną „pępkiem oceanu”. Ściąga ona na siebie wszystko z odległości nawet piętnastu kilometrów. Wpadają tam nie tylko statki, ale i wieloryby, i białe niedźwiedzie polarne.

W takie to miejsce wprowadził kapitan Nemo — niechcący czy może rozmyślnie — swój statek. „Nautilus” zakreślił teraz spiralę o coraz mniejszym promieniu. Nasza łódź, jeszcze przymocowana do jej boku, wirowała także ze straszliwą szybkością. Doznałem zawrotu głowy, jak zwykle po zbyt długim obracaniu się wkoło. Byliśmy przerażeni, ogarnięci potworną zgrozą, krew w nas zastygła, nerwy przestały działać; zlani zimnym potem, niczym w agonii, wsłuchiwaliśmy się w huk rozbrzmiewający dokoła naszej wątłej łódeczki. Co za ryk powtarzany przez echo na odległość paru mil! Co za łoskot wydawała woda bijąc o ostre cyple skał podwodnych, tam gdzie kruszą się najtwardsze przedmioty, tam skąd wychodzą pnie drzew „poubierane w futra”, według powiedzenia Norwegów!

Co za sytuacja! Miotało nami potwornie. „Nautilus” bronił się jak człowiek. Jego stalowe mięśnie trzeszczały, niekiedy stawał dęba, a my wraz z nim!

— Trzeba się tego trzymać — odezwał się Ned z trudem. — pozakręcajmy mutry z powrotem! Uczepieni do „Nautilusa” możemy się jeszcze uratować!…

Nie dokończył, kiedy rozległ się straszliwy trzask. Śruby puściły i łódź, wyrwana ze swego łożyska, wyleciała jak kamień z procy — w sam środek wiru.

Uderzyłem głową o jakieś żelazne okucie i pod wpływem tego ciosu straciłem przytomność.

Rozdział XXIII
Zakończenie

Oto, jak się skończyła nasza podróż pod morzami. Nie potrafiłbym określić, co się wydarzyło owej nocy, w jaki sposób łódź nasza wydostała się ze straszliwego Malströmu i w jaki sposób wszyscy trzej, Ned Land, Conseil i ja, wynieśliśmy cało nasze głowy z tej wrzącej otchłani. Kiedy odzyskałem przytomność, leżałem w chacie jakiegoś rybaka na Wyspach Lofockich. Obaj moi towarzysze, zdrowi i cali, byli przy mnie i trzymali mnie za ręce. Uściskaliśmy się ze wzruszeniem.

Nie było mowy o natychmiastowym powrocie do Francji. Połączenia komunikacyjne między Norwegią północną a południową są bardzo rzadkie. Musieliśmy więc czekać na najbliższy parowiec, obsługujący raz na dwa miesiące linię, która łączy Przylądek Północny ze światem.

Tu zatem, wśród poczciwych ludzi, którzy nas przygarnęli, przeglądam raz jeszcze opis naszych przygód. Jest naprawdę wierny. Nie opuściłem żadnego wydarzenia, nie wyolbrzymiłem żadnego szczegółu. Jest to prawdziwa opowieść o nieprawdopodobnej podróży w głąb żywiołu, który dopiero w przyszłości stanie się człowiekowi dostępny.

Czy ludzie mi uwierzą? Nie wiem. Zresztą mniejsza o to. Mam jednak teraz prawo opowiadania o tych morzach, pod którymi przebyłem — w ciągu niespełna dziesięciu miesięcy — dwadzieścia tysięcy mil, o tej podmorskiej podróży dookoła świata, w czasie której ujrzałem tyle cudów i wspaniałości na Pacyfiku, na Oceanie Indyjskim, na Morzu Czerwonym, Śródziemnym, na Atlantyku, na Oceanie Lodowatym, Południowym i Północnym!

Ale co się stało z „Nautilusem”? Czy wyszedł cało z kleszczy; Malströmu? Czy kapitan Nemo jeszcze żyje? Czy dalej szuka na wszystkich oceanach swej straszliwej zemsty, czy też poprzestał na owej ostatniej hekatombie? Czy fale wyrzucą kiedyś ów rękopis zawierający dzieje całego jego życia? Czy świat dowie się, jakie było imię tego człowieka? Czy narodowość zatopionego okrętu zdradzi nam może narodowość kapitana Nemo?

Sądzę, że tak. Myślę również, że niezwykle wytrzymały jego statek przezwyciężył najstraszliwszy wir oceanów i że „Nautilus” wyszedł nietknięty z matni, z której nie wyszedł jeszcze żaden okręt. Jeżeli tak jest, jeżeli kapitan Nemo nadal żyje w morzach jak w przybranej ojczyźnie — oby uczucie nienawiści wygasło w tym srogim sercu! Oby możność codziennego patrzenia na tyle cudów przygasiła w nim żądzę nienawiści! Oby okrutny sędzia ustąpił miejsca uczonemu prowadzącemu spokojne badania podmorskie! Chociaż bowiem dzieje jego są dziwne i niepojęte — to jednak są zarazem wzniosłe i wspaniałe. Czyż nie zrozumiałem tego sam w czasie dziesięciomiesięcznego, niezwykłego życia?

Dlatego też na pytanie, które sześć tysięcy lat temu zadał Eklezjasta*: „Kto kiedy zdołał zgłębić otchłań oceanu?” — dwaj tylko ludzie na całym świecie mają prawo odpowiedzieć twierdząco: kapitan Nemo i ja.

---

* Eklezjasta (Ekklesiastes) — autor jednej z ksiąg Starego Testamentu